

Tim Lebbon

ZMROK

Przekład Sławomir Kędzierski



2010

Tytuł oryginału

Dusk

Warszawa 2010

Wydanie I

ISBN 978-83-241-3656-8

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63

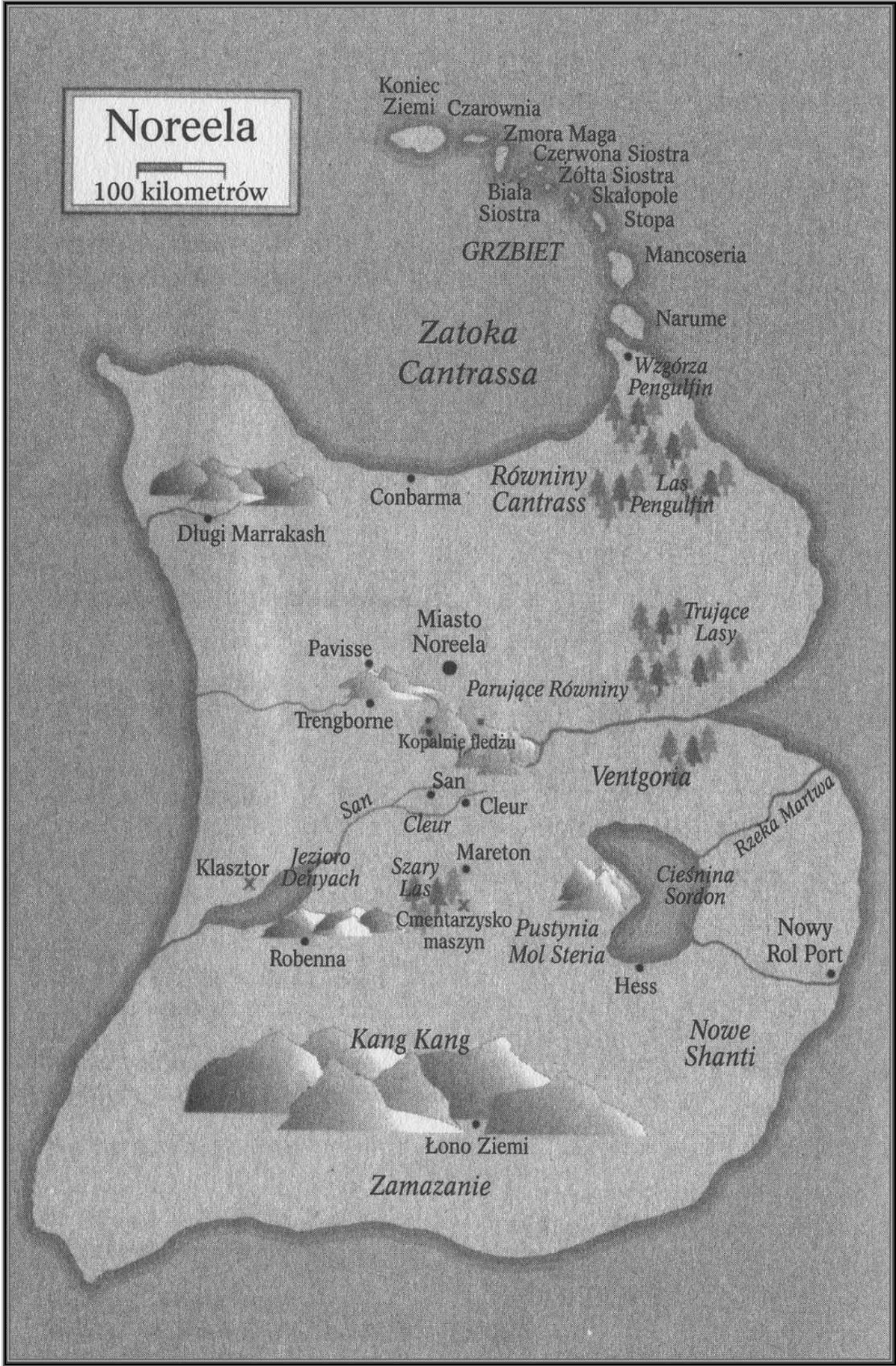
tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Tracey, Ellie i Donowi – z miłością

Noreela

100 kilometrów



Część 1

ZWIASTUNY NOCY

1

Kiedy Kosar zobaczył jeźdźca, znów rozpoczął się koniec świata.

Koń szedł stępą w stronę wioski, jeździec poruszał się płynnie w rytm kroków wierzchowca, otulony ciemnoczerwonym płaszczem z kapturem ocieniającym twarz. Dłonie miał oparte na udach. Koń sam wybierał drogę. Wodze zwisały luźno po obu stronach łba, grzywę zlepiął brud, niepodkute kopyta stukały, wzbijając obłoki kurzu z wysuszonej ziemi. Tylko jeden jeździec – chyba nieuzbrojony.

Skąd więc Kosar mógł wiedzieć, że za nieznanym podąża śmierć?

Skrzywił się, przerwał pracę i przykucnął. Ciepły wiatr muskał obdarte ze skóry czubki palców – piętno złodzieja – i na kilka bezcennych chwil łagodził ból. Krew ciekła, mieszała się z kurzem na rękach i między palcami, po czym krzepła w strup pękający przy każdym napięciu mięśni dłoni. Jątrzące się rany stale przypominały o błędach przeszłości.

Kosar uznał, że rowy melioracyjne mogą jeszcze trochę poczekać. Podjęcie decyzji o ich poprowadzeniu zajęło wiosce dwa lata i chwila dłużej nie ma znaczenia dla zbóż marniejących i umierających na polach. Poza tym uprawy potrzebowały czegoś więcej niż tylko wody, chociaż większość mieszkańców nie chciała przyjąć tego do wiadomości. A teraz jego uwagę przykuło coś o wiele ciekawszego, coś, co mogłoby wnieść nieco emocji w nędzne zbiorowisko chałup, bud i zaniedbanych domostw, które ośmielało nazywać się wioską.

Patrzył na drogę i postać w oddali. Tak, tylko jeden człowiek, ale groźna aura spowijała go niczym mgliste wspomnienie złych czynów. Kosar spojrzął w drugą stronę, ponad starym kamiennym mostem, na wioskę. Nad strumieniem bawiły się dzieci; nurkowały i wynurzały się z radością, gdy udało im się złapać rybę. Pijaczkowie siedzieli w milczeniu przed karczmą, wypełnione do połowy kubki z berbeluchą nagrzewały się na słońcu, a połowa ich zawartości już krążyła w żyłach, zapewniając kilka bezcennych godzin otepienia. Pozorną ucieczkę, na którą Kosarowi złodziejowi nikt nigdy nie pozwoli. Przynajmniej nie tam, gdzie przestrzega się jakiegoś prawa.

Tego dnia na rynku był niewielki ruch, ale paru handlarzy wystawiło towary i w zamian za nie dostawało od wieśniaków tellany lub coś na wymianę. Na jednym straganie wisiały obdarte ze skóry futroperze – ich wątroby wchłonęły rhellim, narkotyk wywołujący seksualną

ekstazę. Kosar zdążył dostrzec już troje ludzi odchodzących ukradkiem z oczami wbitymi w ziemię i futroperzami ukrytymi pod koszulą. Może dziś wieczorem ich dzieci nie będą miały co jeść, ale przynajmniej rodzice naprawdę sobie dogodzą. Inny przekupień sprzedawał amulety, jakoby z Kang Kang, licząc na to, iż strach i lęki związane z tym miejscem sprawią, że nabywcy nie zauważą, że świecidełka są fałszywe. Byli też handlarze żywnością, oferujący owoce z Równin Cantrass. Ale podróż stamtąd trwała długo, droga była trudna i większość owoców straciła żywe barwy.

Kosar znowu spojrzął w stronę obcego. Był już o wiele bliżej i w ciężkim powietrzu niósł się stukot kopyt. Postać w siodle niemal niedostrzegalnie uniosła głowę. Płaszcz zafalował, wpuszczając w siebie promień światła. Kosar zmrużył oczy, usiłując dostrzec twarz ukrytą pod kapturem. Jego wzrok osłabiony latami spędzonymi w jaskrawym słońcu i kiepskim jedzeniem nie był już tak dobry jak kiedyś, ale nigdy go nie zawiódł.

Twarz nieznanego była równie czerwona jak jego płaszcz.

Kosar wstał i osłonił oczy przed słońcem. W pierwszym odruchu chciał złapać kilof, aby w razie potrzeby zatoczyć nim morderczy łuk. Potem zapragnął odwrócić się i uciec. Zdziwiło go to. Zawsze był złodziejem, ale nigdy tchórzem. Dlatego wciąż żył i dlatego mógł żyć wśród ludzi nawet ze straszliwymi, niegojącymi się piętnami na palcach.

Słuchał także głosu wewnętrznego. Do przetrwania potrzebny był instynkt i Kosar kierował się nim zawsze, kiedy tylko mógł.

Ale nie tym razem. Ukradkiem ruszył rowem w stronę mostu. Każdy krok wymagał wysiłku, każdy ruch klócił się ze zdrowym rozsądkiem. Coś w jego głowie krzychało: odwróć się i uciekaj, pozostaw wioskę losowi, który czerwony człowiek na nią sprowadzi! Jej mieszkańcy nigdy tak naprawdę nie zrobili nic dla Kosara. Zgody na pobyt udzielono mu niechętnie, nigdy nie okazano sympatii, nie pozwolono, by poczuł, że przynależy do tej społeczności. Znosili jego obecność, bo dla nich pracował, to wszystko. Święto letniego przesilenia spędził za kamiennym mostem, gdy w tym czasie starszyzna rozdawała piwo i jedzenie. Oglądał zachód słońca, a ogólną wesołość panującą w wiosce odbierał jak kpinę z siebie, chociaż w istocie sam to sobie wymyślił.

Odwróć się i uciekaj.

Nie mógł.

Kosar, cholerny idioto, odwróć się i uciekaj!

Chociaż instynkt kazał mu uciekać, a zdrowy rozsądek podpowiadał, że cień śmierci już gęstnieje nad wioską, to przecież wciąż były tam dzieci, które bawiły się teraz w strumieniu. A w wiosce pozostało kilka kobiet – lubił je, a raczej chciałby lubić, gdyby dostał taką szansę. Przede wszystkim jednak Kosar był dobrym człowiekiem. Złodziejem, przestępcą napiętnowanym na zawsze jako ktoś, komu nie można ufać, ale dobrym człowiekiem.

Jeździec coraz bardziej zbliżał się do wioski; dzieliły go od niej nie więcej niż dwie minuty jazdy. Kosar prawie dotarł już do końca rowu, do miejsca, gdzie w odległości stu

kroków od mostu łączył się ze strumieniem. Dzieci przestały łapać ryby i się bawić, wyszły na brzeg, usiadły na balustradzie mostu i zaczęły machać nogami. Śmiały się i żartowały, przyglądając się nadjeżdżającemu nieznanemu. Cóż za wielkie zaufanie w świecie, w którym głód i strach uczyniły to uczucie tak cennym.

Kosar miał właśnie zawołać do dzieci, kiedy koń ruszył galopem.

Powinien był je ostrzec, krzyknąć do nich, żeby uciekały, pobiegły do domów i powiedziały rodzicom, by zaryglowali drzwi. Doświadczył już w życiu dosyć kłopotów, by zorientować się, że nadchodzi, i od chwili, kiedy dostrzegł jeźdźca, wiedział, iż nie przybywa tu napić się, zjeść czy przenocować. Powinien był je ostrzec, ale okrzyk zwróciłby na niego uwagę. I instynkt zwyciężył.

Na moście mężczyzna w czerwieni zsiadł z konia i podszedł do dzieci. Koń nie podążył za nim, stał z opuszczonym łbem, jakby przez gruby kamień czuł zapach wody. Dzieci podskakiwały i chichotały. Kosar spojrzał na wioskę i dostrzegł kilkoro ludzi – spoglądali w stronę mostu. Parę osób szło ku niemu szybkim krokiem, a jedna z kobiet wbiegła do burdelu, w którym trzech wioskowych milicjantów spędzało większość czasu.

Na chwilę wszystko zamarło. Kosar zastygł w bezruchu. Wiatr ustał, jakby świat wstrzymał oddech. Nawet strumień zdawał się płynąć wolniej.

Mężczyzna w czerwieni odezwał się. Jego głos był jak woda płynąca pod górę, jak ptaki spadające z nieba, jak piasek drążący skałę.

– Gdzie jest Rafe Baburn? – zapytał.

Dzieci popatrzyły na siebie. Jedna z dziewczynek uśmiechnęła się nerwowo.

Później Kosar mógłby przysiąc, że przybysz nawet nie dał im czasu na odpowiedź.

Chwytał uśmiechającą się dziewczynkę za długie włosy, wyciągnął rękę spod czerwonej szaty i poderznął jej gardło. Nóż zdawał się wydłużać, zmieniać w miecz, jakby wchłaniał świeżą krew plamiącą jego głównię; mężczyzna machnął nim w powietrzu. Troje innych dzieci, śmiertelnie ranionych spadło z krzykiem z balustrady i zniknęło z oczu Kosara. Dwaj pozostali chłopcy chcieli uciekać, ale zakapturzony mężczyzna dosięgnął ich, właściwie nie ruszając się z miejsca. Ściął im głowy jednym ruchem nadgarstka.

Kosar opadł na kolana, nie mogąc złapać tchu, i stoczył się do rowu melioracyjnego. Skrzywił się, słysząc plusk, ale zakapturzony mężczyzna nie zatrzymał się i przeszedł przez most do wioski. Kosar wyrzwał znad krawędzi rowu i przez brązowe trzciny patrzył, jak obcy zbliża się do pierwszego budynku.

W wiosce zapanował popłoch. Jakaś kobieta krzyknęła przeraźliwie, widząc masakrę na moście, inni też zaczęli krzyczeć. Mężczyźni wypadali z chat uzbrojeni w kusze i miecze. Dzieci biegły ulicą. Oczy miały szeroko otwarte, przeraził je widok zamordowanych przyjaciół. Kozy i owcolopy dreptały w kurzu, napinając postronki, beczwały i dusiły się, gdy rzemienne sznury wbijały się w ich szyje. Mężczyzna w czerwieni wszedł do wioski. Szata wciąż ściśle go otulała, kaptur osłaniał głowę. Kosar widział tylko jego plecy i był z tego

zadowolony. Od kiedy przez ułamek sekundy dostrzegł jego twarz, nie chciał ponownie zobaczyć tego, co skrywał kaptur.

Oszalała z rozpaczy kobieta próbowała przebiec obok obcego, by przytulić swoje martwe dziecko. Ręka przybysza wystrzeliła do przodu – wbił miecz w jej brzuch, po czym wyszarpnął go, nie zwalniając kroku; krew kobiety chlusnęła mu na szatę. Jej krzyk ucichł jak echo w jaskini. Od strony wioski dobiegł kolejny krzyk i świst przeszywającego powietrze bełtu z kuszy.

Trafił mężczyznę w ramię. Obcy zatrzymał się na chwilę...

Teraz upadnie, pomyślał Kosar, a wtedy rzucą się na niego i rozerwą na strzępy.

...a potem ruszył dalej. Bełt sterczał mu z ramienia, jeszcze mocniej przypinając płaszcz do ciała. Strzelec znów naciągnął kuszę, włożył następny bełt i wystrzelił. I choć oczy przyćmiewała mu udreka, mierzył celnie. Tym razem trafił obcego w twarz. Ten znowu zatrzymał się, gdy strzał szarpnął jego głowę. I znów ruszył przed siebie, szybciej. Kurz unosił się kłębamii spod jego czerwonej szaty pokrytej czarnymi plamami jego krwi.

Ktoś wytoczył się z drzwi burdelu w głębi ulicy. Milicjant, nagi, czerwony na twarzy i z erekcją, bo jak zwykle po południu uraczył się rhellimem, ale wystarczająco przytomny, by chwycić długi łuk. Dziwka wyszła za nim chwiejnym krokiem, podniecona potężną dawką rhellimu, i złapała go za krocze, kiedy napinał łuk i celował do mężczyzny w czerwonej szacie. Kopnął ją kolaniem. Wylądowała w kurzu, wrzeszcząc na niego rozwścieczona. A on wypuścił strzałę.

Wbiła się w pierś mężczyzny i przeszła na wylot. Morderca stał przez chwilę niczym czerwony motyl przyszpilony do powietrza. Człowiek z kuszą podbiegł do niego, unosząc broń, by uderzyć go w twarz, ale napastnik poruszał się tak szybko, że Kosar ledwie zauważył błysk miecza. Upadająca kusza odbiła się od ziemi i wpadła do strumienia, a za nią potoczyła się głowa kusznika z ustami wciąż otwartymi w bezgłośnym krzyku.

Kolejny bełt wystrzelony z miejsca, którego Kosar nie widział, trafił w cel. Potem jeszcze jeden i jeszcze jeden. Obcy już prawie nie reagował, jakby przyzwyczał się, że godzi w niego drewno i żelazo, a jego ciało przystosowywało się do przebijających je i szarpiących ostrzy. Dotarł do karczmy, gdzie sześciu stałych klientów budziło się z pijackiej drzemki, i zabił wszystkich. Zrobił to wolno, jakby napawał się każdym pchnięciem i cięciem miecza, nie zważając na bełty i strzały wbijające się w jego spowite w czerwień ciało.

Z burdelu wyszli dwaj pozostali milicjanci i cała trójka stała na ulicy; absurdalnie nadzy, spoceni i z erekcją wywołaną rhellimem. Dziwki kuliły się pod ścianą i patrzyły, jak ich mężczyźni wyciągają strzały z kołczanów, napinają łuki, strzelają, napinają łuki, strzelają. Wszystkie pociski trafiały w cel, a im bardziej zbliżał się człowiek w czerwieni, tym większe niosły zniszczenie.

Jedna strzała trafiła go w gardło i wyszła karkiem, oblepiona włóknistymi chrząstkami i żyłami. Powietrze zgęstniało od krwi. Kosar nie wierzył własnym oczom. Ten człowiek

powinien już nie żyć. Przypominał kaktus – najeżony strzałami, a co kilka sekund trafiały w niego następne – jednak szedł. Ciął mieczem, rąbiąc na kawałki wieśniaków, z ciała tryskały strugi krwi. Kosar obserwował z przerażeniem, jak mężczyzna w czerwieni zbliża się do milicjantów. Stali w miejscu, tak jak ich uczono, przerażeni, z szeroko otwartymi oczami. Unieśli miecze, razem zaatakowali najeżoną strzałami postać i razem zginęli. Jeden został rozcięty mieczem od gardła po mostek, drugi stracił sterczące genitalia, po czym morderca wypruł mu wnętrzności. Trzeci oszalały, doprowadzony do ostateczności, rzucił się na wroga, zamierzając go powalić. Zakapturzona postać odwróciła się w ostatniej chwili i milicjant nabił się na własne strzały.

Kiedy milicjanci zginęli, rozpoczęła się prawdziwa masakra wieśniaków.

Twarz mężczyzny w czerwieni wciąż była ukryta pod kapturem. Jego dłonie niemal się nie poruszały, kiedy kolejne ciało padało na ziemię. A strzały i bełty wciąż się w niego wbijały.

Kosar wiedział, że pora odejść. Zerknął na most, czując mdlące wyrzuty sumienia, że nie ruszył dzieciom na pomoc. Ale dzięki temu przynajmniej miał jeszcze żołądek, by móc czuć nudności.

Odwrócił się i na czworakach ruszył rowem. Każdemu pluśnięciu wody towarzyszył dobiegający z wioski wrzask, jęk albo świst strzały na darmo trafiającej w cel. Widywał już różne rzeczy – niektóre dziwne, inne nieprzyjemne, czasami niesamowite i cudowne. Ale nigdy nie widział zakrwawionego walczącego człowieka z trzydziestoma strzałami szarpiącymi mu wnętrzności.

Zaczął dyszeć i dopiero wtedy uświadomił sobie, że wpadł w panikę. Odgłosy z wioski cichły, w miarę jak odchodził coraz dalej. Stały się bardziej przerażające – znowu krzyki dzieci – ale teraz już coraz słabsze. Na pewno nie było mu łatwiej ich słuchać, ale świadczyły, że zagrożenie jest mniejsze.

Kosar zatrzymał się na chwilę i wyciągnął dłonie z mulistej wody. Ziemia była tu gliniasta, nie najlepsza do siania zboża, lecz idealna dla osłony kogoś, kto pozostawił ślad krwi. Kosar opuścił głowę i jego długie włosy też zanurzyły się w wodzie, tak jakby on również pragnął się wykrwawić. Nic nie zrobił. Te dzieci, na moście, niewinne, świadome – ich rodzice także nie wiedzieli, co się dzieje – takie żywe, takie ufne...

A on nic nie zrobił.

– Och, kurwaMag – szepnął zrozpaczony.

Hałasy w wiosce ucichły. Nikt już nie krzyczał. Nie słychać było brzęknięć cięciw kusz, świstu strzał przecinających powietrze, mieczy krzeszących wściekle iskry. Nic poza wolnymi, miarowymi krokami jednego człowieka.

Kosar wstrzymał oddech i uniósł lekko głowę, zerkając przez ramię. Teraz słyszał tylko odgłos wody ściekającej z jego włosów. Jego dłonie powoli zapadały się w mule na dnie rowu, poranione czubki palców piekły od jego chłodnej pieszczoty. Miał wrażenie, jakby

wcisnęły się w rozwłócone wnętrzości, i obraz ten go przeraził. Był złodziejem, nie mordercą.

Skąd miałby wiedzieć, jakie to uczucie dotknąć wnętrzości?

A potem uświadomił to sobie. Kiedy jego oczy znalazły się na wysokości wysuszonej trawy i zobaczył mężczyznę w czerwieni chodzącego wśród martwych, już wiedział. Zdawał sobie sprawę, jakie to uczucie, bo widział, jak są wypruwane, czuł ich ostry odór, słyszał wrzaski ofiar. Wiedział, bo stał i patrzył, jak umierają dzieci, chociaż powinien przynajmniej je ostrzec, że ten człowiek jest niebezpieczny, że ten człowiek to śmierć! I ponieważ teraz nagle doświadczył przyprawiającego o mdłości olśnienia – poznał tego człowieka, wiedział, kim jest i skąd przybywa. W dawnym życiu wciąż słyszał przekazywane sobie szeptem legendy, słuchał niezwykłych opowieści przy ogniskach lub w zadymionych karczmach.

Obcy był Czerwonym Mnichem.

A to znaczy, że gdzieś na tej ziemi odrodziła się magia.

* * *

Ze wzgórz nad Trengborne Kosar patrzył, jak Czerwony Mnich chodzi po pogrążonej w ciszy wiosce. Z tej odległości przypominał wielkiego pająka; ciało najeżone drzewcami strzał, a za nim sieć z krwawego śladu w kurzu. Czasami wchodził do chaty i niekiedy rozlegał się odległy krzyk, świadczący, że kogoś jeszcze znalazł i uciszył. A kiedy jego krwawa ścieżka skrzyżowała się już wielokrotnie, przestał się poruszać.

Kosar ukrył się w cieniu nawisu skalnego na zboczu doliny, zafascynowany i przerażony tym, co widział. I na chwilę przed tym, zanim zobaczył, jak Mnich przewraca się i wreszcie zamiera w bezruchu, dostrzegł za wioską inną postać – na przeciwległym zboczu, tak odległym, że wydawała się tylko ruchomą kropką na szarym tle skał. Ktoś wspinał się szybko, gnany strachem. Jeszcze jeden człowiek, któremu udało się przeżyć.

Kosar zastanawiał się, kto to taki. Tam na dole wielu nigdy by nie oplakiwał, ale byli też tacy, którzy okazali mu trochę życzliwości. Patrząc na krwawe słońce nad horyzontem, zrozumiał, że musi się tego dowiedzieć. Pójdzie za ocalałym i może będą mogli opowiedzieć sobie, czego doświadczyli.

Kosar, napiętnowany złodziej, utracił jedyne miejsce, które mógł w myślach nazwać domem. Nie pozostało mu już nic innego, jak udać się za ocalałym z masakry.

2

Rafe Baburn siedział skulony na zboczu i patrzył w dół, na ruiny swojego życia.

Dygotał, chociaż wciąż było ciepło. Pot kroplił się na jego czole i ramionach, a zachodzące słońce wciąż tak grzało, że przypiekło mu skórę na głowie; mimo to trząsał się i drżał jak owcolopa wyciągnięta z górskiego strumienia. Chciał krzyknąć, ale głos uwiązł mu w gardle odebrany przez strach. Jego pamięć także została zamordowana, równie zdecydowanie jak tamte dzieci na moście, milicja przed zamtuzem. I jego rodzice.

Jego ojciec zapewne wciąż ścisnął w rękę zardzewiałą starą kuszę, z której nie miał szansy wystrzelić.

A matka...

Nie, nie będzie o tym myśleć. Nie może. Musi zająć umysł czymś innym, stanąć tyłem do wioski i patrzeć na skałę, zastanawiać się, co widziała w swoim długim życiu, drążyć pod nią, żeby sprawdzić, czy kryją się tam jakieś sekrety...

Matka pobiegła do ojca leżącego na ganku przed domem. Krwawił. Rafe wiedział, że już nie żył, a mimo wszystko matka poszła do niego, myśląc może, że jej miłość uleczy rany. Miecz świsnął w powietrzu i zaśpiewał pieśń przemocy, wbijając się w jej pierś. Upadła, a zabójca, ten krwawy morderca, przydepnął ją stopą w czerwonym bucie, by wyszarpnąć głownię z jej ciała, z jej kości.

Rafe chciał zamknąć oczy. Ukrywał się pod gankiem, pył sypał się mu na twarz. Krew ojca zachlapała mu czoło i kapnęła do oka, a teraz spływała na niego również krew matki, zachęcając go, by odszedł, zapomniał, co widział, i nigdy więcej o tym nie śnił. Krew była ciepła jak ręce rodziców na jego czole, kiedy w dzieciństwie dręczyły go koszmary. Albo dłoń ojca masująca napiętą skórę na głowie Rafe'a, gdy jeszcze niedawno budził się z dziwnych snów, wciąż słysząc szepty i mamrotania nieznośnych głosów.

Ale nie był w stanie odwrócić wzroku. Obawiał się, że gdyby zamknął oczy, mężczyzna w czerwieni – strzały przeszywające jego ciało, z brzękiem zderzające się ze sobą – by go odnalazł. Morderca stanął okrzakiem nad zwłokami matki Rafe'a i zajrzał do domu. Rafe usłyszał, że szybko wciąga powietrze nosem, jakby węszył. Sprawiał wrażenie niezdecydowanego; wejść do domu czy iść dalej? Ktoś podjął decyzję za niego: dwóch mężczyzn z krzykiem wskoczyło na ganek, atakując go zardzewiałymi mieczami.

Obcy odtrącił ich na boki i rozplątał, gdy padali na ziemię. W powietrzu świsnęło kilka strzał, ze stukotem wbiły się w jego tors i ramiona; zabójca zszedł z ganku, by ścigać łuczników.

Rafe zbyt przerażony, by się ruszyć, odczekał chwilę. Wsłuchiwał się w odgłosy śmierci wokół niego. Pływały przez wioskę, związane z człowiekiem w czerwonej szacie jak jego cień, i kiedy Rafe uznał, że są odpowiednio daleko, postanowił uciec.

Starał się nie patrzeć na rodziców. Kiedy wypęłzał spod ganku, czuł ich i słyszał, jak kapie ich krew – ściekała między deskami. Nie chciał widzieć ich martwych. Pragnął zapamiętać ich, jakimi byli dawniej, a nie teraz.

Ale spojrzął. Nie mógł się powstrzymać i zobaczył, co zostało z mężczyzny i kobiety, którzy go przyjęli, wychowali od dziecka i zginęli, zapewne usiłując go chronić. I kiedy popatrzył na zakrwawione zwłoki – muchy już siadały na ranach – w jego głowie znowu pojawił się dziwny głos. Zamknął oczy i zacisnął pięści, rozpaczliwie pragnąc odpędzić go tam, skąd przyszedł. Nie wiedział jednak ani gdzie to jest, ani dlaczego go dręczy, był więc bezsilny wobec dziwacznych słów odbijających się echem w jego umyśle.

Nagły krzyk przeciął te dźwięki i zagłuszył je na jakiś czas. Po chwili rozległ się znów, tym razem bliżej. Rafe odwrócił się i zaczął biec. Czuł brzemień winy, jak spojrzenie umarłych. Jego rodzice leżeli nieopogrzebani, zdani na łaskę i niełaskę świata, składając się w ofierze ścierwojadom, które wkrótce nadlecą z pól i wzgórz. Ale gnało go coś jeszcze – widok śmierci rodziców widzianej przez szpary między nieheblowanymi deskami, odgłos miecza wrywanego przez mężczyznę spomiędzy rozciętych żeber jego matki, świadomość, że jeżeli wróci i podda się temu samemu losowi, bardziej już zdradzić ich nie może.

„Martwa rzecz po prostu jest martwa – powiedział mu kiedyś ojciec. – Martwa rzecz znaczy mniej niż kamień na polu. Kamień widział przeszłość i zobaczy przyszłość, martwa rzecz, gnijąc, wróci do ziemi i być może weźmie udział w następnym cyklu sadzenia i zbiorów. Ważne jest, czym ta martwa rzecz była, a nie czym jest teraz”.

Jego rodzice nie żyli. Odeszli tam, dokąd żywi myślą, że pójda po śmierci. Do pamięci albo do życia pozagrobowego, albo po prostu do Czerni, aby dołączyć do historii.

Siedział teraz na nagim zboczu wzgórza, rozdygotany patrzył na martwą wioskę w dolinie. Dziesięć minut temu mężczyzna w czerwieni przeczołgał się po zakrwawionej ziemi, pozostawiając za sobą ślad w pyle. Wyglądał jak umierający powoli jeżozwierz albo kaktus, który ożył na chwilę. Szata ściśle opinała jego ciało przyszpilone licznymi strzałami, stała się jeszcze intensywniej czerwona od wsiąkającej w nią krwi. A potem znieruchomiał. I więcej już się nie poruszył.

Rafe bardzo chciał wrócić do wioski i upewnić się, że zabójca jest martwy. A przecież nie mógł żyć już w chwili, gdy zabijał jego rodziców – nie naszpikowany tyłoma strzałami. Teraz mężczyzna w czerwieni był milczący i nieruchomy, a Rafe chciał się upewnić. A także, być może, dokonać jakiegoś daremnego aktu zemsty. Wziąć miecz leżący przy zwłokach.

Rozwłóczyć trupa po całej wiosce, by na zawsze towarzyszył zamordowanym przez siebie ludziom.

Nastolatek – ledwo mężczyzna, chociaż lubił się za takiego uważać, z krwią rodziców zasychającą na policzkach i czole – zrobił najtrudniejszą rzecz w całym swoim dotychczasowym życiu. Odwrócił się plecami do wioski i zaczął się wspinać. Za górskimi przełęczami, w następnej dolinie leżało Pavisse. Mieszkał tam jego wuj Vance; on mu pomoże. On będzie wiedział, co robić. Tylko on pozostał Rafe'owi.

Pogrążony w bólu ruszył niepewnym krokiem pod górę. Łkał i płakał, przy każdym kroku słysząc przedśmiertny krzyk matki.

Wysoko w górze czaszokruki unosiły się w powietrzu i patrzyły w dół.

* * *

Było już po północy, kiedy Rafe minął przełęcz i zaczął schodzić do kolejnej doliny. Pavisse widniało w oddali jak skrzący się klejnot, rozpostarte na dnie doliny, wspinało się też na zbocza, na których kopalnie wydrążyły głębokie rany w ziemi Noreeli. Ognie migotały w nocy, lampy uliczne ciągnęły się szeregami i tętniące życiem odgłosy miasta docierały do niego nawet tu, tak wysoko.

Słyszał wiele opowieści o Pavisse, ale nigdy w nim nie był. Różnych opowieści – od łagodnych, lecz zdecydowanych przestróg rady matki, by trzymać się od miasta z daleka („To dziura, Rafe, jama pełna wszystkiego, co niedobre na tej ziemi”), do pełnej podniecenia paplaniny przyjaciół o nagich kobietach na ulicach, wojownikach w barach i żyjących na skraju miasta starych czarodziejach, którzy zapomnieli, jak się nazywają. Ale śmierć rodziców odepchnęła wszelkie obawy. Pavisse może było groźne i niemoralne, lecz tej nocy oznaczało bezpieczeństwo, światło w ciemności, lek na cierpienie Rafe'a. Coś, co mogło stać się tymczasowym celem, po tym jak morderca pozbawił go poprzednich.

Już czuł zapach miasta. Przyprawiając o zawrót głowy, mieszanina zapachów napłynęła z doliny niesiona wiatrem wiejącym z północy. Niektóre rozpoznawał – ciepłą woń pieczonego chleba, intensywną i podnoszącą na duchu, smród końskiego nawozu rozkładającego się na słońcu, zapach świeżo przekopanej ziemi, albo z kopalni fledżu i węgla na wzgórzach, albo z pól na obszarach zalewowych. Docierał tu nawet odór zwięzłego piwa. Ile trzeba było go rozlać, żeby panował taki fetor? Słyszał historie o bójkach w barach i napadach w mrocznych zaułkach, dzisiaj jednak znalazł się w obliczu jeszcze większego zagrożenia, a mimo to żył. Pijani górnicy raczej nie mogli go przestraszyć.

Ale czuł też inne zapachy, których nie potrafił rozpoznać, choć bardzo się starał. Mocną, kwaskowatą, jakby ziemistą woń, która chyba wydobywała się z kopalni. Odór przypominający zgniliznę. I aromat jedzenia, takiego, jakiego nigdy nie próbował. Korzenny, ostry, zapowiadał bóle żołądka.

Tak wysoko w górach tereny były zupełnie dzikie i Rafe musiał poruszać się ostrożnie, aby nie wpaść nogą w dziurę i nie złamać kostki. W rzadkich niskich wrzosach kryły się kamienie, o które łatwo mógł się potknąć i runąć w dół zbocza. Widział również ślady topnienia lodowców, fałdy luźnych kamieni pozostałe po ostatnim Wiekę Lodów, od wtedy właściwie nietknięte, z wyjątkiem okazjonalnych pieszczot samej przyrody. Niektóre były dobrze widoczne: czarne linie cieni wijące się wzdłuż zbocza, inne – zasłonięte krzakami albo wysoką trawą – przypominały węże czyhające na zdobycz. Te były bardziej niebezpieczne.

Księżyc życia wzeszedł, zalewając poświęcając jego drogę; świecił srebrzyście tylko istotom niewinnym i czystym. Ale istniało wiele definicji czystości i Rafe podejrzewał, że to po prostu kolejna legenda pozostała z czasów, kiedy żyła magia. Światło księżyca padające na jego skórę przynosiło mu spokój, ponieważ jak często powtarzali mu rodzice, dobro i czystość to coś bardzo ważnego. „Pragnij czego tylko chcesz – powiedział ojciec – ale pragnienie różni się od posiadania. Mieć coś w nieczysty sposób to gorzej niż nie mieć wcale”.

Cóż, nadal mieszkał w Trengborne, a właściwie mieszkał tam jeszcze zaledwie kilka godzin temu. W zapadłej wiosce, osadzie biednych rolników, zamieszkaną przez prostych ludzi, którzy starali się przeżyć z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Miejscu, gdzie przyszłość obiecywała mu niewiele więcej niż zarobek na życie pracą w polu, świętowanie narodzin nowego cielaka, upijanie się w czasie jesiennych przypływów gotówki, małżeństwo z wiejską dziewczyną i wychowywanie dzieci, które czeka ten sam, niezmienny los...

A jednak wszystko się zmieniło.

Nie tylko teraz, kiedy zmiana została mu narzucona tak okrutnie i krwawo. Jeszcze wcześniej, przed wieloma dniami i tygodniami, poczuł, że w jego umyśle dzieje się coś, nad czym nie ma realnej władzy. Wiązało się to z ideami i słowami, których nie rozumiał; powinny dawać mu jakiś obraz, jakieś wskazówki lecz w rzeczywistości jedynie powodowały bezsenność. A jednak te słowa wywoływały w jego umyśle zmiany, wyzwalając skrupowaną wyobraźnię. Bez względu na to, jak straszne rzeczy go spotkały, ta podróż wydawała się właściwa. Musiała taka być. Jego rodzice nie żyli i otwierała się w nim czarna otchłań żałoby, ale sprawy toczyły się tak, jak ktoś je zaplanował. Był tego pewien. Od dnia, kiedy po raz pierwszy odezwały się w nim te głosy, wiedział, że jego przeznaczeniem jest coś więcej niż życie rolnika.

Usłyszał za sobą hałas.

Przykucnął, odwrócił się na piętach i położył dłoń na rękojeści noża. Wstrzymał oddech, żałując, że nie może uciszyć bicia serca, by lepiej słyszeć.

Znowu hałas, grzechot drobnego żwiru i kamyków toczących się po zboczu, zupełnie jakby ktoś albo coś schodziło z góry. Wbił spojrzenie w ciemność i rozglądał się z nadzieją, że dostrzeże coś kątem oka. Księżyc życia nie oświetlał niczego. Cokolwiek tam było, wiedziało, że on go szuka, i ukryło się w cieniu.

Ale Rafe wiedział, co to takiego. Demon, który krwawi, jęczy i idzie po niego przesyty

strzałami i bełtami. Człowiek pragnący dokończyć niedawno rozpoczętego dzieła. Mężczyzna w czerwieni, w jakiś sposób nadal żywy, blady w świetle księżyca.

Rafe odwrócił się, pośliznął na spłachetku mokrej trawy. Krzyknął i z góry znowu dobiegł go grzechot kamieni. Usiłował się poderwać, lecz wciąż ześlizgiwał się po zboczach; wbijając dłonie w piaszczysty grunt, czuł, jak grzęzną w nim jego palce. Uderzył w skałę. Rozciął policzek i po twarzy popłynęła mu gorąca krew, ale to go ucieszyło. Oznaczało, że żyje. Ból dodał mu siły i pomógł wstać. Wkrótce potem Rafe biegł w dół wzgórza, omijając skały – czarne plamy w mroku – rozkładając szeroko ręce, aby utrzymać równowagę i zamortyzować upadek, gdyby znowu się pośliznął.

Nie oglądał się. Spojrzenie za siebie wywołałoby gniew tego, co go ścigało, dałoby mu możliwość przedrzeć się przez mur obrony stworzony przez strach i panikę, rozplatać go na pół od głowy po stopy i pozostawić jego stygnące wnętrzności na pastwę ścierwojadów. Skupił się więc na migoczącej, rozpostartej szeroko plamie Pavisse posrebrzonej księżycem życia. I wkrótce pędził już jak kozica: skakał z jednego garbu na drugi, omijał leżące między nimi żlebiki, w których mógłby połamać nogi, i skały, których ostre krawędzie mogły dokończyć to, co mężczyzna w czerwieni zaczął.

Jeżeli coś, co go ścigało, wydawało jakieś odgłosy, nie słyszał ich. Nie musiał już być cicho i powietrze wydobywało się głośno z jego ust za każdym razem, gdy stawiał stopy na ziemi i odbijał się od niej. Kiedy tak biegł, jego umysł jakby się wyłączył, nie rejestrował ani upływu czasu, ani przemijania nocy i zmęczenia. Jego ciało chroniło siebie, przejmując kontrolę i odbierając mu zdolność myślenia.

W chwili gdy dotarł do kamiennego muru – pierwszego śladu obecności człowieka, od kiedy opuścił martwą wioskę – wstał świt i zalał swoim blaskiem dolinę. Rafe zatrzymał się prawie bez tchu; czuł, że nogi się pod nim uginają. Po raz pierwszy od kilku godzin obejrzał się, odzyskując świadomość tego, co się dzieje. Cienie wciąż pograżały w mroku miejsca pod skalistymi nawisami na zboczach. Zastanawiał się, co się w nich kryje.

* * *

W drodze do Pavisse minął starą kopalnię. Gardło paliło go przy każdym oddechu jak niezagojona rana, ziemia naokoło była bezbarwna pod powłoką pyłu, odcisnęły się w niej ślady kopyt i stóp robotników, którzy żyli i umierali, wydobywając węgiel i fledz. Z jednej strony otworu szybu stała olbrzymia maszyna, rozsypująca się przez wieki, które minęły od chwili, gdy umarła. Jej szare kamienne boki podpierały rdzawe żyły obrobionego metalu i widać było puste miejsca. Kiedyś wypełniały je brakujące teraz części.

Maszyna! Rafe widział dotąd tylko małe, wielkości jego głowy lub torsu, których zapomnianego przeznaczenia można się było jedynie domyślać. A ta była ogromna, niemal tak duża jak dom, w którym mieszkał z rodzicami. Ptaki uwiły na niej gniazda, a słaby wiatr

pogwizdywał w dawno skamieniałych wnętrznościach. Rafe zastanawiał się, do czego mogła służyć, ale sama myśl o tym, że ta potężna, tajemnicza rzecz mogła się poruszać, wstrząsnęła nim i go oszołomiła. Rodzice wyjaśnili mu, że te rzeczy nie działały od czasów Wojny, lecz zawsze tu były.

Minął kopalnię i ruszył dalej w stronę Pavisse, a kiedy zbliżał się do ludzi – i miał nadzieję, bezpieczeństwa – przeżycia minionej nocy naprawdę zaczęły dawać o sobie znać.

Krew jego rodziców tworzyła kruchą skorupę na jego twarzy. Krzepła na niej jego własna, wciąż sącząca się z rany.

W którymś momencie cały się pobrudził.

Płakał, usiłował krzyknąć, ale był zbyt zmęczony, by to zrobić, mamrotał o swojej martwej wiosce, przyciągając zdziwione spojrzenia budzących się mieszkańców Pavisse. I tak Rafe wszedł do miasta, by odnaleźć wuja.

3

Alishia nigdy nie słyszała, żeby martwy człowiek śpiewał. Czytała historie o wielu cudach – cieniach wołających z głębin bezdennej jaskini w górach Kang Kang, jamach w ziemi połykających skały i glebę, a także każdego na tyle głupiego, by podejść do nich zbyt blisko, o kobiecie, która spotkała chmurę imitów, oddychając, wciągnęła je w siebie i zobaczyła z pełnym przerażenia podziwem, jak wyfrunęły z jej ust pod postacią złotego motyla. Czytała o czaszkokrukach uczujących na żywym bydle, dwóch rzekach płynących w przeciwnych kierunkach w tej samej dolinie i o miejscu, do którego kiedyś odeszły starożytne maszyny, by umrzeć. Tak więc jak na bibliotekarkę wyobrażała sobie bardzo barwne życie i rozmyślała o wielu rzeczach niedobrych w tej krainie. Ale zawsze uważała, że wyobraźnia jest lepsza niż doświadczenie, ponieważ jest nieskażona.

Nigdy jednak nie słyszała, żeby martwy człowiek śpiewał.

Stał w jednym z bocznych pomieszczeń daleko, daleko w tylnej części biblioteki, miejscu, gdzie rzadko ktoś zaglądał, pokrytym pyłem wieków. Niektóre książki były tak stare, że Alishia nie знаła nikogo, kto by je przeczytał. Mężczyzna przeglądał je od wielu godzin. Jego pieśń rozbrzmiewała żałobnie w nieruchomym powietrzu. Głos miał niski i słaby – czego innego można oczekiwać od trupa? – lecz pełen emocji. Alishia nie potrafiła rozpoznać języka, ale nie było to nic niezwykłego w stolicy Noreeli. A jednak wyczuwała, o czym mówi pieśń, i słyszała w niej nuty tęsknoty, pełne smutku tony ukryte w splotach i załamaniach jego gardłowych treli.

Kiedy wiele godzin temu podszedł do jej biurka, cofnęła się zszokowana. Był najstarszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała, robił wrażenie niezwykle słabego i nie mogła zrozumieć, jak ktoś w takim stanie może jeszcze żyć. Tymczasem ta oddychająca skamielina żyła, cienka, prawie przezroczysta skóra ledwie utrzymywała na miejscu organy wewnętrzne. Powiedział kilka słów w języku, którego nigdy dotąd nie słyszała, a potem odszedł, kręcąc głową i mamrocząc cicho pod nosem.

Od tej pory słyszała jego śpiew i szelest przewracanych kartek. Wiedziała, że on jest w najdalszej, najstarszej części biblioteki, ponieważ sprawdziła wszystkie inne miejsca. Pod pretekstem porządkowania książek na półkach zapuściła się w głąb wysokich pomieszczeń, zrywając pajęczyny i wzbijając kurz, który powoli podnosił się i wypełniał powietrze mgiełką

w kolorze martwej skóry.

Czego tak stary mężczyzna szukał w tak antycznych książkach? Te pochodziły z czasów, zanim przyszedł na świat dziadek dziadka jej ojca, i zachowano je tylko dlatego, że gdyby je usunięto, budynek prawdopodobnie by się zawalił. Niemal skamieniały, ich karty skleić wilgoć, sztywne oprawy wzmacniały regały, na których stały. Alishia przejrzała kilka z nich, ale większość napisano w językach, których nie znała. Wykresy i ilustracje przedstawiały różne historie i czasami to wystarczało. W książkach, które mogła czytać, było mnóstwo cierpienia i zła. Dlatego przeglądała stare księgi jedynie od czasu do czasu i za każdym razem, kiedy otwierała którąś z nich, miała wrażenie, że jak intruz wkracza w coś, co nigdy nie powinno być zapamiętane.

Niekiedy, w rzadkich przypadkach, gdy opowieści były napisane w znanym jej języku, Alishia znajdowała prawdy, których wolałaby nie poznać.

Wśród swoich książek czuła się u siebie. Zdarzały się dni, kiedy była tu sama, wciąż i wciąż sama. Na świecie działy się sprawy, które wymagały od ludzi, by poświęcili czas im, a nie książkom – nieurodzaj, pogarszające się zdrowie, powrót do trudnych chwil – i mieszkańcy Noreeli często rezygnowali z luksusu wolnego czasu, by zajmować się poważnie własnym życiem. Wiele problemów stwarzali sobie sami. Ale istniały także nasiona upadku rzucone w tę ziemię po Wojnie-Katastrofie. W miarę upływu lat miasto Noreela i wszystkie otaczające je społeczności cofnęły się w poziomie cywilizacyjnym o niemal trzy wieki, do starszych, okrutniejszych czasów. Dochodziło do gwałtów i morderstw popełnianych na ulicach w biały dzień, a miecze pozostawały w pochwach, ukryte, podobnie jak wyrzuty sumienia. Na wiele sposobów czas zaczął biec na nowo po Magach i zamiast uważać obecny rok za Rok Czerni 2208, ludzie przyjęli za początek tego wieku Wojnę. Nawet Alishia nie była pewna, jaki dokładnie nastąpił rok. Czytała książki, posługiwała się wykresami, odwoływała się do starożytnych tekstów, lecz, nie wiadomo jak, Rok Czerni znalazł się w cieniu Wojny-Katastrofy.

Alishia uważała, że stara magia powinna pozostać martwa i pogrzebana, bez względu na to, jaki wpływ jej nieobecność wywierała na krainę. Według jej własnej, nic nieznaczącej opinii cywilizacja rozwijała się falami i cyklami i teraz znajdowała się na swego rodzaju ścieżce w dół. Wkrótce dokonane zostanie odkrycie, które przywróci ludziom entuzjazm i dobrą wolę, natchnie ich nową radością życia i tym samym większym szacunkiem dla niego. Zresztą Alishia widziała magię każdego dnia. Jej wyobraźnia otrzymywała pożywkę za każdym razem, kiedy czytała słowo albo akapit przypominający jej o snach sprzed lat. Przepiękne wiersze Ro Sargossy obudziły wspomnienie o marzeniu, aby kochać się z dwoma mistrzami miecza Księcia, książki kucharskie przywodziły na myśl różnorodne potrawy o bogatych smakach, zadziwiającą mieszaninę egzotycznych przypraw, soków i ziół z odległych krajów. Wszystko, co czytała, sprawiało, że napływały wspomnienia o marzeniach, i dlatego samotne popołudnie w bibliotece przywoływało na nowo epizody z jej życia, bez

względu na to, jak nierealne to życie mogło się wydawać. Czasami zapachy dawnych, nieznanych posiłków budziły w niej głód. Niekiedy podniecało ją wspomnienie obejmujących ją umięśnionych ramion, chociaż w rzeczywistości na objęcia miała dopiero nadejść pora. Zawsze jednak, każdego dnia, cieszyła się, że żyje.

Niech sobie mówią o zniszczeniu, upadku i śmierci. Nie pozwoli, żeby spotkały właśnie ją.

Mężczyzna wciąż śpiewał. Był tam już od kilku godzin ukryty za najstarszymi półkami, mrucał słowa, których Alishia nie rozróżniała. Pochyliła się do przodu w krzesło i przekrzywiła głowę, ale bicie jej serca zagłuszało echa. Zupełnie jakby to, że żyje, uniemożliwiałoby jej zrozumienie pieśni starego człowieka.

Zacząła więc robić porządki, katalogować książki; przewróciła kilka kartek atlasu pokazującego, jak przez wieki wyglądała ciągle zmieniająca koryto rzeka przepływająca przez Noreelę, przeczytała miłosny wiersz Ro Sargossy. Ale mimo że bardzo się starała, nie mogła nie słyszeć starca. Czasami miała wrażenie, iż śpiew brzmi w jej głowie – niby go nie słyszała, ale wciąż tam był – nieraz mocny, głośny, wypełniał całą bibliotekę, zmuszając wielonogie stworki do ucieczki w ciemne przestrzenie za wieżami z książek.

W końcu postanowiła, że go poszuka.

Gdy nikt nie mógł jej zastąpić, Alishia rzadko kiedy odchodziła od biurka, ale tego dnia było spokojniej niż zwykle – starzec był na razie jedynym klientem i jak pomyślała dziesięć minut wcześniej, raczej nie powinna się go obawiać. A poza tym, co mógłby ukraść? Niewiele osób w Noreeli miało w ogóle ochotę tu przyjść i przeczytać książkę, a tym bardziej doczekać sposobnej chwili, kiedy ona odwróci się plecami, i z jakąś uciec. Niekiedy zastanawiała się, czy w świecie, w którym głód osłabiał również umysł, a niepokój i tracący władzę bogowie niszczyli determinację ludzi, pozostał jeszcze jakiś intelekt.

Przeszła po nierównej drewnianej podłodze zastawionej krzesłami, by wygodnie się czytało – podziurawionymi przez mole i spróchniałymi, bo prawie nieużywanymi – i dalej, między dwoma wieżami z książek.

Znajdowała się w dziale geografii. Po obu stronach książki sięgały sufitu, a te na samej górze były prawie nietknięte, od dnia kiedy zaczęła tu pracować dziesięć lat temu. Nie oznaczało to bynajmniej, że tam, wysoko, nie ma nic ciekawego – Alishia przypuszczała, że są tam relacje o szlakach, które dawno już zniknęły, o odkrytych i porzuconych drogach handlowych – ale ludzie po prostu wydawali się tak leniwi, że o wiele łatwiej było im wyjąć książkę z którejś z dolnych półek. W bibliotece było sześć przenośnych drabin, trzy z nich zawsze stały oparte o stosy książek dla dzieci. Te książki były miękkie i miłe, z pokrytymi materiałem kartkami, które młode ręce łatwo mogły zwijać i miętosić, a młode usta obgryzać. Kiedy Alishia nie pracowała, tu właśnie Byran i Magella chowali się, by się kochać, spać i jeść. Rzadko myśleli o czymś innym.

Jej kroki, i tak ciche, były całkowicie wytłumione przez regały. Wdychała stęchliznę

książek, zapach dziesięcioleci wilgoci, ciepła i znowu wilgoci. Pleśń tworzyła na grzbietach wielkie smugi, przerywane tu i ówdzie w miejscach, w których książka została wyjęta i przestawiona. Historia otaczała Alishę, powoli przeobrażając się w pleśń, a cały kraj zapadał w cień historii. Była w tym jakaś poetycka sprawiedliwość.

Zatrzymała się, odrzuciła do tyłu długie włosy, odsłaniając uszy. Śpiew wciąż rozbrzmiewał, chociaż teraz, gdy znalazła się w labiryncie książek, bardziej stłumiony. Jeszcze jedno uwielbiała w bibliotece: ten, kto ją budował, zupełnie nie zwracał uwagi na ład, porządek czy umożliwienie czytelnikom znalezienia wyjścia w czasie krótszym niż dzień. Była ona czymś więcej niż labiryntem: zagadkową przestrzenią słów.

Często, kiedy zapuszczała się w serce biblioteki, wiedziała, że podąża drogą, jakiej dotąd nie знаła, przesmykiem między alejkami, brodząc po kostki w papierowym kurzu i wśród zapachu dawnych marzeń. Tym razem korytarzyk między regałami prowadził nie tylko w prawo i lewo, lecz również w górę i dół. Czasem podłoga opadała lub się wznosiła, ale Alishia nigdy nie widziała schodów. Spojrzała na książki, żeby zorientować się, jakież to dziwny temat został umieszczony w tak zagadkowym miejscu – dziewiarstwo i krawiectwo. Dziesięć tysięcy książek o szyciu, szydełkowaniu, tkaniu, cerowaniu, naprawach odzieży skórzanej, zaplataniu włosów i splataniu sieci.

Szła dalej. A kiedy nieoczekiwanie skręciła za róg, znalazła go. Zatrzymała się i cofnęła powoli, nie wiedząc, czy ją spostrzegł. Jego pieśń nie milkła, głos nie drżał, usta poruszały się w jednym rytmie z dłońmi. Siedział obok stosu książek, rękopisów, wyrwanych kart i poszarpanych arkuszy, żywe ciało w sercu góry papieru – słaby, a mimo wszystko groźnie wyglądający człowiek, który grzebał w szczątkach historii. Najwyraźniej dopiero teraz znalazł to, czego szukał.

Był w najdalszej części biblioteki, może powyżej poziomu gruntu, a może poniżej. Sufit wisiał tu nisko, ozdobiony mineralnymi stalaktytami, a ślady wody plamiły sterty książek – znak, że na ich stronicach powstanie grzyb i zgnilizna. Alishia wiedziała, że to dział starej magii. Ukrytej magii. Utraconej magii. Wielu ludzi zapomniało o niej i dlatego to miejsce było rzadko odwiedzane. Ci, którzy ją badali, często tego żałowali.

Mężczyzna z szelestem przejrzał następny plik kartek, rozrzucając je na boki. Opadały wokół niego jak umierające motyle. Każdej poświęcał niewiele czasu, na pewno nie tyle, ile potrzeba było na przeczytanie jednej dziesiątej tekstu. Alishia zdawała sobie sprawę, że musiał dokładnie wiedzieć, czego szuka.

Utraconej magii.

Ale czemu tutaj? Poszukuje prawdy o swoim dzieciństwie, a może o rodzicach? Usiłuje odnaleźć drogę do zapomnianej historii swojego rodu? A może po prostu powoduje nim ciekawość?

Kurz. To jedno z przekleństw biblioteki. Strzępy papieru i otarty naskórek tych, którzy przez stulecia pisali i czytali książki, wszystko to uwięzione w nieruchomym powietrzu

zamkniętej przestrzeni. Alishia odetchnęła głęboko i poczuła, że zaczyna ją kręcić w nosie. Jednocześnie spostrzegła, że mężczyzna przerwał poszukiwania, oczy mu się rozszerzyły, a dłonie zacisnęły mocno na książce, która leżała na jego kolanach. Alishię wierciło i kręciło w nosie, czuła ucisk pod jego nasadą, a że bardzo się starała nie kichnąć, zaczęły łzawić jej oczy.

Mężczyzna wstał. Strzępy papieru osypały się z niego. Trzymał książkę w wyciągniętej ręce, jakby niosła jakąś straszliwą zarazę.

Alishia odwróciła się i puściła biegiem. Głośno kichnęła. Próbowwała stłumić odgłos, zakrywając twarz dłońmi, zdążyła już odbiec dość daleko, stosy książek powinny zagłuszyć dźwięk...

...ale mimo wszystko, mógł ją usłyszeć.

Zastanawiała się, co ją to w ogóle obchodzi, ale jednocześnie wiedziała – instynkt jej to podpowiadał – że ten człowiek sprowadził ze sobą zagrożenie. Podążyła szybko z powrotem przez labirynt książek, kurzu i wieków, zwalniając na kolejnych zakrętach, i poczuła wielką ulgę, gdy odnalazła znajome przejście prowadzące do otwartej przestrzeni wokół jej biurka. Kiedy tylko usiadła na swoim miejscu, ujęła dłonią rękojeść noża wetkniętego między dwie sterty książek pod podrapanym drewnianym blatem. Gwałtownie wciągnęła powietrze, widząc starego człowieka wychodzącego zza rogu.

Pocił się. Aby dotrzeć tu tak szybko po niej, musiał biec, ale bardziej zaniepokoiło ją, że próbował to ukryć. Przez chwilę nie mogła się zdecydować: wstać z nożem w ręku czy go odłożyć i stawić czoło niebezpieczeństwu, jakim mógł okazać się starzec.

Podjął decyzję za nią.

– Nic nie ma – burknął w języku najwyraźniej mu obcym, nawet na nią nie patrząc. Przeszedł obok tak blisko, że poczuła zapach jego potu i strachu. Był przerażony. Zastanawiała się, czy on czuje od niej ten sam zapach.

Nic nie powiedziała, chociaż wyraźnie widziała książkę wciśniętą pod pachę, niczym najnowszą ofiarę. Obserwowała z ulgą i zakłopotaniem, jak zatrzymał się przy drzwiach, zdjął z haka na ścianie krwistoczerwoną szatę, zarzucił ją na ramiona i wyszedł. Kiedy znalazł się na słońcu, nasunął na głowę kaptur.

Czerwony Mnich? – zastanowiła się. W kilku książkach przeczytała rzucone mimochodem wzmianki o Czerwonych Mnichach, ale wiedziano o nich tylko tyle, że są szaleni. I że niosą śmierć. Mężczyzna zniknął, a Alishia westchnęła z ulgą i pomyślała: dzięki ci, moje serce. Dzięki ci, moje szczęśliwe serce.

* * *

Tego popołudnia Alishia wcześniej zamknęła bibliotekę. Dziwny incydent ze starym złodziejem książek wstrząsnął nią bardziej, niżby się do tego przyznała. Poza tym nikt tego

nie zauważy, a jeżeli zauważy, nic nie powie. A nawet jeżeli powie, nie będzie to miało znaczenia.

Drzwi do biblioteki znajdowały się poniżej poziomu ulicy i kiedy wchodziła po wydeptanych kamiennych schodach, pojawiała się przed nią miasto Noreela. Wiele lat temu – wieki przed jej narodzinami – z pierwszego stopnia mogłaby dostrzec iglice, łuki i kopuły, ale w czasach po Wojnie-Katastrofie rozsypały się w gruzy albo zostały zburzone, bo zagrażały ludziom. Teraz dopiero z piątego stopnia mogła dostrzec okoliczne budynki i wpatrzone w nią Okno Kaźni w gmachu sądu. Widziała już wielu przestępców – morderców, gwałcicieli, pseudomagów – strącanych z tego wysoko położonego okna. Niektórzy ginęli od uderzenia o ziemię. Inni, pechowi, czepiali się życia całymi dniami, wykrwawiając się na kamieniach; nikt ich nie dotykał, nie udzielał im pomocy. Naprawdę nieszczęsnych rozszarpały w nocy psy.

Wspaniałe miejsce do pracy, pomyślała tysięczny raz Alishia. Naprzeciwko rzeźni. Bo tak naprawdę to była rzeźnia. Kiedyś widziała mężczyznę wyrzuconego z Okna Kaźni za to, że okradł ulicznego handlarza, by kupić sobie berbeluchę. Jego żona przyglądała się, jak upadał, miażdżąc kolana, łamiąc nogi w kostkach, wgniatając żebra tak, że przedziurawiły płuca. Kucnęła obok niego, kiedy w upał południa wyrzucał ustami krwawe bąble. Potem uśmiechnęła się i zostawiła go, by umierał w samotności.

To rzeczywiście złe czasy i Alishia wiedziała, że miała mnóstwo szczęścia, bo została bibliotekarką i zarządzała jednym z najrzadziej odwiedzanych budynków w mieście – nie znała jej większość noreelan, zazwyczaj była ignorowana, nawet jeżeli ktoś ją rozpoznał. Może ludzie uważali, że mogłaby ich kazać aresztować za rozmowy w jej świątyni książek.

Kiedy ruszyła ulicą, uświadomiła sobie, jak bardzo cieszy się, że wyszła z biblioteki. Było to niezwykle uczucie, bo przecież lubiła w niej przybywać, ale dzisiejszy dzień został skażony obecnością niesamowitego starca; teraz więc szła lekkim krokiem i z lekkim sercem. Nawet miasto Noreela – mroczne, popadające w ruinę, wydawało się na swój szczególny sposób przyjemne. Może uniknęła jakiegoś naprawdę strasznego niebezpieczeństwa. Obojętne, jaki był tego powód, ale czuła niemal niewytłumaczalną euforię, wolna od więzów zmartwień i niepokoju.

Minęła ją kobieta, ciągnąc za sobą łańcuszek żałośnie chudych dzieci z sączącymi się ranami po wrzodach. Kobieta była niezwykle potężna i zamasyście stawiała wielkie kroki. Jej policzki niemal dotykały gigantycznych piersi, które bez trudu wykarmiłyby całe stado toczników.

- Daj parę tellanów – wychrypiała. – Nie jedliśmy od tygodnia.
- Dam tellany dzieciom – odparła Alishia, sięgając do plecaka.
- To moje dzieci.
- Wszystkie?

Kobieta nie odwróciła wzroku. Żadnego wstydu.

– Niektóre z nich.

– Dam tellany dzieciom – powtórzyła Alishia.

Kobieta odepchnęła ją na bok grubym łokciem i ruszyła dalej. Kiedy gromadka ją mijała, Alishia grzebała w plecaku. Dała ostatniemu dziecku – blademu chłopczykowi o smutnych oczach – garstkę srebrnych monet. Podziękował jej uśmiechem, ale jego oczy pozostały smutne.

Alishia stała w cieniu opuszczonego sklepu i patrzyła, jak nierówny rząddek znika za rogiem. Na ulicy pojawili się już inni ludzie – wychodzili po dniu pracy z budynków i wyglądali jak lunacy. W domach nie czekało ich nic szczególnie radosnego, a jeszcze mniej w barach, gdzie rozmawiano wyłącznie o nieurodzaju i o tym, jak toczniki na wzgórzach z każdym miesiącem zabijają coraz więcej dzieci i starców. Jak zwykle wybuchały też spory między tymi, którzy uważali, że dzieje się tak, ponieważ mięsożerne rośliny stają się coraz bardziej pewne siebie, a tymi, którzy winą za wszystko obarczali Wojnę-Katastrofę. Ta dawna wojna zakończyła się na długo przed narodzinami tych, którzy teraz żyli, i zastąpiła bogów w roli kozła ofiarnego.

Alishia uważała, że obie strony mają rację. Zaklęty krąg.

Naprawdę złe czasy.

* * *

Alishia spała nad stajnią na przedmieściach miasta. Było tu tanio z dwóch powodów. Po pierwsze, paskudny odór koni, a ich hałasy nieprzyjemne. Po drugie, im bliżej granic Noreeli, tym robiło się coraz bardziej niebezpiecznie. Opowiadano, jak bandyci z gór wyciągają noreelan z łózek, gwałcą i pożerają, pozostawiając jedynie odnajdywane wiele dni później głowy i stopy (głowy, ponieważ są pełne nieczystych myśli, a stopy, bo chodzą po nieczystościach). W tych czasach krążyło mnóstwo niepokojących opowieści, co niekoniecznie oznaczało, że były one nieprawdziwe. Alishia spała z nożem pod poduszką.

Rankiem najczęściej budziły ją konie – zaczynały wierzgać i załatwiały fizjologiczne potrzeby. Karmił je Erv, stajenny, który nieraz próbował wśliznąć się do jej pokoju. Otrząsała się ze snu powoli: słuchała, jak wokół niej budzi się Noreela, wdychała zapach śniadań przygotowywanych na żelaznych patelniach na ulicach, czuła w ustach paskudny smak nieświeżego posiłku, który zjadła wieczorem. Erv mówił głośniejszym głosem, niż musiał, i ćwiczył konie pod jej oknem, kiedy się ubierała. Zawsze trzymała nóż pod ręką. Na pozór Erv był miłym chłopakiem, ale jego oczy zdradzały awanturnika.

Tego ranka jednak coś innego wyrwało Alishię ze snu o kielkujących na polu trupach w rozkładzie. Obudziła się z radością, ale przez chwilę nadal wydawało jej się, że śni. Czuła gryzący zapach spalenizny. Z daleka dobiegały okrzyki; znaczenie słów ginęło w labiryncie ulic, lecz panika w głosach była wyraźna.

Instynkt podpowiadał Alishii, że jest jeszcze wcześniej, a jednak widziała już wnętrze pokoju. Jej ubrania leżały w niedbalej stercie na krześle, niczym postać omdlała z wyczerpania. Spojrzała na nie i... poruszyły się.

Wsunęła rękę pod poduszkę tak szybko, że własnym nożem ukłuła się w palec. Pisnęła i spadła z łóżka. Nie odrywając oczu od kształtu na krześle, usiłowała wyciągnąć nóż spod poszwy i przeklinała, kiedy jej ręka się w nią zaplątała. W panice rozgrzebała koce, spodziewając się, że w każdej chwili...

Ale to było tylko jej ubranie, a złudzenie ruchu wywołało migoczące na zewnątrz światło. Nierówny, chwiejny blask ognia. Wielkiego ognia.

Alishia podbiegła do okna, zapominając, że jest naga, a Erv może już być na podwórzu. Miasto pałało w ciemności, rozświetlone wielkim pożarem w centrum. To nie miejsce dało Alishii pewność, że płonie biblioteka. Nawet nie niepokojące wydarzenia wczorajszego dnia, lecz popiół, który potwierdzał trudną do zniesienia prawdę. Popiół i tysiące płonących kartek trzepoczących w powietrzu jak rozżarzone ptaki.

– Nie! – krzyknęła i natychmiast pomyślała o mężczyźnie w czerwieni, trzymającym pod pachą zniszczoną książkę. – Och, nie!

Ogień zmienił noc na ulicach w zmierzch. Ludzie krzżeli się, biegali i kiedy Alishia przeciskała się między gapiami, otoczyła ją surrealistyczna, niemal karnawałowa atmosfera. Sprzedawcy żywności pędzili w stronę pożaru; popychali przed sobą wózki, najwyraźniej spodziewając się zysku. Rodziny wędrowały ulicami, odsuwając się na bok, by przepuścić konny powóz; im bliżej pożaru, tym podniecenie rosło. Alishia usiłowała powstrzymać łzy, ale dym szczypał ją w oczy, więc przynajmniej miała wymówkę. Szorstki materiał sukni drapał jej ciało, pot kapał razem ze łzami na stary bruk ulic miasta dla niej ani miłego, ani okrutnego – po prostu obojętnego.

Miała wrażenie, że tej nocy coś się zmieniło.

Kiedy weszła na jeden z wschodnich placów i precyzyjnie się między przekupnikami rozstawiającymi swoje kramy, rozpoczynając targowy dzień, rozległ się okrzyk: „Pożar!” – wołał ktoś, inni powtórzyli to za nim i Alishia niemal roześmiała się w głos. Słup dymu sięgał już nieba, płomienie strzelały i tańczyły u jego podstawy, a odór spalenizny przebił się nawet przez ciepły zapach zaprawionych olejem przypraw i świeżo wyciśniętego rhellimu. Jakim cudem dopiero teraz go zauważyli? I wtedy zobaczyła stragan płonący na rogu placu, i zrozumiała. Do tej pory pożar niewiele ich obchodził. Była to jakaś odmiana, sensacja, coś, o czym można pogadać, czekając na pierwszych klientów. Ale teraz dotknął jednego ze sprzedawców, bo w dół poszybowała płonąca karta książki i zapaliło się zadaszenie straganu, ogień rozprzestrzenił się z dala od biblioteki. Groźba, że pochłonie źródło ich utrzymania, stała się natychmiast oczywista. Kilku handlarzy pobiegło pomóc właścicielce gorączkowo wyciągać wszystko, co się dało, z żarłocznych płomieni, lecz większość jedynie starała się ratować swoje kramy. Chlustali wiadrami wody na markizy, pakowali towary i usiłowali

uspokoić muły.

Z nieba spadły kolejne płonące konfetti. Wiele wypalało się, zanim dotarło do ziemi, ale kilka – być może te, które ucztowały na szczególnie smakowitej historycznej książce, albo tych parę kartek sklejonych przez czas – podpałało wszystko, z czym się zetknęły.

Jakiś mężczyzna bił się po głowie, by zgasić płomienie we włosach. Jakaś kobieta kucnęła i nasikała na płonącego futroperza. To już nie była sensacja, zapanowała panika i całe miasto wydawało się żyć w pośpiechu. Tam, gdzie kiedyś ludzie chodzili, teraz biegli, ci, którzy biegli, teraz poruszali się jeszcze szybciej, albo w stronę ognia, albo uciekając od niego. Beczkowozy pędziły po ulicach. Kadzie podskakiwały i wylewały swój bezcenny ładunek do rynsztoków i kiedy Alishia dotarła do pożaru, wokół starego, zniekształconego budynku biblioteki stało już kilka wozów. Grupy spoconych mężczyzn i kobiet podawały sobie kubły z wodą, płomienie połyskiwały na ich załęknionych twarzach, na których skóra zdawała się napinać i czerwienić.

Alishia wiedziała, że to beznadziejna walka. Wszystko było beznadziejne. Płomienie mogły się przyczaić w miliardzie miejsc i nawet gdyby udało się stłumić pożar i wygnać go z tkanki budynku, książki będą się tlić i żarzyć w środku, a płomienie poczekają na właściwy moment, by wybuchnąć i dokończyć dzieła zniszczenia, gdy tylko ludzie o nich zapomną.

Nie mogła pojąć, czemu nadaje pożarowi ludzką postać. Początkowo ją to przeraziło – przypisywanie mu duszy, celu, okrucieństwa. Właściwie nie potrafiła tego zrozumieć. Pomyślała jednak o mężczyźnie w czerwieni, jak wychodzi z biblioteki ze zniszczoną książką pod pachą, o porwanych i rozrzuconych kartkach, wśród których siedział, kiedy zakradła się między regałami, żeby go podejrzeć. „Nic nie ma”, powiedział, ale kłamał. Coś znalazł. I gdy to coś razem z nim opuściło bibliotekę, może nie było powodu, by pozostawiać w niej cokolwiek.

– Ty sukinsynu – zaklęła, patrząc na płonący gmach. Jakie miał prawo niszczyć historię?
– Och, ty sukinsynu!

* * *

Przybyła milicja, bardziej po to żeby oczyścić ulice niż żeby przeprowadzić śledztwo. Alishia powiedziała, kim jest, i zadali jej kilka rutynowych pytań. Kiedy wspomniała o człowieku w czerwieni, jakby tego nie usłyszeli. Wyprowadzili stamtąd ludzi i odeszli.

Stała przy bibliotece trzy dni; patrzyła, jak budynek się zapada, patrzyła na gigantyczne czarne krokwie sterczące jak poczerniałe zebra i wracała do swojego pokoju tylko na noc. Życie toczyło się wokół niej, nie bacząc na jej smutek. Z Okna Kaźni znowu wyrzucono człowieka, lecz ledwie usłyszała odgłos uderzenia o ziemię.

Trzeciego dnia burza – szyderczo spóźniona – ugasiła tłące się ruiny.

Bibliotekarka wreszcie mogła wejść między gruzy. Ze zbiorów pozostało bardzo

niewiele. Niektóre stosy książek się zachowały, ale ich zawartość zwęgliła się, tworząc twardą masę spetryfikowanej przez ogień wiedzy. Część stron zapewne nadal można by odczytać, ale Alishia nie potrafiła znaleźć w sobie dość siły woli, by obejrzeć każdą poczerniałą grudę, poszukać strzępów historii, jeśli ocalały. Przewracała więc sterty i patrzyła, jak rozsypują się i powstaje czarna maź.

Tłumy przechodziły obok ruin niemal obojętnie. Teraz, kiedy pożar dogasł, biblioteka nie była już interesująca. Prawdę mówiąc, Alishia wiedziała, że nikt nigdy nie uważał jej za interesującą.

Poza jednym człowiekiem. Mężczyzną tak starym, że powinien nie żyć. Pierwszym martwym człowiekiem, którego śpiew Alishia słyszała.

4

Jedynym zmysłem Rafe'a był dotyk. Czuł, że przytrzymują go ręce, obmywa go woda, coś szorstkiego wyciera jego brzuch, tors, a potem ciało między nogami. Opierał się, daremnie. Próbował otworzyć oczy, ale nawet kiedy mu się to udało, widział jedynie czerni. Albo znajdował się w nieprzeniknionej ciemności, albo oślepl. Nie rozróżniał żadnego zapachu i chociaż woda sączyła się do jego otwartych ust, nie miała smaku.

Ogarniała go panika, lecz przebijała przez nią niejasna obawa o dobro kogoś, kogo ledwie znał. Doświadczył tego już wcześniej. Kiedy był młody, ukradł butelkę berbeluchy ze sklepu w Trengborne i umknął na pola razem z przyjaciółmi. Wydawało mu się, że jest wielki i dzielny, ale godzinę po pierwszym łyku żałował, że kiedykolwiek słyszał o piciu. Często zastanawiał się, dlaczego mężczyźni i kobiety, którzy siedzą w karczmie lub przed nią, sprawiają wrażenie, jakby nie żyli, jakby nie mieli emocji, teraz dowiedział się dlaczego. Wszystko odpłynęło, pozostał tylko oszalamiający płomień w żyłach.

Ojciec znalazł go, zaciągnął z powrotem do domu i siedział przy nim całą noc, dopóki Rafe nie ocknął się i nie zwymiotował na podłogę. Rodzice nie zbesztali go. Powiedzieli, że sam się ukarał i mają nadzieję, że dostał nauczkę.

Jego rodzice. Łagodni i troskliwi, a nie porywczy i okrutni, jak tak wielu mu znanych. Także otwarci, szlachetni – kochał ich za to. Większość ludzi postanowiłaby nie mówić swojemu dziecku, że tak naprawdę nie jest z ich krwi i kości, że znaleźli je na zboczu wzgórza – niemowlę porzucone przez wędrowców lub rodzinę zbyt biedną, by wychować kolejnego potomka. Ponieważ byli niepłodni jak niektóre pola wioski, a jednocześnie rozpaczliwie chcieli mieć dziecko, wzięli go i uznali za swojego syna. Tak uczciwe postawienie sprawy początkowo go niepokoiło, lecz po jakimś czasie sprawiło, że jeszcze bardziej ich pokochał. Ujawniając mu tę prawdę, obdarzyli go zaufaniem, dali mu świadectwo, jak głębokim darzą go uczuciem.

A teraz byli martwi.

– Martwi! – krzyknął; chciał usiąść, ale czyjeś dłonie przytrzymały go i wtedy uświadomił sobie, że ktoś usiłuje mu pomóc, po obmyciu teraz wycierał go szorstkim ręcznikiem. Zadrapania na nogach i rękach piekły, kiedy opatrywały je niezręczne, lecz troskliwe ręce.

Rafe jednak usiadł, odpychając kogoś, kto go trzymał. Dotknął twarzy, żeby sprawdzić, czy ma otwarte oczy. Tak. I jakby na potwierdzenie tego, powoli odzyskał wzrok. Powróciły też słuch i węch. Rafe rozejrzał się wkoło, pociągnął nosem i zaczął żałować, że odzyskał przytomność.

Pomieszczenie mogło być rzeźnią, śmietnikiem, a może wrzucono do niego zwłoki w czasie Wielkich Zaraz i ktoś zapomniał je stąd zabrać. Smród zepsutego mięsa przytłaczał – ciężki, ciepły, słodkawy odór, od którego skręciły się kiszki Rafe'a i usta wypełniły śliną. Nienawidził się za to, że czuje głód. Rozejrzał się, żeby znaleźć źródło fetoru, ale zobaczył tylko wielkiego mężczyznę, swojego opiekuna. Niewykluczone, że to właśnie od niego bił ten smród. Sądząc z wyglądu olbrzyma, było to więcej niż prawdopodobne. Mierzył ponad sto osiemdziesiąt centymetrów i cały był pokryty brudem. W brodzie mieszkały jakieś pełzające żyjątka, a ręce miał tak kosmate, że wyglądał, jakby do barków przyczepiono mu dwa futroperze. Z jednej strony twarz przecinały mu blizny, stare, jakby po uderzeniach biczem, i czarne jak śmierć. Rafe słyszał w Trengborne różne opowieści i domyślił się, że to ślady ataku tocznika.

– Chłopcze? – odezwał się mężczyzna i brzmiało to tak, jakby przemówiła sama ziemia. Jego głos przypominał zgrzyt ocierających się o siebie skał.

Rafe uniósł brwi zbyt zszokowany, by odpowiedzieć.

– Chłopcze – powtórzył mężczyzna i uśmiechnął się lekko. Uśmiech złagodził ton jego głosu, teraz życzliwego.

A potem Rafe po raz pierwszy spojrzał mu w oczy i zobaczył w nich chłodną, spokojną inteligencję, coś całkowicie sprzecznego z jego wyglądem. Rafe znał te oczy, rozpoznał intelekt.

– Wuj Vance?

– Rafe – burknął olbrzym – mój chłopcze. Nie widziałem cię od tak dawna. Co się stało? Dlaczego byłeś cały zakrwawiony i podrapany?

– Wuju, oni nie żyją – wyrzucił z siebie Rafe. Te słowa sprawiły, że wszystko wydało mu się realne i ostateczne i resztki nieświadomości uleciały w kąty śmierzącego pokoju. – Wszyscy. Matka... Ojciec... wszyscy.

– Royston? Nie żyje?

– Nie żyją. – Rafe się rozplakał. Próbował nie mrugać, bo tylko zamknął oczy, pojawiały się obrazy zamordowanych rodziców. Ale kiedy miał je otwarte, płakał jeszcze bardziej rozpaczliwie.

Vance, zszokowany, podszedł do niego i wyciągnął rękę, dotykając warg Rafe'a czymś chłodnym i paskudnym.

– Najlepiej się prześpij – poradził i zanim Rafe zdołał odpowiedzieć, zmysły wzroku, smaku i słuchu znowu stopniowo go opuściły. Poczuł jeszcze tylko na czole dłoń wuja, drżącą lekko, gdy wielki mężczyzna płakał, nie wstydząc się swoich łez.

* * *

– Wjechał do wioski. A potem wymordował wszystkich. I nikt nie mógł nic mu zrobić. Milicjanci walczyli z nim, ale ich zabił. Tkwiły w nim strzały, bełty i inne rzeczy, a on wciąż szedł i zabijał. Uciekłem, obserwowałem go jednak ze wzgórz... patrzyłem, jak umiera, chyba umiera... lecz potem ktoś za mną szedł. Myślę, że on – opowiadał Rafe.

– Szaleniec. Teraz jest ich wielu.

– Ale dlaczego zabił matkę i ojca? To nie ma żadnego sensu.

– Ludzie nie potrzebują sensu – odparł Vance. – Potrzebują tylko popędów. – Od czasu do czasu spoglądał w kąty pokoju, chociaż Rafe był pewien, że patrzy o wiele dalej. – Royston – mruknął, kręcąc głową.

– Jak tu trafiłem? – zapytał Rafe. On również czuł ból na myśl o śmierci najbliższych. – Nic nie pamiętam. Wiem, że zszedłem ze wzgórz, że coś za mną podążało, ale nie wiem, jak znalazłem się tutaj.

– Rzeczywiście, ktoś za tobą podążał, ale to nie był szaleniec. Przyniósł cię tutaj, kiedy zemdlałeś na ulicy.

– Kto?

– Jakiś złodziej.

Rafe pokręcił głową i zmarszczył brwi.

– Skądś wiedział, gdzie jestem – burknął Vance. – Powiedział, że był tu wcześniej, i to w wielu miejscach. – Odchrząknął i wypluł na podłogę wielką grudę flegmy. – Tyle przeklętych kłopotów na świecie, a ty musiałeś zadać się ze złodziejem.

– Nie zadałem się...

– Wiem, wiem. Nie to miałem na myśli.

Rafe patrzył, jak wuj przechodzi przez pokój i otwiera szafę. Wyjął butelkę, odkorkował i siorbiąc głośno, jednym haustem wypił połowę jej zawartości.

– Nikomu o tym nie powiesz? – spytał Rafe.

– Co takiego? – Oczy Vance'a stały się szkliste.

– Musimy komuś powiedzieć.

– Komu?

– Nie wiem. Muszę wrócić, pochować matkę i ojca, zrobić coś... zrobić coś dla...

– Już ich zabrały stwory. Nocne stwory. I, Rafe, nie ma komu powiedzieć. Mógłbym pięć dni podróżować do Noreeli i gdyby nie dopadły mnie zjawy, toczniki czy bandyci i gdyby nawet strażnicy przepuścili mnie przez bramy, zapytaliby mnie tylko, po co przybyłem. A potem roześmialiby się i odesłali mnie z powrotem. Trengborne jest nieznaną malutką wioską w wielkim, podłym świecie. Nikogo nie obchodzi, co się tam stało.

– Ale wszyscy zginęli!

Vance wbił w niego wzrok i Rafe poczuł, że kurczy się pod jego spojrzeniem. Była w nim wiedza o najrozmaitszych sprawach, przeważnie złych.

– Dwa księżycy temu, jak mówią, wioska położona o dwa dni drogi na wschód... zwróć uwagę, dwa dni bliżej Noreli... zniknęła. Została wessana pod ziemię przez zapadlisko. Wszystko się wymieszało w jedną wielką maź. Tysiąc osób. I wiesz, co wysłano z miasta? Nic. Żadnej pomocy, milicji, nawet Żałobnika. – Popatrzył w sufit, pociągnął kolejny łyk z butelki i beknął. – Każdy kiedyś umrze. Po prostu w tych czasach ludzie umierają częściej. – Opróżnił butelkę i cisnął ją w kąt. – Nikogo nic już nie obchodzi.

Znalazł kolejną butelkę i przestał zwracać uwagę na przerażonego chłopaka. Upił się, ślinił, a godzinę potem zasnął.

Smutek nieomal obezwładnił Rafe'a, zwalczył go jednak, tak jak opanował gniew. Być może szok wciąż chronił go przed rzeczywistością, słabiej docierało do niego to, co się działo. Jeszcze chwilę popłakał, wsparł głowę na rękach i usiłował przywołać dobre wspomnienia.

* * *

Później Rafe wyszedł z pokoju i znalazł drogę z przypominającego labirynt budynku. W korytarzach leżeli ludzie, śpiący lub martwi. Szczury biegały wokół nich i pod nimi, krokożuki szukały wilgotnych dziur, a mnóstwo ochronnych symboli wymalowanych na ścianach zaschniętą krwią świadczyło o rozpaczliwej, przesądnej wierze w magię przemienioną w mit. Rafe nie przywykł do widoku tych znaków i teraz obudziły w nim coś tak nieznanego, wspomnienie czegoś, co nigdy się nie stało. Przesunął po jednym symbolu kciukiem i poczuł, jak zaschnięta skorupa krwi drapie skórę palca.

Smród pokoju wuja zdawał się przenikać cały budynek. Albo może to każdy pokój cuchnął.

Rafe zastanawiał się, kim mógł być ten złodziej. Kosar? Pracował w Trengborne, ale nigdy ze sobą nie rozmawiali. I na pewno został zabity tak jak inni.

Kiedy wyszedł z budynku, powitało go łagodne, popołudniowe słońce i chociaż ulice Pavisse były przerażające i dziwne, zagłębił się w nie.

* * *

Wiele słyszał o mieście. Niekiedy były to plotki, pogłoski przekazywane sobie w Trengborne przez młodzież spragnioną tego wszystkiego, co wielkie miasto mogło oferować. Często opowiadali mu o nim rodzice, zazwyczaj ostrzegając, aby nigdy tam nie szedł. To niedobre miejsce, mówili, naznaczone jedynie zbrodnią i złem, miejsce, które bardzo potrzebuje ocalenia. Nigdy mu nie wyjaśnili, od czego miało być ocalone i czemu udzielają mu tych surowych przestróg.

Rafe miał uczucie, że zdradza swoich rodziców, nawet kiedy tylko wędruje po ulicach, ale wydawało mu się, że wylewać żal w obecności pijanego, przerażającego wuja byłoby jeszcze gorzej. A poza tym to tak dziwne i szokujące miejsce sprawiło, że ciekawość wzięła górę. Zapewne wciąż niejasno pragnął uzyskać pomoc, ale teraz to pragnienie stało się odległe, mgliste.

Pavisse było przede wszystkim miastem górniczym i większość jego mieszkańców miała do czynienia z pracami pod ziemią. Grupy górników paradowały po ulicach, z dumą demonstrując charakterystyczne oznaki swojego zawodu. Wydobywający węgiel mieli czarne, jakby wygarbowane skóry i szerokie ramiona. A także blizny i obrażenia po wielu przeżytych pod ziemią wypadkach i zawałach – utracone kończyny, puste oczodoły, twarze bez żadnej radości. Ci, którzy kopali fledż, mieli oczy pożółkłe od ciągłego, bliskiego kontaktu z narkotykiem i łysę głowy – skutek uboczny jego używania. Wszyscy – mężczyźni i kobiety – byli wysocy i szczupli, dzięki czemu mogli przeciskać się przez sieć żył fledżu pod ziemią. Wpatrywali się w coś odległego – być może we wspomnienia lepszego życia – i Rafe’owi zdawało się, że widzi duchy szukające miejsca, by spocząć w spokoju.

W górnikach było jeszcze coś, co odróżniało ich od innych; Rafe wkrótce zorientował się, co to takiego. Trzech fledżerów odepchnęło go i przeszło obok, nawet nie patrząc w jego stronę. Wtedy zrozumiał – ci ludzie całkowicie lekceważyli wszystkich, poza górnikami takimi jak oni. Nie były to ignorowanie czy wyniosłość, równie dobrze mogliby należeć do zupełnie innego gatunku.

Wkrótce Rafe’a oszołomiło to, co widział. W Trengborne, zwykłej wiosce rolniczej, w której ludzie pracowali, by przetrwać, i żyli niemal prymitywnie, rzadko działo się coś niezwykłego. Kiedy Rafe był bardzo młody, widział napad toczników – pamiętał, że zebrały się wokół leżącego dziecka, bawiły się nim, aż w końcu jeden z nich przebił ofiarę cierniami – i czasami w snach miał wrażenie, że zapamiętał zjawę. Ale poza tym nie zdarzyło się nic nadzwyczajnego. Tutaj to, co zobaczył, wprawiało go w osłupienie. Proste postrzeżenie rzeczy szybko zostało wyparte w Pavisse brakiem umiaru.

Trzech górników kopało leżącego na jezdni mężczyznę w głowę, brzuch i krocze, ale wszyscy, którzy ich mijali, odwracali wzrok. Ofiara przypominała strawnika – przedstawiciela starożytnej rasy, którą kiedyś hodowano w Długim Marrakashu jako produkt spożywczy – i chociaż Rafe nigdy dotąd nie widział żadnego z tych smutnych stworzeń, ukrył swoją nim fascynację i poszedł dalej. Gdzie indziej, w fotelu na biegunach siedziała w bramie naga kobieta z szeroko rozłożonymi nogami, zachęcając mężczyzn, by jej zakosztowali. Jeden fledżer zatrzymał się, szybko zrobił swoje, zapłacił i odszedł. Kobieta znowu przywołała na twarz zawodowy uśmiech zachęty i lustrowała ulicę oczami szklistymi od wypitego kiepskiego wina. Od wieloletniego używania rhellimu jej skóra poszarzała. Widok był przerażający i obrzydliwy i Rafe przypomniał sobie opowieści młodych ludzi w Trengborne. „Nagie kobiety na ulicach”, mówili. Wtedy brzmiało to jak bajka. W rzeczywistości – było

koszmarem.

Przeszedł wąską, boczną uliczką na wielki plac otoczony ze wszystkich stron czteropiętrowymi budynkami; ludzie w nich wymachiwali długimi paskami kolorowych tkanin. Zachowywali się względnie cicho, chociaż dziwne dźwięki – pomruki, odgłos stóp na bruku i ciężkie oddechy – zdawały się sprawiać, że tłum poszeptywał. Od czasu do czasu po uderzeniu drewna o kamień albo o coś miękkiego rozlegało się westchnienie. Rafe jakiś czas stał z tyłu i tłum przed nim zupełnie zasłaniał mu widok. Obrzucił spojrzeniem okna i balkony, próbując z wyrazu twarzy ludzi odgadnąć, w co tak się wpatrują. Na kilku twarzach dostrzegł cień nudy, na paru innych nieskrywaną fascynację, ale najczęściej sprawiali wrażenie podnieconych i rozwścieczonych zarazem. Widział coś podobnego u naćpanych rhellimem dziwek w Trengborne, desperacko usiłujących wykonywać swoją pracę, ale niekiedy, pod nieobecność milicjantów, ignorowanych i traktowanych z pogardą.

Przecisnął się przez tłum.

Na arenie dla gladiatorów był wielki, najwyraźniej dobrze karmiony, tocznik. Drewniana zagroda miała ściany dwa razy wyższe od każdego fledżera, pochylone na górze do środka, pokryte metalowymi zębatymi kolcami, by uniemożliwić tocznikowi wydostanie się na zewnątrz. Rafe słyszał kiedyś, że toczniki reagują na dźwięk i dlatego atakują rozbawione dzieci albo pary figlujące w wysokiej górskiej trawie. To dlatego widzowie milczeli.

W zagrodzie z tocznikiem był mężczyzna – nie po to, by walczyć, ale by przeżyć. Zgromadzony tłum najwyraźniej znajdował rozrywkę w tym, jak długo nieszczęśnikowi uda się uciekać przed nieuniknioną śmiercią.

Tocznik pozostawiał za sobą przerywany, krwawy ślad na oczyszczonym kamiennym kwadracie. W jego skórę wbity był drugi mężczyzna, martwy, przeszyty przez ciernie i haki stwora. Kiedy tocznik posuwał się naprzód, jedna ręka ofiary kołysała się, przy każdym jego obrocie uderzając o kamień jakby w groteskowym rytmie bicia serca milczącego tłumu.

Rafe odwrócił się i przecisnął przez tłum, nie zwracając uwagi na wrogie spojrzenia i niejasne groźby. Próbował odnaleźć drogę do domu wuja, ale ulice sprzysięgły się, by zatrzymać go dla siebie, dezorientowały go narożnikami, których na pewno wcześniej tu nie było, nowymi budynkami, dziwnymi widokami, ukrytymi dziedzińcami. Im dalej szedł, tym bardziej tracił orientację, a każda droga okazywała się niewłaściwa. Wypatrywał wuja Vance'a, na wypadek gdyby potężny mężczyzna go szukał, ale każda twarz była obca i nikt się nim nie interesował. W końcu przykucnął w cienistej bramie i trzęsąc się ze strachu, zamknął oczy. Wolał zapaść w sen, w którym spotka rodziców i się uspokoi, niż narażać się dalej na to, co przynosi to miejsce.

Biedni, zmarli rodzice. Jak bardzo mieli rację. Pavisse to świat tylko dla szaleńców i zjaw. Rafe siedział z zamkniętymi oczami; usiłował przypomnieć sobie drogę do Trengborne, chciał wrócić, zanim szaleńczy bieg spraw obróci się przeciwko niemu. Ale choć w myślach był tam, wszystko zakrywała ciemność. Miał wrażenie, jakby znajdował się w ciepłej jaskini,

w której powietrze jest ciężkie i wilgotne, a bezpieczeństwo pulsuje biciem serca matki.

Ktoś dotknął jego ramienia. Rafe otworzył oczy. I głośno jęknął.

Kobieta była niska, krępa, w nieokreślonym wieku. Rozczochrane włosy tworzyły brudną aureolę wokół jej głowy, kosmyki sterczały na wszystkie strony, jakby chciały uciec. Białka ciemnozielonych oczu przecinało mnóstwo popękanych żyłek. Twarz pokrywały wijące się tatuaże; zaczynały się w kącikach oczu, spiralami dekorowały policzki – powinien znać te wzory – i w końcu łączyły się znowu w kącikach ust. Rafe był pewien, że biegną w nich dalej, a oczy widzą wszystko.

Po raz pierwszy w życiu widział wiedźmę.

– Co taki miły chłopiec jak ty robi w Pavisse? – zagadnęła.

– Powinnaś wiedzieć.

– Ja? Dlaczego ja? – Wzruszyła ramionami, niby urażona, ale jej zielone oczy błyszczały rozbawieniem.

– Wiedźmę od razu się poznaje – odparł Rafe – a wiedźmy wiedzą wszystko. – Usiłował sprawiać wrażenie dzielnego i mądrego, ale zabrzmiało to dziecinnie. Piekące łzy napłynęły mu do oczu; powstrzymał je.

Kobieta obrzuciła go spojrzeniem, oblizując wargi.

Jedzą ludzi... Rafe przypomniał sobie, co powiedział jeden z jego przyjaciół głosem łamiącym się ze strachu i fascynacji.

– Tak naprawdę jestem damą – obruszyła się. – I wcale nie wiem wszystkiego. Prawie wszystko, ale niezupełnie. – Uśmiechnęła się, szybko wyciągnęła rękę i złapała członek Rafe'a przez gruby materiał spodni, ściskając i poruszając go lekko. – Jeszcze nie stał. To wiem.

Rafe odepchnął ją i podciągnął kolana wyżej, próbując jednocześnie wcisnąć się plecami w solidne drewniane drzwi.

– Zostaw mnie w spokoju! – zawołał przerażony jak nigdy.

Kobieta odchyliła głowę, roześmiała się, nagle umilkła i spojrzała znowu na Rafe'a. Zrobiła dwa chwiejne kroki do tyłu, otwierając oczy tak szeroko, że Rafe'owi zdało się, że za chwilę wypadną jej na policzki.

– Och moje słodkie, stare serce! – westchnęła.

To przeraziło Rafe'a jeszcze bardziej. Wcześniej przynajmniej wiedział, co robiła – pracowała – natomiast teraz jej niespodziewana reakcja bardzo go zaniepokoiła. Przestraszył ją, widział to wyraźnie. Szczeka jej opadła, a tatuaże wydłużyły się na policzkach – wyglądały jak jeszcze jeden krzyk oprócz tego, który w niej narastał.

– O co chodzi? – zapytał, czując niezrozumiały przypływ pewności siebie.

Minęła ich grupa fledżerów; spojrzenia ich mętnych, żółtych oczu prześliznęły się po Rafe i kobiecie, jakby stanowili stały element krajobrazu. Skądś, z labiryntu budynków, zaułków i dziedzińców, nagle dobiegł ryk. Rafe zastanawiał się, czy człowiekowi udało się

jednak zabić tocznika.

– Chodź ze mną! – powiedziała wiedźma drżącym głosem. Przysunęła się, jakby znowu chciała go pomacać, ale jej dłoń zawisła parę centymetrów od jego ramienia. – Proszę – dodała ciszej. – Chodź ze mną. Mogę cię ukryć. Mogę ci pomóc.

– Nie potrzebuję twojej pomocy! Zostaw mnie w spokoju, wiedźmo. Masz kolec w dłoni? Wiem, jak to robicie. Ukłujesz mnie i zatrujesz...

– Tak robią szarlatani i ci, którzy zdradzili swoje powołanie – syknęła. – Boję się ciebie, ale nie odtrącaj mnie za moje czyny. Jestem tą, za kogo się podaję, a robię to, co robię, żeby przeżyć. Wszyscy wiemy, że w niczym nie ma już magii, prawda? – Długo wpatrywała się w niego, stojąc w bezruchu; wydawało się, że nie oddycha, kiedy czekała na jego odpowiedź.

– Dlaczego chcesz mi pomóc? Nic nie mam. Nie możesz się ze mną pieprzyć za tellany.

– Co za język! – oburzyła się i przez ułamek chwili Rafe miał wrażenie, że słyszy swoją matkę.

– KurwaMag – westchnął i się rozplakał.

– Chodź ze mną – powtórzyła, niemal z paniką.

Zerknęła przez ramię na dwóch górników wałęsających się po ulicy. Rafe spojrzał w tę samą stronę – zastanawiał się, czego szukają, przekonany, że nawet nie zauważyli jego i wiedźmy. Na drodze, wzniecając kłęby kurzu, zastukały w powolnym, zmęczonym rytmie końskie kopyta. Zakapturzony mężczyzna na wierzchowcu ciężko siedział w siodle.

To on, on! – pomyślał Rafe, lecz szata mężczyzny była czarna, nie czerwona. Potem zobaczył jego twarz, krzaczastą siwą brodę opadającą na pierś i brzuch.

Wiedźma zamarła, jakby wyczuła lęk Rafe'a.

– Już widziałeś Czerwonego Mnicha? – zapytała. Rafe zamarł i skrzywił się, bo nagle napłynęły bolesne wspomnienia.

– Tamten był ubrany w czerwień...

– Idziesz ze mną! – rozkazała. – Szybko!

– Muszę znaleźć wuja.

– Później. Teraz musisz zniknąć z ulicy. Natychmiast! Jeżeli widziałeś jednego Mnicha i przeżyłeś, to wiedz, że jest ich więcej. Chociaż, skoro przeżyłeś...

Nagle okazała się niegroźna. Początkowo przeraziła Rafe'a – tatużami, łapaniem go za członek, po prostu tym, że ktoś zwrócił na niego uwagę w owym rozległym, paskudnym mieście – ale teraz słyszał w jej pełnych niepokoju słowach brzmienie głosu matki, czuł troskę, silniejszą niż chęć wykorzystania go lub wyrządzenia mu krzywdy.

Miał wrażenie, jakby go znała.

– Skąd o mnie wiesz?

– Znikąd. Ale wiem, że ty będziesz wiedział czego szukać. Jestem zaskoczona, chłopcze, i zdumiona, zdaje mi się, że śnię. I na razie na tym poprzestańmy, dobrze? Niech nasze usta będą zamknięte, a nasze myśli pozostaną w nas. Zejść z ulicy, ukryć się, to teraz dla ciebie

najważniejsze. Idź za mną, milcz, a za kilka minut znajdziemy się w bezpiecznym miejscu; wtedy porozmawiamy. I słuchaj mnie. Chociaż przypuszczam, że to ja będę ciebie słuchała. Żyłam tu wiele lat, obserwowałam, uszy miałam otwarte...

– Ja nie...

– Rozumiesz. Tak. Jak się nazywasz, chłopcze?

– Rafe Baburn.

– Miło mi cię poznać, Rafe. Jestem wiedźmą, jak słusznie zauważyłeś, a poza tym również dziwką. Na imię mi Nadzieja. Jest w tym pewna ironia, bo przyjąłem to imię znacznie wcześniej, nim zorientowałam się, że to właśnie będę robić całe życie: mieć nadzieję. Modliłam się do Czerni, śpiących bovogów i cholernych, pieprzonych Magów, jeżeli musiałam... cóż, powinniśmy iść.

Rafe nic nie zrozumiał z chaotycznych słów wiedźmy; pomyślał, że zwariowała. Nie widział u niej symptomów zażywania rhellimu, żadnych ubocznych skutków fledżu, jej oddech zalatywał starą kapustą i nieświeżym mięsem, ale nie alkoholem. Lecz plotła bzdury. Bzdury. Mówiła do niego i o nim. Brakowało mu matki. Brakowało ojca. A teraz ta kobieta, wiedźma-dziwka o imieniu Nadzieja, chce zabrać go do domu.

– Jestem bardzo głodny. Nie jadłem od... od kiedy widziałem, jak on morduje moich rodziców.

Widoczne w jej oczach współczucie nie mogło być udawane.

– Och, Rafe – westchnęła. – Chodź ze mną. Tam spokojnie porozmawiamy.

Chwyliła go za rękę i szybko wciągnęła do wąskiego zaułka. Wkroczyli do innego świata.

* * *

Było to miasto w mieście. Rafe poczuł jego zapach, zanim coś zobaczył. Jego fale, zapowiedzi tego, co za chwilę miało się ukazać, prowadziły ich zaułkiem – silny, nieznany zapach, który doleciał go na zboczu wzgórza, i zapamiętany z Trengborne lekki odór przetrawionego alkoholu. Ale też inne zapachy zdawały się wydobywać z omszałych ścian zaułka – silne i słabe, mdląco słodkie i gorzkawe, zapraszały i odstręczały. Wciągnął je głęboko w płuca i zakrztusił się fetorem odchodów, kolejny oddech obudził jego lędzwie, gdy opary rhellimu podrażniły mu zmysły. Sprzeczności i dezorientacja towarzyszyły mu przez cały czas, gdy podążał za Nadzieją, coraz dalej od Pavisse, które potrafił zrozumieć, do tajemniczego miasta, którego nie znał.

Skręcili na ostatnim rogu zaułka. Przypuszczał, że powinien spodziewać się czegoś takiego. Nie fali różnych zapachów, jaka mogłyby napłynąć od kilku włóczęgów śpiących pod skórą ukradzionych futroperzy. A jednak doznał szoku, widząc setki ludzi na ulicy, chaos miasta, tak odmiennego od tego, które właśnie opuścił. Tamto Pavisse było

niebezpiecznym miejscem, potężnym, niegdyś dumnym miastem podupadłym po tym, jak Wojna-Katastrofa odarła je z magii. To tutaj... było nowsze, Rafe zdawał sobie z tego sprawę, lecz ono nie rozkwitało, żyjąc nadzieją. Żyło goryczą i zbrodnią, desperacją i nienawiścią. Powstało po Wojnie i ona je stworzyła.

Ulica zakręcała w oddali, po jakichś pięciuset krokach już jej nie widział. Niektóre budynki mogły być tyłami tych, które niedawno mijał na głównej ulicy Pavisse, tutaj jednak zdeformowanymi, na wpół zawalonymi, zniekształconymi przez dobudówki i to wszystko, co zmienili ich dziwni mieszkańcy. Część jednego budynku stanowiła ciężka maszyna, dawno już nieużywana, ale jej odsłonięte wnętrza wyginały się ku słońcu, zapewniając kilku wysokim, szczupłym fledżerom miejsce, gdzie mogli leżeć i żuć swój narkotyk. Metalowe części maszyny pokrywała rdza, kamienne wygładził czas. No i pozostawały kości – ciało jej biologicznych części już dawno temu zgniło i wróciło do ziemi. Budynek zdawał się wyrastać wokół maszyny i Rafe zastanawiał się, co było pierwsze – maszyna czy budowla. Być może jedno wspierało drugie, chociaż Rafe nie potrafił wyobrazić sobie, w jaki sposób to funkcjonowało.

Maszyn było tu więcej, małych i dużych, parę miało konkretne zastosowanie – jedne służyły jako środek transportu, inne zapewne orały i obsiewały pola – ale cel istnienia większości zagał w niespokojnej mgłę czasu. Wszystkie były w jakiś sposób wykorzystywane, rozcinane, przerabiane i zmieniane, jakby tych, którzy ich używali, gniewał ich stan martwoty. Wewnątrz tych maszyn były kanały, puste zbiorniki i worki, i drogi prądów, które płynęły przez nie, kiedy żyły swoim dziwnym życiem, ale teraz wszystko było martwe. Martwe jak piasek pod stopami mieszkańców, martwe jak powietrze, którym oddychali, martwe jak trupy w rynsztoku – Rafe kilka dostrzegł. Ciało fledżera – lub fledżerki – było powykęcane i poszarpane przez kogoś lub coś, co zabiło. Zobaczył też coś, co sądząc po rozmiarach, było kiedyś strawnikiem – odsłonięte, sękaty skutek przyspieszonego wzrostu żebra sterczały wylamane do tyłu, a z mokrych zwłok wyrwano kawały mięśni. Kiedy Rafe przyglądał się temu ze wstrętem i przerażeniem, z dziury pod jedną z większych maszyn wyskoczyła jaszczurka, nadgryzła strawnika i pobiegła z powrotem z obiadem w pysku.

Strawnik poruszył się, odwracając zniekształconą głowę, i wydał cichy, żalony jęk.

– KurwaMag! – krzyknął Rafe.

– Zostaw go – powiedziała Nadzieja i przeszła obojętnie obok godnego politowania stwora.

– Pomóż! – wysyczał.

Rafe spojrzał w dół, ale strawnik nie patrzył na niego. Może jego błaganie było tylko świstem powietrza wydobywającego się z przeciętej szyi.

– Zostaw go! – powtórzyła Nadzieja. Odwróciła się do niego, spojrzeniem potwierdzającym rozkaz.

Rafe rozejrzał się w koło. Parę osób mu się przyglądało. Fledźerka, łysa, o oczach żółtych jak zaropiałe rany, przywoływała go kiwnięciem nieprawdopodobnie długiego palca. Była naga i wisiała, przytrzymując się jedną ręką kolanka z metalu i kamienia. Jej ciało pokrywały miękkie, czarne plamy. Sprawiała wrażenie, jakby rozkładała się od wewnątrz.

– Zabawa, obcy? – zapytała dziwnie cichym głosem, wysokim, melodyjnym, niemal hipnotyzującym. – Zabawa ze mną, obcy?

– Nie, z tobą na pewno nie – odezwała się Nadzieja.

Fledźerka zasyczała, zeskoczyła z drążka na szeroko rozstawione nogi i przykucnęła zaczepnie.

– Już ci zapłacił, co? – warknęła.

– Tak, jest ze mną – odparła Nadzieja.

Rafe zerknął w bok i zobaczył, że wiedźma trzyma jedną rękę w kieszeni kurtki. Z futroperza, stwierdził, w tej pełnej napięcia chwili zwracając uwagę na idiotyczne szczegóły. Kurtka z futroperza, tak stara, że włosie wyliniało, a skóra lśniła ze starości, pociemniała od potu, deszczu i nie wiadomo czego jeszcze. Była świadkiem upływu lat i zmiany miejsc. Jak długo okrywała ramiona Nadziei, a jak wiele innych?

Jak pająk, fledźerka susami doskoczyła do Rafe'a. Czuł jej zapach. Paskudny, zgniły i smutny.

– Fledź, młody obcy, kąsek fledźu z moimi nogami wokół twojej twarzy, nigdy jeszcze nie jadłeś tak dobrze! – Wysunęła do przodu krocze, odsłaniając bezwłosą szparę, która przypominała poszarpaną szczelinę w ziemi.

Rafe nie mógł nie spojrzeć. Na jej bladożółtych udach widniały drobiny fledźu, jasnobrązowy ślad sugerujący, że w ciele jest więcej narkotyku.

– Nie ostrzegę cię po raz drugi – oznajmiła Nadzieja.

Coś w jej głosie sprawiło, że na moment zapadła cisza, nastąpiła chwila nerwowego spokoju. Ale teraz już się im przyglądano – fledźerzy, górnicy węglowi, ludzie, którzy nie mieli nic innego do roboty – i fledźerka nie chciała stracić twarzy.

– Pierdol się, wiedźmo! – warknęła.

Nadzieja wyjęła rękę z kieszeni. Zanim zdążyła rozewrzeć dłoń, Rafe zobaczył, jak oczy fledźerki otwierają się szeroko ze strachu. Inni cofnęli się, jakby nagle przypomnieli sobie, że muszą zająć się czymś niecierpiącym zwłoki. Rafe dostrzegł autentyczne przerażenie, wielki respekt, który fledźerka od pierwszej chwili musiała czuć do Nadziei. Ale doszło do konfrontacji, a ona czymś musiała się zakończyć.

Nadzieja trzymała w dłoni pająki. Jeden był zielony, drugi jaskrawopomarańczowy, trzeci czarny. Wszystkie tłuste i szybkie. Cisnęła nimi we fledźerkę, wymamrotała coś pod nosem i szybko odeszła.

Fledźerka wskoczyła na nierówną ścianę i podciągnęła się do góry, łapiąc za wypukłości i przerdzewiałe występy w murze; udało jej się dostać na dach i zniknąć za krawędzią.

Poruszała się jak pająki, przed którymi uciekała. Pomarańczowy podążył za nią, dwa pozostałe ruszyły w przeciwnie strony wokół podstawy budynku, jakby chciały ją oskrzydlić.

Fledźerka krzyczała przez cały czas.

– Co to było? – zapytał cicho Rafe. Szli szybko, a z góry dobiegały ich wrzaski uciekającej fledźerki. W kącikach ust Nadziei pojawił się lekki uśmiech. – Te pająki, Nadziejo. Co to takiego? Ściągały ją.

– Nic podobnego – odparła. – To zwykłe pająki drzewne. Sama je pomalowałam. Zawsze noszę kilka w sakiewce w kieszeni. Na wszelki wypadek. Często się przydają.

– Ale dlaczego?... Co oni wiedzą? Fledźerzy, ludzie?

– Wiedzą, że jestem wiedźmą. To wystarcza. Jestem wiedźmą, rzucam w nich pająkami, a oni uciekają.

– Żadnych zaklęć? Żadnej magii?

Nadzieja zatrzymała się i obejrzała się za siebie. Jak po wrzuceniu kamienia do stawu drobne fale spowodowane ich przejściem już zanikły. Życie powróciło do normy, a jeżeli fledźerka nadal wrzeszczała, to znajdowała się zbyt daleko, by ją usłyszeli.

– Żadnych zaklęć – potwierdziła Nadzieja. – Żadnej magii. Bo magia odeszła. Wiesz o tym równie dobrze jak wszyscy. – Popatrzyła mu w oczy. – A może wiesz więcej.

– Ale... Myślałem, że wiedźmy...

Nadzieja uśmiechnęła się smutno i pokręciła głową.

– Nawet wiedźmy, wiejski chłopcze...

Tatuaże na jej skórze wydawały się rozciągać, tak że jej uśmiech stał się jakby wyraźniejszy. I chociaż jej słowa zabrzmiały lekceważąco, Rafe od dawna nie słyszał takiego szacunku, jak w jej głosie. Szacunku i być może lęku.

Szli przypominającym króliczą kolonię labiryntem zaułków, dróg i dziedzińców, wszystkich o wiele dzikszych niż w przeważającej części Pavisse i znacznie bardziej zniszczonych. A jednak życie wydawało się toczyć tu szybciej i bardziej intensywnie, zupełnie jakby ta część miasta upajała się faktem, że jest ukryta w większej całości. Na ulicach ludzie pili, bili się i kopulowali. Na chodnikach leżały zwłoki ofiar pijackich burd, rabunków lub mrocznych, niejasnych porachunków. Na kilka trupów narzucono postrzępione koce, zapewne by ukryć rany, ale każde ciało było powoli pożerane. Szczury, jaszczurki, dzikie psy, węże-ścierwojady, grube jak ręka Rafe'a i czterokrotnie od niej dłuższe, wyłaniały się spod budynków lub z dziur w ziemi, chwytaly łup i znowu znikaly. Rafe zastanawiał się, co pod powierzchnią ulic rodzi taką gromadę zwierząt utuczonych na padlinie. Zatrzymał się i odgarniał stopą piasek i kamienie, dopóki nie dotarł do twardej warstwy ziemi.

Spojrzały na niego słowa w języku z odległych czasów lub miejsc. Połączone ze sobą symbole i litery, tajemnicze i dla niego obce. Wyobraził sobie zdania wypowiedane jako dziwne szepty, które słyszał w swojej głowie. I chyba dobrze zrobił.

– Nadziejo! – zawołał. Zatrzymała się i odwróciła. – Co to takiego?

Popatrzyła na jego stopy i nogą zasypała rzeźbiony kamień.

– Historia – odparła i ruszyła dalej.

Więcej pytań na później, pomyślał Rafe. Było więcej spraw w życiu, niż sobie wyobrażał, więcej niż kiedykolwiek mówili mu rodzice, i wydał się sobie mały i samotny w tym miejscu. Miał wrażenie, że wszystkie oczy wpatrują się w niego i tutaj, na ulicach, choć nie tylko na nich, były to przeważnie oczy ludzi, z którymi nie chciał mieć do czynienia. Fledźrzy gapili się żółtymi ślepiami, górnicy węglowi odpychali go na bok, nawet go nie zauważając, inni rozmawiali ze sobą, kłócili się, czasami bili. A budynki też budziły grozę. Z jednego wysokiego kamiennego bloku upstrzonego zębatymi oknami sterczały na ulicę i w skrawek nieba długie obsydianowe kolce. Może była to część nieznannej maszyny, a może raczej ozdoba, choć na kilku kolcach zawisły obrzydliwe szczątki. Czarne ptaki nurkowały i przysiadły na nich, grzebały w tym paskudztwie, po czym ze skrzekiem znowu wzbijały się w górę. Nawet one najwyraźniej bały się siedzieć na nich zbyt długo.

Nadzieja skręciła w prawo, w wąskie, pochyle wejście, i obejrzała się na Rafe'a.

– Musimy tu wejść – powiedziała, wskazując je ruchem głowy. – Przechodziłam tędy wcześniej. Jest bezpieczne.

Rafe spojrział na nie. Całe wnętrze budynku zajmowała maszyna, ogromna i stara. Nadzieja pochylała się i wśliznęła do poznaczonej żyłami dziury, wyglądającej jak gigantyczna kiszka wydrążona przez czas, której zawartość rozsypała się w pył. Ruszył przed siebie, zobaczył, jak Nadzieja powoli wchodzi do środka, i poczuł krótki, lecz mocny powiew przesycony zapachem próchna. Cofnął się, wpadł na kogoś i oberwał kuksańca w zębra. Fasada budynku wyginała się nad jego głową. Maszyna – czymkolwiek była i jak dziwne zadania miała wykonywać – wisiała nad nim, sprawiając wrażenie, że w każdej chwili runie. Jej zewnętrzna powłoka była żeberkowana i występy w niej wygładził upływ czasu. Metalowe krawędzie przerdzewiały, bruzdy w kamieniu się zatarły.

– Chodź – ponagliła go Nadzieja. – Już niedaleko. – I wkroczyła w cień.

Rafe ruszył za nią. Miał do wyboru: zrobić to, co ona, albo się zgubić, pozostać tak daleko od wuja Vance'a, że na pewno nie potrafiłby znaleźć drogi powrotnej.

Przeszli przez maszynę, ciemną i ciężką. Rafe czuł, jak go przytłacza. Wydało mu się, że jakaś wielka istota zatrzymała się z uniesioną, gotową go rozdeptać stopą.

Po drugiej stronie znajdowała się kolejna, węższa ulica. Fasady budynków znajdowały się tak blisko siebie, że Rafe niemal mógł wyciągnąć rękę i ich dotknąć. Ludzie przepychali się, chodzili tam i z powrotem, jedni spoglądali podejrzliwie, inni nie zwracali na niego uwagi. Mógł odczytać z oczu ich nałogi – alkohol, fledż, rhellim. Istniały tu też jeszcze inne formy uzależnień, o których Rafe nie miał pojęcia. Mężczyzna trzymał przy ustach gruby worek i oddychał szybko. Oczy uciekały mu w głąb czaszki, a twarz zdawała się ciemnieć. Kobieta siedziała po turecku w oknie nad ulicą i wzdychała, gdy rój owadów pił krew z jej zadanych przez samą siebie ran na ramionach i szyi. Nigdy nie wyobrażał sobie czegoś takiego. Jak

powiedziała Nadzieja, był wiejskim chłopcem i im więcej widział, tym bardziej puszczały mu nerwy.

– Nadziejo! – zawołał.

Wiedźma odwróciła się, by spojrzeć na niego. Musiała dostrzec jego przerażenie, bo położyła mu dłoń na ramieniu i się uśmiechnęła. Jej tatuaże uśmiechnęły się razem z nią i Rafe się uspokoił.

– Niemal dotarliśmy na miejsce – powiedziała. – Moje mieszkanie. Będziemy mogli usiąść, coś przekąsić i porozmawiać. Chcę wiedzieć, co ci się przydarzyło, i sądzę... sądzę, że uda mi się wyjaśnić ci kilka spraw.

– Jakich?

– Choćby dlaczego tu jesteś.

– Moi rodzice zostali zabici – oznajmił. Spodziewał się, że w każdej chwili może zobaczyć czerwoną szatę. Ale nikt nie zwracał na nich uwagi. Byli tu parą anonimowych ludzi w zbiorowisku ludzi bez nazwisk. – Dlatego tu jestem.

– Nie – szepnęła Nadzieja. – Zapewne wiesz, że nie byli twoimi prawdziwymi rodzicami. A jesteś tutaj, bo takie twoje przeznaczenie. – Uśmiechnęła się, wzięła go za rękę i poprowadziła przed siebie.

5

W dniu kiedy odszedł Trey Barossa, kopalnie były bogate. Żyła fledżu okazała się szeroka, nastrój górników wspaniały, pieśń na koniec szychty była przepojona radością. W czasie przerwy na posiłek Tray usiadł wygodnie, przeżuł garść fledżu i odpłynął, przenikając ziemię; poruszał się przez kilometry skały, by musnąć umysł Sondy Susard. Poczł jej zainteresowanie. Myślała o nim i to mu się podobało. Miał nadzieję, że po jakimś czasie będzie mogła wysłać swój umysł z powrotem i przekonać się, co on myśli o niej.

Kiedy zmiierzali chodnikami w stronę domu, pieśni powracały echem w starannie dobranej harmonii; zawsze tak mogło być, stwierdził. Nigdy żadnych maszyn, które pomagałyby im w kopalni. Nigdy żadnych maszyn wywożących fledż na powierzchnię. Trey mógłby uwierzyć, że nic się nie zmienia.

Szedł niemal na końcu szeregu. Pieśń powracała do niego echem – każde echo misternie zgrane w czasie z długością tunelu i wielokrotnymi odbiciami od ścian kopalni, dzięki czemu każdy górnik słyszał co innego. W absolutnej ciemności czuł, jak fale dźwiękowe uderzają o skórę, poruszają drobne włoski na twarzy i koło uszu. Dodał kilka własnych słów, tam gdzie należało, i słyszał, jak stapiają się z całością, połknięte, przekształcone i spotęgowane przez echa żyjące tej nocy w tunelu. Pieśń porzuciła grupę i odnalazła drogę powrotną do opuszczonego niedawno pokładu fledżu. Czasami pozostawała tam, wnikała w ziemię i ją wzbogacała. Kiedy indziej mogła uciec w szczelinę lub otwór zbyt mały, by górnik mógł się nim przedostać, a czasami można było usłyszeć ją bardzo daleko, gdzieś tam w kopalni, wiele godzin lub dni po tym, jak ją śpiewano. Ten dziwny przekaz nie dokonywał się za sprawą magii, chociaż nieodpowiedzialni rodzice często opowiadali dzieciom takie bzdury. Po prostu była to jedna z osobliwości kopalni. Łatwo tam przecież zabłądzić.

Trey rozłożył ręce, kiedy szedł, dotykając palcami skalistych ścian, gdy się do nich zbliżał. W ich domach czasem świeciło nikiłe światło, ale najczęściej pracowali i żyli w całkowitej ciemności. Eksploatowali tę żyłę fledżu od tysiąca szycht i każdy z nich umiał bez pomocy znaleźć drogę do domu-jaskini. Dzień w dzień po zakończeniu szychty odbierali sygnały – intensywne zapachy gotowanego jedzenia wskazywały im kierunek, drogę; a także łagodny szum zamieszkanego miejsca, tło dźwiękowe: beczenie kóz, szmer głosów ludzi, tupot stóp bawiących się dzieci. Poza tym również sam dom-jaskinia przyciągał, wysyłał

pozazmysłowy przekaz. Na dole, w kopalniach, śmierć zawsze czyhała w pobliżu. Bezpieczeństwo i rodzina silnie przyciągały.

Dotykał więc ścian starego tunelu i nie mógł się nadziwić, że wszyscy, którzy drążyli ten właśnie odcinek, byli już od dawna martwi i pogrzebani. Wyczuwał w skale ślady kilofów i odczytywał znaki szczególne. W tym miejscu zostawił swój znak leworęczny górnik, a w tym praworęczny. Tutaj ktoś uderzał kilofem poziomo, zamiast z góry na dół. Takich podpisów było dużo i kiedy tak wiele razy przesuwał palcami po ścianach, rozpoznał kilka nazwisk. Zastanawiał się, jakie wiążą się z nimi historie, kim byli ci ludzie, czy któryś z nich kiedykolwiek stąd wyszedł. Te tunele trzymały historię w swoich skalistych objęciach, tym starszą, im oni bardziej zbliżali się do domu-jaskini.

Jak zwykle, kiedy dotarli do gładkiej linii wyznaczającej czas, kiedy pracowały tu maszyny, Trey przestał dotykać skały.

Pieśń ucichła, gdy górnicy szli wykopanymi przez maszyny tunelami. Szlaki były wytyczone przed ponad trzystoma laty, od tego czasu wiele się zmieniło. Echo ich kroków mówiło Treyowi, że tu i tam w ścianach tunelu są wydrążone nisze, świadectwo, że wydobyto z nich fledż. Zastanawiał się, jakie sny przyniósł narkotyk i komu. Jeden z idących z przodu upadł na kolana. Koledzy pomogli mu wstać i dalej podążali w milczeniu.

Jak zawsze cieszyli się, że dotarli do domu-jaskini. Światła wskazywały im drogę przez ostatni tysiąc kroków – ich słaba poświata rozjaśniała się w miarę, jak do niego dochodzili. Dawała ich oczom czas, by przyzwyczały się do blasku, chociaż tak przywykli do całkowitej ciemności, że jeszcze przymykali powieki. Właściwie żaden z górników ani nikt z ich bliskich nie potrzebował światła, ale tradycja nakazywała oświetlać dom-jaskinię. Bądź co bądź byli ludźmi. Ogień zapewniał im bezpieczeństwo.

Trey poszukał wzrokiem Sondy, ale nigdzie jej nie dostrzegł.

Tę wielką grotę wydrążyły maszyny i magia. Górnicy mieszkali tu i pracowali od Wojny-Katastrofy i przez ten czas całkowicie zawładnęli tym miejscem. Ściany zostały zasłonięte lub w jakiś sposób ręcznie przekształcone, grotę powiększono lub zaadaptowano, by pomieściła kolejne domy, na skrajach wykopano nowe jaskinie, a pomosty i drabiny połączyły ze sobą różne rejony. Niektórzy rodzice opowiadali nawet swoim dzieciom, że ich przodkowie zrobili to wszystko sami, i w ogóle nie wspominali o maszynach. Treyowi nie podobało się takie stawianie sprawy, ponieważ bez względu na to, jak straszliwa była przeszłość, została wykuta w kamieniu i powinna zostać zapamiętana. Zmieniać historię z powodu dziecka to budować życie na kłamstwie. Do czego może to doprowadzić? Zdecydował już, że kiedy znajdzie partnerkę i będzie miał dziecko, pokaże mu Bestię. Ta stara, martwa maszyna, potworna i straszna w stanie postępującego rozkładu, znajdowała się na dnie głębokiego szybu, w odległości dwóch dni wędrówki przez kopalnie. W czasie Wojny-Katastrofy drążono nowy szyb – wciąż krążyły pogłoski, że odnaleziono wtedy najbogatszą z kiedykolwiek odkrytych żyłę fledżu – a gdy magia odeszła, maszyna umarła i pozostała tam na zawsze. Niemal każdy

wiedział, gdzie Bestia się znajduje, ale mało kto chciał ją oglądać.

Pamiętał, jak ojciec zabrał go, by zobaczyć Bestię; poprowadził go wtedy starymi tunelami i wyrobiskami, w których ludzie nie pracowali już od pokoleń. Pamiętał ciszę panującą tam, na dole, i samotność. Podziw, który czuł, po raz pierwszy widząc martwą maszynę, a potem strach i wreszcie litość.

Z oczami podrażnionymi światłem ognia Trey ruszył główną ulicą. Znał właściwie wszystkich z zapachu i wyglądu i kiwał głową tym, z którymi czasami rozmawiał, ciesząc się, że mogą go zobaczyć. Po długiej szycie większość górników milczała po powrocie do domu. Nie musieli mówić, bo dar widzenia już wystarczał.

Nie mógł się doczekać kąpieli pyłowej. Miał w plecaku garść świeżego fledżu – położy się i będzie go żuł, pozwalając, by narkotyk go uspokoił i rozjaśnił mu umysł. Jak zwykle spróbuje odnaleźć Sondę, zorientować się, co myśli i czym właśnie się zajmuje. I być może znowu postara się przekazać jej, co chciałby z nią robić w kąpieli pyłowej. Widywał ją od czasu do czasu, rozmawiali i jeżeli odczytała jego grzeszne myśli, nie okazywała tego.

Trey zajrzał do wodnego baru, w którym pierwsza porcja była dla powracającego górnika zawsze za darmo. Wypił czarkę świeżej wody, przymykając oczy, gdy jej chłód splukiwał mu pył z gardła i ożywił wnętrze. Przyszli tam inni – przepracowali razem długą szycę – ale mieli sobie niewiele do powiedzenia, kiwnął im więc głową i wyszedł. Niektórzy pozostaną tam jeszcze jakiś czas, zamiast wody popijając jakąś sprowadzoną tu mdłą berbeluchę. Jego ojciec od niej umarł – jak twierdziła matka, przeżarła mu wnętrze i zmaciła rozum – i dlatego Trey nienawidził samej myśli o niej. Mimo to, rozmawiając ze starymi górnikami, wyczuwał coś niezwykle kuszącego w jej mrocznych głębinach. Mówili mu, że daje możliwość ucieczki, jakiej nigdy nie zapewni fledż. Fledż wyostrzał wrażenia, nie ogłupiał. Może Trey był zbyt młody, by uświadomić sobie dlaczego tak to może pociągać.

Na głównej ulicy lalkarz dawał przedstawienie grupie dzieci. Tak jak wszystkie dzieci w domu-jaskini Trey znał Lufera, starego górnika, który dawno temu stracił nogi w zawale. Jego przedstawienia odbywały się zawsze na głównej ulicy, gdzie paliły się ognie, a jego niezdarne sztuczki – szerokie rękawy i głębokie kieszenie zdradzały całą prawdę o nim – dostarczały popularnej rozrywki. A później, kiedy dzieci dorastały, dostrzegały nowe prawdy w jego przedstawieniach, poważne nauki ukryte pod maską pokazu dla malców. Metalowe kukiełki, w większości wykonane przez niego z części małych maszyn, które rozmontował w kopalniach, zawsze grały same siebie – wielkie dudniące rzeczy panowały nad długimi, chudymi pacynkami. Pomimo niewyszukanego dowcipu, humoru i śmiechu dzieci każde przedstawienie kończyło się melancholijną nutą, kiedy maszyny zatrzymywały się ze zgrzytem. Wtedy Lufero siedział nieruchomo przez jakiś czas, a jego pacynki patrzyły na martwe maszyny, jakby chciały je zmusić, by znowu zaczęły się ruszać. Dzieci odchodziły, myśląc, że przedstawienie się skończyło. Ale Lufero pozostawał tam ze smutną twarzą i zmacanym spojrzeniem. Niekiedy długo trwało, by ta część jego sztuki dobiegła końca.

– Lufero – odezwał się Trey.

Stary mężczyzna spojrzął na niego, skinął głową i się uśmiechnął. A potem szybko znowu zajął się przedstawieniem, bo nie chciał rozczarować grupy dzieci siedzących w kurzu na ulicy. Dzisiaj nie pojawiły się maszynykukielki. Nietypowe to dla Lufera. Teraz w wyciągniętej jednej ręce trzymał długie pacynki, a drugą chował pod stołem przykrytym materiałem.

– Kopali i kopali – mówił lalkarz i każdy z długich palców nabierał własnego życia. Jego żółte oczy spojrzały na dzieci, a one widziały, że się uśmiecha. – Wydobywali fiedz wielkimi workami, toczyli je i ustawiali, aby windziarz zabrał je na powierzchnię, na sprzedaż. A Petra, młody górnik, myślał, że wie o wiele więcej niż jego bardziej doświadczeni przyjaciele, więc wciąż kopał, kopał i kopał, nawet kiedy oni przestawali i siadali, by coś zjeść. – Palce Lufera znieruchomiały i rozluźniły się, ale kciuk dalej drapał odłamek skały na stole. – Skrobał, bił kilofem i podważał, i wkrótce znalazł wąską szczelinę, w której ledwo się mieściło jego drobne ciało. Wpełzł do środka, jak wszyscy górnicy posuwając się naprzód dzięki swoim długim stopom i wielkim dłoniom, i przez cały czas myślał: zdobędę najlepszy, zdobędę największy, znajdę, czego Bestia szukała w dniu, w którym umarła.

– Boję się – wyszeptała mała dziewczynka.

Lufero spojrzął na nią.

– To dobrze – oznajmił. – Powinnaś się bać. Ponieważ Petra też powinien się bać, a nie być głupcem. Widzisz, nie słuchał, co do niego mówili ci, którzy wiedzieli lepiej. Nie zdawał sobie sprawy, że za każdą radą dawaną przez starszych kryje się ogromna wiedza, cała historia przyczyn i bogactwo przestróg. „Nie kop poza swoim czasem”, ostrzegali go górnicy, którzy aż nazbyt dobrze znali niebezpieczeństwa.

Trey wiedział, co teraz nastąpi, bo widział to przedstawienie kilka razy. Najpierw jako dziecko, i miał po nim koszmary. Potem, kiedy był nastolatkiem i zadawał po nim pytania. I parę lat temu, gdy jako młody górnik wracał z pierwszej szychty. Nic nie mogło go bardziej przerazić niż te historie, które słyszał w owym pierwszym długim dniu.

Lalkarz znowu zaczął poruszać pacynkami, z drugą ręką za plecami.

– Ale Petra nie słuchał. Uważał, że wie lepiej. Nie był złym chłopcem, i w tym cała tragedia. Myślał, że może przeobrazić świat, chociaż wszyscy wiemy, że dokonuje się to stopniowo i wywieramy na to niewielki wpływ. My, górnicy, ulegamy zmianom: stajemy się coraz wyżsi, nasze kończyny się wydłużają, ale istnieje to coś, co ziemia daje i czym rządzi nawet po tym, jak magia została odebrana. Wszyscy jesteśmy częścią języka ziemi. Petra w to nie wierzył. – Lufero umilkł na chwilę. Jego kciuk wciąż skrobał skałę, a inne palce dłoni zaczęły się poruszać, gdy górnicy-kukielki wstawali po przerwie na posiłek.

– Co się stało? – zapytało jedno z dzieci.

Lufero popatrzył na swoich młodych widzów i nad ich głowami na miejsce, gdzie główna ulica kończyła się skalną ścianą.

– Petra obudził Naksy.

Chociaż Trey wiedział, co się stanie, drgnął, gdy stary górnik zza pleców wyciągnął dłoń z bladymi palcami pomalowanymi krwistą czerwienią. Dłoń rzuciła się na żalodne pacynki, chwyciła je, puszczała, chwyciła znowu, niczym pajak, co bawi się zdobyczą. Długie paznokcie cięły, rysowały czerwone linie na misternie pomalowanych twarzach i torsach lalek. Gwałtowny ruch – i na materiał przykrywający stół trysnęła krew. Trey nigdy nie dowiedział się, czy prawdziwa, czy też nie.

Niektóre z dzieci krzyknęły. Dwoje z nich wstało i uciekło, a ich rodzice, wychodzący ze sklepów lub jaskiń z jedzeniem, gniewnie popatrywali na Luferę. Kilko odważniejszych malców z szeroko otwartymi oczami przyglądało się, jak krwawe przedstawienie dobiega końca. Pacynki padały jedna po drugiej, a wygłodniałe Naksy nadal szarpały je i przesywały niczym tornado dyskomieczy. I w końcu po długiej chwili spokoju, kiedy Naksy zniknęły znowu za plecami Luferę, Petra wyłonił się zza skały, aby zobaczyć, co uczynił.

Dzieci odeszły, kilkoro klaskało na pożegnanie. Trey cofnął się, obserwując Luferę. Wydawało się, że starzec śpi, ale nagle jego kciuk poruszył się lekko – to Petra patrzył na zniszczenie, które bezwiednie ściągnął na swój lud.

– Zawsze uważałem, że Petra powinien zginąć – powiedział Trey.

Lufero spojrzał na niego zaskoczony.

– I zginął – odparł. – Nic nie ucieknie demonom fledżu, gdy już zostaną zbudzone.

– Nie słyszeliśmy o żadnym od lat. Może odeszły. Może przyzwyczyli się do nas i teraz skryły się w głębi żył, których nie kopujemy. Głębiej niż Bestia.

– Naksy śpią – oznajmił Lufero. – Nie uciekają. O nie, ciągle tu są. Hibernują we fledżu, śnią o tym, co mogą śnić przez lata bez końca. Po prostu kopanie odbywa się teraz powoli. A jeżeli górnicy, którzy pracują w złożach Pavisse lub na Szczycie Wdowy, napotkali jakiegoś, to sądzisz, że byśmy o tym usłyszeli? Już nie. Ludzie przestali ze sobą rozmawiać.

Trey sięgnął do plecaka i wyjął bryłkę jaskrawożółtego fledżu.

– Masz – powiedział. – Jest świeży.

Lufero uśmiechnął się i wziął narkotyk. Zamknął oczy, przesunął bryłkę pod nosem i w jego uśmiechu Trey dostrzegł tysiące bezcennych wspomnień.

Ruszył dalej, zszedł z głównej ulicy i wspinając się na skalne tarasy i stopnie, dotarł do swojej jaskini. Matka rozpałała przy wejściu ogień i przygotowywała potrawkę z jaskiniowego szczura i ślepego pajaka. Szczypta przyniesionego przez Treya świeżego fledżu może uczynić ją wyśmienitą.

* * *

Po obiedzie przeszedł na tył jaskini i zanurzył się w pyłowej kąpieli. Pył był tak drobny i lekki, że opływał jego ciało jak olej, a jego wewnętrzne ciepło koło zmęczone mięśnie.

Odrobina blasku ognia dotarła aż tutaj i Trey z przyjemnością patrzył, jak skacze po ścianach niczym błędne owady. Wyobrażał sobie, że jest to przedstawienie specjalnie dla niego, i kiedy zapadał w drzemkę, układał opowieści, obserwując drganie słabego światła.

Usta miał wrażliwe, wypełnione słodyczą pierwszej garści fledżu przeżutego jako część posiłku. Matka też zażyła go trochę i wkrótce potem zasnęła. Była już stara i rzadko kiedy robiła coś po fledżu. Musiał nawiedzać ją we śnie, ale nie znajdowała żadnego konkretnego miejsca, do którego chciała, żeby ją zabrał. Treyowi było jej niekiedy żal, a czasami czuł się zazdrosny. Jego życie wydawało się tak pozbawione sensu, że nieraz zastanawiał się, co by się działo, gdyby przestał o cokolwiek dbać.

Świeży fledż był o wiele bardziej czysty i silny niż ten sprzedawany lub używany na górze. Blakł, kiedy go tam wynoszono. Niektórzy młodzi fledżerzy usiłowali, nieraz z talentem, robić go na powierzchni, oferując narkotyk tym, co dawali najwięcej na przetargu, ale ich wzrok wkrótce słabł. A w miarę jak fledż tracił moc, u fledżerów zanikały również umiejętności jego wykorzystania. Działo się tak, jakby słońce przestało dla nich świecić i wpływało na nich w taki sam sposób, jak na ten narkotyk; stawali się kolejnymi powierzchniowcami oczekującymi na śmierć.

Kłamliwe sny o władzy lub pozycji społecznej nigdy nie wywabiły Treya na powierzchnię. Jego domem były podziemia. Poza tym uwielbiał świeży fledż. Przedostawał się z żołądka prosto do krwiobiegu, rozcieńczał krew, sprawiał, że płynęła szybciej, przyspieszał rytm serca, odnajdował organy i masował je dobroczynnym dotykiem. Przepływając przez serce, narkotyk mieszał się z krwią i wraz z nią docierał bezpośrednio do mózgu Treya, gdzie jak niemal rozumna istota zadomawiał się i wnikał we wszystko, co czyniło Treya tym, kim był. Igrał z jego wspomnieniami, tłumił pożądanie, pobudzał emocje, dokonując niewielkiego wysiłku, Trey potrafił okiełznać siłę swojego umysłu i pędzić na niej jak na koniu. Umysł Treya – młody i prężny, a przy tym dość dojrzały, aby znać siebie – doskonale w tym czasie panował nad wpływem fledżu. Fledżowa podróż była czymś więcej niż pamięć i czymś mniej niż doświadczenie, wiodła gdzieś między marzeniem a wspomnieniem, wiedzą a przewidywaniem. I z tego powodu była bezcenna.

Jego umysł się unosił. Dość długo pozostawał w ciele, rozkoszując się delikatnym dotykiem kąpieli pyłowej; Trey wyobrażał sobie, że jest w niej razem z Sondą, która obejmuje go nagimi nogami i ściska ukradkiem pod powierzchnią pyłu. Wkrótce zmęczyły go te obrazy i wyruszył na poszukiwanie prawdziwej Sondy. Opuszczał dom-jaskinię z umysłem lżejszym niż wspomnienia i bogatszym niż fantazja. Nie przychodziło to łatwo – wymagało koncentracji, siły woli i trudu jego fizycznego „ja” w kamiennym zamknięciu pyłowej wanny – ale dawało wyniki, które wynagradzały wyrzeczenia z nawiązką. Poza jaskinią, w przestrzeni domu-jaskini, Trey mógł spojrzeć w dół i zobaczyć miejsce, które zawsze było jego domem. Główna ulica, wycięta w dnie groty i zakończona, po obu stronach jaskiniami, stanowiła rozległą strefę publiczną wypełnioną ozdobnymi stalagmitami, które odpowiednio

podgrzane, jarzyły się. Służyła jako miejsce uroczystości i rytuałów, ślubów i pogrzebów, a wszyscy nazywali je Kościołem. Po obu stronach ciągnęły się domy zbudowane wokół i we wnętrzu pięciu gigantycznych filarów, pozostawionych tu, aby podtrzymywały sklepienie grotty. W ich górnej części znajdowały się platformy i małe jaskinie zamieszkałe przez pięciu burmistrzów, sprawujących wspólnie władzę nad domem-jaskinią. Trey wzbił się, okrążył jeden z filarów i zajrzał przez wejście do jednego z domów. Nie mógł przeniknąć do wnętrza, a to znak, że burmistrz chronił swoje mieszkanie przed wścibskimi umysłami. Odwrócił się i długo płynął do przeciwnego końca ogromnej jaskini. Żeby ją przebyć, należało wykonać trzy tysiące kroków i nawet dla umysłu na fledżu trwało to dość długo.

Na moment dotknął umysłu ślepego pająka mieszkającego w szczelinie w sklepieniu grotty – było to mrozące krew w żyłach spotkanie z czymś zupełnie obcym, nie dało się tego ubrać w słowa czy wyjaśnić. Przez tę chwilę jego zmysły się przeobraziły, percepcja zmieniła się tak bardzo, że Trey nie umiał przełożyć jej na znane pojęcia i, pogrążony w kąpielii pyłowej, krzyknął. Wycofał się szybko, zaniepokojony, a zarazem podniecony tym niezwykłym doświadczeniem.

Za kolejnym filarem i za zapewniającym strawę polem mchu jaskiniowego i grzybów, które opadało w dół do rzeki, która pędziła tunelem pod domem-jaskinią i zabierała ze sobą odpadki oraz śmieci, Trey unosił się bez celu obok wielu domów wykutych w występach skalnych grotty. Niektóre z jaskiń były naturalne, ale większość wydrążyło kilka pokoleń od zakończenia Wojny-Katastrofy. Rozrastały się ciągle, rozbudowywały w miarę powiększania się rodziny; jaskinię przekazywano z ojca na syna, z matki na córkę. Zanurkował w opary wodnego pyłu znad rzeki i spróbował pozbyć się wspomnienia umysłu pająka i wrócić do swojego ciała szczypanego chłodem w kąpielii pyłowej.

Trey dobrze wiedział, gdzie znaleźć Sondę.

Jej rodzinna jaskinia tonęła w ciemności, co wcale nie oznaczało, że dziewczyny tam nie ma. Jej ojciec był górnikiem, a matka pracowała w jednej z jaskiń z pożywieniem przy głównej ulicy. Sonda się uczyła, chciała zostać pośredniczką, należeć do garstki ludzi, którzy całe życie kursowali tam i z powrotem między domem-jaskinią a powierzchnią, wymieniając fledż na niezbędne towary. Pośrednicy najczęściej próbowali urządzić sobie życie na górze i niewielu mieszkało do późnej starości w jaskiniach. Czasami Trey cierpiał, myśląc, że Sonda już odeszła.

Przez chwilę obrazy mieszały się i walczyły w jego umyśle. Cofnął się, stał się bardziej świadomy swojego ciała w kąpielii pyłowej, słyszał wyraźnie chrapanie jego matki, a kiedy otworzył oczy, ujrzał błyski ognia wciąż tańczące na skalistym stropie. Czuł nawet w ustach smak fledżu, a nie świeże powietrze jaskini. A może dopadło go poczucie winy.

Znowu zamknął oczy i skupił się; myślami wrócił do jaskini Sondy, słyszał dobiegający z wnętrza jej cichy śpiew, oddychał silnym zapachem rzeki w dole, pod jego stopami. Pozostał tu przez jakiś czas – zatrzymała go silna świadomość tego, co robił, przesłana przez

przestrzeń groty, poczucie winy bardziej wywołane szpiegowaniem niż równoważone tym, co zaczynał czuć do Sondy. Ta podróż była niewinną, czystą koniecznością, zrodzoną przez rozkwitającą pierwszą miłość. Nie próbował zobaczyć przyszłości, nie podpatrywał dziewczyny, kiedy się przebierała, kąpała lub spała. Prawie nigdy nie zaglądał do wnętrza domu.

Nagle jej śpiew ucichł i Trey wiedział, że Sonda śni fledżowy sen. Gdyby tylko chciała ulecieć na jego skrzydłach i wyjść, by się z nim spotkać.

Odsunął się i wśliznął w jeden z wielu szybów prowadzących do rzeki. Podobnie jak tunel, którym wędrował każdego dnia do żyły fledżu, rzeka trzymała w swoich objęciach historię i przyszłość. Tutaj górnicy grzebali swoich zmarłych – wrzucali ich do niej i pozwalali im podążać przez wieczność. Czerpali też z niej wodę, chwytając przyszłość, zanim przemknie obok i zaginie głęboko pod górami. Przyszłość znajdowała się w górze rzeki, przeszłość w dole, a ten jeden moment dla Treya okazał się najważniejszy ze wszystkich. Rzeka płynęła z oszałamiającym rykiem, który, gdyby go rozszyfrować, wiele by powiedział. Trey wysłał w dół swoją świadomość kuszony myślą, by zanurzyć się i przekonać, dokąd zanoszą go wody. Wielu tak zrobiło, niektórzy wrócili niespełna rozumu.

Wzbił się do czarnej sztolni i znowu pomknął w światło groty, zmienił kierunek i wpłynął do jednego ze starych wyrobisk fledżu. W tym chodniku już nie pracowano, nie dlatego że wydobyto cały fledż, ale dlatego że praca stała się zbyt niebezpieczna. Tutaj właśnie lalkarz Lufero przed laty stracił nogi, a później wielu innych utraciło znacznie więcej. Zawały, nagłe wdarcia się wody i plaga żądłaków zmusiły górników do opuszczenia tunelu, oddania go ciemności i wszystkiemu, co mogło tam pełzać, niewidoczne i nieznanne.

Trey lubił tędy od czasu do czasu wędrować. Jego ciało pozostawało bezpieczne w domu, podczas gdy wyobraźnia szukała tego, co wypędziło stąd starszych od niego. Nie był tu jedyny. Czasami ocierał się o inne umysły podążające tą drogą, ale jak one pozostawał sam. To, co robili, właściwie nie zostało zakazane. Ale burmistrzowie mogliby krzywo na to patrzeć. Nie było to bezpieczne miejsce. Opuszczono je nie bez powodu. W istocie, z wielu powodów, w większości znanych, a także tych wciąż utrzymywanych w tajemnicy przez starych górników, którzy pracowali przy tej żyłę. Tajemnice. Trey wiedział, że cała prawda nigdy nie została ujawniona i, jak większość ludzi w jego wieku, tajemnica go intrygowała.

Jak Petra z kukielkowego przedstawienia Lufero Trey podążał dalej.

Korytarz, długi, kręty, wkrótce zaczął opadać i poprowadził w głębiny. W spągu było kilka pionowych szybów, w których kiedyś pracowały maszyny, a także nowsze stopnie i schody wykute ręcznie po Wojnie-Katastrofie. Trey pewnego razu ruszył w głąb jednego z szybów – próbował doprowadzić swoją świadomość gdzieś dalej, wyczuwał drogę w dół, poniżej poziomu rzeki, w ciemność tak gęstą, że niemal ciężką. Wciąż opadając, wiedział, że dotarł za daleko, a jego ciało zeszywniało i wyziębiło się, gdy umysł pędził przed siebie. Szyb nie miał dna, a jego głębia posiadała własną siłę ciężenia. W powietrzu unosiły się

cienie dziwnych rzeczy gdzieś w toni. Oprzytomniał, gdy obcy umysł dotknął jego świadomości. Było to krótkie muśnięcie, jakby ktoś odwrócił głowę i jego włosy delikatnie przesunęły się po twarzy Treya.

To wystarczyło. Trey zdołał wrócić i chorował przez trzy kolejne szychty.

Teraz trzymał się chodników i kopalń, w których pracowano, stare szyby pozostawił temu, co je nawiedzało. Zapytał matkę, czy maszyny mogłyby stać się duchami; zakpiła z niego i odeszła, przeklinając jego głupotę.

Wędrował do chwili, gdy znalazł stare złożę fledżu. Nawet po tak długim czasie wciąż wyczuwał trud górników, którzy dotarli aż tutaj. Złoże było szerokie, bogate i Trey domyślał się, że rozciąga się pod górami. Po tak długim odsłonięciu powierzchnia miała zjełczały zapach, ale kiedy zagłębił się w żyłę, okazało się, że jest w niej świeży, bogaty, dobry fledż bez żadnych zanieczyszczeń. Szkoda, że przerwano tu pracę. Szkoda, że pojawiły się żądłaki i wystraszyły górników, a także zawały i...

Co jeszcze? Wcisnął się dalej, bo coś tam było. Coś bardziej gęstego niż fledż. Trey zamarł, jego ciało w kąpielu pyłowej napięło się i zeszywniało, kiedy świadomość zamarła na chwilę w odległości pięciu tysięcy kroków od niego. Czekał, ponieważ wydawało mu się, że tak należy postąpić, zatrzymać się, stać się niewidzialnym i niesłyszalnym, gdyż coś wkrótce się wydarzy. Natknął się na wstrzymany oddech.

Czuł, jak od bicia jego serca faluje powierzchnia kąpielu pyłowej. Jego umysł zagłębiony był we fledżu i pamiętał o tym. Trey nagle zaczął się bardzo, ale to bardzo bać.

Bicie serca obok niego – głębsze, wolniejsze, mocniejsze – usiłowało skryć się pod jego własnym, ale bezskutecznie, bo nasłuchiwał go.

Bicie serca... czegoś, co żywe tkwi we fledżu... żyje, ale śpi, hibernuje, ponieważ jego serce zdążyło uderzyć sto razy, zanim znów usłyszał puls tego czegoś.

Nax?

Próbował się wycofać. Najbardziej na świecie chciał obudzić się w kąpielu, absolutnie przytomny, i opowiedzieć matce o koszmarze przeżytym we fledżowym śnie. Ale to nie był sen i Trey nie mógł się wycofać. Ponieważ zdążył się już otrzeć o umysł tego Naksa, a rozpaczliwie myśląc o ucieczce, jedynie bezskutecznie próbował uniknąć tego, co miało się zdarzyć.

Zdarzyło się szybko.

Zagrożenie z góry, bezpieczeństwo mordowane, magia powróciła, by zachwiać równowagą rzeczy, śmierć, wojna i zmiany będą sączyły się nawet tak głęboko, przez szczeliny w łóżyskach rzek i obok korzeni najstarszych drzew, do wnętrza ziemi, niebezpieczeństwo otrzymało łatwą drogę poprzez dziury wydrążone w świecie przez tych, którzy wciąż rabują...

I więcej, o wiele więcej, ale nie pod postacią słów, tylko w pełnych nienawiści, obcych emanacjach takiej pogardy, że Trey, fizycznie pogrążony w kąpielu pyłowej, jakby to ona

mogła zapewnić mu bezpieczeństwo, zaczął płakać.

W końcu uwolnił się albo został wypuszczony. Wymachiwał rękami przerażony, wydając psychiczne wrzaski, które poprzedzały go i wywoływały u wielu śpiących w domach-jaskiniach koszmary. Trey uciekał do własnego ciała i wyczuł przez skorupę ziemi inne budzące się umysły, niektóre blisko, inne daleko. Umysły rozgniewane nie na niego, ale na to, co zapowiadała przyszłość.

Wydobył się z kąpieli pyłowej i ciężko upadł na kamienną podłogę. Potłukł sobie ręce i nogi, nago pobiegł przez jaskinię, potknął się o śpiącą matkę i rozbijając łokcie, napił ziemię swoją krwią. Poderwał się znowu i gwałtownie odsunął skórzaną zasłonę w wejściu do jaskini.

– Obudziły się! – wrzasnął. – Naksy się obudziły!

Widział cienie ludzi poruszających się po głównej ulicy i wyobraził sobie, jak pomalowana na czerwono dłoń lalkarza zaciska się na nich i szarpie, powalając wszystkich.

W grotcie rozległa się eksplozja wrzasków. Również inni fledźowi wędrowcy dotarli tej nocy za daleko.

* * *

Pierwszy Nax wyszedł z tego samego korytarza, którym Frey uciekał w popłochu.

Naksy nazywano też demonami fledżu. Nikt, kto zobaczył któregoś z nich, nie przeżył. Wielu miało pojęcie, czym są – mitami, opowieściami, legendami przekazywanymi z pokolenia na pokolenie, rysunkami w książkach, starożytnymi malowidłami na niektórych skalnych ścianach Kościoła w domu-jaskini – ale podobnie jak opis czegoś z upływem czasu traci barwę, prawda może także ulec rozwodnieniu. Większość ludzi nawet nie wyobrażała sobie, z czym się zetkną.

Głowy odwróciły się, gdy cień wypadł z ciemności na słabo oświetloną przestrzeń. Przeleciał przez grotę i wylądował u podstawy jednego z pięciu gigantycznych filarów. A potem zaczął zabijać.

Trey osunął się na kolana i wrzasnął. Matka krzyknęła przez sen, jakby się dusiła. W jaskini zaczęły rozbrzmiewać inne przeraźliwe głosy. Ponieważ poza swoim widokiem – rozłożonymi skrzydłami, kończynami z wirującymi, pazurzastymi wypustkami, otworami, które mogły być parującymi i plującymi kulami płonącego gazu paszczami – Nax przynosił swoim ofiarom coś więcej. Atakował również jego umysł, sondował obcymi palcami, wydawał się dotykać wszystkich w jaskini. A przypominało to spożywanie odchodów.

Trey przycisnął obie dłonie do uszu, wrzeszczał, kręcił głową, próbując pozbyć się uczucia, że coś go przenika, że zmysły mu się mieszają i zostają skręcone, naciągnięte i rozszarpane. Widział rozpoczynającą się w dole rzeź, widział, jak ludzie chwieją się i rozpadają na części, podczas gdy Nax tańczy na nierównym podłożu, a jego kończyny

wylatują w powietrze dokładnie tak, jak Lufero pokazywał w swoim przedstawieniu. Ogniste kasznięcia uchodziły z paszczy, owijały się wokół głów i brzuchów, odbijały od ziemi do chwili, kiedy znalazły coś, co mogły podpalić. Ludzie ratowali się ucieczką, ale niewielu się to udało – Nax był zbyt szybki. Potrafił biec i latać, mógł machnąć ogonem i przyciągnąć uciekinierów ku swoim morderczym kończynom. Trey widział to wszystko, ale powstawały także obrazy, których źródłem mogły być tylko oczy Naksa. I razem z tymi obrazami docierała do niego niesamowita, złośliwa satysfakcja. A potem, gdy ginęli przyjaciele Treya, napłynął również odór płonących ciał i rozlanej krwi. Zebrało mu się na wymioty, a w brzuchu zaburczało z przykrego głodu. Wrzaski bólu i przerażenia doprowadzały go do szaleństwa. Próbował znowu krzyknąć, ale miał tylko wrażenie, że wydał z siebie ryk, przesycony fledżem wrzask wściekłości i tłumionego głodu, powtórzony echem w całej grocie przez tysiące innych głosów, kiedyś mu niechętnych, a jednak cieszących się nową wolnością. Nax łączył się ze swoimi ofiarami, zanim je zabił. Stwór zrodzony z narkotyku narzucał swoją świadomość, to tkwiło w jego naturze, stanowiło element łowów.

Trey cofnął się i wpełzł na czworakach do domu-jaskini.

– W drogę! – zawołał do matki.

– Nie możemy odejść – powiedziała, kręcąc głową, by odgonić obce obrazy. – Będziemy walczyć, jest nas mnóstwo, musimy...

– Matko, poczułem to, poczułem, jak się budzi. Tam jest ich więcej. Coś ich obudziło. Chyba na górze zdarzyło się coś, co je rozwścieczyło i wytrąciło ze stanu hibernacji. Matko, musimy stąd odejść! Wydobędziemy się jakoś na powierzchnię. Gdziekolwiek, byle wydostać się z groty.

– Burmistrze będą wiedzieli, co robić – odparła matka pełna ślepej, bezsensownej wiary.

Ale nagle spojrzała nad jego ramieniem, a on, nie odwracając się, wiedział, co widzi, bo obraz docierał do wszystkich. Drugi Nax wypadł z innego tunelu i rzucił się prosto do mieszkań na jednym z filarów. Trey czuł, jak pękają w nich ściany i balkony, a słabe ciało burmistrza rozpada się pod ciosami wirujących ostrych kończyn.

– Chodź ze mną. Nie zwracaj uwagi na to, co czujesz. Myśl tylko o jednym: o ucieczce – nakazał.

– Muszę wziąć parę rzeczy – odparła, odwracając się wolno, oszołomiona, zdezorientowana.

Trey chwycił ją za ramię i ścisnął mocno.

– Matko. Proszę. To Naksy! Nie możemy tracić ani chwili. Jeżeli pozostała choćby najmniejsza szansa ucieczki, musimy skorzystać z niej natychmiast!

Matka skrzywiła się i spojrzała na jego dłoń na swoim ramieniu. Nigdy dotąd nie sprawił jej bólu, ani fizycznego, ani psychicznego. Była twarda. Kiedy podniosła głowę, zobaczył łzy w jej oczach.

– Och, Trey, tak bardzo się boję.

Przytulił ją. Krótko. Nie mógł być blisko niej, kiedy te obrazy, zapachy napływały z zewnątrz metafizycznymi falami. Czuł się skażony.

Ubrał się szybko, a potem odchylił lekko zasłonę i wyjrzał na zewnątrz. Wiele mniejszych ogni w jaskini już ugaszono – naturalnym środowiskiem górników była ciemność i w niej najczęściej znajdowali bezpieczeństwo – ale w całym domu-jaskini pojawiały się nowe pożary wzniecane przez Naksa. Obrzydliwe obrazy i wrażenia również się pogmatwały i Trey nie mógł wyczuć, czy nadal są tam dwa Naksy, czy już więcej. Ludzie biegali, krzyczeli, szeptali i usiłowali wymknąć się ukradkiem. Niektórzy mijali jego jaskinią i schodzili schodami. Trey wołał ich, ale go nie słyszeli. Cofnął się, dysząc ciężko, nie wiedział, co robić.

– Możemy wyjść? – zapytała matka. – Jest tam jakaś droga?

Trey wiedział, że jest mnóstwo dróg, ale żadna z nich pewna. Żadna bezpieczna. A co z Sondą? Spojrzał w kierunku jej domu, ale tonął w ciemności. Mógł to być dobry znak, świadectwo, że żaden Nax tam jeszcze nie dotarł. Ale ciemność mogła również oznaczać, że Naksy już tam były i dokonały dzieła zniszczenia.

– Musimy przejść korytarzami do windy – odparł. – Pewne stare wyrobisko, wyeksploatowane na długo przed Wojną-Katastrofą, prowadzi między przodkiem, na którym właśnie pracowaliśmy, a korytarzem wiodącym prosto tutaj. Nikt z niego nie korzysta, bo jest zbyt wąskie, zbyt trudno się nim poruszać. Miejscami można się tylko czołgać. Jeżeli tam dojdziemy i przedostaniemy się przez nie, może się nam udać. Jeśli tam nie ma Naksów.

Matka spojrzała na Treya ze smutkiem.

– Nie zdołam tego zrobić, Trey. Popatrz na mnie.

Popatrzył. Matka była tęga, mimo że górnicy byli raczej wysocy i szczupli. Chłód tych pór roku, kiedy ogień zasysały zimniejsze powietrze z głębszych jaskiń, powykęcał jej dłonie w szpony. Miała już wiele lat. Żyła pod ziemią od zawsze i tylko parę razy wyszła na powierzchnię. Te wyjścia, dla niej bajeczne, o których opowiadała przy każdej okazji, odbywały się bezpiecznie i odpowiednimi szlakami.

Ale ją kochał. Uważał, że jest na każde jego zawołanie, i czasami tym go właśnie irytowała.

– Nie zostawię cię. Nie wiem zbyt wiele o Naksach... nie sądzę, by ktokolwiek wiedział więcej niż to, co mówią legendy, ale wiem, że jest to najniebezpieczniejsze miejsce, w jakim można się znaleźć. Nie wolno nam tu zostać. Jeżeli tylko dotrzemy do tuneli i ukryjemy się, wkrótce wszystko się skończy.

Wiedział, że kłamie. I kiedy matka skinęła głową, minęła go i wyjrzała na zewnątrz, miał wrażenie, że ona także to wie. Kolejne wrzaski rozlegały się gdzieś dalej, bliżej czarnych dziur szybów prowadzących do podziemnej rzeki. Od czasu do czasu tu i ówdzie słychać było brzęk zwalnianych cięciw kusz i Trey dostrzegał błyski obnażonych dyskomiczy. Odwrócił się szybko, pobiegł na tyły jaskini i wyciągnął spod łóżka swój dyskomicz. Jeżeli znajdzie

się tak blisko Naksy, że zdoła go użyć, pewnie i tak zginie, ale pod ziemią były jeszcze inne stwory. Jeżeli dojdzie z matką do korytarzy, w starym wyrobisku mogą czyhać żądłaki ukrywające się przed górnikami. A dalej, jeśli Chartise i jego muły nadal żyją, może czekać na nich powierzchnia, świat światła słońca, księżycy i gwiazd, świat bez ciemności. A także zapewne niezliczone niebezpieczeństwa, których nawet sobie nie wyobrażał.

Trey nie był już górnikiem.

Jeżeli uda mu się przeżyć kilka następnych godzin, ocaleje.

* * *

Schodzili kolejnymi schodami i przez balkony wykute w ścianach groty. Kryli się za wielkimi pojemnikami na podestach, wdychali gęste opary mchu i starali się zorientować poprzez upiorne psychiczne impulsy wzrokowe, dźwiękowe lub smakowe, gdzie Naksy dokonują rzezi. Trey dotknął kuli mchu przed nim i ścisnął ją, jak zwykle ciesząc się, że czuje w dłoni coś żywego i zimnego, zadowolony, że jego własne odczucia tłumią te, które płyną od Naksów – morderców.

Zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech, że jego niespokojna uwaga nie koncentruje się w jednym miejscu, i przypomniał sobie, że nadal ma w swoim organizmie świeży fledź. Przeklął sam siebie w duchu i wypuścił mech z dłoni. Chwytał matkę za rękę i poprowadził w dół po kolejnym odcinku nierównych schodów. Usiłował przewiesić dyskomiecz przez ramię, ale nie przywykł do noszenia broni i węzeł wciąż się rozwiązywał. Kiedy wyjmował miecz, syknięcie metalu ocierającego się o starą, wysuszoną skórę dało mu bezsensowne poczucie siły.

– Co to było? – szepnęła matka.

Trey odwrócił się i położył palec na jej wargach. Ciii.

Kiedy dotarli na dno groty, spotkali grupę ludzi kręcących się koło jaskini burmistrza dowodzącego milicją. Milicjantów – ani śladu. Trey podejrzewał, że dźwięk strzałów z kusz, który wcześniej słyszał, zdradzał ich los – ale mimo wszystko ludziom chyba zdawało się, że będą tu bezpieczni.

– Musimy się stąd wydostać! – oznajmił. Poznał kilku górników ze swojej szachty i uśmiechnął się do nich w słabym świetle. Kiedy mówił do nich, błagał, namawiał, dotykał ich, bo dotknięcie było znaną formą porozumiewania się – czymś jak wyraz twarzy – gdy górnicy rozmawiali w całkowitej ciemności.

– To miejsce skazane jest na zagładę, nigdy nie uda się nam pokonać Naksów. Musimy stąd odejść i pozostać na powierzchni, dopóki nie będzie tu znów bezpiecznie.

– Czemu na powierzchni? – zapytał Grant, jeden z górników. Mówił, nie dotykając nikogo, co oznaczało, że jest zły lub przerażony albo jedno i drugie. – Dlaczego nie możemy iść do tuneli i przeczekać?

Kilku innych przytaknęło niepewnie, mamrocząc pod nosem.

– Milicjanci już nie żyją – wyjaśnił Trey. – Naksy zapewne nie żarły od wieków. I znają te podziemia lepiej niż my. – Rozejrzał się nerwowo; spodziewał się, że w każdej sekundzie może poczuć łaskoczący kark powiew powietrza poruszonego przez Naksa lecącego przez grotę.

– Wątpię. – Grant odwrócił się plecami do Treya i jego matki i odezwał do pozostałych: – Możemy pójść na nasze obecne przodki i przeczekać w nich. Znam je jak dotyk mojej własnej ręki: są tam tunele i szczeliny, w których możemy się ukryć. Te demony fledżu wkrótce się nasycą. Jak powiedział Trey, milicjanci nie żyją. Naksy mogą ich sobie pożerać.

– Nie zaprzestaną rzezi – zaprotestował Trey. – Obudziły się nie tylko, żeby jeść. Chodzi im również o coś innego. *Coś* doprowadziło je do furii.

– Skąd nagle stałeś się specem od demonów fledżu? – zapytała jakaś kobieta.

Trey przez chwilę patrzył na grupę; zastanawiał się, kogo obciążą winą. Uświadomił sobie, że mało go to obchodzi. Decyzja o pozostaniu tutaj była szaleńcza i jeżeli oskarżali go o to, co się stało, tylko umacniali w nim takie przekonanie.

– Poczułem, jak się budzą – powiedział. – Byłem we fledzowej podróży. Dotarłem dalej, niż powinienem, znalazłem Naksa i wycofałem się szybko, ale wiem, że nie tylko on się obudził. Naksy nigdy nie polują w grupach. Żyją samotnie. Dlatego coś jest nie tak. Na powierzchni chyba dzieje się coś, co je rozwścieczyło, i...

– I chcesz tam iść? – przerwał mu Grant, odwracając się gwałtownie.

– Trey... – szepnęła przestraszona matka.

W grocie rozległy się wrzaski i głośny łomot, po czym zapadła cisza.

– Ratuję matkę – wyjaśnił Trey. – Powitamy każdego kto do nas dołączy.

Trey i matka odeszli sami.

– Po prostu się boją, Trey – powiedziała, kiedy szybkim krokiem przechodzili obok opuszczonych jaskiń i Kościoła. – Tu mają wszystko, do czego przywykli. Grant normalnie tak się nie zachowuje; wcale tak nie myślał.

– Przez niego wszyscy zginą.

Szli dalej w milczeniu. Kiedy mijali filar domu jednego z burmistrzów, spojrzeli do góry, lecz nie dostrzegli znaku życia na wiszących nad nimi balkonach. Za każdym razem, gdy kogoś spotykali, Trey mówił: „Do jaskiń”. Niekiedy górnicy szli z nimi przez jakiś czas, dopóki nie zwyciężyły w nich wątpliwości. Wtedy zaczynali zwalniać, wlekli się z tyłu, może chcieli, aby to jakiś przedstawiciel władzy powiedział im, gdzie iść i co robić, a nie chłopak, który trzymał w rękę dyskomicz jak dziecko bawiące się w wojnę.

Trey starał się zamknąć umysł na doznania płynące z Naksa jak pot ze skóry walczącego człowieka. Ale jednocześnie był nastrojony na odbieranie impulsu pościgu, pogoni zmierzającego za nimi Naksa. Nie pojawił się. Cokolwiek zauważyło go, gdy ścisnął w dłoni mech, najwyraźniej natknęło się na coś innego, co je zaintrygowało.

Dotarli do przeciwległej części groty – do miejsca, gdzie kilka stopni prowadziło nieco wyżej, do przypominającego rozwarłe gardło wejścia do eksploatowanych obecnie wyrobisk. Niewiele światła zapewniało tu widoczność. Trey poruszał się na pamięć – trzymał matkę za rękę i prowadził ją za sobą. Jego uszy były idealnie nastrojone na echa określające, co jest daleko, a co blisko, i każde stąpienie mówiło mu, gdzie się znajduje. Mruczał gardłowo od czasu do czasu i nasłuchiwał echa, a kiedy znalazł w nim puste miejsce, wiedział, że zbliża się do wejścia do jaskini.

Odchylił się do tyłu i musnął dłonią policzek matki; przesuając palcem po jej wargach, nakreślił na nich niewidoczny uśmiech.

– Jesteśmy na miejscu – szepnął.

Byli sami. Na tle przyćmionej, czerwonej poświaty w środku groty widniały czarne sylwetki dwóch gigantycznych filarów. Trey usłyszał odgłos kolejnej salwy beltów z kusz, a potem następnej. Wyglądało na to, że milicjanci jednak żyli i nadal stawiali opór. Znowu pomyślał o Sondzie i spojrzał w kierunku jej jaskini, niestety ujrzał jedynie nieprzenikniony mrok. Zamknął oczy i przykucnął, próbując ulecieć przez tę zaburzoną przestrzeń, ale pomieszane impulsy od Naksów – które zdołał szybko przefiltrować i zablokować, dzięki czemu dotarł do niego ledwie cień ich straszliwych doznań – mu to uniemożliwiły. Poza tym świeży fledź przestawał działać. Może kiedy wejdą dalej w głąb kopalni, będą mogli się zatrzymać. A wtedy wyjmie z torby nieco fledżu i spróbuje ustalić, gdzie znajduje się Sonda.

W chłodnym mroku przez chwilę czuł, jak policzki palą go ze wstydu. Na dole za nimi pozostały dwa tysiące ludzi.

– Chodź – powiedział do matki; pochylił się ku niej i przycisnął policzek do jej policzka.

– Zaopiekuję się tobą. – Podniósł dyskomiecz, odwrócił się i wszedł do kopalni.

Wkrótce pozostawili za sobą hałasy, krzyki, odgłosy rzezi i walki. A po następnych pięciuset krokach zniknęły także odpryski psychicznych emanacji Naksów, wchłonięte przez skałę i żyły fledżu, od tak dawna ich dom – górników i Naksów. Czy będą kiedykolwiek mogli znowu współistnieć?... To kwestia przyszłości.

Teraz jednak Trey musiał wyjść z matką na powierzchnię. Zastanawiał się, co tam ich czeka i dlaczego Naksy zbudziły się tak rozwścieczone.

* * *

Po przejściu dwóch tysięcy kroków w głąb nowych wyrobisk Trey i jego matka zatrzymali się, by odpocząć. Chłopak wsłuchiwał się w jej ciężki oddech, pomruki i jęki, kiedy z trudem pokonywała spąg, wykręcając kostki. Stare kości bolały ją, a ona próbowała to ukrywać. Chodził tędy już tysiące razy, znał tunel, wiedział, jak poruszać się w ciemności, i przykre wrażenie, że przytłaczają go ściany, wskazywało mu drogę. Byłoby lepiej, gdyby mogli iść tak szybko jak on, a nie tak wolno jak matka.

Schowwał do pochwy dyskomiecz i wreszcie udało mu się zawiesić go na ramionach. W tej zamkniętej przestrzeni wcześniej wyczuje zbliżające się zagrożenie.

Usiedli i napili się ze skórzanej manierki, którą Trey niósł w torbie. Wody było w niej niewiele, Trey nie uzupełnił jej po powrocie z szychty.

– Jak daleko? – zapytała w końcu matka.

Trey obawiał się tego, wiedział, że to pytanie padnie, i czuł, że cisza między nimi zgęstniała, zrobiła się ciężka.

Wyciągnął rękę i musnął policzek matki, nie przekazując tym gestem niczego konkretnego, jedynie ciepło dotyku.

– Może dwa dni – odparł.

– Dwa dni – powtórzyła. – A ja już nie mam siły.

Trey westchnął i oparł się o ścianę. Wkrótce dotrą do starej żyły fledżu i będą musieli przeciskać się przez te puste miejsca, kiedyś wypełnione fledżem, który dawno, dawno temu maszyny wydobyły, wywiozły na górę i przetransportowały przez Noreelę. Choćby nie wiadomo jak się starał, nie potrafił wyobrazić sobie, jak wyglądały, jak pracowały i się poruszały. Chociaż widział ich szkice w książkach i na muralach w Kościele, żaden nie oddawał tego, jak wyglądały żywe.

– Mówiłam ci, jak na powierzchni określają porę dnia? – zapytała matka.

Trey uśmiechnął się do siebie w ciemności.

– Na podstawie ruchu słońca i księżyców. Słońce wstaje i zachodzi, a między tym trwa dzień. Księżyce pojawiają się i znikają, to jest noc. Słońce przegania księżyce, kiedy znowu wschodzi. Dwie połówki każdego dnia są tam takie różne: jedna jasna i ciepła, a druga ciemna. I krótkie? Są takie krótkie!

– Ich trzy dni to nasz jeden – dodał Trey. Mówiła mu to wiele razy.

– Tak. Na powierzchni wszystko dzieje się szybko. Ledwo przyzwyczaisz się do ciepła słońca na twarzy i już następuje pora snu, a potem nagle trzeba znowu wstawać.

Trey nigdy nie znalazł się na górze. Nie czuł takiej potrzeby. Przerazało go to.

– Powinniśmy iść – zdecydował. – Stara żyła zaczyna się tuż obok. Przez jej część przejdziemy, matko, ale obawiam się, że będziemy musieli również się czołgać. – Nie powtórzył tego, co sugerował wcześniej: że po prostu ukryją się w jaskiniach. Oboje wiedzieli, iż przez długi czas nie ma powrotu do jaskini. Trey czuł, że przejęty odwagą matki i własnymi lękami rozplacze się, ale powstrzymał łzy. Nie mógł pozwolić, by wyczuła jego słabość. Musiał być dzielny.

Zagłębili się w starą, wyeksploatowaną żyłę fledżu. Początkowo niewiele się różniła od korytarza, którym szli do tej pory, jedynie spąg był bardziej nierówny, a ściany niewyglądzone – maszyny nie bały się ostrych krawędzi. Trey podążał pierwszy; wydawał ciche pomruki i mlaśnięcia, których echa powracały do niego i dawały mu wyobrażenie topografii ciągnącego się przed nim wyrobiska. Matka dreptała za nim, trzymając się jedną

ręką luźnego paska jego kurtki. Druga, odchylona na bok, pomagała jej zachować równowagę. Poruszali się dość szybko. Nic nie wskazywało, że coś ich ściga, i poczucie zagrożenia zdawało się zmniejszać, w miarę jak oddalali się od groty.

Skoro ja wiedziałem, że trzeba iść tędy, pomyślał Trey, to inni także. Dlaczego więc nie słysząc żadnych dźwięków? Dlaczego nie ma żadnych znaków, że ktoś już tędy szedł albo że jest za nami i podąża naszym śladem?

Ruszyli dalej. Żyła opadała i zakręcała i przez następny tysiąc kroków ich droga wiła się przez skałę świata, jakby pomagała im zgubić prześladowców. Zmysły Treya górnika bezbłędnie odnajdywały drogę, a jego matka szła za nim – wzdychała, pomrukiwała, dyszała ciężko, ale nie narzekała ani nie prosiła, by się zatrzymali.

Raz czy dwa Trey zastanawiał się, czy właściwie nie powinni tu zostać. Ale wtedy przypominał sobie krótki kontakt z umysłem hibernującego Naksa – furie, wściekłość, głód – i wiedział, że trzeba iść dalej. Może nie groziło im bezpośrednio niebezpieczeństwo, ale Naksy raczej nie zaatakowały jednej tylko groty. Kopalnie ciągnęły się pod całymi Wdowymi Szczytami i łączyły je długie trudne szlaki, niezbadane i niemożliwe do przebycia dla ludzi, znane jednak stworzeniom, które rzeczywiście władały podziemiami.

I tak wędrowali dalej; odpoczywali od czasu do czasu, zlizując bogatą w minerały wilgoć ze ścian. Ale każdy krok przerażał Treya coraz bardziej.

Uciekali od niebezpieczeństwa, lecz zarazem porzucali jedyny sposób życia, jaki znał. Ludzie w domu-jaskini byli tacy jak on, blade ognie i garnki z mchem, żądłaki i ślepe pająki, szczury jaskiniowe i burmistrze, Kościół i nieustanny, podnoszący na duchu odległy ryk podziemnej rzeki... wszystko to stanowiło część wspomnień tworzących jego życie. Zawsze ciężko pracował na fledżowym przodku, ale kiedy wracał do groty, był zadowolony, szczęśliwy, wiedział, że wykonał swoje zadanie w obrębie podziemnej społeczności. Czasami pojawiały się myśli, by wyjść na powierzchnię, wynikały one wszakże bardziej z ciekawości niż pragnienia. Interesowało go, dlaczego ludzie wolą żyć na górze, kiedy bez wątplenia życie na dole było o wiele bogatsze. Owszem, w ciemności kryły się niebezpieczeństwa – żądłaki zabijały jedną, dwie osoby w roku, a zawały, choć nie tak częste, nieraz niosły śmierć. Ale słyszał, że na powierzchni również mieszkają nieprzyjazne stwory: po wzgórzach błakają się toczniki i atakują dzieci oraz nieostrożnych podróżnych, na równinach grasują bandyci, na nabrzeżne osady napadają morskie dzikusy. A przy tym te walki w miastach i choroby w wioskach. Powiadano, że o ludzi na powierzchni nikt się już nie troszczy.

Trey czuł, że przyjazna historia odprowadza go i oplakuje jego odejście. Przed nim, z każdym krokiem w ciemności, czekała przyszłość.

* * *

Napotkali gniazdo żądłaków. Było ich niewiele i to małych, nie większych niż pięć

mężczyzny. A ponieważ je zaskoczyli, Trey mógł wyciągnąć dyskomicz i poszatkować niemal wszystkie, zanim zdążyły zebrać siły. Ocalały żądlak ruszył na nich z trzaskiem; chciał zaatakować matkę Treya, on jednak w chwili, gdy wyczuł w powietrzu ruch stwora, kopnął go, rzucił na kamienną ścianę i uderzył dyskomiczem. Poleciały iskry i w ich świetle zobaczył, jak żądlak kona w kałuży krwi.

Ruszyli dalej. Trey cieszył się, że pokonał to niebezpieczeństwo, ale zdawał też sobie sprawę, że czeka ich więcej zagrożeń. Nie tylko żądłaki.

Czas zmienił ich paniczną ucieczkę w długą męczącą wędrówkę. Oboje nadal byli świadomi, że uniknęli niebezpieczeństwa, ale trudy marszu przez żyłę absorbowały ich myśli. Zdołali pokonać jedno wąskie przejście – długie na przynajmniej trzysta kroków – w którym matka Treya prawie utknęła, zbyt zmęczona, by się przez nie przecisnąć. Musiał przewiązać pas pod jej pachami i wlec ją za sobą jak muł ciągnący wózek pełen fledżu.

Pięćset kroków za wąskim przejściem Trey zaczął wyczuwać coś w powietrzu. Zapach. Zapach ludzi.

A pod nim, tak odległy, że niemal nierealny, odór krwi.

– Jak długo idziemy? – spytała matka.

– Szychtę – odparł.

– Dzień na powierzchni – mruknęła. – Muszę się przespać, Trey. Zaraz usiądę i pośpię. Czy Nax nas ściga? Tropi nas?

Trey wciągnął powietrze nosem; wiedział już, że w grupie, która przeszła tą drogą przed nimi, była miesiączkująca kobieta. Przez chwilę miał nadzieję, że może tylko tę krew wyczuł... lecz coś jeszcze. Nadal udawał, że się nie boi, wiedział jednak, że oszukuje sam siebie.

Kilka godzin wcześniej przeżuł kawałek fledżu. Od tej pory kilkakrotnie wysyłał umysł za siebie, czegoś szukał, obserwował przebytą drogę, aby sprawdzić, czy coś za nimi podąża. Te projekcje były wprawdzie nieudolne – wykonywał je w marszu, starając się, by matka nie zorientowała się, co robi – mimo to nie wątpił, że psychiczny obraz pustej żyły za ich plecami jest prawdziwy.

– Nic za nami nie idzie – powiedział i usłyszał ciężkie, bolesne westchnienie ulgi i wyczerpania. – Ale, matko, ktoś już tędy przed nami szedł.

Przez chwilę wahała powietrze, wciągała z trudem, głośno, jak to stary człowiek.

– Nic nie czuję – oznajmiła. – Kiedyś miałam nos jak szczur jaskiniowy, ale tak bardzo się postarzałam. Jesteś pewien?

– Tak – potwierdził Trey. Ponieważ tam jest krew. Ludzka krew. Chciał także spojrzeć umysłem przed siebie, ale od kiedy wyczuł krew, bał się. Jeżeli mógł tam nadal spotkać jakies umysły, wkrótce to się stanie.

– Jak daleko mogą być? Na pewno w pobliżu. Nikt nie miał szansy przedostać się do tych jaskiń wcześniej niż my.

– Musieliśmy przejść przez całą grotę – przypomniał Trey. – Potem rozmawialiśmy z Grantem. Odpoczywaliśmy parę razy, a kiedy żyła stała się wąska...

– Wiem, opóźniałam nasz marsz. Ale mimo wszystko. Nie mogą nas wyprzedzać więcej niż o kilka godzin.

– Pewnie tak.

– Powinniśmy spróbować do nich dołączyć, Trey. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, będę oddychać głębiej, starać się bardziej. Ruszajmy i spotkajmy się z nimi. Im więcej nas będzie, tym większe mamy szanse dotrzeć do windy.

– Chyba tak.

Zapadła niezręczna cisza.

– Trey?

– Tam jest krew, matko! – wykrztusił. – Czuję krew. Jedna kobieta miesiączkuje, ale nie tylko to. Boję się tego, co znajdziemy. – Rozplakał się bezgłośnie, a matka wiedziała o tym. Nie z powodu zapachu albo tego, jak zmienił się jego głos, ale po prostu dlatego, że była jego matką.

– Och, Trey, nie dowiemy się niczego, dopóki nie podejmiemy bliżej. Może ktoś z nich jest ranny. Może upadł i się pokaleczył lub natknęli się na żądłaki. Jeżeli przed nami są nasi ludzie, a za nami Naksy, wiem, co wybrać.

Trey usiłował powstrzymać szloch, ale daremnie. W końcu z całą siłą uderzył go szok wywołany tym, co niedawno się stało. Poza tym zawsze powracała myśl, choć tak łatwo ją odrzucał, że wszystko to jego wina. Dotknął umysłu Naksa i wyczuł, że obudziły go jakieś dziwne wydarzenia na powierzchni, mimo to, gdyby nie ściągnął na siebie uwagi demona fledżu, może on nie zaatakowałby grotę. Była to szalona myśl, ale w tej chwili czuł, że popada w obłąd.

– Jestem z ciebie dumna, synu. Ojciec też byłby dumny.

– Do niczego się nie nadaje!

– Nic podobnego. Ruszajmy, Trey. Nie mogę prowadzić. Nic nie widzę w tych ciemnych jaskiniach.

* * *

Szli dalej. Odór stawał się coraz silniejszy i Trey mógł już stwierdzić, że jego źródło się nie porusza. Pokonali kolejną wąską żyłę, tym razem prowadzącą stromo w dół; musieli ześlizgiwać się po niej. Matka zdołała przebyć ją samodzielnie, chociaż Trey czuł, że wysiłek ostatecznie pozbawia ją sił.

Godzinę przed tym, zanim znaleźli zwłoki, odór stał się bardzo silny i mdlący. Krew, wnętrzności, kał, ślad po wypatroszonych ludziach. W pewnym stopniu przygotowało to Treya i jego matkę na to, co znaleźli.

Ciała leżały porozrzucane na dnie szerokiego odcinka złoża, wciśnięte w ściany. I poszarpana odzież, nasączona krwią. Smród był koszmarny, ale już same wyczuwane pod butami szczątki ludzkie wywoływały odruch wymiotny.

– Ktoś tu żyje? – zapytał Trey, choć znał odpowiedź. Z jakiegoś powodu mówienie w ciemność przyprawiało go o dreszcze. Miał wrażenie, jakby rozmawiał ze zjawami.

– Ruszajmy dalej, Trey – ponagliła matka.

– Naksy mogą być przed nami.

– Na pewno są za nami. Uważam, że atak nadszedł od przodu. Leży tu jakieś dziesięć osób, większość razem. Tylko jedna lub dwie bliżej nas, jakby coś dogoniło je w czasie próby ucieczki.

Trey poruszył głowę, wciągając powietrze nosem. Miała rację.

– Nax prawdopodobnie znalazł jakąś inną drogę. Grant może sobie mówić co chce, lecz te stwory mieszkają tu na dole tysiące lat dłużej niż my. Znają te miejsca. Ten, kto to zrobił, zapewne powrócił już do groty...

Sonda tu była. Trey wstrzymał oddech, przerażony zapachem, który właśnie poczuł; a poczuł mocną, ostrą woń skóry Sondy, ciepły, ziołowy powiew jej oddechu... utopione w jej krwi.

– O nie! – jęknął, pochylając się coraz bardziej, by w końcu osunąć się na ziemię.

Błagał mrok, prosił zjawy, by udowodniły mu, że się myli, ale nie odpowiedziały. Słodka Sonda, prawie nieświadoma jego istnienia, mimo to niekiedy uśmiechnęła się do niego wstydliwie; ten uśmiech dodawał mu sił, wywoływał wiele grzesznych fledzowych snów i prowokował podróże w poszukiwaniu jej umysłu. Zawsze wycofywał się z poczuciem winy i z szacunkiem, a tak bardzo pragnął być bardziej śmiały. Pewnego razu, kiedy Sonda gawędziła z nim w jaskini z pożywieniem, uśmiechała się, przesuwając dłonią po zaplecionych warkoczach, miał wrażenie, że dostrzegł w jej oczach miłość, ale ponieważ brakowało mu pewności siebie, uznał, że uczucie to jest wspomnieniem po kimś, kogo kiedyś kochała, a kto nawiedził teraz jej myśli. Miłość w jej oczach, ciepła i jasna, i tak często ukryta w absolutnym mroku jaskini.

Matka objęła go i usiłowała pocieszyć, ale chłopak długo przebywał bardzo daleko.

Później Trey znowu ich popędzał. Musieli poruszać się szybko, choć tutaj, tak głęboko, gdzie prawie nie znał sam siebie, przestał już wierzyć, że zdołają uciec. Otrzymali ten podziemny świat w przelotną dzierzawę, pozwolono im grabić jego bogactwa, ranić, wydobywać fledz z jego starożytnych żył, jakby wysysali krew z tętnic świata. Byli głupi, zadowoleni z siebie w swojej pysze, myśleli, że zawładnęli tym miejscem. Nawet po Wojnie-Katastrofie górnicy fledzu uważali, że coś chroni ich przed zgnilizną królującą na powierzchni. Słyszeli o dziwnych zdarzeniach w kraju: o tym, jakby więzi wewnętrzne powoli pękały i znikły. A razem z posłańcami wędrującymi między podziemiem a powierzchnią docierały opowieści o świecie zwalniającym swój bieg, o tym, że odejście

magii zniszczyło pewność siebie ludzi. Trzy stulecia po zniknięciu magii ludzkość na powierzchni przypominała starego człowieka, który czeka na śmierć. Nadal je, pije i marzy, bardziej zwrócony ku bogatej przeszłości niż ku krótkiej, beznadziejnej przyszłości.

A ci na dole, zadowoleni z siebie i głupi fledżersi, myśleli, że są bezpieczni. No i teraz pokazano im, że absolutnie nic nie znaczą.

I wszystkie błahe plany, jakie Trey wiązał ze swoją przeszłością, zostały zamordowane tak jak Sonda i inni, rozmazane na ścianach i rozwłózione po zimnej skale przez Naksy, które naprawdę знаły to miejsce i nim władały. Ludzie nazywali je demonami fledżu, nieświadomie utożsamiając je z potworami. Ludzie wiedzą tak mało.

Tak więc parł do przodu, a matka się nie skarżyła. Zatrzymywali się od czasu do czasu, zlizywali wilgoć ze skał, zjadali garść mchu, chociaż wiedzieli, że może ich zemdląć. Potrzebowali energii już teraz, przyływu sity, która pozwoli im pokonać odległość do windy. Mieli nadzieję, że Chartise wciąż czeka tam z mułami, gotów wywieźć ich na powierzchnię. Mimo to przez cały czas w umyśle Treya tkwiła uporczywa, niejasna pewność, że przeznaczeniem ich obojga jest umrzeć w tych głębinach. Ale nie dbał o to. Żal i wyczerpanie spętały jego umysł i odwróciły uwagę od prawdy.

W końcu zatrzymali się na nocleg. Po przebyciu ostatniego tysiąca kroków, bez przerwy pod górę wąską, krętą żyłą, oboje byli poranieni i poobijani. Pokonanie tego odcinka zajęło im cztery razy więcej czasu, niż powinno, bo matka Treya była tak wyczerpana, że nawet nie mogła płakać. Mimo to nie narzekała. Trey podciągał ją, ona zdobywała się na wysiłek i jednak przeszli. Lecz czas mijał.

W pewnym momencie, w połowie tej wąskiej i niebezpiecznej żyły, usłyszeli daleko za sobą głośny hałas. Krzyk bólu lub gniewu. Krzyk, który już się nie powtórzył.

Zapadając w sen bliski omdleniu, Trey przeżuł garść fledżu. Matka siedziała przy nim, szeptała mu do ucha ciepłe słowa, które przypomniał sobie dopiero o wiele później. Gładziła jego policzki, delikatnie, jak podmuch powietrza, przesuwając czubkami palców po zamkniętych powiekach, a kiedy była już pewna, że śpi, wstała i odeszła.

* * *

Trey wędrował we śnie po okolicznych jaskiniach, jego umysł pod wpływem fledżu odłączył się od ciała. Sprawował nad tym pewną kontrolę – wiedział, co się dzieje – ale nie wybierał drogi. Nikogo nie mógł dotknąć, odnaleźć, dlatego wpłynął do wielkiej jaskini, potem zanurkował do głębokiego, mrocznego jeziora pełnego nieznanymi rzeczami, przecisnął się przez sto kroków litej skały, dotarł do mniejszej jaskini... i nagle wyczuł kogoś, kogo znał.

Jego matka. Był pewien, że nie zażyła fledżu przed snem, chociaż wtedy nie bardzo mógł być czegokolwiek pewien. To była naprawdę ona, jej fizyczna obecność, a nie tylko błądzący umysł. Nagle spostrzegła go, odwróciła się i uśmiechnęła.

Synu – wyszeptła.

Odpowiedział niedostrzegalnym uśmiechem.

Co tu robisz, matko? Jak się tu dostałaś? To niebezpieczne, powinnaś być ze mną.

Pomyślałam, że pozwolę ci spać. I chcę cię od siebie uwolnić.

O czym mówisz?

Masz jeszcze długą drogę przed sobą, Trey. Odległości do pokonania, dni do przetrwania. A ja stałam się dla ciebie ciężarem.

Matko...

Byłam na powierzchni, synu. To cudowne miejsce. I nienawistne. Szerokie przestrzenie i straszliwie ograniczone poglądy. Ludzie tam na górze są inni, pamiętaj o tym. Niektórzy będą cię kochali za to, kim jesteś, a niektórzy poderzną ci gardło za garść fiedzu. Nie ma piękniejszego widoku niż słońce znikające za wzgórzami, ale kiedy ono zachodzi, w ślad za nim przybywają zagrożenie. To zacofany świat, Trey. Oni żyją w świetle i znajdują w nim bezpieczeństwo. A ciemności się boją.

Dlaczego?

Ponieważ nigdy nie widzą, co w sobie kryje. Swego czasu myśleliśmy, że wiemy, synu. To właśnie sprawia pycha. Zaślepia bardziej niż ciemność.

Wróć, matko. Obudzę się. Powinniśmy iść.

Odchodzę, Trey. Kocham cię. Jestem z ciebie dumna, tak bardzo dumna. Ale jestem też stara i słaba i... i nie chcę przyczynić się do twojej śmierci. – Płakała, naprawdę płakała i przez sen Trey niemal słyszał jej łkania odbijające się echem w jaskiniach.

Matko, nie wiem co...

Nie idź za mną, synu. Idź sam za sobą. Zawsze.

Bezcielesny umysł Treya patrzył, jak matka pochyla się na bok, w stronę czarnej paszczy, otworu z ostrymi krawędziami, który zdawał się prowadzić w dół, coraz bardziej w dół... Upadła i chociaż spełnił jej ostatnią wolę i nie wysłał umysłu w ślad za nią, czuł w ostatnich chwilach jej życia ogromny spokój i przekonanie, że postąpiła właściwie.

Kilka sekund później, nagle już jej nie było.

Obudził się z krzykiem i ten dźwięk go przeraził – przecież milczeli prawie przez całą wieczność ich podróży. Wrzasnął raz jeszcze. Wydało mu się, że coś odpowiada mu z bardzo daleka własnym krzykiem – zapewne zagubione echo.

* * *

Trey ruszył dalej. Pamiętał tylko krótkie epizody swojej podróży. Nadal zlizywał wilgoć ze ścian albo pił wodę podziemnych strumieni. Jadł mech i się rozchorował. Musiał wypróżniać się co kilkaset kroków, dręczyła go gorączka, był zdezorientowany, kierował się wyłącznie instynktem. Pojawiały się i znikwały obrazy miejsc, zapachy i odległe dźwięki, ale

nie wiedział, czy to prawdziwe wspomnienia, czy twory karmionego fledżem umysłu. Widział podziemną kaskadę spadającą w bezdenną jamę, lecz jej szum mógł być rykiem zwycięskiego Naksa. Machnął dyskomieczem w ciemności, trafiając w coś, co nadleciało z trzepotem, ugryzło go i uderzyło po uszach skórzastymi skrzydłami. Zasnął z płaczem, gdy jego umysłu dotknęły umysły martwych. Śnił o Sondzie.

Zapamiętał, jak dotarł do windy, do wielkiej groty, wykutej dawno temu we wnętrzu ziemi przez maszyny tak wielkie, jak pogrzebana Bestia. Pozostały po nich ślady, odpadki na obrzeżach groty, nagie metalowe żebra przeżarte rdzą, stare pasaży i jamy, w których kiedyś coś się znajdowało, a potem pogrzażyły się w pustce i smutku. W jamie pośrodku jaskini migotał Wieczny Płomień podziemi, palił się zawsze, by prowadzić górników z ich ładunkiem fledżu. Oświetlał całą grootę i oślepił Treya, ukazując mu, jak bardzo porzucone jest to miejsce.

Spodziewał się tu ludzi, ale nikogo nie zastał. Zniknął nawet Chartise, szef windy. Ale sama winda wciąż kursowała – wielka konstrukcja z drewna i stali, napędzana siłą mięśni pięćdziesięciu mułów, z których każdy uwiązany był we własnej zagródce, każdy nieustannie ciągnął do przodu, aby chwycić paszę wiszącą na wielkim kole zębataym nieco nad i przed jego łbem. Koło powoli obracało się na swojej osi dzięki nieustannej wędrówce mułów. Gdyby zatrzymały się jednocześnie same z siebie, zapewne nie zdołano by ich zmusić, żeby znów ruszyły, ale kiedy winda pracowała, zatrzymałyby się wyłącznie wtedy, gdyby je do tego zmuszono. Mechanizm obracał się, koła zębate i wielkie naoliwione bloki nieustannie wnosiły drewniane platformy do góry, na powierzchnię. W kopalniach winda najbardziej przypominała tętniącą życiem, działającą maszynę. Muły były jej żywą częścią, a ona przygotowana odpowiednio przez przodków Treya wkrótce po Wojnie-Katastrofie – maszyną.

Powinien czuć podziw. To było niewiarygodne. Ale nic z zewnątrz nie miało wpływu na jego umysł pograżony w miazmatach smutku, żałoby i przerażenia. Każde skrzypnięcie windy odbierał jako zbliżanie się Naksów, które przeznaczyły go na swoją ostateczną ofiarę, ponieważ obudził je, wyruszył zbyt daleko i przerwał im ich bezkresny sen...

Upadł na jedną z poruszających się platform, a ona wyniosła go wyżej, niż kiedykolwiek był.

Czas mijał. Trey spał. I szalał. Nawet wtedy, gdy poczuł światło słoneczne na skórze, gdy pomocne dłonie osłoniły jego oczy i podały mu wodę, dotknęły go, podobnie jak łagodny głos porozumiewając się z nim, jakby ten ktoś znał język kopalni... nawet wtedy nie uwierzył, że zdołał uciec.

Ciepło, liżące jego twarz, łączyło się z zimną pewnością, że nigdy mu się to nie uda.

6

Kosar złodziej dawno nie był w Pavisse.

Mieszkał w Trengborne przez prawie trzy lata od chwili, kiedy złapano go i ukarano, i to spowolnione życie mu odpowiadało. Przez swoich pięćdziesiąt lat przeważnie podróżował. Widział wiele rzeczy... i sporo ukraść. Ta mała, skromna wioska szybko stała się dla niego swego rodzaju domem i przez cały czas właściwie jej nie opuszczał. Niektórzy stronili od niego z powodu jego blizn, ale większość go akceptowała, choć niechętnie. Od dzieciństwa było to pierwsze miejsce, w którym czuł się akceptowany.

Jego długa kariera złodzieja zakończyła się daleko na północ od Długiego Marrakashu, kiedy kradł futroperze z karawany wędrowców. Postępował głupio i bez sensu. Cały Długi Marrakash obfitował w te nieszczęsne stworzenia wystawiane na sprzedaż w kramach i sklepach; o wiele łatwiej byłoby obrabować właśnie je, a nie wędrowców. On jednak ze wzgórz od dwóch dni śledził karawanę, podczas gdy wędrowcy podążali dnem doliny wzdłuż Długiej Rzeki. W karawanie było może z pięćdziesięciu wędrowców z dwoma tuzinami wozów, konie, stado owocolop i setka futroperzy trzepoczących się w klatkach. Z upływem godzin Kosar upewniał się, że okraść tych ludzi to głupota. Wędrowcy nie służyli z miłosierdzia – mieli własne prawa i religię, odcinali się od świata zewnętrznego – i okradanie ich graniczyło z szaleństwem.

Być może chciał, by go schwytano. Od kiedy się to stało, rozmyślał o tym długo i intensywnie, próbując odtworzyć stan swojego umysłu w tym dniu i w tym miejscu po prostu po to, aby wejrzeć w niego i zobaczyć, jak właściwie wtedy funkcjonował. Miał w kieszeni tellany, bo tuż przed wzejściem księżyca śmierci obrabował grupę bogatych kupców. Rzadko używał rhellimu, ponieważ panował nad nałogiem. A wartość futroperzy nie równoważyła kłopotów z transportem. Być może udałoby mu się skraść z tuzin i dostać najwyżej sześć tellanów za sztukę, a tymczasem schował już w plecaku trzysta tellanów. Nie istniał żaden rozsądny powód, by obrabować tych wędrowców. Pohandlować z nimi, owszem. Może gdyby mu pozwolili usiąść przy ich ognisku, pogadać o mrocznych dniach i wypić kiepskie wino.

Okradanie ich było samobójstwem.

Złapali go, gdy zdejmował klatkę z futroperzem z piątego wozu. Wóz chwiał się, kiedy na niego wchodził, Kosar słyszał gardłowe pomruki uprawiającej seks pary w środku. Musieli

jednak coś zauważyć, ponieważ nagle znalazł się oko w oko z dwoma wędrowcami – brzydkim mężczyzną z tatuażem i młodą długowłosą kobietą. Oboje, podnieceni rhellimem, dyszeli ciężko.

Kilka następnych minut mogłoby wydać się komiczne, gdyby nie okazały się tak bolesne i dramatyczne.

Mężczyzna zrzucił go z wozu, a potem zaczął bić i kopać. Kosar stoczył już niejedną bójkę i potrafił sobie radzić, ale nigdy dotąd nie dosięgła go taka furia. Sparował kilka pierwszych ciosów, gdy nagle jego nafaszerowany rhellimem przeciwnik powalił go na ziemię i z kiwającym się i lśniącym w świetle księżyca sztywnym członkiem zaczął kopać go w głowę. Naga kobieta zeskoczyła z wozu, by się do niego przyłączyć; mimo bólu Kosar dostrzegł, jak jest piękna. Potem biło go coraz więcej wędrowców, niemal wszyscy nadzy i naćpani. Sprała go do nieprzytomności grupa nagich mężczyzn ze sterczącymi członkami i podnieconych kobiet.

Potem związali go i pozostawili tak na trzy dni. Obozowali w pobliżu, aby obserwować jego powolną śmierć. Przyglądali się, choć niezbyt tego ciekawi, jak dzikie zwierzęta wrywają kawałki jego rąk i nóg. Jedna z kobiet rozebrała go i wlała mu do gardła strużkę rhellimu, a potem ze śmiechem patrzyła, jak członek mu twardnieje na palącym słońcu, i tak go zostawiła. W końcu, udając szlachetnych, uwolnili go.

Złożyli mu propozycję – albo zabiją go szybko i bezboleśnie, albo może sam napiętnować się jako złodziej.

Kosar własnoręcznie się pociął i obsypał rany proszkiem z wysuszonego korzenia Wilmotta, który powodował, że nigdy nie mogły się zabiżnić.

Od tej pory trudniej mu było podróżować i znajdować przyjaciół. Nawet kiedy nosił rękawiczki, przesiąkały krwią. Wszyscy wiedzieli, co robił. Uczciwi ludzie unikali go, bo był złodziejem, a złodzieje – bo dał się złapać. Dlatego podróżował po zachodniej Noreeli, szukając miejsca, w którym mógłby osiąść; zdawał sobie sprawę, że im dalej wyjdzie, tym bardziej jego życie się zmieni.

Zatrzymał się w Pavisse na kilka księżyców. Tutaj również rany go zdradzały, ale najwyraźniej w Pavisse nie miało to wielkiego znaczenia. W górniczym mieście roilo się od przestępców, którzy tworzyli coś w rodzaju podklasy, społeczność w społeczności. Było to ostatnie miasto, które odwiedził, zanim znalazł Trengborne i w nim się osiedlił.

A teraz wrócił, bo chciał odnowić starą znajomość.

* * *

Po tym jak zostawił Rafe'a u jego wuja, Kosar wędrował tętniącymi życiem ulicami Pavisse. Trengborne niekiedy przytępiało jego zmysły swoją bezbarwnością – zapachem ziemi, smakiem gotowanego mięsa owcolopy, odgłosami gospodarskich prac i życiem rodzin

zajmujących się swoimi przyziemnymi sprawami – ale tutaj obudziły się na nowo. Wonie, dźwięki, widoki ulic oszołomiły na chwilę Kosara, zmęczonego wędrowca; uświadomił sobie, że jego przeszłość stopniowo zaciera się dzięki wciąż świecącym nad Trengborne słońcu i myśli, że znalazł swoje miejsce na ziemi. To mu się nie spodobało. Cieszył się życiem, które sam sobie ułożył. Miał nawet poczucie dokonującej się odnowy, wrażenie, że rekompensuje sobie doświadczenia dotychczasowego życia. Niczego nie odkupuje, nigdy nie odkupuje. Po prostu zmienia na lepsze swój los.

Teraz powrócił do świata. Żał mu było Trengborne i jego mieszkańców, przeraziło go i wstrząsnęło nim to, czego stał się świadkiem, i musiał porozmawiać z jakąś dobrą duszą. Już sam ten fakt dowodził, jak bardzo zmieniło się jego życie wędrownego złodzieja.

Spędził tu tylko kilka księżyców, ale poznał przyjaciół, łajdaków i włóczęgów takich jak on, szczęśliwych, że dniami i nocami przesiadują w karczmach i tawernach, opowiadają o swoich wyczynach, wyolbrzymiając je, i domagają się szacunku od takich jak oni samochwałów. Kosar nigdy nie upiększał swojej przeszłości, nie dodawał jej blasku. Czasami bardzo się starał bagatelizować to, kim był i co robił. Teraz, po powrocie, zmieniał się.

Zaprzyjaźnił się wtedy z wyjątkową kobietą. Poszukiwał jej teraz. Uważał, że ona może coś wiedzieć o tym, co widział w Trengborne, o Czerwonym Mniechu, który wymordował wioskę, o tym, co to wszystko znaczy. Była prawdziwą podróżniczką, potomkinią Shantasi, rasy sprowadzonej przed tysiącami lat do Noreeli, by popadła w niewolę. Prawdziwa ojczyzna Shantasi została zapomniana dawno temu. Niektórzy powiadali, że znajdowała się na wyspie położonej na wschód od Noreeli, od której dzieliły ją tysiące mil bezkresnego oceanu. Inni wierzyli, że Shantasi zostali zrodzeni przez zbłąkane duchy gór Kang Kang, że ich biała skóra pozwala im maskować się wśród śniegu, a ich zadaniem jest zapewnić tym bezcielesnym bytom życie w istotach z krwi i kości. Sami Shantasi nigdy nic nie mówili o swoim pochodzeniu, ale nie potrafili ukryć jednego ze swoich największych darów – wiedzy.

A'Meer Pott była także ostatnią kochanką Kosara.

Tawerna Pod Złamanym Ramieniem wyglądała dokładnie tak samo, jak za jego ostatniej tu bytności. Na wywieszce nad drzwiami widniała potężna machina, której przeznaczenie i zastosowanie zatraciły się w pomroce wieków, jej ramię z metalu i ciała było wyrwane i zgięte w łokciu. Trudno by odgadnąć, czy wypływało z niego czerwone jak krew wino, czy też czerwona jak wino krew. Kosar wciąż nie mógł się nadziwić, że taka biedna knajpa sporo zapłaciła artyście za to dzieło. Często w niej o tej biedzie rozmawiano.

Kosar zamknął łokciem drzwi za sobą i uśmiechnął się lekko, gdy gwar przycichł. Chował ręce, żeby klienci nie mogli dostrzec jego zakrwawionych rękawiczek. Rozejrzał się z udawaną obojętnością, jakby szukał wzrokiem baru. Miał nadzieję, że A'Meer zawoła do niego z ciemności, ale chyba nie powinien, na zdrowy rozum oczekiwać, że wciąż tu będzie.

Kiedy zrobił pierwszy krok, tawerna szybko się ożywiła. Oparł się o bar i zamówił piwo. Barman chyba nie poznał go po tak wielu księżycach. Ciągle przewijało się tu mnóstwo

podróźnych i przestępców, a Kosar – ot, jeden więcej.

– Które? – burknął barman.

Kosar uniósł brwi.

– Macie więcej niż jeden gatunek? Naprawdę, podniósł się wam standard.

– Nie kpij sobie, bo oberwiesz, złodzieju. Mamy portowy browar albo starego skurwiela.

Kosar uśmiechnął się i sprawiło mu przyjemność, że barman odpowiedział uśmiechem.

– W takim razie dużego starego skurwiela.

Barman – Kosar nie zapytał, jak się nazywa – nalewając, zaczął niekończący się monolog. Kosar pamiętał go od chwili, kiedy tu ostatnio był.

– A więc przychodziłeś tu wcześniej, co? Nie przypominam sobie twojej twarzy, i nic dziwnego. Od dawna przestałem już widzieć twarze. Widzę tellany toczące się po barze i to mnie uszczęśliwia, bo po to tu jestem. Czasami dostrzegam twarze ładnych kobiet, ale kiedy stąd wychodzą, są zazwyczaj brzydkie. A zawsze są brzydkie w środku, podobno muszą takie być, skoro tu przychodzą. Nie słucham ich, niczego nie słucham. Lubię moich klientów, zawsze lubiłem. Biedacy nie udają, nie stwarzają pozorów, że są kulturalni, porządni i przestrzegają prawa. Oni są uczciwi. Wiedzą, jak kręci się ten świat, i nie wstydzą się do tego przyznać. Biorą z niego, co mogą i kiedy mogą, i cieszą się, czym chcą. Podoba mi się to. – Ze stuknięciem postawił kufel starego skurwiela, cofnął się i westchnął, jakby oglądał niedawno ukończone dzieło sztuki. – Pół tellana. Dużo, przyznaję, ale tylko spróbuj.

Kosar podał mu monetę.

– Jeden dla ciebie – powiedział i z przyjemnością zobaczył błysk wdzięczności w oczach barmana.

W rogu tawerny nagle wybuchł śmiech i Kosar odwrócił się gwałtownie. Jak mogą się śmiać, pomyślał, kiedy Trengborne jest martwe, zmasakrowane? Jak mogą się tak śmiać? Ale oni oczywiście o tym nie wiedzieli, nie wiedział nikt poza nim i młodym Rafe'em Baburnem. Kosar z zawiścią spojrział na roześmianą grupę. Trzej mężczyźni, trzy kobiety – dobrze czują się w swoim towarzystwie, bez skrępowania okazują sobie sympatię, rozmawiają swobodnie, lekko. Gdyby to on miał tak mało trosk i tak wielu przyjaciół.

– Chyba nie znasz A'Meer Pott? – zapytał barmana. – Jest Shantasi i trzy lata temu bywała tutaj.

– Nadal przychodzi. Prawdę mówiąc, pracuje dla mnie od czasu do czasu.

Kosar zmarszczył brwi, starając się nie wyobrazić sobie, na czym polega ta praca.

– Nie martw się, złodzieju – uspokoił go potężny mężczyzna – To nie taka praca, o jakiej myślisz. Pozostawiam ją Drgającej Cipce, tam dalej. Pod Złamanym Ramieniem jest miejscem, w którym daje się odpocząć umysłowi, a nie uprawia gimnastyki cielesnej. Nie, A'Meer sprząta tu, pracuje w barze, czasami gotuje, jeżeli ktoś zechce coś zamówić.

– Będzie dzisiaj?

– Powinna przyjść przed zachodem słońca. Miła jest, ta A'Meer. Bardzo mądra.

Prawdziwa podróżniczka, tak przynajmniej wciąż nam mówi. Choć fakt, że pozostała tutaj tak długo, wydaje się trochę zakłócać ten obraz.

– Jest prawdziwą podróżniczką – potwierdził Kosar i się uśmiechnął. Przypomniał sobie, jak snuła różne historie i mówiła o niedowierzaniu ludzi, kiedy uparcie udawała, że rzeczywiście się wydarzyły. – A dla Shantasi kilka lat nic nie znaczy. Żyją długo.

Barman pochylił się i dał Kosarowi gestem znak, by przysunął się bliżej.

– Kiedyś powiedziała mi – zdradził konspiracyjnym szeptem – że była aż na samym końcu Grzbietu.

Kosar kiwnął głową.

– Mnie także.

Barman zmarszczył brwi, cofnął się i zdjął z haka kufel, by obsłużyć następnego klienta.

– Grzbiet nie ma końca.

– Podobno powinniśmy w to wierzyć. – Kosar uniósł kufel, jak wznosi się toast, i odszedł od baru. Zaczął szukać wolnego stolika. Znalazł go pod drewnianymi schodami prowadzącymi na pięterko również zastawione stolikami. Usiadł przy nim sam; rozglądając się wkoło; niemal wtopił się w otoczenie. Dostrzegł, że kilku klientów zerka w jego stronę, ale w ich spojrzeniach nie widział ani groźby, ani jakiegoś szczególnego zainteresowania. Większość przyszła tu, żeby zapomnieć o starych kłopotach, a nie sprowadzać na siebie nowe.

Drewno blatu pokrywały napisy – jedne nowe, inne stare, a każdy opowiadał jakąś historię. Znalazło się tu wiele imion; i większości z nich towarzyszyły uwagi o funkcjach, a także imponujących lub żalonych rozmiarach organów seksualnych. Wymieniano także nazwy miejsc, często zuchowało, na przykład: „Poszedłem do Kang Kang i śmierdzi tam gównem”. Tu i ówdzie widniały komunikaty: „Xel – spotkajmy się na moście Zakonników, o zachodzie słońca w księżycownik – Yel”. Kosar był ciekaw, czy Xel i Yel się spotkali, po co i co z tego wynikło. Zastanawiał się także, czy żyją, a jeżeli nie, to czy umarli szczęśliwi. Śmierć stała się bezpłatnym towarem, rozdawanym pod wpływem kaprysu zarówno przez milicję, jak i morderców. I Czerwonych Mnichów. Czerwony Mnich wyciął w pień całą wioskę...

Kosar rozejrzał się po tawernie i zadrżał. Słyszał, o co Czerwony Mnich pytał dzieci na moście, zanim je zabił. Gdzie jest Rafe Baburn? Jedynym wieśniakiem, którego szaleniec nie zabił, był właśnie ten, którego szukał. Wydawało się to przesłaniem, bardziej tajemniczym niż to wycięte w dębowej desce stołu tawerny i zarazem o wiele ważniejszym. Jeżeli jednak Czerwony Mnich dokonywał swojego dzieła, oznaczało to tylko jedno: że magia wróciła do krainy. A skoro Mnich szukał Rafe’a...

Pokręcił głową i pociągnął duży łyk piwa. To rzeczywiście był stary skurwiel – przepływał przez żołądek i po kilku minutach zmaćił Kosarowi wzrok. Od dawna nie pił czegoś takiego – w Trengborne miał szczęście, jeżeli dostał butelkę kwaśnej berbeluchy – i

musiał zachować ostrożność. Nie chciał powitać A'Meer, puszczając na nią pawia.

Piwo było mocne, ale nie pokonało strachu zasianego w jego umyśle. Kosar nigdy jeszcze nie był tak przerażony. Bał się wiele razy w życiu – o siebie i tych, których niekiedy miał powód nazywać przyjaciółmi – ale nigdy nie był przerażony! Nawet gdy wędrowcy zwiążali go i przyglądali się, jak łasica ogryza mu udo, nie wątpił, że przeżyje. Może była to butna pewność siebie młodego mężczyzny, kogoś, kto niemal zawsze umiał ukraść to, co chciał, ale mimo wszystko dzięki niej wybrnął z kłopotów. Tym razem coś się zmieniło. Wcześniej lęki wiązały się ze znanymi zagrożeniami – nożem w ręku jednego człowieka, batem innego, stadem toczników, które ścigały go dzień i noc po górach Kang Kang. Tamte niebezpieczeństwa były konkretne, zrozumiałe. A teraz przerażało go coś, co przekształciło się w mit i legendę. Pośrednio, co prawda, ale wcale przez to nie mniej wyraźnie i dotkliwie.

W czasie podróży Kosar dowiedział się co nieco o magii, o tym, jak kiedyś złączyła się z krajem, i o tym, jak przestała działać, kiedy dwóch Magów nadużyło jej do własnych celów. Zostali wyrzuceni z Noreeli pod koniec Wojny-Katastrofy, wygnani na północ, w nieznaną. Wzdłuż Grzbietu – łańcucha wysp wcinającego się w morze na północ od Noreeli – zorganizowano posterunki obserwacyjne; miały ostrzec o ich powrocie, gdyby zdołali przeżyć i szukali zemsty. Ale w tym przypadku rzeczywiście pogłoski zwyciężyły, gdyż krążyło więcej legend o Grzbiecie niż o śmiertelnych górach Kang Kang. Grzbiet jest nieskończony i Magowie nadal podróżują wzdłuż niego. Porusza się i przesuwają przez stulecia jak gigantyczny ogon Noreeli i jeżeli jego koniec choćby dotknie miejsca, gdzie znaleźli się Magowie, oni powrócą razem ze swoimi armiami, rozwścieczeni wiekami wygnania.

A'Meer rzeczywiście była na Grzbiecie i powiedziała Kosarowi prawdę – wcale nie jest nieskończony. A choć posterunki strażników nadal są obsadzone, a wyspy zasiedlone, właściwie niewiele znaczą.

Właśnie to przeraziło Kosara. Magia wróciła. Niegdyś dobrze służyła ludzkości – dbała o równowagę w przyrodzie i pozwalała zrozumieć język ziemi. Ale Magowie, jeżeli nadal żyli, mogli mieć swoje sposoby i środki, by się o tym dowiedzieć. Czerwoni Mnisi – członkowie zakonu, który przysiągł, że nie dopuści, by Magowie zawładnęli magią, gdyby się odrodziła – szukali Rafe'a Baburna.

A Kosar złodziej, czy mu się to podobało, czy nie, był w to wszystko zamieszany.

* * *

A'Meer wyglądała dobrze jak na swój wiek. Powiedziała Kosarowi, że ma prawie sto norleeańskich lat, a mimo to wydawała się młodsza niż on. Była niska, szczupła, ale nie chuda; długie, czarne włosy zaplotła w dwa warkocze po obu stronach jej białej jak śnieg twarzy. Ta bladość podkreślała wszystkie cechy jej urody – od głębokich czarnych oczu, po bladoczerwone wargi. Jak zwykle ubrała się na czarno. Kosar słyszał różne określenia

Shantasi – chodzące trupy, żywe cienie albo anielscy posłańcy na ziemię – i stwierdził, że odzwierciedlają rzeczywistość. Podobnie jak noreelanie, Shantasi kroczyli wąską ścieżką między radością a potępieniem.

Przyglądał się, jak wchodzi Pod Złamane Ramię, uśmiecha się do niektórych klientów i wymienia pozdrowienia. Podeszła do baru i Kosar ucieszył się, że zdążyła zaprzyjaźnić się z barmanem. Przez kilka minut, kiedy A'Meer zdejmowała płaszcz i coś tam wypija, sprawiali wrażenie, że rozmawiają o byle czym. Barman zerknął w stronę ciemnego zakamarka, w którym siedział Kosar, on jednak pokręcił głową i przyłożył palec do ust. W końcu A'Meer zajęła się swoją pracą; przyglądał się, jak chodzi między stolikami, zbiera kufle, wyciera rozlane piwo i gawędzi z klientami. Coraz bardziej tęsknił za czasami, kiedy byli razem.

Ich związek trwał krótko, oparty bardziej na pożądaniu niż czymkolwiek innym. Spotkali się właśnie tutaj i zachwył, z jakim opowiadali sobie o podróżach, bardzo szybko zbliżył ich do siebie. Oczywiście, opowieści Kosara były blade i nijakie w porównaniu z jej relacjami, które słyszał przez kilka następnych księżyców. Pierwszy wieczór zakończyli pijani, w swoich objęciach, i zanim zdolali się zorientować, znaleźli się u Kosara i uprawiali seks jak starzy kochankowie. Czerwone jak wiśnie sutki na tle idealnie białej skóry, czern włosów na jej podbrzuszu niczym czarna dziura w dziewiczym śniegu, czarne włosy rozrzucone tak, że spadały, rozpościerając się na jej ramionach i piersiach – wszystko to doprowadziło Kosara do szaleństwa. Wyszli z jego pokoju dwa dni później, ale tylko po to, by coś zjeść i wypić.

Seks dominował w ich związku, ale zrodziło się również między nimi głębokie i trwałe zaufanie, według nich obojga coś nowego, świeżego. Kosar był napiętnowanym złodziejem, rzadko kto mu ufał i zapewne niewielu zaufa w przyszłości. A'Meer była Shantasi, przedstawicielką rasy nawet po tak długim czasie odrzucanej przez noreelan, od których dzieliły ją zarówno odmienny wygląd, jak i mglista przeszłość. Byli kochankami i dobrze im było we własnym towarzystwie. Wyjawiał jej wiele o sobie, również rzeczy, które dziwił się, że w ogóle je pamięta. Ona dzieliła się relacjami ze swoich podróży, opowieściami o tym, co widziała, i marzeniami, co jeszcze chciałaby zobaczyć.

Rozstanie z A'Meer i Pavisse było ostatnim aktem pokuty wędrownego złodzieja szukającego domu.

Czekając na A'Meer, Kosar wypił trzy kufle starego skurwiela i już zakręciło mu się w głowie. Musiał coś zjeść, przespać się, uciec od koszmarów poprzedniego dnia. Przyglądał się jej, jak się zbliża, przechodząc od stolika do stolika, zbiera kufle, czasami gawędzi z klientami. Wytarła jego stolik, na który specjalnie rozlał trochę piwa. Odchylił się w krzesło, skrywając twarz w cieniu pod schodami.

– Jeszcze jeden kufel starego skurwiela – powiedział cicho.

– Zrobię tu porządek, ale nie będę cię obsługiwać. Przynieś sobie piwo z baru, przyjacielu, i tym razem spróbuj go nie rozlać. Stary skurwiela jest zbyt drogi i dobry, żeby go marnować.

Kosar złapał kufel, zanim zdołała po niego sięgnąć, i podał go jej.

– Złodziej – odezwała się łagodnie, widząc jego zabandażowane dłonie. Pochyliła się, zajrzała pod schody i jej twarz rozpromieniła się w radosnym uśmiechu. – Kosar! Zdradziecki stary sukinsynu, co, na litość Magów sprowadza cię z powrotem do tej śmierdzącej kloaki?

– Ty – odparł, zadowolony, że się ucieszyła. Bądź co bądź nagle ją opuścił, niewiele wyjaśniając.

– Kłamca! Zateśniłeś za piwem, co? I za Pavisse, tętniącym życiem ośrodkiem kultury i sztuki. – Przysunęła sobie krzesło, zawahała się, pochyliła i uściskała go serdecznie, a potem usiadła.

– A’Meer, cudownie cię widzieć. – Mówił szczerze. Czuł ogarniającą go panikę, przerażenie mieszało się z odurzeniem alkoholem, a jej znajoma twarz dodawała mu otuchy.

– Nawzajem. Od lat nie kochałam się z nikim tak dobrze jak z tobą.

Kosar roześmiał się mimo woli.

– A ja od rozstania z tobą wcale – oznajmił.

Jej oczy rozszerzyły się lekko, nic jednak nie powiedziała. Upłynęło wiele czasu i chociaż oboje najwyraźniej cieszyli się, że widzą się znowu, byli skrepowani. Miał nadzieję, że wkrótce to minie.

– Dlaczego opuściłeś swoją wioskę? Teraz, kiedy przywykłeś do tego, że zostałeś napiętnowany, znowu zaczyna kusić cię życie podróżnika? – Ujęła jego dłonie, rozwinęła bandaż i skrzywiła się lekko, widząc krwawe rany na czubkach palców. – Kosar, i to wszystko za kilka futroperzy? Pamiętam, co robiłam, żeby złagodzić ból. A ty? – Figlarnie uniosła brwi; tak, dobrze pamiętał.

– A’Meer, dzieje się coś złego – wydusił i ton jego głosu zepsuł nastrój.

Kosar nagle poczuł się tak, jakby nigdy się nie rozstawali i nadal siedzieli Pod Złamanym Ramieniem, opowiadali sobie różne historie, sączyli alkohol i zagłębiali się w poważne dyskusje o tym, jak powinno się zmienić rzeczywistość, jak można poradzić sobie z utratą magii i przeżyć. Wszystko się rozsypuje, mówili wówczas, i A’Meer opowiadała mu o równinach na południe od Kang Kang, gdzie z nieba spadły różne rzeczy, a powietrze przeobraziło się w szkło.

– Jak złego? – spytała. Kiedy Kosar nie odpowiedział, puściła jego ręce i usiadła na krześle. – Tak złego, że musimy wziąć butelkę berbeluchy, żeby o tym mówić?

– Weź dwie – powiedział smutno.

– O kurwaMag. – A’Meer wstała i podeszła do kontuaru. Zamieniła kilka słów z barmanem, poklepała go po ramieniu i wróciła do stolika z dwiema butelkami czarnej berbeluchy. – Mam wolny wieczór – oznajmiła.

Kosar kiwnął głową, zerwał kapsel z butelki i nalał alkohol do przyniesionych przez A’Meer szklanek.

– A’Meer – powiedział, unosząc swoją i patrząc, jak płyn zdaje się pochłaniać światło. –

Czuje, że wkrótce coś się stanie.

7

Nie czuł zimna. Miał jedyne mgliste wyobrażenie o rzeczach, kształcie, proporcjach i kierunku, w jakim zmierzał, co ledwo wystarczało, by wskazywać mu drogę; pogubił się w abstrakcyjnych koncepcjach, jak sprawy powinny wyglądać w przeciwieństwie do tego, jak w rzeczywistości wyglądają. Jego świat należał do niego, zawierał się w jego potencjalnym umyśle, w którym pojawiały się jak dotąd tylko instynkty, ale nie było doświadczenia, historii, niczego, co kształtowałoby go w większym stopniu, niż uczyniła to już natura. Miał wady, nie musiała wkraczać w to żadna zewnętrzna siła. Leżały w jego naturze.

I nawet o tym nie wiedział. Wydawał się sobie idealny. Tak powiedział mu jego bóg i bóg wysłał go w tę drogę, w konkretnym celu przeniósł z nieskończonego oczekiwania do tego świata. Ma znaleźć sobie dom, nakazał bóg, miejsce, w którym osiadzie i dojrzeje, pozwoli, by to, co w nim ukryte, przeniknęło do krwi i kości, do serca i pragnień, umysłu i ciała. A potem – to najtrudniejsze – będzie mógł opuścić ten dom i powrócić.

Kierował się instynktem, a instynkt mówił, by nigdy nie wracać. Ale coś w jego naturze czyniło go, jak mówił bóg, lepszym niż idealny. Wyjątkowym. Dawał temu cieniowi, tej pustej przestrzeni potencjalnego umysłu duszę, doświadczenie i istnienie, coś w rodzaju życia.

Był lojalny wobec swego boga.

Podróżował szybko, poszukując szeptów, które niosły się echem w przestrzeni wokół niego. Polecono mu wypatrywać idei, słów, wizji. Szepty wprawdzie umilkły, ale cień znał kierunek, tyle że odległość nie została określona. Wędrował pod powierzchnią świata, za prawdziwym życiem, i chociaż tkwiła w tym tak ogromna pokusa – pragnienie było potężne, moc ogromna, a on za wszelką cenę pragnął się uwolnić – wiedział, że powinien czekać. Otrzymał polecenia. Dlatego też przecinał przestrzenie, w których nigdy nic nie było, mijał istoty podobne do siebie, również czekające cierpliwie na dar życia. Nie zauważały go, choć zbadano je potem kolejny raz, aby wykryć wszelkie niedoskonałości. Nie wykryto żadnych – stworzono byt doskonały. Ten przesuwany cień był osobliwością, echem czegoś nie z tego świata, a coś, czego się nie zauważa, nie może być zapomniane.

Zanurzył się w innym świecie i nagły szok życia wydobyl natychmiast:

krótki moment zimna, kiedy uderza w pole bieli, rzeczy umykają w popłochu, biel krzepnie

i rozjaśnia się na jego drodze;

więcej zimna, zawieszzonego w cieczy;

życie kwitnie, i się rozmnaża, życie tak małeńkie, jak ułamek niczego, lub tak wielkie, jak umysł jego boga, zszokowane jego krótkim pobytem;

coś bardziej trwałego, bogate w historię życia, choć niepokazne, uśpione rzeczy, starsze nawet niż jego bóg, które stawiają opór poznaniu.

Cień wycofuje się, jakby przestraszony. Doświadczył pierwszej prawdziwej emocji, i tak być powinno.

Czas mijał, chociaż cień nie znał pojęcia czasu. Miejsca, przez które przelatywał, stawały się cieplejsze, oceany bardziej pełne życia, niebo jaśniejsze i coraz bardziej ożywione. Nic go nie dostrzegło, bo niczego nie było, niczego, co wyczułyby zmysły – ale niepokojący przelot sprawił, że ławica wielorybów ostrzowych popłynęła na odległą plażę, sokół olbrzymi runął w morze, a załoga łodzi rybackiej poczuła żądzę mordy.

Poruszał się dalej, wciąż nasłuchując szeptów, by zanieść je swojemu bogu.

8

Tatuaże Nadziei zdawały się odzwierciedlać jej nastrój. Podkreślały wyraz twarzy, a teraz, kiedy mówiła ze smutkiem o przeszłości, sprawiły, że opadły kąciki jej ust, głębokie zmarszczki zarysowały się wokół jej oczu, nadając jej wygląd staruszki.

Chłopak wciąż nie udzielił jej zadowalającej odpowiedzi. Tylko ona mówiła z sensem, nawet jeśli niezrozumiałym i przerażającym. Innymi sposobami mogła to sprawdzić, ale za bardzo się bała. Gdyby się przyjrzała i stwierdziła, że to prawda, otrzymałaby znak, że wszystko się kończy. Kończy i zaczyna od nowa.

Dla tej chwili żyła.

* * *

– Ale ja jestem tylko wiejskim chłopakiem – powtórzył po raz kolejny Rafe, jakby jego upór mógł uczynić to wyznanie prawdą.

Nadzieja z frustracją pokręciła głową i jej sterczące jak kolce włosy smagnęły powietrze.

– Jesteś niemożliwy, tyle ci powiem!

Wstała i poszła nalać im obojgu trochę wody. Rafe nie bardzo wiedział, co miała na myśli.

Chciał zwinąć się w kłębek i zasnąć. Znajdował się wprawdzie w niesamowitym miejscu, z tą dziwną kobietą, ale był wyczerpany fizycznie i umysłowo, a sen wydawał się kuszącą kryjówką. Mógłby śnić o rodzicach, ale równie dobrze mogli się nie pojawić w jego śnie. Miał nadzieję, że jeżeli będzie śnił, to będzie widział ich żywych. W tej innej rzeczywistości czekało na niego mnóstwo dobrych wspomnień.

– Jak wyjaśniasz, co słyszysz? – po raz kolejny spytała Nadzieja.

– Nie wiem, co słyszę! Po prostu... różne rzeczy. Szepty. Słowa, których nie znam, nie wiadomo co.

– Nie wiadomo co? – Podała mu szklanekę wody. Już go o to pytała, ale teraz sprawiała wrażenie zdeterminowanej.

– Nadziejo, nie wiem, mówiłem ci. To jak... Próbowalaś kiedyś wytłumaczyć sen? Naprawdę dziwny sen, dla ciebie całkowicie zrozumiały, dopóki go śnisz, ale kiedy się

kończy, a ty się ockniesz, nie możesz wyrazić go słowami, nawet sama nie potrafisz znaleźć w nim sensu?

Nadzieja wpatrywała się w niego i kiwała głową.

– To właśnie słyszę. Coś, czego nie umiem wytłumaczyć. I nie rozumiem tego nawet wtedy, kiedy to słyszę.

– To, co słyszysz – stwierdziła – jest prastarym językiem. Teraz niewielu go zna, a jeśli się nim posługują, to wyłącznie między sobą. To język ziemi, Rafe. Język magii.

– I co to znaczy?

Powtarzała mu to kilka razy – stare języki i słowa, których już nikt nie używa. Ale nie znajdował w tym sensu. Absolutnie nie potrafił zapomnieć o śmierci rodziców ani jej zrozumieć. Potrzebował snu.

Nadzieja z westchnieniem spojrzała na swoje dłonie. Poruszały się, tak jakby coś wyciskała. Wyznała mu, że była dziwką. Te dłonie niejedno robiły.

– Jestem starsza, niż ci się wydaje, Rafe – powiedziała. – Jestem wiedźmą. Mam sposoby, żeby zachować młodość. – Wskazała gestem swój pokój pełen roślin, korzeni i martwych rzeczy wiszących na ścianach; i półki ze starymi książkami, a także ciemne pojemniki z niewidoczną zawartością. – I całe życie czekałam na ciebie. Musisz wiedzieć o magii, którą żyła Noreela przed Wojną-Katastrofą? To dobre czasy. Świat był w zgodzie z samym sobą i jeżeli czerpaliśmy z natury, ona nas obdarowywała. Wszystko to skradli Magowie, bo byli chciwi, pazerni i dumni. Uważali, że panują nad siłami przyrody i mogą podporządkować sobie świat. A teraz z ich powodu nie ma pokoju na świecie i im więcej bierzemy, tym bardziej kraj umiera.

– Moi rodzice zawsze mówili mi, że te opowieści to bardziej mit niż prawda.

– Dokładniej, mnóstwo mitów – przytaknęła Nadzieja, śmiejąc się niezbyt wesoło. – Ale również mnóstwo prawdy. W tych opowieściach kryją się i prawda, i mit. Nie podróżowałeś po kraju, nie widziałeś, jak bardzo się zmienia.

– Czekałaś na mnie? – zapytał Rafe cicho, bezradnie.

– W mojej rodzinie zawsze były wiedźmy, Rafe, nawet przed Wojną-Katastrofą. Wtedy babka babki mojej matki używała magii, aby pomóc jej leczyć ludzi, opiekować się nimi. A ponieważ przyroda odebrała magię, moi przodkowie i ja używaliśmy ziół, przypraw i mikstur, tego, co nam pozostawiła. I zawsze niezłomnie wierzyłam, że przyroda pewnego dnia nam wybaczy. To proroctwo powtarza niewielu, a wierzy w nie jeszcze mniej. Powiada ono, że magia powróci i odrodzi się w dziecku.

– Nie jestem dzieckiem.

– Jesteś niewinny. Skąd pochodzisz?...

Rafe wypił łyk wody i pomyślał o głosach i dźwiękach, które czasami słyszał, o tym jak zdawały się tak dobrze go znać, mimo że on nie potrafił ich zrozumieć. I przypominał sobie dzień, w którym jego rodzice powiedzieli mu o tym, jak go znaleźli, porzuconego, samego na

zboczu wzgórza.

– Wiem, o czym mówisz – odparł. – Przynajmniej tak sędzę. Nie jestem pewien. Pogubiłem się. Jestem tylko wiejskim chłopcem!

– Są sposoby, by się upewnić – oznajmiła Nadzieja; wstała nagle z krzesła i wyciągnęła rękę do Rafe’a.

Odsunął się w tył łóżka.

– O co ci chodzi?

– Twoi rodzice nie byli twoimi prawdziwymi rodzicami, prawda? – Stała z wyciągniętymi rękami, jakby gotowa złapać go, gdyby upadł.

Skąd ona to wie?

– Skąd to wiesz?

– Ponieważ nie mogli nimi być.

– Dlaczego?

Nadzieja podeszła do niego z uśmiechem, ale kryło się w nim coś, co mu się nie spodobało. Przeszłość, desperacja.

– Mogę ci pokazać – powiedziała. – Możemy obejrzeć to razem. Jesteś zmęczony, Rafe. Popatrz... spójrz... nigdy się nie zastanawiałeś? – Chwyciła go za koszulę, a on nie miał siły się cofnąć. Poczul, jak jej ostre palce go drapia, gdy podnosiła mu koszulę; nagle westchnęła i wbiła wzrok w jego brzuch. – Nigdy cię to nawet nie zdziwiło?

– Co? – Jego głos dobiegał z daleka, bo Rafe zasypiał.

– Nie masz pepka – szepnęła. – Tak. To jesteś ty. – Spojrzała na niego i się uśmiechnęła.

Coś do niego szeptała, ale usta Nadziei nie poruszały się. Czul zapach trawy na rozległej, muskanej słońcem łące, choć za ścianami jej pokoju słyszał dźwięki Pavisse żyjącego swoimi ponurymi sprawami.

– Jesteś zmęczony, wiejski chłopcze?

Skinał głową, zaczął widzieć jak przez mgłę, pokój zakotłosał się. Czul, jak smak świeżego, górskiego powietrza zwycięża piekącą gorycz Pavisse.

Nadzieja szeptała, ale już jej nie rozumiał. Słuchał czegoś innego, czegoś, co, dla niego tajemne, zapraszało go, by zapadł w głęboki sen. A tam czekały dobre wspomnienia.

* * *

Nadzieja wzięła szklankę wody z dłoni śpiącego chłopca i wylała ją do ścieku. Starannie umyła kilkakrotnie naczynie, zanim odstawiła je na półkę. Kilku szczurom kanałowym zakręci się dziś po południu w głowie, pomyślała.

Długo siedziała, obserwując Rafe’a; patrzyła na jego odsłonięty brzuch. Biedaczek, przeszedł tak wiele, widział okrutną śmierć swoich rodziców i przyjaciół. Zasłużył na odpoczynek. Jego powieki już drżały, kiedy przeżywał chwilę wytchnienia od zła tego świata.

Nadzieja się bała. Przez całe życie oczekiwała powrotu magii. Nazywała siebie wiedźmą, ale zawsze pragnęła tylko jednego: żyć swoim życiem. Chciała leczyć magią, nie ziołami, szaleństwo dotknięciem palców i kilkoma wypowiedzianymi słowami, a nie, daremnie, miodem. I przez wszystkie te lata wciąż szukała.

A teraz znalazła Rafe'a.

Miała w swoim łóżku setki mężczyzn, ale niewielu pozwalała w nim spać. Przychodzili do niej pijani albo samotni, uprawiali z nią seks, a potem płacili opowieściami – gdzie byli w czasie swoich podróży, kogo spotkali, co widzieli. Pytała ich, czy docierały do nich jakieś pogłoski z Kang Kang, lecz wszyscy poza nielicznymi nawet wspominać o tym nie chcieli. „Myślisz, że kiedykolwiek bym się tam wybrał? – mówili. – Uważasz, że zwariowałem? Nawet nie słucham rozmów o tym miejscu, więcej nie myślę o nim. O innych sprawach również”. Płacono jej czczymi pogłoskami, plotkami podróżnych, szeptami na wietrze. Większości jej klientów bardzo to odpowiadało i wielu z nich wracało dzień po dniu, rok po roku. Zatem mieli jej do przekazania nowe opowieści. Zawsze szukała wiedzy, przyglądała się życiu zaspokojonych seksualnie mężczyzn w nadziei na odnalezienie ukrytych prawd i rzeczywistości, które same w sobie nie miały sensu, a jednak rozpatrywane jako całość mogły pewnego dnia powiedzieć to, co tak dawno chciała usłyszeć – że magia znowu jest w kraju.

Rafe wymamrotał coś przez sen. Nadzieja wyjęła słuch, ale mówił po noreelańsku.

Oddychała ciężko, starała się nie pokładać nadziei w tym zagubionym chłopcu. Świat stawał się coraz bardziej brutalny, cóż więc znaczyła rzeź w maleńkiej wiosce. Ale Nadzieja teraz była tu i patrzyła na żywy dowód.

Już wiedziała – przekazywane szeptem słowa jej matki i babki, które wypowiedzieli kiedyś ich przodkowie, magicy i szarlatani, były prawdziwe. Nie słyszała ich nigdy potem, choć o nie pytała, i zaczęła podejrzewać, że ten przekaz mogą zrozumieć tylko kobiety. Bo one go pojęły. Żaden mężczyzna nie wyobrażał sobie, co mogą oznaczać narodziny cudu.

On jednak słyszy głosy ziemi. Słyszy szepty, czuje nurt rzek pod stopami, oddech świata muskający jego skórę. Nie dręcz się, Nadziejo! Nie tak trudno uwierzyć.

Wstała i odwróciła się do Rafe'a mamroczącego przez sen. Nie rozumiała jego bełkotu.

Spoglądała na ściany swojego małego pokoiku i widziała wszystko, co czyniło ją tym, kim teraz była – oszustką, szarlatanką, profanatorką magii. Nie władała magią, mimo to nazywała siebie „wiedźmą” i niektórzy głupcy nawet się jej bali. Stare lęki muszą tkwić głęboko we krwi, pomyślała, i to nawet głębiej niż historia. Mogła wykorzystać setkę powszechnie znanych ziół, korzennych specyfików i leków, a także kilka nieznanymi, jak ślina tocznika, hedgehock, rutard, Szaleństwo Księcia, suchy fledź z odległych regionów, rosa z traw, z krzewów, ze skał, Nemezis Willmotta, miód GG. W rogu pokoju rosło małe drzewko trucizny ziemi, które podlewała krwią szczurów. W słoikach znajdowały się ciała lub części ciał rozmaitych stworzeń żyjących w Noreeli, przeważnie znanych, ale i bardzo rzadkich, jednego lub dwóch niemal mitycznych. O zastosowaniu niektórych wywarów i

mikstur nawet ona niewiele wiedziała – obdarzyła ją nimi matka, a Nadzieja ich nigdy nie otworzyła. Wiele słoików z czasem pociemniało i Nadzieja nie miała pojęcia, co w nich żyje.

A jednak... nie było w tym magii. Jedyne sztuczki i triki, oszustwa i radość z nich. W końcu nauczyła się przyrządzać mieszanki, leczyć bogactwem ziemi, a w razie konieczności także sprowadzać choroby. Miała niezły dochód ze swoich lekarstw, ale jeszcze większy z trafiających się od czasu do czasu bardziej nieprzyjemnych robót. Prawdziwy zarobek przynosił seks, nierząd. Zdobywała też wszakże wiedzę, szukała dowodów, że magia powróciła i wkrótce świat zacznie się zmieniać.

A teraz w jej pokoju spał chłopiec, który najwyraźniej uniknął wielkiej nienawiści Czerwonego Mnicha. Chłopiec, który słyszał nieznanne głosy i w głębi swojego naiwnego, prymitywnego umysłu doznał niejasnych wrażeń. Niczego nie potrafił wytłumaczyć, ale jego odsłonięty brzuch wyjaśniał wszystko.

Dysząc ciężko, ukłękła przed Rafe'em i zaczęła rozpinąć mu pasek. Mruknął przez sen i szepnął coś, czego nie zrozumiała. Była coraz bardziej podniecona. Słowa dawnych czasów! – pomyślała. Powoli zsunęła mu spodnie, spoglądając na jego blady, zwiotczały członek.

Chłopak nie ma pępka!

Może istniały inne tego wytłumaczenia, których się nie domyśliła, albo spowodowała to jakaś sztuczka, pokrętne oszustwo dokonane, by zabawić jej stałych klientów, którym wciąż zadawała pytania, powtarzała je i powtarzała, jakby nagle mogli coś sobie przypomnieć.

Popatrzyła jeszcze raz.

Nie ma pępka!

– KurwaMag, on naprawdę tu jest. – Tatuaze na twarzy Nadziei ciągle się zmieniały, przesuwały się i poruszały, gdy w emocjach przechodziła od lęku do uniesienia, od zachwyty do przerażenia. Miała przed sobą żywą przyszłość i martwą przeszłość. Ten chłopiec był bardziej mitem niż rzeczywistością, przypadkiem tak rzadkim, że słyszała o nim wyłącznie od matki i babki. „Magia musi powrócić – mówiły – w postaci dziecka, które nie wyjdzie z łona matki, lecz z łona ziemi w najmroczniejszym Kang Kang”. Nigdy w pełni nie rozumiała, co to znaczy, ale teraz widziała przed sobą ucieleśniony mit.

Przez kilka sekund Nadzieja wstrzymywała oddech przerażona myślą, że Rafe może nagle zniknąć. Zdawała sobie sprawę, to niesamowite, że on tu jest, niewykluczone że to, czego się dowiedział, sprawi, że stąd odejdzie. Ale on pozostał, wiercił się na łóżku i marszczył czoło, próbując zrozumieć jakiś głęboko ukryty sen, wciąż rozbrzmiewający w głowie głos, który tak bardzo usiłował przebić się do jego świadomości.

Nadzieja ujęła jego członek i ścisnęła go lekko. Poczowała, jak twardnieje w dłoni; niezwykle żar krwi płynącej w ciele chłopca jeszcze bardziej zaburzył jego sen. Kiedy penis był już zupełnie sztywny, wstała i uniosła spódnicę. Mogła wprowadzić go w siebie, mieć jego nasienie. I kim by ją to uczyniło? Częstką czegoś? Kimś więcej niż wiedźmą bez magii, głupią kobietą mieszającą zioła i śpiewającą słowa, które miały dać jej fałszywą nadzieję?

Długo czekała gotowa dokonać tego aktu, patrzyła na twarz chłopca i widziała targający nim konflikt. Jej tatuaże swędziały, kiedy toczyła wewnętrzną walkę.

Nie wiedziała, co mogłoby się wydarzyć, co mogłaby zyskać, gdyby go teraz posiadała. Ale wiedziała, co by utraciła – jego zaufanie.

Przykryła go miękkim kocem ze skór futroperzy.

– Śpij spokojnie – powiedziała. – Odpoczywaj, odpoczywaj. Słuchaj głosów, ale nie pozwól, by cię przestraszyły.

Znów popatrzyła na to, co dotychczas stanowiło sens jej życia, a nagle stało się zbędnym lekarstwem wprowadzone do żył trupa – i usiadła, by czuwać nad snem Rafe'a.

9

Decyzję o opuszczeniu Noreeli Alishia podjęła bardzo szybko.

Kiedy biblioteka przestała istnieć, straciła pracę. Przez kilka ostatnich lat oszczędziła sporo tellanów, ale w takim mieście jak Noreela nie wystarczyłyby jej do końca życia. A poza tym właściwie nic jej tu nie trzymało. Jej książki przepadły, spalone przez starego szaleńca, i miała wrażenie, że ich zniszczenie sprowadziło ją z powrotem do teraźniejszości. Zaczęła dostrzegać, że źle się dzieje. Poprzednio widziała miasto tylko w drodze do biblioteki i z powrotem. Teraz, blakając się bez celu, mogła skoncentrować się na tym, co ją otacza, wkroczyła w rzeczywistość zamiast tkwić w fikcyjnym świecie książek. Bezbronna i samotna, bała się Erva. Chłopak stajenny, stał się jeszcze większym zagrożeniem, kiedy wyczuł jej słabość, i być może zamierzał wykorzystać ją, gdy tylko nadarzy się sposobność.

Alishia zaczęła nosić nóż pod spódnicą w pochwie na udzie. To uświadomiło jej, że powinna opuścić miasto.

No i była sama. Jej rodzice zmarli, zanim dorosła; pozostały po nich książki i wspomnienia, ale niewiele więcej. Wspomnienia pomagały jej przetrwać wtedy, kiedy układała sobie życie, i w końcu znalazła pracę w bibliotece. Miała niewielu przyjaciół i nikogo bliskiego. Nigdy nie wychodziła z miasta, rzadko też zapuszczała się poza własną dzielnicę. Całe życie Alishii toczyło się w jej umyśle, w sferze fantazji czytanych książek, relacji o rzeczach bliskich i dalekich, niekiedy prawdy, czasami fikcji, najczęściej jednak pomieszanych. Jej wewnętrzny, prywatny świat był bogaty, ale prawdziwego wcale właściwie nie знаła.

Niewiele zostawiała i jeszcze mniej brała ze sobą. Kupiła konia i siodło, wydając na nie znaczną część oszczędności, i wieczorem przed wyjazdem oddała zwierzę pod opiekę Erva. Koń wywiezie ją wraz z jej skromnym dobytkiem z miasta, w nieznane.

Tej nocy Alishia nie spała. Leżała i wsłuchiwała się w odgłosy miasta – śmiechy, szepty, krzyki, wrzaski i wywołania, szczekanie psów w mrocznych zaułkach, jęki walczących w bójkach, brzęk szkła, łoskot kół wozów i letargiczny stukot kopyt przejeżdżających nieopodal źle podkutych koni – i bardziej niż kiedykolwiek czuła, że do tego świata nie należy. W głębi niej żyło coś, czego brakowało miastu – nadzieja. Nie tylko jej nadzieja, ale bogatsza – wiara, że sprawy mogą ułożyć się lepiej. A to odróżniało ją od wielu mieszkańców Noreeli.

Wydawali się zadowoleni z życia w chylącym się ku upadkowi świecie, w którym pola z roku na rok dawały coraz mniejsze plony, a morderstwa stawały się bardziej powszechne. Gdzie Okno Kaźni z miesiąca na miesiąc otwierało się coraz częściej i karano za coraz bardziej błahе przestępstwa, gdzie dzieci umierały na ulicach, ponieważ rodzice nie mogli zapewnić im domu. Jeżeli istnieli inni, którzy pragnęli dobra, a nie godzili się ze złem, to stanowili milcząca mniejszość.

Kiedy odjeżdżała następnego ranka, Erv spróbował ją pocałować. Zdenerwowana pozwoliła mu musnąć swój policzek wargami. Zacerwienił się i wymamrotał nieudolne przeprosiny.

– Żegnaj, Erv – powiedziała absurdalnie wdzięczna i zaskoczona. Zawsze bała się tego chłopaka i wyczuwanej w nim skłonności do przemocy, ale teraz sprawiał bardziej żalossne niż groźne wrażenie. Zastanawiała się, czy jej podejrzenia nie były przypadkiem konsekwencją jej podświadomego braku zaufania do Noreeli.

– Dokąd, jedziesz, Alishio?

– Jeszcze nie wiem.

Zapadło milczenie. Długo stali naprzeciwko siebie zakłopotani, aż w końcu złożył dłonie, by pomóc jej dosiąść konia, nakarmionego i wyczesanego; siodło zostało wypolerowane, uprzęż dobrze zapięta, a mosiężne elementy lśniły. Alishia uśmiechnęła się do Erva, sadwioąc się w siodle. Minęło wiele lat, od kiedy po raz ostatni dosiadła konia, i już czuła się nieswojo.

– Uważaj na siebie, Erv – dodała, kolanami kierując wierzchowca w stronę wyjazdu z dziedzińca.

Spodziewała się, że opuszczając miasto, poczuje smutek, ale nie. Przeciwnie, ogarnęło ją szalone podniecenie, ekscytujące przekonanie, że pozostawia za sobą wszystko, co przebrzmiałe, znane i nieprzyjemne, a poza miastem czekają ją nowe przeżycia. Wiedziała, że cała Noreela upada, ale wyjazd z niej oznaczał oderwanie się od źródła najbardziej skoncentrowanego poczucia niepowodzenia, ciężkiego, mrocznego balastu, który ostatecznie pociągnąłby ją na dno. Przetrwiała chyba dlatego, że nigdy tak naprawdę tu nie żyła. W myślach, w swoich książkach była nie tylko mieszkanką Noreeli, miasta.

Znudzeni milicjanci przyglądali się jej, jak wyjeżdżała przez główną bramę. Bardziej interesowali ich przybysze, a nie ci, którzy opuszczali gród. Zdaniem Alishii na tym polegał jeden z największych błędów Księcia. Powinien gromadzić wokół siebie dobrych ludzi, a nie pozwalać im wyjeżdżać. Dawać im szansę. Zachęcać, aby nadzieja i entuzjazm zapuściły korzenie. Tymczasem ludzie tacy jak Alishia rozpraszali się po całym kraju.

Nigdy nie była tak daleko od miasta i czuła się cudownie. Przed nią – jakieś trzydzieści parę kilometrów – rysowały się zbocza Wdowich Szczytów o wierzchołkach słabo widocznych z powodu odległości i pierzastych chmur; przypominały żałobników o zasłoniętych woalami twarzach. Wyraźnie widziała przynajmniej trzy kopalnie fledzu, a także rozrzucone wioski wtulone w góry niczym dzieci w ramiona kochających matek.

Zachmurzone niebo nad górami wydawało się rozleglejsze i wyższe niż nad miastem, kolory głębsze i bardziej świetliste. Wielkie sokoły latały tam tak wysoko, że stawały się niewidoczne. Spędzały całe życie w locie, unosiły się w powietrzu nawet po śmierci, kiedy usychały, rozsypywały się w proch i zabarwiały letnie zachody słońca na czerwono. Czytała o sokołach, chociaż niewielu ludzi w mieście jeszcze w nie wierzyło. Czytała o tak wielu rzeczach – o demonterach, którzy krążyli po kraju i rozbierali stare maszyny w nadziei, że znajdą ukryte w nich okruchy starej magii, o Fioletowych Psach, rasie żywych trupów, która jakoby najechała Noreelę, zanim rozpoczęło się spisywanie kronik, i pozostawiła ślady w zapomnianych jaskiniach i porzuconych świątyniach poświęconych nocy; o śpiących bogach, potężnych istotach, które przed tysiącami lat uległy hibernacji. Jeżeli magia kiedyś powróci, podobno ich obudzi. Czytała o tych wszystkich cudach, mitach i lękach, a teraz otrzymała szansę sama je odnaleźć.

Nie miała pojęcia, dokąd zmierza ani co będzie robić, gdy gdzieś tam dotrze. Ale od kiedy sięgała pamięcią, po raz pierwszy czuła, że żyje.

* * *

Pierwszą noc biwakowała na równinie.

Wdowie Szczyty były dalej, niż przypuszczała, a droga prowadząca od bram Noreeli – bardziej kręta i trudna niż sobie wyobrażała. Przejechała przez kilka małych osad zamieszkałych przez wieśniaków i ludzi, którzy najwyraźniej uciekli z miasta z jakichś niejasnych powodów. W pierwszej osadzie panował spokój i kiedy tamtędy podróżowała, dostrzegła twarze kilku osób zerkających na nią zza uchylonych drzwi. W drugiej zatrzymała ją, zmusiła do zeskoczenia z konia i zarzuciła pytaniami para fałszywych milicjantów. Nękali ją tak długo, aż w końcu dała każdemu po tellanie, aby pozwolili jej odjechać. Obawiała się, że płaci myto – czy to nie kradzież niemal bez narażania się na niebezpieczeństwo? – że jako podróżująca samotnie kobieta zawsze będzie ofiarą. Ale w następnym skupisku ruder, zamieszkałych przez kilkoro niechlujnych osobników, zaskoczyła sama siebie.

Pierwszy mężczyzna ściągnął ją z konia. Drugi zaczął szperać w torbach zawieszonych na łęku siodła, ale tym razem Alishia wydobyla nóż i przyłożyła go do gardła napastnika.

Co ja robię na Kang Kang?

– Hej, proszę pani, nie mieliśmy złych zamiarów! – zawołał ten drugi, cofając się z wyciągniętymi przed siebie rękami.

Alishia czuła obrzydzenie, ale zarazem ekscytowała ją jej własna moc. Mężczyzna był rzeczywiście przerażony. Pierwszy napastnik odskoczył od niej i pobiegł na tyły starej chałupy. Drugi podążył za nim. Alishia wskoczyła na konia i pogalopowała pokracznie przed siebie, obawiając się, że spadnie z siodła albo lada chwila ugodzi ją w kark belt z kuszy.

Po paru minutach, szczęśliwa, że sobie poradziła, ściągnęła wodze, tak że koń teraz

kłusował. Stwierdziła, że mężczyźni tak naprawdę się jej nie przestraszyli. Bali się ludzi, którzy zazwyczaj wędrowali tymi drogami, a kiedy już wyciągali nóż, to go używali.

Po tym incydencie Alishia stała się ostrożniejsza; zjechała z wyboistej drogi i omijała osady, choć z tego powodu jazda trwała dłużej. Pocieszała się myślą, że nie można spóźnić się w podróży, która nie ma określonego kresu, że postanowiła coś zrobić. Czytała o niebezpieczeństwach wędrowki po tym zdegenerowanym świecie, a teraz musiała stawić im czoło.

Rozbiła obóz daleko od drogi, w miejscu osłoniętym przed zimnym, północnym wiatrem przez skałę wyznaczającą brzeg koryta rzeki, która płynęła tu przed początkiem prawdziwego czasu. Zabrała ze sobą kilka kaganków, rozstawiła je więc wokół obozu i zapaliła, by odpędzić drapieżniki zapewne czające się w mroku. W górach grasowali bandyci i niekiedy zapuszczali się aż tutaj, aby przedostać się do Noreeli ściekami i tunelami. Gdyby tędy przechodzili, nic nie powstrzymałoby ich przed zabawieniem się z nią. Od tego by rozpoczęli. W nocy nad równiną krążyły też czaszkokruki, wypatrując słabego bydła albo samotnych podróżnych. Mogłaby bez trudu je odpędzić, gdyby czuwała, ale nie gdyby spała. Zwłaszcza jeżeli zdołały ją we śnie ogłuszyć, po czym przebić się dziobami przez jej skroń do wnętrza czaszki.

No i toczniki. Nawet one pojawiały się czasami na równinach. Niezbyt ją pocieszało, że nie widziano ich od dawna.

Alishia siedziała więc za skałami, przygotowując potrawkę z mięsa owcolopy i ziół. Danie pryskało i skwierczało, zagłuszając dźwięki w oddali. Koń stał spokojnie, przywiązany luźno do drzewa rosnącego na spłachetku ziemi między skałami. Myślała o swoim pokoiku nad stajniami, o podnieconym Ervie obserwującym, jak jej cień tańczy na suficie, kiedy ona się rozbiera, o starcu, który spalił bibliotekę i celowo lub nie odmienił jej życie. I chociaż bała się, była też zadowolona. Nóż pod ręką już jej dzisiaj pomógł. Owszem, czaiły się tu niebezpieczeństwa, ale zapewne nie większe niż te, którym musiałaby stawić czoło, gdyby pozostała w Noreeli, narażając się na gniew coraz bardziej wzburzonej ludności i skłonnej do przemocy milicji. Chociaż nigdy tutaj nie była, знаła zagrożenia. Czytała o nich.

W końcu zasnęła.

* * *

Znalazła nieznanego tuż przed południem następnego dnia. Opuściła już równiny, kierując się ku Wdowim Szczytom; zastanawiała się, dokąd teraz jechać. Osiemdziesiąt kilometrów na zachód znajdowało się Pavisse, stare górnicze miasto, znane jako siedlisko przestępców i wyrzutków społecznych. Na wschodzie leżały gejzerowe równiny Ventgorii. Zazwyczaj podróżnik je pokonywał, jeżeli zachowywał ostrożność i trzymał się oznakowanych szlaków, ale Alishia słyszała, że drogowskazy przestawiano – chociaż nie

wiadomo, kto mógłby odnieść korzyść z tego, że wysłałby wędrowca w parujące jamy – a erupcje gejzerów stawały się coraz bardziej nieprzewidywalne. Nie tak dawno temu czytała książkę podróżniczą wydaną na tanim papierze i w nakładzie niecałych stu egzemplarzy; opowiadała o powstawaniu stożków ogromnych jak największe budynki w Noreeli, o wielkich eksplozjach trującej pary wydobywającej się z głębin ziemi, która wydawała się wzdychać, widząc, jaki obrót przybierają sprawy.

Alishia postanowiła więc wyruszyć do Wdowich Szczytów i kiedy podjęła tę decyzję, nagle owładnęła nią cudowna myśl: jest badaczką! Zawsze chciała zobaczyć kopalnię fledżu. Być może, jeżeli okaże się dość odważna, spróbuje świeżo wydobytego narkotyku.

Ale nawet gdy znajdzie fledżera umierającego poza kopalnią, nie zapozna się z górnictwem tak, jak tego oczekiwała.

Zobaczyła go z daleko – błądy żółty kształt skulony na zboczu. Podstęp? Rozejrzała się, wypatrując zagrożeń, gdyż wiedziała, że tak często zachowują się bandyci. W okolicy panował spokój, gdzieś tam krzyknął tylko drapieżca krążący w przestworzach, jakby przywoływał partnera. Ptaki przeskakiwały ze skały na skałę, najwyraźniej przez nikogo nieniepokozone. Stado owcolop pasło się na zboczu, zbyt daleko, aby mogły ją dostrzec, ale wystarczająco blisko, żeby spłoszyć się, gdyby się poruszyła. Obserwowała owcolopy i ptaki i wolno jechała przed siebie.

Dwadzieścia kroków od fledżera zorientowała się, że to żaden podstęp bandytów. Jego bladożółta skóra napięła się z gorąca, co świadczyło o tym, jak rzadko bywał na słońcu. Nawet nieprzytomny, osłaniał jedną ręką oczy. Żółte oczy, pomyślała Alishia. Pożółkłe od narkotyku. Nie mogę się doczekać, by je zobaczyć.

Zsiadła z konia i uklękła przy górniku. Był wysoki i szczupły, jak to fledżerzy, miał na sobie ubranie ze skóry owcolopy, które chroniło go przed zimnem pod ziemią. Alishia wolno go rozbierała. Był mokry od potu i śmierdział, ale w końcu ściągnęła z niego kurtkę, aby spodnie odzienie mogło wyschnąć na słońcu. Tuż obok leżała dziwna broń splamiona zaschniętą krwią. Alishia zamarła i rozejrzała się wokoło – może doszło tu do walki? Ale nie dostrzegła żadnych jej oznak. Zamknęła oczy, próbowała zorientować się, gdzie jest, przywołać w pamięci oglądane wielokrotnie mapy tego regionu. Najbliższa kopalnia fledżu znajdowała się w odległości zaledwie kilku kilometrów, wśród gór. Spocony fledżer cuchnął narkotykiem, dziwną mieszaniną kwasu i słodczy fledżu. Dotknęła palcem języka i poczuła na nim jego słony pot i ślad czegoś zakazanego.

Był poobijany i posiniaczony, z kilku głębokich zadrapań na karku sączyła się krew, nos miał w strupach, dłonie, palce i paznokcie też czarne od krwi, najwyraźniej nie jego własnej. Znowu spojrziała na dziwny miecz. Ten – czy to, z czym walczył – nieźle oberwał.

– Hej – powiedziała, nie oczekując odpowiedzi.

Fledżer się nie poruszył.

Alishia podeszła do konia i wyjęła z juków manierkę. Wkrótce będzie musiała znaleźć

strumień, żeby ją napęłnić, ale na razie wystarczyło wody dla niej i dla fledżera. Wyglądał źle. Nie była pielęgniarką, ale przynajmniej mogła obmyć i oczyścić jego rany. Kiedy uklękła przy nim, złapał ją za rękę.

– Wydostały się! – syknął. – Obudziły!

Alishia drgnęła, ale trzymał ją tak mocno, że nie mogła się cofnąć. Powieki miał zaciśnięte, a usta otwarte. Cierpienie malowało się na jego twarzy i zdradzał je jego głos. W końcu puścił ją i zaczął jęczeć.

– Wszystko w porządku – zapewniła; pochyliła się znowu i naląła odrobinę wody w zagłębienie dłoni. Czytała wiele książek o kopalniach fledżu oraz o tych, którzy go wydobywali, i bardzo szanowała ich pracę, choćby bez użycia maszyn, po Wojnie-Katastrofie.

Sączyła mu do ust wodę, osłaniała oczy, dotykała czoła, policzków i dolnej części nosa, jakby próbowała go uspokoić. Po każdym wypowiedzianym słowie delikatnie głaskała go po twarzy. Znała metodę, ale nie język, i z tego co wiedziała, mogła, chcąc go pocieszyć, obrazić pamięć jego przodków. Ostatecznie jednak to, co robiła, najwyraźniej odnosiło skutek i cierpiący mężczyzna nie protestował, kiedy zakryła mu twarz jedną ze swoich sukien, by ochronić ją przed słońcem.

– Słońce stoi na niebie bardzo wysoko, jest południe – tłumaczyła. – Wiem, że twoje oczy są wrażliwe. Trzymaj to tak. Muszę oczyścić ci rany. Będę mówiła, poruszając się wokół ciebie, żebyś wiedział, gdzie jestem. Nic ci nie zagraża, fledżerze. To, przed czym uciekałeś, już odeszło.

– One nigdy nie odejdą – odparł; Alishia nie odpowiedziała. Na poważną dyskusję przyjdzie czas. Teraz po prostu musiała czuwać, żeby nie zasnął.

Kiedy ściągała mu koszulę, obmywała rany i zadrapania na skórze, starała się uśmierzyć ból poparzeń, w miejscach, gdzie zaczerwieniona skóra była wystawiona na działanie promieni słonecznych, opowiadała o tym, co wiedziała. Zaczęła od wydobywania fledżu i jak się ono zmieniało przez lata. Czasami parskał, kiedy indziej sprawiał wrażenie, że wpadł w trans. Potem mówiła o tym, co jej się przypominało, aż w końcu legenda o Fioletowych Psach przykuła jego uwagę. Śpiewały, a ona nie potrafi śpiewać. Powiedziała też, że Ro Sargossa napisał wiersze o mitach, dla niej trudne.

– Skąd one były? – zapytał fledżer.

– Spoza Noreeli.

– A co jest poza Noreelą?

– Morze. Ogromne morze. Wiry. Lody. Niektórzy mówią, że wyspy, nawet wielkie wyspy, na których żyją dzicy ludzie i drapieżne zwierzęta. Jesteśmy środkiem rzeczy, a poza Noreelą wznosi się ostra krawędź. Tam właśnie po Wojnie-Katastrofie uciekli dwóch Magów i ich armie.

– Coś tam się dzieje. – Górnik skrzywił się, gdy Alishia przyłożyła okład do głębokiego

skaleczenia.

– Co masz na myśli?

– Coś złego, coś groźnego. Naksy o tym wiedzą. Obudziły się! Zabiły Sondę, zniszczyły całą grootę. Sieją grozę!

– Jesteś już bezpieczny – oświadczyła zaniepokojona. Znowu spojrzała na zakrwawiony miecz. – To właśnie zabiłeś swoją bronią?

Fledżer roześmiał się i był to paskudny dźwięk, jakby wymiociny bulgotały mu w gardle.

– Naksa?! Dyskomiczem? Nie masz o niczym pojęcia, powierzchniowcu.

Milczeli przez chwilę. Alishia opatrywała rany i górnik od czasu do czasu pomrukiwał albo wzdychał z wdzięcznością.

– Jestem Trey – przedstawił się w końcu. – Trey Barossa. Po raz pierwszy wyszedłem na powierzchnię. Moja matka umarła tam, na dole. Jak wszyscy inni.

– Na imię mi Alishia. Przykro mi z powodu twojej matki.

– Muszę komuś o tym powiedzieć, muszę dotrzeć do kogoś, kto może pomóc.

– Do kogo? Księcia? Nikt od lat go nie widział.

Trey zmarszczył brwi.

– Nie wiem. Jest tu milicja? Władze, które powinny o tym wiedzieć, które chronią Noreelę?

Rozchylił lekko powieki i Alishia spostrzegła łzy. Wywołał je nie tylko ból spowodowany światłem słonecznym po raz pierwszy docierającym do jego poślizniętych oczu.

– Masz piękne oczy. – Musiała to powiedzieć.

– Przepraszam. – Trey pokręcił głową. – Nie zdawałem sobie sprawy, że jesteś małą dziewczynką.

– Nie jestem! Ja tylko...

– Przepraszam – powtórzył i usiadł. Oparł głowę na rękach; łzy kapały na ziemię między jego kolanami. – Ale czy do nikogo nie możemy pójść? Tam, na dole, są setki martwych ludzi, a Naksy rozprzestrzeniły się pod górami. Trzeba ostrzec inne kopalnie. Pod samymi tylko górami żyją tysiące ludzi. Wiesz, Alishio, tam na dole istnieje cały świat. Naksy mogą go zniszczyć. Wiedzieliśmy o tym od wieków, ale zawsze były spokojne. A teraz zostały obudzone.

– Co je obudziło?

Trey objął mocno kolana, jakby próbował wycisnąć prawdę.

– Coś, co dzieje się tu, na górze. Wszystko, co je budzi, to zwiastun złych czasów. Ale nigdy aż tak złych. W przeszłości pojawiał się tylko jeden... – Urwał, przyglądając się wzorowi, jaki jego łzy pozostawiły na suchej trawie. – Sondo – szepnął. – Matko.

Alishia z koca i kilku gałęzi ułamanych z pobliskiego drzewa zbudowała daszek chroniący przed słońcem i zajęła się przygotowaniem posiłku. Trey nie spał, ale się nie odzywał. Od czasu do czasu słyszała jego szloch, choć odeszła dalej w poszukiwaniu dzikich

kartofli, pozostawiając go sam na sam z jego smutkiem.

To, co czytała o Naksach, było napisane w konwencji mitu, wielkich opowieści, którymi straszono dzieci albo zadziwiano łatwowiernych dorosłych. W żadnej poważnej książce nie znalazła niczego poza małą wzmianką, przesądem przedstawionym jako fakt, i zawsze uważała, że Naksy w gruncie rzeczy zrodziła fantazja. Jednocześnie wiele osób wierzyło, że Fioletowe Psy to również wymysł, a przerażającą relację o najeździe i rzezi stworzono wiele pokoleń temu w celach politycznych lub religijnych.

– Myślałam, że Naksy istnieją tylko w legendzie – powiedziała cicho, kiedy wróciła do Treya. Upuściła na ziemię kilkanaście kartofli, a potem zaczęła kroić je i wrzucać do miski ze szczyptą ziół.

– Nie, naprawdę są – odparł. – Zawsze istnieli. Wszyscy na dole w nie wierzą, ale nie wiadomo, skąd ta wiara się bierze. Z historycznych opowieści? Przecież historię łatwo zafałszować. Są naszymi bogami i naszymi demonami.

– Bogowie i demony od czasu do czasu dają o sobie znać – stwierdziła Alishia. Zakłęła w duchu zła, jak niezręcznie prowadzi rozmowę. Ten biedak opłakiwał śmierć matki i tych, których znał i kochał, a ona częstowała go swoją naiwną książkową filozofią. – Przepraszam – powiedziała. – Nie chciałam...

– Nie – przerwał jej. Po raz pierwszy patrzył na nią, nie unikając jej spojrzenia; trzymał koc nad głową, by osłonić oczy przed słońcem. – Wszystko w porządku. Przepraszam, że nazwałem cię małą dziewczynką. Widzę, że się myliłem.

Alishia zaczerwieniła się i odwróciła skępowana. Nie przywykła do rozmów, zwłaszcza z nieznajomymi.

A szczególnie z górnikami fledżu!

Trey Barossa zjadł niewiele, a po posiłku podziękował Alishii i powiedział, że musi się przespać, by potem podróżować, ostrzec...

Patrzyła oszołomiona i zafascynowana, jak wyjął z torby kawałek fledżu i żuł go z zamkniętymi oczami. Oddychał wolno, jego ciało zdawało się rozluźniać. Usiadła blisko niego i patrzyła na równiny wokół Noreeli. Wciąż było widoczne w oddali niczym skaza na ziemi z wiszącą nad nią brunatną mgiełką dymu. Znajdowało się w odległości niecałego dnia podróży, mimo to Alishia miała wrażenie, że dzieli ją od niego całe życie.

Później podeszła do śpiącego górnika i zebrała jego rzeczy. Torba była otwarta i dostrzegła w niej kawałek złotego fledżu.

Znowu spojrzała na miasto. Dzielił ją od niego więcej niż cały świat.

* * *

Trey szybko odpłynął. Nawet przez koc, który dziewczyna rozwiesiła nad nim, czuł na skórze gorące promienie słońca; czuł też chłodną jedwabistość trawy, na której leżał,

docierały do niego setki nieznanych zapachów, słyszał wiatr w drzewach. Doświadczał tysięcy wrażeń, z jakimi nie zetknął się nigdy, żyjąc pod ziemią, gdzie powietrze było rześkie, grotę wypełniały zapachy człowieka, a wiatr nadlatywał z głębiej położonych jaskiń, przynosząc ze sobą jedynie pogłoski. Powinien upajać się miejscem, w którym się znalazł – tak wiele mógł tu zobaczyć, a ledwo otworzył oczy.

Ale teraz pragnął snu i podróży, która z nim przychodziła. Musiał wysłać swój umysł za góry, spróbować dotrzeć do świadomości górników gdzieś tam daleko i głęboko. Ostrzec ich!

Dźwięki i zapachy zanikały, gdy zasypiał. Płynął unoszony mocą fledżu. Oddalił się szybko, wzbił w powietrze jak spłoszony nietoperz i machał niewidzialnymi kończynami, starając się odzyskać równowagę. Jego umysł wirował, a razem z nim jego postrzeganie świata. Przestał istnieć podział na to, co w górze, i to, co w dole. Pozostało po prostu otoczenie – wszechogarniająca świadomość przestrzeni bez przeszkód w postaci skał, z otwartymi przed nim milionami rozmaitych niewytyczonych i niczym nieograniczonych dróg. Umysł Treya z radością wzbił się jeszcze wyżej, dotykając chmur, które łaskotały jego skórę i wprawiały w drzenie ciało spoczywające daleko w dole, na zboczu wzgórza. Przez jakiś czas krążyły wokół niego jakieś kształty, czarne ptaki z zakrzywionymi, groźnymi dziobami, w jakiś sposób podobne do niego. Wiedziały, że on tu jest, chociaż go nie widziały. Zatoczyły jeszcze jeden krąg. Trey umknął, a potem obserwował, jak nurkują i wzbijają się, próbując znowu go odnaleźć. Krzyknęły, usłyszał je dwukrotnie – raz tu w górze, w swoim umyśle, a powtórnie w dole, uszami śpiącego ciała.

Czuł się bardziej wolny i nieskrępowany niż kiedykolwiek wcześniej podczas fledżowego snu. Otaczała go niezwykła przestrzeń wielu możliwości. Pragnął, by Sonda również mogła tego doświadczyć, żeby mogli być tu razem. Ale Sonda nie żyła, zamordowana przez szalejące Naksy.

Trey usiłował zapanować nad umysłem i wysłać go za góry. Przemknął między szczytami i zanurkował, by musnąć strumień wypływający z przepastnych głębin; zastanawiał się, czy on łączy się z podziemną rzeką, której szum tworzył tło dźwiękowe jego życia. Oddalił się od swojego ciała jak nigdy dotąd. Odległość była przerażająca – postrzegał przestrzeń na pograniczu swojego świadomego umysłu i podświadomości – a jednak czuł się bezpieczny. Nic dziwnego, że jak powiedziała mu kiedyś matka, tak wielu fledżerów, którzy odwiedzili powierzchnię, postanowiło zostać tu na zawsze. Tutaj, w górze, było tak wiele wolności!

Minął jaskinię i szyb na zboczu, miejsce, gdzie winda wywiozła go, oszalałego z bólu, na powierzchnię, przeniosła oślepego do tego nowego świata. Winda już nie jeździła. Muły daleko w dole były martwe.

Trey podążał dalej, pragnąc jak najbardziej oddalić się od śladów swojego wcześniejszego życia. Wleciał między góry i minął niewielkie jezioro: tysiące ryb wyskakiwało nad taflę. Szrama na powierzchni zbocza świadczyła o tym, co niedawno się osunęło, a widoczna w dole ziemia jarzyła się i lśniła, jakby w słońcu wysychała jej krew.

Dalej, głębiej między Wdowie Szczyty. Na jednym ze stromych stoków dostrzegł duże stado stworzeń toczących się pod górę. Podleciał bliżej i zobaczył, co to takiego – były niczym ruchome rośliny, wielkie zielone kule, które bez wysiłku wspinały się po zboczu, posługując się kolcami, haczykowatymi pędami i gałązkami. Zbliżył się jeszcze bardziej i zaczęły się szepty. W głębi umysłu rozległy się głosy, niektóre mówiły w nieznanym mu językach, chociaż udało mu się zrozumieć kilka słów. Szepczących było wielu i wiedział, że nie zwracają się wprost do niego, ale kiedy tak unosił się wysoko w świeżym górskim powietrzu, czuł się wystawiony na niebezpieczeństwa i bezbronny. Zbliżył się bardziej i głosy stały się donośniejsze. Szepty, rytmiczne i hipnotyzujące, kusiły go. Próbował zorientować się, czy mówią o przyjemności czy bólu, radości czy smutku, lecz kiedy na bokach toczących się stworów ujrzał błysk kości, trzepoczący skrawek starej odzieży, wilgotną ciemną plamę rozkładającej się materii – uświadomił sobie, czyje to głosy.

Wzbił się szybko, uciekał od tych stworów toczących się niepowstrzymanie pod górę i po kilku minutach znalazł się poza zasięgiem szepców ich ofiar.

Leciał, aż wreszcie znalazł to, czego szukał – ranę w ziemi, szyb kopalni, przeżarty przez czas i pogłębiony w trakcie prac kopalnianych. Nic nie świadczyło, że winda jeździ. Tkwiła martwa i niepotrzebna w pewnej odległości od wylotu szybu. Ogromne łańcuchy o ogniwach wielkości człowieka rdzewiały porośnięte zielskiem; miejscami przypominały dawne czasy. Łączyły zbędną już maszynę z czymś, co kiedyś używano do wywożenia tego, co wydobyto, na powierzchnię.

Zanurkował, zatrzymał się u wlotu szybu i w umyśle wciągnął powietrze nosem. Poczł fledż, ale stary, niewiele świadczyło o tym, żeby w ostatnim czasie wywieziono na powierzchnię jakieś nowe porcje narkotyku. Spłynął w dół i natychmiast przekonał się, że teraz, kiedy znowu musiał podróżować tylko szybami i tunelami, przemieszczanie się stało się trudniejsze. Zatrzymał się nagle i jego bezcielesne „ja” zawisło u wejścia do jakiejś niezwykle głębokiej jamy.

Dobiegły stamtąd stłumione krzyki.

Trey zachwiał się, zawrócił, wniknął w skałę i wydobył się z niej. Jego ruchy stawały się wolniejsze i przeraziło go, że zaraz tu utknie pojmany przez straszny ból i cierpienie, skrepowany wiedzą, że w tej właśnie chwili dokonuje się rzeź. Myślowa udreka wybuchła palącym jego istotę nieogarnionym cierpieniem.

Jakoś udało się Treyowi wydostać z kopalni. Uciekł na słoneczne światło, pozwalając, aby ciepło oczyściło jego umysł z krzyków.

* * *

Alishia niekiedy piła wino. Nic innego. I nigdy nie próbowała fledżu.

Znała osoby, które go używały, i doskonale wiedziała, jakie są tego skutki: rozkład

umysłu, otępienie, zagubienie. Teksty o istniejących pod ziemią od wielu pokoleń społecznościach górników fledżu zawierały aluzje do jego duchowych właściwości czy też pogląd, że stosowano go raczej jako substancję wyostrażającą percepcję, a nie otępiający narkotyk. Wyciągnęła z tego wniosek, że efekty zależą przede wszystkim od tego, kto go zażywa, czego oczekuje od narkotyku i co skłoniło go, by go skosztować.

Wiedziała, że nie ma czego się bać.

Kawałek był wielkości paznokcia jej małego palca; śpiący górnik nie zauważy, że zniknął. Powąchała go, z przyjemnością czując jego słodką woń, i położyła na języku. Poczula w ustach smak, który zdawał się przenikać jej policzki i twarz promieniującym od niego ciepłem. Cóż za przyjemne doznanie. Słońce i krajobraz wokół niej pozostały takie same – nie było żadnych złych skutków.

Trey zuł kawałek fledżu wielkości jego zaciśniętej pięści, więc taka maleńka cząstka jak ta jej nie zaszkodzi. Bądź co bądź była teraz badaczką, a jak napisał Ro Sargossa, „doświadczenie jest matką wiedzy”.

Zerknęła na górnika. Zadygotał parę razy, wzdychał ciężko przez sen, pojękiwał, po czym się uspokoił. Spojrzała znowu przed siebie, ponad równiną, w kierunku Noreeli. Nawet w ciepłe popołudniowe słońca wydawało się jej zimne i odległe niczym pojawiające się w mgielce upału wspomnienie, a nie coś, co rzeczywiście istnieje.

Alishia położyła się na trawie i przeżuwała fledż.

* * *

Nie podróżowała, ale śniła.

Śniła o tajemnicach. Znała wiele niby-sekretów; dowiedziała się o nich z książek, map, dzienników i innych źródeł, które wprawdzie przeczytała, ale ich nie rozumiała. Dla niej były po prostu wiedzą. Tak wiele z tego, co poznała, zostało zapomniane, zagubione we mgle czasu i upadku po Wojnie-Katastrofie. Słowa zmieniały się w obrazy, obrazy w nasyczone treścią wyobrażenia, wyobrażenia w sensne wspomnienia: Fioletowych Psów, które w dawnej epoce wypadają na brzeg z wrzaskiem i gwizdami, gotowe gryźć; człowieka podającego pod stołem pudełko, w którym jest amulet, a w amulecie czar śmierci, który przypieczętował los od wieków martwego Księcia; pozbawiony duszy cień zawodzący w ciemności, tam gdzie nie dociera słońce. Obrazów było o wiele więcej, śnionych wspólnie i tworzących razem miazmaty doświadczenia, z czego Alishia nie zdawała sobie sprawy. W jej wywołanych fledżem snach te wyobrażenia po prostu istniały.

W jej snach pojawiał się Erv, niezgrabny, żaloszny i o wiele mniej przerażający niż w rzeczywistości. Był przewodnikiem: prowadził ją za rękę od jednego obrazu do drugiego niczym Książę Księżnę po niebezpiecznej ścieżce. Prawdziwe zagrożenie tu nie istniało – wyobrażała sobie Erva takim, jakim zawsze powinien być. Nic więc dziwnego, że wyznała

mu miłość, ponieważ w zupełnie innym świecie – świecie, gdzie bezpieczeństwo było zagwarantowane, a nie upragnione, gdzie znajdowano czas na wypoczynek i przyjemności, a nie wypełniano go walką o przeżycie – w takim świecie tak mogłoby być. Ten świat powstał w marzeniach Alishii, usiany bezcennymi, ale śmiercionośnymi klejnotami tajemnej pamięci, a jej naiwność znajdowała ratunek w fakcie, że doskonałość wciąż może istnieć ponad rzeczami, które znała, i wokół nich, niekiedy straszliwymi. Tak straszliwymi, tak obrzydliwymi, że ich wspomnienie zostało niemal całkowicie zatarte, zamknięte między pokrytymi kurzem, starymi pożółkłymi okładkami i zakopane na dnie największych stert książek. Historia, upajając się koszmarami teraźniejszości, nie miała właściwie znaczenia dla ludzi, którzy toczyli codzienną walkę o przetrwanie. Prostota życia Alishii czyniła ją naturalnym odbiorcą takiej wiedzy.

Przeżywała od jednych czasów do drugich, z miejsca w miejsce. Odległość nie była przeszkodą, ograniczał ją tylko czas. Przejście od trzeciego wieku przed Wojną-Katastrofą do pierwszych lat po tym strasznym wydarzeniu wyczerpywało ją, zupełnie jakby w kilka sekund przeżyła całą epokę. Zwiedziła opustoszałe pole bitwy na Równinach Cantrass i Wyspy Grzbietu, widziała wielkie maszyny wojenne murszejące na zatrutej ziemi, czuła zły wpływ Magów, kiedy przyroda walczyła, by naprawić uczynione jej krzywdy.

Mijały lata. Sny trwały, ukazując Alishii posiadaną przez nią wiedzę, aby sama dokonała jej przeglądu. Była świadoma oszalamiającego pędu czasu, a jednocześnie tego, że wszystko dzieje się w ciągu zaledwie kilku godzin jej snu u podnóża Wdowich Szczytów. Cieszyła się, że nic jej tam nie grozi.

Ale następowały zmiany.

Kiedy Erv ze snu kochał ją i prowadził po labiryncie jej doświadczenia, Alishia wyczuła w oddali coś nieprzeniknionego. Poza jej umysłem i pojmowaniem spraw, daleko poza wiedzą otworzyła się przed nią czarna, pusta przestrzeń. Rozumiała, że jest to potencjalna nicość, a nawet nie nicość, lecz absolutna ciemność bez światła. I po raz pierwszy poczuła lęk.

Odwróciła się tyłem do niej i próbowała odejść, ale Erv ją zatrzymał. Zmienił się. Nie był już niewinny, jak tego pragnęła, ani naiwny, a przecież ona akceptowała naiwność nawet w sobie. Stał się zupełnie inny.

Coś wyławiało się z mroku.

* * *

Alishia ocknęła się z krzykiem. Nie krzyczała tak od czasu, kiedy była małą dziewczynką. Krzyk ranił jej gardło, przerażał ją. W oddali zerwało się do lotu stado czaszokruków, a obok górnik fledżu przetoczył się na plecy, usiadł i rozglądał się wkoło pogrążony w cierpieniu.

Alishia natychmiast zorientowała się, gdzie jest, ale wciąż czuła poszukującą ją nieprzeniknioną nicość, która wypatrywała wśród gór i dolin jej bezbronnego umysłu.

– Wszystko przepadło – wymamrotał Trey przez łzy. – Przyszły i zabrały ich.

Przyszły... – pomyślała Alishia i chociaż już nie krzyczała, paraliżował ją strach.

Owo poszukujące coś było wspomnieniem snu, rozwiewającym się, jakby wypalało je gorące słońce. Ale to nie uspokajało Alishii. W miłych spokojnych krajobrazach jej pamięci coś otworzyło oczy i widziało ją. Coś, co ukrywało się w miejscu, które uważała za bezpieczne.

A teraz ją odnajdowało.

10

Cień rozwijał instynkt. Doświadczenie jeszcze nie było dla niego dostępne, ale wiedza, a co ważniejsze, pojmowanie spraw z każdą chwilą się rozwijały. Pragnął stałego punktu odniesienia, czegoś co wskazywałoby mu kierunek, co mógłby zbadać i uczynić swoim. Uwolniony przez jego bogów potencjał rozprzestrzeniał się bez granic; powinien go wykorzystać.

Znał szept, ale żaden z nich nie wskazywał na obiekt jego poszukiwań.

Coraz częściej wynurzał się z poziomów graniczących z istnieniem i za każdym razem doznawał słabszego wstrząsu.

Czas i odległość zonglowały cieniem, niosąc go w tej ezoterycznej podróży, aż wyczuł wokół siebie coś prawdziwie trwałego, materiał rzeczywistości, gdzie wśród tego, co nieożywione i od dawna martwe, rozkwitały różne formy życia. Cień wiedział, że odnajdzie tu dom.

Każdy dom byłby dla niego odpowiedni, choć on wydawał się taki pokrętny. Cień był silniejszy, niż powinien być, bardziej sprawny w swoim potencjalnym szaleństwie, bardziej zdolny wyprzeć poprzednie życie, by stworzyć przestrzeń dla tego, czego dla siebie oczekiwał. I mógł to zrobić tutaj – z umysłem koziołkującym w dolinie, samotnym i wolnym w poszukiwaniu czegoś wzbogacającego – albo tam dalej, ze świadomością unoszącą się w świecie podobnie jak on, starą i mądrą, ale prawdopodobnie oderwaną od rzeczywistości, ponieważ wszystko, czego dokonywał, było przemyślane przez jego boga. Mógł się zagubić, znaleźć stałe miejsce i zasiać swoje nasiona zła, ale oznaczałoby to zdradę. A gdyby nie jego bóg, nie istniałby tak, jak istnieje teraz, byłby mniej niż nicością, zawieszony w próżni. Teraz przynajmniej znał sam siebie. Jeżeli odniesie sukces, zasmakuje wielkiej nagrody boga.

Cień miał więc mnóstwo żywicieli, niektórych wykorzystywał, wywołując krótki impuls strachu, ale ich ignorował. Szukał. Idealnego domu. Wypatrywał miejsca pełnego szeptów i ech. Tu wreszcie mógłby się zmaterializować. A kiedy nadejdzie czas, powróci do nicości.

Cień bał się tego, tej niejasnej emocji, jaka docierała do niego szeptem z przyszłości.

I nagle znalazł to, czego szukał. Wiele umysłów pozostawało poza ciałami; pominął je wszystkie – większość była zmęczona, pogrążona w sobie i samotna. Ale ten... ten jeden szybował. Podróżował we wspomnieniach i upajał się wiedzą. Polował na nowe idee, nie

zadowalając się starymi. Ów umysł znał potęgę przeszłości i obietnicę przyszłości.

Cień zauważył go, a umysł to dostrzegł. Był bogaty, rozległy; nagle cień poznał prawdziwy lęk, prawdziwą wolność – i zadrżał. Jego potencjalny umysł ruszył chwiejnie przez mrok, a kiedy zatrzymał się, intelekt, którego szukał, wycofał się do realnego świata.

W cieniu nie wzbudziło to niepokoju. Już wielokrotnie wynurzał się na powierzchnię i się nie bał. Poszuka tego umysłu i znajdzie w nim miejsce dla siebie.

Na razie będzie nasłuchiwał i czekał.

11

Lucien Malini był mniej niż mężczyzną, a więcej niż człowiekiem. Jego determinacja, istota bytu, jeden prawdziwy cel, który kierował nim na jawie i prześladował we śnie, już dawno doprowadziły go do szaleństwa. Takim jak on szaleństwo nie doskwierało, właściwie większość z radością mu ulegała. Pozwalało skupić umysł, wykluczało wpływy zewnętrzne i sprowadzało wszystko do jednego, czegoś ostrego jak narzędzia do zabijania, które miał ze sobą, i jak one śmiertelności. I chociaż oszalał, jego umysł był potężny i pełen życia – a kiedy postawiono mu jakiś cel, dążył do niego uparcie. Często całe dni rozmyślał nad sensem życia. Kiedyś odrzucił to, co mu przekazywano, zobojętniał na obce mu bodźce. I to prowadziło go nieomylnie do ostatecznego rozstrzygnięcia.

Niezwykła władza sprawowana przez umysł nad jego ciałem była tak wielka, że potrafił wiele dni obywać się bez wody i jedzenia. Jego ukierunkowany tok myśli, rozważań, filozofii był do tego stopnia potężny, że Lucien umiał zapanować nad swoim fizycznym istnieniem, przekraczać rządzące nim prawa, a jeżeli słono za to płacił, śmiercią pokonywał nawet szaleństwo. W krwawej walce.

Szaleństwo zrodziło nienawiść. Tak bardzo się poświęcał, że wysiłek intelektualny przekształcił się w bezgraniczną odrazę, wielką, gorącą jak krew pogardę, jaką czuł do swojego celu. A celem tym była magia. Wstręt do niej został mu wszczepiony i przekazany w spadku przez tych, którzy pierwsi z zapamiętaniem próbowali ją wytępić. Lucien utrwalił i wzbogacił tę nienawiść, a ona objęła również tych, którzy rzekomo posiadli magię. Byli tak samo skażeni, tak samo winni.

Otulił się czerwoną szatą i ruszył w dół doliny, która gościła obiekt jego nienawiści, nosiciela pierwszego prawdziwego posłańca w tym pokoleniu. A Lucien po to został stworzony, by go zniszczyć. Tego dnia dokona się zwrot w jego życiu.

Wkrótce, kiedy dowie się, że inni są gotowi, wyruszy w drogę. Wkroczy do wielkiego, zwyrodniałego miasta Pavisse, aby odnaleźć Rafe'a Baburna.

* * *

Czerwoni Mnisi nie mieli boga. Nie czcili żadnego bóstwa, nie wyznawali żadnej

doktryny, nie padali nikomu do stóp. Bali się magii, chociaż nie była diabłem, i zależało im wyłącznie na tym, by zwalczyć ten lęk. Działali dla dobra ziemi, mimo że ich o to nie prosiła. Mnisi wiedzieli, że na magii zbudowano świat, a jednak dążyli do jej unicestwienia.

Jeżeli mieli prawdziwych wrogów, to byli nimi magowie Anioł i S'Hivez, którzy przywłaszczyli sobie magię i wypaczyli ją dawno temu, naginając te prawa natury, które miały wypaczeniom zapobiegać. Złamali je na skale własnej próżności. Mnisi gorąco ich nienawidzili i sprzeciwiali się każdemu, kto zapewniał równy układ sił. Wyznawali filozofię negacji, religię – jeżeli tak można to określić – której naczelnym nakazem było niszczenie. Poszukiwanie magii, dążenie do jej powrotu uznawali za herezję, bo gdyby magia powróciła, zawsze jakieś zło by nią zawładnęło. A herezję należy jak najsurowiej karać.

W czasie Wojny-Katastrofy przodkowie Mnichów walczyli u boku tych, którzy za wszelką cenę chcieli ocalić i ochronić Noreelę. Ale moc Magów była potężna, ich zdeprawowana magia silniejsza i bardziej śmiertelna niż wszystko, co noreelanie zdołali jej przeciwstawić. Przodkowie Mnichów – pogańscy kapłani i naukowcy, którzy kierowali maszynami, współdziałając i porozumiewając się z wielkimi bytami podczas walk z hordami Krotów tworzącymi armie Magów – ginęli szybko i w bólu, podobnie jak ich podwładni. Bo choć magia ziemi napędzała te maszyny i dawała im moc, zły wpływ Magów na nią dawał im przewagę – większą moc, większą siłę. Naruszanie praw życia i śmierci pozwalało im niesłychanie szybko rozbudowywać armie. Kiedy ginął jeden Krot, na jego miejsce pojawiało się dwóch następnych – jego odrodzone fizyczne „ja” i jego dusza, zjawa schwytna i dręczona przez Magów.

A jednak w jakiś sposób noreelanie wygrali. Zepchnięto Magów na północ, wzdłuż Grzbietu, tak daleko, że nie mogli już znaleźć drogi odwrotu. Niedobitki ich armii zarekwirowały statki i popłynęły na północ. A wtedy magia opuściła kraj.

Pogańscy kapłani, którzy przeżyli walki, na własne oczy widzieli, czego może dokonać magia w rękach Magów. Silnie powiązani z okrutnie zniszczonymi maszynami, teraz czuli się zagubieni. Natura zawiodła ich zaufanie i wiarę, dlatego też ich przekonania zaczęły i nie przestała kierować nienawiść. Powoli, przez lata, ci, którzy przetrwali, jednoczyli się, wiedząc, co należy zrobić. Magia odeszła i nie powróci, dopóki istnieje choćby najmniejsze prawdopodobieństwo, że Magowie odzyskają to, czym niegdyś władali, i rozpoczną swoje dzieło na nowo, od punktu, w którym je zakończyli.

Kapłani oszaleli. Z ich szaleństwa zrodzili się Czerwoni Mnisi. Stali się duchami Wojny-Katastrofy, które wędrowały po kraju w poszukiwaniu zwiastunów powrotu magii, i zaklinali się, że ją wytepią.

Mnisi stali się czymś w rodzaju mitu, który niknął w przeszłości razem z innymi prawdami. Ukrywali się w tajemnych miejscach, czuwali i jeżeli coś sygnalizowało pojawienie się magii, badali to.

A teraz właśnie Czerwonych Mnichów widziano w całej Noreeli.

* * *

Błysk z przeciwległego zbocza dał znać Lucienowi, że nadszedł czas.

Przesunął miecz, wysłał w odpowiedzi swój sygnał i zobaczył, jak grupa innych Mnichów zaczęła schodzić ze wzgórz do Pavisse. Otoczyli miasto, pozostając jednak dość wysoko, by ich nie wykryto. Poruszali się starymi szlakami owcolop i znajdowali kryjówki, by w nich czekać na rozkaz wymarszu. Były to bardziej skoordynowane działania niż ich atak na rolniczą wioskę za wzgórzami. Tam Carfallo wyruszył sam, zamiast czekać na braci. Najwidoczniej wierzył, że w pojedynkę rozprawi się z wieśniakami – i zrobił to, tyle że dopuścił, by ktoś z niej uciekł. Luciena i innych Mnichów nie obchodziło, jak wiele osób uniknęło furii Carfalla. Martwiło ich natomiast, że umknął Rafe Baburn. Zgodnie z umową spotkali się pod Trengborne, wkroczyli do wioski natychmiast, gdy zobaczyli, co się stało, i ją spenetrowali. Właściwie nic ich nie zaskoczyło. Na rynku znaleźli Carfalla otoczonego przez jego sztywne już ofiary. Widząc, jak wiele strzał, bełtów i mieczy tkwi w jego ciele, Lucien mógłby przysiąc, że Carfallo nie żyje. Pył pod nim i wokół niego poczerniał, jakby po ziemi powoli rozpląwał się ogromny siniak; twarz Mnicha była podziurawiona jak sito.

– Nie ma Baburna – szepnął; ostatnie, bulgoczące westchnienie wstrząsnęło jego ciałem, strzały zagrzecotały, kreśląc linie w miękkim kurzu. Doczekał chwili, kiedy przybędą, zanim poddał się śmierci.

Tego wieczoru Czerwoni Mnisi, przekonani, że nikt nie powróci do wioski, pozostali w niej, planując następny ruch. Gdyby jednak jacyś dzielni uciekinierzy postanowili przybyć, aby pochować swoich zmarłych, wtedy po prostu miecze Mnichów bardziej unurzwałyby się we krwi. Dla nich barwy krwi i szaleństwa niemal się od siebie nie różniły.

Mnisi znali wiele tajemnic. Doskonale stawiali wróżby, a techniki przesłuchań obejmowały znacznie więcej niż tortury i groźby, wkraczając daleko w dziedziny zastrzeżone zazwyczaj dla martwej magii lub żywej legendy. Podążali przeważnie starymi i zatartymi tropami, a ten konkretny – chociaż wciąż uważali, że Baburn nie jest świadom otrzymanej spuścizny, swojego przeznaczenia – nie był wyjątkiem. Właśnie ta nieświadomość chroniła go przed nimi. Wyczuli pojawienie się magii, ich bezgraniczna nienawiść do tego, co ze sobą niosła, nadawała jej przejawom nieznaną barwę, odbijała się niezwykle echem w ich myślach. Ale jeżeli chłopak nic nie wiedział o tym, co może dziać się w jego głowie, wytropienie tej magii zakrawało niemal na cud. Musieli stosować techniki udoskonalone przez ich przodków, którzy całe życie poszukiwali magii. Niekiedy znajdowali jakieś okruchy – tutaj wiedźmę, która lepiej lub gorzej potrafiła rzucać uroki, tam z kolei dziewczynę, która odkryła, że cykl miesięczkowy, a poprzez niego bliski związek z ziemią, daje jej zdolność widzenia niezbędną do snucia przepowiedni. Czerwoni Mnisi podążali śladem takich ludzi i niszczyli ich, a często również wszystkich w ich otoczeniu. Zawsze istniało ryzyko, że magia

rozprzestrzeni się jak zaraza, za którą zresztą ją uważali. A jeżeli nawet nie, śmierć nie miała dla Mnichów znaczenia i łatwo ją zadawali.

Umiejętności, z których korzystali, nie były magią, raczej zapomnianymi talentami, zazwyczaj praktykami zarzuconymi dawno temu. Mnisi znali granice, gdzie prawa natury zostały przekroczone i zmienione, a także gdzie z premedytacją je wypaczano. Paradoksalnie najpotężniejsze bronie, używane przez nich, by zapobiec powrotowi magii, wielu świadkom ich wykorzystania wydawały się z nią identyczne.

Mnisi na wszystko mieli swoje sposoby i tej nocy zastosowali je w martwej wiosce Trengborne, miejscu pełnym zjaw, niespokojnych, zagubionych dusz ludzi zmarłych niedawno nagłą śmiercią. Znali metody przesłuchań. Odnajdowali zjawy w ich kryjówkach, wtulone między ułamki chwili i przesuujące się błyskawicznie z jednego promienia księżycowego na drugi, a kiedy jeden Mnich paraliżował je inkantacjami, drugi odszukiwał umysł – szalony i dezorientowany, smutny i wściekły – a potem przesłuchiwał go, używając korzenia Delvinga, pospolitej rośliny rosnącej w pobliżu rzek i jezior; korzeń, wykopany w krótkiej chwili między stanem sterylności a gwałtownym jego zakończeniem, odbierał wiele utajonych bodźców i energię. Rozrastał się nie tylko pod powierzchnią ziemi, ale także pod poziomem świata, kierując się od tego, co prawdziwie realne, do miejsc, w których odnajdzie najbogatsze, najczystsze pożywienie. Wiedzieli o tym jedynie Mnisi, ponieważ przez dziesięciolecia zabili wszystkich posiadających tę wiedzę.

– Gdzie jest Rafe Baburn? – pytali.

– Martwy, martwy, wszyscy jesteśmy martwi...

– Nie wiem, nie wiem, pomóż mi, pomóż mi!

– Nie, znowu wy, nie wy, nie wy!

– Gdzie jest Rafe Baburn? – powtarzali. W tych nowych widmach żyło wiele szaleństwa, złości i gniewu. Ale Mnisi pytali nadal, ponieważ mieli na to całą noc.

– Gdzie jest Rafe Baburn?

I w końcu:

– Rafe? Mój Rafe, mój syn? Czy to ty? Biegnij, Rafe, biegnij! Uciekaj! Do Vance'a, znajdź wuja Vance'a w Pavisie!

– Pavisie – powiedzieli Mnisi. Korzeń przekazał ich uśmiech, wchłonał ich emocje i przesłał w przestrzeni, gdzie zjawy lekko się unosiła.

– Nie! – krzyknęła przerażona, ale Mnisi już się wycofali, pozostawiając ją na pastwę jej szaleństwa.

Wyruszyli natychmiast z Trengborne i podążali przez noc, kierując się swoimi starożytnymi mapami i odnajdując w górach skróty, o których nie wiedzieli nawet najbardziej doświadczeni pasterze. W drodze układali plany. Rozmawiali krótko, sto słów wystarczyło, by uzgodnili, że muszą wtargnąć do Pavisie, zachowując najwyższą ostrożność. W Trengborne żyło zaledwie sto osób – w Pavisie dziesiątki tysięcy. Mnisi nie mieli nic

przeciwno temu, żeby zabić wszystkich, jeżeli znalazłby się wśród nich Baburn, lecz względy praktyczne zmuszały ich do logicznego myślenia. Niemożliwe, by zatrzymali wszystkich w mieście na czas potrzebny do dokonania rzezi, która przecież musiałaby trwać wiele dni. A jak udowodnił Carfallo, nawet Czerwonego Mnicha można zniszczyć. Szaleństwo dawało moc, wszakże ograniczoną. W końcu przebite serce bije szybko czymś więcej niż samą wściekłością i kiedy krew się wysączy, a drogi, którymi płynie wściekłość, zostaną przerwane, przecięte, pozostanie tylko śmierć.

Musieli działać potajemnie i błyskawicznie. Ich czerwone szaty łatwo zauważyć i ktoś, kto je zobaczy, może zrozumieć, co to oznacza. Wiadomość się rozejdzie. Ale element zaskoczenia wciąż działał na korzyść Mnichów przekonanych, że chłopiec nadal nie wie, kim jest.

Szukali Vance'a Baburna. A jeżeli go znajdą, znajdą również Rafe'a.

Lucien ruszył w dół zbocza, kierując się w stronę północnego przedmieścia, gdzie mnóstwo szałasów i namiotów świadczyło o coraz większym napływie uciekinierów. Przemierzając się przez lata, zaczął uświadamiać sobie, że noreelanie, chociaż po raz kolejny zerwali więzi plemienne, wciąż czują się bezpieczni, kiedy jest ich wielu. Miasta rozrastały się, tymczasem ludności na prowincji ubywało, a Księżę przekonywał się, że władza nowymi królestwami i niezależnymi państwami, a nie po prostu Noreelą. Być może właśnie dlatego niemal się o nią nie troszczył. Lucien uważał ludzi za element przyrody, który nie jest niczym szczególnym, a wyróżnia się jedynie tym, że mają oni tak ogromną zdolność niszczenia zamiast budowania. Gromadzili się i bali, przerażeni tym, co sami zasiali, mimo to podejmowali niewiele prób naprawienia zła.

Przeszedł niewielkim drewnianym mostem nad strumieniem. Woda ledwo się sączyła i odniósł wrażenie, że zmętniała. Może od krwi, która napłynęła z prądem, albo też widział odbicie tego, co się wydarzy. Spojrzał w górę strumienia, on jednak zniknął między budynkami, niczym tętnica przekazująca życie miastu, które umiera. Ono rzeczywiście umierało. Lucien tyle razy widział śmierć, że rozpoznawał jej odór, jej wygląd. Uciekinierzy trzymali się przedmieść niczym żałobnicy, którzy przybyli tu wcześniej, by zabrać, co się da, a potem uciec tam, skąd przyszli. Miasto cuchnęło apatią, gównem i zgnilizną; starym fledżem oraz rozlanym piwem z knajp i melin narkotykowych. Śmierdziało w nim zepsutą żywnością i brudnymi ciałami, a nad wszystkim unosił się smród spalenizny. Lucien zauważył chmurę dymu nad centrum Pavisse; to znak, że demonterzy pracują, rozbierają stare, martwe maszyny w nadziei, że znajdą okruchy magii w ich zbiornikach, ukryte w skamieniałych, drewnianych przewodach, utajone w kamiennych łonach, których nikt dotąd nie widział, skostniałe z upływu czasu, ale wciąż jeszcze potężne. Zazwyczaj zabiłby demontera dla zasady, po prostu z powodu tego, czego on szukał, chociaż nigdy nie słyszał, by któryś z nich znalazł choćby okruch magii. Ale teraz Lucienowi przyświecał ważniejszy cel.

Wygląd Pavisse również świadczył o tym, że czeka ono na śmierć. Obozowiska na przedmieściach rozciągały się na całym dnie doliny, ale kiedy zbliżył się do samego miasta, nie potrafił określić, gdzie kończą się dzielnice nędzy, a zaczyna właściwe Pavisse. Zabudowa zmieniała się stopniowo, zamiast namiotów pojawiały się drewniane chałupy, a potem domy o kamiennych ścianach, ale kryte strzechą. Ale upadek był jednak powszechny. Ogrody stały się pustymi, wymarłymi basenami pyłu, w którym kąpały się i skrzeczały czaszokruki. W oknach najczęściej nie było szyb; wisały w nich skóry owocolop, tak że do środka nie dochodziło światło i nikt nie mógł tam zajrzeć. Fasady od strony głównych ulic pokrywały graffiti, znaki i symbole wyznaczające teren takiego czy innego gangu. Ale nawet one były stare i wypalone słońcem. Zapewne gangi wciąż tu działały, lecz o wiele mniej aktywnie; ich członkowie bardziej troszczyli się o własne przetrwanie niż o istnienie bandy.

Lucien minął mały uliczny bazar, gdzie handlarze sprzedawali nieświeże owoce i warzywa, często niemal zgniłe. Znajdowały się tu także kramy rzemieślników i stragan oprawiacza futroperzy – ze związanych stworzeń wyciskał on rhellim do pojedynczych ampulek, za które otrzymywał później wyższą cenę niż sąsiad za owoce. Oprawiacz sprawiał wrażenie sytego, bywałego w świetle i względnie zamożnego. Lucien dostrzegł na jego palcu pierścień z platyny, a metal ten wydobywano i obrabiano jedynie na Równinach Cantrass, ponad pięćset kilometrów na północ od Pavisse. Kilku sprzedawców zawołało Luciena; zapraszali go, by spróbował ich towaru, ale często milkli, widząc jego broń. Przeszedł Przez bazar, patrząc wprost przed siebie, lecz czuł na Plecach ich spojrzenia. Może słyszeli opowieści, prawdopodobnie paru nawet widziało kiedyś Czerwonego Mnicha; wiedzieli, czego szuka, dlaczego tu jest. Jeżeli tak, właściwie dobrze by zrobili, gdyby zwinęli swoje kramy i odeszli.

Jego bracia powinni już wchodzić do Pavisse z dwunastu różnych kierunków; pewnie wyteżali wzrok i słuch, starając się odnaleźć jakiś ślad Baburna lub jego wuja. Czuł miecz – kołysał mu się u pasa żądny krwi. Lucien miał nadzieję, że zaspokoi ten głód, kiedy znajdzie chłopca.

Wciągnął powietrze nosem, ale nie wyczuł magii.

Minął starą maszynę, pusty w środku owalny kształt wielkości człowieka, której zastosowania można się było jedynie domyślać. Została wpuszczona w budynek niby rzeźbiona framuga głównych drzwi. Z jej górnej części sterczały pieńki stwardniałych żył. Lucien nigdy nie umiał się nadziwić, że ludzie tak lekko traktują cuda. Gdyby ta rzecz nagle ożyła, śmiertelnie by ich przeraziła. Być może była to wiertnica, która dzięki energii skupionej w jej pustym środku drążyła w ziemi przepastne szyby. A może uzdrawiacz, który unosił się i opadał w dół, obejmując rannego, łączył połamane kości, łątał poszarpane ciało. Tak czy inaczej maszyna teraz stała się drzwiami do burdelu. Prace, które dawniej wykonywała, nie przyniosły jej pożytku. Nienawiść, jaką Lucien czuł do magii, jedynie podsyciała świadomość, co ludzkość usiłowała dzięki niej osiągnąć. Owszem, Magowie byli

źli, ale w głębi duszy wszyscy ludzie są źli.

– To Czerwony Mnich! – usłyszał czyjś szept za plecami, lecz się nie odwrócił. To powiedział stary, siwy górnik, rozparty na krześle przed burdelem. Lucien, zbliżając się, słyszał, jak on kaszle. Znał jego głos, który zaklął: – Wredne sukinsyny!

Ten, na kim stary górnik próbował wywrzeć wrażenie, nie odezwał się.

Wszedł do tawerny; siedzieli w niej głównie pijani milicjanci, tatuowani właśnie przez cały harem Aniołków z Cantrass. Podchodząc do baru, Lucien usłyszał za sobą zgrzyt metalu o kamień. Odwrócił się powoli i spoglądając spod nasuniętego kaptura, dostrzegł milicjanta, który się poderwał. Aniołek z Cantrass dziergał mu na łydce ventgoryjskiego smoka, z którego paszczy zamiast, jak zazwyczaj, przesyconego parą oddechu wydobywał się mityczny strumień ognia. Mężczyzna miał szkliste, zaczerwienione od alkoholu oczy. Natychmiast wbił wzrok w ziemię i opadł na krzesło.

Lucien odwrócił się do barmana, czujny na każdy ruch za swoimi plecami.

– Szukam Vance’a Baburna, żeby dobić z nim interesu – oznajmił.

– Nigdy o nim nie słyszałem – odparł barman.

Mówił prawdę. Lucien widział błysk strachu w jego oczach – być może uważał, że w razie potrzeby ci pijani milicjanci przyjdą mu z pomocą.

Lucien wyszedł z tawerny; słyszał za sobą mamrotania mężczyzn odgrażających się, w jaki sposób mogliby go załatwić, gdyby tylko chcieli.

Im dalej w głąb Pavisse, tym tłoczniej robiło się na ulicach. Pojawiało się coraz więcej zaimprovizowanych bazarów, a przekupnie wydawali się prowadzić bardziej ożywione interesy, oferowane towary były lepsze i świeższe niż te sprzedawane na przedmieściach. Bliżej rzeki kupcy mogli wybierać je z nowych dostaw, podczas gdy sprzedawcy na przedmieściach zapewne wystawiali własne produkty przywiezione łądem.

Baburn mógł ukrywać się w każdej bramie. Każdy ciemny zaułek, w którym rozwieszono wysoko między budynkami pranie zatrzymywało światło słoneczne, mógł być miejscem, gdzie wszystko się skończy. Może chłopak nie znalazł wuja i chował się na ulicy czy w jakimś pustym domu albo usiłował znaleźć pracę w niewielkim porcie. W mieście, gdzie żyły dziesiątki tysięcy ludzi, znaleźć go nie będzie łatwo, bez względu na to, czy jest świadom, czy też nie rodzącej się w nim mocy. Czas nie działał na korzyść Czerwonych Mnichów i Lucien aż nazbyt dobrze zdawał sobie z tego sprawę. Nie wolno mu pozwolić sobie na sen. Nie wolno przestać szukać i wypytywać, a jeżeli zajdzie potrzeba, zaczniesz stosować bardziej bezpośrednie metody przesłuchania. Ktoś tu musi znać Vance’a Baburna.

Zatrzymał się przed drzwiami następnej tawerny, oparł dłoń na rękojeści miecza i wkroczył do środka.

* * *

Ostatecznie to Vance Baburn przyszedł do Luciena.

– Szukałem cię! – syknął głos za plecami Mnicha.

Lucien zszedł z głównej ulicy i znalazł miejsce z zagrodami dla owcolop, kóz i paru skrepowanych łańcuchami, uwiązanych do kołków toczników. Klatki były ciężkie, solidne. Zastanawiał się, co jeszcze można by w nich trzymać. Powietrze cuchnęło starym nawozem. W pobliżu kręciło się kilku mężczyzn – karmili zwierzęta, czyścili zagrody, drażnili toczniki. Lucien zadał swoje pytania i miał właśnie odejść, kiedy poczuł czubek noża na plecach.

– Nietrudno cię znaleźć, wiesz? W takim stroju. Jak krwawe gówno – ktoś szepnął mu do ucha.

– Ja też cię szukałem – odparł Lucien.

Nóż zaczął zagłębiać się w jego plecy. Poczul, jak skóra się rozstępuje i chłodny metal wnika w ciało na pół długości palca. Nie poczuł bólu, ale wzburzyła się w nim krew: twarz poczerwieniała z gniewu, miecz poruszył się u pasa, mimo to Lucien się nie odwrócił. Wiedział, że mógłby skutecznie to wykorzystać, lecz musiał zapanować nad wściekłością jeszcze przez kilka uderzeń serca.

– Gdzie jest chłopak? – syknął głos.

– Nie wiem. Sam go szukam.

– Co z nim zrobiłeś? Zabiłeś go jak mojego brata i jego żonę? Rzeźnik! Dlaczego...

– Zabił ich jeden z moich braci – odparł Lucien. – On...

– Wszystko jedno. Jeżeli jesteś bratem tego mordercy, powinienem od razu z tobą skończyć.

– No to spróbuj – warknął Mnich. Zapadła cisza. Stali w bezruchu. Vance Baburn trzymał nóż wbity w Czerwonego Mnicha, a Lucien odwrócony tyłem do człowieka, którego szukał, starał się opanować wściekłość, tłumacząc sobie bezustannie, że musi mieć go żywego, musi go wypytać, dowiedzieć się, dokąd poszedł chłopak. – Albo możemy pójść do twojego domu i porozmawiać o tym rozsądnie – zaproponował po długiej chwili.

– Nie mam zamiaru rozmawiać rozsądnie z szaleńcem – syknął Vance.

– Wcale nie jesteśmy szaleni. Niektórzy z nas są tylko bardziej obsesyjnie niż inni zaangażowani w sprawę. Jak stary zwariowany Carfallo, który odnalazł wioskę twojego bratanka.

– Nie tylko odnalazł, ale także wymordował mieszkańców.

– Tak, zabił tam kilka osób, i za to nie przepraszam. Ale nie wszystkich. Owszem, kilku milicjantów i wieśniaków, którzy go zaatakowali. Rafe, twój bratanek, uciekł, zanim Carfallo go dopadł.

– Przyznajesz, że chcesz go zabić? Dlaczego? I dlaczego uważasz, że teraz nie mogę pchnąć mocniej nożem i zamknąć ci twojej śmierdzącej gęby?

– On zagraża wszystkim – wyjaśnił Lucien, starając się zapanować nad gniewem.

– Jest tylko wsiowym chłopakiem, nikomu nie zagraża. I powiedział, że cała wioska jest

martwa.

– Przesada młodego prostaczka. Nie będę cię okłamywał, Baburnie, szukam go, żeby zabić. Ale mogę to uczynić w sposób mniej bolesny dla ciebie i twojego bratanka. I dla ludzi z Pavisse. Wiemy, że gdzieś tu się ukrywa, a nie jestem jedynym Mnichem przeszukującym te ulice.

– W takim razie wyrzniemy was co do jednego! Zaczę teraz od ciebie, a milicjanci usuną pozostałych jak sznurze trupy gnijące na ulicach!

– Ci milicjanci, których niedawno widziałem, jak tatuują ich Aniołki z Cantrass?

– Nie wszyscy są tacy – powiedział Vance wyraźnie zdesperowany.

Pchnął mocniej. Nóż wbił się głębiej i Lucien napiął mięśnie, wysuwając miecz z za pasa. Czas zatrzymał się, a kiedy ruszy, może wszystko się wydarzyć. Jeśli wściekłość zapanuje nad Lucieniem, wzbudzi w nim szaleństwo i żądzę krwi, wtedy on odwróci się i przetnie tego człowieka na pół. Potem zabije tych, którzy się przyglądają, wiedział, że się ukrywają, przerażeni i zaszokowani. Albo Vance odpuści i pójdą do jego domu, gdzie Lucien może znajdzie to, czego szuka.

– Nie uda ci się mnie w ten sposób zabić – stwierdził. Cofnął się i nóż wbił się jeszcze głębiej. Usłyszał, jak Vance westchnął, gdy gęsta czerwona krew chlusnęła mu na rękę. – Widzisz? Nic.

Vance wyciągnął nóż z ciała Mnicha.

Lucien odwrócił się z mieczem w dłoni i stanął twarzą w twarz z Baburnem. Vance rozglądał się, szukając pomocy albo drogi ucieczki.

– Nie zmuszaj mnie, żebym cię zabił – syknął Mnich. – Gdzie mieszkasz? Daleko? – Wiedział, że zapanował nad sytuacją. Jego serce łomotało, wściekłość ogarniała ciało, szaleństwo usuwało ból, który spływał niczym pot.

Już wkrótce, pomyślał. Jeszcze trochę, a zaspokoję żądzę krwi. Ją najpierw, powoli, boleśnie karząc starca za bezczelność... a potem zabiję chłopca. Zaśpiewa po raz ostatni na ostrzu mego miecza i jeżeli, kiedy będzie umierał, wypowie ostatnie magiczne słowa, wdepczę je w pył, zniszczę je.

– Idziemy do twojego domu – ponaglił. – Tam porozmawiamy.

Vance skinął głową, jeszcze raz rozejrzał się niepewnie, a potem z rezygnacją wsunął nóż za pas. Odwrócił się i ruszył przodem.

* * *

Kiedy tylko przeszli przez próg, Czerwony Mnich zaatakował Vance'a. Kopniakiem przewrócił go na podłogę, rozrzucając przy tym puste butelki i rozbijając w drzazgi drewniany stół. Potężny mężczyzna usiłował wstać i bronić się, ale wściekłość Luciena znalazła wreszcie upust. Kopał go z całych sił, nadepnął na kolano, aż trzasnęło i zazgrzytało

pod jego butem. Baburn wrzasnął, a wtedy Mnich skoczył mu na twarz. Miażdżył ją, aż w końcu połamane zęby przebiły język i policzki. Krew chlusnęła do gardła Vance'a i rozbryznięła się wokoło, gdy ją odkaszlnął. Mnich atakował bez przerwy. Kiedy Vance spróbował usiąść, Lucien kopnął go w biodra i lędźwie, łamiąc mu kręgosłup. Vance zawył i Czerwony Mnich w końcu przestał zadawać ciosy.

– Gdzie jest Rafe? – syknął Lucien; chwycił zmasakrowanego mężczyznę za brodę i przybliżył jego twarz ku swojej.

Vance nie mógł mówić. Pokręcił tylko głową, krzywiąc się, gdy coś zazgrzytało mu w karku jak tłuczone szkło.

– Gdzie?! – wrzasnął Lucien. Widział krew plamiącą jego czerwoną szatę, rozmazaną na rękach, rozdeptaną po drewnianej podłodze przez wierzgające nogi mężczyzny... i chciał więcej. Jeszcze trochę, a dowie się, gdzie jest chłopiec.

Vance pokręcił głową; Lucien puścił go. Baburn upadł. Wił się na podłodze i jęczał. Oczy miał przymknięte, strzaskane palce leżały rozpostarte na piersi; próbował przytrzymać nimi połamane zębra. Nie mógł mówić. Ale to było już bez znaczenia. Lucien wiedział, że musi działać szybko.

Sięgnął do kieszeni szaty, wydobyl niewielkie pudełko i potrząsnął nim lekko, budząc jego mieszkańca. Usłyszał chitynowy grzechot skrzydeł i syk owada usiłującego na próżno wyfrunąć z więzienia ciemności.

– Powiesz mi prawdę – oświadczył.

Położył owada na piersi rannego i mieczem wyciął w szyi Vance'a otwór długości palca. Insekt pobiegł po przesiąkniętym krwią ubraniu i palcach ofiary. Wyczuwał mnóstwo krwi, ale ta, która tryskała z nowej rany, była inna. Tu owad znalazł to, czego pragnął najbardziej – gęstą, żywczą krew tętniczą, która wkrótce przestanie płynąć.

Wgryzł się w skórę. Ciało rozerwało się wokół nacięcia wykonanego przez Luciena i wkrótce stwor zniknął w środku; przedostawał się coraz głębiej, przytwierdzał do gardła haczykowatymi odnóżami, rozkładał kikuty skrzydeł, aby z odwłoku mogły wysunąć się inne, delikatniejsze. Drażył ciało i znalazł, czego szukał.

W gardle Vance'a zagrzechotało, kiedy owad podrażnił jego krtań.

– Umrę – wyszeptał ochryple.

Lucien uśmiechnął się i skinął głową.

– Owszem – odparł. – A teraz... gdzie jest Rafe?

– Nie wiem. – Syczący głos był dziwny, nieludzki, muśnięcie chityny o kość.

– Był tutaj?

– Tak.

– Kiedy odszedł?

– Wczoraj.

– Miał wrócić?

- Nie.
- Gdzie ukrył się w mieście?
- Nie wiem.
- Zna tu kogoś jeszcze?
- Ja... – Syk zmienił brzmienie, jakby wyrażając dezorientację.
- Czy zna go tu ktoś inny?
- Złodziej.
- Jak się nazywa?
- Nie wiem.

– A skąd wiesz, że to złodziej? – Lucien uśmiechnął się do leżącego u jego stóp mężczyzny, bo Vance znowu szeroko otworzył oczy. Walczył, ze wszystkich sił starał się niczego nie zdradzić. Jego wzrok wyrażał bezbrzeżną nienawiść. Ale nie przeraziła Mnicha.

– Widziałem jego dłonie, miał piętna złodzieja, przyprowadził do mnie chłopca, on... on...

– A więc Rafe uciekł, kiedy zorientował się, że nie zdołasz mu pomóc. Musiał zdać sobie sprawę, że nie może na ciebie liczyć. Zamierzam znaleźć go i zabić.

– Nie!

Lucien odsunął się do umierającego. Krew płynęła już wolniej, zbierała się na podłodze i sączyła między deskami, odnajdując drogę do ziemi. Nie wytropił Rafe'a – tak naprawdę wcale nie zbliżył się do celu – a teraz musiał odnaleźć kogoś innego. Złodzieja. W mieście takim jak to mogły być ich setki.

– Zabiję cię – wysyczał Vance. – Zabiję...

Lucien odwrócił się, ale Baburn już klęczał i trzymając nóż w sprawnej dłoni, zamachnął się. Zatopił ostrze głęboko w brzuchu Luciena, ciął na ukos i przekreślił, zanim Czerwony Mnich zdołał się cofnąć z jęknięciem. Rozdzielili się. Oczy Vance się zamykały, słabł z upływu krwi.

– Nieprawda – wychrypiał Lucien.

I pozwolił swojej wściekłości przejąć kontrolę.

12

Tego wieczoru Kosar i A'Meer długo rozmawiali. Powróciły ich wzajemna bliskość i zainteresowanie sobą, a także dobry nastrój, co sprawiło, że czuli się swobodnie. Pożartowali, było trochę flirtu, trochę wyraźnych seksualnych aluzji A'Meer, ale przeważnie rozmawiali poważnie. I głównie o magii.

Pewnego razu A'Meer walczyła z Czerwonym Mnichem. Gdy Kosar rozpoczął swoją opowieść, wspomniała o tym wprost, starając się, by zabrzmiało to lekko, ale wiedziała, jaką reakcję wywołają jej słowa. Kosar, który już się upił starym skurwielem i berbeluchą, odchylił się w krzesło i uniósł brwi; czekał, co jeszcze A'Meer mu wyjawi. Kiedy wcześniej byli razem, opowiedziała mu wiele historii, nigdy jednak nie wspomniała o Mnichach.

– Podróżowałam po wioskach w Ventgorii. Wszystko jest tam zbudowane wysoko nad ziemią, na drewnianych platformach umieszczonych na grubych pniach drzew Bole. Tubylcy starają się, aby wioski... nazywają je wioskami, chociaż zazwyczaj to ledwie dwieście osób mieszkających w jednym miejscu... znajdowały się jak najdalej od wylotów pary. Pale pozwalają im żyć nad bagnami i chronią przed zdarzającym się niekiedy wyciekami gazu, ale tak naprawdę to budzą ich przerażenie właśnie wyloty pary. Pojawiają się w dowolnym miejscu, niespodziewanie, bo przesuwają się pod ziemią i wydostają na powierzchnię, tam gdzie chcą. Niektórzy z wieśniaków uważają, że wyloty są dziełem gigantycznych parowych smoków, co żyją pod ziemią i torują sobie drogę w ilastym gruncie. A za każdym razem kiedy chcą odetchnąć, wydmuchują parę na zewnątrz. Kimże jestem, żeby podawać w wątpliwość ich przekonania?

– Wszystko cię zdumiewa, prawda? – spytał łagodnie Kosar.

– Jestem Shantasi. My inaczej odbieramy cuda niż wy, pieprzeni noreelańscy marnotrawcy.

– Wypiję za to. – Kosar wychylił szklanekę berbeluchy i zastanawiał się, czy się obudzi następnego ranka.

– Zagłębiłam się dość daleko w bagna, bo polowałam od czasu do czasu, i tam go spotkałam. Jechał na koniu, który chyba wiedział, dokąd zmierzać, bo Mnich wcale nim nie kierował. Wędrowałam pieszo, więc kiedy dostrzegłam go w oddali, zboczyłam ze szlaku i rozpałiłam ognisko. W Ventgorii istnieje tradycja, że jeżeli spotykasz podróżnika jadącego w

przeciwnym kierunku, dzielcie razem strawę i picie. Ludzie nie mają powodu podróżować po tej krainie... niewiele ofiarowuje, zwłaszcza tym, którzy nie wyczuwają cudów. Dlatego oskubałam gęś bagienne, którą ustrzeliłam parę godzin wcześniej, wypatroszyłam i nafaszerowałam śliną tocznika wysuszoną w moim plecaku. Miałam też butelkę wina z wioski, którą właśnie opuściłam. Kosar, nie uwierzysz, jakie wino potrafią robić ci Ventgorianie! Winorośl rośnie tam na otwartej przestrzeni, na sznurkowych siatkach, bez ziemi. Przy życiu utrzymuje ją słońce i długa, pełna miłości dbałość hodowców. Wierz mi, jest to coś, za co można zabić.

– A ty, oczywiście, je kupiłaś – mruknął Kosar.

A'Meer spojrzała na niego.

– Wymieniłam. – Znowu popatrzyła na stół; dawno już zapomniała o swojej szklance berbeluchy. Jej drobna dłoń przesunęła się po wyciętych nożem w drewnie literach. Kosar zastanawiał się, czy znała tego człowieka. – Kiedy się zbliżył – ciągnęła – gęś piekła się już na rożnie i tłuszcz kapał do ognia. Pachniała cudownie. Oczywiście wiedziałam o Czerwonych Mnichach. Stworzono mnie, abym znała ich cel. Ale ten był pierwszym, którego spotkałam.

– Jak cię stworzono? – spytał Kosar.

– Dojdę i do tego, Kosarze. Pozwól mi mówić. Wyjaśniłeś, co twoim zdaniem oznaczają te wydarzenia: jak ważny może być ten chłopak, Rafe, jak jego pojawienie się może wszystko zmienić; dlatego muszę ci teraz coś wyjawić. Na mój sposób. Opowiadając o moim pierwszym spotkaniu z Czerwonym Mniczem... No więc, Mnich się zbliżył. Nasunął kaptur niemal na oczy, tak jak mają w zwyczaju, i wydawało się, że śpi. Dłonie na udach, głowa pochylona, wodze związane na końskim karku. Wierzchowiec wyglądał, jakby pokonał długą, bardzo długą drogę. Stukot jego kopyt brzmiał, jakby nie był podkuty, toczył pianę z pyska i przy każdym kroku sterczące żebra przesuwwały mu się pod skórą. Ślinka mi ciekła, ale nagle straciłam apetyt, bo wiedziałam, co zaraz się stanie.

Przerwała. Kosar nagle wytrzeźwiał i patrzył na nią szeroko otwartymi oczami. A'Meer przekazała mu tak wiele, w tak skąpych słowach; wyznała, że kryje się w niej o wiele więcej, niż widać na pierwszy rzut oka. Więcej niż wszystko, co o niej wiedział. Przez kilka księżyców byli kochankami i chociaż wciąż rozmawiali, nic, co mu powiedziała, nie miało tak wielkiego znaczenia jak to. Na całą prawdę musiał jeszcze poczekać, ale wiedział już, że sytuacja uległa zmianie.

A'Meer podniosła wzrok i Kosar skamieniał. Jej oczy... było w nich więcej bólu, niż mógłby sobie wyobrazić. Bólu i tajemnicy. Widział, że to wyznanie wiele ją kosztuje.

– I co się stało?

– Podjechał do mnie, zsiadł z konia, wyciągnął miecz i zaczęliśmy walczyć.

Kosar zamarł. Natychmiast przypomniał sobie Czerwonego Mnicha w Trengborne, jak szedł przez wieś; raz za razem go trafiały strzały i bełty z kusz, a każde trafienie wydawało

się dawać mu nową siłę, każda kropla jego krwi na ziemi wzmagać jego moc. I ujrzał A'Meer walczącą z jednym z tych stworów.

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że wygrała.

– Jestem wojowniczką, Kosarze. Wyrosłam w Nowym Shanti, tak jak ci powiedziałam, a nie w Nowym Rol Porcie. A moi rodzice nie byli rybakami. Kiedy dorastałam, zawieźli mnie do Hess, mistycznego miasta Shantasi. Nauczyłam się tam wielu rzeczy. Bardzo wielu. O niektórych muszę opowiedzieć ci teraz, większości nie zdradzę nigdy. Bez względu na to, jak bardzo cię lubię, Kosarze... a wierz mi, kiedy mówię ci, że nigdy nikogo nie lubiłam więcej... moje życie i to, kim jestem, należy tylko do mnie.

Kosar spoglądał na jej białą twarz w aureoli pięknych czarnych włosów, w ciemne oczy, które zdawały się pochłaniać nawet światło kaganków, a nic się w nich nie odbijało. Głośny śmiech rozlegający się Pod Złamanym Ramieniem zdawał się zanikać, stawać niewiele więcej niż echem, zupełnie jakby oni dwoje byli tu sami. Rozejrzał się wokoło i przekonał, że nikt im się nie przygląda. W tym publicznym miejscu miał wkrótce poznać tajemnice.

– Co się stało? – powtórzył. Po prostu chciał wiedzieć, a nie dyskutować. Jeszcze nie.

– Długo walczyliśmy. Powiedziałaś mi, jak było w Trengborne, a więc wiesz o ich nieustępliwości. Choć nauczeni sztuk walki, my, Shantasi nie potrafimy bronić się tak jak Czerwoni Mnisi, ponieważ nie jesteśmy szaleni. W rzeczywistości każdy Shantasi walczy, kierując się czystą logiką, wiedzą zastępującą instynkt, pewnością wykluczającą przypadek. Sojusznikiem Mnicha jest szaleństwo. A prawdziwe szaleństwo przemieniło go w coś innego niż człowiek, coś bardziej przypominającego maszynę. Jest w tym jakaś bolesna ironia, lecz to prawda. Jeżeli zostaje ranny, nie czuje bólu. Straci kończynę, a szaleństwo daje mu poczucie równowagi, tak jak rozwścieczonemu przybywa sił. Wbij Mnichowi miecz w brzuch, a wściekłość spowoduje skurcz mięśni, który przytrzyma głownię, wchłania ją coraz głębiej, aby przyciągnąć bliżej przeciwnika. Przetnij mu tętnicę, a szaleństwo wytwarza w niej skrzep, wciska w ranę pięść obłędu i powstrzymuje krwawienie.

– Brzmi to tak, jakbyś sama tego doświadczyła.

A'Meer pośepnie przytaknęła.

– Miałam wtedy pełen komplet uzbrojenia Shantasi, jak zawsze w czasie moich podróży.

– Nigdy nie powiedziałaś...

– Mówiłam ci, gdzie byłam, co widziałam, kogo spotykałam. Nigdy nie wspominałam, co miałam wtedy przy sobie.

Kosar kiwnął głową i machnął ręką, jakby to drobne przemilczenie nic nie znaczyło. A znaczy? – zastanawiał się. Sądziłem, że zaskoczę ją moją historią, ale odwróciła role.

– Musiałam użyć wszystkiego – ciągnęła. – Zaczęliśmy od mieczy... a miecz Mnicha jest równie szalony jak sam Mnich. Wykonuje się go z metalu, który wchodzi w reakcję z krwią, pożąda jej, skomli, gdy zaspokaja pragnienie. Niezle mnie przestraszył. Walczyliśmy godzinę i zadałam kilka dobrych ciosów. Dziwne, ale Mnich jest w istocie kiepskim szermierzem.

Nikt go nie szkoli, a szaleństwo nie poprawia koordynacji ruchów, choć okazuje się wspaniałą bronią. Cięcia i pchnięcia nie mają na niego wpływu i kiedy w końcu zrobiłam unik, zamarkowałam cios, przetoczyłam się po ziemi i wbiłam miecz w jego brzuch... Jak już powiedziałam, przyciągnął mnie. Nie chciałam puścić miecza, nie mogłam go wydobyć, a głośnia zagłębiała się coraz bardziej. Miałam przed sobą rozpaloną, czerwoną twarz Mnicha, te oczy... zdradzały taką determinację, żeby mnie wykończyć, i taką w to wiarę, że przez kilka uderzeń serca myślałam, że nie wygram. I nagle puściłam rękojeść, przekoziółkowałam do tyłu i wyciągnęłam bat-garotę. Założyłam uchwyt na przedramię, kiedy Mnich wyrwał miecz ze swoich bebechów, i niemal zgięta w pół zamachnęłam się. Drut trafił go pod brodę, a ciężarek uderzył mnie w przegub. Bat powinien obciąć mu głowę, lecz Czerwony zaczął się obracać, owijając drut wokół szyi i znowu przyciągając mnie do siebie. Straciłam kolejną broń: drut przeciął mu gardło i wbił się głęboko. Mnich bardzo krwawił, ale zdawał się tym nie przejmować. Znowu mnie zaatakował... upadłam, przerzucając go kopniakiem przez siebie, prosto na piekącą się gęś. Ogień go nie spalił, bo jego płaszcz był mokry od krwi.

Przypomniała sobie o berbelusze i wypila ją jednym haustem. Kosar pochylił się, znowu napelnił jej szklanek, a potem nalał sobie.

– Walczyliśmy przez cały zmierzch i w nocy. Było pochmurno, a ogień zgasł, ale w bagnach Ventgorii pojawiają się światła. Niektórzy mówią, że to zjawy, lecz te światła iskrzą i tryskają energią, a zjawy jej nie mają. Czymkolwiek są, były świadkami naszej walki. Mnich zaatakował mnie mieczem i parę razy ugodził. Widziałeś blizny na moim biodrze, ranę na karku. Używałam kolejno moich broni, trafiałam go celnie, niestety traciłam wszystko: noże do rzucania, kiścień... cisnęłam mu w twarz garść jaj żądlaków, gnilny kurz w jego rany. Nawet biegałam, okrążałam go, gdy kuśtykał za mną, i udało mi się dosięgnąć go siedmioma beltami z mojej ręcznej kuszy, zanim potknęłam się i zgubiłam ją w bagnie. Wciąż szedł za mną, a ja wciąż go trafiałam. Raniłam za każdym razem, Kosarze. Za każdym pieprzonym razem doskakiwałam do niego i ucinałam mu palec albo sypałam gnilny kurz w zmasakrowaną twarz... O świcie nie miał już oczu, ale mnie słyszał. Przez cały ten czas ratowało mnie jedno: że nie był prawdziwym szermierzem. Tylko dzięki temu udało mi się pokonać tego diabła, chociaż byłam wyczerpana i bezbronna. Nieustępliwość to doskonały oręż, ale ja mogłam robić uniki, zwody, odskakiwać, nurkować pod jego mieczem. Musiałam to wytrzymać.

A'Meer umilkła, wypila łyk wina i rozejrzała się po tawernie. Gospoda powoli pustoszała, pijani wychodzili; potykając się o krzesła, śmiali się z siebie i przyjaciół. Barman zaczął zerkać w ich stronę, najwyraźniej dając do zrozumienia, że pora, by i oni sobie poszli. Kosar czekał, aż A'Meer skończy opowieść, nie mógł jednak czekać zbyt długo. Był pijany, zmęczony, a ona, świadomie lub nie, droczyła się z nim.

– I co? – zapytał. – I co?

– I ostatecznie Mnich upadł. Obciąłam mu głowę jego własnym mieczem. To kurestwo

wrzeszczało, gdy to robiłam, i wciąż skomlało, kiedy cisnęłam je w bagno. Potem wlokłam trupa, aż znalazłam małe ujście gazu i wrzuciłam go do środka. Siedziałam tam przez cały ranek, czekając na następną erupcję. W fontannie pary wystrzeliły kawałki Mnicha, małe kawałki. Musiałam się upewnić. Byłam zupełnie wykończona, mającym z wyczerpania i być może... być może myślałam, że to nie koniec. Może kiedyś, nocą, zaczęłam wierzyć, że jest nieśmiertelny.

– Ale dlaczego w ogóle z tobą walczył?

A'Meer uśmiechnęła się, pochyliła nad stołem i dotknęła policzka Kosara.

– Bogowie, jak za tobą tęskniłam, Kosarze. Trochę to trwało, zanim o to zapytałeś. Starzejesz się, co? Troszkę tego straciłeś? – Postukała się palcem w głowę i znowu usiadła.

– Jestem pijany – odparł. – I wstrząśnięty. Kto by pomyślał, moja słodka A'Meer, która lubi to robić oparta o krzesło, jest wojownikiem i zapewne najniebezpieczniejszą osobą, jaką znam. – W tym co mówił, nie było cienia wesołości, wcale nie miał nastroju do żartów. Wykończony i zmęczony, chyba trochę irytował się, że ukradła mu ten wieczór.

– Walczył ze mną z tego samego powodu, dla którego muszę cię prosić o pomoc, Kosarze. Walczył ze mną, bo jestem wojowniczką Shantasi, a misja Shantasi polega na tym, by sprowadzić magię z powrotem do Noreeli. Musisz mi pomóc, ponieważ na chłopca, którego ocaliłeś, jedyne, który poza tobą uratował się z Trengborne, być może czekałam całe życie.

* * *

Wyszli razem z tawerny. Kosar miał kaca. Upojenie alkoholowe ulotniło się pod wpływem opowieści A'Meer. Przy nim kobieta sprawiała wrażenie bardzo lekkiej, drobnej i pomyślał, że pewnie mógłby ją podnieść i prawie bez wysiłku zakręcić nią nad głową. A jednak była wojowniczką i w walce zwyciężyła Czerwonego Mnicha. Obrazy nakładały mu się w głowie – najeżonego strzałami Mnicha w Trengborne i Mnicha na bagnach Ventgorii, pociętego, poranionego bronią Shantasi.

Na ulicach roiło się od pijaków, prostytutek i handlarzy narkotyków, ale Kosar odciął się od tego świata. Ludzie żyli swoimi małymi sprawami, dzień w dzień robili to samo albo nie robili nic. Nie potępiał ich za to, nie patrzył na nich z góry. Musieli starać się, najlepiej jak umieli, a wśród nich przeważali przyzwoici, przytłoczeni powszechnym stanem upadku. Choć był złodziejem, był także podróżnikiem. Uważał, że widział wiele.

A przecież w porównaniu z A'Meer właściwie nie widział zbyt wiele.

Ona przyszła na świat w Nowym Shanti – niewielu obcych je odwiedziło. Dotarła na południe od Kang Kang aż do Blurring Mgły. Podróżowała wzdłuż Grzbietu do samego jego końca, który według powszechnej opinii nawet nie istniał. I podejrzewał, że była w innych, jeszcze bardziej tajemniczych miejscach. O nich mu jeszcze nie powiedziała.

Kosar pokręcił głową.

– A’Meer, zadziwiłaś mnie, kiedy byliśmy razem, a teraz, kiedy spotkaliśmy się znowu, zadziwiasz mnie jeszcze bardziej.

– Przepraszam, Kosarze. Nie chciałam trzymać tego przed tobą w tajemnicy... szczerze? Nie robiłam tego świadomie. Od tak dawna jest ona częścią mojego życia, że prawdę mówiąc, nie sądzę, by była czymś niezwykłym. Wtedy był to pierwszy i ostatni raz, kiedy widziałam Mnicha; od tej pory ot, tak sobie wędrowałam. Nigdy nie natknęłam się na żaden ślad magii, której jakoby mam sprzyjać, i uwierz mi, już dawno przestałam szukać. Wcale nie stało się to moją obsesją. Mistycy Shantasi dali nam talenty i wiele, wiele więcej oprócz nich. – Umilkła i Kosar pomyślał: Wiele, wiele więcej oprócz nich... Nie mówiła mi o tym. Właśnie owo „wiele, wiele” sprawia, że jest teraz dla mnie obca.

– Ale to nie stało się moją obsesją – powtórzyła.

Kosarowi wydało się, że A’Meer usiłuje przekonać o tym samą siebie.

– Co teraz? – zapytał, krzywiąc się, gdy grupka dzieci przebiegła obok z piszczącymi nietoperzami. Ból głowy, wciąż mu dokuczał i przenikliwe wrzaski jakby odbijały się wewnątrz czaszki i pozostawały w niej uwięzione.

– Teraz musimy znaleźć chłopca – odparła. – Ale najpierw pójdziemy do mnie. Możemy pobyć tam trochę, coś zaplanować. I nadgonić zaległości.

– Mam wrażenie, że już sporo zrobiliśmy, jak na jedną noc – stwierdził Kosar.

– Nie myślałam o rozmowie. – W głosie A’Meer nie było ani cienia znanej mu nonszalancji, żadnego szelmowskiego rozbawienia. Mówiła cicho, szybko i bardzo poważnym tonem, jakby wiedziała, że ta noc może być ostatnią. Pragnęła jeszcze jednej chwili normalności, zanim wszystko na zawsze się zmieni.

Szli zatłoczonymi ulicami, aż dotarli do mieszkania na parterze trzypiętrowego budynku. A’Meer wyjaśniła, że bezpośrednio nad nią mieszka dziwka, a trzeci lokal sprawiał wrażenie pustego. Nikt do niego nie wchodził, nikt nie wychodził. Okna były zasłonięte w dzień i w nocy. Kolejna tajemnica w mieście, które niemal o nic nie dbało.

Słyszeli, jak sąsiadka A’Meer wykonuje swój zawód. Podłogi były cienkie – jedna warstwa desek i to, co lokator uznał za stosowne na nich położyć – więc kiedy A’Meer przygotowywała ciepły napój, Kosar starał się nie zwracać uwagi na dobiegające stamtąd odgłosy. Gdy siedział, pił i słuchał mamrotania zaspokojonej pary, A’Meer szukała czegoś pod łóżkiem. W końcu wyciągnęła dużą skórzaną torbę. Otworzyła ją i wydobyła broń. Kosar znał kilka jej rodzajów, a inne zapamiętał z opisu walki z Czerwonym Mnichem – miecze, które zakosztowały krwi Mnicha, i bat-garotę, który ciął jego szyję, oczyszczone, powleczone smarem i owinięte w natłuszczony kawałek materiału. Obok leżała kolekcja pochew i futerałów, równie dobrze zakonserwowanych. A inne rzeczy z niczym mu się nie kojarzyły.

A’Meer nagle do niego podeszła. Stała nad nim okrakiem, kiedy siedział na krześle, i pocałowała go, szybko i namiętnie, jakby dla każdego z nich ostatnim pocałunkiem. Kilka

sekund później zrywali z siebie ubrania, obnażając się przed sobą po raz pierwszy od kilku lat. Była w tym zażyłość, oboje pamiętali, co lubi partner, i gdy A'Meer osunęła się na niego, Kosar zobaczył bliznę na jej gardle. Ślad po walce z Mnichem.

Kiedy kochali się, Kosar zerknął na broń i cały sprzęt ułożony na jej łóżku. Nowa wiedza dodawała do seksu dreszczyku emocji.

* * *

Opuścili mieszkanie A'Meer tuż przed świtem. Dość długo się ubierała i wkładała skórzane oraz futrzane pasy i paski. W kieszeniach umieściła niezbędny jej arsenał. Kiedy skończyła, sprawiała wrażenie jeszcze drobniejszej. A w jej głębokich, smutnych oczach Kosar dostrzegł... strach?

– Odchodzę – powiedziała, rozglądając się po pokoju. – Mieszkałam tu tyle lat, a teraz odchodzę. Po raz pierwszy kochaliśmy się w tym pokoju, Kosarze, wiele miesięcy temu. Osiadłam tu na dłużej niż gdziekolwiek indziej, poza Hess. Mam tu przyjaciół. Pavisse jest gnojówką, ale niektórzy ludzie nie są źli. Niektórzy, wierz mi lub nie, chcą zmienić stan rzeczy na lepsze. Chociaż większość nie wie już jak.

– Wrócisz – odparł Kosar, ale kiedy A'Meer uśmiechnęła się słabo, zrozumiał, jak nieprzekonująco zabrzmiały jego słowa.

– Niech to szlag. Nie nosiłam tego draństwa od wieków – mruknęła, poruszając ramionami, by cały rynsztunek ułożył się lepiej na jej ciele. – Czuję się zupełnie inaczej. Te cholerstwa drapią i drażnią skórę. A miniona noc mnie wykończyła. Ale zawsze jest pora, żeby odejść. Dobrze wiesz, że Mnisi dotrą tu jego śladem.

– Tak, wiem.

– Nie możemy pozwolić, by go znaleźli. W istnieniu Mnichów jest jakaś chora ironia, bo kierują nimi tak bardzo słuszne pobudki. Nikt nie chce, żeby magia trafiła w ręce Magów, jeżeli w ogóle jeszcze żyją. Ale Mnisi stosują metody szaleńców, oni potrafią wyłącznie niszczyć. Nie umieją logicznie myśleć. Ten chłopak sprawia wrażenie bardziej niewinnego niż każde z nas.

– Nie będą wiedzieli, że ma tu wuja. Nie będą wiedzieli, że tu mieszka.

– Nie wierz w to. Mają swoje sposoby. No dobrze, pokaż mi, dokąd go zaprowadziłeś.

A'Meer zamknęła drzwi do mieszkania, nie oglądając się za siebie.

O tak wczesnej porze na ulicach panował spokój. Paru pijaków leżało w rynsztokach albo siedziało skulonych w bramach; zapewne było ich więcej w miejscach pogrążonych w ciemności. Księżyc życia przesłaniały chmury, księżyc śmierci poblądł i ulice oświetlał jedynie słaby blask kaganków oliwnych – stały w oknach i wisiały na hakach przed tawernami i melinami z narkotykami. Kręciło się wszędzie trochę ludzi, bo w mieście takim jak Pavisse wiele interesów załatwiano tylko w nocy. Jedni mijali Kosara i A'Meer, nie

patrząc na nich, inni, widząc Shantasi, przyspieszali albo nagle gdzieś skręcali.

Kosar dostrzegał kształty, które przemykały wśród cieni, omijając jasne miejsca między nimi. Zjawy. Były tu również w dzień, ale w świetle słońca stawały się niewidoczne.

Na skrzyżowaniu dwóch ulic grupa milicjantów paliła fajki z fledżem. Mruczeli do siebie, drepzcząc, żeby się ogrzać. Było ich sześciu, resztką stróży prawa w Pavisse. Czasami trafiali się wśród nich groźniejsi przestępcy niż ci, których powinni łapać. Kosar wiedział, że ludzie ci wymuszali okup za ochronę, ciągnęli zyski z burdeli i melin narkotykowych, i chociaż tworzyli coś w rodzaju granicy, poza którą przestępczości nie pozwalano się rozwijać, smutną ironią był fakt, że to oni przeważnie ją Wspierali. Mogli ich oboje przesłuchać, zwłaszcza A'Meer. Wojowników i najemników jako tako znano, chociaż ich obecność była niechętnie akceptowana, nie zaś mile widziana. Ale wojownik wędrujący ulicami nocą... tak, to mogło zrodzić pytania.

Kosar i A'Meer cofnęli się i znaleźli inną drogę, z dala od milicjantów. Zmuszeni przepłynąć rzekę, ukradli małą łódź i wiosłowali cicho, przecinając dziobem wodę czarną jak smoła. W nocy zapach rzeki był bardziej świeży niż w dzień, zupełnie jakby ciemność oczyszczała ją ze śmieci, ekskrementów i smrodu zwierzęcej padliny wrzuconej do wody na górskich fermach owcolop. Wokół pluskały jakieś niewidoczne stworzenia, ale nic ich nie niepokoiło i po kilku minutach dotarli do drugiego brzegu.

Kiedy przeszli sto kroków od rzeki i świt wstał na wschodzie nad górami, A'Meer zatrzymała się i uniosła dłoń. Kosar wpadł na nią i przytrzymał się jej ręki, a wtedy ból piętna złodzieja złagodniał w kontakcie z jej chłodną nagą skórą. Nie słyszał nic podejrzanego, nic nie widział, nie czuł żadnego niezwykłego zapachu. A'Meer jakiś czas stała nieruchomo, a potem zaczęła się cofać, zmuszając Kosara, by też się cofnął. Poruszali się tak do chwili, kiedy natknęli się na drzwi jakiegoś domu. Tutaj A'Meer parę razy nacisnęła klamkę, wyjęła coś z pasa, ukłękła i otworzyła zamek – nie trwało to dłużej niż kilka szybkich uderzeń serca.

Otworzyła drzwi i wciągnęła Kosara do środka. Dopiero kiedy je zamknęła i przekręciła zamek, odezwała się, przykładając usta do jego ucha. Był to raczej oddech niż słowo, podobny do westchnienia śpiącego człowieka.

– Mnich.

Kosar chciał odejść od drzwi, ale A'Meer mu nie pozwoliła. Zrozumiał, o co jej chodzi. Znajdowali się w czyimś pokoju, którego wnętrze było niewidoczne w ciemności – przy każdym ruchu mogli więc przewrócić stół i rozrzuścić znajdujące się na nim przedmioty po podłodze.

Zerknął na A'Meer dokładnie w tej samej chwili, gdy spojrzała na niego – i w słabym świetle ulicznej lampy zobaczył jej oczy: szeroko otwarte i przerażone. Objął ją ramieniem i położył jej dłoń na piersi. Czuł, jak jej serce bije szybko, jakby chciało uciec od tej chwili. Zadrzała i przytuliła do niego. Jej skóra była śliska od zimnego potu.

Z zewnątrz dobiegł ich dźwięk. Kroki – wolne, miarowe. Ten ktoś wcale nie usiłował się

kryć. Czerwony Mnich minął dom, zatrzymał się na chwilę i ruszył dalej ulicą, a wtedy A'Meer zaczęła jeszcze bardziej drzeć. Kręciła głową, oddychała ciężko, a jej dwie główne szczękęły o siebie.

Kosar objął ją mocno i przywarł twarzą do jej szyi; szeptał czułe słowa, aby ją uspokoić, ogrzać jej zimną skórę swoim oddechem. Ujęła jego dłonie i przycisnęła do siebie gwałtownie; doznał szoku, kiedy uświadomił sobie, że jej opowieść przyćmiła jego zdolność trzeźwej oceny sytuacji. Była wyszkoloną wojowniczką Shantasi, co nie oznaczało, że się nie boi. Podejrzywał nawet, że daje jej to więcej powodów do strachu. A to, o czym mu nie powiedziała i nigdy nie mogła powiedzieć... być może było jeszcze gorsze.

– Odszedł – szepnął jej do ucha. – My też powinniśmy stąd iść.

Odwróciła się i wtuliła w niego, mogli więc rozmawiać szeptem.

– Nadszedł z kierunku, w którym my idziemy. Może dopadł chłopca. Może on już nie żyje!

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

A'Meer puściła Kosara, uklękła i otworzyła drzwi.

Znowu znaleźli się w skąym świetle świtu. Szli szybko ulicami, zaułkami, przez dziedzińce, byle jak najdalej od Czerwonego Mnicha. Kosar dobrze poznał Pavisse w czasie krótkiego w nim pobytu przed kilkoma laty, dlatego bez trudu znajdował drogę we wczesnym brzasku poranka, odnajdując charakterystyczne punkty i nasłuchując znajomych dźwięków. Podążali przez jakiś czas wzdłuż rzeki, a potem skręcili do centrum miasta i skierowali się w stronę tak zwanych ukrytych dzielnic. Nazwa mogła wprowadzić w błąd – wszyscy wiedzieli o tych miejscach i większość trzymała się od nich z daleka; ale były one czymś więcej niż slumsami i domem dla przestępców i wyrzutków. W ukrytych dzielnicach znajdowała się ukryta wiedza. Przynajmniej pod tym względem nazwa miała sens.

Tam będzie, jeżeli ktoś udzielił mu schronienia, pomyślał Kosar. Tam bym go zaprowadził, żeby zapewnić mu bezpieczeństwo.

Wędrówce do domu wuja Rafe'a towarzyszyło poczucie przegranej, być może wywołane pojawieniem się Mnicha. Jeżeli chłopak był rzeczywiście tak ważny, jak sugerowała A'Meer, wiara, że pozostanie u swojego krewnego, wydawała się naiwna. Rafe ściągnął Czerwonych Mnichów do Pavisse, a posiadany przez niego potencjał zmusił jedną z najlepszych przyjaciółek Kosara, by powróciła do swojego powołania wojownika. W rękach Rafe'a mogła leżeć przyszłość kraju... albo jego ostateczny upadek. Gwałtownie zmienił się z prostego, wiejskiego chłopaka w kogoś zarówno wielkiego, jak i straszego.

Kosar kierował się wzdłuż obrzeży ukrytych dzielnic. Nawet tutaj znajdowało się wiele starych maszyn – stały się częścią budynków lub elementami ulic, służąc jako szkielet, wokół którego Pavisse rozrosło się i skostniało po Wojnie-Katastrofie. Zobaczył jedną, którą zapamiętał od czasu, kiedy był tu ostatnio, wielką, pustą wewnątrz kulę rozciętą w kilku miejscach niczym czaszka ugodzona toporem. Tkwiła w ziemi tak głęboko, że tylko połowa

jej obwodu sterczała nad powierzchnią. Kiedyś dawała schronienie bezdomnym i gdy Kosar ją mijał, poczuł znajomy odór fledżu, berbeluchy i śmieci.

Wstał dzień i ulice zaczynały ożywać. A'Meer szła szybko za Kosarem i kiedy się obejrzał, przekonał się, że ona zdaje sobie sprawę, jak teraz wygląda. Sprawiała wrażenie wyjątkowo groźnej, a pewna tajemniczość, która zawsze otaczała Shantasi, to wrażenie potęgowała. Nie czuła się jednak z tym dobrze. Zastanawiał się, jak intensywnie szkolono ją w Hess, jak dawno i ile z tego sobie przypomni po tylu latach.

Dotarli do domu wuja Rafe'a, budynku o ścianach z gliny zmieszanej ze słomą i ze starym żelaznym paleniskiem w przybudówce, dawno wygasłym. Kosar domyślił się, że wuj chłopaka od wielu tuzinów księżyców nie podkuł żadnego konia.

– Nic się nie dzieje – powiedziała A'Meer.

Stali w cieniu budynku naprzeciwko, próbując zorientować się, czy zauważą coś niepokojącego w domu Vance'a lub w jego otoczeniu.

– Jest wcześnie. Może wciąż śpią.

– Nie... w całym domu jest cicho. Pavisse wszędzie się budzi, ale nie tutaj. Posłuchaj.

Kosar nastawił uszu. Z oddali od czasu do czasu dobiegały okrzyki, kiedy przekupnie poganiali muły, by zdążyć zająć najlepsze miejsca na bazarze. Kosy i miodowe gołębie hałasowały na dachach – one też walczyły o miejsce niczym owi przekupnie – tu i ówdzie siedział samotny kruk, a inne ptaki bały się przycupnąć w pobliżu. Stado psów pędziło sąsiednią ulicą za czymś, co wydawało z siebie przerażone piski. Okiennice otwierały się z trzaskiem, ludzie kaszleli i wypluwali noc z płuc. Koła skrzypiały w ulicznym kurzu.

Dom Vance'a był martwym punktem w okolicy budzącej się do życia. Żaden ptak nie siedział na dachu, po podwórku nie wałęsał się żaden pies.

A'Meer wyciągnęła ze skórzanej pochwy przy pasie krótki miecz i ruszyła przez ulicę.

– Poczekaj! – syknął Kosar. – Tam może być więcej Mnichów.

A'Meer spojrzała przez ramię.

– Myślę, że już byli – szepnęła. I zaczęła biec.

Kosar patrzył z niedowierzaniem, jak A'Meer biegnie przez podwórze, wzbijając chmurki kurzu, dopada frontowych drzwi domu, otwiera je szarpnięciem i znika w środku – tak szybko, że nie zdążył nabrać powietrza, by odpowiedzieć. Widział, jak... Widział każdą chwilę, każdy jej ruch, a jednak nie mógł w to uwierzyć. Powietrze jakby rozstępowało się przed nią.

Zdołał zrobić zaledwie kilka kroków, a A'Meer już wychylała się z okna na piętrze.

– Dom jest bezpieczny. Byli tu.

Cofnęła się i zamknęła cicho okno.

Kosar znalazł ją w jednej z sypialni na górze. Poczuł trupa, natychmiast gdy wszedł do środka, a kiedy biegł po schodach, smród stawał się coraz intensywniejszy. Krew była prawie świeża i wszędzie unosił się ostry odór rzezi. A'Meer stała w otwartych drzwiach pokoju,

dysząc, jakby przebiegła trzydzieści kilometrów, i wtedy zobaczył za nią to, co pozostało z wuja Rafe'a.

Nagle sparaliżowała go przerażająca myśl.

– A jeżeli to Rafe? – wydusił.

– Czy chłopak miał brodę?

– Nie.

– W takim razie to nie on. Leży tu tylko jeden człowiek i to jest jego. – A'Meer uniosła miecz; zwiślały z niego kłębek zlepionych krwią włosów i kawałek skóry o wyglądzie zmasakrowanego futroperza z poobrywanymi skrzydłami.

– Robota Mnicha? – zapytał.

– Chyba tak. Chociaż kiedy mordują, to natychmiast. Skoro do tego doszło, ten Vance musiał kogoś bardzo zirytować albo rozwścieczyć.

Kosar był oszołomiony. Tyle wydarzyło się w tak krótkim czasie, że z trudem usiłował za wszystkim nadążyć i czasem mu się to nie udawało. Chłopak był czarownikiem, Magiem? A'Meer, słodka A'Meer wojowniczką wyszkoloną przez mistyków Shantasi, by szukała magii i ją chronić? A jego własne życie, podróżnika i złodzieja, który zaczął wieść prostą, cichą egzystencję... tak nagle i nieodwołalnie się zmienił przez to, co widział i czego był teraz świadkiem.

– Poruszałaś się tak szybko – powiedział. – Widziałem cię, byłaś jak błyskawica. – Wciąż patrzył nad ramieniem A'Meer na krew i szczątki ciała rozwłócone po sypialni, zdziwiony i zszokowany nie tylko tym, co stało się w czterech ścianach tego małego pokoju, ale i tym, co w ogóle się działo.

A'Meer w końcu spojrzała na niego i zobaczył, że nie jest już tak spięta. Musiała być przerażona, zakładając, że kiedy tu przybędą, natkną się na Czerwonego Mnicha. Swego czasu pokonała jednego, ale to nie dawało żadnej gwarancji, że zwycięży każdego. A teraz miała więcej powodów, by się bać, i nie chodziło tylko o to, że prawdopodobnie dojdzie do walki z Mnichem. Być może ona również przypuszczała, że znajdzie tu nie tylko szczątki Vance'a, lecz również Rafe'a.

– O wielu rzeczach nie mogę ci powiedzieć – oświadczyła. – Już cię uprzedzałam. I nie tylko dlatego, że mi nie wolno, ale ponieważ bardzo wiele sama nie rozumiem. Nie wiem, w jaki sposób poruszałam się tak szybko. Nauczono mnie tego i tak się dzieje. Mistycy nazywają to tempem, wiem jednak, że niczego to nie wyjaśnia. Pogódź się z tym. Posiadam taki dar.

– I to wszystko?

A'Meer wzruszyła ramionami.

– Wszystko.

Kosar kiwnął głową.

– Może po prostu następnym razem uprzedź mnie.

Lecz A'Meer już się odwróciła i zaczęła grzebać w szczątkach Vance'a.

Kosar rozglądał się po domu, szukał jakiegoś śladu, który pozwoliłby się zorientować, co stało się z Rafe'em. Gdyby chłopak coś tu zostawił – kurtkę, buty, pasek – świadczyłoby to, że odszedł stąd w pośpiechu albo ktoś zabrał go siłą. Jeżeli nie znajdzie żadnych jego rzeczy, oznaczać to będzie prawdopodobnie, że odszedł sam. Albo może zanim przybyli Czerwoni Mnisi, Vance odesłał stąd bratanka, wiedząc, że grozi mu niebezpieczeństwo, i podał mu nazwisko kogoś, kto mu pomógł lub go ukrył. Znalazł wiele pustych butelek, gnijące powoli sterty starych ubrań, kilka nieczytelnych książek uszkodzonych przez czas. Nic, co należałoby do Rafe'a. Żadnego śladu, że tu był, a przecież Kosar sam go tutaj przyniósł. Może nie został długo. Niewykluczone nawet, że Vance nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za niego. Wiedząc, że Czerwoni Mnisi prawdopodobnie tropią bratanka, mógł się wyrzec rodzinnej lojalności.

Zważywszy na stan, w jakim się teraz znajdował Vance, zapewne było to błogosławieństwem dla Rafe'a.

– Nie ma go tutaj – stwierdziła A'Meer, gdy schodzili na dół. – Jeżeli wuj wiedział, dokąd chłopak poszedł, Czerwony Mnich wydobyl to z niego.

– Nie sądzę, by wiedział – odparł Kosar. – Gdyby Vance chciał pomóc chłopakowi, miałby dość rozumu, żeby nie posyłać go w jakieś znane sobie miejsce. Raczej w ogóle nigdzie by go nie wysłał. Ale jeżeli nie chciał pomóc albo za bardzo się bał, mógł pozostawić Rafe'a samemu sobie. W każdym razie, według mnie, powinniśmy poszukać w ukrytych dzielnicach.

– To przecież właściwie całe odrębne miasto – zauważyła A'Meer. – I dlaczego jesteś taki pewien, że tam będzie?

– Wcale nie jestem pewien, to tylko przeczucie. Rafe to wiejski chłopak. Jeżeli wyszedł z tego domu, najprawdopodobniej skierował się w stronę rzeki, a wtedy musiał przejść wzdłuż obrzeży ukrytych dzielnic. A ktoś taki jak on nie pozostał tam długo sam. Tam są dziwki, oszuści, rabusie i knajpy z fledżem. Ktoś go gdzieś zabrał.

– Oczywiście – powiedziała A'Meer. – Kosar?

Odwrócił się i spojrzał jej w oczy. Wciąż się bała, ale teraz sprawiała też wrażenie podnieconej, jakby dopiero po jakimś czasie dotarło do niej znaczenie tych wydarzeń.

– Nie musisz tam iść – oznajmiła. – Nie masz z tym nic wspólnego. Jesteś starym złodziejem, który osiadł na wsi, na litość Magów. Powinieneś stronić od wszystkiego, co ma związek z Czerwonymi Mnichami. Lub ze mną.

Kosar poczuł się absurdalnie urażony jej słowami. Racja, nic nie wiązało go z tą sprawą i gdyby miał szansę, trzymałby się jak najdalej od Czerwonego Mnicha. A jednak się zaangażował, nie tylko dlatego, że wiedział, co przydarzyło się Rafe'owi, lecz również ze względu na A'Meer. Zależało mu na niej.

– Jednak pójdę. – Być może zorientowała się, jak bardzo go zraniła, bo kiedy wychodzili

z domu, nie odzywała się wcale. – Możemy stąd szybko dotrzeć do ukrytych dzielnic – stwierdził Kosar. – Jeśli na przeszkodzie nie stoją ci ciemności.

Jeżeli jego przenikliwość zaskoczyła A'Meer, nie dała tego po sobie poznać. Kosar był tu zaledwie kilka księżyców, ale posiadał dar odkrywania tajemnic.

Ruszyli szybkim krokiem, nie zwracając uwagi na zaciekawione spojrzenia przechodniów. Kosar poprowadził ją z powrotem w stronę rzeki, a potem przez otwarte drzwi wśliznął się do małego sześciennego budynku. A w nim odsłonił dziurę w podłodze, odpowietrznik starej zakopanej maszyny.

– To niedaleko – powiedział.

– Pójdę pierwsza.

Zanim Kosar zaprotestował, A'Meer trzymała już w obu dłoniach niewielkie sztylety i wskoczyła do otworu. Podążył za nią, zastanawiając się, co ich czeka.

13

Porucznik Magów, Lenora, okaleczona w niezliczonych bitwach i pałająca żądzą zemsty, od trzystu lat mieszkanka Dana'Man, ale z urodzenia noreelanka, zataczała swoim sokołem szerokie kręgi wysoko nad portem Newland i, podniecona, obserwowała przygotowania do wojny. Doskonale wiedziała, na czym wkrótce się skupi. Podnieceniu towarzyszyła spokojna świadomość przeznaczenia nadającego rzeczom bieg. Jej życie właśnie ponownie miało się zmienić i chociaż była na to przygotowywana od wieków, ta chwila była tak wspaniała i dawała tak wielką radość, o jakiej Lenora zawsze marzyła.

W dole leżał Dana'Man – pokryta lodem i śniegiem pustynia. Spod białej pokrywy sterczało jedynie tu i ówdzie kilka samotnych skał. Na pierwszy rzut oka widać było, że Obozowiska Krotów w dole zboczy – jedyne barwne plamy – są tu obcym elementem. Piętrzyły się nad nimi góry i ich widoczne z daleka wulkaniczne szczyty strzelały w niebo, jakby nieustannie próbowały sięgnąć słońca. To nigdy by się nie stało. Na kraj ten spadła klątwa długo przed przybyciem Magów i ocalałych Krotów i pozostanie on przeklęty długo po tym, jak stąd odejdą.

Krażyła, a jej sokół rozpościerał połączone błoną szpony, aby pochwycić słabe prądy termiczne wznoszące się z miasta w dole. Mogła dostrzec w porcie kilka okrętów – widziała je niewyraźnie, bo setki ludzi wciąż ładowało sprzęt i broń. Obok kołysało się kilka mniejszych jednostek, a dalej od wyjścia z zatoki dziesiątki okrętów czekały na sygnał do wypłynięcia, wykonując manewry, by nie wpaść na wielokrotnie od nich większe góry lodowe. Nawet tak wysoko wyczuwało się w powietrzu dreszcz emocji, cień podniecenia; Lenora nie przeżywała tego od trzech wieków. Przez cały spędzony tu czas – poczynając od ich dramatycznego przybycia, potem bitew i ostatecznego podporządkowania sobie mieszkańców tej zapomnianej przez wszystkich ziemi – nie doświadczyła niczego, co rzeczywiście dawałoby nadzieję na lepsze. Teraz uważała, że to, po co żyli przez te wszystkie lata, może się spełnić, a niekiedy nawet ona w to wątpiła. W pełni uzbrojona i gotowa do lotu na południe, czuła jak zawsze wielką miłość do Magów.

Ich wezwanie otrzymała właśnie tego ranka i poleciała na sokole do odległej, górskiej twierdzy Magów. Przekazali jej wieści z Noreeli – o przebudzeniu się Naksów, o wyprawie Czerwonych Mnichów – a ona nie pytała, skąd o tym wiedzą. Mieli swoich szpiegów i swoje

sposoby działania. Powiedzieli coś bardzo ważnego: magia wraca do Noreeli! Widziała błysk radości w ich starych oczach i odleciała, wiedząc, że jest to jej ostatni dzień na Dana'Man. Bez cienia żalu spakowała broń i odzież.

Każdy oddech zamarzał jej w płucach, każdą myśl przeniknął chłód. Lenora leciała tak wysoko, że kiedy sokół przecinał mgły chmur, na jej twarzy i ubraniu osiadały warstwy migotliwego szronu. Na łysej głowie lśnił lód. Futra i skóry były sztywne i potrzaskiwały od zimna, ale krew płonęła w jej żyłach, a Lenora wyobrażała sobie, co wkrótce się wydarzy. Znów poczuje ciepło słońca Noreeli. A wtedy, kiedy walka się skończy i magia znowu znajdzie się w rękach Magów, ona będzie mogła poszukać własnej, bardzo osobistej zemsty.

Daleko w dole widziała setki kropek – przesuwaly się nad śnieżnymi polami, nad portem, wzbijały coraz wyżej, by się z nią spotkać. Jej wojownicy, Krotowie, na swoich sokołach. Wszyscy znali swoje zadanie; czuła ich zapał, słyszała go w donośnych okrzykach i śmiechach, gdy się zbliżali. Broń lśniła w zimnym jak lód słonecznym świetle i Lenora nie mogła przypomnieć sobie, kiedy ostatnio tak wielu jej wojowników się śmiało.

Przez kilka minut krążyli na swoich potężnych sokołach nad portem, pokrzykując do siebie, żegnając się ze śniegiem i lodem – śmiałowie, którzy niewątpliwie przeżywali własne emocje: ulgę i niepokój, podniecenie i lęk. Każdy z Krotów był uzbrojony w strzały i gwiazdki, tarczę i procę, sakwy i butelki z różnymi truciznami. Pojedynczo budzili strach, lecz razem, w tak wielkiej grupie, wyglądali jak zapowiedź końca świata.

– Lećmy znaleźć trochę słońca! – krzyknęła Lenora.

Ona pierwsza odłączyła się od szyku i opuściła dziób sokoła, kierując się w stronę morza. W dole najpierw przesuwaly się pod nią okręty wojenne, potem kilka małych patrolowców, aż po kilku minutach na morzu widniały jedynie gigantyczne góry lodowe i wiry w miejscach, gdzie coś ogromnego wypływało i się zanurzało.

Lenora od zawsze marzyła o tym dniu. Kiedy po raz pierwszy od trzystu lat lecieli na południe, w kierunku Noreeli, wspominała ten, w którym ją opuściła...

* * *

Nie wiedzieć czemu w jakiś sposób wszystko poszło nie tak. Magowie – wygnany mistyk Shantasi S'Hivez i jego kochanka Angel – przeżyli tak wiele snów, odnieśli tak wiele szybkich zwycięstw, przywołali do siebie tak wiele mocy w postaci magii, którą przekształcili na swój sposób... a teraz oni i resztki ich armii toczyli ostatni bój na położonych najdalej na północ plażach Noreeli. Niedowierzenie mąciło wzrok Lenory. Zasnuwało go mgiełką w kolorze czerwieni, kolorze życia, jak gdyby krew drażniła jej oczy, nim ostatecznie wypłynie z jej ciała. Nie miała wątpliwości, że wkrótce umrze. Bez względu na to, jakie dziwne moce posiadali kiedyś Magowie, zaciekłość noreelańskiej armii ludowej odebrała jej pewność siebie, rozbiła ją w pył, rozwiała na cztery strony i wdeptała w skrwawioną ziemię. Walczyli

od tygodni, a na koniec mogli spodziewać się tylko śmierci.

Plaże na tej bezmiennej wyspie były szerokie, wysokie wydmy wyznaczały granicę między piaskiem a bujnymi lasami w głębi. Na niektórych wydmach sterczały trupy, niczym młode drzewka szukające słońca, a w zagłębieniach między nimi walały się krwawe wnętrzności. Martwych było więcej niż żywych, a ich liczba rosła z każdą minutą. Jeszcze kilka dni wcześniej para Magów wciąż potrafiła ożywiać Krotów i wysłać na wroga powłóczących nogami zombich, których noreelanie mogli powstrzymać, jedynie siekając ich na kawałki. A dziesięć dni wcześniej – w bitwie nad jeziorem Denyach – Magowie rzucili do boju zjawy martwych Krotów: widmową armię. Jej żołnierzy nie można było przebić mieczem i zabić. A teraz stali się bezradni, bo ich armia traciła żołnierzy.

Krotowie znaleźli się w pułapce, przyparci do morza na plaży długości około kilometra. Z obu stron nękali ich jeźdźcy i piechota noreelan, a z lasu za wydmami często atakowały maszyny. Noreelańskie maszyny bojowe były zwinne, o długich nogach i tnących jak kosy ramionach, które w każdym ataku odrzucały lub cięły Krotów. Niejeden atak odparto, dowódców zabito, po czym same maszyny porąbano, tak że rozpadły się na części – ale ich metalowe kończyny miotaly się po piasku, a rozerwane kamienne korpusy spływały nie tylko krwią, gdy maszerowały po plaży.

Maszyny Magów odmówiły im posłuszeństwa dwa dni wcześniej. Ostatnia, już cuchnąca zgnilizną, zatrzymała się i przewróciła, miażdżąc tego, który ją prowadził. Lenora stała obok oszołomiona; patrzyła z niedowierzaniem, jak Mag S'Hivez wrzeszczy i wścieka się na martwą maszynę, ciskając impulsy słabego światła w zatkane tętnice i stopione metalowe stawy. Oczywiście, nic to nie dało i Krotowie uciekli. Magowie, na sokołach, krążyli w górze, dowodząc oddziałami, i nurkowali od czasu do czasu, aby porwać wrzeszczącego noreelanina. Kilka razy Lenora widziała nieszczęsne ofiary, nagie i wysuszone po krótkim zetknięciu z Magami. Bezwładne i bez krwi. Z oczami wysysanymi z oczodołów. Brutalność Magów zachęcała ją do dalszej walki.

Piasek pod jej stopami był lepki od krwi, przyklejał się do jej skórzanych butów, więc szła wolno. Potykała się o obcięte kończyny i trupy bez głów. Ktoś złapał ją za kostkę, ale odrzuciła go kopniakiem i splunęła w twarz rannego Krota. Jego walka dobiegała końca, jej trwała nadal. Jeżeli nie zapomni, wróci i skróci jego cierpienia.

Walczyła na lewym skrzydle, cięła nacierających noreelan ciężkim mieczem. Skończyły jej się gwiazdki, dyski i strzały, a bat-garotę straciła, kiedy broń utkwiała w plecach noreelanina i oderwała pasmo skóry z jej prawego ramienia. Teraz piasek drażnił ranę. Ból pozwalał jej zachować przytomność, ratował życie, podtrzymywał wściekłość, która rządziła nią od wielu dni, od chwili, kiedy wypadli z twierdzy Magów i odepchnęli noreelańską armię z powrotem nad jezioro Denyach.

A potem coś się stało. Wspomnienia były mgliste, czuła kwaśny smak w ustach i wiedziała, że to coś złego – zmiana w powietrzu, drzenie ziemi, jakby westchnęła. W

kulminacyjnym punkcie bitwy zwycięstwo zostało im odebrane. Panowanie Magów nad skażoną magią trwało jeszcze kilkadziesiąt dni, ale można było odnieść wrażenie, że czysta magia zebrała siły do ostatecznej obrony, dodała noreelanom mocy, pozwalając im przeprowadzić kontratak tak wielką liczbą żołnierzy, że pokonali armię Krotów. Zabitych dziesięć tysięcy noreelan zastępowało dwadzieścia tysięcy żywych. Zombie poległych Krotów pokuśtykały w tłum i pobiły dwudziestu, dopóki nie zostały pocięte na kawałki. Zanim noreelańscy kapłani zdołali je pokonać, zjawy wirowały i miały się, rozrywając ciała wrogów i porzucając trupy, by swoje ciepło oddały nocy. A potem niewyszkolone noreelańskie wojska zmobilizowały się, czerpiąc moc z ziemi, a kolejne fale ich maszyn atakowały armię Krotów. Zaskoczone, rozbite oddziały Magów zaczęły uciekać na północ.

Długo trwało, zanim tam dotarli. Dni bez odpoczynku. Noce rozświetlone płonącym tłuszczem martwych ciał. Ci, którzy poddawali się zmęczeniu, pozostawali z tyłu i ginęli. Ci, którzy walczyli, zdobyli blizny jako odznaki honorowe i powoli ogarniało ich szaleństwo zrodzone z wyczerpania i świadomości tego, co nieuniknione. Lenora – wówczas zwykła wojowniczką – wciąż oczekiwała, że Magowie skutecznie się obronią. Magia wibrowała mrocznie wokół nich, falowała, gdy mitali się nad polem bitwy. A jeżeli nawet próbowali walczyć, nie odnosili niemal żadnego zwycięstwa. Martwi Krotowie dygotali na ziemi, zamiast wstać na ich wezwanie. Dostrzegła kątem oka przemykające cienie, ale prawie wszystkie zjawy zniknęły.

Noreelanie napierali, atakując tyły uciekającej armii Krotów z ich maszynami i przez Noreelę ciągnął się szeroki pas krwi.

Wreszcie dotarli do Grzbietu i przeskakiwali z wyspy na wyspę, aż się zatrzymali. Do tej pory przynajmniej byli w ruchu i nawet nie przygnębiało ich to, że cofają się przed wrogiem, bo dawało im to szansę wciąż się przemieszczać. Tutaj, na niegdyś złocistej, teraz czerwonej plaży, bitwa stała się po prostu rzezią.

Lenora wrzasnęła, parując cios miecza potężnego noreelanina, przykucnęła i cięła go przez brzuch. Wypadły z niego zwoje szarych wnętrzności, a on spojrzał na nią zaskoczony. „Ratunku” – szepnął. Wbiła klingę w jego twarz i szarpnęła, słysząc chrzęst pękającej kości. Upadł, ale zastąpiła go kobieta ze strasznymi ranami na szyi i piersi. Lenora rozplatała ją, a potem wdeptała w piasek i zadusiła, walcząc jednocześnie z młodym chłopakiem. Był bezwzględny i zdeterminowany, ale nawet kiedy zatopił nóż w boku Lenory, ona odrzuciła go i cięła przez gardło. To była kolejna rana, jeszcze jeden krok ku śmierci, a im bardziej się do niej zbliżała, tym bardziej była gotowa z radością ją przyjąć. Czuła wściekłość, dobrą i czystą. Gniew na niesprawiedliwość tego, co się stało – Magowie i ich zwolennicy zyskali i utracili tak wiele w tak krótkim czasie – pchnął ją naprzód, na spotkanie atakujących znów noreelan. Cięła na prawo i lewo, krzyczała, jej zakrwawiona twarz przerażała przeciwników, poprzedniego dnia strzała zerwała jej kawał skóry z głowy. Zgoliła włosy i teraz ta straszliwa rana wszystkim się ukazała. Niejednokrotnie przyciągnęła wzrok wrogów – odwracała ich

uwagę, tak że Lenora łatwiej mogła wypatroszyć ich jednym pchnięciem miecza. Im więcej ran odniosła, tym bardziej zbliżała się do niej śmierć, ale zarazem łatwiej było stawić jej czoło.

Za nią, dalej na plaży, Magowie przykucnęli za szeregami Krotów Maszyny noreelan wciąż wypadaly z lasu, podbiegały lub sunęły przez wydmy i atakowały. I raz za razem Krotowie odpierali je, ponosząc straszliwe straty. Setki wojowników leżały martwe, a ich śliskie od krwi ciała dodatkowo osłaniały przed maszynami. Ci, którzy nie zginęli, byli ranni, jedni zostali tylko draśnięci lub pobici, inni nie mieli kończyny lub przytrzymałi wypadające wnętrzości. Na plaży leżało kilka maszyn. Po ich noreelańskich władcach pozostały jedynie plamy na piasku. Kiedy Krotom udawało się zniszczyć maszynę, wyładowywali swoją wściekłość na tym, kto nią kierował – i wszystkie maszyny poza jedną leżały teraz nieruchomo, rozbite, spalone i stopione resztkami magii Magów.

Bo rzeczywiście pozostały tylko jej resztki. Wcześniej tego dnia Lenora widziała, jak stali wewnątrz obronnego kręgu i długo atakowali upiornym ogniem jedną z nacierających maszyn. Powinni użyć całej swojej mocy i skoncentrować się, by ją zniszczyć, ale ich wojownicy musieli dokończyć dzieła. A przecież tydzień wcześniej rozprawiali się z wojskowymi transportowcami na jeziorze Denyach i ruchem ręki kosili setki noreelan. Teraz Magowie z trudem mogli wezwać ogień. Darowana raagia została im odebrana.

Ale Lenora nadal walczyła. Jej wiara w Magów była wciąż tak samo silna, nie ufała natomiast zdradliwej magii. Przechwycona przez Magów, nie pozostała w ich władaniu. I choć Lenora wciąż czuła, jak wibruje w jej kościach, wiedziała, że coś wkrótce się zmieni.

Słońce świeciło słabiej. Powietrze zdawało się lżejsze, mniej świeże niż zwykle. Drzewa za plażą zaczęły zrzucać pożółkłe, pomarszczone liście, które zaledwie przed kilkoma tygodniami rozwinęły się z pączków. Nawet kiedy ta bitwa się skończy, pomyślała Lenora, jej skutki dopiero z czasem dadzą się odczuć.

Ostatnie wspomnienie z plaży: maszyna stojąca przed Lenorą dęba. Jej nogi były migoczącymi, ognistymi mieczami, a kierujący nią jeździec wrzeszczał, czerwony nie od krwi, lecz z wściekłości. Nogi maszyny zadawały wszędzie ciosy, zmieniając Krotów w zwęglone szkielety. Jeździec strzelał z łuku, a każdej strzale towarzyszył pomruk. Kiedy spojrział na Lenorę, była pewna, że za chwilę zginie. Jego oczy płonęły tak głęboką...

A potem coś uderzyło ją w plecy i ból, jakiego dotąd nie doświadczyła, odebrał jej świadomość.

* * *

Lenora leciała nad i przed swoimi kroteńskimi wojownikami. Daleko na południu pozostały Noreela i plaża jej kłęski. O wiele dalej na południe leżała wioska Robenna wtulona między góry na wschód od jeziora Denyach. Tam właśnie, w niewielkim skupisku domostw,

warsztatów i gospodarstw zarabiających na życie sprzedażą owoców z górskich pól, urodziła się wiele lat temu i tam też wyrosła. Nazywała tę miejscowość domem i została z niego wygnana – obrzucona kamieniami, bita kijami o końcach umoczonych w truciźnie – za to, że zaszła w ciążę, nie będąc mężatką. Po dziecku pozostało już tylko wspomnienie. Pewnej nocy wydobyto je z jej chorego ciała i oddano Czerni, ale Robenna nadal budziła jej gniew. Wszystko, co zrobiła od tej pory, uczyniła w imieniu martwej córki. Początkowo czuła wyłącznie ból z powodu unicestwienia życia, które mogło znaczyć tak wiele. Potem wściekłość doprowadziła ją do szaleństwa i jedynym miejscem, w którym mogła znaleźć pomoc i akceptację, była armia Magów. Ból stopniowo narastał, aż przeobraził się we wszechogarniającą nienawiść, podsycaną głosem jej nienarodzonej córki, która śmiała się, płakała i mówiła matce, jak bardzo chciałaby żyć.

Inni twierdzili, że oszalała, ale Lenora była przekonana, że to cień jej córki – jej bezdomna dusza – pozostał z matką. Zagubiony i bezużyteczny. Porzucony i smutny. I jedynym sposobem, w jaki Lenora mogła uciszyć ten głos, była zemsta dokonana w jego imieniu.

W dniu, kiedy została wypędzona z Noreeli, głos jej nienarodzonej córki umilkł. Ale Lenora wciąż pielęgnowała w sobie nienawiść i złożyła w duchu obietnicę, że jeżeli nadarzy się okazja, spali Robenneę.

Kiedy lecieli na południe, zastanawiała się, czy córka czeka na nią na plaży.

* * *

Alishia i górnik fledzu zeszli z górskich stoków i skierowali się na zachód. Oslupiała, gdy uświadomiła sobie, jak długo spali. Kiedy obudziła się z krzykiem, nastał już wieczór i nagle poczuła, że nie powinna dłużej tu być, że to niebezpieczne. W górach jakieś stwory tropiły Treya, zabiły jego rodziców i przyjaciół, więc teraz, gdy zbliżała się noc, Alishia obawiała się, że mogłyby wyjść na powierzchnię i zacząć polować w mroku, tak jak siejąc zagładę, przedarły się przez wieczną ciemność pod ziemią. Górnik nic o tym nie mówił, siedział zgarbiony na koniu Alishii, trzymał się jego grzywy i łkał z żalu. Jeżeli spotkanie z Naksami wywoływało taką reakcję, Alishia nie miała ochoty pozostać blisko miejsca, w którym by się wyłoniły.

Poza tym coś jeszcze skłaniało ją, aby ruszyła w drogę. To, co sięgnęło po nią, gdy śniła fledżowy sen – absolutna ciemność, pustka, jednocześnie złowroga i fascynująca. Instykt uwolnił Alishię i kazał jej uciekać, lecz intelekt domagał się, by poznać to coś bliżej. Strach, zapamiętany ze snu jak smak lub zapach, był dla niej esencją strachu. Wiedza zaczerpnięta z książek nie budziła takich emocji. Erv niepokoił Alishię, a niejednokrotnie to, co widziała w Noreeli, sprawiało, że bała się wędrować po ulicach, ale nigdy dotąd nie była tak autentycznie przerażona, jak w tym śnie.

Obudziła się i kiedy krzyk wciąż przypominał o sobie bólem gardła, zaczęła przyglądać się i analizować lęk.

W dzieciństwie, gdy chorowała, miewała koszmary. Nigdy ich nie tłumaczyła – ani sobie, ani innym – chociaż myślenie o nich nawet teraz ją niepokoiło. Czuła wtedy, że znalazła się w przestrzeni tak ogromnej, iż stawała się nikim, czymś mniej dostrzegalnym niż westchnienie w czasie burzy. Stała na wzgórzu, przestrzeń zamykała się wokół niej, a nicość się materializowała, wywierała ciśnienie, przytłaczała ją, jakby to ona była niczym, tak oddalona od tego, co ważne, że sama czuła się teraz jak cząsteczka brudu na nieskalanej powierzchni pustki. W miarę jak dorastała, usiłowała sprzymierzyć się z tą przestrzenią, nieskończoną, przytłaczającą pustką, z doświadczeniem, którego jej brakowało. Otaczał ją cały świat, ale ona go nie widziała. Wiele się domyślała, lecz wiedziała, że może się mylić. Tak, nie czerpała wiedzy z doświadczenia, ale nie miała powodu, aby obawiać się świata.

Coś, co wyłoniło się w jej fledżowym śnie, wywołało taki sam strach jak tamte obrzydliwe koszmary z dziecięcych snów, ale było o wiele bardziej realne. Bo nawet teraz, na jawie, Alishia bardzo się bała.

Do jej snu wtargnęło coś obcego dotychczasowemu doświadczeniu. Była, o zgrozo, pewna, że gdyby nie obudził jej własny krzyk, to coś zbliżyłoby się jeszcze bardziej i w końcu dotknęło ją naprawdę.

Trey siedział skulony na koniu; zakrywał twarz przed gasnącym światłem dnia, jakby mógł stworzyć sobie własną jaskinię, przenieść się z powrotem pod ziemię. Alishia słyszała, jak popłakuje, i próbowała go pocieszyć, lecz kiedy jej się to nie udało, postanowiła dać mu spokój. Czytała, że najlepszym sposobem złagodzenia bólu jest pozwolić, by sam minął.

Jeżeli zauważył brak odrobiny fledżu, nie wspominał o tym. Ani też o krzyku, z jakim się obudziła. Być może pomyślał, że zawsze śnią jej się koszmary.

Alishia trzymała wodze konia i prowadziła go w dół zbocza. Od czasu do czasu spoglądała za siebie i widziała cienie: kryły się na stokach, skulone pod nawisami skalnymi, albo leżały wygodnie u wejściach do jaskiń. Ale nie sprzyjało im słońce – zachodząc, oblewało wzgórze intensywnym złotym blaskiem, łagodziło ostre zarysy gór, gdy podświetliło ławicę chmur, i powoli zabarwiało ją na różowo. Alishia szła szybciej, gdyż zdawała sobie sprawę, że nadciąga noc, i bardzo chciała znaleźć na równinach w dole odpowiednie miejsce na obóz.

Nie widziała już miasta Noreela, bo skryło się za pierwszą górą, i kiedy ciemność powoli ogarniała ziemię, nawet luna go nie zdradzała. Po raz pierwszy w życiu Alishia mogła rozejrzeć się dookoła i nie zobaczyć nic, co charakterystyczne dla miasta. Nie brakowało jej jego beztroski, rozpasania, okrucieństw, korupcji, morderstw, wrzasków w nocy albo krzyków w dzień, kiedy po raz kolejny wymierzano wypaconą sprawiedliwość. A jednak tęskniła za Noreelą. Zawsze była jej domem, bez względu na to, jak wstrętą się stała. Wspomnienia dobre i złe rysowały się ostro w jej pamięci, w miarę jak oddalała się od miasta.

Niestety w tych retrospekcjach przeszkadzały jej cienie, które skradały się wokół niej.

Przez chwilę wspominała bibliotekę, o którą miała dbać i się troszczyć. Kiedy w niej pracowała, zbiory niewiele się wzbogaciły. Jedyne od czasu do czasu jakiś podróżnik pozostawiał niedbale skopiowane tomy, by je skatalogowała i gdzieś utknęła. Cały budynek zawierał więcej wiedzy, niż jeden człowiek potrafiłby ogarnąć. Było to cudowne miejsce i strata bolała ją tym mocniej teraz, gdy po jej pożarze opuściła miasto. Przedtem pozostawał dowód istnienia biblioteki, zwęglone sterty starego papieru i martwej wiedzy, chwiejące się jak pijane wśród dymu, rozmoczone na papkę i skazane na unicestwienie. A teraz było to tylko wspomnienie. Ale przynajmniej jej własne, coś co sama przeżyła i czym się cieszyła; czuła zapach, smak i dotyk bibliotecznego powietrza przesyconego milionami różnych opowieści i pomyślała o rozerwanej książce ukradzonej przez starca.

Kiedy zbliżyła się do wielkiego głazu, światło nie docierało już do jego podstawy i cień obserwował ją, gdy go mijała. Skierowała konia w bok i wysunęła nóż z pochwy na udzie. Poczowała się głupio z tym niewielkim kawałkiem metalu w dłoni. Cień pozostał na miejscu, a jeżeli nawet miał oczy, nie zamrugał. Obejrzała się za siebie kilka razy i kiedy oddalała się od głazu, skała wydawała się zlewać z cieniem – połykał ją albo ona połykała ciemność. Ponury cień, nieruchomy, jakby groził, że się powiększy i podąży za nią.

Alishia zerknęła na Treya. Wciąż zatopiony w sobie, siedział na koniu z zamkniętymi oczami, chwiały się w siodle, jakby w każdej chwili miał z niego spaść. Powiedział jej, że nigdy nie jechał konno, ale jego długie nogi bez trudu zaciskały się na bokach wierzchowca, dzięki czemu utrzymywał się w siodle. Chciałaby, żeby z nią rozmawiał. Czuła się bardziej samotna niż wtedy, gdy wyjeżdżała z miasta.

Pomyślała o starym człowieku – to na pewno on spalił bibliotekę – i cienie zbliżyły się znowu. Coś budziło dręczące wspomnienie w jej umyśle, ale co? Sposób bycia starca, wiek, mowa, ubiór? Wszystko to wydobywało wspomnienie czegoś, o czym czytała, czegoś, co znała. Spuściła oczy i w myśli znowu szła wzdłuż regałów w bibliotece, przesuwała palcami po grzbietach książek, rozpoznając każdą z nich – doskonale jej znane nazwiska i tytuły, a także mało znane wydawnictwa. Wyjęła książkę *W poszukiwaniu kary*, pełen nienawiści tom napisany tuż po Wojnie-Katastrofie. Wzywano w niej do zorganizowania wyprawy na północ, by upewnić się, że Magów pociągnięto do odpowiedzialności, skazano i stracono. W swoim czasie była popularna, ale stanowiła ułamek w powodzi literatury, która była reakcją na niedawne wydarzenia i zalała Noreelę wtedy, kiedy trzeba było szukać optymizmu, nie zemsty. Był to doskonały okres dla literatury, ale nagle zatarcie konwencji i ideałów skłoniło nawet najbardziej twórczych pisarzy intelektualistów do przyjęcia bardziej radykalnych poglądów i stało się początkiem upadku. Alishia zawsze sądziła, że ludzie powinni byli to dostrzec. Zauważyć, że społeczeństwo ulega rozkładowi, kiedy sztuki zmieniają swój charakter i cel, a filozoficzne, uczone rozważania ustępują miejsca opisom konfliktów, walki o przetrwanie, zemsty.

Alishia potknęła się o kamień, krzyknęła i upadła na kolana. Rozejrzała się szybko przestraszona. Słońce zaszło i ciemność wydobywała się z ziemi, zamykając się wokół niej. Cienie stawały się głębokie i bardzo mroczne. Coś ją obserwowało, czuła zwróconą na siebie uwagę. Myśli odpłynęły, pozostawiając po sobie stęchły posmak czegoś, co wiązało się z biblioteką i Magami. A także gniewu. Pokręciła głową, zastanawiając się, czy nie ma kaca po fledżu.

– Upadłaś – odezwał się z końskiego grzbietu Trey.

– Nie śpisz! – Alishia spieszyła się, słysząc radość w swoim głosie, ale ulga szybko zagłuszyła zażenowanie. Było ciemno, coś kryło się w nocy, ale teraz już nie była sama.

– Już od jakiegoś czasu. Rozmyślałem. Utraciłem tak wiele i nie wiem, co robić.

– Musimy znaleźć miejsce na obozowisko – powiedziała. – Jest zbyt ciemno, by jechać dalej. Jeszcze wpadniemy w jakąś dziurę czy szczelinę. A poza tym muszę rozpalić ogień. Coś mnie tropi. – Nie nas, zauważyła. Mnie.

Był to dziwny sposób wyrażania lęku, ale wydawał się całkowicie odpowiedni.

– Co to takiego? – zapytał Trey. Teraz, kiedy słońce już zaszło, oczy miał szeroko otwarte i Alishia zobaczyła, jak patrzy z podziwem na chmury osrebrzone światłem gwiazd.

– Nie wiem. Coś. Wzięłam okruch twojego fledżu. Mam nadzieję, że się nie gniewasz, ale byłam ciekawa i... zastanawiam, czy to nie z tego powodu. Może sobie coś wyobrażam.

– Żuć fledż? – Ton jego głosu zaniepokoił Alishię. Cofnęła się. Była sam na sam w ciemności z obcym, którego znalazła na zboczu. Nóż wydał się jej jeszcze bardziej nieskuteczną bronią niż dotychczas.

– Tylko odrobinę.

– Co wyczuwasz?

– Nie wiem. Coś w ciemności.

– Nax – powiedział Trey tak cicho, że Alishia nie była pewna, czy rzeczywiście to usłyszała. Koń zarżał, jakby w odpowiedzi. – To Nax – powtórzył. – Teraz, w ciemności, wyszły na powierzchnię! Na dole nic już dla nich nie zostało. Wyszły na górę, żeby przede wszystkim zmierzyć się z tym, co je zbudziło! – majaczył przerażony. W coraz głębszym mroku jego krzyk wydawał się jeszcze głośniejszy.

– Niczego nie widziałam – stwierdziła Alishia nie całkiem pewna, czy mówi prawdę.

Być może strach górnika udzielił się koniowi. A może to koń zwęszył w ciemności obecność tego czegoś, co Alishia poznała w swoich snach i wyczuwała w otaczającym mroku. W każdym razie koń poniósł. Alishia pobiegła za nim; pamiętała o dziurach i szczelinie, ale jednocześnie nie chciała stracić wierzchowca, a razem z nim swoich sakw i całego dobytku. Trey spadł z siodła i potoczył się po ziemi, a koń pogalopował w noc i w końcu stał się jedynie cieniem w mroku.

Alishia krzyknęła zrozpaczona. I nagle usłyszała przykry trzask pękających kości, coś dużego upadło na ziemię i koń zarżał przeraźliwie z bólu.

Potknęła się i uderzyła głową w kamień. Była pewna, nawet kiedy ból odebrał jej przytomność, że potknęła się właśnie o cień.

* * *

Cień ponownie odkrył w realnym świecie umysł wciąż posiadający te okruchy swobody, które tak bardzo go interesowały. Unosił się nad nim, postrzegając upływ czasu jedynie za pośrednictwem zmian w umyśle, na którym skupił uwagę. Umysł szybował, marzył, wędrował przez bogate pokłady wiedzy i otwierał się w nieznanym cieniowi sposób, a ta jego otwartość przyciągała, zdradzając zapewne wrażliwość na wszelkie oznaki magii, aluzje, że rzeczy nie są dokładnie takie, jak się wydają. A właśnie tego poszukiwał bóg cienia.

Raz za razem, kiedy leciał poza światem, zanurzając się w nim od czasu do czasu, by zyskać doświadczenie i poczuć ból istnienia, cień usiłował przeniknąć do umysłu. Najpierw ofiarował sam siebie, dając umysłowi coś, na czym mógłby skupić uwagę, niestety najwyraźniej przestraszył go i zmusił do ucieczki. Nie wiedział, jak go zwabić – cień był właściwie pamięcią przyszłości, cóż więc mógł zaproponować tak wielkiemu umysłowi? – a zatem musiał przeniknąć do niego podstępem. Wykorzysta jego czysty, zachłanny instynkt życia – utrwalany i popierany przez jego własnego boga – który przyroda starała się odebrać. A to życie koncentrowało się wokół boga. Cień podsuwał umysłowi koncepcje swojego boga, pozwalając mu potykać się i przewracać, wyprowadzał go z realnego świata, aby zaczął znowu szybować w poszukiwaniu wiedzy. Umysł jednak wciąż uciekał od cienia – bał się jego czerni – ten jednak uparcie zdążał do celu, zaszczepiał nowe koncepcje, kierował umysłem, krążył nad nim, usiłując znaleźć szczelinę, w którą przeniknie, by w końcu stać się cielesnym bytem.

Szczelina pojawiła się nieoczekiwanie.

Umysł nagle odleciał z realnego świata w wirze chaotycznych emocji pomieszanych z bólem i zaskoczeniem. Cień cofnął się i pozwolił umysłowi się uwolnić, rozwinąć się, otworzyć, aż ponownie znalazł się tuż poza granicami nierealności. Tutaj śnił i cieszył się swoją wiedzą. Ale wciąż żyły w nim obawa, strach, lęk, a to cień mógł wykorzystać.

Zbliżył się, zanurzył i połączył z umysłem.

A on wzdrygnął się. Cień ogarnęła radość. Chłonał zawarte w umyśle wrażenia i emocje: ból, smak trawy i błota, odległe krzyki i szybkie, nieregularne bicie serca ściśniętego lodowatą pięścią strachu. Otworzył usta i krzyknął, poczuł, jak to, czym się stał, krzyczy razem z nim, głosem, który odbijał się ciągłym echem. Wzdychał zapach wrzosów i krwi, coś ostrego wciskało mu się w policzek, a coś miękkiego i chłodnego łaskotało usta.

To był człowiek. Kobieta o imieniu Alishia.

Cień krzyknął znowu z rozkoszy i Alishia zerwała się z ziemi; śmiała się i tańczyła, potykając się, ocierając kolana i dłonie o szorstką skałę. Prawie nie czuła bólu.

Przez kilka sekund, choć tego nie rozumiała, cieszyła się zwykłym faktem, że żyje. I że życie tak wiele może jej dać.

14

Kiedy Rafe się obudził, było ciemno. Słaby blask księżyca sączył się przez dwie szerokie kratki wysoko na ścianie, dając dość światła, by mógł zorientować się, gdzie jest. Usiłował usiąść, ale w głowie mu łomotało, ból przeszywał oczy i kark. Jęknął, ścisnął skronie i podniósł się powoli. Miewał bóle głowy, ale nigdy tak ostre. Czyżby nie zauważył, że Nadzieja podsunęła mu jakąś paskudną berbeluchę? W Tengborne widział mnóstwo ludzi w takim stanie, każdego ranka walczących ze straszliwym kacem i leczących go tak, że powracał po południu i wieczorem.

Rozejrzał się po pokoju – dostrzegł cienie na ścianach, poczuł zapach tego miejsca i nagle zobaczył Nadzieję. Siedziała na krześle pod ścianą. Jej włosy w słabym świetle księżyca rysowały się na jej tle, stercząc na wszystkie strony jak lśniące węże, i chociaż twarz przesłaniał cień, Rafe był pewien, że dostrzeże przesuwające się wolno tatuaże. Na chwilę zatrzymał powietrze w płucach i usłyszał jej wolny, ciężki oddech.

Nagle uświadomił sobie, że jest nagi. Było zimno, chociaż w palenisku żarzyło się jeszcze kilka węgli. Bardzo by chciał znaleźć ubranie, nie poruszając się przy tym. Kiedy usiadł i się wyprostował, ból głowy złagodniał, ale wciąż pulsował w głębi oczodołów.

Przesunął dłonią po brzuchu. Nadzieja wyjaśniła mu, dlaczego nie ma pępka, a jej tłumaczenie wcale mu się nie spodobało. Nie myliła się, stwierdził, tyle że zawsze wydawało mu się, że nie powinien pytać o to rodziców.

Coś szeptało mu do ucha. Odwrócił głowę, by spojrzeć za siebie, skrzywił się z bólu, ale wstrzymał oddech, a nuż uda mu się to zobaczyć. Nie wiedział, czy tego chce, czy nie. Za nim były tylko cienie, głębsze niż jego własny. Szepty trwały, słyszał niezrozumiałe, obce słowa, najpierw w jednym uchu, potem w drugim i wreszcie w głowie. Łagodziły ból, uśmierzały go i zaszczepiały nowe, wielkie idee, od których dotąd uciekał. Nie pojmował ich, ale niosły ze sobą zapach trawy na pagórkowatych łąkach, ostrą woń świeżego śniegu na szczytach gór, smak deszczu na języku i dotyk wiatru na skórze. Zadrżał. Głosy ucichły, jakby oczekując odpowiedzi, a kiedy jej nie udzielił – bo jej nie znał – pozostawiły go w ciemności, ale teraz głowa go nie bolała, nie czuł zimna i po raz pierwszy od dwóch dni lęku.

– Śniłeś – odezwał się ktoś. Nadzieja wciąż czuwała. Rafe'a to właściwie nie zdziwiło. – Siedziałam i ci się przyglądałam. Próbowałam uporządkować sobie pewne sprawy, to co

wiem. Zastanowić się, co robić dalej. Śniłeś i mówiłeś językami, których nigdy nie słyszałam, a teraz obudziłeś się, usiadłeś i pewno powiesz mi, że jesteś tylko wiejskim chłopakiem i nie wiesz, o co mi chodzi. Rozumiem, że masz mętlik w głowie. Tymczasem ja siedzę tu przekonana, że w moim łóżku śpi cud. I że ten cud jest przyszłością.

– Dałaś mi coś na sen – powiedział Rafe, ale gniew, któremu chciał dać upust, minął.

– Musiałeś odpocząć. Bardzo wiele przeszedłeś, wiejski chłopcze. A czeka cię jeszcze więcej. Potrzebujesz siły, energii. Mocy swojego rozsądku. Są ludzie, którzy zrobią wszystko, żeby cię skrzywdzić, którzy mogą chcieć ciebie tylko dla siebie. Wielu z nich wierzy, że cię wykorzystają.

– Jak ty?

Nadzieja milczała. Siedziała bez ruchu w ciemności, a światło księżyca muskało jej twarz. Rafe mógł już dostrzec tatuaże – przesuwają się, jakby się uśmiechała, marszczyła brwi i uśmiechała znowu.

– Już ci powiedziałam, że długo na ciebie czekałam – dodała po chwili. – A teraz tu jesteś... Nie wiem, co robić. Po prostu nie wiem.

– Gdzie moje ubranie?

– Uprałam je. Zaraz wyschnie. Nie odchódź! – Jej głos zmienił się nagle ze spokojnego w błagalny. – Rafe, nie opuszczaj mnie. Czekałam na ciebie tyle lat, a teraz chcę ci pomóc. Chcę być z tobą tak długo, jak tylko zdołam. Chcę zobaczyć, jak to się stanie. Być blisko, kiedy się stanie!

– Kiedy co się stanie? – Znowu te głosy szepczące na obrzeżach jego umysłu, jakby coś ze sobą uzgadniały. Tym razem czuł gorzki, mineralny oddech podziemi. Albo może tylko smużkę dymu z gasnącego ognia.

– Kiedy w końcu uświadomisz sobie, kim jesteś.

– Jestem Rafe Baburn. Czasami czuję się, jakbym tracił rozum, ale wiem, kim jestem. Jestem Rafe Baburn, a moi rodzice nie żyją.

Długo milczała, jakby siedząc tam w ciemności, usiłowała postanowić, co na to powiedzieć. Rafe otulił się kocem i też siedział nieruchomo – czuł się dobrze, chociaż niewiele widział. Nadzieja – ta wiedźma, ta dziwka – uśpiła go, rozebrała, mimo to wiedział, że nie chciała go skrzywdzić. Gdyby było inaczej, mogła bez przeszkód to zrobić, gdy spał.

– Siedziałam tu i myślałam przez całą noc – kontynuowała. – Przeżyłam długie, trudne lata, poszukując oznak magii, i robiłam to w jedyny sposób, jaki znałam. Niewielu ludzi mówi mi prawdę, kiedy zorientują się, że jestem wiedźmą, bo traktują mnie jak zwolenniczkę utraconej magii, ale mnóstwo mężczyzn rozmawia z dziwką. Słyszałam tak wiele, chłopcze, kiedy myślałam się, a oni leżeli zaspokojeni i zadowoleni na tym łóżku. Słyszałam o żonach, których już nie kochają, dzieciach, które uciekły z domu, zniechęconych ludziach, a niekiedy także dowiadywałam się, że w czasie tych kilku minut, kiedy uprawialiśmy seks, znaleźli miłość do samych siebie albo do właśnie zdradzonych żon. Poczucie winy bywa

zmienne i widziałam go w tym pokoju tyle, że wystarczyłoby mi na kilka istnień. Ale nigdy nie doświadczyłam go sama. Nigdy nie czułam się źle z powodu tego, co robię, nie czułam, że popełniam błąd albo że jestem wykorzystywana. To ja wykorzystywałam tych facetów, Rafe, bo przeważnie wiedziałam więcej od nich. W Pavisse jest mnóstwo dziwek, ale niewiele potem chce rozmawiać. I popełniają wielki błąd! Marnują całą tę mądrość, bo wolą żuć jakiś stęchły fiedż albo sztachnąć się marzeńcem. Miałam w tym łóżku żołnierza gwardii przybocznej Księcia, wygnanego mistyka Shantasi, marynarza zza Wybrzeży Zachodnich, kupca, który podróżował na południe od Kang Kang, by handlować przysługami i usługami z istotami, które tam mieszkają... Miałam ich wszystkich i ze wszystkimi rozmawiałam. I za każdym razem, kiedy mnie pieprzą tak czy inaczej albo kiedy mnie biją, myślę o tym, co ty sobą reprezentujesz. Myślę o magii, która pewnego dnia da mi prawdziwe życie.

Rafe nie wiedział, co o tym sądzić. Pogubił się w tym, co mówiła, i go to przerażało, milczał jednak, nie chcąc jej przerywać. Nie odzywały się do niego żadne głosy, nie docierały smaki czy zapachy i zastanawiał się, czy one także w milczeniu słuchają starej wiedźmy.

– A teraz tu jesteś. I kiedy sądzę, że wiem, kim jesteś, nie mam pojęcia, co robić. Uważasz, że to głupie? Że jestem wariatką? Czekałam na ciebie tak długo, a teraz ledwo mogę się ruszyć.

– Nie jesteś wariatką – szepnął Rafe, choć nie całkiem o tym przekonany.

– Drażylałam, szukałam, czekałam na znak lub choćby najmniejszy ślad, że coś się zmienia... Nigdy nie myślałam, że to ja cię znajdę. Skulonego w bramie, próbującego uciec od świata, w którym żyłam od zawsze. – Umilkła i kołysała się w milczeniu na krześle.

Światło znowu wpełzało do pokoju. Rafe nie zauważył, kiedy to się stało, ale teraz mógł dostrzec kształty na ścianie, a gdy spojrzał na Nadzieję, dostrzegł, jak z jej zamkniętych oczu płyną łzy.

– Jestem głodny – powiedział.

Oczy Nadziei natychmiast się otworzyły. Otarła łzy rękawem koszuli i wstała.

– Oczywiście, że jesteś. Ja też, synu. Wyjdę i przyniosę ci coś do jedzenia. Dalej na ulicy jest kupiec, on wcześniej otwiera sklep. Zostań tutaj. Nie dotykaj niczego i nie otwieraj drzwi! Nikt nie może cię tu zobaczyć. Nikt.

– Nie wiem, co robić – pożałił się Rafe; czuł, że i on zaraz się rozplacze. – Wszyscy, których znałem, nie żyją. Muszę wrócić do wuja Vance'a, on będzie wiedział, co robić. Zaopiekuje się mną.

– Czy to ten wuj, który pozwolił ci wałęsać się po obrzeżach ukrytych dzielnic? To nie jest odpowiednie miejsce, synu. Dobrze, że to ja cię znalazłam, a nie ktoś inny. – Nadzieja narzuciła płaszcz i wzięła ze stołu pod ścianą kilka przedmiotów.

– Tylko on mi pozostał – odparł Rafe załamany, bo trafiła w sedno. – Pomoże mi.

– Cóż, mniejsza o to. Teraz tu zostań. Wróć, zanim zauważysz, że w ogóle wyszłam. A wtedy coś zjemy i porozmawiamy dłużej.

Uśmiechnęła się do niego, ale ten uśmiech nie sprawił, by Rafe się uspokoił i poczuł bezpieczny.

* * *

Nadzieja wyszła na ulicę i na chwilę oparła się o ścianę, zbierając myśli. Nie powiedziała Rafe'owi o tych rzeczach, ale on sam był jednym wielkim kłębkim tajemnic. Oplakiwał rodziców, a przecież oni – nie miała co do tego wątpliwości – nie byli jego rodzicami. Chciał wrócić do wuja, który nie był jego krewnym, i tak bardzo chciał mu pomóc, że pozwolił pogrążonemu w bólu „bratankowi” wyjść na ulicę w pobliżu ukrytych dzielnic. Rafe był młodym chłopakiem, ledwie dojrzewał, a mimo to mógł trzymać w dłoniach przyszłość.

Nadzieja pokręciła głową. Słyszała tak wiele opowieści, tak wiele szalonych mitów przeobrażonych przez wieki – od dawna każda odrobina prawdy musiała zostać zniekształcona – że już wiele lat temu przestała w nie wierzyć. A teraz magia żyła i znajdowała się w jej suterenie. Chociaż Nadzieja w to zwątpiła, nadal wierzyła, że coś takiego w końcu się zdarzy.

Nie ma pepka! Nawet to teraz zdawało się tylko mitem, legendą?! Była przejęta, podniecona i przerażona, ale może trzeba czasu, aby jej wiara dorównała entuzjazmowi? A może nawet potrzeba dowodu?

Jeżeli Rafe rzeczywiście uosabiał odrodzoną magię, ona na pewno wkrótce się o tym przekona.

Mijała przekupniów rozstawiających kramy, obchodziła ludzi skulonych w rynsztokach, tak zamroczonych, że nie zważając na przesady, znajdowali dla siebie miejsce gdzie popadnie. Ulice ledwie budziły się do życia, przechodnie szli wolno, jak gdyby krew zastygła w żyłach starzejącego się miasta. Nadzieja odsunęła się, by przepuścić przechodzącą obok starą strawniczkę, której obwisły brzuch i piersi sięgały niemal ud. Zastanawiała się, czy kobieta rasy, którą kiedyś hodowano na pokarm, mogła naprawdę mieć nadzieję na coś więcej. Jeżeli magia powróci, to czy jej pomoże? Nikt właściwie nie wiedział. Nikt wśród żywych nie znał magii. Była tajemnicą i dowody jej wcześniejszego istnienia rozplywały się. Martwe maszyny, które Nadzieja widziała wokół siebie, wtopiły się w budynki, wiele z nich wykorzystywano szpetnie – jako toalety, koryta dla koni, framugi drzwi w burdelach. Rzeczy, które parę pokoleń wstecz tworzyły cuda, teraz stały się marnymi klockami.

Dotarła do celu i czekała chwilę, aż Mograt otworzy sklep. Był starym człowiekiem, górnikiem z kopalni węgla; jego mięśnie już dawno obrosły tłuszczem i Nadzieja przywykła do tego, że wolno się porusza.

– Dzień dobry, Mograt.

– Co? Och, Nadzieja, ty cholerna wiedzmo! Co sprowadza cię tak wcześnie? Myślałem, że wolisz ciemność.

– Jestem głodna, stary durniu. – Klepnęła go w ramię i skrzywiła się, widząc obłoczek kurzu. – Masz coś smacznego?

– Pomóż mi, to ci powiem. – Mograta podnosił drewnianą żaluzję.

Nadzieja dołączyła do niego. Kupiec, dysząc i sapiąc ciężko, podszedł do wózka i zaczął otwierać skrzynki. Nadzieja zobaczyła warzywa, kilka pomarszczonych owoców i byle jakich ryb, zapewne złowionych w rzece ostatniej nocy. Oczywiście, będzie twierdził, że są z rybackich wiosek na Wybrzeżach Zachodnich, ale Nadzieja potrafiła wyczuć różnicę. Ryba z Wybrzeży nie smakowała kloaką.

– Coś smacznego? – powtórzyła.

– Co?

– Smacznego!

– Wszystko jest smaczne, dziwko!

Roześmiała się i popchnęła Mograta do sklepu. Śmierdziało w nim, jakby nikt tu nie sprzątał od wielu księżyców, i chyba rzeczywiście nie sprzątał. Mograta nie dbał o higienę, ale Nadzieja go lubiła. W młodości trochę podróżował, pracował w kopalniach na Wdowich Szczytach i w górach Długiego Marrakashu. Znał opowieści – większość z nich słyszała już wiele razy – ale potrafił również wyczuć, co w trawie piszczy. Jego udawana głuchota pomagała mu w tym, podobnie jak wiek i wygląd niechluj. Ludzie, którzy mieli jakieś tajemnice, najwyraźniej się go nie obawiali i często rozmawiali swobodnie w jego obecności – albo w jego sklepie, albo w tawernie Pod Martwym Morzem, gdzie spędzał wieczory.

– Masz coś dla mnie? – zapytała ot, tak Nadzieja, wybierając najmniej zepsute owoce na śniadanie dla Rafe'a.

Stare przyzwyczajenia nie znikają łatwo i chociaż od wczoraj wszystko się zmieniło, Nadzieja nadal poszukiwała wiedzy.

– Och kurwaMag, to ci się chyba spodoba – powiedział. – Czerwoni Mnisi w Pavisie! Ubiegłej nocy jeden z nich przeszedł tuż obok Pod Martwym Morzem! Oczywiście, ja go nie widziałem, ale trzech klientów właśnie wchodziło i go zauważyło. Nie wiedzieli, co to takiego, ale z ich opisu zorientowałem się, kto to taki. Wiedziałem. A tego ranka, nad rzeką, stary wariat Jennson powiedział mi, że tuż przed świtem widział demona w czerwonej szacie. Czerwoni Mnisi, Nadziejo, co, na litość Kang Kang, się wydarzy? Sama wiesz, mówi się...

Ale Nadzieja już nie słuchała.

Wypadła ze sklepu i pomknęła ulicą, wymijając ludzi, prawie nie słysząc protestów kupca. Uświadomiła sobie, że wybiegła z kilkoma żółtymi jabłkami, więc rzuciła je za siebie w nadziei, że Mograta je zobaczy. Musieli uciekać, a nie chciała, żeby pozostała w jego myślach jako złodziejka!

Otworzyła drzwi wejściowe i zbiegła do sutereny. Odszedł? Na pewno odejdzie i nie będę wiedziała dokąd. Dopiero pojawił się w moim życiu i teraz zniknie. Ale Rafe nie zniknął. Ubrany siedział na łóżku i patrzył na nią z lękiem w oczach.

– Wychodzimy! – rozkazała.

– Ale wuj Vance...

– Nie żyje. W Pavisse są Czerwoni Mnisi, synu. Szukają cię.

– Dlaczego mnie?

– Bo jesteś wszystkim, co chcą zniszczyć! – Natychmiast pożałowała tych ostrych słów, ale była zbyt przerażona, aby przeproszać. – Zabieraj swoje rzeczy.

– Niczego nie mam.

– Daj mi chwilę. – Podbiegła do szafy i wyjęła z niej torbę. Niewiele myśląc, chwyciła kilka przedmiotów ze stołu; najwyraźniej nie zastanawiała się, co może być przydatne, a co okaże się zbędnym ciężarem.

– Gdzie oni są? – zapytał cicho Rafe z lękiem w głosie.

Zatrzymała się, dysząc ciężko, i zdała sobie sprawę, że przeraża chłopca jeszcze bardziej.

– Nie wiem. Mój znajomy widział jednego niedaleko stąd ubiegłej nocy. Mam nadzieję, że Mnich już sobie poszedł, ale musimy uciekać. Musimy, Rafe. Możesz mi zaufać, synu, naprawdę. Cokolwiek o mnie myślisz, o tym, kim jestem, co robię i robiłam, przysięgam na groby przodków, że chcę ci pomóc. Nie dopuszczę do tego, by ktoś cię skrzywdził. Tak, ta sytuacja cię przeraża, gubisz się, ale naprawdę jesteś kimś bardzo, bardzo ważnym.

Rafe spojrział na nią.

– Kiedy cię nie było, znowu słyszałem te głosy – powiedział.

Przyznał to! – pomyślała zdumiona Nadzieja.

– Namawiały cię, żebyś uciekał. Mogą ci doradzać, ale ja jestem przy tobie i postaram się pomóc. Jak najlepiej, do cholery. A teraz chodź, musimy uciekać.

– Dokąd?

Nadzieja pokręciła z irytacją głową. Powinna go podziwiać, ale jego ignorancja tylko ją drażniła.

– Synu, nie mam pojęcia, do cholery. Daleko stąd. Potem pomyślimy dokąd.

Dokąd mogłabym go zabrać? Czy jest jakieś miejsce, gdzie powinien się znaleźć? Czy tylko muszę zapewnić mu bezpieczeństwo, dopóki...

Ale nie wiedziała, dopóki co...

– Szybko! – Machnęła ręką, każąc mu wyjść.

Minął ją i ruszył schodami na górę, a Nadzieja po raz ostatni obrzuciła spojrzeniem swój pokój. Mieszkała tu tak długo, czekając na tę chwilę, a kiedy nadeszła, czuła jedynie dziwny smutek. Nie żał, że stąd odchodzi, coś innego, co ją dręczyło. A może przeczuwała, co nastąpi?

Zanim zamknęła drzwi, strąciła kilka słoików z półki. Rozbiły się, a na podłogę upadły odłamki szkła, pająki i skorpiony. W przeciwieństwie do pajaków, które trzymała w woreczku w kieszeni, te należały do śmiertelnej odmiany. Ich jaja zebrano w czterech miejscach Noreeli, a Nadzieja hodowała je, pielęgnowała, aby dzięki nim się bronić. Zatrzasnęła szybko

drzwi i nasłuchiwała dobiegającego zza nich szelestu nóg na drewnianej podłodze. Dźwięki szybko ucichły, gdy stworzenia znalazły sobie kryjówki. Będą czekały w nich na każdego, kto wejdzie do środka.

To wszystko. Odeszła. Nigdy już tam nie wróci. Widziała kiedyś koszarne skutki ugryzienia przez pająka zabójcę i to wystarczyło, by nie ryzykować.

Rafe czekał na nią u szczytu schodów. Precisnęła się obok niego, uchyliła lekko drzwi i wyrzła na zewnątrz. Zerknęła w lewo, w prawo, znowu w lewo i uświadomiła sobie, że nigdy dotąd nie była tak przerażona. Nigdy.

– Chyba jest bezpiecznie – powiedziała, ale mówiąc to, zastanawiała się, czy słowo „bezpiecznie” będzie kiedykolwiek brzmiało dla niej przekonująco. – Idziemy.

Kiedy prześliznęli się przez drzwi, Rafe ujął ją za rękę i mocno ścisnął. Nadzieja zatrzymała się i poczuła kulę w gardle. Głupia stara kobieto, pomyślała, ale nie mogła nie czuć dumy z okazanego jej zaufania.

Wyprowadziła Rafe'a na zatłoczone ulice Pavisse.

15

Właściwie nie był to tunel, nie w ścisłym znaczeniu tego słowa, raczej skrót między ulicami. Kosar i A'Meer nigdy nie znaleźli się w nim w całkowitej ciemności. Przeważnie wędrowali w półmroku, po zacienionych przejściach ledwo oświetlonych światłem wpadającym przez szczeliny w sufitach pomieszczeń w suterenach, gdzie ludzie właśnie budzili się z drzemki. Niektóre przejścia wykonano umyślnie – były tam schody wykute w skalnym podłożu, rdzewiejące wsporniki w miejscach, gdzie kiedyś wisiały latarnie – ale nie wszędzie. Niekiedy ich droga prowadziła przez szczeliny pozostawione między fundamentami budynków – najwyraźniej budowniczo wie poszli tam na skróty, a pod nogami leżał gruz, śmiecie i biegało mnóstwo szczurów. Tu i ówdzie w tunelu zwisały ogromne pajęczyny, a w wielu z nich jedwabne kokony z istotami wielkości dorosłego futroperza. A'Meer przedzierała się przez nie, nie zatrzymując się, Kosar był zadowolony, że to ona prowadzi. Ani razu nie zobaczył pająka. Zastanawiał się, gdzie wszystkie zniknęły.

Od czasu do czasu słyszeli głosy i w pewnym momencie chyba przechodzili pod wąską jezdnią – bo nad nimi cienie, ledwo widoczne przez zapchane błotem szczeliny w stropie, przesuwały się szybko i strącały ich butami kurz wpadał im w oczy. Zapachy gotowanych potraw, świeżego chleba i mięsa pieczonego na ulicznym ruszcie – śniadanie dla tych, których było na to stać – spływały w dół. Kosar poczuł, jak na samą myśl o tym ślina zbiera mu się w ustach, ale wtedy przypomniał sobie dom, który przed chwilą opuścili, ohydztwa na ścianach i podłodze pokoju na piętrze. W brzuchu mu zaburczało i zebrało mu się na wymioty.

Postukał A'Meer w ramię.

– Już niedaleko – szepnął. – Chyba jesteśmy na skraju ukrytych dzielnic. Jeżeli wkrótce znajdziemy gdzieś wyjście, będziemy tam, gdzie chcieliśmy się znaleźć.

– Dobrze – odparła A'Meer. – Ale powinniśmy iść szybciej. Mnich zabił wuja Rafe'a wiele godzin temu. Teraz może być wszędzie. Zastanawiam się, czy wie, gdzie szukać Rafe'a, i czy myśli tak jak my.

– To dla nas zagadka – przyznał Kosar. A'Meer wydawała się blejsza niż zazwyczaj. Wyciągnął rękę, dotknął jej policzka i ucieszył się z jej wdzięcznego uśmiechu. – Ale mamy przewagę. Znamy tutejszych ludzi, ty bardziej niż ja. Zamiast po prostu szukać powinniśmy popytać, sprawdzić, czy ktoś widział w dzielnicach obcego chłopaka, czy ktoś mógł się nim

zaopiekować.

– Wiadomość rozejdzie się szybko, zwłaszcza kiedy zobaczą mnie w stroju Shantasi. Stali klienci Pod Złamanym Ramieniem przeżyją szok.

– Zanim rozejdzie się wiadomość, albo my go znajdziemy, albo...

– Znajdą go oni. Czerwoni Mnisi są bardzo skuteczni. Patrzą na świat bez emocji. A to oczyszcza. Potrafią tylko nienawidzić.

– Tak? – zapytał Kosar, ale nastrój natychmiast się zmienił, jakby oboje poruszyli zakazany temat.

A'Meer odwróciła się i podążyła dalej. Kosar ruszył za nią.

Po kilku uderzeniach serca poczuli z lewej strony powiew powietrza. Pachniało. Skręcili w odgałęzienie korytarza, pochylając się, przeszli pod poskręcana spiralną częścią metalowej maszyny podtrzymującej strop i wspięli się po nierównych stopniach wyciętych w boku czegoś ogromnego. Z lewej i prawej strony widniały szczeliny, nad którymi prowadziły tylko te stopnie. Panowały egipskie ciemności, ale Kosar wyczuwał gdzieś w dole coś potężnego, nie martwego, ale uśpionego, czego oddech czynił ciemność jeszcze ciemniejszą. Pokręcił głową, nie mógł jednak uwolnić się od tej wizji. A'Meer obejrzała się, szeroko otwierając oczy. Ona też to wyczuła.

Kosara nigdy bardziej nie ucieszył widok brudnych ulic ukrytych dzielnic. Wyszli przez obramowaną poskręcanymi resztkami skamieniałej maszyny wyrwę w boku budynku. Powitały ich zdziwione spojrzenia. A'Meer otrząsnęła się, jakby chciała zrzucić z czarnych włosów i białej skóry kurz podziemi; jej broń zachrzęściła cicho.

Kosar unikał spojrzeń wpatrzonych w nich oczu, choć często mu się to nie udawało.

– Chodźmy – ponaglił. – Nie róbmy zamieszania.

Ruszyli szybkim krokiem, zagłębiając się coraz dalej w ukryte dzielnice.

Zazwyczaj uważano, że tutejsi mieszkańcy są przestępcami – złodziejami, mordercami, gwałcicielami, zbiegłymi bandytami – ale znajdowali tu schronienie także poeci i prorocy, którzy wsłuchiwali się w to, co mówią im ich serca. Było to trudne, niebezpieczne miejsce, ale przynajmniej tutaj od czasu do czasu w powietrzu wciąż rozbrzmiewało życie, a przyszłość dawała nadzieję na lepsze jutro.

Ludzie byli przeważnie uzbrojeni o wiele bardziej niż gdzie indziej, ale niewielu w takim stopniu jak A'Meer. Kiedy szli i szli, wszędzie zwracali na siebie uwagę. Milkły pogawędki, zamierał handel i Kosar słyszał szept tych, którzy skulili się w bramach albo wcisnęli w ścianę, aby zrobić im przejście. Mało kto widział wojownika Shantasi i strach tłumu był niemal namacalny.

– Nie pomogą nam znaleźć Rafe'a – szepnął do A'Meer. – Raczej będą go przed nami ukrywać.

– Kogoś tu znam – odpowiedziała. – Jest niedaleko stąd, pójdziemy do niej. Zawsze słucha informacji o przechodzących tędy nieznanym. Będzie wiedziała o Rafe, jeżeli ktoś

go zauważył.

– Kto to taki?

– Szpieg Shantasi.

Kosar pozwolił A'Meer iść przodem i podążył za nią. Próbował nie ściągać na siebie niczyjej uwagi, ale ludzie, którzy gapili się na Shantasi, zawsze też spoglądali na niego, unosząc ze zdziwieniem brwi. Kilku zerknęło na jego dłonie i kiedy dostrzegli zakrwawione opaski na czubkach palców, ich ciekawość wzrosła.

– Najemniczka i złodziej – szepnął ktoś. – Ciekawe, po co ją wynajął?

Kosar spojrzał na szepczącego i nie ruszył dalej, dopóki mężczyzna nie odwrócił wzroku.

Wszędzie widział takie same spojrzenia, słyszał takie same szepty. Wkrótce zaczął reagować jak paranoik, obawiając się, że całe Pavisse wie, w czym rzecz. W rzeczywistości, kiedy przechodzili, ich wygląd wywoływał zamieszanie, on jednak zdawał sobie sprawę, że w ukrytych dzielnicach zawsze działo się coś niezwykłego. Prawdopodobnie ten i ów będzie o nich mówił, ale ich obecność niczego nie zmieni.

Szedł ufnie za A'Meer. Za każdym razem, gdy słyszał podniesione głosy, odwracał się przekonany, że zobaczy Czerwonego Mnicha z wydobytym, spragnionym krwi mieczem, gotowym wbić się w ciało Shantasi.

– A teraz jeszcze najemnicy. Na pewno nastał czarny dzień.

Kosar zatrzymał się i odwrócił: kto to powiedział? Grupa dzieci z szeroko otwartymi z przerażenia oczami tuliła się do drewnianego płotu ogradzającego ogród ze skorpionoroślinami. Z ich lewej strony stała para starszych ludzi, lecz kiedy napotkał spojrzenie kobiety, odwróciła wzrok, udając, że wypatruje czegoś w kurzu na ziemi.

– A co poza najemnikami? – zapytał spokojnie.

Nie odpowiadała, więc jej partner szarpnął ją za rękę i szturchnął w bok. Spojrzała nad prawym ramieniem Kosara na A'Meer.

– Mnich – szepnęła. – Czerwony Mnich.

– Gdzie? Kiedy? Sam?

– Ubiegłej nocy przeszedł koło mojego domu. Nie mogłam zasnąć. Siedziałam przy oknie, patrząc w gwiazdy, i pisałam wiersz. – Spojrzała na Kosara; może bała się, że ją wyśmiej, ale ujrzała na jego twarzy wyłącznie pełne powagi zainteresowanie. – Zobaczyłam, jak przechodzi pod moim oknem. Nawet w ciemności mogłam dostrzec kolor.

– Nie powiedziałaś mi... – przerwał jej partner, ale kobieta nadal nie zwracała na niego uwagi.

– Zatrzymał się dokładnie pod moim oknem i uniósł głowę, wachając powietrze. Słyszałam, jak je wacha! Wiedział, że tam byłam, i musiał usłyszeć bicie mojego serca. A potem zniknął w cieniu.

– W jakim kierunku odszedł?

– Nie, on zniknął w ciemności. Nie poruszył się, ale zniknął. Nie wiem gdzie. – Płakała,

po jej twarzy spływały łzy starej kobiety, tak podobne do łez dziecka.

Kosar zerknął na A'Meer, która wciąż wpatrywała się uważnie w kobietę.

– Powinniśmy iść – powiedział. – Znaleźć tego, kto twoim zdaniem może pomóc.

– Czy to był dobry wiersz? – zapytała nagle A'Meer.

Zaskoczona kobieta przestała płakać.

– Wiersz. Był dobry? – powtórzyła A'Meer.

– Nie jestem pewna. Chyba go zapomniałam.

– Nigdy nie zapomnij poezji w swoim sercu – odparła A'Meer. – Może jeszcze się przyda pewnego dnia. – Odwróciła się i odeszła.

Kosar podążył za nią, zastanawiając się, co się wydarzyło. Stara kobieta już nie płakała i kiedy obejrzał się po raz ostatni, zobaczył, że mężczyzna coś do niej mówi, dotyka jej, starając się, by przestała patrzeć w niebo. Kolejna niespodzianka A'Meer.

– Może jeżeli przybyli tu i niczego nie znaleźli, to się wynieśli? – zapytał.

A'Meer zatrzymała się i poprowadziła go do budynku, którego ściany były zewnętrzną obudową starej maszyny. Najwyraźniej działali tu demonterzy – część maszyny leżała porzucona na ulicy i ludzie woleli ją obchodzić, zamiast przejść po niej lub odsunąć na bok.

– Jeżeli Mnisi tu się zjawili, to z konkretnego powodu – odparła A'Meer. – Wiemy, że jest ich więcej, nie jeden czy dwóch... pewnie wielu, a skoro przybyli tu tak licznie, to znaczy, że wiedzą, iż Rafe jest tutaj. Nie odejdą, dopóki nie umrze.

– Jak w ogóle się o nim dowiedzieli?

A'Meer wzruszyła ramionami.

– Szepty na wietrze. Plotki. Uważam, że oni przede wszystkim wiele wyczuwają. Magia jest powodem ich szaleństwa i są nastroszeni na jej impulsy.

– W takim razie dlaczego nie zrobią tego, co w Trengborne? – zapytał Kosar. – Czemu nie zabijają wszystkich, żeby mieć pewność, że Rafe także zginął?

– Może do tego dojdzie – odpowiedziała. – Ale, jak sądzę, na razie zdają sobie sprawę, że jeżeli rozpoczną masową rzeź, Rafe wpadnie w panikę i zniknie. Pavisse jest trochę większe niż Trengborne. – Uśmiechnęła się, ale oczy pozostały smutne.

Zbyt wiele wspomnień do niej wraca, pomyślał Kosar. Być może wspomnień o szkoleniu i o nałożonym na nią obowiązku. A także o jej walce z Mnichem w Ventgorii. Zapewne obawia się, że po tylu latach stabilizacji nie zdoła ponownie odnieść zwycięstwa.

– A'Meer – odezwał się. – Nie mam żadnej broni poza tym żalonym nożykiem.

Westchnęła i oparła głowę na jego ramieniu.

– Ależ świetnie jesteśmy przygotowani, co? – Wyciągnęła z pochwy na biodrze długi, wąski miecz i mu go podała. – Posłuchaj, Kosarze. Wiem, że potrafisz o siebie zadbać, ale to broń Shantasi. Nie jest zaklęta ani przeklęta, ale żadna krwi. I bardzo, bardzo ostra. – Mówiąc, odwiązywała pochwę. Zdjęła ją w kilka sekund, nie poruszając niczego innego. – Jeżeli jej dobędziesz, poleje się krew. – Dotknęła ręką trzymanego przez Kosara miecza i

skrzywiła się, gdy na jej dłoni pojawiła się krwawa kreska.

– Nie rób tego! – zawołał zszokowany.

Cofnął się, przykładając miecz do boku i rozejrzał się: czy ktoś to zauważył? Kilka osób przyglądało się, zbyt zaciekawionych, żeby ulec strachowi.

– Nie bolało. – Uśmiechnęła się. – Uwierz mi, kiedy ten miecz zostanie wyciągnięty, nie spocznie, dopóki go nie nasycisz.

Spojrzał na broń, spodziewając się, że owinie się wokół jego dłoni jak wąż. Dotknął czubkiem palca płazu i kropla krwi A'Meer spłynęła po metalu, skupiając na sobie blask porannego słońca.

– Mówisz tak, jakby on żył.

– Nie! – A'Meer pokręciła głową. – Oczywiście, że nie. Nie jest żywy ani magiczny, jedynie głodny. Miecze Mnichów są takie same, ale karmią się szaleństwem ich właścicieli, dlatego efekt został spotęgowany. Co do mnie, jak przypuszczam, chodzi bardziej o tradycję, o coś, co wbili mi do głowy mistycy w Hess. Ale każda tradycja ma jakąś swoją przyczynę.

Kiedy Kosar przywiązywał pochwę – nie leżała dobrze, sprawiała wrażenie, że układa się odpowiednio wyłącznie na biodrze A'Meer – zapytał, dokąd teraz pójda.

– Do kobiety, o której wspomniałam – odparła szybko A'Meer. – Jest burdelmama. Pracuje w starej maszynie niedaleko stąd. Jest z nią pięć dziewczyn, dwie to fledżerki. Ma nawet strawniczkę. To coś nowego, więc pociąga, chociaż zastanawiam się, jak powstrzyma mężczyzn, by jej nie gryźli.

– Znasz niezwykle uroczych ludzi.

– Słuchaj, pracowałam w knajpie pełnej przestępców, złoczyńców i nieudaczników.

– I tam mnie spotkałaś.

– Masz rację, złodzieju.

Uśmiechnęli się do siebie, nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć. W tych okolicznościach przekomarzenie się nie było czymś właściwym. Sprawy nabierały tempa, jak wirująca proca, gotowa wypuścić pocisk. Kierunek, w którym ten pocisk polecą, zależał całkowicie od tego, co zdarzy się w tym dniu. Wieczorem mogą już uciekać przed Czerwonymi Mnichami, zabierając ze sobą Rafe'a. A może będą grzebać jego szczątki, a A'Meer oplakiwać magię, która mogła w nim istnieć. Albo też oboje zginą.

– Jak do tego doszło? – zapytał Kosar, nie bardzo umiając sprecyzować myśl.

– Tak się to dzieje. – A'Meer wspięła się na czubki palców, pocałowała go w usta, odwróciła się i ruszyła przed siebie.

* * *

Kobieta była ogromna. Miała na imię Kruszyna – cóż za paradoks – i Kosar nie miał

pojęcia, jak może się w ogóle poruszać. Jej ramiona opierały się na potężnych biodrach, nogi prawie całkowicie tonęły w fałdach tłuszczu, a oczy przypominały małe paciorki wciśnięte w kulę ciasta.

– A’Meer! – wrzasnęła na ich widok. – W końcu postanowiłaś jednak przyjść do mnie do pracy! Ale po co ci te koziki, jędzo? Wiesz, że nie zajmuję się takimi interesami.

– Miło cię widzieć, Kruszyno – odparła A’Meer. – Chyba trochę odstawiłaś smalczyk z owcolopy.

– Ważę prawie tyle, ile wszystkie moje dziewczyny razem wzięte – oświadczyła z dumą burdelmama. – Co to za fiut? Chce trochę? Chcesz trochę pociupciać, fiucie?

Kosar pokręcił głową zakłopotany. Peszyła go ta kobieta-góra. A obwieszona zasłonami i draperiami wewnątrz wielkiej maszyny wydawało mu się niezwykle. Jego wygląd atakował zmysł wzroku, mnóstwo kolorów i kształtów nie pozwalało ustalić, gdzie jest góra, gdzie dół, gdzie idzie się w lewo, a gdzie w prawo. Ktoś przeniknął po drugiej stronie draperii zastępującej ścianę, ale rysował się zaledwie jego cień. W pobliżu ktoś inny pochrapywał cicho. Kosarowi zdawało się, że słyszy dobiegające skądś przytłumione odgłosy uprawiania seksu.

– Szukam kogoś, Kruszyno – powiedziała A’Meer.

– Kogoś innego niż on? – zapytała burdelmama wskazując Kosara. Ten ruch rozkołysał całe jej cielsko. Jej obwisłe piersi, każda wielkości małej owcolopy, zafalowały, jakby żyły własnym życiem.

– Chłopca – wyjaśniła A’Meer. – Kruszyno, to ważne. Chłopiec jest dla mnie bardzo cenny, a jego życiu zagraża wielkie niebezpieczeństwo.

– Cenny dla ciebie czy cenny dla Nowego Shanti? – A’Meer nie odpowiedziała. Kruszyna zmierzyła ją wzrokiem. – I jesteś uzbrojona po zęby.

Kosar nie polubił jej. Sprawiała wrażenie zbyt swobodnej, zbyt skłonnej do dowcipkowania, ale przez cały czas wyczuwał, że za jej paciorkowatymi oczami pracuje bardzo sprawny umysł.

– O wielu rzeczach rzadko komu opowiadam – przyznała A’Meer.

– Słyszałam o wojownikach Shantasi – oświadczyła Kruszyna, tocząc się powoli w stronę ściany z zasłon.

A’Meer spojrzała na Kosara i wzruszyła ramionami. Zmarszczył brwi, usiłując zasygnalizować swój brak zaufania do tej kobiety.

– Dziewczynki! – zawołała burdelmama. – Kruszyna chce pogadać!

– Jestem zajęta – odezwał się jakiś daleko głos.

– W takim razie kiedy skończysz, Złotko. Nie poganiaj dzentelmena. Zapłacił za swoje.

Najpierw przez zasłony i draperie widoczne były cienie, które powoli przemieniły się w kobiety. Weszły do salonu, gdzie czekali Kruszyna, A’Meer i Kosar. Jedna z nich była piękna, druga ciężarna, a kolejna sprawiała wrażenie zamroczonej berbeluchą i kiepskim

fledżem. Przysiadła też strawniczka, tłusta i pokryta bliznami po pogryzieniach, a wreszcie fledżerka, wysoka i żółtooka.

– Chłopak jest obcy? – spytała Kruszyna.

A'Meer kiwnęła głową.

– Dziewczynki, moja przyjaciółka szuka kogoś. Chłopca. Nie widziałyście go wcześniej. Może był sam albo, ponieważ jest obcy, mógł go zabrać ktoś z dzielnicy. Widziałyście kogoś z obcym? Kogoś, kogo znamy?

– Nadzieję – odezwała się fledżerka. – Ta stara wariatka, wiedźma-dziwka, rzuciła we mnie sakiewką z jadowitymi pajakami. Prowadziła chłopca, cholernego brudnego wsioka, przerażonego.

– Kiedy to było? – zapytała A'Meer. Fledżerka nie zwracała na nią uwagi.

– Kiedy to było? – mruknęła Kruszyna.

– Wczoraj.

– Gdzie mieszka ta Nadziejka? – A'Meer zadała pytanie Kruszynie, ta powtórzyła je fledżerce, a ona odpowiedziała.

– Następną ulicą na południe, Krąg Piętych Narodzin. Niedaleko stąd. – Fledżerka po raz pierwszy i ostatni zwróciła się wprost do A'Meer. – Kiedy znajdziesz tę starą wiedźmę-dziwkę, poderżniesz jej gardło?

– Nie – odparła A'Meer.

Fledżerka spojrzała na Kruszynę, unosząc brwi. Burdelmama kiwnęła głową i dziewczynki rozeszły się, z szelestem znikając za zasłonami.

– Dziękuję, Kruszyno – powiedziała A'Meer.

Ogromna kobieta się uśmiechnęła.

– Zaciągnęłaś u mnie kolejny dług. Musisz wkrótce do mnie przyjść i go odpracować, Shantasi. – Przyjrzała się rynsztunkowi A'Meer, ale zwały tłuszczu nie pozwoliły Kosarowi odczytać wyrazu jej twarzy. Zagadkowość chyba dobrze jej służyła.

A'Meer skinęła głową, ukloniła się nisko, trąciła Kosara i wyszła za nim ze starej maszyny.

* * *

Najszybciej jak mogli, ruszyli serpentyną ulicy na południe. Kosar trzymał jedną rękę na wiszącym u pasa mieczu. Obijał mu się o nogę, przeszkadzał, ale dodawał pewności siebie. Kosar nie mógł pozbyć się uczucia, że bardzo szybko ściągają na siebie kłopoty.

Kiedy dotarli do Kręgu Piętych Narodzin, A'Meer szybko szła ulicą, spoglądając na drzwi, jakby sam ich wygląd wskazywał, gdzie mieszka wiedźma.

– Musimy kogoś zapytać – stwierdził Kosar.

A'Meer zatrzymała się przed budynkiem, którego drzwi były zamknięte na cztery spusty,

okna zakryte okiennicami i niepowybijane. Cofnęła się i przyjrzała się fasadzie, od góry do dołu, a potem znowu drzwiom frontowym.

– To tutaj.

– Skąd wiesz?

– Na ziemi widać znaki więdźmy – wyjaśniła krótko.

Kosar spojrział w to samo miejsce co ona, ale nic nie dostrzegł.

– Jest w suterenie – oznajmiła A'Meer, klękając, aby lepiej przyjrzeć się wąskim szczelinom w ścianie budynku tuż nad ziemią. – Jej znakiem jest korzeń Nemezis Willmotta. Czuję jego zapach.

– W takim razie chodźmy.

A'Meer wstała i skinęła głową.

– Szybko, ale po cichu. Ja pójdę pierwsza.

Kosar nie sprzeczał się z nią. A'Meer położyła rękę na klamce, zawahała się i obejrzała na niego, marszcząc brwi.

– O co chodzi? – zapytał.

– Coś...

Drzwi otworzyły się gwałtownie, wyrwane z zawiasów. Wyleciały z framugi i drzazgi poszybowały w powietrzu. A'Meer zatoczyła się na Kosara, a on do tyłu. Z domu wypadł Czerwony Mnich. Jego wyraźnie kobiece usta były szeroko otwarte w zastygłym grymasie cierpienia i szoku. Kosar cofał się przekonany, że zaraz się potknie, a wtedy Mnich strątuje A'Meer i go dopadnie. Kaptur spadł Mnichowi na ramiona i Kosar widział łysą czerwoną głowę ze sterczącymi jak kolce popękanyimi żyłami, z których sączyła się krew. Mnich miał oczy szeroko otwarte, a szkarłatna krew zbierała się w jego białkach. Chyba nic nie widział. Ręce wyciągnął przed siebie, w jednej ścisnął miecz, który zdawał się wysuwać w stronę Kosara, jakby wyczuwał jego krew.

Kosar upadł, usiłując wyciągnąć swój miecz; kopnął atakującego Czerwonego Mnicha, a on zatoczył się do tyłu i wrzasnął. Kosar przez chwilę czuł radość, ale Mnich odzyskał równowagę i szybko pokuśtykał dalej. Wciąż wrzeszczał piskliwie, urywanie, jakby w jego gardle coś się gotowało.

– A'Meer! – krzyknął Kosar.

Shantasi już stała, trzymając w jednej ręce miecz, a w drugiej bat-garotę. W wybałuszonych oczach widać było przerażenie, usta miała szeroko otwarte, jakby próbowała łapać nimi powietrze. Kosar zaczął się o nią bać.

Czerwony Mnich pędził ulicą. Ludzie szybko schodzili mu z drogi. Wymachiwał rękami, a krew z pękających na jego czaszce żył tworzyła mgiełkę w powietrzu. Nagle upadł i zaczął poruszać się na czworakach, susami jak lisolew. Wciąż wrzeszczał.

– A'Meer! – zawołał Kosar i podbiegł do niej. Drzazgi tkwiły w jej twarzy, z ran spływały strużki krwi. – Musimy biec za nim!

Pokręciła głową, spojrzała na rozbite drzwi i cofnęła się, jakby spodziewała się, że zaraz pojawi się następny Mnich.

Kosar wyciągnął miecz i stanął przed A'Meer niczym odważny rycerz. Śmiechu warte. Oto on, nędzny złodziej, chce bronić wojowniczkę Shantasi. Zaśmiałyby się, gdyby nie był tak przerażony.

– Do środka – rzuciła w końcu. – Musimy szybko sprawdzić dom, a potem ruszymy za nim. Ale uważaj tam coś jest. Chyba ugryzł go pająk-zabójca.

– KurwaMag – szepnął Kosar. Słyszał o tych stworzeniach. Prawdę mówiąc, nie wiedział, z kim wolałby się zetknąć: z Czerwonym Mnichem czy pajakiem-zabójcą.

A'Meer minęła go i wpadła do domu. Jej ręka drgnęła, bat świsnął w powietrzu, trafiając coś, co kryło się w mroku.

Kosar wbiegł za nią i odskoczył – na podłodze konał pająk, wielki jak gałka oczna.

– To on? – zapytał.

– Nie, nigdy dotąd nie widziałam takiego. Zabójca wciąż musi tu gdzieś być. – Zeszła po schodach do sutereny, Kosar tuż za nią. Szukali Rafe'a, ale Kosar był pewien, że nie znajdą jego zwłok. Mnich – choć rozjuszony bólem – był jednak czysty. Jego miecz nie nosił śladów krwi, a ta na twarzy sączyła się z pękniętych żył.

– A'Meer, ten Mnich wpadł na trop Rafe'a.

A'Meer pchnęła drzwi u stóp schodów i weszła do środka. Machnęła ręką, przecinając na pół skorpiona, który wybiegł zza szafy. Kosar podążał za nią, czujny – rozglądał się, wypatrując wszędzie charakterystycznych cieni.

– Cóż, tu go w każdym razie nie ma – stwierdziła A'Meer. – Uważaj, na podłodze leży przynajmniej pięć rozbitych słoików.

Kosar popatrzył pod nogi i zobaczył kawałki glinianych naczyń. Nic w nich nie było. Zerknął na półki zastawione setkami innych słoików i skórzanych pudełek, zastanawiając się, co takiego Nadzieja w nich trzymała. Nie znał wiedźmy i nigdy nie był u niej w domu. Wiszące pęki ziół, słoiki, mapy, inne akcesoria niepokoiły go, być może z powodu tego, jak inni postrzegali to miejsce – o jeden krok bliżej magii.

– Musimy iść – oznajmiła A'Meer. Odwróciła się. Oczy jej się rozszerzyły, zamachnęła się, obciążony drut bata wystrzelił i trafił coś, co siedziało na ramieniu Kosara. Poczuł, jak rozszarpane wnętrzności ochlapują jego nagie ramię i na podłogę spadł martwy pająk-zabójca. – Naprawdę musimy – powtórzyła z naciskiem.

– Dobrze.

Pozostawili pokój w posiadaniu tego, co w nim żywe, zamykając mocno drzwi do sutereny, aby niebezpieczeństwo nie mogło wydostać się na zewnątrz.

Na ulicy zebrał się już tłum. Dzieci biegały tam i z powrotem, zbierały garście drzazg z rozbitych drzwi, żeby pokazać je później przyjaciołom i pochwalić się, co też takiego widziały. Dorośli stali dalej, bo doświadczenie podpowiadało im, że powinni zachować

ostrożność i się tym nie interesować. A po ulicy kroczyło dumnie w ich stronę trzech milicjantów, pogrążając mieczami.

– O kurwaMag – zaklął Kosar. – Teraz będą z nami gadać aż do zmierzchu.

– Trzymaj się blisko mnie, nie odzywaj się i staraj się nie słuchać zbyt uważnie tego, co im powiem. – A’Meer zerknęła przez ramię na Kosara. – Myśl o czymś innym, na przykład, jak wytropić Czerwonego Mnicha. Jak to zrobimy?

Milicjanci się zatrzymali. Stanęli obok siebie niczym w kordonie na ulicy, którą musieli pójść Kosar i A’Meer.

O co jej chodziło? Mogli wytropić Mnicha bez trudu. Tam gdzie się pojawił, będą stały gromadki ludzi rozmawiających o tym, co właśnie widzieli, jak wiele poleło się krwi: „Widziałeś to? Biegło jak pies, to kobieta, mówisz, że to była kobieta, ale skąd wzięło się tyle krwi?...”

– Ach! – Jeden z milicjantów zakrył rękami uszy, a pozostali cofnęli się pod mur po przeciwnej stronie ulicy z takim przerażeniem, jakby A’Meer rzeczywiście była Czerwonym Mnichem.

– Kosar, chodź! – zawołała.

Przebiegła obok milicjantów i Kosar usłyszał, jak mruczy pod nosem słowa przeprosin.

– Co im zrobiłaś? – zapytał.

Nie odpowiedziała.

Dotarli do końca Kręgu Piątych Narodzin i skręcili w lewo, widząc przestraszonych ludzi, którzy rozproszyli się po ulicach niczym wróble spłoszone przez przelatującego sokoła. Przechodnie szybko schodzili im z drogi; Kosar uśmiechał się do nich, próbując dać im znać, że nie mają się czego obawiać. Lecz nagle w oddali rozległ się wrzask: przenikliwy, głośny, pełen wściekłości, wydobywający się z gardła, ale nie ludzkiego. Z o wiele większej odległości nad dachami domów nadleciała odpowiedź. Przerażone ptaki i ogromne ćmy wzbily się w powietrze.

– Co to takiego...

– Cholera! – zakląła A’Meer – Mnichów jest więcej. Wzywa ich. – Zatrzymała się, dysząc. Bat-garota zwisał jej z ręki i ciągnął za nią w kurzu. – Jeżeli pójdziemy za nim, natkniemy się na innych. Chyba że szybko go dopadniemy... dopadniemy, zabijemy i wyniesiemy się stąd.

– No to na co czekamy? – zapytał Kosar, oczekując, że zaproponuje, jak łatwo i błyskawicznie załatwić tę sprawę. Bądź co bądź był tylko złodziejem.

– Boję się.

Kosar nie okazał zdziwienia.

– Przypuszczam, że Rafe też.

A’Meer spojrzała na oblepione kurzem szczątki wciąż przyłączone do jej bata. Skinęła głową i znowu ruszyła biegiem, licząc, że ludzie usuną się jej z drogi. I się nie przeliczyła.

Trop był bardzo widoczny. Na zaschniętym kurzu widniały plamy czarnej krwi i nawet gdyby ich nie było, wyraz twarzy ludzi wskazałby im drogę. Wzdłuż ulicy stali oszołomieni gapie, jedni wstrząśnięci widokiem krwawiącej, wrzeszczącej kobiety, inni – nieliczni, którzy zapewne znali prawdziwą naturę Czerwonych Mnichów – kompletnie przerażeni. Pogłoski o obecności Mnichów na pewno musiały już krążyć po Pavisse, ale widok jednego z nich wzburzonego i w działaniu uświadomił zagrożenie, w jakim znalazło się miasto.

A'Meer biegła pierwsza. Kosar patrzył, jak jej czarne warkocze podskakują, ale broń na pętelkach, pasach i w pochwach nie poruszała się i nie brzęczała.

Co takiego zrobiła, że milicjanci się cofnęli? Wymamrotała kilka słów i kwilili jak niemowlęta. Jaką mocą, czym niezwykłym tego dokonała?

Mnich znowu zawył przed nimi, tym razem bliżej.

– Jak dawno? – Kosar zapytał oszołomionego pasterza owcolop, który stał ze stadem skupionym wokół niego, jakby miało go chronić.

– Parę minut. – Spojrzał na miecz Kosara, wciąż obnażony i ciepły w dłoni złodzieja. – Potrzebujesz czegoś więcej.

Kosar przyspieszył i dogonił A'Meer.

– Jest blisko! – zawołał, ale nie musiał jej tego mówić.

Obiegli wielką starą maszynę, której macki dawno już skamieniały, tworząc połamane, kamienne ostrogi wciąż na próżno sięgające w niebo. Obok na ziemi leżał mężczyzna, przytrzymując wypadające, śliskie wnętrzności. Patrzył w niebo. Mała dziewczynka tuliła się do niego i krzyczała. Ludzie kręcili się wokół, nie wiedząc, co robić.

– Chodź – rzuciła cicho przez ramię A'Meer, jakby obawiała się, że Kosar zatrzyma się, by pomóc.

Przebiegając obok mężczyzny, złodziej zerknął na niego i na sekundę ich spojrzenia się spotkały. Szybko odwrócił wzrok. Nic nie pocieszy człowieka, który wkrótce umrze oplakiwany przez córeczkę.

Mnich wrzasnął znowu i odpowiedziało mu kilka krzyków z różnych stron. Skomplikowany labirynt ulic i zaułków zakłócał echa, nie wiadomo skąd dochodziły głosy, lecz Kosar nabrał w końcu pewności, że Czerwoni Mnisi zbliżają się szybko, gotowi do walki. Możemy tu zginąć, pomyślał. I pewnie zginiemy. A'Meer przeraził jeden ranny Mnich, a teraz nadciąga jeszcze kilku, tak jakby nas otaczali.

A'Meer biegła szybko i Kosar wkrótce z trudem za nią nadażał. Lata robią swoje. Letnie słońce wyciskało z niego pot. Koszula i spodnie były mokre i przyklepiały mu się do skóry. A'Meer sprawiała wrażenie, że wcale się nie męczy. Zupełnie jakby miała osiemnaście lat, a nie ponad sto. Kolejna tajemnica Shantasi, pomyślał.

Wpadli na zatłoczony plac. Ludzie, widząc, że się spieszą, wskazywali drogę. A'Meer wbiegła w wąski zaułek, od czasu do czasu spoglądając na plamy krwi na ziemi. Kosar podążył za nią. Minęli sznur z suszącym się praniem splamionym u dołu krwią. Albo Mnich

dopał tu kogoś, albo jego żyły nadal pękały, zatrute jadem pająka-zabójcy.

– Już niedaleko! – krzyknęła A'Meer.

Na rogu Kosar dostrzegł czerwony płaszcz Mnicha znikający za zakrętem zaułka. Nad uliczką na kładce stało kilka osób; krzyczały, machały rękami, dodając im otuchy. Ten mały tłum przypominał Kosarowi walki z tocznikami. Kilka razy przyglądał się takiemu widowisku. O ile lepszą rozrywkę wkrótce im zapewni?

Znowu zobaczył Mnicha – sadził susy jak wściekły pies. Za każdym razem, kiedy opadał na ręce, krew bryzgała naokoło, tryskając i buchając z rozerwanych żył. Trucizna dawno już powinna go zabić – krwawił również wewnętrznie, jego brzuch wypełniał się krwią, tętnice pękały coraz bardziej, serce bilo nierówno, ale wydawało się, że Mnich nie traci sił. Szaleństwo, o którym mówiła A'Meer, dobrze mu służyło.

Przemknęli przez kolejny plac, na którym ludzie uciekali przed czerwonym demonem, i wpadli w następną uliczkę.

– Tutaj! – zawołała A'Meer.

Mnich odwrócił się, słysząc jej głos.

Kosar stanął. Niewiele brakowało, a zawróciłby i uciekł, poszukał sobie kryjówki, z której mógłby tylko słuchać odgłosów walki. Na pewno potrwa tylko kilka sekund. Mnich był rodem z Kang Kang, koszmarem, demoniczną legendą opowiadaną w Noreeli – zboczony krwią, szalony, czerwony z wściekłości. Jedno oko mu wypłynęło, a mimo to wciąż widział, czuł, że złości szczyrzył długie kły. Z zębów kapiała mu ślina. Wymachiwał rękami, stopami uderzał o ziemię i nie zwalniał ani na chwilę.

Wciąż szukał swojej ofiary i nic nie mogło zmusić go, by zaprzestał pościgu.

A'Meer wyciągnęła z kieszeni na ramieniu niewielką kuszę, szybko opuściła ją i wystrzeliła. Bełt trafił w pusty oczodół stwora, który zawył, odwrócił się i pognął przed siebie jeszcze szybciej. Shantasi, nie zwalniając biegu, wystrzeliła kilka razy. Każdy bełt trafił w cel – jeden w tył głowy Mnicha, drugi w grzbiet... ale jedynie mocniej przyszpilały płaszcz do jego ciała.

– Zostaw go mnie, ty zajmij się chłopcem! – zawołała.

Kosar chciał zaprotestować, ale wiedział, że Shantasi ma rację. Była wojowniczką, a on złodziejem: udoskonalili umiejętność kradzieży i ukrywania łupów. Obiegli następny róg i znaleźli się na wielkim placu, wśród podnieconego tłumu... I nagle Kosar ich zobaczył, po drugiej stronie placu. Rafe biegł razem ze starą kobietą, kierując się ku szerokiej bramie do parku. To pewnie była wiedźma Nadzieja. Kosar pragnął, by jej imię spełniało zawartą w nim obietnicę.

Mnich wrzasnął znowu, zbyt głośno jak na człowieka, ze zbyt wielką wściekłością, jak na zdrowego na umyśle. Wiedźma i chłopak zatrzymali się, odwrócili i przeraził ich widok oszalałego stwora.

Wiedźma sięgnęła do torby i coś z niej wydobyła.

A'Meer machnęła batem. Owinął się wokół kostki Mnicha – stwór przewrócił się, a ona upadła.

– Zabierz ich stąd! – krzyknęła do Kosara. Poderwała się, zamachnęła, tnąc batem jego płaszcz i ciało.

Kosar podbiegł do wiedźmy i Rafe'a. Uśmiechał się do chłopca, wierząc, że w ten sposób sam też przestanie się bać. Wiedźma spojrzała na jego obnażony miecz i podniosła dłoń, gotowa cisnąć w niego czymś zielonym, co wiło się w jej dłoni.

– Nie! – zawołał Rafe. – To przyjaciel.

Kosar wyciągnął rękę do chłopaka i odruchowo przytulił go mocno.

– Wojowniczką Shantasi – sapnęła wiedźma, zaskoczona, i tatuaże na jej twarzy drgnęły.

Mnich znowu stał. Szaleńcza determinacja pozwalała mu nie zwracać uwagi na rozszarpaną i złamaną kostkę i wciąż usiłował dopaść Rafe'a. Ale drogę zastąpiła mu A'Meer. Zadawała cięcia mieczem, uskakiwała, parowała ciosy, wyprowadzała pchnięcia. Ugodziła Mnicha w odsłoniętą szyję i wykonała gwałtowny obrót. Krew trysnęła łukiem z rany, obryzgując owcolopę przywiązaną do pobliskiego straganu. Zwierzę zabeczało przeraźliwie, gdy nasycona jadem pająka-zabójcy krew wypaliła mu oczy.

Zafascynowany walką tłum cofnął się na obrzeża placu. Ludzie krzyczeli i wiwatowali, gdy któraś ze stron zadała cios. Kosar uświadomił sobie, że nie kibicują nikomu i nie wiedzą, nie rozumieją, co się dzieje. Po prostu cieszyli się widowiskiem.

– Musimy się stąd wynosić! – rozkazał.

– Ten stwór przyszedł po mnie – odparł Rafe. – Ale kim jest ona?

– To przyjaciółka. Rafe, musimy cię stąd zabrać.

– Nie pomożesz swojej przyjaciółce? – zapytała wiedźma.

Kosar spojrzał na walczących.

– Nie. Powiedziała, żebym zabrał Rafe'a i znalazł mu bezpieczne schronienie. Ona jest wyszkolona, poradzi sobie. Już kiedyś zabiła Mnicha.

Na dziwnie wytatuowanej twarzy wiedźmy pojawiło się szydercze niedowierzenie.

– Nie może być dobrą przyjaciółką, skoro cię w taki sposób okłamuje. A ty też nie jesteś jej wielkim przyjacielem, bo zostawiasz ją, choć grozi jej śmierć.

– Najważniejszy jest chłopak...

– Wiem! Dlatego pójdzie ze mną!

Kosar usłyszał okrzyk A'Meer i obejrzał się, bojąc się, co za chwilę zobaczy. Bat owinął się wokół uda Mnicha, który teraz, bryzgając krwią, obracał się w miejscu i przyciągał A'Meer coraz bliżej. Starła się rozpiąć mocujące opaski i uwolnić się, kiedy Mnich zatrzymał się i zadał cios obydwoma mieczami. Zrobiła unik. W powietrze pofrunął pukiel jej czarnych włosów. Wyprostowała się szybko i uderzyła Mnicha w twarz kolczastą kulą kiścienia. Wykorzystała moment, kiedy się zachwiał, by odciąć drut bata i cofnąć się na bezpieczną odległość od Mnicha.

– Musimy się stąd wynosić! – powtórzył Kosar. – Mnich wezwał innych, a jeżeli się tu zbiorą, wszyscy umrą.

– W takim razie powinniśmy ich powstrzymać – stwierdziła wiedźma. Przyłożyła dłonie do ust i krzyknęła. – Nadciąga więcej tych stworów! Szybko, uciekajcie stąd. Uciekajcie! Znajdźcie sobie bezpieczną kryjówkę! Zabiją was wszystkich!

Tłum zaczął falować, kilka osób natychmiast się oddaliło, ale większość została.

W tym momencie Mnich zranił A'Meer. Krzyknęła i upadła, a odcięty płat skóry na ramieniu odsłonił mięsień

– Widzicie?! – krzyczała Nadzieja. – Te demony wymordują was wszystkich i pożrą wasze dzieci.

Tym razem tłum zareagował gwałtowniej. Większość ludzi, ogarnięta paniką, zaczęła uciekać w wąskie zaułki i ulice – przepychali się, padali, tratowali.

– Wysłaaś ich prosto na spotkanie innych Mnichów – powiedział Kosar i od razu uświadomił sobie zimną logikę jej postępowania.

– Może dadzą nam trochę czasu – oświadczyła Nadzieja. – Twoja przyjaciółka potrzebuje pomocy. – Wskazała, co działo się za plecami Kosara. Odwrócił się i zobaczył A'Meer na ziemi, wymachiwała nogami, by odepchnąć nacierającego Mnicha. A on uniósł oba miecze i uśmiechał się, szczerbaty, plując krwią i odłamkami kości. A'Meer uchylała się, by się przed tym ochronić – miała otwarte rany i jad pająka-zabójcy by ją uśmiercił – a Mnich wciąż atakował.

– A'Meer. – Kosar zrobił niepewny krok, by się do niej zbliżyć, zatrzymał się i poczuł, jak miecz gorąco pulsuje mu w dłoni.

– Powiem ci, gdzie jesteśmy! – zawołała wiedźma. Kosar obejrzał się i zobaczył, że ona, Rafe i ktoś jeszcze idą w stronę parku.

– Jak?! – krzyknął.

– Dam ci znać. – Głos wiedźmy ucichł zagłuszony krzykami i wrzaskami.

Rafe jeszcze raz obejrzał się przez ramię i wyraz jego twarzy przekonał Kosara, że chłopak jest oszołomiony i przerażony, ale chyba ufa wiedźmie.

A'Meer znalazła się w prawdziwych tarapatach. Jej ramię silnie krwawiło, a kiedy cofała się, Mnich nie pozwolił jej odpocząć. Pchnął obydwoma mieczami, A'Meer zawirowała w kurzu, uniknęła ciosów, podskoczyła i uderzyła stopami w jego przeguby, łamiąc jeden z głośnym trzaskiem. Mnich wrzasnął, zrobił kilka kroków w tył... i nagle, chociaż nie miał już oczu, zorientował się, że Rafe zniknął. Odrzucił kopniakiem A'Meer i ruszył na Kosara.

A on miał do wyboru: odsunąć się i pozwolić Mnichowi przejść, dalej ścigać Rafe'a i wiedźmę – a wtedy to, czego dokonała A'Meer, poszłoby na marne – albo walczyć.

Miecz wiedział, czego potrzebuje.

Dysząc ciężko, Kosar wsunął go pod pachę, naciągnął rękawy koszuli i owinał nimi dłonie, chroniąc otwarte rany na czubkach palców.

– Nie pozwól mu przejść! – krzyknęła A’Meer. Wstała i wyciągała z pasa i zza szarfy na brzuchu jeszcze inną broń.

Kosar podniósł miecz, sparował dwa ciosy Mnicha, a potem trzeci; nie odrywał wzroku od jego zmasakrowanej twarzy, pękniętych gałek ocznych spływających po policzkach, krwi tryskającej z ust. Starał się przypomnieć sobie wszystko, co wiedział o walce – sam się jej uczył i często wykorzystywał tę umiejętność podczas podróży i napadów – i kiedy Mnich wyciągnął obie ręce, by zadać mu pchnięcie, przykucnął, po czym rzucił się przed siebie. Ciął mieczem i poczuł, jak zazgrzytał o kości.

Mnich zawył i opluł Kosara fontanną krwi. Złodziej zrobił unik, przekreślił miecz, wyrrywając go z ciała Czerwonego Mnicha, i potoczył się po ziemi.

– Hej, to mi się podoba – powiedziała słabym głosem A’Meer. Podbiegła do Mnicha od tyłu i wbiła mu w plecy ostry trójząb.

Plac niemal opustoszał, pozostało tylko kilku zagorzałych kibiców walki, którzy ocenili szanse obu stron. Trzymali się z daleka, krążyli, żeby lepiej widzieć, co się dzieje, wiwatowali przy każdym zadanym ciosie... ale on teraz czuł, że wiedzą, z kim sympatyzować. Kiedy Mnich ruszył w stronę parku, Kosar podbiegł do niego, odskoczył, by uniknąć zdecydowanego cięcia mieczem, i sam zadał jeden, dwa, trzy ciosy w nogę. Przy każdym widzowie wznosili radosny okrzyk. Kosar uśmiechnął się i ciął ponownie.

Mnich się zachwiał. Jego poszarpany płaszcz rozchylił się, odsłaniając obwisłe piersi. Kosar znów zadał cios, stracił miecz – utkwiał w kości udowej stwora – i odskoczył, gdy przeciwnik padł na ziemię. Mnich zawarczał, pełznąc za nim, dopóki jego zakrwawiona ręka nie zacisnęła się na bucie Kosara. Wtedy złodziej zorientował się, że to jedna wielka gra.

– A’Meer! – krzyknął.

Podbiegła do niego. Prawą dłoń i przedramię wsunęła za koszulę, aby do rany nie dostała się krew Mnicha. Uniosła w lewej ręce mały toporek i w ostatniej chwili zatopiła go w przegubie Mnicha.

Kosar się czołgał, ale odcięta dłoń Mnicha wciąż mocno zaciskała się na jego bucie.

Gapie krzyczeli.

A’Meer znowu zaatakowała Mnicha toporkiem, mierząc w drugą rękę wciąż wymachującą mieczem. Stwór odparował jej cios, przesunął się po ziemi i nagle ciął ją w kostkę. Jęknęła, cofnęła się, upuszczając toporek, i upadła na kolana, gdy krew zaczęła sączyć się spod jej buta.

Na placu zapadła cisza.

– Hej!

Kosar biegł do A’Meer; odrzucił kopniakiem wciąż poruszającą palcami dłoń i się rozejrzał. W rogu placu stał jakiś mężczyzna i machał rękami.

– Hej! Tu jest zagroda z tocznikiem.

– Toczник – stęknęła A’Meer, gdy Kosar do niej podbiegł.

– Dobrze się czujesz?

Spojrzała na niego i zobaczyła na jej skroniach nabrzmiałe żyły, wciskające swoje okrutne palce pod skórę na jej głowie. Oczy miała przekrwione.

– Nie – odpowiedziała.

– O kurwaMag, A’Meer!

– Jedyna szansa... – wydusiła. – Zatrzymam go tutaj, a potem odpędzę. A ty biegnij po tocznika. Do tego idioty, który krzyknął. Każ mu go sobie pokazać.

– A co z tobą, co z...

– Umiera się tylko raz, Kosarze. Mnich na pewno mnie nie dopadnie. Moimi ranami będziemy się martwili później.

Mnich poderwał się i znów ruszył w stronę bramy do parku. Były w nim tysiące kryjówek, ale Kosar nie wątpił, że wiedźma i Rafe dotarli do drugiego krańca. Mnich zawył znowu i coś w pobliżu mu odpowiedziało.

– Są blisko!

– Czas nagli, Kosarze. Idź!

Ruszył w stronę rogu placu, a potem obejrzał się na A’Meer. Podniosła się z wysiłkiem. Zawrócił, przebiegł obok niej, zanurkował pod mieczem Mnicha, wyszarpnął swój z jego nogi i wbił klingę między żebra stwora. Mnich się przewrócił i Kosar odbiegł. Kiedy mijał A’Meer, uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała uśmiechem. Oboje umrzemy, pomyślał.

Mężczyzna, który krzyczał, popędził ulicą, zanim Kosar do niego dołączył. Skręcił w lewo, potem w prawo i szybko doprowadził go do otoczonej wysokim ogrodzeniem zagrody – areny tocznika. Kosar widział parę razy walkę, ale mu się nie podobała. Bez względu na to, jak chętnie ludzie brali w niej udział, widok ciał nabitych na kolce gigantycznego tocznika, którego ostrza i haczyki przekłuwały oczy i serca głupców, nie odpowiadał mu.

Ty czerwony dziwolągu, pomyślał. Ucieknij przed tym!

– Gdzie brama? – zapytał.

– Tutaj! – Mężczyzna wskazał ogrodzenie.

Kosar po raz pierwszy zobaczył dokładnie jego twarz. Wyrażała nie tylko podniecenie, ale wręcz wielką fizyczną satysfakcję.

– Jak nad tym zapanować?

– Nie ma na niego sposobu. Kiedy się stąd wydostanie, możesz tylko uciekać.

– Wspaniale.

Kosar podwinął rękawy, wyciągnął nóż i zaczął ciąć drewniane zawiasy bramy. Kiedy z jednym się uporał, usłyszał dobiegający z placu wrzask Czerwonego Mnicha i zobaczył, jak tocznik porusza się na swoim legowisku z mchu. Był większy od Kosara, ale na pewno nie największy, jakiego widział – u podnóża Kang Kang spotykało się olbrzymy. Były na nim ślady wielu walk. Zakrzywione, ostre haki przyciskały kości do jego skórzastej powłoki. Na niektórych wisiały nadal kawałki mięsa, strzępy odzieży, biżuteria. Kiedy Kosar przeciął

drugi zawias, tocznik zaniepokoił się i zaskakująco prędko potoczył w stronę bramy. Rozwarła się. Kosar skoczył za jedno z jej skrzydeł i jęknął, gdy otworzyło się tak szeroko, że przycisnęło go do ogrodzenia. Tocznik ruszył ulicą, odbijając się od ścian domów. Dźwięk, który temu towarzyszył, był jak muzyka – szelest roślin na bruku, stukot kości, kolce ocierające się o mur, co nadawało rytm ucieczce stwora.

Kosar odepchnął skrzydło bramy i pobiegł za tocznikiem. Coś zawyło przed nim. Nie był to głos A'Meer i brzmiał zbyt donośnie, by taki dźwięk wydawał ranny Czerwony Mnich.

Dotarł do placu w samą porę, by zobaczyć, jak tocznik dopada pierwszej ofiary. Czerwony Mnich, który właśnie wyszedł z zaułka kilka domów dalej, natychmiast nabił się na kolce sterczące z powłoki stwora. Wrzasnął. Tocznik zatrzymał się, a potem zaczął poruszać się do przodu i tyłu, wbijając kolce w ofiarę, dopóki nie utkwily w niej mocno. Mnich krzyknął znowu, tnąc mieczem. Za wszelką cenę chciał się uwolnić, nawet jeśli miałby sam siebie wypatroszyć.

A'Meer była tam, gdzie Kosar ją zostawił. Zataczała krąg wokół innego szalonego Mnicha, ciskała nożami w jego twarz i pierś. Stwór prawie się nie poruszał, chociaż wciąż stał, ryczał i pluł w nią krwią. Zapewne była to ostatnia skuteczna broń, jaka mu pozostała.

Tocznik obracał się, wciąż miażdżąc schwytanego Mnicha... a potem zatrzymał się.

– A'Meer, uciekaj!

Tocznik rozpędził się po placu. Niemal natychmiast porwał rannego Mnicha, wgniół go w pył w deszczu krwi i podązał dalej, dopóki nie uderzył w mur, koło bramy parku. Cofnął się, uderzył znowu i jeszcze głębiej wbił ofiarę na swoje kolce.

A'Meer dokuśtykała do bramy i spojrzała na Kosara. Pomachał jej, ale ona najwyraźniej na coś czekała, obserwując tocznika, który znowu ruszył przez plac. Skacząc na jednej nodze, wypadła z bramy i podniosła leżący w zakrwawionym pyłe miecz Kosara. Potem zaczęła oddalać się od tocznika, w ślad za kobietą, która obserwowała walkę, a teraz również chciała uciec.

Kosar spotkał A'Meer na rogu placu.

– A'Meer! – zawołał. – KurwaMag, A'Meer, myślałem, że zginęłaś.

– Tak to tylko wyglądało. – Jej biała skóra zmieniała barwę, gdy krew się pod nią zbierała, na białkach oczu pojawiały się pęknięte żyłki, z nosa sączyła się krew. A jednak podała mu miecz. – Należał do mojego ojca.

– Musimy się stąd wynosić. – Kosar wziął miecz i wsunął go do pochwy, z której posypał się zlepiony krwią kurz. – Zmierzają tutaj inni Mnisi. Chyba całe Pavisse ich słyszało. – Szybko odwinął z palców mokre paski materiału i wyrzucił je; bał się, że może być na nich krew Mnicha. Jak dotąd czuł się świetnie. Żadnego ognia w żyłach. Nic nie zapowiadało bliskiej śmierci, w każdym razie nie jego ciała.

– Co z Rafe'em?

– Wiedźma przeprowadziła go przez park. Obiecała, że nam powie, gdzie ich znaleźć.

Powieki A'Meer drżały, a kiedy zakaszłała, w ślinie była krew.

– Może ma odtrutkę na zabójcę – szepnęła. – Hej, załatwiłam już dwóch Mnichów. Zaczynam być w tym dobra.

Tocznik krążył po placu, odbijając się od ścian domów i bramy parku. Przystawał od czasu do czasu, gdy któryś z Mnichów krzyknął. Wtedy odpoczywał, wiercąc się jak pies przygotowujący sobie wygodne miejsce do leżenia, po czym toczył się dalej. Jego ruchy były wolniejsze, bardziej majestatyczne, jakby na razie zaspokoił głód. Pozostawiał na ziemi krwawe ślady i wkrótce plac wyglądał tak, jakby stoczono na nim setkę walk, a nie tylko jedną.

Kosar pochylił się i zarzucił sobie A'Meer przez prawe ramię. Była cięższa, niż się wydawało – może dlatego, że wciąż miała na sobie dużą część rynsztunku, mimo że sporo go straciła, walcząc z Mniczem – ale Kosar ruszył szybko, gnany strachem, który łomotał mu w sercu i go mobilizował. Skręcił w prawo, przebiegł z ulicy w zaułek, potem przez plac, kierując się przez ukryte dzielnice na drugą stronę parku. Wielu ludzi im się przyglądało. kilkoro nawet wskazywało ich palcami, trącało sąsiadów i szeptało: „To oni walczyli z czerwonym demonem, mówię ci! Zdziwiałe, że choć jedno przeżyło!”

Kosar wiedział, że muszą opuścić Pavisse. Bo po co szukać w nim Rafe'a Baburna? Wiedźma go zabrała i bez względu na to, co nią powodowało, chciała zapewnić mu bezpieczeństwo. Wyprowadzi go z miasta i ruszą na północ lub wschód, byle dalej od Pavisse i Trengborne. Jeśli Nadzieja dotrzyma słowa i w jakiś sposób przekaże im wiadomość, choć Kosar nie miał pojęcia w jaki. Jeżeli on i A'Meer zdołają wymknąć się z Pavisse, jeżeli nie schwytają ich Mnisi lub milicja, jeżeli A'Meer nie umrze, a on nie będzie musiał błąkać się, zdany na siebie... to i tak niewiele zyskali. Rafe wymykał im się, tak jak w momencie, kiedy opuszczali dom A'Meer.

Wszystko zależało od Nadziei.

* * *

Rafe biegł. Miał wrażenie, że całą wieczność. Przez plac, dalej od złodzieja i wojowniczkę, przez ulice pełne spanikowanych ludzi. Nadzieja wciągnęła go do bramy, kiedy tłum przed nimi rozstał się przed pędzącą postacią w czerwieni. Machała mieczem, jakby wyrąbywała sobie drogę w dżungli. Ludzie uskakiwali na bok, parę osób nie zdążyło. Rafe znów pomyślał o Trengborne i rodzicach i Nadzieja nie musiała zakrywać mu dłonią ust, by nie krzyczał.

Chociaż wiedźma była stara, Rafe zmęczył się pierwszy. Ostatnich kilka dni wyczerpało go fizycznie i psychicznie, a głosy wykańczały. Nieustanne szepty w umyśle, jakby spiskowało w nim coś zupełnie obcego, byty, które w jakichś własnych celach wykorzystywały go jako pośrednika. Wiedział, że się myli – że nie ma w nim niczego poza

zranioną duszą – a jednak głosy przerażały go coraz bardziej. Przerazały, bo oznaczało to, że wiedźma prawdopodobnie ma rację.

Głosy przemawiały obrazami, niczym sny, które chcą dać się poznać, i chociaż niektóre zapachy, smaki i dźwięki były znajome, razem pozostawały tajemnicą. Być może wyróżniały go i czyniły kimś szczególnym. Ale na razie niewiele mu pomagały.

Gdy dotarli do obrzeży miasta, zwolnili i szli szybkim krokiem. Nadzieja od czasu do czasu przystawała przy kramach – kupowała żywność, targowała się o ciepłą odzież – ale nigdzie nie zatrzymywali się na długo. Ponieważ podążało za nimi więcej tych stworów, nieugiętych, mimo że trafiały je strzały i bełty, przeszywano je mieczami, bito i chociaż zostały ugryzione przez pająka-zabójcę...

Na skraju Pavisse, za ostatnim prymitywnym obozowiskiem, za którym nic już nie było tworem człowieka, Nadzieja w końcu się zatrzymała. Spojrzała na Rafe'a, uśmiechnęła się, a jej tatuaże uśmiechnęły się razem z nią.

– Tam jest niebezpiecznie – powiedziała, wskazując ruchem głowy drogę przed nimi. – Ludzie już często nie podróżują, ale jeśli już, to mają ku temu ważne powody. Świat się zmienia. Słyszałam wiele plotek, poznałam mity, synu, lecz jeżeli choćby część z nich jest prawdziwa... No cóż, tam jest niebezpiecznie.

– Bardziej niż w mieście?

Spoglądała na niego długo, tak długo, że pomyślał, iż coś się jej stało. Może zapadła w jakiś wiedźmowy sen. Nadzieja jednak tylko patrzyła i w jej oczach dostrzegł zdumienie.

– Wiesz, że te rzeczy przychodzą po ciebie, prawda, Rafe?

– Chyba tak.

– I wiesz dlaczego. Mówiłam ci dlaczego.

Nie chciał na to odpowiedzieć, ale mimo woli skinął głową. Z powodu głosów, pomyślał. Ponieważ ziemia do mnie mówi. Mówi, a Czerwoni Mnisi myślą, że Magowie ją usłyszą.

– Muszę zapewnić ci bezpieczeństwo – oświadczyła.

– A co ze złodziejem?

– Złodziejem i jego Shantasi? Cóż, dałam słowo. Uważam, że zawsze może się nam przydać ktoś, kto wie, jak posługiwać się mieczem. Nie martw się, przekażę im wiadomość, o ile jeszcze żyją. W co wątpię.

– Jak to zrobisz?

Wiedźma popatrzyła na równiny, na horyzont drgający w upale.

– Najpierw musisz mi pomóc znaleźć czaszkokruka.

Ruszyli, im dalej od Pavisse, tym bardziej okolica stawała się dzika. Wiatr przynosił chłodniejsze podmuchy powietrza z północy. Wydawał się uciszać głosy w głowie Rafe'a, ale ich nie stłumił. Czekały.

16

Lecieli wysoko, nad chmurami, nie widząc nic pod sobą, ale Lenora wiedziała, że podążają we właściwym kierunku. Przede wszystkim robiło się coraz cieplej. A kiedy czuła zapach Noreeli, nienawiść w jej sercu potęgowała. Sokoły głównie szybowały i jedynie od czasu do czasu machały połączonymi błoną szponami lub wykorzystywały podmuch z worka gazowego. Krotowie siedzieli w siodłach, jedli, spali, nawoływali się, patrzyli w ciemnoniebieskie niebo lub na pokrywą chmur. Niekiedy obłoki rozstępowały się, odsłaniając wciąż to samo – morze, ciągle morze – ale teraz już bez białych Plamek lodu. Oznaczało to, że z każdą sekundą zbliżają się do Noreeli.

Lenora nasłuchiwała swojej córki. Myśl, że głos rozlegnie się znowu, przerażała ją, minęło bowiem trzysta lat, a to zbyt długo, by matka i córka pozostawały rozdzielone. Ale czuła też podniecenie. Chociaż głos cienia nigdy nie będzie już taki sam, doda jej zapału w zbliżającej się walce. Będzie służyła Magom z takim oddaniem, jak przez wszystkie minione wieki, a kiedy nadejdzie pora, zatroszczy się o siebie. Chociaż Robenna może już nie istnieć, znajdzie w tym miejscu potomków ludzi, którzy ją wypędzili. Przeżyje swoją radosną chwilę zemsty.

Gdy jej sokół szybował przed siebie, Lenora dostrzegła między chmurami, daleko w dole, skrawek morza i przypomniała sobie, kiedy po raz ostatni stąpała po noreelańskiej ziemi.

* * *

Maszyna z jeźdźcem poczerwieniałym z wściekłości i żądzы krwi zajęła się innymi Krotami. Jeździec stwierdził, że Lenora nie żyje, a ona pomyślała, że pewnie miał rację. Upadła na plecy, gasząc ogień wżerający się w jej ramię i szyję, a morze przyjęło ją przyjaźnie, gdy zapadała w ciemność.

Kopnęła. Jej stopa odbiła się od plaży.

– Matko – powiedział cień, który mógł być jej córką. I zniknął.

Znów machnęła nogami, ale tym razem pod jej stopami niczego nie było.

* * *

Czas mijał: minuty lub wieki.

Lenora się ocknęła. Teraz inaczej postrzegała świat. Czuła swąd płonących ciał, ślad czasu w wietrze, w ustach krew, własną i cudzą, a także żądzę zemsty, gorzką jak ropa sącząca się z zepsutego zęba. Ujrzała nad sobą olinowanie wielkiego statku, sięgające nieba maszty z żaglami i sznurami, które nawet teraz stawały w ogniu. Nagle pochyliła się nad nią znajoma, uśmiechnięta, idealnie piękna twarz z kroplami krwi, która zlepiła również pukle splątanych blond włosów.

Angel.

Lenora jęknęła i usiłowała się cofnąć, ale leżała na wznak na pokładzie. Angel oderwała od niej spojrzenie, jej oczy patrzyły we wszystkie strony – niezwykle inteligentne i wyraźnie szalone. Lenora kilkakrotnie odetchnęła głęboko, zanim Magini znowu skupiła na niej uwagę.

– Jesteś ranna – powiedziała.

Głos miała spokojny, ale do głębi przesycony najmroczniejszą wiedzą. Cienie jak węże wiły się wokół jej głowy, wypełzały z oczu, wnikały do ust – ogony czarnej magii emanujące z jej umysłu i wchłaniane ponownie.

Lenora nie mogła mówić.

– Walczyłaś dzielnie, a nienawiść nadal w tobie płonie. Ocalę cię od śmierci i uczynię doskonalszą. A jeżeli mamy przed sobą przyszłość, będziesz jej częścią.

Lenora próbowała się odezwać, ale ból sparaliżował jej gardło i usta. Nie mogła nic zrobić, kiedy Angel pochyliła się i pocałowała ją. Poczuła, jak coś wpełza do jej gardła – całkowicie obce, pokraczne, ale cieszące się swoim istnieniem – i jej nowa świadomość wykonała potężny skok do przodu.

Kiedy traciła przytomność, dostrzegła jeszcze, jak Angel wstaje i odchodzi. I przez chwilę czuła się tak, jakby posiadała absolutną wiedzę.

* * *

Gdy znów się ocknęła, statek wciąż płonął. Ktoś przeciągnął ją na skraj pokładu i oparł o nadburcie. Obok niej spadały płonące kawałki drewna i płachty żagli. Ktoś wył, ktoś inny krzyczał, a szereg Krotów stał na pokładzie – podawali sobie wiadra z wodą i próbowali ugasić ogień.

Lenora chciała pomóc, ale nie mogła się podnieść. Strasznie bolały ją ramiona, lecz kiedy na nie spojrzała, osłupiała: rany już się zablizniły. Cierpienie było wspomnieniem bólu. Nie czuła już tego, co dała jej Magini, ale nadal miała świadomość obecności w niej tego czegoś, odrobiny czarnej magii Angel owiniętej wokół jej serca. Cieszyła się, choć była przerażona. Nie miała pojęcia, co przyniesie przyszłość.

Maszt runął, przywaleni nim ludzie wrzeszczeli i nagle świat się zmienił.

Wszyscy, których nie dotknął ogień, krzyknęli jednym głosem.

Lenora wrzasnęła.

Z gardła niewidocznej dla niej Angel wyrwało się wycie, od którego pękały deski, rozrywały się bębniaki w uszach, a rażone nim morskie ptaki spadały martwe z nieba.

– Och, na litość Czerni – szepnęła Lenora, skrobiąc popękane drewno. Gdyby potrafiła paznokciami rozszerzyć jedną ze szczelin, chętnie zapadłaby się pod pokład.

Wiatr, który nie pozwalał im dobić do brzegów Noreeli, ucichł i tuzin statków Krotów kołysał się bezradnie, unoszony prądem. Chmury rozstały się i powstała potężna trąba wodna – rozerwała na strzępy jedną z łodzi, a na powierzchnię morza wypłynęły martwe ryby, niektóre małe jak ludzki palec, inne wielkie jak okręt. Nagle wyrzucone w powietrze, rozprysły się, a ich wnętrzości już były zepsute i cuchnące.

Lenora myślała o córce i każda minuta, która minęła od poronienia u podnóży Kang Kang, była zmarnowana, beznadziejna, stanowiła parodię istnienia. Płakała gorzkimi i gorącymi łzami. Przez chwilę prawie nie mogła oddychać, Miała wrażenie, jakby coś, co oddychało za nią, nagle zostało jej odebrane.

– Co się stało?! – krzyknęła. – Co się stało? – Pytała jak wszyscy i na to najprostsze z pytań nie znalazła odpowiedzi.

Świat zadygotał i zadrżał, a kiedy znieruchomiał, był inny, gorszy.

* * *

Magia odeszła z Noreeli, pozostawiając za sobą pustkę beznadziei i rozpacz.

Wielu Krotów wyskoczyło za burtę, na pastwę morza i żyjących w nim stworów. Inni wypili truciznę lub nadziali się na miecze. Lenora pełzła po pokładzie, ale kiedy dotarła do płonącego zagła, w który zamierzała się owinać, płomienie zgasły.

Magów nigdzie nie było widać. Zobaczyli ich dziesięć dni później, kiedy silny wiatr zaniósł ich do skutego lodem wybrzeża na północy.

* * *

Lenora, siedząca na sokole i pogrążona we wspomnieniach odległej przeszłości, zadrżała na myśl o odejściu magii. Długo trwało, nim ocalali Krotowie otrząsnęli się z poczucia bezsily. I trzeba było czekać trzysta lat, aby magia znowu pokazała swoje oblicze.

Tym razem Magowie zdobędą ją na własność.

* * *

Trey nie mógł spać. Był załamany tym, co się stało, nie mógł w to uwierzyć. Niemożliwe,

by jego matka nie żyła. Niemożliwe, by zginęła Sonda. Podziemna społeczność z całą pewnością znajduje się tam, gdzie była, zajmuje się swoimi sprawami i zastanawia w barach, sklepach czy na placu, na którym lalkarz dawał przedstawienia, gdzie podział się Trey Barrosa.

Ale gdy patrzył na słońce wstające na wschodzie, wiedział, że to jednak prawda. Teraz ból, cierpienie, męczarnie były dla niego tak oczywiste, jak chłodny poranek. Czerwień płonąca między górami raziła go w oczy, więc odwrócił się plecami do słońca i obserwował Alishię.

Od kiedy upadła i uderzyła się w głowę, zrobiła się dziwna. Pomyślał, że może pękła jej czaszka. Guz nie był wielki i prawie nie krwawił, lecz kiedy zemdląca, a po paru minutach ocknęła się, krzyczała, tańczyła i śmiała się, po czym popadła w otępienie. Oczy miała otwarte, a jej wargi poruszały się bezgłośnie. Siedziała wyprostowana, z dłońmi opartymi na kolanach, przebierając od czasu do czasu palcami, jakby usiłowała rozruszać zeszywniałe stawy. Ale nie odzywała się i sprawiała wrażenie, że w ogóle go nie dostrzega.

Może przeważnie się tak zachowywała. Nie znał jej, była powierzchowncem. A jeśli to jest jej sposób zaprzyjaźniania się?

Do minionego dnia Trey ani razu nie widział nieba. Po upadku Alishii wrócił do niej, zapanował nad lękiem, a potem siedział całą noc i nad nią czuwał. Ciemność była jego odwieczną towarzyszką, ale dotąd nie zdawał sobie sprawy, że jest tak głęboka. Wpatrywał się w nią godzinami, wstrząśnięty widokiem gwiazd, zdziwiony, że aż tylu umarłych nadal pojawia się w postaci plamek bardzo jasnego światła. Muszą ich tam być miliony i dlatego wielokrotnie przepatrywał niebo od horyzontu po horyzont, poszukując matki.

Księżyc życia oblewał blaskiem ziemię na południu, srebrząc się jak cień nadziei wiecznie obiecywanej przez niebo. Gdy Trey siedział zapatrzony w przestrzeń, księżyc śmierci wyłonił się zza gór na wschodzie, jakby unosiły go dusze martwych górników. Jego bladożółta poświata skąpała okolicę. Tak często słyszał o księżycach – tam na dole, w ciemności, wszyscy mówili o nich takim samym przytłumionym głosem jak o rozległych łąkach, słońcu grzejącym skórę, ptakach, dzięki którym niebo wydaje się zawieszane tak wysoko. A teraz był tu, na górze, i widział wszystko, o czym opowiadano. To niesprawiedliwe, dlaczego przeżył tylko on?

Ale poczucie winy nie mogło stłumić podziwu. Z bolesnym zachwytem patrzył, jak o świcie niebo zmienia kolor, a kiedy w końcu słońce dotknęło jej twarzy, Alishia ocknęła się.

* * *

Bolała ją głowa. Krew zlepiała włosy, zaschła na twarzy, a cały bok był sztywny i ciężki. Poruszyła szczęką i odwróciła się delikatnie. Nie złamała karku? Skorupa krwi pękała z trzaskiem.

Świtało i słońce raziło ją w oczy. Chmury się rozplynęły, ale zimny północny wiatr przesycał powietrze chłodem. Wszystko Alishię bolało, ale miała ochotę głośno się śmiać.

– Wróciłeś – powiedziała. Sylwetka Treya rysowała się na tle wschodzącego słońca. Alishia zobaczyła, że skinął głową. – Ostatnie, co pamiętam, to to, że koń oszalał.

– Potknął się w ciemności – wyjaśnił. – Widziałem dziurę doskonale, ale on albo nie miał dobrego wzroku, albo był bardziej przerażony niż ja. Myślałem, że zbliża się Nax. Nie wiem, dlaczego koń poniósł. Głupie zwierzę.

– Konie są dość inteligentne – zaprzeczyła, starając się nie uśmiechnąć. – Gdzie jest teraz?

– Tam, gdzie upadł. Złamał nogę. Kość przebiła skórę.

– O cholera. – Alishii żal się zrobiło zwierzęcia. Szybko zawiozło ją aż tutaj, a teraz leży kulawe. Poczuli się nagle winni, wyobrażając sobie, co powiedziałby Erv.

Jego imię budziło refleksję. Gdzie żył, co robił, jak wyglądał? Czy mówił jakieś dziwne słowa, znał języki, których ona nie знаła? Czy mógł robić rzeczy, których inni robić nie umieli?

Próbowała zapomnieć stajennego chłopaka, kręciła głową, chcąc odpędzić te myśli.

– Musimy go zabić.

Trey wstał; lekko się odwrócił i teraz widziała jego twarz.

– Zabić?

– Właśnie. Nie może chodzić. Nie wyleczymy mu nogi. Jeżeli go zostawimy, rozszarpią go ścierwojady. Nie wolno do tego dopuścić. Co robicie w kopalni, kiedy kucyk się zrani?

– Zjadamy go – oświadczył Trey.

Jest poza swoim środowiskiem, wyobcowany z jakichś powodów. Mówi o Naksach, ale skąd mam wiedzieć, czy to prawda? Może ucieka przed czymś innym albo spieszo mu gdzieś dotrzeć. Wykorzystuje mnie. Czy zna język wiatru? Czy potrafi czuć krainę oddychającą pod jego stopami?

– Och – zdziwiła się.

– Ich mięso w jaskiniowych przyprawach jest bardzo smaczne.

– Nie o to mi chodzi. Musiałam uderzyć się w głowę bardzo mocno. Czuję się trochę dziwnie.

Czuję się trochę... Przyłożyła dłoń do piersi, przycisnęła mocno, śmiejąc się w myślach.

Trey odwrócił się, patrząc w ziemię, aby światło słoneczne nie raziło go w oczy.

– Nie mogę go zabić – powiedział.

– Ja to zrobię. – Alishia wstała, wyjęła nóż i mu się przyjrzała. Jak zabić konia nożem o piętnastocentymetrowym ostrzu? Wbić mu w ucho? Poderżnąć gardło? Ani w jednym, ani w drugim wypadku zwierzę nie umrze szybko, ale było to nowe doświadczenie i budziło jej ciekawość.

Zostawiła Treya i zeszła w dół zbocza. Usłyszała konia, zanim go zobaczyła, jego ciężki

oddech i postępowania, kiedy na próżno usiłował wstać. Rozszerzonymi z przerażenia oczami spozjrzał na nią. Piana, które leciała z pyska, teraz zaschła i kruszyła się w słońcu.

– Biedactwo – powiedziała cicho, wyciągając ręce i ukrywając nóż. – Ciii, biedactwo.

Koń przy niej chyba poczuł się lepiej, uspokoił się i tylko dyszał. Alishia czuła drżenie jego gorączkowo bijącego serca. Złamana, poszarpana przednia noga już zwabiła mrówki, muchy i inne drobne owady.

Koń długo się męczył. Alishia wahała się tak długo, że słońce zdążyło już wstać i rozproszyć lekką mgiełkę na równinach, a kiedy wreszcie postanowiła poderżnąć mu gardło, bardzo długo zbierała się na odwagę. W końcu z zamkniętymi oczami pchnęła raz, mocno. Koń szarpnął się i wierzgnął.

Zarżał rozpaczliwie. Odwróciła się i odeszła, gdy tylko zobaczyła, że zwierzę wykrwawia się na śmierć. Chociaż było jej niedobrze i smutno, nowe doświadczenie – zadanie śmierci – fascynowało ją, sprawiało jej radość. Zupełnie jakby uderzenie w głowę obudziło w niej coś, co rozkoszowało się mordem, jakąś obojętnością bez żalu.

Ciekawe, czy ból ma specyficzny dźwięk? – zastanawiała się. Ciekawe, czy śmierć przemawia całkowicie nowym językiem?

Kiedy dotarła do górnika fledżu, który siedział na zboczu, osłaniając oczy, koń już nie żył.

– Śniadanie? – zapytała.

Trey podniósł głowę i spozjrzał na jej dłonie, najwyraźniej spodziewając się, że zobaczy w nich kawałki świeżej koniny.

– A co mamy? – zapytał.

– Na pewno coś znajdziemy. – Alishia wiedziała z książek, że na pogórzach pod warstwami mchu można czasem znaleźć pędraki, że miąższ pirackiego drzewka jest słodki i pożywny, a bażanty-nieloty udaje się zwabić śpiewaną cicho kołysanką. Wysłała Treya po pędraki, a sama wyruszyła na poszukiwanie młodniaka pirackich drzewek; jednocześnie wypatrywała bażantów.

Od północy wiał chłodny wiatr, wyczuwalny, chociaż słońce wznosiło się coraz wyżej i już grzało. Alishia wciąż zerkiała na północ – nie bardzo wiedziała, czego oczekuje, ale nie opuszczała jej świadomości, że coś tam jest.

Mój pan, moja królowa, mój bóg.

Wciąż bolał ją guz na głowie. Rana piekła, a kiedy Alishia schyliła się, by wyciąć pęd pirackiego drzewka, poczuła, jak strużka świeżej krwi sączy się przez włosy. I chociaż doświadczyła bólu, sprawiał jej przyjemność. Nie pierwszy raz się zraniła, ale w tej chwili beznamiętnie to analizowała. Rozkoszując się cierpieniem, przechylała głowę tak, aby krew spływała jak woda aż na kark, gdzie już rozlewał się siniak.

Dobrze jest żyć!

– Dobrze jest żyć – szepnęła, a potem zastanawiała się, czy rzeczywiście wypowiedziała

te słowa. Pomyślała je, tego była pewna, ale wypowiedzenie ich dawało jej poczucie déjà vu, którego nie mogła się pozbyć, nawet kiedy wyprostowała się, odwróciła i poszła dalej, gdy patrzyła na małego żuka wędrującego po jej bucie, spoglądała w niebo, na stado czaszkokruków krążących w powietrzu półtora kilometra nad jej głową i wreszcie wróciła do miejsca, gdzie zamierzała razem z Treyem zjeść śniadanie...

Górnik znalazł kilka tłustych pędraków i usiłował nie dać im odpęznąć. Światło słoneczne pobudziło je, jakby zrozumiały, co je wkrótce czeka. Popatrzył na nadchodzącą Alishię i się uśmiechnął. Nagle ujrzał w wyobraźni szokująco wyraźny obraz samej siebie: klęczy na ziemi, wczepiona dłońmi w kępy mchu, podczas gdy Trey wchodzi w nią od tyłu bladym członkiem, jedną ręką wkłada jej do ust okruchy fledżu, a drugą chwyta ją za piersi i biodra.

Stała oszołomiona, a potem usiadła, unikając wzroku górnika.

– Ugotujemy je? – spytał.

– Tak. – Skąd ta wizja?

– Widziałem bardziej apetyczne zarcie zwisające z tyłka muła.

– Są bardzo smaczne.

Bardzo smaczne, bardzo smaczne, spróbuj to się przekonasz...

Alishia była dziewicą. Przywykła myśleć o seksie w samotności, czerpała obrazy z wyobraźni, sprawiając przyjemność tylko sobie, bo w świecie, w którym żyła, nie potrafiła się odnaleźć. A teraz pojawił się znikąd potężny popęd, zacisnął jej wnętrzości, uwrażliwił skórę, język i intymne części ciała do tego stopnia, że nie mogła znaleźć sobie miejsca.

– Przepraszam! – powiedziała.

Wstała i odeszła szybko. Pokręciła głową, aby odpędzić te myśli, poczuła, jak coś się w niej porusza. Czyżby uderzenie w głowę miało poważniejsze skutki?

Trey zawołał ją, ale go zlekceważyła, wciąż starając się wyrzucić z głowy obraz ich seksu. A mimo wszystko, kiedy zeszła ze skały na porośniętą mchem ziemię, sama myśl o tym sprawiała jej przyjemność. W głębi siebie czuła pragnienie, aby to się stało, urzeczywistniło.

Siedziała w cieniu wielkiego głazu, niewidoczna dla górnika, i patrzyła na północ, na równiny. Kiedy wsunęła dłoń między uda, nie mogła pozbyć się uczucia, że obserwuje siebie samą skądś z daleka.

* * *

– Według mnie powinniśmy iść w tym kierunku – powiedział Trey, wskazując na zachód.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami. Oczy wciąż miał spuszczone, aby nie raziło go słońce, a przecież tak bardzo chciał widzieć świat.

– Po prostu mam wrażenie, że tak trzeba – wyjaśnił. – Za nami są góry, a pod górami Naksy. Nie chcę być blisko nich... nie mogę być blisko! Na północy leży miasto, które niedawno opuściłaś. Ja chyba nie mógłbym żyć w mieście, tam gdzie jest tak wielu ludzi, i nie... nie na północy. Czuję, że tak byłoby źle.

– Po raz pierwszy jesteś na powierzchni. Skąd wiesz, co dla ciebie dobre, a co złe?

– Mówię tylko to, co czuję – odparł, w głębi duszy przerażony. Za nim pozostały śmierć i zniszczenie wszystkiego, co znał, dosłownie wszystkiego. Przed nim zaś rozpościerały się – jakby urzeczywistniła się legenda – równiny i góry, a nad głową miał niebo tak ogromne, że na pewno by go przytłoczyło. Horyzont na zachodzie, rozległy i niski, zlewał się z niebem. Jak to możliwe, że jest tu tak wiele światła, które nie parzy, tak wiele roślin, które nie duszą ziemi? Teraz, kiedy słońce wzbijało się coraz wyżej, ciemność nie miała gdzie się ukryć.

Błądy w dziennym świetle duch księżyca śmierci wisiał na północnym nieboskłonie niczym echo.

– Wszystko mi jedno, dokąd pójdziemy – oznajmiła Alishia i Trey znów pomyślał, że się z nim drażni. Spokojna, zamyślona i bezbronna nagle stawała się pewna siebie, arogancka, chciała podążać dalej i stawić czoło wszystkiemu, co napotkają.

Kiedy zjedli gotowane pędraki – Trey musiał przyznać, że istotnie świetnie smakują – okorowali pirackie drzewko i wycisnęli z niego miąższ, podzielili się rzeczami Alishii, włożyli do plecaków i ruszyli na zachód.

Przez kilka godzin szli w milczeniu. Alishia od czasu do czasu wybiegała do przodu, rozglądała się, pluskała w strumykach, podnosiła skałki, kosztowała mech na sterczących kamieniach. Trey nie komentował tego. Uznał, że w taki właśnie sposób ona wędruje, orientuje się w terenie, na bieżąco sprawdza, gdzie się znajdują. Miała w plecaku zwiniętą mapę i chociaż jej fragmenty sprawiały wrażenie szczegółowych, widniały na nich olbrzymie niezbadane obszary na południu, wschodzie i północy – oddalone od siebie części Noreeli, które z trudem wyobrażał sobie nawet w snach.

Była kiepską towarzyszką. Czasami okazywała współczucie i troskę, ale najczęściej jednak zaspokajała swoje najwyraźniej nienasycone pragnienie wiedzy i przeżyć. Powiedziała mu, że pracowała w bibliotece. Trey widział książki, choć niewiele, i nie mógł wyobrazić sobie, że ktoś spędza życie w budynku wzniesionym właściwie tylko dla nich. Starła się mu opowiedzieć, jak znane jej światy żyły w książkach, ale on nic z tego nie rozumiał. Świat był tutaj, a oni w nim. Krzykliwa rzeczywistość wokół niego przerażała go przestrzenią, światłem i tym, jak potrafiła się zmieniać.

Próbował iść z zamkniętymi oczami, ale przewrócił się kilka razy, więc zrezygnował. No i to słońce – wciąż go oślepiało. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczy znowu całkowitą ciemność.

Długo szli przez równiny w jakimś nieokreślonym kierunku. I nagle późnym popołudniem Alishia zatrzymała się. Czekwała, aż Trey do niej dołączy, spoglądała na niego z

uśmiechem, a jej oczy skrzyły się radością.

– Jama-połykacz – powiedziała. – Widzisz? – Wskazała ręką, chociaż Trey sam już ją zobaczył. Nie mógł jej nie dostrzec.

Niekiedy w podziemnych rzekach, w miejscach, gdzie płynęły wolno w rozległych pieczarach, zanim znowu przyspieszyły biegu, powstawały wiry; leje krasowe otwierały się w dnie i wsysały wodę głęboko, coraz głębiej do wnętrza ziemi i miejsc, w których nie postąpiła noga człowieka czy fledżera. Nigdy takiego leja nie widział, ale słyszał o nich, siedząc zatopiony w opowieści ojca o tym, jak wiry mogą wciągnąć, że tak się zdarza. „Ci ludzie nadal toną – powiedział ojciec – wciąż wirują, umarli, ale ich podróż w głąbiny trwa wieczność, woda nie pozwala ich ciałom się rozkładać i konserwuje je dla tego, co czeka na dnie”.

Jama-połykacz przypominała wiry, ale znajdowała się w skale.

– Czytałam o tych jamach – powiedziała Alishia. – Zaczęły się pojawiać, kiedy odeszła magia. W pierwszym stuleciu powstała tylko jedna, ale w ostatnich kilku dziesięcioleciach tworzą się ciągle. Niektórzy mówią, że spłukują istniejące jeszcze zło. Może ostatecznie połączą się i pochłoną całą Noreelę.

Jama była w odległości półtora kilometra, ale dobrze widoczna. Nawet Trey, który po raz pierwszy znalazł się na powierzchni i czuł się zagubiony, zdawał sobie sprawę, że jama to osobliwość. Sprawiała wrażenie nierzeczywistej, dziwnej. I wydawała odgłos przypominający długi pomruk, który chyba nigdy nie ucieknie.

Wokół jamy ziemia falowała wolno, leniwie, zwężając się w spiralę. Bryły darni i skał, rozpostarte ramiona krzewów i drzew obracały się i kłębiły, wciągane do środka. Powietrze w górze drżało. Trey usiłował zobaczyć jaskinie i tunele pod ziemią, miejsca, w których jama się zamykała, ale podobnie jak w przypadku wirów w podziemnych rzekach i jeziorach, nie mógł wyobrazić sobie, gdzie się kończą. W każdym razie nie na tym świecie.

– Musiała niedawno powstać – stwierdziła Alishia.

– Czy się rozszerzy? Powinniśmy uciekać?

Pokręciła głową.

– Zawsze są raczej małe. Prawdopodobnie to otwór wielkości twojej pięści. Nikt nie wie, dokąd takie jaskinie prowadzą, ale czasami można znaleźć ślady po dawnych; przypominają głębokie kanały na dnie krateru. Jeżeli długo poczekamy, może będziemy mogli podejść i ją obejrzeć.

Treyowi kręciło się w głowie. Tyle ziemi spoczywało spokojnie, bez ruchu, a ta tu poruszała się wolno, ale im dalej od brzegu, tym szybciej, aż zatracała się w samym środku. Duży ptak przeleciał szybko nad nimi, zanurkował, aby poszukać robaków i owadów, jama go wessała, tak że w powietrzu unosiły się jedynie pióra.

– Co to było? – zapytał przerażony Trey.

– Sokół bagienny – odparła zachwycona Alishia. – Nigdy dotąd żadnego nie widziałam.

– Cóż, tego już nie zobaczysz.

– Ciekawe, czy przeżył – powiedziała i tak tym zdenerwowała Treya, że umilkł.

Siedzieli i patrzyli, jak jama-połykacz powoli pożera wszystko wokół niej. W górę pod ciśnieniem wylatywały rośliny i ziemia, ale jama chwytiała je i wciągała w swoją paszczę. Potem jej ofiarą padły skały pod powierzchnią. Hałas zagłady odbijał się echem i wibrował we wnętrzu ziemi. Skały zderzały się, ocierały o siebie i rozpadały, wyrzucając odłamki i pył, a jama je chwytiała, po czym wsysała. Na krótką chwilę pojawiła się tęcza, gdy powietrze też zaczęło się poruszać, a skraplająca się wilgoć – nadawać ciemniejszą barwę wirującej ziemi. Wysoko w górze powstawały obłoczki, opadające coraz niżej. Prąd powietrza owiewał Alishię i Treya, owady i ptaki trzepotały rozpaczliwie skrzydłami, usiłując uniknąć czekającego je losu. Wyglądało to tak, jakby jama próbowała wessać niebo.

Na koniec, kiedy teren został ogołocoony i ukazało się skaliste podłoże, a powietrze wciąż zagęszczało się, opadając w dół nieskończoną spiralą, jama z sykiem zniknęła. Rozległ się świst wyrzucanego powietrza – ten dźwięk Trey znał z kopalni. Niekiedy dolatywał nie wiadomo skąd i nikał nie wiadomo gdzie, a skąd się brał, pozostawało tajemnicą. Trey wzdrygnął się, kiedy uświadomił sobie, że mogło wywoływać go takie właśnie zjawisko. Ostatni oddech jamy pewnie właśnie teraz badał podziemia: muskał chodniki i pieczary, w których nie stanęła ludzka stopa, zwiewał pył z jakichś starożytnych, nieznanych i niepoddających się poznaniu rzeczy, owiewając śpiące lub budzące się Naksy, i mógł nawet dotrzeć do zeszywniałych zwłok jego matki i zastanawiać się nad przyczyną jej zgonu.

– Pójdziemy obejrzeć? – zapytał w końcu.

– Nie. Nie wiadomo, co by nas tam spotkało. Obejdziemy to miejsce. – Podniecenie Alishii najwyraźniej opadło. Świadomość, jak niebezpieczne może być to zjawisko, sprawiła, że dziewczyna czuła już tylko ciekawość.

– Wkrótce będzie ciemno.

Skinęła głową.

– Musimy rozbić obozowisko możliwie jak najdalej stąd. Może to jeszcze się nie skończyło.

Ruszyli na południe, omijając jamę-połykacza; napotykali po drodze świadectwa jej obecności – wyrwane z korzeniami drzewa, rozszarpane krzaki, miejsca ze zdartą glebą, odsłaniającą skaliste podłoże. Dwie godziny później, gdy słońce zachodziło przed nimi, srebrny księżyc życia nikał, a wschodził jego złowieszczy brat, dostrzegli w oddali blask ognia.

– Ktoś jeszcze wędruje po równinach? – zaniepokoił się Trey. Alishia była jedynym znanym mu powierzchniowcem i choć zachowywała się dziwnie, zaczął się już do niej przyzwyczajać. A poza tym ocalała mu życie. Ale spotkać się z innymi?

– Tak – oświadczyła. – Powinniśmy do nich podejść. Mają jedzenie i wodę i jestem pewna, że zechcą je wymienić za kawałek twojego fledzu.

– Skąd możemy wiedzieć, że są przyjaźnie nastawieni?

Alishia długo milczała, wpatrzona w światło migoczące na pogrążających się w mroku równinach.

– Nie możemy tego wiedzieć – odparła. – Ale jakaś częśćka mnie pragnie spotkania z nimi. Ta jama-połykacz... Czytałam o tym, ale to co innego niż zobaczyć coś takiego na własne oczy, coś, co daje świadectwo, że kraj się zmienia, kurczy, zapada... Chcę być z innymi ludźmi, porozmawiać. A poza tym, mogą wiedzieć o wiele więcej niż my.

– O czym?

– O magii.

Alishia przerzuciła plecak przez ramię i ruszyła przed siebie, w kierunku ognia.

Trey podążył za nią. To, co Alishia powiedziała o jamie-połykaczu i co ona oznacza, sprawiło, że zaczął myśleć o umyśle Naksa, z którym zetknął się tak krótko i z tak strasznym skutkiem. Działo się coś dziwnego, coś było nie tak. Trzeba się ocknąć, by przystąpić do działania.

A teraz Alishia mówiła o magii.

Nerwowość, która zrodziła się w chwili, gdy Alishia znalazła go na zboczu wzgórza, narastała i stawała się bardzo niepokojąca.

Zdjął plecak, wyjął okrucz fledżu i zaczął go żuć, idąc za Alishią ku światłu.

17

Przestali biec kilka kilometrów za Pavisse. Strach wciąż towarzyszył Rafe'owi – nękał go obraz broczącego krwią demona, którego puste oczodoły niejedno widziały, wyczuwającego zapach czegoś, czego nawet Rafe właściwie nie potrafił określić – ale jego ciało zaczynało go zawodzić. Bez względu na to, jak był przerażony, nie mógł biec w nieskończoność. Czuł skurcze mięśni nóg, ból w boku niemal zginał go wpół, a wiedźma Nadzieja już nie usiłowała go ciągnąć za sobą. Teraz i ona poruszała się z trudem.

– Tam. – Wskazała ręką. U stóp łagodnego zbocza stało kilka budynków, dym unosił się leniwie z ognia, by zostać pochwycony i uniesiony przez północny wiatr. – Zdobędziemy konie.

– Nikt nie da nam ich ot, tak – wysapał Rafe.

Pochylił się nisko, opierając dłonie na kolanach; nogi mu drżały i bał się, że zaraz się przewróci. Znowu spojrzął za siebie, obawiając się, że zobaczy w oddali błysk czerwieni.

– Kupię je – powiedziała. – Wieśniacy zawsze są ciekawi tajemnic.

Gospodarstwo było niewielkie i biedne z powodu kiepskich zbiorów. Budynki wyglądały nędznie, jeden z nich pochylił się tak bardzo, że jego drewniane podpory popękały i aż dziw, że się nie przewrócił. W stodołach, wyblakłych od słońca, nie zgromadzono zapasów. Z wnętrza jednego z mniejszych budynków dobiegały piski szczurów walczących o jedzenie. Główna chata była parterowa, długa i niska, na ścianie wisiały głowy zwierząt – nagie czaszki na strzępach skóry w różnych stadiach rozkładu. Większość była stara – ale kilka powieszono niedawno – cieknąca z nich krew wyschła, lecz jej ślady pozostawały na ścianach, szklistych oczu zwierząt jeszcze nie wydziobały ptaki. Wystawianie na pokaz głów zabitych drapieżników było starym zwyczajem i świadczyło, że życie na wsi nie jest łatwe. Pod okapem przybito przynajmniej czterdzieści trofeów – łbów gigantycznych szczurów, płaskich głów ziemnych węży, szablozębego psa o kłach pomalowanych na czerwono. Niektórych stworzeń Rafe nawet nie rozpoznawał.

Stado krów pasło się na pobliskim polu, przeżuając niezdrową trawę. Ich wymiona wisiały pomarszczone i puste. Przy jednej było ciele, słabe i wyglądające na chore, o pobielalej z braku odpowiedniego pożywienia czerwonej sierści. Po zagrodzie włóczyło się kilka owcolop. Popijały wodę z małego stawu, beczwały i trącały się łbami z obciętymi rogami.

Zagrodowy wilk obserwował ich, jak szli przez pola. Ślepie mu błyszczały, futro miał gęste i lśniące. Przynajmniej niektórzy tu nie głodowali. Nie ruszał się. Dopiero kiedy Rafe i Nadzieja minęli pierwsze zabudowania, szczeknął głośno.

Z lewej strony dobiegło ciężkie tupanie – to zwierzęta krążyły po zamkniętej stajni. Nadzieja zerknęła na Rafe’a i kiwnęła głową.

– Konie – powiedziała.

Rafe czuł się dziwnie, niemal jak w domu. Trengborne było rolniczą osadą, setki razy większą od tego gospodarstwa i o wiele bardziej nowoczesną, ale zapachy, widoki i dźwięki były podobne – nawóz owcolop pachniał tak samo, używano takich samych narzędzi rolniczych, rozlegały się pomruki i sapania zwierząt, które jadły, piły i spały. Kiedy przyjrzał się bliżej, zobaczył, że wszystkie owcolopy mają zaropiałe oczy, i miał ochotę poszukać liści czerwonej płwociny, rozkruszyć je i wsypać im do wody. Pomyślał jednak, że rolnik zna swój zawód, chociaż jego stada nie wyglądają dobrze. Próby wtrącania się nie byłyby dobrze przyjęte.

Rafe usłyszał jakieś szepty. Zza jednego z budynków dobiegł tupot biegnących ludzi. Za chatą znowu rozległy się gorączkowe szepty, metaliczny szczęk broni, przekleństwa.

– Nie ruszaj się, chłopcze – poleciała Nadzieja, kiedy znaleźli się pośrodku podwórka. Wilk stał w drzwiach chaty. Przyglądał się im z uniesionym puszystym ogonem. – Pewnie każą nam się zatrzymać. Porozmawiam z nimi.

– Przecież jestem wieśniakiem, wiem...

– Jesteś z wioski, a nie takiego gospodarstwa. Ci ludzie przywykli do walki z bandytami i tocznikami i nie siedzą sobie spokojnie, pielęgnując futroperze.

Rafe poczuł się urażony, ale jej posłuchał. Stał z rękami rozłożonymi na boki, aby pokazać, że nie ukrywa żadnej broni.

Okrzyk rozległ się z lewej strony.

– Kim jesteście? Czego chcecie? – Zza chaty wyszła kobieta i ruszyła ku nim z wilkiem u nogi.

– Mam na imię Nadzieja i chcę kupić od was dwa konie. A to Rafe.

– Jesteś wiedźmą. – Kobieta zatrzymała się kilka kroków od nich. Przypatrywała się Nadziei i tatuażom na jej twarzy.

– Tak, jestem wiedźmą. Mam trochę towarów, które chciałabym pokazać, jeżeli pozwolisz.

Rafe przyjrzał się kobiecie. Młoda, niewiele starsza od niego, najwyraźniej miała trudne życie. Każda jego sekunda wryła się na jej twarzy. Na podbródku i szyi widniały blizny – uległa jakiemuś wypadkowi czy ktoś na nią napadł? – a w oczach nie było widać lęku, lecz wyzwanie.

– Mamy tylko trzy konie, więc dlaczego mielibyśmy oddać wam dwa?

– Dlatego że mogę wam coś sprzedać – odparła Nadzieja i zaczęła zdejmować torbę z

ramienia.

Wtedy zza szopy wyszedł mężczyzna, celując do nich z podwójnej kuszy. Zabiłby ich oboje w mgnieniu oka.

– Nie chcę z wami walczyć – oświadczyła spokojnie Nadzieja.

– Na to wygląda – odparł mężczyzna, ale nie przestał celować w nich kuszą. Rafe nie wiedział, czy gospodarz jest zmęczony, przestraszony, czy znudzony.

– Uciekamy przed walką, jeżeli o to ci chodzi. Wybacz, że tak wyglądam, zazwyczaj bardziej się staram, kiedy zamierzam się z kimś spotkać.

– Nawet się nie uczesałaś – zauważyła kobieta i Rafe był pewien, że dostrzegł błysk rozbawienia w jej oczach.

– Zgubiłam grzebień – wyjaśniła Nadzieja.

Kobieta się uśmiechnęła.

– Uciekacie przed walką? – zapytał mężczyzna. – Może nie jesteście zbyt niebezpieczni.

– Nie, nie jesteśmy – przytaknęła Nadzieja.

– Sprowadziliście ją na nas? – Z chaty wyszła druga kobieta. Trzymała w ręku długi łuk ze strzałą na napiętej cięciwie. Była o wiele starsza od pierwszej – czy to jej matka? – i nawet z tej odległości Rafe widział, że przydarzyło się jej coś strasznego. Całą jej twarz pokrywały blade blizny, ściągnięte i niewygojone.

– Nie, jeżeli dobrze i szybko ubijemy interes – odparła wiedźma. – Wtedy ruszymy dalej.

– A jeżeli nie ubijemy interesu? – zainteresowała się młodsza, po raz pierwszy spoglądając na Rafe'a.

Zauważył, że jest o wiele bardziej przestraszona, niż chciała pokazać.

– I tak pójdziemy sobie – oznajmiła Nadzieja. – Choć będziemy wdzięczni za trochę jedzenia i wody. Czeka nas długa droga.

– Ktoś was ściga? – spytał mężczyzna.

– Nie wiem.

Spoglądał na nich znad kuszy, raz na Nadzieję, raz na Rafe'a.

– Wierzę ci – powiedział. – Zrobimy tak: chłopak pójdzie ze mną, a ty, wiedźmo, załatwisz sprawę z Josie. A potem wszystko będzie jak dawniej.

– Świetnie – zgodziła się Nadzieja.

Rafe spojrzał na nią: chcą mnie mieć jako zakładnika! – ale tylko kiwnęła głową. Odwrócił się do rolnika i spojrzał mu w oczy, by odczytać w nich, co zamierza, wzrok mężczyzny niczego jednak nie zdradzał.

W głowie Rafe'a rozległa się nagle fala głosów, tak donośnych i wyraźnych, że rozejrzał się: skąd dobiegają? Od razu zorientował się, że to przesłanie wyłącznie dla niego – nikt na podwórku niczego nie słyszał – i wiedział, co zawiera. Kiedy spojrzał pod nogi, ziemia przemówiła do niego. Głosy, zapachy i wrażenia uspokajały go. Były jak dotyk matki, kiedy śniły mu się koszmary, albo dłoń ojca na jego ramieniu, gdy zbierali skażone plony.

Zapewniały go, że wszystko jest w porządku. I chociaż nadal nie rozumiał ich języka, rozpoznawał ton, w jakim do niego przemawiały.

Popatrzył na wieśniaka, uśmiechnął się i podszedł do niego, choć on celował mu w twarz z kuszy. Rafe zastanawiał się, czy jest to pierwszy prawdziwy okrucuch magii. Powiedziano mi, że wszystko będzie dobrze, pomyślał. Jestem pod opieką.

– Stań, odwróć się i uklęknij – rozkazał wieśniak, ale dość łagodnie. – Nie ruszaj się, chłopcze, a nic złego się nie stanie. Nie chcę żadnego z was skrzywdzić. Chociaż przyznam, że zastanawiam się, co robisz w towarzystwie więdźmy.

Rafe wykonał polecenie.

– Opiekuje się mną – wyjaśnił. – Moi rodzice nie żyją. – Czuł chłodny dotyk metalu na karku.

– Przykro mi, chłopcze. – Wieśniak umilkł i obserwował, jak Nadzieja i Josie ze sobą handlują.

Nadzieja wolno otworzyła torbę; wyjęła słoik, portfel z nieznanego materiału i małą książkę.

– Potrzebuję dwóch koni – oznajmiła. – Wiem, jak są dla was cenne, ale w tej chwili dla nas warte o wiele więcej. Dlatego nie tylko dam wam dość tellanów, żebyście, kiedy tylko zechcecie, mogli pojechać do Pavisse i kupić dwa następne, ale wynagrodzę was dodatkowo towarem. Jeden z tych trzech przedmiotów może być wasz, nie licząc zapłaty, która wynosi...

– Tysiąc – rzuciła szybko Josie.

Nadzieja się uśmiechnęła.

– To chyba uczciwa cena. – Wskazała na słoik. – Serce czaszokruka. Nigdy się nie psuje. Odgania złe myśli, wchłania koszmary, daje spokojny sen...

– Nie kuś nas fałszywą magią, więdźmo – syknęła Josie.

Rafe zeszywniał, czując, jak wieśniak pochyła się do przodu i przyciska ostry grot bełtu do jego czaszki.

– Wcale was nie kuszę – odparła Nadzieja. – Wiem, że nie ma magii i nie udaję, że jest inaczej. Gdzie ją tu widzisz? Serce czaszokruka nie jest magicznym przedmiotem, ale produktem, takim jak wasze zbiory czy owcolopy. Dzięki niemu dokonuje się pewien proces. Tak jak w przypadku rośliny, którą sadzicie, podlewacie i patrzycie, jak rośnie, podobnie ta niepsująca się rzecz odsuwa wasze nocne koszmary. Trzeba ją tylko umieścić na głowie na czas snu. Nie pytajcie, jak to działa, ja po prostu wiem, że działa. To właśnie oznacza słowo „więdźma”: nie kogoś, kto posługuje się magią, ale tego, kto wie. Niewielu ludzi posiadało taką wiedzę jak ja, dlatego jestem dobrą więdźmą.

Josie wpatrywała się w nią, zerkając też na trzy przedmioty leżące przed nią na ziemi. Chociaż starała się okazywać nieufność, Rafe wyczuwał w niej nadzieję: że ten handel może się opłacić i jej walcząca o przetrwanie rodzina zdobędzie dzięki niemu coś cennego, wartościowego.

– A to co takiego?

Nadzieja podniosła dziwny portfel; tatuaże na jej twarzy poruszały się, świadcząc o respekcie, z jakim to zrobiła.

– Nigdy go nie otworzyłam. Nie wiem, co w nim jest. A boję się go otworzyć, ponieważ kiedyś należał do śpiącego boga. Nie zaglądano do niego od czasu, kiedy magia opuściła ten kraj; jego właściciel wciąż gdzieś żyje i czeka na jej powrót. W tym portfelu może znajdować się wszystko. Wszystko.

Josie przez kilka sekund patrzyła na portfel, a potem spojrzała na Rafe'a i mężczyznę za nim.

– Ach, a to – ciągnęła Nadzieja – to na pewno coś, czego potrzebujecie...

– Czy rzeczywiście należał do śpiącego boga? – przerwała jej Josie, wskazując portfel.

Nadzieja milczała przez chwilę, a potem lekko kiwnęła głową.

– Tak. Chociaż jestem przekonana, że tak naprawdę nie był bogiem. I równie dobrze portfel może być pusty.

Josie spojrzała na niego z lękiem, tymczasem Nadzieja podniosła książkę. Rafe już wiedział, co wiedźma odda, ona też chyba wiedziała. Mimo wszystko otworzyła książkę i przerzuciła kilka grubych kartek.

– To Księga Dróg. Napisała ją kartografka Rosen Am Tellington na długo przed Wojną-Katastrofą. Przedstawia Noreelę od północy do południa, ze wschodu do zachodu; zaledwie kilka miejsc pozostało pustych. Wtedy, dawniej, świat był bardziej stabilny i bezpieczny: droga nie zmieniała się każdego roku, góry się nie przesunęły, bagna nie wysychały, a pustynie nie przeobrażały się w jeziora.

– W takim razie, jaką ma ona teraz wartość? – spytała Josie. – Świat się zmienia, magia odeszła. A my jesteśmy tylko rolnikami. Po co mi mapa Nowego Shanti, skoro nigdy nie znajdę się nawet w odległości tysiąca kilometrów od niego?

– Tellington była wizjonerką – wyjaśniła Nadzieja. – Wiedziała, że nastąpią zmiany, i dlatego myślała nie tylko o tym, co jest, ale i co będzie. Umieściła na mapach ukryte szlaki, które dawno temu stały się mityczne, a teraz istnieją tylko w jej książkach. A jest ich sporo. Z tej książki dowiecie się na przykład o podziemnych ścieżkach pod Wdowimi Szczytami, które zaczynają się zaledwie osiemdziesiąt kilometrów stąd. Możecie przeczytać, jak przedostać się z Noreeli do Długiego Marrakashu, w ogóle nie wędrując po powierzchni.

– Magia – parsknęła szyderczo Josie.

– Owszem, trochę, i to nieuniknione. Ale jak powiedziałam, Tellington była wizjonerką, wiedziała, że nawet magia nie jest wieczna. Tutaj nakreślone są ukryte drogi. Kto wie, może kiedyś nimi podążycie?

– Weźmiemy to – oświadczyła Josie, pokazując portfel śpiącego boga.

Nadzieja przykucnęła na piętach i zmarszczyła brwi.

– Jesteś pewna? Nie macie koszmarów nocnych? Czy serce czaszokruka...

– Weźmiemy portfel – przerwała jej Josie. Spojrzała na mężczyznę stojącego za Rafe’em.
– Tak? – zapytała go.

– Tak – potwierdził.

Nadzieja popatrzyła na niego, na Rafe’a i kobietę z łukiem. Rafe myślał przez chwilę, że chwyci portfel i ucieknie. Jej twarz zmarszczyła się, a tatuaże wiły się, jakby podkreślając niepokojące ją wątpliwości.

– Konie są tam. – Josie wstała. – W geście przyjaźni dam wam też dwa stare siodła. Jesteśmy zajęci, więc proszę, odjedźcie.

Wzięła portfel, wyciągnęła rękę po tysiąc tellanów, włożyła je do kieszeni i odeszła.

Mężczyzna klepnął Rafe’a po ramieniu.

– Niech księżyc życia pozostanie z tobą – powiedział cicho. – I dbajcie o te konie, dobrze nam służyły.

Rafe wstał i podszedł do Nadziei. Wkładała słoik i książkę do torby, obserwując Josie, jakby zastanawiała się, czy dopaść ją, przewrócić i odebrać portfel, zanim trafi ją strzała lub bełt.

– Nadziejo – odezwał się.

– Chłopcze. – Nie odwróciła się.

– Nadziejo, powinniśmy ruszać. Mamy już konie; zanim zapadnie zmrok, odjedziemy daleko od Pavisse.

Wiedźma spojrzała na niego i uśmiechnęła się... a jej tatuaże zwinęły się w grymasie.

– Racja! – przytaknęła. – No, zobaczmy, czy nasze nowe wierzchowce polubią wiedźmę i wiejskiego chłopca.

* * *

Kilka minut później odjeżdżali, słuchając, jak zagrodowy wilk żegna ich wyzywającym wyciem.

– Straciłaś coś cennego, prawda? – zapytał Rafe. – Przepraszam. Wszystko przeze mnie, wszystko, co się dzieje...

– Straciłam stary portfel, który zostawił jeden z moich klientów – odparła Nadzieja z uśmiechem. Nie lubił tego uśmiechu: marszczył jej twarz, tak jakby cierpiała. – Wiedziałam, że wybiorą tajemnicę. Serce czaszokruka i Księga Dróg... cóż, też są cenne i kto wie, kiedy możemy ich potrzebować.

– Ale gdy go otworzą?

– Znajdą to, co chcieli: tajemnicę. Kawałki starego pergaminu pokryte pismem w języku, którego nie znają, bo sama go wymyśliłam. Wisior wyrzeźbiony z kolca tocznika. Długo będą się zastanawiać, ale nigdy nie dowiedzą się, co te rzeczy znaczą.

Rafe jechał w milczeniu, patrząc przed siebie.

– Chłopcze, nie myśl, że ich oszukałam. Gdyby rzeczywiście portfel należał do śpiącego boga, to czy sądzisz, że naprawdę zawierałby coś ważnego?

– Nie wiem zbyt wiele o śpiącym bogu, poza tym, że ci ludzie w niego wierzą.

– Głupi ludzie.

– Ale wykorzystałaś ich wiarę!

– Głupi ludzie, Rafe – powtórzyła. – Nigdy nie opuszczą tego gospodarstwa i niczego pożytecznego nie zrobią. Oni nic nie znaczą! Ty jesteś ważny, więc muszę o ciebie dbać. Jeżeli będę musiała oszukać jakichś durniów, zrobię to, i na pewno nie zakłóci to mojego snu.

Ma rację, pomyślał Rafe. Ma rację i wiem o tym. Jechał w milczeniu za Nadzieją, pozwalając, by to ona prowadziła, ponieważ nie miał pojęcia, co innego mógłby zrobić.

* * *

Przez godzinę jechali szybko i wkrótce przekonali się, że konie są słabe, zmęczone i niedożywione. Zwolnili, pozwalając zwierzętom biec tak, jak chciały. Rafe miał nadzieję, że Czerwoni Mnisi stracili ich trop.

Jego trop. To jego szukali.

Cały kraj szeptał mu w głowie, a on czuł, że ktoś go chroni.

Gdy słońce zaszło i na niebie pojawiły się księżycy życia i śmierci, Nadzieja dostrzegła stado czaszokruków. Zsiadła z konia i oddała Rafe'owi wodze.

– Wyślę wiadomość twojemu przyjacielowi – powiedziała. – Zostań tutaj. Nie ruszaj się. I się nie przestrasz.

Wiedźma ruszyła przez wysokie trawy ku suchemu drzewu błyskawic, na którym siedziały czaszokruki. Wydawała z siebie niskie, gardłowe dźwięki – przypominały stukot i grzechot, jak kamienie w potrząsanym worku albo uderzające o siebie kije. Drażniły Rafe'a i niepokoiły konie. Czaszokruki przeskakiwały z jednej poczerńiałej gałęzi na drugą, za każdym razem coraz bliżej ziemi. Było ich dziesięć. Skrzydła każdego z nich miały rozpiętość porównywalną ze wzrostem Rafe'a, głowy były duże, a dzioby długie i cienkie.

Czekały na Nadzieję.

Kiedy podeszła bliżej, wciąż wydając dziwne dźwięki, zerwały się wszystkie i podleciały do niej. Rozłożyła ręce i pochyliła głowę, by mogły przysiąść. Po jednym na każdej ręce, po trzy na ramionach i dwa na głowie. Nadzieja była niemal niewidoczna pod trzepoczącymi skrzydłami i nastroszonymi piórami, ale stała pewnie na nogach. Teraz ptaki nawoływały się dźwiękami podobnymi do tych, jakie wydawała Nadzieja.

Rafe westchnął, chciał jej pomóc, ale zarazem zawrócić konia i odjechać jak najszybciej. „Nie przestrasz się”, powiedziała. Mógł jedynie przyjąć, że wiedziała, co robi.

Nadzieja stała tak przez jakiś czas, a hałaśliwa rozmowa trwała. Konie nie ruszały się, nie parskały, nie rżały – może spały. Księżyc śmierci pojawił się w pełni i zajaśniał na niebie i

Rafe długo się w niego wpatrywał. Księżyc życia zniknął. Połączone poświaty nie walczyły ze sobą, ale zlewały się spokojnie, żółta rozjaśniała się do bieli, biała zabarwiała się na żółto. Ziemię oświetlały różnie. Na odległym wzgórzu kępa drzew wchłaniała biel księżyca życia i zielone liście blakły w zapadającym zmierzchu, a niedaleko szczytu starożytny kurhan grobowy odbijał żółtą barwę i ciemne głązy świeciły w ciemności. Rafe patrzył na księżyc śmierci i myślał o rodzicach.

Czaszkokruki wrzasnęły głośno i przez chwilę był pewien, że atakują Nadzieję, dziobią ją i szarpia szponami, karząc za coś, co źle zrobiła. Konie drgnęły. Przeszły z nogi na nogę i Rafe mógł tylko starać się zapanować nad swoim i trzymać mocno wodze wierzchowca Nadziei.

Ptaki zerwały się do lotu. Wzbiły się razem, zataczając wokół Nadziei wąską spiralę. A ona stała z rozłożonymi rękami, jakby wciąż je wabiła. Zapadł zmrok, więc kiedy się odwróciła, Rafe nie mógł dostrzec wyrazu jej twarzy, ale poruszała się, szła w jego kierunku, co świadczyło o tym, że nic jej się nie stało.

Czaszkokruki krzyczały do chwili, gdy znalazły się wysoko w powietrzu, tak wysoko, że wkrótce nikt ich nie usłyszy. Niewiele gatunków ptaków latało, jak one, prawie wyłącznie w nocy.

– Co to było? – spytał Rafe, kiedy Nadzieja podeszła bliżej.

Wyglądała na bardzo zmęczoną. Pocierała ramiona i boki, wzdychała, włosy opadły jej na ramiona. Nawet jej tatuaże zwiotczały i ułożyły się tak, jakby skóra i mięśnie twarzy obwisły.

– Przekazałam im wiadomość dla złodzieja i jego Shantasi – powiedziała. – Rafe, musimy rozbić obóz i się przespać. Minęło wiele czasu od chwili, kiedy porozumiewałam się z innym niż mój gatunkiem.

Wydawało mu się, że w jej głosie brzmi rozbawienie, ale spuściła głowę i nie mógł dostrzec jej oczu. Nic z tego nie pojmował.

Tymczasem, gdzieś w zakamarkach umysłu rodziło się coś nowego. Rafe nie wiedział, co zrobiła Nadzieja, ale najwyraźniej to, co chłonał jego umysł, najnowsze spostrzeżenia nakładały się na siebie raz za razem, by mógł się z nimi zapoznać i je zrozumieć. Musiał jedynie dowiedzieć się, jak je odczytać.

Znaleźli miejsce osłonięte od północy skalistym zboczem. Nadzieja zaczęła rozpalać ogień, ale robiła to wolno i bez słowa.

– Mnisi nie dostrzegą ognia? – zapytał Rafe.

– Istnieje takie ryzyko, jeżeli podążają naszym śladem. Ale tutaj są w nocy jeszcze inne stwory, równie niebezpieczne, a ogień je odstraszy.

– Musimy rozbijać obóz? Nie możemy jechać dalej?

Nadzieja pokręciła głową i Rafe po raz pierwszy zdał sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczona i stara. Być może do tej pory podekscytowanie pozwalało jej zachować młodość, a wesoly błysk w oczach, pojawiający się zawsze, gdy patrzyła na niego, uwydatniał wzory,

które tatuaże wydawały się rysować na jej twarzy. Ale teraz, kiedy w ciemności tatuaże stały się niewidoczne, a błysk w oczach był jedynie słabym odbiciem światła księżyca śmierci, wyglądała na bardzo wyczerpaną.

Nic już nie powiedziała i Rafe powierzył się jej mądrości. Jak dotąd nigdy go nie zawiodła.

Ogień zapłonął, a Nadzieja szybko zapadła w głęboki sen. Rafe siedział skulony pod kocem, który wieśniacy dali im razem z siodłami, i wpatrywał się w księżycy i gwiazdy. Zastanawiał się, tak jak w dzieciństwie w Trengborne, kto albo co w Noreeli wpatruje się w niebo.

* * *

Trey i Alishia zatrzymali się, gdy znaleźli się dość blisko, by zobaczyć, co oświetla ogień.

Alishia dostrzegła dwie osoby – jedną śpiącą i drugą, która czuwała. W cieniu skalistego zbocza stały dwa konie, parskały w niespokojnym śnie. Przyciągnęła do siebie Treya i w jego oddechu poczuła lekki zapach fledżu.

– Dwoje ludzi – szepnęła mu do ucha.

Kiwnął głową.

– Wiem. Jeden człowiek śpi i śni sny, w które nie chcę się znów zagłębiać. Drugi jest... dziwny. Mieszka w nim coś więcej niż tylko umysł i nie mogę go dotknąć.

– Czy można im ufać?

Trey wzruszył ramionami.

– Skąd mógłbym wiedzieć, co wy, powierzchownicy myślicie? Śpiący to kobieta. Przestraszona i podniecona zarazem. I chyba szalona. Już na nich więcej nie spojrzę.

– A ten, który siedzi?

– Powiedziałem ci, nie wiem – szepnął Trey. – Daj mi chwilę. – Skulił się i zamknął oczy.

Alishia spojrzała na postać siedzącą przy ogniu. Po kilku uderzeniach serca ten ktoś uniósł gwałtownie głowę i rozejrzał się, jakby usłyszał coś w ciemności. W kawałkach drewna pękły grudki żywicy, z ogniska wystrzeliły iskry i zatańczyły w nocnym powietrzu. Żyły, dopóki nie wzbily się wysoko; ginęły wśród gwiazd, lecąc ku blademu księżycowi życia.

Trey jęknął i osunął się na ziemię. Kręcił głową, splotował i masował skronie, jakby próbując się pozbyć jakiegoś paskudnego intruza.

– Trey? – Alishia dotknęła jego ramienia i ścisnęła je lekko.

– Więcej niż umysł – wymamrotał. – O wiele więcej niż umysł.

Więcej niż umysł? Coś więcej niż umysł?

– Powinniśmy podejść do nich i porozmawiać.

– Nie! – powiedział Trey głośniej, niż chciał.

Alishia schyliła się, obserwując postać przy ogniu.

Ten ktoś wstał, odrzucił koc, i wtedy zobaczyła, że jest niewiele starszy od Treya. Spoglądał w ich kierunku, ale nie mogła niczego wyczytać z jego twarzy czy postawy. Nie widziała żadnej broni. Zerknął na leżącą postać, ten ktoś spał nadal, śniąc sny, które tak zaniepokoiły Treya. Alishia wstała i ruszyła w stronę ognia.

– Poczekaj! – syknął Trey, ale nie zatrzymała się.

Chłopak nie wydawał się groźny. Raczej wyglądał na przestraszonego i samotnego; na pewno ucieszy się z towarzystwa innych podróżnych, bo może przy nich nie będzie bał się ciemności? Poza tym był kimś nowym, kogo mogła poznać, zobaczyć. Porozmawiać z nim i czegoś się od niego dowiedzieć!

– Hej, ty, przy ognisku! – zawołała, podchodząc.

– Kto tam? – Chłopak poderwał się, po czym się schylił, podniósł płonąca gałąź i trzymał ją przed sobą. – Nadziejo!

Alishia zmarszczyła brwi. To jakieś nieznanne jej pozdrowienie? Wtedy jednak ten ktoś usiadł szybko i Alishia zrozumiała, że to imię.

Wiedźma! Alishia czytała o wiedźmach – wiele dobrego i wiele złego – ale jak dotąd widziała tylko jedną, z daleka na ulicy w Noreeli. Słyszała o tatuażach, za pomocą których lubiły wyrażać swoje emocje, przerażać i zmuszać ludzi, by postrzegali rzeczy tak, jak one sobie życzyły. Ta wiedźma najpierw się przestraszyła, ale szybko zapanowała nad strachem.

– Nie zbliżaj się! – powiedziała. – Pozostań w cieniu, tam twoje miejsce.

– Nie mam zamiaru nikogo skrzywdzić – odparła Alishia. – Zimno mi, jestem głodna, a mój koń padł. Chcę tylko usiąść przy waszym ognisku.

– Odejdź i rozpal sobie swoje – rozkazał chłopak, wymachując płonąca gałęzią tak, jakby chciał dać jej ogień.

– Proszę! – nalegała Alishia.

To ten, którego fledżer nie rozpoznał. Ten z czymś więcej niż umysłem. Co jest czymś więcej niż umysł?

– Jesteś sama? – zapytała wiedźma.

– Nie, jest ze mną górnik fledżu, Trey Barossa. Kryje się za mną. Nie wie, czy można wam ufać.

Wiedźma wstała, otrzepała się, wygładziła ubranie i rozczesła palcami splecione włosy.

– Mądry chłopak – stwierdziła.

– Czyżbyś się bał? – Alishia zwróciła się do Rafe'a; jego oczy rozszerzyły się nagle, a płonąca gałąź pochyliła ku ziemi.

Otwórz je szerzej. Pozwól mi zajrzeć w głąb siebie.

Czuła się dziwnie podniecona. Intrygował ją ten chłopak i tajemnice, które mógł skrywać.

Tak szybko? Znalazłam to tak szybko?

Ale nie wiedziała, czym jest owe „to” i zaniepokoiła się. Pomyślała, że może to górnik przenika w jej mózg, za pomocą fledżu stara się odgadnąć jej najskrytsze sekrety i podsycić pragnienia, ale wydawał się zbyt przerażony, by coś planować, kombinować. A myśli... oddzieliły się od niego. Sprawiały wrażenie niemal obcych.

Alishia zaczęła się zastanawiać, czy nie popełniła błędu, opuszczając miasto.

– On wcale się nie boi. Opiekuję się nim, więc nie ma się czego bać – oświadczyła wiedźma.

– A dlaczego się nim opiekujesz? – zainteresowała się Alishia. – Przecież nie jest twoim synem.

– Trochę wiesz o wiedźmach, co?

– Trochę. – Alishia bardzo wiele o nich czytała. Wiedziała, że najczęściej są bezpłodne, bo uczyniły je takimi trucizny i rośliny, których używały w czasie swoich praktyk. Wiedziała też, że wiedźma często ma przy sobie jadowite stwory, którymi może cisnąć, oślepiające proszki czy inne środki chemiczne. Sam tusz jej tatuażu mógł zabić.

Wiedźma szła wolno wokół ogniska; kiedy znalazła się między Alishia a chłopcem, przystanęła.

Co jest w nim tak cennego? – zastanawiała się Alishia. A potem inna część jej umysłu, ta obca, zapytała: czy to on sam może być tak cenny?

– Powiedz fledżerowi, żeby się pokazał – poleciła wiedźma.

– Trey! Wyjdź z ciemności. – Alishia usłyszała za sobą kroki, powolne i niepewne.

– Światło razi mnie w oczy – poskarżył się.

– Dawno nie byłeś na powierzchni? – zagadnęła wiedźma.

Trey nie odpowiedział.

– Jest was więcej? – zainteresował się Rafe.

Jego głos sprawił, że Alishię przeszył dreszczyk. Nie wiedziała dlaczego.

– Nie – odparła. – Tylko my.

– Nie mamy jedzenia – oznajmił chłopak. – Nic, co moglibyśmy wam zaproponować.

– Mamy trochę fledżu – sprostowała Alishia.

Wiedźma zakłęta i splunęła w ognisko. Zasyczało, jakby płomienie również się rozgniewały.

– Nie chcemy narkotyku! – warknęła.

Cała czwórka zmierzyła się wzrokiem nawzajem. Alishia przez cały czas spoglądała na Rafe'a. Był przystojnym chłopakiem, może trzy, cztery lata od niej młodszym, ale wyglądał na zmęczonego i wyczerpanego, jakby czas nagle przyspieszył, żeby pokazać mu sens tego świata. W jego oczach odbijał się ogień, ale jakby niechętnie. Księżyc śmierci nadawał barwę jego włosom. Może gdybym wzięła trochę fledżu, mogłabym wejrzeć w niego, zobaczyć, co jest czymś więcej niż umysł. Zadrzała; jej ostatnie przeżycia po fledżu sprawiały, że wyczuwała coś przerażającego, ale jednocześnie fascynowały tę mroczną część jej samej.

– Jeżeli chcecie do nas się przyłączyć, nie mam nic przeciwko temu – oznajmił w końcu Rafe.

Rzucił gałąź do ogniska; w powietrze wzbily się iskry. Ani na chwilę nie spuszczał wzroku z Alishii. Cofnął się i usiadł, a ona też. Uśmiechnęli się do siebie, kiedy wiedźma zaklęła i znów splunęła.

– Rafe, nie mamy pojęcia, kim oni są! Może szukają... czegoś. Wiesz, o co mi chodzi.

Tajemnica! – pomyślała Alishia i omal się nie roześmiała. Coś pobudziło jej świadomość, jakiś fakt ukryty głęboko w umyśle, który chciał się z niego wydobyć.

– Nie wyglądają na Mnichów – stwierdził chłopak.

– Mnichów? – Trey siedział odwrócony plecami do ognia. Wymamrotał w ciemność coś jeszcze.

Mnisi. O jakich mnichów mogło mu chodzić? – zastanawiała się Alishia. Byli czciciele księżycy – życia lub śmierci – którzy wciąż praktykowali swoją religię, chociaż magia ziemi tak dawno odeszła. I byli też...

Byli też Czerwoni Mnisi. Czerwoni Mnisi, tacy jak ten bydlak, który spalił jej bibliotekę, ukradł książkę, spopielił jej marzenia i wspomnienia, aby zniszczyć to, czego być może nie znalazł. Czerwoni Mnisi. Zatwardziali niszczyciele magii.

Magia! Okrzyk w jej głowie rozległ się tak głośno, że chyba wszyscy go usłyszeli, ale chłopak nie odwrócił wzroku, a wiedźma dalej klęła. Alishia, wpatrzona w płomień, poczuła, jak otwiera się pogrążony w ciemności zakamarek jej umysłu.

18

Palce bolały Kosara jak Czerń. A przecież teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebował ich sprawności, którą nabywał przez lata nawet po dokonanych przez samego siebie napiętnowaniu. Opuszki krwawiły, ale tylko jego krwią. Chyba nie zatrzał go jad pająka-zabójcy.

Oddychał cicho i wolno przez otwarte usta. Jego bose stopy sunęły po nierównej ziemi, wyczuwając i omijając sterczące kamienie, kupkę siana, grudę końskiego nawozu. Rozłożone ręce ocierały się o boki, aby ubranie nie szeleściło. Każdy krok trwał wiele uderzeń serca.

Od lat niczego nie ukradł. Serce waliło mu mocno i szybko – wiedział, że nikt go nie usłyszy, mimo to chciał, by było ciszej – ale samo podążanie własnymi tropami go podniecało. Choć A'Meer była bliska śmierci, choć zagrażali im Czerwoni Mnisi i wszyscy ci, którzy mogli podążać ich śladem, cieszyło go korzystanie ze swoich złodziejskich umiejętności. Może nie potrafił się uspokoić, opanować i skupić, ale nadal z przyjemnością przekonywał się, że jego umiejętności nie zanikły, a tego się obawiał. Już minął dwa konie, nawet nie drgnęły. W stajni było ciemno – tylko odrobina mętnego światła sączyła się przez dziurawy dach – a ziemia pod stopami była nierówna. Mnóstwo rozmaitych dźwięków mogło dać strażnikowi znać, że Kosar tu jest.

Niewiele brakowało, by wykonał zadanie, kiedy się zdradził, a właściwie zdradził go miecz, długi kawałek metalu, obca mu broń. Kiedy Kosar wykonał ruch, miecz zakołysał się i stuknął o drewnianą ściankę boksu.

Strażnik zatrzymał się i gwałtownie odwrócił. Oczy miał szeroko otwarte i szkliste od wypitej berbeluchy, ale odruchowo sięgnął po miecz.

Tak niby wygląda cicha kradzież. Kosar skoczył do przodu, uderzył strażnika w gardło, uciszając krzyk, zanim jeszcze się rozległ, a potem kiedy mężczyzna upadł na kolana, kopnął go trzy razy w kark. Strażnik osunął się na ziemię.

Konie przestępowały z nogi na nogę, parskały i Kosar zrobił to, co mogło je uspokoić – stał i czekał. Nie trwało to długo. Zwierzęta były rozespiane, a starcie trwało krótko.

Kosar pochylił się nad leżącym, dotknął jego przegubu, aby przekonać się, że strażnik żyje, po czym odczepił mu od pasa kółko z kluczami. Otworzył pierwszy boks i szybko osiodłał konia; uspokajał go, szepcząc mu do ucha. Koń w drugim boksie stał nieruchomo i

łatwo pozwolił się osiodłać. Potem Kosar wyprowadził je ze stajni na światło księżyca.

Spojrzał na wielki dom. Nie zaświeciły się światła, nie otworzyło się żadne okno, nikt nie wybiegł. Jeżeli nawet ktoś coś usłyszał, najprawdopodobniej uznał, że stajenny powinien sam sobie poradzić, i nie miał ochoty stawiać czoła ewentualnym problemom. Ci ludzie byli wystarczająco bogaci, żeby kupić sobie nowe konie. Kosar bez najmniejszych skrupułów ukradł dwa najlepsze. Niepokoiło go jedynie, czy nie za bardzo poturbował strażnika, ale musiał to zrobić. Nie zabił go. W najgorszym wypadku obudzi się z bólem głowy i będzie musiał wysłuchać wrzasków pracodawcy.

Kosar otworzył bramę i wyprowadził konie. Krzywił się, słysząc, jak kopyta stukają głośno na bruku. Kiedy znalazł się na ulicy, starał się nie rzucać się w oczy. Kilka osób spojrzało na wierzchowce z uznaniem – był z tego zadowolony, bo nie zwracali uwagi na niego, na słabo widoczne w gasnącym świetle zakrwawione ręce i pochłapaną krwią odzież.

Szybko dotarł do bramy parku, przez którą zapewne wyszli Nadzieja i Rafe, kiedy on i A'Meer walczyli z Czerwonym Mnichem. O tej porze mało kto był w parku, niebezpiecznym o zmierzchu i w nocy.

A'Meer była tam, gdzie ją zostawił. Siedziała oparta o drzewo z mieczem zaciśniętym w dłoni, niemal nieprzytomna. Krew sączyła się z jej oczu, nosa i ust. Żyły na skroniach i czole uwypukliły się, ale Kosar stwierdził, że już nie nabrzmiewają. Może trucizna działała wolno, słabo, a jednak wciąż mogła ją zabić. Pochylił się, usiłując w skąpym świetle księżyca dokładniej obejrzeć jej twarz. W miejscach, gdzie nie spływała krew, skóra była nienaturalnie, niezdrowo blada.

– Chodź – powiedział.

Chwytał A'Meer pod pachy i podniósł. Czubki palców go piekły, ale ona chyba mu pomagała. Stała i oparła się o niego. Trzymał ją przez chwilę, zbierając siły, by posadzić ją w siodle. Wiedział, że będzie musiał przerzucić ją przez koński grzbiet i przywiązać, ale nie miał pojęcia, czym grozi ucisk na jej brzuch. Zdawał sobie sprawę, że zapewne taki ucisk pomoże jadowi pająka-zabójcy uszkodzić jej wnętrzności, nie miał jednak wyboru.

Na tym polegał jego problem – tak mało wiedział.

Coś zaszeleściło nad ich głowami. Spojrzał w górę. Był strasznie spięty, bliski wyczerpania. Wpatrywał się w gałęzie i liście oświetlone blaskiem księżyca życia. Szelesty ucichły.

– A'Meer – szepnął jej do ucha. – Muszę podnieść cię na konia. Rozluźnij się, pomóż mi, a ja potem cię przywiążę, żebyś nie spadła. – Objął ją w pasie, chwycił zdrową ręką i na wpół zaniósł, na wpół dowlókł ją do koni. Stały nieruchomo, kiedy się pochylił i zarzucił sobie A'Meer na ramię. – Teraz cię podniosę. – Wyprostował się, wsunął obie dłonie pod smukłe ciało kobiety i uniósł je. – Może mi się uda – powiedział. Umieścił ją w siodle i stał przez chwilę, chroniąc ją przed upadkiem. – Daj spokój, A'Meer, nie wygłupiaj się, robisz to specjalnie. – Ułożył ją w poprzek siodła tak, że obie ręce zwisały z drugiej strony.

Była całkowicie bezwładna. W żaden sposób nie starała się mu pomóc i po raz pierwszy Kosar pomyślał, że może ona nie żyje. Obiegł konia i przytknął ucho do głowy A'Meer, starając się usłyszeć jej oddech; westchnął z ulgą, kiedy poczuł go na karku.

– Krzesło – szepnęła. – Lubię robić to, opierając się o krzesło.

Kosar roześmiał się cicho.

– Zabiorę cię stąd – obiecał – a potem zobaczymy, czy wiedźma dotrzyma obietnicy.

– Na północny wschód – powiedziała. – Jak najdalej od Trengborne.

– I w kierunku Noreeli?

A'Meer drgnęła, jakby wzruszała ramionami.

Kosar wskoczył na drugiego konia i wyjechali z parku. Za nimi budził się mrok – w zaroślach słychać było coraz więcej szelestów, w dużym stawie rozlegały się pluski, jakby coś wypływało z głęбини, od grupy cieni kręcących się na obrzeżach parku dobiegały ochryple chichoty – i Kosar cieszył się, że opuszcza to miejsce.

Gdy znaleźli się na ulicy, ruszył szybko, świadom, że zapadła noc, a w ciemności miasto całkowicie się zmienia. Widział cienie przemykające w głębokich cieniach – to pewnie widma. Ulicą podążała grupka strawników; bali się światła, więc kochali ciemność. Z mrocznej otchłani między dwoma budynkami dobiegł zgrzyt metalu o kamień i odgłosy uderzeń czymś wilgotnym. Tu i ówdzie w świetle księżyca rysowały się sylwetki maszyn – w ukrytych dzielnicach nie było ich wiele, tylko kilka – a Kosar starał się nie patrzeć na ich ostre krawędzie, wygięte skorupy, zabudowane fasady. Podróżując, słyszał o cmentarzyskach maszyn i Pavisse w mroku wyglądało właśnie jak cmentarzysko. W nocy maszyny budziły w nim większy niepokój, jakby lepiej rozumiał ich przeznaczenie.

A ta noc była szczególna. Tej nocy magia działała.

Opuścili Pavisse szybko i spokojnie. Nie widział żadnego Czerwonego Mnicha. W tej chwili to im sprzyjało, ale był zły prognostyk na przyszłość. Znaczyło to, że Mnisi opuścili miasto wcześniej niż oni, ścigając Rafe'a i wiedźmę, i kiedy Nadzieja przekaze mu wiadomość, Czerwoni Mnisi staną między nimi.

Wiadomość przyszła, kiedy tylko opuścili Pavisse.

Gdyby Kosar czuł się dobrze, posłaniec mógłby zginąć. Gdyby był czujny, słowa wiedźmy nigdy by nie dotarły do niego lub A'Meer. Tej nocy dużo się zmieniło w Noreeli i wiele losów splotło się ze sobą. Gdyby nie zasnął w siodle, przyszłość wyglądałaby zupełnie inaczej.

Siedział w łodzi, kołyszącej się w sieci rowów nawadniających, które od trzydziestu lat kopał wokół Trengborne. Rowy stały się kanałami, pochłaniały mnóstwo ziemi, zaprzeczając swemu pierwotnemu przeznaczeniu, ale ich kopanie stało się celem samym w sobie. On zbudował tę łódź. Płynął nią, holowany przez konia idącego brzegiem, a widoczni w oddali mieszkańcy Trengborne zebrali się, aby powitać go po powrocie z kolejnej wyprawy. Mieli ze sobą futroperze, kwiaty, butelki najlepszego wina, a jeden z nich, chłopiec o imieniu Rafe,

trzymał dwa kufle starego skurwiela, którym mieli się obaj rozkoszować.

Widoczna w oddali wioska Trengborne zmieniała się. Kiedy opuszczał ją kiedyś w przeszłości, była martwa, zamieszкана przez ludzi czekających na śmierć i biedna; zwierzętom sterczały żebra przez cienką skórę. A teraz...

Teraz w wiosce znajdowały się rzeczy, duże i małe, szybkie i powolne, poruszające się i nieruchome, wielokolorowe i bezbarwne. Większość była masywna, z pulsującymi workami w różnych miejscach, z kamiennymi wspornikami podtrzymującymi drgające i parujące w upale matowo żółte części z tkanki mięśniowej. Różne wyrostki poruszały się w słońcu, obracały coś, kopały, bronowały lub budowały. Były niczym masywne, zakrzywione kończyny, na których przesuwaly się po ziemi jak wozy. Niektóre kierowały same sobą. Z wielu wyrastały długie, zwężające się macki; opadały ku ziemi by jej dotknąć lub się w nią wbić i czerpać z niej energię czerpać magię. Jak to maszyny.

– Maszyny! – krzyknął Kosar.

Nagle ludzie czekający na niego wzdłuż brzegów kanału podeszli bliżej i zobaczyli, że wszyscy prócz Rafe'a są ubrani na czerwono.

A ich twarze zabarwia szaleństwo.

* * *

– Maszyny! – wrzasnął Kosar i kiedy otworzył oczy, osłupiał; poczuł, że spada z konia na ziemię.

– Kosarze – odezwała się A'Meer. – Wiem, gdzie jest Rafe.

Oddychał z trudem, stopa zaplątała mu się w strzemię, obnażone, zakrwawione palce drapały ziemię, a teraz A'Meer – na wpół martwa, z krążącą w żyłach trucizną, która wciąż mogła ją zabić – odezwała się do niego. Uwolnił stopę i kopnął w bok odchodzącego powoli konia. Potem spojrział na konia A'Meer... i zamarł.

W świetle księżyca śmierci zobaczył czaszkokruka siedzącego na plecach Shantasi.

– Kosarze! – odezwała się znowu. – Nie mów, że po takim upadku jeszcze śpisz. Słyszałaś, co powiedziałam? Wiem, gdzie jest Rafe i wiedźma. Pomóż mi usiąść. Pojedziemy dalej. I to szybko.

– Nie ruszaj się. Nawet nie drgnij. – Wstał powoli, obolały, i zaczął wyciągać miecz.

– Nie! – zaprotestowała. – On przyniósł wiadomość od wiedźmy.

Z dłonią na rękojeści miecza podchodził coraz bliżej do wierzchowca A'Meer. Kruk zamachał potężnymi skrzydłami i Kosar poczuł jak podmuch powietrza targa mu włosy. Ptak wpatrywał się w niego czarnymi, paciorkowatymi oczami, a w każdym z nich odbijał się księżyc.

– Nie rozumiem.

– Przemówił do mnie, kiedy byłam nieprzytomna, przekazał mi słowa wiedźmy. Obozują

kilka kilometrów stąd na północ.

– To czaszkokruk.

– Tak, przekazał mi wiadomość od niej. Ona jest wiedźmą, Kosarze, ma swoje sposoby. A teraz, proszę, pomóż mi usiąść. Krew spływa mi do głowy i nie mogę logicznie myśleć. Przynajmniej pozwól mi umrzeć na siedząco.

– Nie, nie umrzesz – zaprotestował.

– Mam nadzieję. Nie wiem, jak bardzo pogorszył się mój stan. Czuję się... dziwnie. Przypuszczam, że krwawię gdzieś w środku.

Kosar pomógł A'Meer zsiąść z konia. Czaszkokruk odleciał na najbliższe drzewo, by z niego się im przyglądać. Krakał cicho i Kosar co chwila spoglądał na niego. Nigdy nie był tak blisko czaszkokruka, ale opowieści, jakie słyszał, nie opisywały go dokładnie. Nie ufał ptakowi ani trochę.

– Kiedy go usłyszałaś?

– We śnie.

– Ja też miałem sen. Widziałem maszyny w wiosce pełnej Czerwonych Mnichów.

– Powinniśmy jechać szybko, jak najszybciej – wymamrotała, opierając się o niego; zalatywało od niej śmiercią. – Jeżeli jest na to odtrutka i wiedźma ją ma, im prędzej ją zażyję, tym lepiej.

– A co potem?

– A potem będziemy uciekali razem z Rafe'em. – Powiedziała to po prostu, rzeczowo, jakby Kosar sam powinien się tego domyślić. Uciekać z Rafe'em. A więc to tak? Jego przeszłość to ucieczka przed morderczymi Czerwonymi Mnichami?

Ptak zakrakał znowu, tym razem głośniejsze. Inny odpowiedział mu z oddali.

A'Meer siedziała w siodle pochylona do przodu, niemal nad końską grzywą. Dyszała. Kosar chwycił za uzdę swojego wierzchowca, wsiadł na niego i tym razem jechał tuż przy A'Meer. Czaszkokruk leciał z przodu, czekał na nich, leciał znowu, nigdy jednak nie znikając całkowicie w ciemności. Raz lub dwa zatoczył nad nimi krąg, jakby łapał światło księżyca.

Po kilku godzinach podróży przez noc ptak wciąż unosił się nad nimi, ale przyłączyły się do niego inne kształty. Nawoływały się nawzajem. W końcu wjechali na niewielkie wzgórze i ujrzeli u jego stóp migoczące ognisko.

* * *

Rafe pierwszy usłyszał konie.

On i Alishia patrzyli na siebie przez tańczące płomienie ogniska; uśmiechali się, odwracali wzrok i spoglądali na siebie. Coś w jej oczach przyciągało go, a jednocześnie niepokoiło, odpychało – poczucie, że pod jej zewnętrznym pięknem kryje się zepsucie. Jeżeli zamknął oczy, kiedy patrzyła na niego, potrafił wyczuć coś złego – niespokojny oddech

świata w jego sercu, trwożliwe szepty przemykające między źdźbłami trawy, przyspieszające tętno pulsujące w głębi ziemi. Dlatego nie zamykał oczu i chociaż wiedział, że jest w niej coś niedobrego, upajał się jej uśmiechem.

Konie zbliżyły się cicho, ale nie tak cicho, by jeźdźcy pozostali niezauważeni. Wiedział, kto ich dosiada. Nadzieja wpadła w panikę, ale Rafe uspokoił ją, przypominając o wysłanych czaszkokrukach. Wkrótce Kosar i A'Meer pojawili się w rzucanym przez ognisko kręgu światła.

A'Meer umierała.

Kosar ściągnął ją ostrożnie z konia i zapytał Nadzieję o lekarstwa, odtrutki, jakby nie zauważał, że wiedźma przecząco kręci głową. Alishia im się przyglądała, a Trey siedział w cieniu, stroniąc od powierzchniowców

Rafe słyszał o strachu przepełniającym umysł górnika. Powiedziały mu o tym szepty. Echa słonecznego światła przekazywały mu wiadomość.

Coś w nim narastało. Coś, co zrodzi przyszłość, tak bogatą, że nawet sobie tego nie wyobrażał. Spojrzał pod nogi, na bladozieloną trawę, kurz, zwłoki kraju gnijącego przez trzy wieki, które minęły od Wojny-Katastrofy, kiedy Magowie zawiedli naturę, rozerwali ją na strzępy deprawując sami siebie i oddalając się od niej. Nabywana wiedza dawała mu jeszcze jedną szansę. Wciąż ukryta gdzieś głęboko, kształtowała się w bezpiecznym schronieniu, ale jej ostrożne macki sięgały na zewnątrz – dotykały zmysłów Rafe'a, badały je, zamiast przekazywać mu wrażenia. Znał cały świat – milion faktów i ukrytą prawdę – i doprowadziłoby go to do szaleństwa, gdyby teraz ten świat go nie chronił.

Podszedł do A'Meer. Uśmiechnęła się do niego, choć na pewno go nie widziała – jej oczy tak nabiegły krwią, że w blasku ognia wydawały się prawie czarne, twarz i skórę na głowie pokrywała sieć napęczniałych żył. Niektóre z nich pękły i krwawiły do wewnątrz, a ta krew wkrótce mogła ją zabić.

– To wszystko przeze mnie – wydusił Rafe, ale A'Meer wciąż się uśmiechała, bo wiedziała kim i czym on jest.

Wtedy ją dotknął.

* * *

Cień widział to i wysunął się do przodu. Alishia wstała i krzyknęła z wielką radością, bo cień wiedział, że to, co ujrzał, jest przyszłością – jego życiem długim i wiecznym, jego potencjałem, nagrodą od jego boga; zasłużył na nią posłuszeństwem i to, co otrzymał, zostało mu dane z miłością.

Zobaczył magię.

Za nim, zepchnięty w głąb nagłą radością, prawdziwy umysł Alishii zadrżał, wydając krzyk niemal metafizyczny. Cień upajał się wywołanym uczuciem, ocierał swoją duszę o jej

duszę, cofał się szybko, wrywał z Alishii strzępy jej doznań i patrzył jak odlatują w bezkres. Czas, który tu spędził, był czasem nieskończonym w porównaniu z wiecznością, a on znaczył w niej mniej niż nic. A jednak, chociaż cień żył, wiedział, że musi odejść.

Magia! Widział magię! Kobieta przestała krwawić i leżała zupełnie zdrowa; ludzie, którzy na nią patrzyli, cofnęli się lub upadli przerażeni... wszystko za sprawą chłopca, który położył dłonie na umierającej, a ona ożyła.

Cień chciał coś powiedzieć swojemu bogu. Jeszcze jeden krótki okres nicości, powrót do pustki, próżni, której tak nienawidził, a potem, jak mu obiecano, bóg za wszystko go wynagrodzi. Zawsze będzie nagradzać.

Cień, krzycząc, nic sobie nie robił z zamętu w duszy Alishii. Wyzwalając się, roztrzaskał jej umysł, rozerwał ją, gdy wycofały się jego niezliczone macki. Wrzasnął znowu, opuszczając ciało, i zanurzył się w pustce jeszcze głębiej niż nicość.

Przez całą drogę powrotną cień krzyczał. Ale głęboko w swoim nowym umyśle, gdzie zamieszkały wspomnienia i chciały odżyć wrażenia, wiedział, że uraduje swojego boga.

* * *

Przez niemal dwie doby nieustannego lotu Lenora straciła kilka sokołów i paru tych, którzy ich dosiadali. Żaden z jej Krotów nie krzyknął ani nie wołał o pomoc, gdy wierzchowce powoli spadały w morze. Wzbudzili w niej szacunek. Zginęli z honorem, nie widząc nawet swojego celu. Byli ofiarami zbliżającej się bitwy tak samo jak ci, którzy polegą na ziemi Noreeli.

Zlecieli poniżej pokrywy chmur. Widok pierwszej łodzi bardzo ich poruszył. Lenora posłała trzech, by zabili rybaków, a kiedy wrócili, przynieśli ze sobą głowy pięciu ludzi. Krzyczeli, całowali usta trupów, rzucali głowy przyjaciółom i po raz pierwszy malowali się noreelańską krwią. Lenora pozwoliła im świętować. Wiedziała, że wkrótce dotrą do czubka Grzbietu, a potem czeka ich kolejny dzień lotu nad Zatoką Cantrassa do wyznaczonego im celu.

Nasłuchiwała cienia swojej córki, ale w jej uszach tylko szumił wiatr.

Kiedy po raz pierwszy od wieków zbliżała się do Noreeli, krótko wspomniała swoje pierwsze spotkanie z Dana'Man i sposób, w jaki Krotowie i Magowie posiadli tę ziemię.

* * *

Dryfowali na północ z Noreeli i po dziesięciu dniach dostrzegli wreszcie ziemię. Jak okiem sięgnąć, widać było ciągnącą się na wschód i zachód wielką białą wyspę. Magowie wydali rozkaz, by dobić do jej brzegów. Wyczerpały się zapasy, Krotowie byli ranni i przygnębieni – kilka kolejnych dni na morzu zabiłoby ich. Łódz pokrywał olinowanie, jeszcze

bardziej obciążając okręty. Z desek wydawał się unosić odór śmierci. I chociaż po pocałunku Angel Lenora czuła się dziwnie odrodzona, wiedziała, że w tych dramatycznych dniach śmierć czai się blisko.

Wpłynęli do zatoki i rzucili kotwicę. Nigdzie nie dostrzegli śladów cywilizacji – żadnych budynków czy łodzi – i nic nie wskazywało, by kiedykolwiek stanęła tu ludzka stopa. Nie widzieli też zwierząt ani roślin i chociaż mogło się to wydać dziwne, zbyt zmęczeni i dobitci poczuciem klęski, tym się nie martwili.

Krotowie wywodzili się z rozmaitych ras żyjących na Noreeli i znali legendy o północnych morzach. Dzikie kraje, martwa woda, nieskończoność bez życia. Wielkie chmury spływały już z widniejących w głębi lądu białych gór, zapowiadając potężne opady śniegu. Lód w zatoce jęczał i trzeszczał, bryły uderzały w statki, napierając na uszkodzone kadłuby. Lenora zastanawiała się, co będą jedli, jeżeli postanowią tu zostać. Na razie nie mogła z nadzieją patrzeć w przyszłość.

Na pokładzie jednego ze statków Krotów pojawił się S'Hivez. Sam popłynął łodzią wiosłową na brzeg, wspiął się na skalisty cypel wrzynający się w zatokę, poszedł w głąb lądu i wyjął nóż. Nawet z kotwiczących w zatoce uszkodzonych statków większość Krotów widziała czerwoną krew tryskającą na tę dziewiczą ziemię.

– Jesteś Dana'Man! – krzyknął S'Hivez i ziemia została nazwana.

Tak dobiegła kresu podróż Lenory – Krota Magów z Noreeli – i zaczęło się jej życie na Dana'Man jako jednego z ich poruczników. Wojna-Katastrofa zakończyła się, a rozpoczęło wygnanie, które miało potrwać trzysta lat. Magia odeszła, chociaż czarownicy tacy jak Magowie zawsze czegoś używali – niektórzy nazywali to chemikaliami albo sztuczkami dostępnymi jedynie dla tych, którzy posiadli wiedzę. Ale Lenora zawsze wierzyła, że zatrzymali przynajmniej szczątki magii. Zbyt z nią byli zespoleni – a magia z nimi – aby wszystko zniknęło w mgnieniu oka.

Bądź co bądź Angel dała jej życie wieczne.

* * *

Zniżając lot tuż nad powierzchnię morza, spoglądając na delikatną mgiełkę na horyzoncie nad Noreelą, Lenora tylko wspominała trzysta lat na Dana'Man – odnalezienie tam starych cywilizacji, rzeź i zniewolenie, i ostatecznie podporządkowanie każdego plemienia Krotom. Lata te wydawały się historią jeszcze bardziej starożytną niż nawet ich wcześniejsza ucieczka z Noreeli krótką, zastygłą przerwą w długich dziejach Magów. Dziejach, w których zaczęła odgrywać jedną z głównych ról.

Dokonując pierwszego uderzenia na wielkie obszary Noreeli i rozpoczynając nową epokę, słyszała w głębi umysłu bezcielesny głos. Dotąd nie mogła zrozumieć, co do niej mówi. Ale miała na to mnóstwo czasu.

* * *

Lucien Malini wyjechał z Pavisse na najszybszym koniu, jakiego zdołał ukraść.

Pozostali Czerwoni Mnisi rozeszli się z miasta na północ i wschód, po wzgórzach i dolinach, przepatrywali lasy i wąwozy, zagrody i gospodarstwa – zaciekle szukali uciekającego chłopca. Wiedzieli, że przegrają, jeśli on i jego towarzysze dotrą do Noreeli. Mogą znaleźć tam schronienie i ukrywać się przez wiele tygodni a w tym czasie przekleństwo chłopaka będzie szukać ujścia, ogarnie go całego i ostatecznie wydobędzie się na zewnątrz, by znowu ktoś je wykorzystał. Zwykli mieszkańcy z Noreeli z radością powitają powrót magii, ale Magowie także. I tym razem – kiedy wojska Noreeli są zbyt słabe, by walczyć, a ludzie ogarnięci apatią – Magowie dopną swego. Nie będzie już uciezki. Nie będzie powtórki Wojny-Katastrofy. Nastąpi prawdziwy kataklizm.

Koń galopował po pogórzu, Malini poganiał go nieustannie; równiny i lasy przesuwaly się po jego lewej stronie, a góry po prawej. Kiedy omijali starą jamę-połykacza, koń potknął się i niemal wyrzucił Lucienia z siodła. Przytrzymał się grzywy, ściskając zwierzę kolanami, i spojrzał na dziurę w ziemi, zastanawiając się, ile takich jak ona czyha pod powierzchnią. Być może połączą się w jednym wybuchu i Noreela stanie się gigantycznym wirem ziemi i ciał, gór i miast, ludzi i marzeń. Kraina umierała – w swojej długiej wędrówce widział to – a Mnisi wiedzieli, że skończy się to jej zniknięciem albo przekształceniem w coś całkowicie innego. To ich martwiło, a zarazem cieszyło. Oznaczałoby bowiem, że Magowie zostali pokonani na zawsze. Bez tej krainy nie będzie magii, a bez magii... życie Magów umrze, niespełnione, bezsilne, a zło, które przynosili, unicestwione, zniknie w wieczności.

Pograżony w takich myślach nie tracił jednak z oczu celu, do którego teraz zmierzał. Przyszłość była zagadkowa, prawdopodobnie zupełnie inna od tego, co każdy z nich sobie wyobrażał. Czerwoni Mnisi wierzyli w ostateczny kataklizm, lecz nie mieli pewności, że nastąpi, i nie potrafili tego udowodnić. Mógł nastąpić już jutro albo za tysiąc lat. Ale bez względu na to, kiedy się zdarzy, magia znów sączyła się do kraju i musieli walczyć, aby jeszcze raz nie zawładnęła nią Magowie.

Jechał do klasztoru. Musiał ostrzec zakonników, że magia powróciła. Nie chodziło tylko o kilku Mnichów, którzy przeszukiwali Pavisse, i o tego, który zginął w Trengborne, ale nie zabił chłopca. Rafe Baburn był młody, naiwny i niedoświadczony i powinien umrzeć dawno temu. Poległo już trzech Mnichów – silnych i upartych; każdy z nich znaczył tyle, co tuzin ludzi – a mimo to chłopak uciekał z Shantasi i innymi, którzy przyłączyli się do nich. Lucien nie opłakiwał zmarłych Mnichów, ale ich porażka go irytowała. Dawno temu powinni sobie z tym poradzić. A jednocześnie wiedział, że im więcej czasu mija i im bardziej potężny staje się chłopak, tym bardziej wzrasta prawdopodobieństwo, że Magowie usłyszą o powrocie magii.

Po co się oskarżać, robić sobie wyrzuty, udzielać nagan? – to nie w stylu zaskorupiałego

Zakonu. Lucien pomyślał, że jeden z nich powinien pojechać do klasztoru wiele dni wcześniej, kiedy tylko dowiedzieli się o magii w chłopcu. Nie, to nie tak. Wściekał się. Trudno było uwierzyć, że chłopiec ocaleje.

Jechał więc na południe, do klasztoru nad jeziorem Denyach. Zapadła noc; popędził konia, galopując przy świetle księżyca śmierci. Podbiegały do niego wyjące stwory i odskakiwały, czując jego wściekłość i żar nienawiści podsycany w miarę, jak on oddalał się od chłopca.

Koń potknął się i upadł, zrzucając Luciena na kamienie. A Lucien, nie zważając na strzaskane ramię, znowu wskoczył na siodło i zmusił konia do galopu. W jednej z małych dolin przejechał przez strefę zniszczenia, miejsce, gdzie ziemia umarła i powoli rozkładała się, wydzielając opary, które chwytaly światło księżyca i wchłaniały je. Drgające obrazy migaly obok. Lucien pędził przez dusze kraju, rozpraszał je, czuł ich chłód i uśmiechał się, gdy daremnie usiłowaly zmrozić jego krew. Zjawy wołaly do niego, ale nie zwracał na nie uwagi, nie przejmując się tak eterycznymi istotami. Jego myśli skupiały się na przyszłości – na magii, powrocie przekleństwa, które zniszczyło kraj.

I na zebraniu posiłków.

Część II

SŁOŃCE ZACHODZI

19

Śmierć pojawiła się jako pytek w jego oku.

Jayke Bigg potarł powiekę i zamrugał szybko – może wiatr od morza poderwał piasek z plaży i cisnął mu go w twarz? Spojrzał pod nogi, odchylił powiekę, pozwalając łzom wypłukać drażniący pyłek, i widząc pokruszone muszle, zastanowił się, czy jeszcze ktoś je zobaczy. Ale skąd ten pyłek w oku, wdzierający się do jego zmysłów jak nieproszony duch? Czy z odłamka posągu jakiegoś zapomnianego boga? Okrucha kości prastarego stwora morskiego, dawno już martwego i nieznanego tym, co teraz żyją? Jayke lubił oddawać się takim rozważaniom. Samotne życie na Końcu Ziemi czyniło je nieuniknionymi.

Westchnął, uniósł rękę dłonią do góry przed sobą i patrzył na nią, wodząc oczami z lewej strony do prawej. Nie miał niczego w oku. Może uległ złudzeniu. Spojrzał znowu na północ, na miejsce, które miał obserwować, ale słońce zasnuło horyzont drżącą mgiełką.

Jayke znowu rozpoczął wędrówkę po plaży. Schodził na nią z klifów każdego ranka, opuszczając stary kamienny dom, przekazany mu w spadku przez rodziców, którzy otrzymali go od swoich przodków. Cieszył się wolnością odludzia. Czuł największy spokój o poranku, kiedy słońce wstawało na końcu plaży, a codzienne troski i samotność ulatywały z jego snów. Dalej na plaży pierścieniowe żółwie po raz kolejny pelzły z powrotem do morza – zakopały już bezpiecznie swoje jajka – i Jayke wolno szedł ku nim. Chciał, żeby znalazły się w morzu i odpłynęły, zanim odłoni jedno z gniazd i zabierze jajka na śniadanie. Wiedział, jak będą smakować – słonawe, tajemnicze, pełne opowieści o morzach. Może się nimi rozkoszować, ale nigdy ich nie pozna.

Mewy krzyczały w górze, pewnie ze strachu, że wdrapie się na klif i ukradnie również ich jaja. Jaskiniowe węże śpiewały w swoich jamach u dołu urwiska, witając nowy dzień, zanim wczolągają się z powrotem w ciemność, aby przespać słoneczny czas. Na wygładzonym przez morze piasku pojawiały się bąble wielkości jego pięści, ślady oddechu mieszkających w głębinach stworów.

Jayke zatrzymał się i znów spojrzał na północ. Odruchowo – robił to chyba z tysiąc razy dziennie. Tam na północy przebiegała linia rozdzielająca dwa światy: dziki obszar, w którym kończyły się ziemie zwane Noreelą i zaczynały nieznanne, nieskończone Północne Morza. Tak, dzicz, ale paradoksalnie bezpieczna. A on był tu, aby wypatrywać bezpośredniego

zagrożenia. Jayke nie pamiętał żadnego prawdziwego niebezpieczeństwa, z którym przez te wszystkie spędzone tu lata zetknęliby się on lub jego rodzice. Oczywiście zagrażać mogła natura – sztormy i gigantyczne fale rozbijające się o klify, gwałtowne zmiany pogody w różnych porach roku: ogromne zwały śniegu albo palący upał, a także niekiedy tygrys morski, który wyłaniał się spośród fal i kręcił wokół domu, a jego macki poruszały się niespokojnie, dopóki nie owinęły się wokół jakiegoś ciepłego, żywego mięsa. Ale nie zagrażał wróg.

Jayke dotarł do miejsca, w którym żółwie składały nocą jaja. I znów spojrzał na północ, po czym schylił się i grzebał w piasku. Znalazł pięć jaj, wiotkich, skórzastych woreczków, które stwardnieją w piekarniku i będą cudownie smakowały z morską solą i kwaśnym mlekiem owocolop. Wyprostował się, schował jaja do kieszeni i ruszając z powrotem, jeszcze raz popatrzył na północ.

I znowu to zobaczył. Plamkę na niebie – wcześniej myślał, że to niesiony wiatrem pyłek. Zatrzymał się, wstrzymał oddech, spojrzał w prawo, w lewo... a plamka pozostała w tym samym miejscu – tuż nad horyzontem, drgająca w rozgrzanym porannym upałem powietrzu, kleks na czystym błękitnym niebie.

Och, nie.

Może to ptaki? Stado mew?

Niemożliwe.

Mewy by tak daleko nie doleciały.

Luneta!

Jayke wyciągnął z kieszeni lunetę, zdjął osłonę i zaklął, widząc, że soczewki zaszyły mgłą w kontakcie z jego spoconą skórą. Wytarł je starannie koszulą, ani na chwilę nie spuszczając z oka plamki na niebie tuż nad horyzontem. Fale strachu napływały szybko, jak zawsze kiedy zastanawiał się, po co tak naprawdę tu jest, dlaczego jego rodzina żyła tutaj od pokoleń. Zrobiło mu się zimno, przesywały go dreszcze, serce łomotało, a żołądek podchodził do gardła. Jayke omal nie wymiotował.

Ukląkł na piasku, podniósł lunetę do oczu i spojrzał na północ.

A potem zaczął biec.

To nie były mewy. Raczej sokoły – choć znajdowały się zbyt daleko, żeby mieć co do tego pewność – dziesiątki sokołów leciały w luźnym szyku; ich potężne, połączone błoną szpony delikatnie muskały powietrze; wystarczyło zaledwie kilka machnięć skrzydłami na minutę, aby utrzymać się wysoko w górze.

Jayke biegł po plaży, zapadał się w piach spanikowany. Żółwie jaja wypadły mu z kieszeni, jedno się rozbiło na piasku. Było zepsute, cuchnące. Gdyby je zjadł, zatrułby się śmiertelnie.

Czytał o sokołach w wielu książkach zebranych przez jego rodzinę. O tym, że widywano je bardzo rzadko, że zazwyczaj trzymają się wysoko nad chmurami, żyją tam, jedzą, łączą się w pary, umierają i rozsypują w pył w wiejących wysoko wiatrach, które utrzymują je w

powietrzu nawet po śmierci. Biegł do domu, po broń i po gołębie, które czekały, aby wysłał je z ostrzeżeniem – sokoły widywano bowiem w stadach jedynie wówczas, kiedy miały na sobie uprząż, ktoś nimi rządził i wykorzystywał jako powietrzną kawalerię. Zdarzało się tak niejednokrotnie w czasie Wojny-Katastrofy. Wtedy dosiadali ich Krotowie, wojownicy Magów.

Jayke obejrzał się, dopiero kiedy dotarł do schodów prowadzących na szczyt klifu. Upuścił lunetę, ale już jej nie potrzebował, niebezpieczeństwo zbliżało się zbyt szybko. Jego lęki jakby się urzeczywistniły. To naprawdę były sokoły, wielkie sokoły, i chociaż znajdowały się bardzo, bardzo daleko, widział siedzące na nich wyprostowane postaci.

Zaczął się wspinać. Jego życie dobiegało końca. Nie przypuszczał, że tak szybko do tego dojdzie – po tak długim czasie zaczął wierzyć, że Magowie nie żyją – ale teraz miał cel, zadanie, misję do spełnienia, zanim umrze. Śmierć nie przerażała Jayke'a. Był sam od tak dawna, widział niejedne narodziny i niejedną śmierć w otaczającej go przyrodzie, aby wiedzieć, że takie są nieuchronne losy każdego. Nie przejmował się zbyt wiele nawet tym, jak umrze. Bez względu na to, jak śmierć będzie trudna, księżyc śmierci zabierze go do siebie i odda Czerni. Przerazało go tylko to, że mógłby ponieść klęskę.

Przez całe życie przyświecał mu tylko jeden cel: ostrzec Noreelę, gdyby Magowie zdecydowali się powrócić.

Dotarł do połowy klifu, kiedy usłyszał krzyki. Może to sokoły, pomyślał. A może to siedzący na nich Krotowie wołają do siebie, ciesząc się, że poleje się krew. Jayke zlekceważył te hałasy. Żeby się odwrócić, musiałby się zatrzymać, a to by go zgubiło.

Gdybym tylko został w domu, nie wychodził, by zdobyć coś na śniadanie.

Ale musiał jeść.

Gdybym lubił siedzieć i obserwować świat tak, jak lubię wędrować!

Żył tu już od czterdziestu lat i nie mógł zadręczać się myślą o haniebnym niepowodzeniu. Cokolwiek się zdarzy, wykonał swoje zadanie.

Jayke wspinał się, żalując, że nie jest wyżej i bliżej domu. Była tam broń, ale przede wszystkim musiał wypuścić gołębie. Miał ich sto, zdrowych i sprawnych, szkolonych od chwili narodzin – niech polecą na wschód i południe, by zanieść ludziom wiadomość, suchą i związłą, umieszczoną w skórzanych woreczkach przy ich nogach: „Nadciągają Magowie”.

Znowu krzyk – ranił jego uszy i odbijał się echem od ściany klifu. Jayke nie mógł się powstrzymać, obejrzał się i zobaczył sokoły. Leciały tuż nad wodą. Były ich dziesiątki – może setka. Chyba tyle, ile on hodował gołębi pocztowych.

Gdy sokoły zbliżyły się do plaży, Krotowie zaczęli krzyczeć coś bez sensu, ich język nie wyrażał nic poza żądzą krwi.

Jayke dotarł niemal na szczyt wzgórza. Był wyczerpany, ale strach go mobilizował. Tylko trzydzieści kroków, trzydzieści kroków do domu... i zrobi, co w jego mocy, aby ostrzec kraj. Spojrzał jeszcze raz za siebie i zobaczył, jak sokoły przelatują nad plażą i wznoszą się nad

klifem, niczym żywa fala rozbijająca się gwałtownie o wybrzeże Noreeli.

Latające stwory były większe, niż sobie wyobrażał. Pod ich niemal przezroczystymi skórami pokrytymi czarnymi plamkami widać było wnętrzności, tłuste i wzdęte gazami, pozwalającymi łatwiej unosić się w powietrzu. Ich poźółkłe dzioby wielkości człowieka miały ząbkowane krawędzie, tkwiły w nich szczątki ofiar. Wir powietrza wywołany ich przelotem przewrócił Jayke'a, wzbijał pył, ciskał żwirem, który uderzał w okna i ściany z odgłosem podobnym do szeptu. Sokoły przelatywały nad całym klifem, unoszone przez prądy powietrzne wzbijające się z plaży. Większość z nich natychmiast skierowała się na południe nad wyspą Koniec Ziemi, w kierunku Noreeli.

Po drodze musiały przelecieć nad Zatoką Cantrassa, przestworem wody o szerokości ponad sześciuset kilometrów. Jayke zastanawiał się, jak szybko one potrafią latać. I czy jego gołębnie latają szybciej.

Sokoły obniżyły lot, nurkując prosto na niego. Jeźdźcy wrzeszczeli, napinali łuki i strzelali. Jedna strzała ugodziła Jayke'a w ramię. Upadł, mamrocząc: „Jeszcze nie jeszcze nie jeszcze nie”. Wstał, chwiejąc się, dotarł do drzwi i przecisnął się przez nie, gdy kolejne strzały świstały wokół niego i wbijały się w ściany. Jedna utkwiała mu nodze. Wpadł do środka i kopnięciem zatrzaskał za sobą drzwi. Długie drzewce strzał sterczących z ramienia i nogi nie pozwalały mu się odwrócić.

W głowie mu się kręciło, stracił przecież mnóstwo krwi. Puchła mu krtań, nie mógł swobodnie oddychać i zrozumiał, że groty strzał były zatrute.

Znowu wrzaski. A odgłos opróżniania przez sokoły worków gazowych rozlegał się w domu jak grzmot. Jeden ze stworów wylądował na dachu, zrzucając połamane dachówki na głowę Jayke'a. Potwór niszczył dom i ten brak szacunku dla historii rozwścieczył Jayke'a.

W stropie powstała dziura, poszarpana szczelina; Jayke'owi oczy zachodziły mgłą, oparł się o ścianę i osunął po niej, a przez dziurę zajrzała Krotka.

– Nie zabiłam nikogo od wielu księżyców – oznajmiła łagodnym i spokojnym głosem.

– Pieprz się – mruknął Jayke i wojowniczką Magów roześmiała się, gdy wtoczył się do drugiego pokoju. Trucizna krążyła w jego żyłach, noga była niczym kawałek drewna, ramię zeszywniało. Poruszył się, bo mobilizowała go wściekłość. Wściekłość i poczucie obowiązku. Musiał uwolnić gołębnie, ostrzec przynajmniej sąsiednie wyspy Grzbietu. Zerwał ze ściany napiętą kuszę. Spojrzał na półki z książkami, których już nigdy nie przeczyta, i zataczając się, przeszedł do gołębnika, w którym oczekiwali posłańcy.

Przeżalone gołębnie miały się. Sokół wylądował w warzywniku. Przysiadł i parskął. Krew i śluz spływały mu z dzioba. Gołębnie trzepotały skrzydłami, spłoszone, dziobały się, skrzeczały, a kiedy Jayke się do nich zbliżył, rzuciły się na niego.

– Nie! – krzyknął. Wysyczał ptakom dźwięki i słowa, by wiedziały, dokąd lecieć, a kiedy dosiadający sokoła Krot zaczął się śmiać, gołębnie natychmiast się uspokoiły.

Jayke otworzył gołębnik. A wtedy Krot powoli uniósł łuk. Jayke wycelował w niego z

kuszy i strzelił. Bełt trafił w lewe oko. Chociaż śmiertelnie ranny, zatruty, niemal ślepy, Jayke nie na próżno przez czterdzieści lat polował z kuszą na króliki i bażanty. Miał mnóstwo czasu na ćwiczenia w strzelaniu.

Krot stęknął i osunął się w siodle. Sokół chyba nawet się nie zorientował, że dosiadający go jeździec nie żyje, i dziobał leniwie ziemię.

– Pierwsza krew – szepnął Jayke. Miał nadzieję, że to dobry znak dla Noreeli.

Syknął i gwizdnął. Ptaki spojrzały na niego; chyba wiedziały, że jest ranny i one tym razem nie wrócą do domu. Gruchały, ich gardła nadymały się i wibrowały. Przepęniała je nadzieja, a zarazem rozpacz. I nagle, całym stadem, zerwały się do lotu.

Jayke osunął się po kamiennej ścianie, krzycząc z bólu, gdy złamała się strzała tkwiąca w jego ramieniu. Był pewien, że kiedy szukał żółwich jaj, wstawał dzień, a teraz zapadał zmierzch. Niebo ciemniało. Zawodził go wzrok. W powietrzu unosiła się setka gołębi i wyglądało to, jakby padał śnieg.

Ptaki się rozproszyły. Jedne pomknęły na południe, w stronę Zatoki Cantrassa, inne na wschód, do położonej w odległości pięćdziesięciu kilometrów wyspy Czarownia. Jeżeli gołębie nie zdołają dotrzeć do Noreeli, wiadomość zostanie przekazana wzdłuż Grzbietu przez tych, którzy tam mieszkają. Bliski śmierci Jayke myślał o ludzkiej naiwności. Na pewno można było zrobić więcej. Lepiej się zabezpieczyć.

Sokoły zanurkowały; wpadły w chmurę małych, białych ptaków i strącały je na ziemię. Dziesiątki tych ptaków spadały z trzepotem, a gdy uderzały o skały, z ich roztrzaskanych skrzydeł i korpusów strzelały chmury piór.

– Wybić wszystkie! – rozkazał jeden z Krotów. – Co do jednego!

Sokoły zanurkowały i kolejne dziesiątki gołębi rozerwały na strzępy. Niektórzy Krotowie zabawiali się strzelaniem do celu, a wtedy ptaki ginęły. Jeden z sokołów wpadł w szal, pomknął za stadkiem gołębi i zaatakował, zasypując ziemię zakrwawionymi białymi szczątkami.

Przed domem pojawiła się Krotka z dobytym krótkim, szerokim mieczem. Metal odbił światło słoneczne i Jayke ucieszył się, gdy przeszył go ból, wywołany oślepiającym błyskiem.

– Będzie dziś potrawka z gołębi – powiedziała.

– Pierdol się.

– Pięknie się wyrażasz. – Rozglądając się, weszła do środka – Śmierdzi tu łajnem!

– Pierdol się.

– Jak sobie życzysz. – Pochyliła się i poderżnęła Jayke'owi gardło.

* * *

– Złapaliście je wszystkie? – spytała Lenora.

– Chyba tak, pani.

– Chyba? – Obcięła trupowi ucho i przyczepiła do swojego łańcuszka. Wisiało na nim wiele innych, suchych i twardych, małych i dużych, w różnych kolorach. Ale to było pierwsze norelańskie ucho, które ozdobiło jej pas.

– Pani, jestem pewien.

– Dobrze. W takim razie wykorzystamy to, że działamy zniecka. Przygotować się do drogi!

Krot szybko odszedł, a Lenora rozejrzała się wkoło. A więc jesteśmy tutaj, tu, gdzie trzysta lat temu wszystko się skończyło, a dzisiaj się zaczyna. – Poglaskała wilgotne ucho na pasie i się uśmiechnęła.

– Jestem w domu – powiedziała. A od dawna niesłyszany głos powtórzył: *Jesteś w domu.*

20

Rafe Baburn był zmęczony. Siedział w wejściu do jaskini, patrząc, jak wiedźma stoi na deszczu z rozpostartymi ramionami i porozumiewa się z czaszokrukami. Lało jak z cebra, ale Nadzieja wydawała się zupełnie tym nie przejmować. Kruk mocno przyciskał dziób do jej skroni. Wyglądało, jakby połączyli się, tworząc jedną istotę.

Powieki Rafe'a znowu się przymknęły. Deszcz działał usypiająco, ręce i nogi bolały, oczy piekły ze zmęczenia. To, co robił poprzedniej nocy, wyczerpało go. Czuł się pusty, oderwany od wszystkiego – niebezpieczeństwa, śmierci rodziców, otaczających go ludzi – nawet głosy i szepty ucichły.

Wojowniczką Shantasi, która była gotowa umrzeć, aby ocalić mu życie, kuliła się w głębi jaskini. Miała poranioną, pociętą skórę, roztrzaskaną kostkę u nogi, jej twarz przypominała maskę pokrytą krzepnącą zatrutą krwią. Kosar złodziej czuwał przy niej i poił ją wodą. Jęczała przez sen, czasami krzyczała, ale burza ją zagłuszała. Była nieprzytomna. Trucizna zniknęła z jej ciała. Teraz z jej ran płynęła tylko zdrowa krew. Rafe ją uleczył.

Lecz to nie on jej dotknął. Nagły impuls, który przepłynął przez jego rękę i dłoń, zrodził się tak głęboko, że właściwie poza nim. Czuć było smród, gdy trucizna wychodziła z jej ciała i wypalało ją świeże powietrze. Fetor czegoś obrzydliwego rozwiewał się na wietrze, a Rafe zatoczył się, odsuwając od rannej Shantasi, i zwymiotował. Wiedźma złapała go i delikatnie położyła na ziemi. Jak szklaną rzeźbę.

Słabo pamiętał, co działo się później. Od czasu do czasu widział błyski światła księżyca i miał wrażenie, że ktoś niesie go przez noc. Wokół niego rozlegały się szepty, pełne zdumienia mamrotania, w których słycać były tony niedowierzania i wiary, gniewu i ulgi, bólu i radości. Miał wrażenie, że wreszcie został wydobyty z dawnego życia i poniesiony w stronę czegoś nowego i cudownego. Zaczął padać deszcz i znaleźli jaskinię. Od tej pory panował spokój.

Rafe przypuszczał, że jego towarzysze podobnie jak on sam starają się pogodzić z tym, co zaszło.

Nadzieja strząsnęła z ramion ostatniego czaszokruka. Zaskrzeczał, odlatując. Szybko zniknął w ciemności, szydząc z niej ostatnim okrzykiem. Zakłęła i pochyliła się, by podnieść z błota jedno krucze pióro. Było jedwabście gładkie. Światło księżyca padło na jego idealną

krawędź, która zalsniła jak ostrze noża. Wiedźma przyłożyła je do nosa i wciągnęła powietrze, ale nic nie poczuła.

– Mocz i rzygowiny! – syknęła. Być może przyczyną był deszcz, ale nie zdołała porozumieć się z czaszokrukami. Chętnie przyjęły jej zaproszenie i usiadły na jej ramionach, ale brały, nie dawały. Kiedy przyciskały się do niej, czuła w swoim umyśle delikatne dotknięcia ich zmysłów, ich poszukiwanie tajemnic, ale inaczej niż poprzedniego dnia, nie mogła ich odczytać. Nie robiła tego często, ale znała sposoby i ryzyko. Nie powinno być żadnego powodu, by nie zadziało znowu. Usiłowała im przekazać słowa: „Szukajcie Czerwonych Mnichów”, ale nie słuchały. Zamknęły się przed nią.

Nadzieja wróciła do swoich towarzyszy. Znajdowali się raczej w niszy niż jaskini, naturalne wgłębienie w zboczu osłonięte było nawisem skalnym, ale chroniło ich przed burzą i wzrokiem wścibskich. Noc była ciemna, księżyc wychylał się od czasu do czasu zza niskich chmur. Nie ośmielali się rozpałać ogniska. Prawdopodobnie Czerwoni Mnisi wciąż ich szukali, oni zaś potrzebowali nocnego wypoczynku, aby odzyskać siły.

Tutaj jest, pomyślała Nadzieja, uśmiechając się do Rafe’a. Nie spał i siedział tuż pod nawisem, woda spływała ze skały nad jego głową i rozbryzgiwała się u jego stóp. Mój najdroższy chłopiec. Odpowiedział słabym uśmiechem, oczy miał szkliste i pełne zamętu jak burzowe niebo. Nadzieja wyciągnęła rękę, aby dotknąć jego głowy, ale zrezygnowała. Przeszła obok z respektem, obawą, nie rozumiejąc, co mówią znaki. Od pierwszego spotkania wierzyła w Rafe’a, ale po ubiegłej nocy – po tym jak dotknął Shantasi i usunął z jej ciała jad pająka-zabójcy – jej wiara przekształciła się w strach. Była wiedźmą, była nią przez całe życie, ale to jedno dotknięcie chłopca stanowiło kpinę ze wszystkiego, co osiągnęła. Bycie wiedźmą w czasach bez magii polegało głównie na znajomości rzeczy, szokowaniu ludzi tajemną wiedzą, straszeniu ich, jeżeli zachodziła taka potrzeba, zapomnianymi właściwościami przyrody i znajomością dróg, którymi podążał umysł, a czasami oszukiwaniu wyrafinowanie prostymi sztuczkami. Dla niej wiedza była potęgą.

Osiągnięcie Rafe’a było całkowitym przeciwieństwem tego, co znała, i dlatego nieskończenie bardziej onieśmiało. Był młodym chłopcem, oszołomionym i zdezorientowanym, a chociaż zademonstrował taką moc, zdawał się nie mieć o niej żadnej wiedzy. Ta świadomość go przerażała.

Chłopiec wpatrywał się w noc, jakby szukał w niej odpowiedzi, a Nadzieja chciała go mieć tylko dla siebie.

Weszła dalej w głąb jaskini, gdzie znajdowali się pozostali. Również dziewczyna, Alishia, której dziwny stan zaniepokoił ich wszystkich. Fledżer siedział, trzymając jej głowę na kolanach, głaskał ją po włosach, usiłował szeptem obudzić życie w jej oczach. Były szeroko otwarte, wpatrzone w przestrzeń i tak nieobecne, jakby odbijały ciemność panującą na zewnątrz, a nie pustkę wewnątrz niej samej.

– Co z nią? – spytała Nadzieja.

Fledżer podniósł głowę.

– Wiedziała tak wiele. Teraz jest niczym.

– To przeraziło nas w różny sposób – powiedziała, myśląc o ekstazie, z jaką obserwowała Rafe’a kładącego dłonie na Shantasi.

– Mnie nie – odparł fledżer. W jego uwadze krył się podtekst, ale Nadzieja puściła go mimo uszu. Co takiego widział i wie? – zastanawiała się.

Podeszła do Kosara złodzieja. Opiekował się A’Meer. Wilgotną szmatką zmywał krew z jej twarzy, szyi i głowy. Niektóre rany były straszne, ale ból zniknął razem z trucizną i wkrótce po tym, jak weszli do jaskini, Shantasi sama zaszyła kilka swoich ran. Spała z powodu całkowitego wyczerpania.

– Nie mogłam z nimi porozmawiać – stwierdziła wiedźma. – Z czaszokrukami. Wczoraj wszystko udało się doskonale, a teraz są niedostępne. Nie mogę uwolnić się od myśli, że śmiały się ze mnie, kiedy próbowałam się porozumieć. Czułam, jak gmerają w mojej głowie. Ciekawa jestem, co tam zobaczyły, ale odleciały i krakały w deszczu.

– I tak bym im nie ufał – rzekł Kosar. – To nienaturalne. Równie dobrze mogą nas zaprowadzić w pułapkę Czerwonych Mnichów.

– Dlaczego miałyby to zrobić?

– A dlaczego nie? – Złodziej dotknął podbródka A’Meer, zmyta krew odsłoniła białą skórę.

– Tam mogą być ich dziesiątki – powiedziała Nadzieja. – I to wszędzie. – Usiadła na jednym z siedel, ukrytych przed deszczem, i próbowała przebić wzrokiem zasłonę brudnej wody spływającej w wejściu do jaskini. Gdyby tylko mogła być deszczem, wszechwidzącym i niewinnym.

– Mogę widzieć – odezwał się Trey Barossa z drugiej strony pieczary.

Ulewa jakby nasiliła się nagle i na moment błyskawica oświetliła równiny.

– Słyszałam o was, fledżerach – odparła Nadzieja. – Poznałam kilku i wszyscy są uzależnieni. Wszyscy są straceni. Twierdzą, że mają zdolność jasnowidzenia, ale w czasie swoich wędrówek widzą tylko własną śmierć robiącą kolejny krok w ich stronę.

– Jestem uzależniony od fledżu w takim samym stopniu jak ty od fałszywej magii – stwierdził Trey. Alishia poruszyła się i jęknęła. Nadzieja zerknęła na dziewczynę i szybko odwróciła wzrok. Jej oczy były szeroko otwarte, wpatrzone w kamienną ścianę, jakby widziała coś koszmarnego, niemożliwego do zniesienia.

– Uważaj, co mówisz – burknęła wiedźma. Ale w jej głosie nie było prawdziwej groźby i jej słowa przeszły bez echa. Los zetknął ich ze sobą i wszyscy byli świadkami czegoś niezwykłego, czegoś co wciąż rozbrzmiewało w ich myślach. Nadzieja była pewna, że widzieli koniec starego świata i początek nowego.

– Mogę widzieć – powtórzył Trey. – Mam świeży fledż. To, czego ludzie używają na powierzchni, jest stare, przewożone, przechowywane. Skażone działaniem powietrza. Żucie

starego fledżu jest jak jedzenie zepsutego mięsa i równie niezdrowe. Dlatego powierzchwniowcy patrzą na fledżerów z góry, bo ci, których znacie, powoli się zatrują.

– Jak daleko możesz widzieć? – chciał wiedzieć Kosar.

Najwyraźniej pytanie było dla Treya kłopotliwe, do tego stopnia, że Nadzieja zastanawiała się, co takiego zobaczył w czasie ostatniej podróży. Wzruszył ramionami.

– Nie jestem pewien. I nie wiem, czy mogę zobaczyć coś konkretnego albo cokolwiek, co tam jest. Jeżeli Mnisi wciąż się gdzieś kręcą, mogę w ogóle ich nie dostrzec i zobaczyć jakąś owcolopę na Wdowich Szczytach.

– Jeżeli widzenie jest tak niepewne, może tak samo wprowadzić w błąd jak i dopomóc – zauważyła Nadzieja.

– Wydaje się bardziej wiarygodne niż czaszkokruki – stwierdził Kosar. – A noc wkrótce się skończy. Wciąż jesteśmy niedaleko Pavisse. Mnisi z całą pewnością uciekli z miasta, żeby nas szukać, i musimy znowu ruszyć w drogę. A’Meer trzeba będzie przywiązać do siodła, a jeżeli Trey i Alishia pojedą z nami...

– Właściwie po co? – spytała Nadzieja. – Nic nie wiedzą o Rafie.

– Ale ja wiem, co widziałem ubiegłej nocy – odparł Trey. – I wiem, co to zrobiło Alishii. Wiele jej zawdzięczam. Uratowała mnie...

– Jeżeli pojedziecie z nami, narazicie się na niebezpieczeństwo – ostrzegła Nadzieja. – Ścigają nas Czerwoni Mnisi, a czy wiesz, do czego zdolny jest Czerwony Mnich? Masz pojęcie, kim oni są?

A poza tym, pomyślała, czemu mielibyśmy dzielić się z wami chłopcem? Czemu mielibyśmy dzielić się z kimkolwiek?

– Widziałem gorsze rzeczy – oznajmił górnik.

Nadzieja parsknęła drwiąco, ale wtrącił się Kosar.

– Jeżeli rzeczywiście fledż daje mu umiejętność jasnowidzenia, to może nam pomóc, Nadziejo. A jeżeli chce pomóc, pozwoliłbym mu jechać z nami. Jestem tylko cholernym złodziejem, nie wiem, co tu się dzieje. Nie możemy odmówić oferowanej pomocy.

– Pomocy, by dać się złapać – mruknęła Nadzieja.

Kosar wstał, delikatnie kładąc głowę A’Meer na zniszczonych kocach. Podszedł do Nadziei, wycierając z dłoni krew Shantasi.

– Dokąd zamierzasz pójść? – spytał. – W którą stronę ruszysz, gdy nadejdzie świt? Na południe, w kierunku Kang Kang? A może na północny zachód do Długiego Marrakashu, licząc na to, że Książę może tam będzie i może zdoła ochronić nas przed Mnichami?

– Nie wiem – przyznała Nadzieja. – Ale teraz mamy jego! On nas ochroni.

Rafe odwrócił się, słysząc podniesione głosy. Mocniej otulił się kocem i znowu zaczął patrzeć na deszcz.

– Jest bardziej przerażony od nas – szepnął Kosar. – Wszyscy wiemy, co, jak nam się wydaje, widzieliśmy ubiegłej nocy.

– Magię!

– Tak. Tak sądzimy. Ale nawet Rafe boi się tego i wszystkiego, co się wokół niego dzieje. Być może usunął truciznę z żył A'Meer, ale nie sądzę, aby już potrafił nam pomóc. Uważam, że nadal to my musimy pomagać jemu. Jeżeli ma dar czy dostęp do magii, to go niszczy. W jego obecności zamordowano mu rodziców. Wiesz o tym, Nadziejo?

– Nie byli jego prawdziwymi rodzicami – odparła. Skrzywiła się i spojrzała na fledżera. – Możesz to teraz zrobić?

– Tak. – Sięgnął do torby, nie pozwalając Alishii zsunąć się z jego kolan. – Masz ochotę przyłączyć się do mnie? – zapytał.

– Chyba nie. – Nadzieja usiadła naprzeciwko Treya i obserwowała, jak wyjmuje z torby kawałek fledżu. – Posiedzę sobie i popatrzę.

* * *

Naksy mogą czekać. Weźmie fledż, opuści swoje ciało i jaskinię, będzie szukał na wzgórzach i w płytkich dolinach Czerwonych Mnichów... a może znaleźć Naksy. Dotknąć ich umysłów. Odkryć prawdę, że to jego szukają, zawsze jego.

Ale to było szaleństwo wywołane przez kilka minionych straszliwych dni i sytuację, w której się znalazł. Krył się przed deszczem, którego nigdy dotąd nie widział – w towarzystwie ludzi, których nigdy nawet nie powinien był poznać. A na jego kolanach leżała, drżąc i mamrocząc niezrozumiale, nieznajoma, która ocaliła mu życie. Przede wszystkim dla niej Trey starał się zracjonalizować swój lęk przed Naksami, posłużyć się logiką, a nie ulegać przerażeniu. Odgryzł pierwszy kęs fledżu.

Poczuł stęchły smak zewnętrznej warstwy. Powietrze rozpoczęło proces rozkładu, ale żuł dalej i w końcu znalazł w głębi fledżu słodkie, suche ciepło. Natychmiast przypomniało mu dom. Przywołało wspomnienia jedzenia gotowanego przez matkę, ordynarnych śmiechów górników w czasie przerwy, śpiewów dobiegających z dna jaskini. Lufera i jego kukielkowego przedstawienia, Sondy uśmiechającej się do niego i odwracającej wzrok, zawsze odwracającej wzrok. Trey dał się ogarnąć wrażeniom. Szum ulewy na zewnątrz jaskini zmienił się w ryk podziemnej rzeki, przyptywającej nie wiadomo skąd i znikającej w miejscach, których nigdy nie pozna. Zapach deszczu był chłodną mgiełką wodnego pyłu z rzeki płynącej głęboko pod ziemią. A ciężar spoczywającej na jego kolanach głowy Alishii, ciepło jej ciała przy jego udzie były snem o Sondzie, marzeniem, które nigdy nie miało szansy się spełnić.

Robił to, żeby pomóc, ale również próbował uciec. Prawda, którą poznał w minionych dniach, była zbyt straszna. Być może uciekał tam, gdzie już znalazła się Alishia. Miał nadzieję, że odnajdzie drogę powrotną.

Fledż zaczął działać, a Trey pozwolił umysłowi wędrować. Gdy narkotyk przenikał do

jego żył, umysł początkowo wyteżał się, wędrując na kraniec świadomości, wciąż związany z fizycznością, jak wolny duch, który pragnie odlecieć. Fledź powoli rozpuszczał więzy łączące go z ciałem, kośćmi i krwią, aż wreszcie oderwał się, odpłynął, tylko raz oglądając się za siebie.

Alishia zdawała się go obserwować. Oczy miała rozszerzone i przerażone, błyskające przy najdelikatniejszym ruchu, usta szeroko otwarte, jakby chciała krzyknąć, ale nie była w stanie. Sięgnął, próbując dotknąć jej umysłu, i odrzuciło go.

Tak poszarpany, tak rozdarty, tak zmaltretowany! Jej umysł tam był. Ona też wyczuwała jego obecność, wiedziała o niej, ponieważ wgląd w siebie był jedyną rzeczą, która jej pozostała. Jej świadomość została rozbita i zniszczona, mosty psychiczne używane do przechodzenia od czystej duchowości do myśli spalone przez coś już nieobecnego. Trey natężył się i wysłał dodające otuchy myśli, usiłując uspokoić Alishię, bez względu na to, gdzie mogła się ukrywać. Jej umysł był miejscem o wiele głębszym, rozleglejszym i bardziej złożonym niż wszystkie inne, z jakimi do tej pory się zetknął, a światełko jej istnienia przypominało świeczkę na wielkim nocnym niebie – maleńką, kołyszącą się i prawie niewidoczną.

Podążył dalej, przechodząc nad przepaściami. Ocaliła mnie, myślał. Przekraczał czeluście, które mogły doprowadzić go do szaleństwa, gdyby w nie spojrzął lub spróbował sondować swoimi zmysłami. Ocaliła mnie.

Aż nagle odnalazł Alishię, kryjącą się za szczątkami swojego intelektu.

Odeszło? Czy odeszło? Jestem sama? Czy powróci?

Alishio, to ja.

Odeszło? Jest obrzydliwe, cuchnie, rani, czy odeszło? Czy powróci?

Alishio, Rafe jest dobrym człowiekiem, nie krzywdzi. Ma w sobie magię, prawdziwą magię!

Nie on, to. Czy to odeszło? Tak bardzo rani, dotyk pali i zabija mnie, zabija części mnie, o których istnieniu nie wiedziałam. Czy odeszło, Trey? Czy wróci? Wróci?

Alishio...

Ale tracił ją, rozpraszała się, uciekała i kryła znowu, jeszcze głębiej niż kiedykolwiek mógłby dotrzeć. Jej głos brzmiał jak u małej dziewczynki, bojącej się ciemności i pochłoniętej przez nią.

Trey wycofał się, panując nad swoimi zmysłami, dopóki nie znalazł się poza jej umysłem i stał się znowu jedynie obserwatorem. Zobaczył własne ciało oparte bezwładnie o ścianę jaskini. Alishia dygotała na jego kolanach i przynajmniej teraz miała zamknięte oczy.

Może jego obecność przyniosła jej trochę otuchy.

A może właśnie umierała.

Trey odsunął się szybko i minął Rafe'a, nie poddając się pokusie nawiązania kontaktu. Był przerażony tym, co mógłby znaleźć w jego umyśle. Chłopak wpatrywał się w deszcz, od

czasu do czasu wyciągając rękę, aby dotknąć ściany wody spływającej w wejściu do jaskini, badając ją, przebijając, jakby była tarczą pomiędzy dwoma światami.

Trey ruszył dalej, poza jaskinię, w rozplakane niebo. Przestrzeń otworzyła się wokół niego i natychmiast poczuł się wolny, wirował, unosił się nad ziemią, wyostrowając zmysły, zadowolony, że nikogo nie ma w pobliżu. W każdym razie ludzi. Czaszkokruki siedziały, skrzecząc, na rosnących dalej drzewach, i umilkły pod jego dotykiem. Stado górskich kóz gryzło mokrą trawę. Daleko na wzgórzu wtulony między rumowiska skalne tocznik dygotał i drżał na deszczu. Trey ominął dużym łukiem jego mnogie, schwymane umysły. Wszystkie krzyczały i nie miał ochoty dowiadywać się, dlaczego.

Wyruszył w kierunku Pavisse, lecąc pomiędzy małymi dolinami i niskimi wzgórzami. Nurkując w kępy drzew, odnalazł kilka budynków, w których skulone przy ogniu rodziny kryły się przed deszczem i mrokiem. Przelotnie dotknął kilku umysłów, ale nie znalazł w nich niczego ciekawego. Niewiele zainteresowałoby nawet je same – były smutne i puste, pozbawione nadziei. Skupiały się jedynie na zwykłej egzystencji. Żaden nie sięgał dalej niż do poranka, kiedy nadejdzie pora dojenia owcolop, okopywania upraw i sadzenia roślin, czyszczenia rowów i naprawy płotów...

Wolność upajała go i zaczynał się zastanawiać, jak daleko byłby w stanie wysłać swój umysł. Pod ziemią warstwy skał ograniczały jego badania, ale zastanawiał się także, czy jego własne horyzonty nie zostały zbyt ograniczone. Nigdy nie kusiło go, aby wznieść się ponad powierzchnię i zobaczyć jak tam jest, chociaż pewnie zawsze miał taką możliwość. Jako górnik, często zastanawiał się, czy kiedyś nie wyjechać na powierzchnię. Ale jako użytkownik fledżu, nigdy nie miał ochoty w pełni wykorzystać uzyskiwanych dzięki niemu możliwości. Ograniczał się do wywołujących poczucie winy wypadów pod okno sypialni Sondy. Teraz już wiedział, że granice, które sobie wyznaczył, były za ciasne. Dopiero katastrofa, jaką był atak Naksów, otworzyła jego umysł.

Nagle coś pojawiło się w oddali, coś potężnego i mniej ludzkiego. Trey opadł bliżej ziemi, wyłączając swoje sondujące zmysły i ukrywając się równie skutecznie, jak kropla deszczu w ulewie. Zanim ta istota zbliży się do niego, upłynie nieco czasu. Smakował więc na razie deszcz, czuł, jak uderza o ziemię, a krople wylatują w górę wymieszane z błotem. Była to letnia burza, ciepła i pożądana, ale niosła zapowiedź jesieni, zapach martwych liści i nagich drzew. Świat się zmieniał i nawet deszcz o tym świadczył.

Istota dotarła bliżej i Trey nie musiał do niej sięgać, by wiedzieć, że to Czerwony Mnich. Wyczuwał to z odległości, widział, słyszał, czuł, jak końskie kopyta wstrząsają ziemią. Mnich jechał w siodle pochylony, jakby był ranny, ale Trey pomyślał, że zapewne próbuje tropić, szuka śladów stóp lub kopyt odcisniętych w błocie i glinie. Fledżer opadł na ziemię, zlewając się z nią, kryjąc, a kiedy koń go mijał, czuł wokół siebie drżenie gruntu. Skulił się, sprawiając, że jego umysł stał się niedostrzegalnym punkcikiem. Mnich się nie zatrzymał. Nawet nie wyczuł Treya.

Fledźer odczekał kilka minut, zanim znowu wzbil się w otwartą przestrzeń. Deszcz był jeszcze silniejszy niż przedtem. Musiał wrócić do jaskini. Znajdowała się dość daleko, ale Mnich dotrze do niej przed świtem.

Trey skręcił daleko na południe, aby mieć pewność, że nie znajdzie się zbyt blisko Mnicha. Jego umysł wydawał się obrzydliwy i nie miał ochoty go dotykać. Przeleciał nisko doliną, wśliznął do jeziora na jej dnie, przemknął obok ryb i innych istot pływających w głębinach, uważając, by ich nie dotknąć. Woda była czarna i na dużej głębokości zaczynała zamarzać. Tam, gdzie gęstniała, szamotały się jakieś kształty. Trey zanurzył się głębiej i wyczuł jeszcze więcej istot, dużych i małych, zamrożonych na kamień.

Wynurzył się i leciał dalej przez niebo. Przynajmniej tutaj deszcz zmywał rzeczy, których nie powinno być.

* * *

– Niedaleko – powiedział Trey. – Godzina, jeżeli będzie jechał szybko.

– Na naszym tropie? – spytał Kosar.

– Być może. Wypatrywał czegoś na ziemi.

– Musimy jechać.

Trey wstał i otulił Alishę w koce, wycierając łzy z jej policzków. Pamiętał jej głos, ten smutny głos zagubiony w głębi jej umysłu. Czy to odeszło, Trey? Czy powróci?

– Nie pozwolę mu wrócić – szepnął, wierząc, że jakoś usłyszy jego słowa i że przyniosą jej ukojenie.

– Co to było? – spytała Nadzieja.

Trey zerknął na wiedźmę i pokręcił głową, odwracając wzrok. Przeraziła go.

Nagle pojawił się Rafe i stanął nad nim i Alishą.

– Co się z nią dzieje? – zapytał. – Dotknąłeś jej umysłu?

– Ledwie. Został zepchnięty zbyt głęboko. Już prawie nie jest sobą. – Spojrzał gniewnie na Rafe'a, obwiniając za to, co się stało, wiejskiego chłopaka i magię, której użył. Przeraził Alishę niemal na śmierć. Dziewczyna, która czytała tak wiele i widziała tak mało, nagle została narażona na coś takiego, doprowadzona do szaleństwa...

– A kim właściwie była? – rozległ się głos w głębi jaskini. Trey odwrócił się i zobaczył, jak A'Meer siada, trzymając się jedną ręką za głowę, a drugą za łokieć.

– Nie wiem – odparł Trey, przypominając sobie więcej szczegóły swojej podróży, więcej słów, które Alisha mamrotała w głębinach swojego umysłu. – Ale boi się, że coś powróci.

– Niby co? – powiedział Kosar. – Nic nie wiem o tej dziewczynie. Jest normalna?

– To bibliotekarka – wyjaśnił Trey. – Po raz pierwszy wyjechała z Noreeli.

– Szachruje – oświadczyła Nadzieja. – Z jakichś tylko sobie znanych powodów udaje, że śpi. Może ukradła ci trochę fledżu, górnika? A może nawet prowadzi do nas Mnichów?

– Nie! – zaprotestował Trey. Strach przed wiedźmą podsycił jego gniew. – Jest dobra. Coś pomieszało jej umysł i jest przerażona.

– Dlaczego więc odeszła właśnie teraz? – spytała A’Meer. Wszyscy odwrócili się w jej stronę. – I dokąd? Zaczęła być taka dopiero, kiedy Rafe... kiedy mnie dotknął. Wszyscy czuliśmy, co się wtedy wydarzyło, wszyscy wiemy, co to było, ale dlaczego miałyby doprowadzić dziewczynę do szaleństwa?

Nikt nie potrafił odpowiedzieć. W jaskini zapadła pełna napięcia cisza.

– Cóż, przestraszyłem się jak cholera – szepnął w końcu Kosar.

– W niej coś było – stwierdził Trey. – Widziałem pustkę, jaką pozostawiło, blizny na jej umyśle. Były ogromne.

– Coś opuściło jej umysł, kiedy zobaczyło magię – odezwała się Nadzieja, patrząc na Rafe’a. – Chłopak zrobił to czego, jak sądził, nie potrafił, a coś uciekło z umysłu Alishii.

– Mówisz tak, jakbyś miała do mnie pretensję – powiedział Rafe.

– Mam pretensję, że nigdy nie wierzyłeś.

– Magowie – wtrąciła A’Meer.

Głowy odwróciły się. Nikt się nie odezwał, a plusk deszczu podkreślał ich niedowierzanie.

– Być może zwietrzyli, co się dzieje. W jakiś sposób dowiedzieli się, że magia powraca. Mają tu swoich szpiegów; mieli ich od chwili, gdy odeszli; którzy zbierają informacje, przekazują wiadomości, starają się uprzyjemnić im wygnanie opowieściami o tym, jak kraj podupada. Może usłyszeli, że Czerwoni Mnisi przystąpili do działania. Mają dostęp do rzeczy i spraw, jakiego nie ma większość ludzi. Nadziejo, oni posiadają twoją wiedzę tajemną i o wiele, wiele więcej.

– Ale przecież uciekli na północ, daleko za Grzbiet – zdziwił się Kosar.

– Żeby dotrzeć tak daleko, trzeba by podróżować parę księżyców.

– Jak powiedziałam, Kosarze, mają dostęp do spraw i rzeczy. Treyu, czy przed chwilą musiałeś biec, żeby powiedzieć nam o Mniechu? Nie. Dlaczego więc szpiegował Magów mieliby to robić?

– Ale w takim razie co?... – zdziwił się Kosar.

A’Meer wyprostowała się powoli, krzywiąc się, gdy jej posiniaczone i poobijane ciało protestowało.

– Ciebie – powiedziała. – W czasie swojego panowania posiadli sztukę kontrolowania zranionych cieni. Kto może powiedzieć, czy nadal nie mają na nie jakiegoś wpływu?

– Ale to magia – zaprotestowała Nadzieja. – A nie ma magii! – Zerknęła na Rafe’a i odwróciła wzrok.

– To wcale nie musi być magia. Otrzymałam od ciebie wiadomość, prawda?

– Przez czaszkokruka, ale przecież to było tylko...

– Porozumienie – dokończyła za nią A’Meer. – Coś może być możliwe, choć tego nie

rozumiemy. Nie przypisuj wszystkiego, czego nie rozumiesz, magii.

– Ale co z Alishią? – spytał Trey. – Co możemy dla niej zrobić?

– Nie wiem. – A’Meer pokręciła głową. – Ale musimy przyjąć, że magowie wkrótce dowiedzą się, co widziała ta rzecz w jej umyśle. I jak wszyscy wiemy, będą chcieli zdobyć to, co ma Rafe.

– Wcale tego nie chcę! – krzyknął Rafe. – Jeżeli o mnie chodzi, mogą sobie to zabrać.

– A co z nią? – Trey powtórzył pytanie. Nie zwracali na niego uwagi. A o niej zapomnieli.

– To jest bezcenne, Rafe – oburzyła się Nadzieja.

– Co z was za ludzie? – oburzył się Trey. Alishia zadrżała, wymamrotała coś niezrozumiałego. – Jak macie zamiar pomóc...

– A kim wy jesteście? – odparła Nadzieja. – Górnik, kopacz fledżu, który najwyraźniej nigdy dotąd nie był na powierzchni, i dziwna kobieta, która być może zdradziła nas Magom.

– Nie zdradziła nas! To zrobiło coś, co było w jej umyśle.

– Może zawsze tam tkwiło. Widać nie była osobą, za jaką ją uważałeś.

– Pomogła mi!

Nadzieja spojrzała na leżącą Alishię.

– Pozwólmy jej umrzeć.

– Ty suko! – Trey wciąż czuł, że fledż go unosi, usiłuje oderwać od tej sceny i ponieść daleko, w górę, na wolność. Ale pokonał pragnienie i popatrzył na Alishię, odrzucając ziarno wątpliwości., jakie słowa Nadziei zasiały w jego umyśle.

– Nie wiemy, kim jest – powiedziała Nadzieja. – Nie wiemy, kto, dlaczego i kiedy ją posłał, i co ta dziewczyna jeszcze zrobi. A skoro o tym mowa, jego też nie znamy! – Wskazała palcem Treya i ruszyła w jego stronę. Cofnął się, przerażony widokiem tatuaży, wyglądających jakby poruszały się i wiły na jej twarzy.

– Musimy odjechać i to szybko – odezwała się zmęczonym głosem A’Meer. – Możemy porozmawiać o tym, kiedy będziemy już daleko, ale nie jestem w stanie uporać się z następnym Mnichem.

– A kim ty jesteś? – Nadzieja odwróciła się w stronę rannej. – Shantasi! A Shantasi są równie godni zaufania jak notoryczni kłamcy. Kto może zapewnić, że nie jesteś tutaj, żeby ukraść dar Rafe’a dla swoich braci niewolników?

– Walczyła z Czerwonym Mnichem, żebyście mogli uciec! – krzyknął Kosar.

– I pokonała go? – Nadzieja gwałtownie uniosła ręce do góry. – Nikt nie może pokonać Czerwonego Mnicha. Pozwolili jej zwyciężyć, żeby nas oszukać. Zapewne zbliżają się teraz, gotowi zdusić jedyny płomyk nadziei, jaki ta kraina widziała do wieków! – Stała odwrócona plecami do Rafe’a, rozkrzyżowała ręce, jakby chciała odeprzeć atak wszystkich obecnych w jaskini.

– Nie, Nadziejo – odezwał się Rafe. Mówił cicho, ale w jego głosie była władczość kogoś

o wiele starszego. – Żadnych walk. Żadnych sporów. Nie znamy się nawzajem, ale jesteście tu z określonego powodu. – Zamknął oczy, odetchnął głęboko i westchnął. Było to długie, rozdzierające serce westchnienie. – Jesteście tu wszyscy z mojego powodu. I chociaż nigdy tego nie pragnąłem, jakaś część mnie prosi, abyście mnie chronili, jak tylko możecie.

Rafe słuchał klótni. Paranoja Nadziei, troska Treya o nieprzytomną dziewczynę. Złodziej Kosar sprzymierzony z wojowniczką Shantasi, która zapewniła im czas na ucieczkę i niemal przy tym zginęła.

Uzdrowiłem ją, pomyślał. Dotknąłem jej i usunąłem truciznę z jej krwi, ale nie dzięki fizycznemu procesowi. Zatruta krew nie została nigdzie przeniesiona. Trucizna po prostu przestała istnieć. Uczyniłem to.

Na zewnątrz deszcz padał gwałtownie i każde uderzenie kropli było jak szept w jego uszach. Przekazywana wiedza i fakty dawno temu zapomniane i spalone, nowe niesamowite prawdy powstające z popiołów. Ta jaskinia, zwykle wgłębienie w ziemi, dla Rafe'a stawała się cudownym miejscem. Miał wrażenie, że każda szczelina w skale, każda kropla, każde źdźbło trawy uginające się pod ciężarem wody wiedzą więcej, niż on kiedykolwiek pojmował. Wokół niego była moc pragnąca się uwolnić. Było to przerażające, ale uczyło pokory – moc oddawała mu się powoli, zatrzymując się po każdym kroku, błagając go: „Bądź ostrożny, bądź ostrożny”. Ta moc go przerażała i budziła podziw.

Ludzie w jaskini spoglądali na niego, mrugali, zaskoczeni tym co powiedział, a każdy z nich uważał, że w jakiś sposób ma rację. Ale nie mylili się co do jednego – magia oddychała znowu i to on, Rafe, dał jej tę możliwość. Ale było tak wiele rzeczy, o których nie mieli pojęcia.

– Jestem słaby – oświadczył Rafe. – W następnym księżycu będę miał osiemnaście lat. Jestem wieśniakiem i nie potrafię walczyć. Nigdy nie musiałem walczyć z nikim, poza chłopcami w wiosce. Nie wiem, jak bronić się przed Czerwonym Mniczem, który chce mnie zabić z powodu tego, co zaczęło się we mnie.

– A co to takiego? – spytał Kosar.

– Magia – odparł Rafe. – Potężna, pełna mocy, ale również bezbronna. Jest we mnie, dojrzeła i polega na mnie, że będę ją dźwigał. Przygotowuje sama siebie i mnie na to, czym się stanie.

W jaskini panowała cisza. Słuchano go z podziwem. Nawet Alishia jakby wyczuła znaczenie tej chwili i przestała mamrotać.

– Wyleczyłeś mnie – powiedziała A'Meer.

– Dotknąłem cię i magia wlała się we mnie. Ja tylko nią pokierowałem. Mam wrażenie, że było to... działanie w dobrej wierze.

– Przekupstwo? – spytała Nadzieja.

– Dar – odparł Rafe. – Ma wielką cenę i ja też będę prosił was o wiele. Taka przysługa musi zostać nagrodzona.

– A więc co otrzymamy? – oznajmiła Nadzieja. – Co dostanie fledżer? Czym za swoje oddanie zostanie wynagrodzony złodziej?

Rafe wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

– Jeszcze ci nie powiedziała?

Rafe ponownie wzruszył ramionami, ale się nie odezwał.

– A co ja otrzymam? – nalegała Nadzieja. – Czekałam całe życie, co więc otrzymam?

W umyśle Rafe'a pojawił się zamęt, krótkotrwały, lecz gwałtowny i przez niecałe uderzenie serca w cierpkim zapachu deszczu czuć było woń krwi. Zamknął oczy, ale zobaczył to samo.

– Cierpienie – odpowiedział. – Jeżeli mi się przeciwstawisz, będziesz cierpieła.

Nigdy nie mógłby wypowiedzieć tych słów, a jednak to zrobił. Wszyscy w jaskini powinni byli go wyśmiać, a jednak się nie śmiali.

Przekonał ich. A głosy w jego głowie westchnęły z zadowoleniem i zaczęły mu mówić jeszcze więcej.

* * *

Kiedy opuścili jaskinię, Kosar zorientował się, że wiele się już zmieniło. Deszcz smagał, zmywając z jego ciała stary brud, odświeżając go, przygotowując na to, co zdarzy się w przyszłości. Wyciągnął dłonie i trzymał je wnętrzem ku górze. Chociaż rany na czubkach palców piekły nadal, ból był mniejszy niż poprzednio. Ulewa oczyszczała je z pyłu i brudu, zmywała przeszłość. Nie cierpiał fałszywej dumy, ale po raz pierwszy od wielu lat miał jakiś cel.

A'Meer siedziała na koniu i nie była już przywiązana do siodła. Wciąż kuliła się z bólu, wyczerpana działaniem trucizny. Ale kiedy patrzyła na niego, jej oczy błyszczały, skrzyły się podnieceniem i Kosar poczuł się zachwycony, że są znowu razem. W jakiś sposób każda inna sytuacja wydawała się nie do pomyślenia. Być może to zawsze była ich przyszłość.

Być może pokierowano nim w ten sposób.

Kosar wyrzucił tę myśl z głowy. Wbił spojrzenie w ziemię i pozwolił koniowi rozdeptywać ją na błoto. Nie miał ochoty wyobrazać sobie, że coś kieruje jego działaniami i życiem.

Ale oczy A'Meer mówiły co innego. Chociaż nadal było ciemno, widział, jak na niego patrzy. Poczucie znaczenia emanowało od niej jak silny aromat. Nigdy nie uważał, że A'Meer działa bez głębszego powodu – była na to zbyt silna, zbyt inteligentna – ale uświadomił sobie, że w porównaniu z tą chwilą zawsze dawała się ponieść wydarzeniom. Teraz, chociaż była ranna, słaba i narażona na niebezpieczeństwa, widać było siłę jej nowego przekonania. Znalazła swój prawdziwy cel.

Takie poczucie przynależności budziło trwogę. Przerażało Kosara do głębi. Ale mimo to nie mógł zaprzeczyć, że czuł się z nim dobrze.

Pakując rzeczy, rozmawiali, dokąd powinni się skierować. Na północy znajdowały się Równiny Cantrass, Grzbiet, Długi Marrakash. W kraju krążyły plotki, że tam przebywa obecnie Książę, może nie w ukryciu, ale pogrążony w apatii i niczym niezainteresowany. Jego lud już go nie chciał ani nie potrzebował – Noreela stała się zbyt podzielona, zbyt feudalna – ale niektórzy na północy wciąż uznawali jego władzę. Kosar sugerował, by skontaktowali się z Księciem i błagali o ochronę jego armii. Lepiej mieć po swojej stronie tysiąc wojowników niż jedną wiedźmę, złodzieja, górnika fledżu, umierającą kobietę i ranną Shantasi. Nadzieja zgodziła się z nim, choć niechętnie. Rafe milczał. Przyglądał się, jak dyskutują o jego bezpieczeństwie. Sprawiał wrażenie, jakby złożył swój los w ich ręce i teraz ich obowiązkiem jest starać się jak najlepiej.

Ale na północy, zauważyła A'Meer, są również Magowie. Uciekli trzy wieki temu, może nie żyją, może osłabli albo oszaleli na wygnaniu. Większość ich armii odeszła razem z nimi, ale teraz ich żołnierze od dawna nie żyją, są szkieletami w zbrojach. Ale mimo to A'Meer uparcie twierdziła, że Magowie mogliby spróbować coś zrobić. Tak długo byli z nią tak blisko, powiedziała. Spaczona magia, którą stworzyli, musiała na nich wpłynąć. A jeżeli żyją, nie pragną niczego poza zemstą.

Wszyscy znali armię Księcia i wiedzieli, co się z nią stało. Jej resztki były rozproszone po całym kraju i utworzyły milicję, miejscowe siły porządkowe, które w niewielkiej liczbie wydawały się nawet dość skuteczne, ale w miejscach takich, jak Pavisse i Noreela, stały się raczej sprawcami przestępstw niż stróżami prawa. Nadzór był dobrą rzeczą, ale nieograniczona władza rodziła chciwość.

Ostatecznie zgodzili się pojechać na południe. Setki kilometrów dalej znajdowało się Kang Kang, miejsce niedaleko którego Kosar kiedyś przejeżdżał, ale którego nie miał ochoty odwiedzać ponownie. Kang Kang był nieznanym obszarem, krainą legend, źródłem opowieści, którymi straszono dzieci i dorosłych. Wiele mówiono o jego górach i dolinach i jeżeli choćby połowa z tego była prawdą, lepiej unikać tych terenów.

Ale Kosar nie przypuszczał, by Kang Kang był ich celem. A'Meer jeszcze o tym nie wspominała, ale coś w niej wyczuwał – nową niecierpliwość przebijającą się przez ból i zmęczenie. W Pavisse całkiem wyraźnie przedstawiła mu swoją misję i poparła swoje słowa, zabijając Czerwonego Mnicha – była tu, aby chronić Rafe'a. Mogła chętnie umrzeć, realizując ten cel, ale był pewien, że wolała inne rozwiązanie. Chciała zabrać go do domu. Chciała udać się do Nowego Shanti.

* * *

Nadzieja szła tuż przy koniu Rafe'a. Jej miejsce było u boku chłopca i nie miała zamiaru

go opuścić. Pierwsza go odnalazła, dostrzegła jego potencjał, wyczuła rodzącą się w nim magię i teraz uważała się za jego opiekunkę. Wydorósł w czasie tych kilku dni, od kiedy znalazła go skulonego w bramie w Pavisse, ale potrzeba chronienia go pozostała. I zamierzała pozostać przy nim aż do końca, bez względu na to, co ten koniec mógł przynieść.

Czuła dumę z siebie i ze swojego rodowodu. Od pokoleń w jej rodzinie były wiedźmy, a teraz ona szła przez paskudną noc, a na koniu obok niej znajdowało się źródło nowej magii. Wydawało się, że chłopak śpi, ale Nadzieja przypuszczała, że spoglądając na dłonie trzymające wodze, jedynie porządkuje swoje myśli, patrzy wewnątrz siebie, a nie na zewnątrz.

Co by dała, żeby być tam razem z nim. Co by zrobiła, by móc tylko rzucić okiem.

Zerknęła do tyłu na górnika i pogrążoną w śpiączce kobietę. Prowadził konia, bez przerwy spoglądając do tyłu, aby upewnić się, że nie ześliznęła się z siodła. Był to jeden z koni zakupionych przez Nadzieję na folwarku i nawet w tę chłodną, wilgotną noc ciekła mu z pyska piana, parskał, pozostawał w tyle. Wkrótce będzie martwy. Być może dziewczyna także.

Nadzieja nie potrafiła poczuć zaufania do kogoś, kogo nie znała. Wynikało to z jej całego życia wiedźmy. Byli ludzie, którzy wciąż bali się wiedźmy, ale zdecydowana większość dobrze wiedziała, że jest oszustką. W dawnych czasach wiedźmy używały magii, naginając ją do swoich potrzeb i pozwalając jej się zmieniać, modelując niczym glinę. Od czasów Wojny-Katastrofy wiedźma była jedynie cieniem swoich przodków, uzurpatorką pławiącą się w blaskach dawnej chwały albo ukrywającą za otoczką legend. Dla niektórych przerażająca swoim szaleństwem. Dla innych – żaloszna. Nadzieja była zarazem wiedźmą i dziwką i dawała podwójny powód, by jej nienawidzić.

Nadzieja zawsze była samodzielną kobietą – paradoksalne, że dzieliła swoje łóżko z tak wieloma mężczyznami – i teraz bardziej niż kiedykolwiek czuła się wycofana i zamknięta w sobie, pragnęła ukryć się przed obcymi, z którymi połączyły ją okoliczności. Nigdy dotąd nie napotkała na powierzchni górnika fledżu, któremu można było zaufać. Zawsze pożąдали świeżego narkotyku, kombinowali, oszukiwali i kłamali w próżnej nadziei, że zdołają go zdobyć bez konieczności powrotu pod ziemię. Wiedzieli tak mało o krajach, w których mieli ochotę żyć. Ich wiedza ograniczała się do jaskiń, ciemności, która ukrywała tysiąclecia wspomnień. Ta wiedza w połączeniu z ich swoistymi mitami – zrodzonymi z nieustannej ciemności, straszliwego ciśnienia otaczającego ich świata – sprawiała, że w najlepszym przypadku byli niesolidni, a w najgorszym okazywali się świadomymi oszustami.

Poza tym był Kosar, napiętnowany złodziej. Sprawiał dziwne wrażenie. Choć nie był tak stary jak ona, miał doświadczenie, wiele podróżywał, a mimo to w towarzystwie jej samej lub A'Meer okazywał się niemal naiwny. Wyglądało na to, że odrzuca wiedzę, z którą musiał się zetknąć, wędrując wiele lat po różnych krajach, rezygnuje z niej w zamian za możliwość prowadzenia prostszego życia. Jego palce krwawiły, obwiązywał je paskami oderwanego

materiału, ale ani razu nie zapytał Nadziei, czy wie, w jaki sposób go uleczyć. A przecież takie sposoby były – właściwie zastosowana Nemezis Willmotta zmniejszyłaby ból i po jakimś czasie zagoiła rany – i chociaż Nadzieja nie miała jej ze sobą, roślinę nietrudno było znaleźć. Ale ponieważ nie pytał, nie miała zamiaru proponować leczenia. Wołała, żeby pozostał w takim stanie, w jakim był. Złodziejstwo nie było wprawdzie powodem, by mu nie ufała, ale jego związek z Shantasi owszem.

Najmniej ufała Shantasi, która wiedziała tak wiele. Wiedźma pragnęła wierzyć, że nie powoduje nią zazdrość, ale zdawała sobie sprawę, że ma ona w tym pewien udział. Nadzieja znalazła Rafe'a, ale to A'Meer walczyła i niemal za niego zginęła. Była wojowniczką, lecz najwyraźniej wiedziała więcej o Magach i ich metodach niż ktokolwiek z towarzyszy Rafe'a. Nie zaskakiwało to Nadziei, ale gdzieś w głębi, w zwierzęcej części jej umysłu, w której rozsądek ustępował przed instynktem, czuła gniew. Zbliżało ją to jeszcze bardziej do Rafe'a, i jeżeli pojawiło się w jej głowie prymitywne poczucie własności, niech będzie i tak.

Niewiele wiedziała o Shantasi. Niektórzy twierdzili, że ich znają, że mają wiedzę o ich pochodzeniu i historii, ale niemal zawsze byli w błędzie. Nadzieja słyszała wiele nieprawdziwych pogłosek, bajek tak przesadnych i niewiarygodnych, że można je było bez namysłu odrzucić. Były też pełne przerażenia szeptu mężczyzn w jej łóżku – kupców, rolników, milicjantów i najemników – twierdzących, że poznali tajemnice Shantasi. Doskonale pamiętała jednego, który prawie się rozplakał, mówiąc, że dotarł niemal do Nowego Shanti, ale zawrócił nękany przez widma i upiory zbyt gwałtowne, zbyt prawdziwe, by mogły być martwe. Podobno ścigały go przez wiele dni i bez względu na to, jak wolno czy szybko się poruszał, duchy wciąż były tuż za nim, atakując, nie dając mu ani chwili spokoju, dopóki nie znalazł się na pustyni Pol'Steria. Tutaj pościg się zakończył, on jednak uciekał nadal. Biegł tak długo, aż palce u nóg zaczęły się rozpadać i nawet uniósł stopę, aby jej to udowodnić.

Nadzieja uśmiechnęła się łagodnie, kiwnęła głową. Znała wywary i sposoby oddziaływania, które u człowieka o słabym umyśle wywołują wrażenie, że jest ścigany. Była to opowieść, którą już słyszała.

Wtedy mężczyzna przestał mówić i spojrzał na nią, wyczuwając jej niewiarę. Odwrócił się na brzuch i pokazał rany na plecach. Były to zaschnięte cięcia, bruzdy w skórze, ciągnące się od ramion do pośladków – niektóre głębokie, inne przypominające tylko cienie na naskórku. Ślady po duchach Shantasi, powiedział. Leżał tak i Nadzieja aż do poranka obserwowała śpiącego.

A'Meer miała w sobie zbyt wiele z Shantasi, by Nadzieja mogła jej zaufać. Pojawiła się znikąd, zwabiona przez Rafe'a i jego budzący się dar i bez żadnych wyjaśnień przysięgła go bronić, pomóc mu uciec przed tymi, którzy chcieli go zniszczyć. Fakt, że zarówno A'Meer, jak i Nadzieja chciały chronić Rafe'a, nie oznaczał, iż są po tej samej stronie. W rzeczy samej kwestia lojalności wydawała się w najlepszym wypadku niepewna, ponieważ było tak wiele

celów i pragnień do zrealizowania. Być może chciała przekazać chłopaka swojemu ludowi. Wielu wierzyło, że byli to niewolnicy przywiezieni na Noreelę przed tysiącami lat. Być może magia mogłaby im pomóc w od dawna upragnionej zemście.

Tak więc Nadzieja trzymała się blisko Rafe'a i jego konia. Głaskała bok zwierzęcia, jakby chciała okazać mu swoją przyjaźń. Wkrótce, jeżeli sprawy ułożą się nie po jej myśli, jego szybkie nogi mogą pomóc im uciec.

21

Jossua Elmantoz był starym człowiekiem i czekał od dawna, od bardzo dawna. Kiedy więc nadeszła wiadomość, że Nax żąda posłuchania, jego pierwszą reakcją była konsternacja. Którą szybko zastąpił strach.

* * *

Przed Wojną-Katastrofą klasztor należał do Magów. Teraz, kiedy szedł wolno przez jego ukryte głębiny, przez mrok, który nigdy nie widział światła słonecznego, przez jamy i jaskinie wiecznej nocy, Jossua ponownie poczuł ich wpływ.

Był jedynym pozostałym przy życiu Czerwonym Mniczem, który walczył w Wojnie. Po raz pierwszy zetknął się z Magami i ich wojskami niedaleko stąd, w czasie bitwy nad jeziorem Denyach, w Roku Czerni 1913. Był wtedy młodym człowiekiem, pogańskim kapłanem nowicjuszem, żarliwie pragnącym, by pokonano Magów i natura wróciła do swojego właściwego stanu. Młodym, zadziornym, ale również przestraszonym. W tym czasie wszyscy w Noreeli byli przerażeni. Magowie od kilku lat zajmowali się przeciwnymi naturze manipulacjami magią i z ich twierdzy nad jeziorem Denyach każdego dnia docierały coraz bardziej przerażające wiadomości, że w swoich pracach przekraczali granice, do których nigdy nie powinni się nawet zbliżać.

Jossua był naukowcem, studiował na miejscowym uniwersytecie w Długim Marrakeshu i zamierzał potem udać się do Noreeli, ukończyć tam naukę, a następnie zostać kapłanem. Działalność polityków niewiele go obchodziła. W porównaniu z czystą formą magii, ich machinacje były prymitywne i obciążone emocjami. A Jossua studiował magię. Jej moc, źródła, znaczenie i zastosowanie, związaną z nią filozofię, wpływ na społeczeństwo i sposób rozwoju kraju. A szczególnie jej współbrzmienie z krainą. Ponieważ magię podobnie jak powietrze czy światło słoneczne uważano za coś oczywistego. Była częścią życia, niczym oddychanie.

Magowie skierowali ją w złą stronę. Nadużyli jej. Mroczne sztuki, którymi zajmowali się w swojej twierdzy, były potężne i straszliwe, zbyt przerażające, by je zlekceważyć. Zmieniały magię z dobrej na złą, z takiej, która pomagała w codziennym życiu, na ożywiającą umarłych,

z dającej równowagę na taką, która wytrącała świat przyrody z naturalnych kolein. Pragnęli przywłaszczyć sobie kontrolę nad magią krainy i wszystko wskazywało na to, że im się udało. Skutki ich działań dawały się odczuć w całym kraju – rzeki stawały się trujące, następowały erupcje wulkanów, trzęsienia ziemi dudniły w głębinach Kang Kang, zmuszając żyjące tam stworzenia do ucieczki na otwarte przestrzenie. Magia, która była kiedyś częścią życia, szybko stawała się narzędziem śmierci i Księżę wysłał wojska, by zbadały działania Magów.

Był to początek Wojny-Katastrofy. Nikt nigdy się nie dowiedział, co stało się z pierwszą armią – nie ocalał nikt, kto mógłby zdać relację. Znad jeziora Denyach nie uciekł żaden naoczny świadek – ale jak kamień rzucony do stawu, pierwsza bitwa i klęska poniosły się echem po całej Noreeli. Magia stawała się coraz bardziej wypaczona. Wielkie maszyny zwracały się przeciwko swoim użytkownikom, rzucały w przepaście, tonęły w jeziorach, przewracały się, miażdżąc pasażerów. Toczniki zdawały się wyczuwać brak równowagi i oszalały, mordując tysiące ludzi na zboczach gór i na wzgórzach wokół Noreeli. W miastach i miasteczkach maszyny stały się nieobliczalne, zabijały i były zabijane. Delikatne wzajemne relacje pomiędzy ludzkością a naturą uległy zakłóceniu. Magia zmieniła się niemal z dnia na dzień i rozpoczął się rozkład.

Większość ludności zareagowała zdziwieniem i konsternacją. Było tak, jakby obudzili się pewnego ranka i zobaczyli, że niebo zrobiło się zielone albo ich nogi przekształciły się w pnie drzew. Prawa natury, zgodnie z którymi żyli od zawsze, nagle zostały złamane. Ich życie nigdy już nie miało być takie samo.

Wtedy szybka łączność w całej Noreeli była czymś oczywistym. Maszyny przenosiły słowa i znaczenia z Długiego Marrakashu do Noreeli w kilka minut, dostarczały je bez pogłosów i przeinaczeń do uszu tych, dla których były przeznaczone. Nawet po tym, jak magia uległa zmianie, ta możliwość pozostała. Upadek był właściwie stopniowy, nie nagły, z towarzyszącymi mu wieloma katastrofami, które działały na wyobraźnię. Wiadomości rozeszły się szybko – Magowie na zachodzie są potężni, prowadzą doświadczenia, deprawują, usiłują podporządkować sobie naturę – i reakcja była natychmiastowa. Przerażone tłumy utworzyły armię ludową, która pomaszerowała na twierdzę Magów razem z niedobitkami armii Księcia.

Jossua zaciągnął się bez wahania. Jego rodzice i narzeczona przyjechali do Noreeli i zagrzewali go do walki. Narzeczona objęła go i wsunęła mu coś w dłoń, a potem odeszła nabrzeżem. Nie odwróciła się ani razu. Jossua trzymał zaciśniętą pięść, aż ich napędzana długimi, potężnymi ruchami wiosła łódź transportowa ruszyła rzeką w stronę jeziora Denyach. Słońce wstało za ich plecami, rozświetlając szczyty fal, które za sobą zostawiali. Srebrzyste brzozy na obu brzegach rzeki również płonęły, odbijały czerwień świtu, migocząc ogniem życia. Być może Jossua trzymał w dłoni coś z metalu – początkowo czuł chłód, ale potem przedmiot rozgrzało ciepło jego krwi – albo jakiś inny dowód pamięci. Zamknął oczy, wysunął rękę za burtę i otworzył dłoń. Był pewien, że usłyszał cichy plusk daru wpadającego

do wody.

Kiedy płynęli Sanem, docierały do nich wiadomości o kolejnych klęskach. Druga armia Księcia dotarła do twierdzy Magów i rozpoczęła oblężenie, ale nawet jej potężne maszyny nie mogły się równać z przemienioną mocą Magów. Nie chcieli w to wierzyć. Towarzyszami podróży Jossuy byli sklepikarze i nauczyciele, rolnicy i lichwiarze, utytułowani mężczyźni i kobiety. Wszystkich początkowo podniecała perspektywa przygody, ale teraz, kiedy wręczono im broń, ze strachem żalowali pospiesznej decyzji. Może opowieści uległy zniekształceniu po drodze, powtarzali sobie. Ale kilka godzin przed wypłynięciem na jezioro Denyach, tuż przed świtem następnego dnia, zobaczyli na niebie łunę pożaru.

Nawet teraz, po tak wielu latach, w czasie których mógł rozmyślać o tamtych wydarzeniach, Jossua pamiętał jedynie fragmenty tygodni, które nastąpiły po rejsie rzeką. Przypominał sobie piękno pejzażu, który otworzył się przed nimi, kiedy wypłynęli na wewnętrzne morze, jakim w istocie było jezioro Denyach, wzgórza po obu stronach pokryte fioletem, różem i czerwienią wrzosów, słońce za ich plecami, ciepło ogrzewające kark niczym dotknięcie błagającej dłoni, woda wzburzona wieloma przepływającymi łodziami bojowymi, a jednak uspokajająca się szybko. Przypominał sobie twarze otaczających go ludzi, poznał ich szybko, zjednoczony z nimi strachem. Na początku podróży wydawało się, że są zdecydowani wygrać, ale potem zorientował się, że na ich twarzach widać jednakową rezygnację. Wszyscy widzieli przed sobą łunę towarzyszącą walce i zniszczeniu. Być może wobec możliwości rychłej śmierci determinacja i pogodzenie się z losem były jednym i tym samym.

Odkąd ruszyli do bitwy, jego wspomnienia stały się mgliste. Przepadły gdzieś tygodnie życia, wdeptane w krwawe błoto, pożarte przez potworności, które Magowie zbudowali i wysłali przeciwko wrogim wojskom. Zaledwie kilka jaskrawych obrazów wryło się głęboko w pamięć niczym sny wciąż tak wyraźne, że czasami wydawało mu się, iż przeżył to piekło zaledwie wczoraj, a nie trzy wieki temu.

Zapamiętał pierwsze kroki na brzegu jeziora Denyach. Zeskoczył z łodzi, jego stopy ugrzęzły w mule i zastygł, nie mogąc się ruszyć. Woda pluskała przy kostkach nóg, a ludzie padali wokół niego. Ich sylwetki najeżone były strzałami, jakby już zostali wykreśleni z rzeczywistości. Gęsty odór śniętych ryb wisiał w powietrzu, srebrne kształty leżały w kilku warstwach na plaży z otwartymi skrzelami zastygniętymi w bezgłośnym krzyku. Wyżej na brzegu, zgromadzone na tle wschodzącego słońca potężne maszyny bojowe wyrzucały tysiące strzał i ostrych dysków. Ich zewnętrzne powłoki zniekształcały sączące się guzy, metalowe kończyny pokrywała rdza, kamienne wyrostki popękały, jakby od wieków poddawane były działaniu mrozu. Ale były straszliwie potężne. Magia napędzająca te potwory musiała oszaleć i teraz dawała upust swojemu opętaniu. Słyszał syk strzał i dysków przecinających powietrze, głuche odgłosy uderzeń w ciała, głośniejsze trzaski przebijanych czaszek i przecinanych kręgosłupów. Jedna z jego przyjaciółek została przeszyta przez tuzin strzał tuż przed nim. Kiedy odwróciła się wolno i spoglądała na wciąż uwięzionego w błocie Jossuę, od tyłu

nadleciała kolejna salwa strzał, rozrywając ją na strzepy. Od tej pory przypominał sobie i zapominał jej rysy mnóstwo razy, zupełnie jakby wspomnienie mogło uczynić to samo, co garść strzał.

Potem było całe morze rannych skupionych w małej dolinie, z dala od głównej bitwy. Były ich tysiące i co minutę umierały dziesiątki. Nienaturalne maszyny Magów i ich żołnierze Krotowie używali nieznannej trucizny i nawet kiedy zdołano przynieść tam rannych, po prostu kładziono ich, by umierali. Nie było żywności, wody ani wygod, wszystko zachowywano dla tych, którzy jeszcze nie byli skazani na śmierć. Jossua przychodził tam kilka razy z rannymi na grzbiecie. Krzyczeli, umierając. Ich ręce chwytały powietrze, szukając pomocy, która nie miała nigdy nadejść. Po kilku dniach dolina stała się krajobrazem pełnym zastygłych, zeszywniałych trupów. Nie było much ani ścierwojadów – martwa natura z rozkładającymi się ciałami i trucizną działającą jeszcze po śmierci.

Zobaczył nieżywego psa. Ktoś musiał zabrać ze sobą ulubieńca i utracił go, gdy tylko zaczęła się piekielna walka. Był to kundelek, czysty i zadbany. Na jego ciele nie widać było żadnej rany, a pyska nie wykrzywiła ból śmierci zadanej przez truciznę. Leżał za drzewem, wtulony pomiędzy odsłonięte korzenie, zimny i sztywny. Tamta scena emanowała spokojem, stanowiła oazę wśród wojennej burzy. Zastanawiał się, co go zabiło. Nigdy się tego nie dowiedział.

A potem wspomnienie Magów i tysięcy Krotów wypadających z twierdzy. Nienaturalne światło eksplodowało gromadami na polu bitwy, rozrzucając ogniste kule, pożerające ciało i metal. Potworne maszyny wojenne wstrząsały przesiąkniętą krwią ziemią niczym rozpostartym kocem, przewracając żołnierzy armii ludowej i wydając ich, bezbronych, na łup zatrutych włóczy i mieczy. Na widok Magów opuszczających fortecę rozległ się krótki ryk zwycięstwa, ale szybko ucichł, gdy Krotowie wzięli się do pracy. Dziwne istoty wędrowały po polu bitwy – maszyny wyrzaskujące swoją żądzą krwi, cienie, które mogły być widmami, ogniste kule magii, jaskrawe, ale mimo to nieczyste. Śmierć zadawana tego dnia była równie różnorodna, jak istnienia, którym kładła kres. A sami Magowie... Jossua widział ich siedzących na grzbietach latających stworów, które miotały ognistymi kulami i sikały trucizną na oblegające wojska... Widział ich...

Dużo później prowadził maszynę do bitwy. Ludzie przegrupowali się, a magia w jakiś sposób sama dała odpór, wysyłając ostatni, ograniczony impuls czystej mocy, pozbawiając całkowicie Magów władzy nad sobą. Szale bitwy przechyliły się w drugą stronę i Jossua był teraz wojownikiem. Wspomnienia jego dawnego życia zostały zatarte przez tygodnie bitew i wściekłości. Maszyna maszerowała na gigantycznych płonących nogach, zgrabna i śmiertelna, a jego szwadron nękał skrzydła uciekającej armii Magów. Ludzie padali pod płomienistymi stopami jego wierzchowca, ich zwęglone zwłoki niekiedy wytyczały wielokilometrowy szlak, amortyzując kroki maszyny podczas biegu. Jossua wył. Czuł, jak twarz płonie mu z furii, i nawet ludzie walczący po jego stronie usuwali się, dając mu wolną

drogę. Stał się berserkerem, niezwyciężonym, niemożliwym do pokonania. Kiedy zabijał Krota, pił jego krew. I dobrze się odżywiał.

Ostatnie, nieprzemijające wspomnienie z tego długiego okresu wojny i śmierci to obraz, jak siedzi na brzegu wyspy Grzbietu, która stała się znana jako Zmora Maga. Jego maszyna leżała martwa i rozkładała się za jego plecami, spełniwszy swoje zadanie. Magia wycofała się już wcześniej tego dnia i setki natychmiast padły na swoje miecze, umierając z westchnieniem. Wrażenie beznadziei i katastrofy było ogromne i wszystko nagle wydało się całkowicie inne. Zdawało się, że zniknął sens istnienia. Kwiat rosnący na plaży, który znalazł, był zgniły, słońce świeciło słabo, a jego promienie dotykające skóry sprawiały wrażenie tłustych, ptak zanurkował w morze i nie wypłynął. Radość z sukcesu i nadzieja, którą czuł, wyganiając Magów, były krótkie, ponieważ ich klęska nie przyniosła Noreeli zwycięstwa. Jej owocem było nagle zniknięcie magii i poczucie, że skończyło się wszystko, co dobre.

Wokół niego dziesięć tysięcy rozszarpanych ciał sterczało z piasku jak sadzonki drzew i kołysało się łagodnie na falach. Noreelanie i Krotowie byli zrównani przez śmierć. Tu i ówdzie widać było tych, którzy przeżyli i milczeli jak on. Stali pomiędzy pomnikami śmierci. A w odległości wciąż widać było na horyzoncie płonące statki Magów, z podkulonymi ogonami na zawsze uciekające z Noreeli.

Tak dawno temu. Tak wiele księżyców, a on wciąż żył. Wciąż czekał. Jego zadanie było nowe jak zawsze, gniew równie płomienny jak przed tymi wszystkimi laty.

Jossua Elmantoz wchodził coraz dalej w głąb klasztoru, dawnej twierdzy Magów i zastanawiał się, co zastanie, kiedy następnym razem zobaczy światło dnia.

* * *

Rzeczy w podziemiach, jak powiedział jeden z młodszych Mnichów. Przesuwające się kształty, cienie poruszające się w niewłaściwą stronę, zapach rozkopanej ziemi i przypalonej skały. A potem coś nowego.

Jossua był starym człowiekiem. Właściwie prawie nie miał już siły opuszczać swoich pokojów, a co dopiero mówić o wędrowaniu w głąb ogromnego klasztoru. Zbyt wiele stopni, za dużo nierównych tuneli znanych i obcych. Ale tego wezwania nie mógł zignorować. Nax był zbyt niebezpieczny, żeby go lekceważyć.

Poszedł sam. Pomoc by mu się przydała, nie bał się tego przyznać, ale był starszym Mnichem. Miał swoje obowiązki do spełnienia. A młodszy Mnisi nie byli w stanie ukryć ulgi, kiedy polecił im zostać.

– Przygotujcie się – powiedział. – Wkrótce wyruszyście do kraju. Wasze zadanie niedługo się rozpocznie. Wasze życia nabiorą znaczenia.

Minął już lochy i wszedł do długiego pochyłego tunelu, prowadzącego w głąb podłoża skalnego. Jego pochodnia płonęła jasno, oświetlając drogę i jednocześnie go oślepiając. Dno

tunelu było nierówne i musiał iść wolno, by nie potknąć się i nie upaść. Sprawiało mu to większą trudność niż pokonywanie schodów w klasztorze. Przynajmniej były równe, chociaż strome. Tutaj mógł się przewrócić o niespodziewany występ skalny, skrócić kostkę w niewidocznej jamie i połamać stare kości. Jeżeli ulegnie wypadkowi tak głęboko pod ziemią, nie wyobrażał sobie, by Mnisi zeszli do niego, by go ratować. Jego pochodnia wypaliłaby się, pograżając go w ciemności. Zimno by go zabiło.

Nigdy nie był tak głęboko. Zatrzymał się, odwrócił, trzymając pochodnię nad głową, i się rozejrzał. Woda spływała po ścianach tunelu, wypływała z głębokich szczelin w kamieniach i z bulgotem ściekała w głąb rynnymi wykutymi po obu stronach chodnika. Wokół pęknięć, z których sączyła się woda, rósł czarny mech. Małe srebrzyste kształty pełzały po ścianach, skubały mech, odbiegały, spotykały się ze sobą i dotykały czułkami. Były ślepe i światło im nie przeszkadzało. Być może miały żądła. Jossua pozwolił im odżywiać się w spokoju.

Nogi go bolały, a serce trzepotało słabo w piersi, wysyłając impulsy bólu do rąk i ramion. Zatrzymał się w kręgu światła pochodni. Nie widział żadnych odbłyśków płomieni, więc jeżeli obserwowały go jakieś oczy, zamykały się, gdy spoglądał w ich stronę.

Ściany były niemal idealnie gładkie z wyjątkiem miejsc, w których popękały pod wpływem czasu, a ciśnienie rozszerzyło szczeliny. Nie była to naturalna pieczara, a jednak w skale brakowało śladów narzędzi, które dałoby się zauważyć, gdyby to podziemne przejście było dziełem czyichś rąk. Jossua wiedział, że wykonały je maszyny. Myśl, że chodziły tą samą drogą, zajmowały tę samą przestrzeń co on, przyprawiała go o mdłości – a może powstały wiele pokoleń temu, z tych samych powodów, z jakich zbudowano twierdzę. Nie było żadnych wiarygodnych danych, kiedy i dlaczego powstała ani kto był jej twórcą, chociaż w minionych dziesięcioleciach Mnisi odkryli kilka wyraźnych warstw tej konstrukcji. Im głębiej wchodził, tym dawniejsze były okresy ich powstania, a na końcu lochy ukrywały czas swoich narodzin w mgłę prehistorii. Niektórzy twierdzili, że było to miejsce kultu, chociaż nie potrafili powiedzieć – boga czy demona. Inni utrzymywali, że to miejsce schronienia, zamek i stołp, w których można było się ukryć przed najazdem obcych. Magowie uważali, że ta druga hipoteza jest słuszna, ale nawet oni, pomimo całej swej wypaczonej mocy, zostali stąd wygnani.

Nikt nie wiedział czemu, jak i przez kogo. Jossua miał swoje podejrzenia.

Wkrótce, pomyślał. Już wkrótce to zobaczę.

Tunel zrobił się nagle bardziej stromy i Jossua próbował przytrzymać się ścian. Woda spływała obok jego stóp i jej szum odbijał się echem w ciemności. Minał miejsce, w którym woda wtłoczona ciśnieniem jeziora Deynach tryskała ze ściany tunelu, i wyobraził sobie, jak zatapia podziemia.

W głębi tunelu coś się poruszyło. Poczuł muskające go tchnienie poruszonego powietrza, a razem z nim dotarł do niego zapach. Świeży i silny odór czegoś, co żyło w tym mrocznym, martwym miejscu.

Nie ma tu zwierząt, pomyślał. Nie ma nic do jedzenia. Niczego, na co można polować. To musi być Naks.

Nagle cienie się zbliżyły. Zasięg światła skurczył się, głęboki mrok podpełzł jeszcze bardziej i Jossua z konsternacją spojrział na pochodnię. Płonęła jasno jak wcześniej. Oddech zamarł mu w gardle, gdy powietrze wokół niego zgęstniało, grożąc zmiążdżeniem. Wysunął pochodnię przed siebie, rzucając wyzwanie mrokowi i rozkazując, by się cofnął, ale fragment ciemności wysunął się i zamknął wokół płomienia.

Zacisnął się i płomień zmienił kolor... stał się żółty, biały... niebieski. I nagle zniknął całkowicie.

Jossua jęknął. Przez kilka chwil przed jego oczami pozostawał powidok płomienia, jego duch pojawiający się wszędzie tam, gdzie odwrócił głowę. Zamknął powieki, ale duch wciąż tam był, więc otworzył je znowu. Echo cichło w oddali. Słyszał jedynie swój oddech, czuł własny, dawny strach, stęchliznę starości zderzającą się ze świeżym, ostrym zapachem czegoś, co było tu razem z nim.

A potem coś dotknęło jego twarzy.

Mnich – rozległ się kpiący głos. Był bezpłciowy i jego echo rozbrzmiewało tylko w głowie Jossuy.

Szok był tak wielki, że Jossua nie był w stanie odpowiedzieć wprost. Głos brzmiał obco, gładko, przepelniała go nienawiść, którą nawet on z trudnością mógł zgłębić.

– Jestem Starszym Mnichem – odezwał się. Jego szept zabrzmiał bardzo głośno w ciemności.

Starszy... Mnich... nienawidzi magii.

– Nie nienawidzę. Chronię ją.

Chroni, niszcząc. – W głosie brzmiała pogarda.

– Lepiej niszczyć niż pozwolić, by Magowie zagarnęli ją znowu.

Doprawdy? Zadajemy sobie pytanie.

Milion lęków wypełniło umysł Jossuy, ale nie potrafił ich wypowiedzieć. Nie miał pojęcia, czego Naks chce. Zamrugał w ciemności.

Twój czas się zbliża, Starszy Mnichu.

Jossua nie zdziwił się. Bądź co bądź, Naks był tu z jakiegoś, choć niejasnego, powodu.

– Gdzie to jest? – zapytał.

Niedaleko Wdowich Szczytów. Jego ślad nas obudził.

– Czy to ty wypędziłeś Magów z twierdzy? To byłeś ty?

Bez odpowiedzi.

– Pokaż się.

Nie masz potrzeby nas widzieć.

– Po co tu przyszedłeś?

Znamy twój powód istnienia. Nie życzymy sobie powrotu magii.

– Podobnie jak my. – Jossua zadrżał, gdy powiew chłodnego powietrza dotknął jego spoconej skóry. Nax poruszał się tunelem. – Jak się przejawia? Gdzie jest magia?

W człowieku. Mężczyźnie. Głębiej niż jego dusza. Jest ledwie jej cząstka, ale rośnie.

– Skąd wiesz to wszystko?

Bez odpowiedzi. Jossua próbował dotknąć ciemności, ale wydało mu się, że jego wyciągnięta dłoń jest zbyt odsłonięta i cofnął ją. Ciemność nagle wypełniła się możliwościami – powietrzem nabranym w płuca przed krzykiem, głownią wzniesioną przed ciosem. Jęknął i upadł na ziemię, usiłując zwinąć się w kłębek. Jego stare kości bolały.

– Jesteśmy Naksami – oznajmił stwór i tym razem głos dobiegł spoza umysłu Jossuy. Odbijał się echem od skalistych ścian, wprawiał w wibrację grunt pod jego stopami, mknął dalej tunelem z siłą grzmotu. Jossua krzyknął, ale jego głos zniknął w kakofonii, wchłonięty przez echo ostatniej, gwałtownej wypowiedzi Naksa.

Pochodnia zapłonęła znowu i Jossua wrzasnął jeszcze raz, tym razem mógł usłyszeć sam siebie. Ciemność cofnęła się. Usiłował wstać, ale nogi nie zdołały go unieść. Daleko z głębi tuneli – dalej niż kiedykolwiek mógłby dotrzeć – dobiegł dźwięk miażdżonych, obracanych w pył, palonych skał. Uderzył w niego żar, wypierając dech z płuc, a potem znowu napłynął chłód.

W końcu Jossua odzyskał siły na tyle, by wstać. Nie miał się czego obawiać, Nax chciał, aby żył. Ale pomimo swoich trzystu lat czuł się upokorzony i w pewien sposób umniejszony tym przeżyciem. Miał wrażenie, jakby ta krótka rozmowa postawiła go przed lustrem ukazującym jego dawną głupotę, wyznawane przez dziesięciolecia przekonanie, że jest ważny.

– Mój czas się zbliża – wyszeptał i syczące echa odbiły się od ścian tunelu, wracając do niego. Brzmiało w nich rozbawienie, którego nie było w jego własnych słowach.

Odwrócił się i ruszył w drogę powrotną. Jego czas się zbliża. Tyle jeszcze było do zrobienia. Przez krótką chwilę z całą siłą powróciło wspomnienie, jak stoi na plaży Zmory Maga i patrzy na północ, wiedząc, że chociaż bitwa się skończyła, jego własna długa wojna dopiero się zaczyna.

Kiedy wędrował tunelem, wspinając się wolno do klasztoru znajdującego się wysoko nad jego głową, zauważył, że woda przestała tryskać ze skalistych ścian i spływać w głębiny. Zupełnie jakby coś ją całkowicie wyssało.

* * *

Stracił poczucie czasu. Kiedy Jossua znalazł się z powrotem w lochach klasztoru, zdziwił się, że z góry nie sączy się światło dnia. Zaczął wpadać w panikę. Ciemność, pomyślał. To tylko ciemność. Może już się spóźnili.

– Ciemno – wyjęczał, ledwo poruszając opuchniętym z odwodnienia językiem.

– Jest noc, Starszy Mniczu Jossuo – rozległ się głos i Mnich poczuł wodę spływającą do jego ust. Początkowo piekła, ale potem chłód spłynął do gardła. Westchnął i osunął się ponownie na ziemię. Podtrzymały go dłonie, które miały tylko zabijać, podawały mu wodę, dotykały delikatnie.

– Jak długo? – wychrypiał.

– Słucham, Starszy Mniczu?

– Jak długo mnie nie było?

– Dzień. Myśleliśmy...

Jossua uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Och nie, nie pozwoliłyby mi umrzeć – rzekł. – Potrzebują nas, abyśmy odnaleźli i zniszczyli magię powracającą do kraju.

– Magię!

Jossua spojrział na tańczącą w świetle pochodni twarz Mniszki, która to powiedziała. Płomienie trzepotały na równym wietrze wiejącym z dołu i Jossua zastanawiał się, ile w każdym powiewie było oddechu Naksa.

– Dziwisz się, Gathano? – zapytał. – Zaszokowało cię, że magia mogła znowu ożyć? Jest przecież częścią natury, samym życiem, a życie jest uparte. – W oczach każdego Mnicha widział dwie emocje: strach i podniecenie. Ich troska o niego zniknęła, ale nie przejmował się tym. Ich przeznaczeniem nie było przebywać tu zawsze, słuchać go, postępować zgodnie z jego nakazami, pielęgnować go, kiedy stawał się coraz starszy, nie bardzo potrafił sam się ubrać, zapominał, czasami moczył się w nocy...

Byli zabójcami.

– Pomóżcie mi wstać – polecił. – I zwołajcie Radę. Wkrótce wyruszyacie.

Przygotowywane w kuchni posiłki porzucono niedogotowane, stygnące i wysychające powoli. Zastygały w garnkach, które nigdy nie zostaną już umyte. Mniczom kazano wstać i włożyć czerwone płaszcze na brudną bieliznę. Innym przerwano grę w połowie partii. Pionki na zawsze będą toczyły wojnę, zwycięstwo pozostanie odległe o kilka ruchów i nieskończoność. Na dziedzińcach i w ogrodach psy i wilki pozostały na uwięzi. Zdechną z głodu z łańcuchami na szyjach, zmienią się w szkielety, a potem rozsypią w proch. Za ogrodami ciągnęły się grządki z warzywami, rosły drzewa owocowe, stały zagrody dla zwierząt domowych. Z nadejściem zimy wszystko zgnije, niewykopane kartofle, owoce na gałęziach, kurczaki i owcolopy wrócą do ziemi. Książki pozostaną otwarte, nieczęste rozmowy niedokończone, z wanny na próżno będzie unosić się para. Szybko, sprawnie i z narastającym oczekiwaniem Mnisi zebrali się w sali Rady, na górnej kondygnacji klasztoru. Gdy słońce wstało na wschodzie, a jego czerwone światło rzuciło różową poświatę na wciąż wiszącą na niebie słabo widoczny księżyc życia, salę wypełniło ponad trzystu Mnichów. Jak zrządził los, po jednym za każdy rok oczekiwania. Siedzieli w ustawionych we wznoszących się rzędach lawach, tworząc krwistoczerwoną plamę na starych skałach cytadeli.

Jossuę Elmantoza wniesiono przez wejście w podłódze sali, a następnie na znajdujące się pośrodku podwyższenie. Gathana stanęła w pobliżu i podała mu ramię, ale odesłał ją ruchem ręki i stanął o własnych siłach. Popatrzył na zebranych Mnichów, nie rozróżniając ich zupełnie. Namacał miecz i położył dłoń na jego rękojeści. Kaptur podniesiony jak u wszystkich patrzących na niego mężczyzn i kobiet ukrywał zmęczenie widoczne na jego twarzy. Ale uszanowali to. Wszyscy znali Starszego Mnicha, wiedzieli, dlaczego to właśnie jemu najbardziej należy się przywództwo. Walczył w Wojnie-Katastrofie i widział Magów.

– Nadszedł nasz czas – oznajmił.

Nikt się nie odezwał. Nikt się nie poruszył. W głębi duszy większość z nich zdążyła się już domyślić.

– Magia wróciła do kraju – mówił dalej Jossua. – Naksy rozmawiały ze mną i wiedzą, gdzie to jest, kim jest. To wszystko, co mi powiedziały, i muszę przyjąć, że nie wiedzą nic więcej. – Przerwał, by złapać oddech. Wciąż był wyczerpany po dniu spędzonym pod ziemią. – W tej chwili ma nosiciela. Mężczyznę. Nie znam jego nazwiska. Jest gdzieś u podnóży Wdowich Szczytów. Musimy założyć, że Magowie dowiedzieli się o tym powrocie. Mają swoich szpiegów i jeżeli ich chciwość jest równie silna jak dawniej, przybędą. Być może czołówka wojsk przyleci na sokołach lub innych latających stworach, ale większość z całą pewnością nadciąga morzem. Nikt nie wie, jak daleko uciekli na północ, dlatego nikt nie może powiedzieć, jak szybko dotrą do Noreeli. Ale zagrożenie z ich strony jest mniej ważne. Teraz nadszedł nasz czas. Magowie poszukują magii, ale bez niej pozostaną jedynie zmęczonymi czarownikami z fałszywymi cudami w rękawach i pudełkach o podwójnym dnie. Musimy znaleźć ją pierwsi. A kiedy ją znajdziemy, zostanie zniszczona, wygnana ponownie, jeszcze raz odsunięta z tego świata. Ostatnim razem ludzkość nie była gotowa, a od tej pory nic się nie poprawiło. Nie ma tu dla niej miejsca.

Jossua zsunął na tył głowy kaptur i zmierzył zgromadzonych Mnichów szczerym, uczciwym spojrzeniem. Wytrzymali jego wzrok.

– Trzy wieki temu stałem na najdalszym, północnym wybrzeżu Noreeli, widziałem uciekających Magów i nagle poczułem, jak magia opuszcza krainę. Poczułem, czym to porzucenie było dla Noreeli... tym samym, co odebranie jedzenia ciężarnej kobiecie. Kobieta marnieje i umiera, a razem z nią marnieje i umiera rozwijający się w niej potencjał. Pokrywała mnie posoka krotowskich wojowników Magów, mój brzuch wypełniała ich krew i zanim jeszcze ich płonące statki zniknęły za horyzontem, obiecałem sobie, nigdy więcej. Już wtedy byłem odmienionym człowiekiem. Przemieniła mnie wściekłość, nienawiść. Byłem Czerwonym Mnichem, choć nie nosiłem jeszcze tego miana. Przysiągłem: obojętne, czy pozostanie daleko, czy też powróci, nigdy jej nie odzyskają. Były fałszywe alarmy, pojawiały się znaki, sugestie i zabijaliśmy, kiedy uważaliśmy to za konieczne lub właściwe, ale tym razem jest inaczej. Teraz dzieje się to naprawdę. Bez względu na co, co skłoniło Naksę, by nas poinformować, nie ma powodu, żeby nas oszukiwał lub mamił.

Podniósł dłoń, a następnie trzema ruchami podzielił zgromadzonych na trzy równe części.

– Wyruszycie prosto do Wdowich Szczytów i rozpoczniecie poszukiwania. Wy udacie się w górę rzeki do San. Pilnujcie szlaku wodnego i czekajcie, aż nosiciel przekroczy rzekę. Wy przepłyniecie łodziami jezioro Deynach i skierujecie się na pustynię Mol'Steria. Czekajcie tam, ale obserwujcie oba kierunki – na północy wypatrujcie nosiciela magii, na południu Shantasi. Podejrzewam, że już się dowiedzieli lub dowiedzą wkrótce i bardzo będą chcieli przechwycić zdobycz.

Uniósł głowę, dobył miecza i oparł jego sztych pomiędzy butami. Trzymając dłonie na główicy rękojeści, pochylił się do przodu i westchnął, kiedy nieco odciążył stopy.

– To miejsce dobrze nam służyło – rzekł. – Ale nadeszła pora, aby historia potoczyła się dalej. Jeżeli któreś z was ma jakieś pytanie... jeżeli w czyimś sercu nie ma wiary...

Po tych słowach trzystu Mnichów wstało i zaczęło wychodzić szybko i w ciszy.

– Starszy Mniczu! – krzyknął ktoś. – Starszy Mniczu Elmantoz!

Do sali wszedł chwiejnym krokiem Mnich, osunął się na kolana i upadł na twarz. Jossua wziął miecz i ruszył w stronę przybysza. Sztychem miecza uniósł kaptur, odsłaniając twarz Mnicha.

Zaczerwieniony, pełen wściekłości mężczyzna oddychał krwią. Płaszcz miał zabłocony i podarty, u prawej dłoni brakowało dwóch palców. Twarz miał pociętą i jedna otwarta rana biegła od podbródka do skroni. Przez rozdarty płaszcz sterczał ze zdruzgotanego ramienia kawałek różowej kości.

– Starszy Mniczu Elmantoz... – szepnął, tracąc siły. – Magia. Widziałem magię.

– Kim jesteś? – spytał ostro Jossua. Mnisi, którzy już wyszli, wracali, dowiedziawszy się o niespodziewanym przybyszu, i słysząc podniesiony głos Jossui. Ten człowiek owszem, był Mniczem, ale Jossua nigdy dotąd go nie widział. Oznaczało to, że musiał pochodzić z jednego z dalszych klanów. A teraz znalazł się tutaj, właśnie dzisiaj i mówił o magii.

– Lucien Malini – odparł Mnich. – Mam wiadomości o magii! Z jakiegoś powodu ma ją w sobie chłopak, Rafe Baburn. Trop ostygł, ale odnaleźliśmy go znowu, ścigaliśmy ile sił... ma ze sobą Shantasi, wojowniczkę... a także wiedźmę i złodzieja.

– Gdzie jest teraz?

– Ucieka z Pavisse na północ. Ścigają ich inni. Przybyłem, aby cię ostrzec, Starszy Mniczu. Przybyłem po posiłki.

– Kiedy to było?

Lucien zmarszczył brwi, spróbował wstać, ale upadł, bo złamane ramię nie utrzymało jego ciężaru.

– Dwa dni temu. Może trzy? Koń mi padł. Biegłem. Napadli mnie bandyci, straciłem czas, walcząc z nimi, musiałem...

– Poprowadzisz posiłki – oświadczył Jossua. – Pójdzie z tobą setka Mnichów.

Lucien spojrzał na Starszego Mnicha, dysząc ciężko.

– Chyba że – powiedział Jossua – chyba że chciałbyś zatrzymać się tu na kilka dni. Gorąca kąpiel, posiłek...

Lucien nie uśmiechnął się, ale wstał i wyciągnął miecz. Głównię pokrywała rdza zaschniętej krwi.

– Nie, dopóki on jest wciąż głodny – rzekł.

– W takim razie zostanie nakarmiony – oznajmił Jossua. – Rafe Baburn! – krzyknął. – Szukajcie Rafe’a Baburna!

Lucien Malini wyszedł razem z Mnichami i Jossua wkrótce został sam. Czekał przez chwilę, wspiął się do najwyższej kondygnacji ław i przez wysokie okno obserwował, jak Mnisi rozpraszają się wolno po okolicy. Wyglądało to tak, jakby klasztor krwawił. Potem wsunął miecz do pochwy, opuścił salę i ruszył długimi schodami w dół, na parter.

Usiadł przy kamiennej fontannie, by złapać oddech. Kiedy badał starą, zniszczoną Księgę Dróg, którą zabrał z biblioteki w Noreeli, czuł wzbierającą w nim nową determinację. Ożywiała jego mięśnie, chwytiała za serce, zagęszczała i przyspieszała krew w żyłach, przywracała mu krwawoczerwoną wściekłość, której nie czuł zdecydowanie za długo. Na czas, kiedy jego Mnisi będą szukali i niszczyli nową magię, Jossua wyznaczył sobie jeszcze większy cel.

Nie pozostanie tu sam. Zastanawiał się, komu to miejsce będzie służyło w przyszłości, ale zastanawianie się nie było jego sprawą, spekulacje nie miały miejsca w jego myślach. Jossua Elmantoz opuścił klasztor z krwistoczerwonymi wspomnieniami Wojny-Katastrofy, pędzącymi w jego umyśle i pieśnią wieków ulatującą z wyschniętych ust. Skierował się na południe, do Kang Kang, aby odszukać łono krainy.

22

W drugim dniu podróży na południe słońce weszło czerwono. Mnisi zapewne wciąż ich ścigali. W nocy deszcz przestał padać i ziemia parowała. Odzież mieli przemoczoną, konie były zmęczone i wszyscy potrzebowali wypoczynku. Niepokój Kosara tylko się zwiększał. Rafe stawał się dla nich całkiem obcy i po raz pierwszy w Kosarze pojawiły się wyraźne emocje związane z chłopcem. Strach.

* * *

Poprzedniego wieczoru, kiedy ukryli się przed deszczem na skraju niewielkiego lasu i usiłowali przygotować posiłek, A'Meer ujawniła coś, czego Kosar już się domyślał: chciała, aby udali się do Nowego Shanti. Przedstawiła sprawę otwarcie i uczciwie. Jej przeznaczeniem i zadaniem jest chronienie rodzącej się nowej magii. Ma obowiązek wrócić do Nowego Shanti i zameldować o jej pojawieniu, a najbezpieczniejszym miejscem dla nich wszystkich będzie Hess. Znajdowało się daleko na południu, najdalej jak mogliby dotrzeć, nie zapuszczając się w Kang Kang. Będą tam pod ochroną wojowników Shanti i Magia Rafe'a będzie mogła dojrzeć i ujawnić się w swoim czasie. Gdyby Magowie powrócili na Noreelę z wojskiem, Hess będzie dla nich wszystkich najlepszym miejscem.

Nadzieja sprzeciwiła się gwałtownie.

– Chcesz go dla siebie! – a także: – Nie można ufać Shantasi! – i: – A dokąd pójdziemy stamtąd? – Jej protesty nie przerodziły się w kłótnię – nie do końca – przede wszystkim dlatego, że A'Meer wciąż była zbyt osłabiona po odniesionych obrażeniach. Nieufność Nadziei tliła się nadal, ale ostatecznie pozostali zdołali ją przekonać. Nawet Nadzieja przyznała w końcu, że to jedyne miejsce, do którego mogliby się udać. Wyruszenie na północ, do Księcia, byłoby szaleństwem i nie tylko dlatego, że wyszliby wówczas naprzeciwko ścigającym ich Mnichom, ale również dlatego, że Książę nie dysponował już odpowiednimi siłami. Być może miał resztki armii, ale żaden z opiekunów Rafe'a ani odrobinę nie ufał przegranemu władcy. Na wschód leżała Ventgoria, a za nią Trujące Lasy, natomiast marsz na zachód zbliżyłby ich do klasztoru Mnichów, a było to miejsce, którego woleli unikać. I gdziekolwiek by się udali, Magowie mogliby wpaść na ich ślad.

– Możemy z nimi walczyć – szepnęła Nadzieja, starając się, by Rafe jej nie słyszał. Siedział samotnie na skraju lasu, od świtu nieobecny duchem. – Mamy magię!

– Walka jest dokładnie tym, czego pragną – odparła A'Meer i to uciszyło ich wszystkich. Żadne z nich nie widziało Wojny-Katastrofy, ale wszyscy znali opowieści. Nie mieli ochoty być świadkami podobnych wydarzeń. Ale jednak burze nadciągały. Kosar w coraz większym stopniu czuł się kontrolowany, prowadzony wyznaczoną ścieżką, której żadne z nich nie wybierało. Spotkanie z bólem i walką wydawało się nieuniknione. Kosar był wściekły na los, że wpłatał go w to wszystko, ponieważ w Trengborne wreszcie zaczął się czuć się u siebie. Wioska była nic nieznaczącym miejscem i nic się w niej nie działo, ale stawała się jego domem.

A teraz znowu wędrował po kraju, zmierzał do miejsc, których albo w ogóle nie znał, albo nie odwiedzał od dziesięcioleci. I chociaż nie był uczony ani szczególnie wykształcony, miał wrażenie, że ta podróż jest bardziej feralna niż którakolwiek z jego wcześniejszych wędrówek.

Tej nocy skulony pod jednym kocem z A'Meer, ciesząc się ich wspólnym ciepłem, powiedział jej, o czym myśli. Nie odezwała się.

Poszli spać bez posiłku. Trey i Kosar zebrali w lesie korzonki, owoce i trochę jadalnej kory, ale kiedy wrócili do prowizorycznego obozu i zaczęli przygotowywać jedzenie, zobaczyli, że wszystko jest zepsute. W owocu kłowca pełzały robaki cuchnące rozkładem. Miarowe kołysanie się drzew, łagodne, ciche skrzypienie gałęzi ocierających się o siebie na wietrze nabierało nowego sensu. Nowa magia spała w Rafe, ale stara magia zatrzała krainę.

* * *

– Wkrótce dotrzemy do rzeki San – powiedział Kosar. Jechał razem z A'Meer na jednym koniu, dzięki czemu Nadzieja miała własnego wierzchowca i mogła trzymać się blisko Rafe'a. Trey siedł z tyłu, prowadząc konia z pogrążoną w śpiączce Alishią. Zwierzę chwiało się na nogach, krew kapała mu z nozdrzy, ale wciąż siedł. Kosar miał mglisty plan, by po przybyciu nad rzekę San ukraść nowego konia, ale coś powstrzymywało go przed robieniem planów z tak dużym wyprzedzeniem. Najbardziej liczyła się następna godzina. Jeżeli ją przetrwają, będą mogli pomyśleć o następnej, a potem o kolejnej. Być może na końcu podróży czekało na nich Nowe Shanti, ale na razie musieli poruszać się, stawiając krok po kroku.

– Byłeś w San? – zapytała A'Meer.

Kosar skinął głową.

– Dawno temu. Wtedy był to port rybacki. Niewiele większy niż wioska, ale będziemy mogli kupić prowiant, i może konia.

– Musimy ominąć San, nie wjeżdżać do niego. Każdy ślad, który tu pozostawimy, da

Czerwonym Mnichom świeży trop.

Kosar przemysłał jej słowa i wiedział, że miała rację.

– I jeszcze sama rzeka – dodała A’Meer. – Jest szeroka i wolno płynie. Będziemy musieli się przez nią przeprawić. Jeżeli skorzystamy z mostu, ktoś nas zobaczy. Jeżeli przepłyniemy promem, będziemy musieli zapłacić i zapamięta nas przewoźnik.

– Moglibyśmy przepłynąć – zaproponował Kosar.

A’Meer zerknęła za siebie, spojrzała na Kosara i uniosła brew.

– Ja mogłabym, choć jestem wciąż słaba. Ty też, chociaż jesteś stary. – Zaprotestował i uśmiechnęła się. – Podejrzewam, że Nadzieja jest tak silna, na jaką wygląda, i jestem pewna, że Rafe też dałby sobie radę. A Trey? Alishia? Konie?

– Moglibyśmy pojechać w górę rzeki. Pod górami rzeka się zwęża, łatwiej się przeprawić.

– I stracić dzień. Zapomniałeś, dokąd płynie rzeka?

Zmarszczył czoło, a potem wzdrygnął się, jakby poczuł czyjś wzrok na plecach. Odwrócił się w siodle, zauważył spojrzenie Nadziei, uśmiechnął się do niej i znowu popatrzył przed siebie, zanim zdążył się rozczarować.

– Do jeziora Deynach – rzekł.

– A nad nim jest klasztor Mnichów.

Przez kilka minut A’Meer jechała w milczeniu i Kosar widział, że rozmyśla. Skrzywiła się i jej mały nos zmarszczył się na garbku. Czasami całował ją w to miejsce, kiedy jej twarz rozluźniała się po seksie. Zdziwił się, jak bardzo żałuje starych łagodniejszych czasów.

– Musimy założyć, że wiadomość dotarła do klasztoru – odezwała się. – Gdyby dowiedzieli się wcześniej, mielibyśmy przeciwko sobie w Pavisse setki Mnichów, a nie tylko kilku. Ale przynajmniej jeden mógł pojechać na południe, a inni próbują podążać naszym tropem. Istnieje szansa, że na razie ich zgubiliśmy, ale widzieli mnie i wiedzą, skąd jestem. Na pewno zorientowali się, dokąd chcę zabrać Rafe’a.

– Klasztor musi być trzysta kilkadziesiąt kilometrów od Pavisse – powiedział Kosar. – To niemożliwe, żeby któryś z nich pokonał taką odległość.

– To nie są ludzie, Kosarze. Są opętani. Są potężni. I czy sądzisz, że jechalibyśmy tak wolno, gdybyśmy nie musieli?

Kosar znowu się obejrzał. Trey i Alishia zostali z tyłu, ich koń szedł z trudem obciążony bezwładną, nieprzytomną kobietą. Parskał i za każdym razem wokół nozdrzy pojawiała się mgielka rozpylonej krwi.

– O czym spiskujecie? – zapytała Nadzieja, poganiając konia, aby ich dogonić. Kosar chciał wierzyć, że w jej głosie był cień wesołości, ale twarz wiedźmy świadczyła o czymś zupełnie innym. Tatuaze były ostre i wyraźne, odzwierciedlały jej ogromne skupienie.

– Namawiamy się, żeby zrzucić cię z konia i zakopać po szyję w lotnych piaskach – odparła A’Meer.

Nadzieja spojrzała na Shantasi, unosząc brwi.

– Ty i jaka armia?

Kosar nie mógł powstrzymać wybuchu śmiechu. Fakt, że Nadzieja nie skłęła go, być może świadczył, że zaczęła się rozluźniać albo całkowicie go lekceważyła.

– Rozmawialiśmy, jak przedostać się na drugą stronę rzeki – wyjaśnił. – Jest kilka mostów i prom, ale wolelibyśmy, żeby nas nie dostrzeżono.

– Ukradnij łódź.

– Musiałaby to być duża łódź, żeby pomieścić nas wszystkich – odparła A'Meer.

– Ukradnijcie prom.

– A co z przewoźnikiem?

Nadzieja wzruszyła ramionami. Kosarowi nie spodobało się jej spojrzenie.

– Nie jesteśmy mordercami – powiedział spokojnie. A'Meer i Nadzieja spojrzały na niego, być może powątpiewając we własne myśli. Zapadła krótka chwila niezręcznej ciszy, a Kosar błagał w duchu: Zgódźcie się ze mną!

– Masz rację – przytaknęła A'Meer. Nie zabrzmiało to przekonująco i nie wyglądała na przekonaną.

– Sądzisz, że Mnisi będą jechać w górę rzeki?

– Niemal na pewno.

Przez jakiś czas podążali w milczeniu i słychać było tylko stukot końskich kopyt na kamienistej ziemi. Od godziny wędrowali przez martwy teren, miejsce, w którym życie zostało wysrane z gleby. Nie było ptaków ani zwierząt, żadnej istoty, która je, ani takiej, którą można zjeść. Tu i ówdzie z twardego gruntu sterczały zniszczone białe kości. Skóry zwisały z nich jak symbole klęski. Kosar tęsknił za zielenią i westchnął z ulgą, kiedy wjechali na małe wzgórze i zobaczyli rozległą panoramę porośniętej trawą i drzewami równiny ciągnącej się aż do odległej rzeki San.

Zatrzymali się w połowie zbocza i pozwolili koniom napić się z bulgoczącego źródła, a sami gasili pragnienie wodą z manierek. Kosarowi zaschło w gardle, czuł oblepiający je kurz z przebytego niedawno martwego obszaru i zastanawiał się, czy kiedykolwiek wszystko znowu stanie się normalne.

– Tam jest San. – Wskazał ręką. Wioskę stanowił wąski rząd budynków na brzegu rzeki. Z tej odległości była to zaledwie plama w krajobrazie, ale wiedział, że przed każdym budynkiem znajduje się pomost z przycumowanymi do niego małymi łodziami, wiszą naprawiane lub rozplątywane sieci i wszędzie unosi się odór ryb, który wnikał w drewno. Spędził tu tylko tyle czasu, by coś zjeść i kupić trochę żywności. Było to dawno temu, ale wciąż pamiętał niektórych poznanych tu ludzi. Twardych ludzi, których egzystencją rządziło rybołówstwo utrzymujące ich przy życiu i całkowicie je wypełniające. Niekiedy całe dnie płynęli w dół rzeki, niemal aż do jeziora Deynach, tylko po to, by powrócić z zaledwie kilkoma marnymi rybkami w ładowniach. Niekiedy – o wiele rzadziej – połów był obfity, a wtedy wioska świętowała przez tydzień. Żyli z dnia na dzień, częściej wymieniając niż

sprzedając ryby. Sprawiali wrażenie podnieconych jego przybyciem i z radością go pożegnali. Obyc nie miał nic do roboty w San, był tylko kolejną gębą do nakarmienia.

– Musimy je objechać – stwierdziła A’Meer. – Pojedziemy aż do tych wzgórz. – Osłoniła oczy przed słońcem i wskazała na wschód. – Możemy pojechać tamtędy, w dół doliny, znaleźć jakiś sposób, żeby przeprawić się przez rzekę, a potem znowu pojechać na południe.

– Łatwizna – parsknęła Nadzieja. – Proste.

– Łatwe – przytaknął Kosar. Nadzieja spojrzała na niego, unosząc brew. Jej tatuaże poruszyły się, jakby zamierzała się uśmiechnąć. – Potem przeprawimy się przez rzekę Cleur – ciągnął – ominiemy Cleur, następnie pojedziemy do Mareton i na pustynię Mol’Steria, pod warunkiem że Wojna-Katastrofa nie zmieniła tych okolic nie do poznania. Słyszałem o miejscach na dalekim południu, w których powietrze zmieniło się w szkło. – Siedzieli, rozmyślając o podróży, konie pluskały kopytami w strumieniu. W końcu kiwnął głową. – Proste.

– Powinniśmy poprosić Treya, żeby zrobił swoje – powiedziała A’Meer. – Zobaczył, czy droga jest wolna.

– Każda sekunda, kiedy tu siedzimy, zwiększa ryzyko, że nas złapią – zaprotestowała Nadzieja. – Powinniśmy ruszyć dalej, zaryzykować. Nawet jeżeli popatrzy i zobaczy, że równiny między rzekami są pełne Mnichów, jaki będziemy mieli wybór?

– W takim wypadku moglibyśmy pojechać przez Wdowie Szczyty – stwierdził Kosar.

– I spotkać się z parowymi smokami Ventgorii? Serdeczne dzięki, ale nie. Zawsze będę wolała zaryzykować starcie z garstką Czerwonych Mnichów.

– A z setką? – zapytała A’Meer. Przywołała Treya, pokazała mu ich drogę i skinęła głową, kiedy odszedł i usiadł, opierając się plecami o skałę. – Zobaczy, co będzie mógł zobaczyć – oznajmiła. – A nam wszystkim przyda się wypoczynek. Godzina, żeby choć trochę odzyskać siły. Spróbuję złapać trochę mięsa, chociaż będziemy musieli jeść je na surowo.

– Nic podobnego – zaprzeczyła Nadzieja. – Złap nam coś przyzwoitego, a ja zadbam, żeby było gotowe, zanim fledżer ocknie się z transu. Żadnego ognia. Żadnego dymu, który by nas zdradził. Nie jadłaś owcolopy z przyprawami, dopóki nie spróbowałaś mojej.

Kiedy Trey żuł fledż, a Nadzieja siedziała z Rafe’em, Kosar spoglądał na San, szeroką rzekę płynącą obok rybackiej wioski i dalej. Za horyzontem leżała pustynia Mol’Steria, a trzysta kilkadziesiąt kilometrów dalej – Kang Kang. A jeszcze dalej miejsca, które niewielu ludzi widziało i przeżyło. Kiedy przeprawią się przez rzekę i ominą rybackie wioski, znajdą się na prawdziwym odludziu.

Powietrze zmienione w szkło, ziemia zerwana aż do skalnego podłoża, miejsca, w których niebo wybuchało płomieniami. Słyszał wiele opowieści o tym, jak zmieniają się te ziemie. Nigdy nie czuł potrzeby, by oglądać je osobiście.

* * *

Coś się zmieniło. Może fledż szcerstwiał albo wziął go zbyt dużo w za krótkim czasie. Żuł, ale trafiający na język fledż był chropawy, z wyczuwalnymi drobinkami, a nie gładki i słodki jak zazwyczaj.

Na kilka sekund Treya ogarnęła panika. Wkrótce fledż się skończy, a razem z nim przypadnie ostatnia więź z życiem w podziemiach. Pozostaną mu tylko wspomnienia zdominowane przez straszliwą ucieczkę z głębin, najwyższą ofiarę matki i natchniony fledżem dotyk rozbudzonego, rozwścieczonego Naksa. Ale żując nadal, spojrział na zieleń łąk, błękit nieba przeswitujący zza rozstępujących się deszczowych chmur, lśniący w oddali pasek rzeki, a wtedy fledż znalazł drogę do żył i umysłu, gotów wysłać go w podróż.

Zamknął oczy i oparł się plecami o skałę. Nie musiał spać, by wędrować z fledżem, ale naturalną reakcją ciała było pogrążenie się w łagodnej drzemce. Nie śnił – wciąż słyszał rozlegające się wokół dźwięki, czuł jak wiatr porusza drobnymi włoskami na jego twarzy i rękach, widział ciężkie góry na zachodzie – ale jego umysł był unoszony przez narkotyk i kiedy fledż dotknął jego serca, został uwolniony.

Nadal było inaczej. Jego umysł szybował, ale nie widział we właściwy sposób. Dostrzegał zarysy, same tylko wrażenia, zupełnie jakby kształty zostały wciśnięte w podatną glinę jego świadomości. Wzbił się, lecz kiedy spojrział w dół, zobaczył pod sobą, w dole, zbocze wzgórza, ale pozbawione szczegółów. Wyczuwał chłodny nurt strumienia gdzieś z prawej strony, a poniżej widniały plamy – jego towarzysze przypominający żywe skały zatopione w ziemi.

Opadł znowu w dół i dotknął umysłu Alishii, obawiając się, co w nim zastanie. Podobnie jak poprzednim razem był przepastny i chociaż nie pojmował możliwości tego umysłu, mógł zrozumieć jego pustkę. Płynął, przenikając przez miejsca, w których powinna znajdować się Alishia. Były zimne i głębokie. Ruszył w stronę samotnego światelka w ciemności, tam gdzie jakiś czas temu, w jaskini, dotknął jej świadomości. Zbliżając się, słyszał jej mamrotanie.

Tak, tak, jest mnóstwo do zobaczenia, mnóstwo do poznania i tak, tak, chcę.

Przesunął się odrobinę do przodu i dotknął jej umysłu.

Co? – zapytała z zaskoczeniem. Kto? Czy to odeszło, odeszło na dobre?

Cokolwiek cię skrzywdziło, odeszło.

Skrzywdziło? Zabiło mnie, zamordowało.

Z kim rozmawiałaś?

Opustoszyło mnie! Wszystko, czym byłam, jest w strzępach!

Alishio, jestem tu, żeby ci pomóc. – Trey posuwał się wolno, starając się wyczuć, jak wiele pozostało z Alishii. To mogło być szaleństwo albo echo, albo nawet głos jej ducha, wciąż połączony z umierającym ciałem nicią niedowierzania i niezgody na odejście.

Nie ma dla mnie pomocy – szepnęła i nagle Trey poczuł, jak ciemność napiera na niego ze

wszystkich stron. To nie Alishia się cofnęła, to ciemność narastała. I wypchnęła go z umysłu dziewczyny.

Został odrzucony. Wirował, toczył się przez zniekształcone strefy świadomości otworzone przed nim przez fledż. Zorientował się w przestrzeni i przepłynął obok Kosara, obok wiedźmy i jej intryganckiego, pokrętnego umysłu. Im bardziej zbliżał się do Rafe'a, tym wyraźniejsza stawała się jego twarz, aż wreszcie umysł Treya sięgnął i dotknął czegoś poza granicą własnego pojmowania. Tyle przestrzeni. Tyle miejsc do ukrycia.

Zatoczył się i skierował swój umysł w dół zbocza i w kierunku znajdującej się w oddali wioski. Cieszył się, że oddala się od Alishii i Rafe'a – taka odmienność sprawiała mu ból – i patrzył na szaroniebieskie niebo, zieloną plamę łąk i niewiele więcej. Jego umysł był miękki i rozmyty. Małe skaliste grzebienie zniknęły. Chmury stały się cieniami. Tu i ówdzie żywe istoty przesuwają się pod nim i był zły, że nie mógł ich rozpoznać.

Stabilność pod nim nagle zniknęła. To, co było w dole, poruszało się, płynęło, niosąc ze sobą milion przemieszanych wrażeń. Rzeka. Trey podążał z jej biegiem, jego pojęcie o tym, co znajdowało się poniżej, było w najlepszym razie mgliste. Mijał miejsca, w których rzeka była przecięta. Wciąż nieczytelne, w porównaniu z płynnymi cieniami rzeki przypominające lite, solidne plamy. Próbował mrugnąć, aby poprawić zdolność widzenia, ale to nie wzrok był upośledzony ani jego zdolność podróżowania. Czerstwy fledż, pomyślał. Zaczyna czerstwieć. Być może po raz ostatni poruszał się w taki sposób.

A co potem? Co wiedźma i inni z nim zrobią? Czy odtrącą go razem z biedną szaloną Alishią, porzucą w miejscu, w którym akurat będą?

Trey zbliżył się do powierzchni rzeki i dźwięki oraz smaki zmieniły się, gdy zanurzył się w jej nurt. Wody wokół niego pełne były życia, o wiele bogatszego niż martwe powietrze nad nimi i przez kilka sekund rozkoszował się jego różnorodnością. Wciąż nie mógł we właściwy sposób widzieć, dotykać, badać otaczających go obcych umysłów. Ale był tu razem z nimi i na razie to wystarczało.

Potem wbił się znowu i powędrował szybko z biegiem rzeki. Posuwał się w nurcie wieków, wędrował na falach zmian, którym koryto rzeki ulegało w miarę upływu czasu. Były tam niszczące skały, warstwy mułu, zalewowe równiny, wijące się przez tysiące lat niczym gigantyczny wąż, pełznący od gór do odległego morza. W mulistym dnie leżały pogrzebane historie – nurkując, Trey wyczuł niespokojne duchy załogi zatopionej barki, które uległy tak doszczętnemu rozpadowi, że stały się właściwie tylko wspomnieniami, ale wciąż nawiedzały miejsce swego zgonu – a brzegi rzeki kryły w swoim łonie bardziej aktualne opowieści. W jednym miejscu pogrzebane zwłoki, w innym dziób roztrzaskanej łodzi.

Sunął dalej. Jego widzenie nie poprawiało się, zmysły nadal były nieprecyzyjne, ale przekonał się, że przy pewnym wysiłku wciąż może rozpoznawać to, co widział i czuł. Jego własny intelekt wypełniał luki.

I nagle krew.

Rzeka stała się czerwona. Barwa była jak potężne uderzenie na tle sepii, do której już się przyzwyczaił. Szybko wynurzył się z zakrwawionych wód, próbował odwrócić wzrok, ale zafascynował go posuwający się pod prąd czerwony ślad. Wysłał poszukujące myśli, przerażony tym, co dostrzegł, schwytyany i ściągany w dół... i nagle czerwień rozbiła się na cząstki, a każda z nich była łodzią. Zbliżył się, kryjąc za fałdą poziomą rzeczywistości, i spróbował przyjrzeć się dokładnie.

Wszystkie łodzie były niewielkie, z brudnymi żaglami na masztach. Posuwały się po wodzie jak gigantyczne pająki, wiosła zanurzały się i popychały je pod prąd. Poruszały się szybko, ale wioślarze się nie męczyli. Od głów do stóp byli odziani w czerwień.

Trey odleciał jak najszybciej. Uciekał od rzeki, w obawie, że dostrzegą go lub wyczują. Te istoty były potężne i przerażające, ale miał pewność, że nie są w stanie widzieć tak daleko, jak on. Gdyby potrafiły, wyczułyby to... ich ogarnięte wściekłością zmysły pełzały po jego umyśle.

KurwaMag, pomyślał Trey, wracając szybko do swojego ciała. KurwaMag, na pewno nie chcemy się z nimi spotkać.

* * *

– Łodzie pełne Czerwonych Mnichów. – Kosar i A'Meer spojrzeli na niego, marszcząc brwi. Rafe siedział niedaleko, obserwując go, ale nic nie mówił i nie okazywał emocji. Jego oczy – kiedy spotkali się po raz pierwszy, udręczone i pełne bólu – teraz wyglądały jakoś obco.

– Ile łodzi?

– Cztery lub pięć – powiedział Trey. – Może po dwudziestu Mnichów w każdej. Są tacy nieludscy. Mężczyźni i kobiety, ale nie do końca. Zupełnie jakby odarto ich ze wszystkiego do gołej kości, ich dusze są połamane. Ograniczone do samych podstaw. Kim są te stwory?

– Czymś, z czym nie chcemy się spotkać – odparła A'Meer. – Jak daleko?

Trey zamknął oczy, usiłując sobie przypomnieć. Nie był pewien, ale nie chciał ujawnić swojej niepewności. Potrzebują mnie, pomyślał. A ja potrzebuję, żeby mnie potrzebowali.

– Niezbyt blisko – oznajmił. – Przymgleni odległością. Trudno ocenić. Nie przywykłem sięgać tak daleko. Jeszcze kilka dni temu nie oddalałem się od domu bardziej niż na kilka kilometrów.

– Mniejsza o to – rzucił Kosar. – Przynajmniej...

– Pomyśl – syknęła A'Meer. – Spróbuj ocenić jak najdokładniej. Nie możemy pozostawiać tego przypadkowi. Kosar i ja z trudem pokonaliśmy jednego z tych czerwonych skurwysynów. Jeżeli spotkamy się z setką, przysięgam, że od razu rzucę się na swój miecz. Musimy wiedzieć, Trey. Musimy wiedzieć, ile mamy czasu.

Zamrugnął, spoglądając na niską wojowniczkę. Związane z tyłu czarne włosy odsłaniały

jej bladą twarz, oczy miała piękne. Nosiła pasy z bronią, której pochwy tworzyły jakby drugą skórę. Nie był pewien, kto budzi w nim większy lęk – Czerwoni Mnisi czy A'Meer.

– Dość daleko – powiedział, spoglądając na rzekę widoczną w oddali za plecami A'Meer.

– Mamy czas. Poruszają się szybko, ale pod prąd. A my mamy konie.

A'Meer odwróciła się gwałtownie.

– Ruszamy natychmiast.

– A królik, którego złapałaś? – zapytała Nadzieja. – Właśnie miałam go przyprawić.

– Zrobisz to w czasie jazdy – odparła A'Meer.

– Paskudnie – stwierdził Trey. – Czuję, że wkrótce zdarzy się coś paskudnego.

– Rzeką nie jest tym, co myślimy – rozbrzmiał głos i wszyscy odwrócili się w stronę Rafe'a. Od ubiegłej nocy prawie się nie odzywał zadowolony, że go prowadzą, kierują naprzód i kontrolują sytuację. – Jest bardziej kapryśna, niż sobie wyobrażacie. Równie dobrze może sprowadzić na nas Mnichów w chwili, kiedy będziemy się przeprawiali.

– Mówi ci o tym twoja magia? – spytał Kosar.

Rafe spojrzał na potężnego złodzieja i przez ułamek sekundy Trey dostrzegł na twarzy chłopaka coś, co sprawiło, że wyglądał na bardzo starego. Potem popatrzył na równiny.

– To nie moja magia, Kosarze. Nie, nie powiedziała mi, ale pokazała. – Zamknął oczy, ale powieki znowu uniosły się gwałtownie. – Spójrzcie. Właśnie nam pokazuje.

Kiedy Trey odwrócił się, by spojrzeć tam, gdzie wskazywał Rafe, usłyszał westchnienie Nadziei.

– Ty to robisz?

– Kraina robi to sama – wyjaśnił Rafe. – Jest całkiem rozchwiana, jej równowaga została zakłócona, była zakłócona od dziesięcioleci. Powietrze zastygłe jak szkło, Kosarze? Połykające jamy, Treyu? Kraina pożera sama siebie, a my przybyliśmy tu w niewłaściwym czasie. – Pokręcił głową i spojrzał na swoje dłonie, jakby spodziewając się, że coś w nich zobaczy. – Cokolwiek jest we mnie, być może pojawiło się zbyt późno.

W Rafe panował zamęt. Podobnie jak rzeka na równinie, walczył sam z sobą, czując, jak dawny Rafe – dezorientowany, przerażony, pragnący jedynie spokoju, by opłakiwać zabitych rodziców – próbuje nie zwracać uwagi na rosnące w nim obce ja. Widział je, czuł, smakował jego moc i potrzebę, aby je pielęgnował i rozumiał. Ale nie chciał tego. Bezustannie pragnął, aby odeszło, ale niczym bicie serca zawsze znajdowało się w tle, szeptało bez względu na to, jak bardzo starał się nie słuchać.

Cóż za przestrzenie się otwierały, cóż za dar, jakże bezcenny. A jednak tkwiąca w nim najpotężniejsza moc wciąż była niczym niemowlę, potrzebowała go, jego ciała, duszy i umysłu, aby ją chronił aż do objawienia.

Krzyknął.

– W imię wszystkiego, czy to ta cholerna magia? – szepnęła Nadzieja.

– Być może – odparł Kosar. – Być może. – Wyciągnął rękę, by dotknąć A’Meer, i napotkał jej czekającą dłoń.

Nawet z tak dużej odległości słyszeli hałas. Dobiegał do nich nad równiną, dudniąc jak grzmot, wprawiając w wibracje ziemię. Trawy kołysały się jak pod nagłymi uderzeniami wiatru. Za Sanem, w dole nurtu, w odległości jakichś pięciu kilometrów od nich, rzeka burzyła się. Wyglądało to jak erupcja, eksplozja wody i pyłu wodnego wznosząca się na setki kroków w powietrze, rozrastająca się na kształt grzyba, opadająca w dół i nieustannie zasilana przez wzburzoną rzekę. Wiatr unosił wodny pył, biały tam, gdzie woda była czysta, brudnoczerwony w miejscach, gdzie zmieszała się z gliną z dna, zielony gdzie wstrząs wyrwał drzewa oraz krzewy i cisnął je w górę nurtu. Rzeka wystąpiła z brzegów na równiny zalewowe, niosąc ze sobą roślinność, błoto i rzeczy zbyt małe, by można je było dojrzeć.

– Co się dzieje? – zapytał Kosar. Nikt nie odpowiedział, ponieważ nikt nie wiedział.

Rzeka przepływająca przez San nadal docierała do wodnej eksplozji, podsycając ją tak, jak powietrze podsyca ogień. Tęcze tańczyły w jej niszczycielskich głębinach, migocząc z lewej i prawej w miarę, jak kształty wodnej góry zmieniały się i przesuwaly. Dwie, czasem trzy tęcze flirtowały z wodą niczym motyle. Ale nie było w tym żadnej ceremonialności, próby zaimponowania. Tu działały wyzwolone pierwotne siły, niszczycielska moc, która wyładowywała się na rzece płynącej przez nizinę.

Kosar zauważył, że w dole rzeki, z dala od chaosu, woda wciąż płynęła korytem. Pomyślał, że przy takich jej ilościach wyrzucanych w powietrze i na niziny poziom rzeki opadnie, ale wydawał się niezmienny. Jak okiem sięgnąć, wywołane erupcją fale rozbijały się o brzegi. Drzewa w dolnym biegu zaczęły osuwać się w rzekę, odsłaniając korzenie oblepione błotem. Ale nie odpływały. Kołysały się jedynie, ocierając o siebie, unosząc się i opadając na falach, ale zostawały na miejscu. Zupełnie jakby rzeka zmieniła się w jezioro pozbawione wewnętrznego nurtu.

Spłoszone ptaki wzbily się w powietrze – stado gęsi pokrzykiwało w górze – widział pojawiające się i znikające kształty zwierząt uciekających w stronę wysokich wzgórz. Niektóre były małe i nie budziły w nim żadnego niepokoju, ale było też kilka większych, które przebiegały od krzaków do zarośli, od zarośli do zagajników, instynktownie szukając kryjówki, chociaż ich życie lada chwila mogło się skończyć. Co to za zwierzęta? – zastanawiał się Kosar. Wyglądały na duże. W większości było to pewnie bydło wieśniaków z San, ale mogły się znaleźć wśród nich i wilki, a może nawet lisolew lub dwa. Jego dłoń poszukała miecza, ale potęga tego, co widzieli, wkrótce odpędziła wszelkie myśli o zagrożeniu.

To potęga natury, która stała się zła, pomyślał. A potem uświadomił sobie prawdę i wiedział już, że się mylił. Zjawisko było wszechpotężne, ale nie była to tylko natura, nie taka,

jaka powinna być. W przyrodzie rzeki płyną tylko w jedną stronę.

– Cofa się – powiedział, nie zwracając się do nikogo, ale usłyszeli wszyscy. – Płynie w przeciwną stronę. Zupełnie jakby ziemia się przechyliła i rzeka zmieniła kierunek.

– Boli – wymamrotał Rafe, a potem krzyknął: – To boli!

Kosar odwrócił się i zobaczył, że chłopak upadł na kolana. Nadzieja była przy nim, usiłowała go podtrzymać, przemówić do niego, ale nic nie mogło go pocieszyć.

– Zalewa równinę – oznajmiła A'Meer.

Kipiel nieco opadła, ale teraz utworzyła się fala i zaczęła posuwać się pod prąd. Huczała przy brzegach, zmywając z nich roślinność, wyrwała głazy i toczyła je, rycząc, jakby sama ziemia rozdierana była na dwoje. Fala wydostała się już poza koryto rzeki, rozlewała po równinie na szerokość półtora kilometra i wciąż rosła. Dudniła, a ziemia przed nią krzyczała, jakby wiedziała, co nastąpi.

– San – szepnął i przypomniał sobie twarze poznanych tam ludzi. Teraz zapewne wyglądają inaczej, z ustami otwartymi ze strachu, wytrzeszczonymi oczami, tak przerażeni, że niezdolni płakać.

– To nie potrwa długo – odezwała się A'Meer, jakby mogło to coś poprawić.

W fali było coś niepowstrzymanego i bezlitosnego. Przetoczyła się w górę rzeki i przez wioskę San. Z tej odległości Kosar nie mógł widzieć dokładnie zniszczonego Sanu i był za to wdzięczny losowi. Kilka budynków wystrzeliło w górę. Powódź wyrzucała do góry belki i deski. Kilka łodzi rybackich przez parę sekund płynęło na fali. W końcu jednak opadły i zostały rozbite na drzazgi, które znów pojawiły się na powierzchni. Kilka pomostów – których pale wbity w dno rzeki, zanim jeszcze kraj usłyszał o Magach – zerwała woda i teraz obracały się bez końca, odpływając od wioski.

Nie zobaczył nawet śladu jej mieszkańców.

Zupełnie jakby właśnie San był prawdziwym celem kataklizmu, po minięciu wioski fala zaczęła rozlewać się na boki i opadać. Pozostawiła po sobie niewiele. Widać było słabe zarysy paru większych budynków pozbawionych dachów i z pochylonymi na zewnątrz ścianami. Okolica, wioska, koryto rzeki nabrały jednolitego, szarobrunatnego zabarwienia. Wzburzony z dna muł pokrywał wszystko. Woda, która wyrwała się z dawnego koryta, przybierała nowe kształty, tworzyła jeziora i rozlewiska wciąż bulgoczące i spienione po swych nienaturalnych narodzinach.

Minęło jeszcze kilka minut, zanim wszystko się uspokoiło. Kosar i pozostali milczeli i tylko Rafe cicho łkał. Ale łzy nie płynęły, jakby nie chciały zwiększać powodzi. Niewiele było do powiedzenia i tylko patrzyli. Nad sceną zniszczenia wisiała wielka tęcza o kolorach zbyt czystych, by sprawiały radość. W powietrzu unosiły się ławice mgły i obserwujący wkrótce poczuli na twarzach jej chłodny dotyk niosący ze sobą zapach i smak katastrofy.

W końcu hałas ucichł, mgły rozwiały się i rzeka popłynęła w górę koryta.

* * *

Rafe łkał, ale wewnątrz niego wyla wciąż jeszcze odkrywająca samą siebie magia. Niczym obdarzona uczuciem istota opłakiwała śmierć swojej dawnej postaci i chociaż już zmartwychwstała, i minęło tak wiele lat, wciąż cierpiała z powodu zdrady i nadużycia jej przez Magów. Opłakiwała także spowodowany przez to nadużycie, trwający wciąż proces zniszczenia. Rafe nie mógł pozbyć się tych myśli, ponieważ nie był ich źródłem. Był obserwatorem – współczującym, zatroskanym i w jednoznaczny sposób zaangażowanym – ale nie stanowił części szalejącej w nim mocy. Czubki palców mrowiły pod wpływem jej potencjału, całe ciało rozgrzewały i wprawiały w dreszcze przepływające przez nie siły. I ogarnięty ślełą wściekłością i szaleńczym smutkiem oraz pragnieniem, żalem i żądzą zemsty, nie wiedział, skąd brało się to łkanie ani też co kieruje tą przerażającą energią, która wzbierała gdzieś w jego głębi.

Rafe łkał z bólu, smutku i strachu. Ale płakał również nad sobą, ponieważ czuł się tak bezradny.

Nie miał pojęcia, co jeszcze może się zdarzyć.

* * *

– Cóż, teraz mamy do sforsowania coś więcej niż rzekę – oznajmiła cicho A'Meer.

– Możemy pojechać na pogórze – powiedział Kosar. Odwrócił się i spojrzał na Rafe'a, sądząc, że może chłopak zdoła im pomóc. – Przeprowimy się przez rzekę przy jej źródle.

– Tak – potwierdziła A'Meer. Oszołomiona wciąż wpatrywała się w płytką dolinę.

– Jakim źródle? – odezwał się Trey. – Co waszym zdaniem zastaniemy, kiedy dotrzemy do Wdowich Szczytów? – Patrzył na nich. Na jego szczupłej twarzy malował się smutek.

Kosar roześmiał się z goryczą.

– Jesteśmy głupi – zwrócił się do A'Meer. Wskazał rzekę, gdzie wyrwane z korzeniami drzewa płynęły wolno od prawej ku lewej. – W górę rzeki? Kiedy tam dotrzemy, natrafimy tylko na powódzie. W jaki sposób rzeka może płynąć w niewłaściwą stronę? Jak długo?

– Woda zbierze się wśród wzgórz i gór, a po kilku dniach lub godzinach zacznie wracać tą samą drogą – wyjaśnił Trey. – Może po kilku minutach.

– Mamy tu coś więcej niż rzekę – zauważyła Nadzieja. – To wygląda jak jezioro płynące w tamtą stronę. Morze.

– W porównaniu z tym, co nastąpi, to, co widzieliśmy, będzie przypominać pluśnięcie w stawie. – Trey zatoczył ręką łuk, wskazując dolinę przed nimi, i Kosar wiedział, że górnik ma rację. Bez względu na to, jaka była nienaturalna przyczyna kataklizmu, jak bardzo było to niewłaściwe, rzeka mogła płynąć pod górę jedynie do momentu, kiedy jej gigantyczna energia nie zostanie uwolniona po raz kolejny. A kiedy wróci tą samą drogą, będzie szybsza i milion

razy bardziej zabójcza.

– Ale dlaczego? – zapytał Trey i zerknął na Rafe'a, jakby w oczekiwaniu odpowiedzi.

– To dzieje się bez przerwy – wtrąciła się Nadzieja. – Kraina słabnie i zmienia na gorsze. Połykające jamy, zastygłe powietrze, płonące niebo i rzeki płynące pod prąd. Po prostu znaleźliśmy się tu w niewłaściwej chwili. Pech. W Noreeli mamy pecha.

– Ale magia wróciła, właśnie w nim. Prawda? Czy nie ryzykujemy, aby go chronić?

– Przypisujesz magii osobowość – stwierdziła Nadzieja. – Jest o wiele bardziej żywa niż my, jest jej przypisane bardzo wiele, ale to nie oznacza, że myśli. I po co miałyby to robić? Nasze myślenie, z naszą chciwością, zachłannością i lekceważeniem. To właśnie uczyniło Magami takimi, jacy są. Dlatego zrobili, co zrobili, a magia odeszła od nas po Wojnie-Katastrofie. Skutki tego wciąż są odczuwalne, właśnie je widzieliśmy, i możemy tylko mieć nadzieję, że jeżeli rzeczywiście postanowi powrócić poprzez Rafe'a, znowu uczyni wszystko lepszym.

– Albo gorszym, o wiele gorszym – rzekł Kosar. Siły, które właśnie widział, były niczym w porównaniu z tym, co mogła uczynić prawdziwa magia. Historie, które słyszał, legendy o maszynach przerzucających mosty nad dolinami, latających w powietrzu, kopiących ziemię...

– Czerwoni Mnisi! – odezwała się nagle A'Meer. – Wciąż mogą być na rzece, a prąd im teraz sprzyja. Musimy ruszać! Natychmiast.

Zdezorientowani, wstrząśnięci zebrali swoje rzeczy, wsiedli na konie i ruszyli w dół zbocza. Nadzieja znowu szła obok Rafe'a, a Trey prowadził konia z nieprzytomną Alishią. Kiedy dotarli do równiny i skraju zniszczeń, Nadzieja przebiegła od konia do konia, podając jeźdźcom kawałki królika, którego upolowała A'Meer przed kataklizmem na rzece. Dzięki jakiemuś proszkowi czy wywarowi nie był surowy, i chociaż wciąż zimny, smakował jak ugotowany i przyprawiony.

Kosar obgryzał wręczoną przez Nadzieję nóżkę, ale niezbyt mu smakowała. Miał zamęt w głowie i od chwili, kiedy przed kilkoma minutami pojawiła się myśl, że może Mnisi mają rację, czuł się jeszcze bardziej zdezorientowany. Spieszyli przez Noreelę, aby zawieźć do Nowego Shanti Rafe'a, chłopaka w którym najwyraźniej budziła się magia, która wykorzystywała go jako bramę do tego świata, badała teren przed ujawnieniem się w pełni. Jednocześnie było całkowicie możliwe, że Magowie wciąż jeszcze żyją i mogli usłyszeć o Rafe, i być może widzieli, co się stało, kiedy uleczył A'Meer. Alishia była tego dowodem, dziewczyna, której umysł jakiś psychiczny intruz rozszarpał na strzępy i uciekł tam, skąd przybył. Magowie będą pragnęli zdobyć jego i tę nową magię. A jeżeli go schwytają, wykradną albo rozpoczną wojnę na Noreeli, aby go zdobyć, magia może znaleźć się znowu w ich rękach. A potem?

Płonące powietrze albo rzeki płynące pod prąd staną się najmniej przerażającymi rzeczami. Ostatnim razem Magowie działali, kierując się chciwością i żądzą władzy. Tym razem, jeżeli posiadą magię, triumfalnie powrócą z wygnania. Jeżeli ich wojska umarły i

rozpadły się w proch, będą mogli stworzyć nowe. Jeżeli ich żołnierze nie będą mogli biec wystarczająco szybko, zbudują maszyny. Ale teraz ich głównym motywem będzie zemsta.

...Być może Mnisi mają rację...

* * *

Na granicy pomiędzy normalnością – wysokimi trawami kołyszącymi się na lekkim wietrze, suchą i twardą ziemią pod stopami – a brzegiem wód nienaturalnej powodzi konie i wędrowcy zatrzymali się. Wierzchowce Kosara i A'Meer tupotały i parskały, a słabsze konie, które wiozły Rafe'a i Alishię, jedynie stały z opuszczonymi głowami, tocząc różową pianę z pysków.

Alishia wymamrotała coś i poruszyła się w siodle.

Rafe ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w ziemię

A'Meer ruszyła pierwsza. Jej koń rozbryzgał kopytami kałużę i ominął rozszarpanego potężnym uderzeniem trupa owcolopy. Z błota sterczały powbijane kawałki desek. Na wzniesieniach trawa leżała płasko. Ziemia została spod niej wypłukana i teraz żdzbla wyschną i umrą na słońcu. W pobliżu leżały zwłoki kilku kurcząt o zmierzwionych, pokrytych błotem piórami, futroperza z rozpostartymi skórzastymi skrzydłami, jakby szykującego się do lotu, dziewczynki z warkoczami owiniętymi wokół szyi jak sznury. Jej oczy patrzyły w niebo wypełnione jego błękitem, a na jej ciele nie było żadnych obrażeń, żadnych krwawych plam na białej sukience.

Starali się jechać po wzniesieniach. Koń Kosara potknął się w głębszej kałuży, zagłębieniu wypełnionym mętną wodą. Złodziej musiał pochylić się i mocno złapać siodła, żeby nie zostać zrzucony. Jego wierzchowiec wpadł w panikę i usiłował odzyskać równowagę, wierzgając na wszystkie strony. Na powierzchnię wzburzonej wody wypłynęły kolejne zwłoki. Tym razem była to ryba wielkości człowieka, żółta i napęczniała. Nawet mieszkańcy rzeki nie uniknęli gwałtownej śmierci.

Słońce paliło miejsce katastrofy i wkrótce zaczęła podnosić się delikatna mgła, tańcząca w zawirowaniach prądów powietrznych. Zaczęli się pocić w parnym powietrzu, ale Rafe zdawał się niczego nie zauważać. Patrzył pod końskie kopyta, na mijane martwe istoty, ukrywając to, co działo się w jego wnętrzu.

Natknęli się na grupę siedmiu, ośmiu splecionych zwłok pozostawionych przez wodę pod wielką skałą. W przeciwieństwie do utopionej dziewczynki, wszystkie nosiły ślady obrażeń. Byli tu mężczyźni i kobiety, a parę ciał było tak zmasakrowanych, że nie sposób było rozpoznać płci. Żaden ścierwojad nie szarpał szczątków, muchy nie brzęczały nad otwartymi poszarzałymi ranami. Być może dlatego, że leżały tu od niedawna i trupojady jeszcze ich nie odnalazły. A może nie chciały żywić się ciałami ofiar spazmu natury. Zawsze mogły znaleźć mnóstwo innych zwłok.

Mgła nie zakrywała koszmarnych widoków, ale sprawiała, że były nieostre. Na swój sposób było to gorsze. Na wpół ukryte prawdy pobudzały do ciągłych rozmyślań, wyobrażenia podpowiadała szczegóły.

Rafe prawie nie podnosił głowy. Jeżeli dysponował magią, która wyleczyłaby wszystkie choroby kraju, nie dawał tego po sobie poznać.

W miarę jak zbliżali się do rzeki, wzniesienia stawały się coraz rzadsze. Połacie wody pozostawionej przez powódź stały się głębsze i bardziej rozległe i w końcu wokół nich było więcej wody niż ziemi. Konie początkowo brodziły w niej bez trudu, ale Nadzieja i Trey wkrótce zaczęli mieć kłopoty, nie mogli posuwać się dalej i trzeba było ich również posadzić na konie. Nadzieja usiadła za Kosarem, Trey za A'Meer. Cztery wierzchowce szły dalej i woda niekiedy sięgała ich brzuchów.

Kiedy zbliżyli się do rzeki San, mogli lepiej zobaczyć, co zostało z wioski. Część znajdująca się na samym brzegu została całkowicie zniszczona – nabrzeża, pomosty i szopy rybackie zniknęły, zmiecione i rozproszone po równinie razem ze zwłokami nieszczęśników, którzy znajdowali się w pobliżu. Pozostałości w głębi łądu nawet nie przypominały wioski. W jednym miejscu widać było część muru, w innym przełamaną na pół łódź spoczywającą na stercie kamieni, która mogła stanowić resztki domu. Na wodzie unosiły się nieliczne pozostałości wioski, które zostały zmyte i rozproszone na zalanym terenie. Wokół końskich nóg unosiły się kawałki drewna i tkanin, martwe ryby i ludzkie zwłoki.

– Wkrótce znajdziemy się przy dawnym brzegu rzeki – powiedział Kosar. Spojrzał na wodę sięgającą do połowy końskich nóg. – Tam będzie o wiele głębiej. Potrzebujemy łodzi albo promu, który przewiezie nas na drugą stronę.

– Nic nie zostało – odezwała się zza jego pleców Nadzieja.

– Coś musi być – oznajmiła A'Meer. Trudno było zgadnąć, czy przemawia przez nią pewność, czy desperacja.

– Jak daleko mogą być ci Mnisi? – zapytał Kosar. – Trey, płynęli łodziami. Czy mieli konie?

Siedzący za A'Meer Trey zmarszczył brwi i pokręcił głową.

– Nie mieli koni, nie sędzę. Było tylko mnóstwo Mníchów. Łodzie niewielkie, ale szybkie. Miały wiosła i żagle.

– A więc jeżeli dotrą do nas, zanim się przepawimy, wciąż będziemy mieli szansę – stwierdził Kosar. – Będziemy mogli posuwać się szybciej niż oni.

– Jadąc parami na zdrowych koniach? – wątpiła Nadzieja. – A dwa pozostałe... Kupiłam je od rolników, którzy z trudem mogli wykarmić samych siebie, a co dopiero swoje zwierzęta. Jestem zaskoczona, że jeszcze żyją. Dwie minuty galopu i padną. Powinniśmy się zamienić... Rafe powinien jechać na zdrowym, jest najważniejszy.

– Wszyscy jesteśmy ważni – zauważyła A'Meer.

– Ale to jego staramy się uratować – powiedziała spokojnie Nadzieja. Jej tatuaże

poruszały się niespokojnie.

– W każdym razie nie możemy dotrzeć dużo dalej – oznajmiła A’Meer. Zatrzymali się na pagórku, którego zadrzewiony szczyt wystawał nieco nad powierzchnią wody. Było dość miejsca, by zejść do skraju rzeki, popatrzeć ponad rozległą powierzchnią mętnej wody na niewyraźną za mgłą przeciwną stronę. Brzegu rzeki nie sposób było odróżnić od zalanej równiny. Woda płynęła od prawej strony do lewej, niosąc ze sobą dowody niedawnego kataklizmu. Drzewa i krzewy, ciała i porozbijane deski, a także kilka stworzeń, które wciąż usiłowały utrzymać się na powierzchni, machając skrzydłami, wiosłując nogami. Najwidoczniej zwierzęta, które padły ofiarą katastrofy, były silniejsze od ludzi. Jak dotąd nie napotkali ocalałego człowieka.

– Cholera, jak gorąco – westchnął Trey. Rozebrał się, pozostając jedynie w spodniach i butach. Kosar dostrzegł na jego żółtej skórze różne blizny, pamiątki po ranach odniesionych w licznych wypadkach pod ziemią. Zastanawiał się, jak wyglądałaby Nadzieja bez swojej grubej sukni, czy tatuaże znajdowały się także na zasłoniętych częściach jej ciała, tworząc sekretne wzory. Chociaż twierdziła, że jest całkiem szczerą, otaczało ją wiele tajemnic i obawiał się, że w jej torbie kryje się wiele rzeczy, których jeszcze nie widzieli.

– Rafe? – zapytała Nadzieja. – Czy jest coś, co mógłbyś dla nas zrobić?

Chłopak zamrugał, jakby odezwała się w jakimś nieznanym języku.

– Rafe?

– Jestem tylko wiejskim chłopakiem – odparł. Zmarszczył brwi, pochylił się na bok w siodle i rozczapierzonymi palcami dotknął ziemi. – Dobra gleba.

Nadzieja pokręciła głową, zerknęła na Kosara i jeszcze raz spojrzała na rzekę.

– Mogłabym popłynąć – stwierdziła A’Meer. – Dotrzeć do tego, co zostało z Sanu, i zobaczyć, czy jest tam jakaś nieuszkodzona łódź.

– A co potem? – odezwał się Kosar. – Powiosłujesz do nas pod prąd? Ominiesz drzewa, które przedziurawią łódź, jeżeli w nią uderzą?

– A co innego proponujesz?

– Nie wiem – odparł, kręcąc głową. – Chyba musimy zaryzykować i przepłynąć na koniach. Być może przez większą część drogi będzie dość płytko i zdołają iść, a potem, jak będzie trzeba, popłyniemy. Konie dobrze pływają. I...

– Utoniemy – zaprotestował Trey. – A ja nie umiem pływać. Pod ziemią to nie była przydatna umiejętność.

– Ma rację – przyznała A’Meer. Kopnęła patyk i patrzyła, jak spada do wody, a potem płynie w stronę Wdowich Szczytów. – Utoniemy. – Odwróciła się i spojrzała na Rafe’a, milcząco zadając mu to samo pytanie, co Nadzieja.

Zsiadł z konia i uklęknął. Przesuwał palcami po trawie, wbijał je w ziemię aż po kłykcie, ugniatał ją, przywierał do niej z całych sił. I skowyczał jak pies, którego mają wychłostać albo który zgubił swojego pana. Kara lub utrata – jedno i drugie rozdzierało serce.

– Rafe? – spytała A’Meer. Spojrzał na nich. Ale jego oczy były szkliste i dostrzegli w nich coś ponadludzkiego.

* * *

Widział magię całej krainy. Starą magię, uznaną, szanowaną i czczoną przez wiele pokoleń, zanim Magowie ją zdradzili. Widział, ile dobrego zrobiła, łatwość, z jaką została włączona w życie ludzi, dobroczynną moc, którą emanowała. Nie żądała ofiar, pokłonów ani modłów, ale przyjmowała szacunek, który budziła, i rosła razem ze światem, któremu służyła. Jej energia była nieograniczona, jej granice znajdowały się w nieskończoności. Ludzie krainy wykorzystywali jej skuteczność, tak jak pozwalała im na to wyobraźnia, i chociaż mogła więcej – o wiele więcej – magia nie tworzyła zagadnień i pojęć niezrozumiałych dla człowieka. Używali jej do napędzania maszyn orzących pola, chociaż mogli sami zajmować się rolnictwem. Korzystali z niej, aby zapewnić pomoc umierającym na straszliwe choroby, chociaż w rzeczywistości magia mogła ich uleczyć zwykłym dotknięciem. Podsycała płomienie, które mogli sami rozpalić, gromadziła materiały budowlane, chociaż sama mogła wznosić budynki, przenosiła wiadomości poprzez kraj, chociaż mogłaby je przekazywać z prędkością myśli. Ludzie używali magii, by im służyła, zapewniała rozrywkę i pomagała prowadzić takie życie, jakie chcieli, i chociaż mogła robić o wiele więcej, zadowalała się tylko tym. Nie była zazdrosnym bogiem.

Rafe widział to i rozpoznawał tkwiący w nim samym potencjał, potężniejszy węzeł mocy, który wydawał się tkwić głębiej niż jego dusza. Był jego częścią bardziej niż jego własna osobowość, wspomnienia i myśli, ale mimo wszystko pozostawał całkowicie obcy. Przekazywał mu swój zachwyty, a otrzymywał w zamian poczucie spokoju, pewności siebie i bezpieczeństwa. Myślał o tym, skąd się wziął – rodzice mówili, że znaleźli go na zboczu wzgórza. Zastanawiał się, kto go tam porzucił, co wiedział o jego pochodzeniu. Przypuszczał, że takie było przeznaczenie, i chociaż jego pochodzenie pozostawało tajemnicą, nie przejmował się tym. Liczyło się, że jest tu i teraz. A także miłość, którą zawsze będzie czuł do swoich rodziców, mimo że ta rodząca się magia pośrednio przyczyniła się do ich śmierci.

A jednak, pomimo wszystko, magia była dzieckiem. Zrozumienie, że tak wielka moc może okazać się tak bardzo bezbronna, było dla Rafe’a zdumiewające. Przedtem nie zastanawiał się, dlaczego znalazła się właśnie w nim, a nie gdziekolwiek indziej, nie rozważał jej tajemniczości. Uznał, że była nasieniem zasadzonym i czekającym, by wykiełkować, gdy nadejdzie pora. Nigdy nie myślał, że może się ukrywać.

On, wiejski chłopak o nieznanym pochodzeniu, chroniony przez grupkę osób kierujących się różnymi powodami i motywami, był jedynym opiekunem tej nowej magii.

Smuciło go to. Ujawniało prawdziwy nieład rzeczy, przypadkowe i nieczułe zagrożenia istnienia. Lecz właśnie to przyniosło Rafe’owi pierwsze samodzielne dotknięcie magii. Kiedy

wbijał pięści w żyzną glebę, czuł impuls energii pulsujący w obie strony – od niego do ziemi i z ziemi do niego, zasilający go, pozwalający uczynić ten niewielki konieczny krok.

Uleczenie A'Meer było przykładem potrzebnym jemu samemu. A teraz, wreszcie przekonany, zaczął powoli przejmować kontrolę.

* * *

– Coś tam się dzieje – powiedział Trey. – Nie mogę dostrzec... mgła...

– Coś w wodzie – dodała Nadzieja.

Kosar patrzył, jak Rafe mocno zaciska dłonie na grudach błota i wbija pięści w ziemię. A'Meer spojrzała na chłopca i bez słowa skinęła głową. Oczy miała szeroko otwarte i zdumione.

Mnisi nie mieli racji, pomyślał Kosar. Nikt nie ma prawa zniszczyć czegoś takiego.

Woda w rzece kipiała, wyrzucając w powietrze fontanny pary i wodnego pyłu. Rzeka płynęła nadal, ale zakłócenie pozostawało w tym samym miejscu, dokładnie naprzeciwko pagórka, na którym stali. Wielkie drzewo, złamane w czasie kataklizmu płynęło po rzece, ale zostało odepchnięte przez spienioną wodę. Kipiel zaczęła słabnąć i coś pojawiło się w jej środku. Na powierzchnię wypłynął potężny kształt niczym lewiatan, który po raz pierwszy ogląda światło słoneczne. Przez chwilę balansował na jednym końcu, odsłaniając pokryte mchem dno, a potem przekreślił się i z potężnym pluskiem opadł na rzekę.

Łódź. Nurt obracał ją przez chwilę, aż w końcu zaczęła poruszać się bokiem pod prąd. Dźwięk wody rozbijającej się o jej kadłub przypominał kaszel giganta oczyszczającego płuca z zalegającej w nich od stulecia wody.

Kosar spojrział na łódź, Rafe'a, A'Meer i znowu na łódź.

– Czary – mruknęła Nadzieja. A potem uśmiechnęła się, a tatuaże na jej twarzy ułożyły się w coś pięknego.

Gdy łódź dotknęła pagórka, Trey i Kosar podbiegli i złapali jej oślizgłe burty.

– Leżała na dnie bardzo długo – powiedział Rafe. Wypuścił z dłoni ziemię i stanął obok koni. W jego oczach widać było spokój i pewność siebie. – Jest tam ich mnóstwo. Niektóre zatoneły dopiero co, ale ta była w najlepszym stanie. Nie ma masztu, oczywiście nie ma żagla ani wiosel. Ale została zatopiona, a nie rozbita. Kadłub powinien być wystarczająco mocny, by przynajmniej przewieźć nas na drugą stronę. – Nagle wydał się zmęczony, chwiał się lekko i trzymał cugli, żeby zachować równowagę. Spojrział na ziemię i zobaczył na niej coś niewidzialnego.

– Jak zdołałeś... – zaczęła A'Meer.

– To wszystko, co mogę teraz zrobić. – Rafe wypuścił wodze, ukląkł, a potem położył się na boku, zamykając oczy.

Cała czwórka stała przez kilka sekund w milczeniu – Kosar i Trey przytrzymywali starą

podniszczoną łódź, nie dając jej odpłynąć z prądem, Nadzieja i A'Meer zastygły w zdumieniu. Wreszcie Kosar otrząsnął się jako pierwszy.

– Pospieszmy się – polecił. – Nie zdołamy długo jej utrzymać, a kiedy Rafe śpi...

– Czy uniesie konie? – spytała Nadzieja.

Kosar wzruszył ramionami.

– Możemy spróbować. Najpierw wprowadzimy te silne, a potem zobaczymy, czy będzie dość miejsca dla pozostałych.

Przeprowadzili pierwsze dwa konie przez burtę na środek łodzi, przenieśli Alishię oraz Rafe'a i ułożyli ich delikatnie na rufie, a potem spróbowali wprowadzić oba słabsze wierzchowce. Nie chciały i żadne starania nie mogły ich do tego zmusić.

– Może są tak zmęczone, że wolą zostać tu i zdechnąć – powiedział Trey.

– A może wiedzą, co je spotka, jeżeli pojedą z nami – odparła Nadzieja. Nie mogli nic więcej zrobić. Zdjęli bagaże z koni, ułożyli je na pokładzie i odbili od brzegu. Konie przyglądały się, jak odpływają.

Prąd porwał ich natychmiast i wypchnął łódź na środek rzeki. Dziób odwrócił się zgodnie z nurtem i wkrótce minęły ruiny Sanu.

Poruszali się za szybko, aby pozwolić sobie na beczynność.

– Musimy dotrzeć na drugą stronę – oznajmił Kosar, stojąc na dziobie na szeroko rozstawionych nogach. Spoglądał na miejsce, w którym powódź przerwała brzeg. Gdyby udało im się przebyć jakieś sto kroków, znaleźliby się w bezpiecznym miejscu.

– Rzeka nas porwała – powiedział Trey. – Jest głodna. Będzie niosła nas do chwili, gdy zacznie wracać. A fala płynąca z powrotem okaże się dziesięć, dwadzieścia, sto razy większa niż ta, którą widzieliśmy...

– Kiedy przyplynie, już nas tu nie będzie – stwierdził Kosar.

– Tak? A w jaki sposób...

– Przestań jęczeć i zacznij myśleć – wtrąciła się Nadzieja. A'Meer zerknęła na Kosara, unosząc brwi, i spojrzała w niebo. Z radością zobaczył rozbawienie w jej wzroku, dodawało mu otuchy i odpędzało wspomnienie koszmarnych obrazów z minionej godziny. A potem zaczęła uderzać nogą w pokład.

– Co u diabła wyprawiasz?! – wrzasnął Trey. Hałas zaniepokoił konie, które również zaczęły uderzać kopytami.

Nagle deska oderwała się od zardzewiałych gwoździ i A'Meer złapała ją w locie. Trzymając ją w obu dłoniach, podeszła do lewej burty i zanurzyła w wodzie.

– Wiosłuję.

Kosar, Trey i Nadzieja wyłamali deski przy wyrwie zrobionej przez A'Meer. Dwie minuty później stanęli wzdłuż lewej burty łodzi i zaczęli wiosłować, powoli kierując jej dziób w stronę brzegu. Prąd ich znosił, ale nie był wystarczająco mocny, by przewyciężyć ich wspólny wysiłek, i stopniowo zbliżali się do miejsca, gdzie wcześniej znajdował się brzeg.

Uderzyli o niego ze zgrzytem, niemal dziurawiąc dno łodzi. Wstrząs rzucił Kosara i Nadzieję na pokład, a Trey i A'Meer musieli przytrzymać się nawzajem, żeby zachować równowagę. Konie ślizgały się po wilgotnych deskach, parskając ze strachem, ale A'Meer złapała za cugle i zaczęła je uspokajać, przemawiając cichym, łagodnym głosem. Gdy tylko łódź mocno osiadła na brzegu, A'Meer wyskoczyła za burtę, w wodę sięgającą jej do połowy ud. Pociągnęła za sobą konie i zaprowadziła je dalej od rzeki. Przeżalone chciały stanąć dęba, ale nadal uspokajała je słowami i starała się utrzymać z nimi kontakt wzrokowy. Najwyraźniej to je uspokajało. Kosar uśmiechnął się – dobrze wiedział, co czuły.

Woda usiłowała znowu porwać łódź – wydawało się, że rzeka płynie szybciej, jakby chciała wdrzeć się między góry. Kiedy Trey i Nadzieja wynosili Rafe'a, a potem Alishię, Kosar ze wszystkich sił starał się utrzymać łódź. Nieśli ich nad powierzchnią wody i brodząc, dotarli do miejsca, w którym czekała A'Meer. Pomogła im posadzić obie nieprzytomne postaci w siodłach. Rafe poruszył się nieco, kiedy go unosili, nieporadnie próbował im pomóc i wciągnąć się na siodło. Alishia była bezwładna jak trup, ale przynajmniej lżejsza.

Kosar puścił łódź i cofnął się, pozwalając rzece szarpnąć ją za rufę i obrócić wokół opartego o brzeg dziobu. Uwolniona od ciężaru sześciorga ludzi i dwóch koni odbiła od brzegu i została porwana przez nurt. Kosar podszedł do A'Meer i wziął od niej cugle konia. Poklepał go po chrapach, kiedy ten najwyraźniej próbował sprzeciwić się zmianie właściciela.

– Ruszajmy – odezwała się A'Meer. Skierowała się w stronę położonego w odległości kilkuset kroków wyższego terenu, który najwyraźniej uniknął powodzi, ponieważ wciąż stały na nim drzewa i biegało kilka niewielkich przerażonych i zdezorientowanych zwierząt. Nikt nie sprzeciwiał się Shantasi. Zupełnie jakby szczęśliwa przeprawa przez rzekę przypomniwała im o konieczności pośpiechu, przestali małostkowo sprzeczać się o to dokąd i jak jechać. Wiedzieli, że Czerwoni Mnisi są na rzece i płyną w ich stronę. Teraz, kiedy znaleźli się na drugim brzegu, konieczność oddalenia się od Sanu była nagląca. Mnisi mogli się spodziewać, że Rafe i oni przybędą z północy. Jednak przepłynęli rzekę i mogli ruszyć na południe, więc pojawiała się możliwość, że zdołają ich oszukać i bez przeszkód dotrzeć do Nowego Shanti.

Ale Kosar wiedział, jak płonne są te nadzieje. Widział Czerwonego Mnicha w akcji i wiedział, jak są uparci, jak oddani swojej misji. Może jemu i pozostałym udało się przebyć rzekę, ale od Hess nadal dzieliło ich pięćset kilometrów dziczy, w tym także pustynia Mol'Steria. Jeżeli Mnisi wysłali tak liczny oddział w górę rzeki, muszą być również inne grupy nadciągające z innej strony przeczesujące kraj, poszukujące.

Oba konie sprawiały wrażenie pełnych sił i bez trudu niosły nieruchome postaci Rafe'a i Alishii. A'Meer była niezmordowana pomimo straszliwych ran i zatrucia, których doznała przed kilkoma dniami. Być może magiczne dotknięcie Rafe'a nie tylko uleczyło. Trey zachowywał dystans i nie chciał spojrzeć Kosarowi w oczy. Nadzieja trzymała się jak najbliżej Rafe'a, raz za razem wyciągała rękę, by go dotknąć, spoglądała na pozostałych ze słabo skrywaną podejrzliwością. Niepokoiła Kosara. Wydawało się, że nieustannie zachowuje

czujność, oczekuje jakiejś cząstki magii, którą być może Rafe odrzuci, jest gotowa przyjąć ją w siebie. W jej oczach poza podejrzliwością dało się zauważyć głęboko zakorzenione szaleństwo.

Kosar już się nie zastanawiał, jak do tego doszło, że jest razem z nimi. Jak pozostali brnął przez mulistą wodę. Czasami ślizgał się i zapadał pod powierzchnię, dygocząc z zimna, starając się nie dostrzegać kołyszących się wokół martwych ciał. Coraz częściej spoglądał na Rafe'a. Coraz bardziej wierzył, że przyszłość Noreeli siedzi na grzbiecie skradzionego konia.

* * *

Nadzieja szła obok Rafe'a, od czasu do czasu wyciągając rękę, aby go dotknąć i sprawdzić, czy nadal jest rzeczywisty. Od dawna był w jej snach i bała się, że mógłby zniknąć.

A więc Shantasi prowadzi ich do swojego ludu. Choć Nadzieja nienawidziła tego rozwiązania, wiedziała, że jest jedynym logicznym. Shantasi byli tajemniczy i potężni, stanowili na Noreeli osobną rasę i jeżeli ktoś potrafił ochronić i podtrzymać nową magię, to właśnie oni.

Ale kiedy tam dotrą, chłopak odejdzie. Po co im stara wiedźma? Najprawdopodobniej wypędzą ją na pustynię Mol'Steria.

Szła z kłębowiskiem myśli w głowie i wierna jedynie sobie. Rafe ją przerażał. Kochała Rafe'a. Być może kiedy jej umysł się uspokoi, zdoła przyjąć najlepszą dla siebie strategię.

* * *

Później, kiedy minęli już ostatnie ślady powodzi i podążali najszybciej jak mogli w stronę rzeki Cleur, usłyszeli za sobą potężny ryk. Przez kilka minionych godzin rzeka San wzbierała w górach i teraz zatopione doliny, jeziora i podziemne zbiorniki opróżniły się w jednym potężnym spazmie.

Ziemia drżała. Kiedy spojrzeli za siebie, przekonali się, że widok zasłaniają im wielkie szare chmury, ale czuli potęgę fali, która sunie przez krainę, zacierając ich ślady. A przy odrobinie szczęścia pochłonie również Czerwonych Mnichów na rzece. Z całą pewnością nawet oni nie mogli przeżyć tak potwornego wyzwolenia energii.

– Mam nadzieję, że dotrze aż do jeziora Deynach – powiedziała A'Meer. – Chociaż podejrzewam, że klasztor Mnichów jest już pusty.

Nieprzytomny Rafe wiercił się i jęczał, a jego koń przestępował z nogi na nogę i potrząsał głową, jakby słyszał w tym dźwięku coś niezwykłego.

* * *

Chłopak był nieprzytomny, prawie nieświadomy swojego istnienia, ale jego umysł szybował. Pojawiały się ulotne wspomnienia, obrazy rodziców i życia w Trengborne, a także intensywniejsze wizje kilku minionych dni. Ale spoza nich wylaniało się to ogromne mroczne miejsce, nieogarnione, ponadczasowe i nieskończone, przyćmiewające wszystko inne swoją obietnicą i groźbą. Kiedy zbuntowała się rzeka, owo mroczne miejsce krzyknęło wściekle na nieporządek rzeczy i ten wrzask omal nie doprowadził Rafe'a do szaleństwa. Niczym dziecko otrzymujące od rodzica prezent jako zadośćuczynienie za nieuzasadniony atak gniewu, Rafe'owi pozwolono skorzystać z magii, aby wydobył starą łódź z mulistego dna i umożliwił im ucieczkę. Nawet magia miała instynkt przeżycia.

Rafe był pyłkiem wśród mnogości wyobrażonych przez siebie istnień. Poruszał się wśród nich niczym mała rybka pływająca w bezkresnym mrocznym morzu. Widział wszędzie znaki, że samo morze żyje i emanuje mocą. Każdy z nich był inny: światło, plamka czarniejsza niż noc, pieśń, wiatr w jesiennym lesie, metrowa stonoga. Niezliczone obrazy o niezliczonych znaczeniach, a każdy szeptał do niego w języku, który zaczynał rozumieć. Gaworzyły jak dzieci i sugerowały wiedzę starszą niż czas. W głosach brzmiało powstrzymywane podniecenie i mądre zatroskanie. Podniecenie tym, co nadchodziło, zatroskanie tym, co było. Magia znowu rosła, dojrzewała i potężniała w bezkresnym łonie, gotowa ujawnić się, kiedy nastąpi właściwy czas.

Ale zagrożenia były wielkie.

Istoty, które Rafe mijał, nadal gaworzyły, ale teraz przekazywały ostrzeżenia. Dźwięki gasły, gdy oddalali się od siebie. Za nim żar, przed nim palący kwas, a jedyne miejsce, w którym będzie się czuł bezpieczny, to odległy kraj szaleństwa i niebezpieczeństw, o którym noreelanie niemal zapomnieli.

Głosy szeptały i namawiały, prowadząc Rafe'a, przekazując mu słowa, które ma wypowiedzieć, kiedy obudzi się ze snu. Ale był bardzo zmęczony, więc spał, wędrując po swoim umyśle i podziwiając ukrytą w nim wielkość.

23

Eldrissowi Mahayowi kiepsko się powodziło. Wczoraj lisolew porwał po kolei trzy owcolopy. Eldriss spał w tym czasie w zagajniku skulony pod kilkoma skórami. Stado pasło się na równinie, próbując nakarmić się trawą, która przez ostatnie kilka lat zmarniała i wyblakła. Niknęła i Eldriss miał wrażenie, że sam również niknie. Był to wpływ wieku, a także apatii, nieustannego nasilającego się przekonania, że właściwie nie ma sensu cokolwiek robić. Sen był schronieniem, do którego coraz częściej uciekał. Zawsze kiedy się budził, jego stado pasło się w jednym miejscu, dokładnie tak, jak wtedy, gdy zasypiał, i zapędzenie ich na noc zajmowało zaledwie godzinę. Paradoksalnie, sprawiało to, że czuł się jeszcze bardziej zbyteczny.

I nagle zachorował. Stało się to niespodziewanie – jakby cios w brzuch albo uderzenie w głowę. Zmąciło mu się w oczach i zaniknął słuch. Zgiął się wpół z bólu, upadł na kolana obserwowany beznamietnie przez kilka owcolop i poczołgał się przez wysoką trawę pod cienistą osłonę drzew.

Leżał tam jakiś czas i kiedy się ocknął, czuł się inny, obcy. Inny był sposób, w jaki reagował – na ciepło słońca na skórze, kształty owcolop, niewielki ciężar jego miękkiego narządu, gdy sikał. Wszystko się przekształciło, a jednak pozostało takie same. Zmieniło się jego postrzeżenie. Trawa nadal była bladozielona, ale wywoływała subtelnie odmienione emocje. Drzewa, pod którymi się ukrywał, były tak samo wysokie, ale mimo to miał ochotę stanąć na palcach, by lepiej je widzieć. A kiedy pomyślał o rodzinie i przyjaciółach w Cleur, poczuł zainteresowanie, jakiego od dawna nie doświadczył.

Słyszał jak lisolew podkrada się i porywa owcolopę. Pierwszy atak był prawie bezgłośny i sygnalizowało go jedynie głucho mamrotanie stada. Leżąc z zamkniętymi oczami, Eldriss poczuł, jak coś sięga z jego umysłu, aby zbadać cierpienie zwierzęcia. Lisolew wkrótce powrócił i zaczął gonić następną owcolopę, a stado rozpierzchło się, jak suche liście roztrącone nogą myśliwego. Gdy drapieżnik dopadł ofiarę, Eldriss poczuł się pomniejszony, schwytyany i obalony na ziemię, jakby jakaś inna świadomość wykorzystywała jego zmysły, aby obserwować polowanie. Gdy lisolew zabijał trzecie zwierzę, pasterz miał wrażenie, że nie żyje.

Ale mimo wszystko wstał i w końcu wyszedł spod osłony drzew, by zbadać szkody. Krwi

było niewiele, tylko kilka strzępów wełny i jeden cały udziec – odgryziony i pozostawiony niczym zuchwałę świadectwo napaści.

Eldriss powinien rzucić się za nim w pościg i wpakować mu grot w czaszkę, ale ledwo mógł utrzymać się na nogach. Lecz mimo to stał i czuł się silny.

Coś nim owładnęło.

Dzisiaj, kiedy usiłował dojść do ładu z tymi sprzecznymi wrażeniami – większą świadomością, paralizującą tajemnicą – rzeka została wyssana. W jednej godzinie Cleur płynęła spokojnie na północ. A w następnej z gwałtownym szumem, którego natężenie przygniotło ptaki do ziemi i zmusiło ocalałe owcolopy do szukania kryjówki wśród skał i drzew, woda nagle wezbrała i przyspieszyła. Brzegi zaczęły się osypywać, drzewa i krzewy osuwały się, a po kilku minutach wzburzone wody nagle opadły i ledwo się sączyły.

Eldriss bał się, ale nowa, dominująca część jego istoty była zafascynowana. Obserwował nowym spojrzeniem wysychające w słońcu koryto rzeki, całkowicie nijakie, wygładzone przez szybko płynącą wodę.

Czekał, ale rzeka nie wracała.

Wrócił do owcolop, usiadł pod drzewem i czekał. Żądza poznania paliła jego umysł, ale poczucie obowiązku sprawiało, że pozostawała pod kontrolą. I nie chodziło o obowiązki związane z owcolopami – prawie ich nie dostrzegał, niemal zapomniał, że istnieją – ale powinność, którą czuł wobec... swojego boga.

Jego boga.

Bóg wynagrodzi go, jeżeli dostarczy wiadomość.

Dlatego czekał i obserwował, pokrzepiony wiedzą, że będzie wiedział, kiedy nadejdzie czas, by coś powiedzieć.

* * *

Przybyli o zachodzie słońca.

Rafe, szepnął głos w jego umyśle. *Rafe Baburn*.

Czworo z nich szło, dwoje jechało wierzchem – wyglądali na nieprzytomnych lub martwych. Zbliżyli się do kępy drzew i być może jeszcze go nie widzieli. Stał nieruchomo oparty leniwie o pień, ręce miał skrzyżowane na piersiach.

Idąca na przodzie kobieta była niska, drobna i dobrze uzbrojona. Twarz miała bladą nawet w różowym świetle zachodzącego słońca i jej oczy wciąż były czujne, zaniepokojone, nieustannie wypatrujące zagrożenia. Jej spojrzenie przesunęło się po nim. Cienie wśród drzew dobrze go ukrywały.

Obok niej szedł potężny mężczyzna i prowadził konia. Wyglądał dość staro, ale był sprawny i szczupły. On też sprawiał wrażenie zmęczonego. Odzież miał zaplamioną zaschniętym błotem, wolną rękę trzymał nieco dalej od ciała, jakby go bolała.

Kiedy znaleźli się sto kroków od drzew, zatrzymali się. Niska kobieta mruknęła coś, a potem ruszyła dalej sama, z dłonią opartą na rękojeści krótkiego miecza.

Eldriss wyszedł z cienia.

Rafe – usłyszał, ale głos rozbrzmiewał echem wewnątrz niego. *Ma na imię Rafe.*

Zaskoczona kobieta zatrzymała się, a Eldriss uniósł rękę w niedbałym pozdrowieniu.

– Witajcie – powiedział. – Piękny wieczór. – Dwie owcolopy przeszły przed nim i poklepał je. Spojrzały na niego i Eldriss wiedział, że go nie poznają. Były zbyt głupie, by to okazać.

– Zatrzymaj się – poleciła kobieta i Eldriss zobaczył, że zdejmuje z ramienia łuk. Nie miała jeszcze strzały na cięciwie, nie wyjęła jej nawet z kołczana, ale wyraz jej twarzy świadczył, że mówi serio. Staął.

– Nie musicie być nieprzyjaźni – powiedział i w głębi jestestwa, od którego usiłował się uwolnić, przez chwilę poczuł zadowolenie, że udało mu się włożyć do tych słów nieco szczyrych uczuć.

– Widziałeś Czerwonych Mnichów? – spytała kobieta.

A rzecz, która więziła Eldrissa, zorientowała się natychmiast. Czerwoni Mnisi! Boją się Mnichów, ponieważ są przez nich prześladowani, ale są prześladowani, ponieważ...

– Macie Rafe'a? – odpowiedział pytaniem.

Oczy zaskoczonej kobiety błysnęły w zachodzącym słońcu i rozszerzyły się odrobinę.

Cieniowi to wystarczyło. Oderwał się, wycofał niezliczone macki bez żadnej delikatności, udawania troski, a ból był tym gorszy, że Eldriss nie mógł krzyczeć.

Kobieta poruszała się szybko, przykucnęła, jej ręka błyskawicznie sięgnęła za plecy, druga, trzymająca łuk, uniosła się do pozycji strzeleckiej.

Cień był wolny, ale szamotał się w umyśle Eldrissa, niszczył i wypełniał ostatnie sekundy życia pasterza cierpieniem. Szarpnął się i zniknął z tego świata. Strzała trafiła mężczyznę w prawe oko i jej grot wyszedł z tyłu czaszki.

Cień – wolny, samotny, oszołomiony nagłym brakiem dopływu informacji – przez moment wibrował w nicości. Ale otrzymał smak, myśl oraz uczucie i wkrótce idea nagrody uporządkowała jego jaźń. Przestał drzeć i zaczął płynąć ponad światem do miejsca, gdzie jego bóg czekał cierpliwie w ciemności.

Rafe! – krzyczał. *Widziałem Rafe'a!*

Mój dobry cieniu – rozległ się głos, nim minęła chwila – *przybądź do mnie.*

Cień przekazał, co wiedział, i upajał się pochwałą boga.

* * *

Kosar podbiegł do A'Meer, wyciągając miecz. Shantasi założyła na cięciwę nową strzałę i czekała, wpatrując się w kępę drzew.

- Chyba był sam – powiedziała.
- Zabiłaś go! – zawołał Kosar. – Przecież tylko się przywitał.
- Zapytał, czy mamy Rafe’a.

Kosar pokręcił głową. Niecierpliwość A’Meer była widoczna na pierwszy rzut oka, ale nie odrywała spojrzenia od drzew i leżącego przed nimi zabitego mężczyzny.

– Skąd mógł to wiedzieć? – oznajmiła. – Miał w sobie cień, podobnie jak Alishia, kiedy się spotkaliśmy. Magowie musieli wysłać ich tysiące i czekają na nas.

– Ale mogą być wszędzie!

– Będą. Każdy, kogo spotkamy, może nas wypatrywać. Musimy założyć, że gdziekolwiek się udamy, Magowie będą wiedzieli, gdzie jesteśmy.

– Co się dzieje? – spytał Trey, podchodząc do nich. Kosar udzielił wyjaśnień i Nadzieja również się przysłuchiwała.

– A więc teraz ścigają nas Czerwoni Mnisi, a na dodatek szukają nas Magowie – stwierdziła. – Cóż, mogło być gorzej. Nie mam pojęcia jak, ale jestem pewna, że może.

– Jedno jest dobre – dorzucił Trey. – Nie chodzi im o to samo.

– A jak nam to pomoże? – zdziwiła się Nadzieja. – Mnisi chcą zniszczyć Rafe’a, zanim ujawni się Magia. Magowie chcą ukraść Magię i uczynić ją swoją własnością. A kto jest pomiędzy Mnichami, Magami i Rafe’em? My!

– Chodziło mi o to, że przynajmniej nie połączą sił – bronił się słabo Trey.

– Cóż, nie możemy tu zostać – oświadczył Kosar. – Trzeba ruszać dalej.

– Musimy wypocząć – zaprotestowała Nadzieja. – Jeżeli nawet Magowie wiedzą, gdzie dokładnie jesteśmy... to nie znaczy, że zbiegną z Wdowich Szczytów, żeby nas porwać. Są oddaleni o całą wieczność, nie ma ich nawet w Noreeli. Jesteśmy o kilka dni drogi od Nowego Shanti i zanim tu dotrą...

– Zanim tam dotrzemy, Noreela może się zmienić na zawsze – odparła A’Meer. Opuściła łuk, podeszła do zabitego i trąciła go lekko stopą. Podniosła głowę. – Nie wiadomo, gdzie są Magowie. Może ich wojska już wylądowały na Grzbiecie. Może są już nawet na samej Noreeli. Może zaczęła się wojna, a my nie mamy jak się o tym dowiedzieć.

– A więc musimy jechać – polecił Kosar. – Nie ma czasu na odpoczynek. Ze względu na Rafe’a musimy jechać dzień i noc, żeby dotrzeć do Nowego Shanti. Wtedy przynajmniej będzie jakaś szansa, że zdąży się ujawnić.

– Czy magia nie mogłaby nam pomóc? – spytał Trey. – Przenieść nas tam, przyspieszyć naszą podróż, zniszczyć Mnichów lub Magów, zanim nas dościgną?

– Magia nie wyznacza sobie celu – wyjaśniła Nadzieja. – Świadczy o tym to, co ostatnim razem zrobili Magowie. Jest najpotężniejszą z istniejących sił, ale pod wieloma względami jest słaba. Nie ma poczucia moralności. Jest obecnie w Rafie, co zapewne oznacza, że chce ponownie oddać się krajowi, po raz drugi stać się dostępna dla ludzkości. Ale jeżeli Magowie schwytają Rafe’a, zrobią to samo co przedtem, ukradną ją, wypaczą według swoich potrzeb,

wypędzą jeszcze raz. Ale tym razem będą świadomi skutków swoich działań i będą gotowi. Zanim magia wycofa się po raz drugi i ostatni, osiągną wszystko, czego pragną. Moc. Władzę. Zemstę.

Przez jakiś czas panowała cisza i w końcu odezwał się Trey:

– Przedstawiłaś cudowny obraz.

Nadzieja wzruszyła ramionami, wróciła do konia niosącego Rafe'a i sprawdziła, jak czuje się chłopak.

– Mówię, co myślę. Ten chłopiec... jest przyszłością. Życiem i pomyślnością Noreeli albo jej cierpieniem i śmiercią. Wszystko albo nic. Nastąpił właśnie koniec epoki i znajdujemy się na przełomie.

– A więc ruszajmy – powtórzył Kosar, spoglądając na A'Meer i szukając u niej wsparcia. Shantasi wciąż patrzyła na zabitego.

– Był tylko pasterzem.

– Musiałaś to zrobić – powiedział Kosar.

– Zapewne nie miało to znaczenia. Widziałam jego oczy, kiedy umierał. Kiedy wypuściłam strzałę, z aroganckiego stał się przestraszony, a gdy umarł, był tylko pasterzem.

– Cień już go opuścił?

A'Meer spojrzała na Treya.

– Może zanim dotrzemy tam, gdzie idziemy, będziemy musieli o wiele częściej zabijać. – Jej głos był mocny i smutny.

Kosar uśmiechnął się, usiłując podnieść ją na duchu, ale odwróciła się, przeszła obok zwłok i weszła między drzewa.

– Zobaczę, czy miał coś przydatnego – oznajmiła. – Większość pasterzy ma broń. Będzie nam potrzebna.

Przez jakiś czas kręcili się wokół ciała, starając się na nie nie patrzeć. Słońce zniknęło za horyzontem i kępa drzew pogrążyła się w cieniu, zlewała się z ciemną ziemią, jakby już toczyła ją zgnilizna. A'Meer znalazła ukrytą między drzewami kuszę i kilka bełtów oraz bukłak ze świeżą wodą. Żadnego jedzenia, odzieży. Najwyraźniej był to tylko tymczasowy biwak pasterza.

Wciągnęli ciało między drzewa i ruszyli w ciemność. Drogę oświetlał im blask dwóch księżyców, ubywającego księżyca życia i księżyca śmierci w pełni. Kosar i A'Meer szli obok siebie.

– Jesteś milcząca – zauważył Kosar.

A'Meer ni to roześmiała się, ni to parsknęła.

– Właśnie zabiłam niewinnego człowieka, Kosarze. Jestem wojowniczką Shantasi, nie morderczynią.

– Kiedy go zabijałaś, nie był niewinny. Jakaś jego część była dla nas groźna. Zrobiłaś, co musiałaś, to wszystko.

Deszcz spadających gwiazd rozświetlił niebo. Przecinały je i wypalały się, zanim dotarły do horyzontu. Trey jęknął, Nadzieja wymamrotała jakieś stare zaklęcie, a Kosar i A'Meer na chwilę dotknęli się dłońmi. Upajał się tym chwilowym kontaktem.

– Kiedyś, na krótko zanim opuściłam Hess, gwiazda spadła na Nowe Shanti i zabiła tysiące osób – powiedziała A'Meer. – Niektórzy twierdzili, że stało się tak, bo odeszła magia i już nie chroniła kraju. Mistycy utrzymywali, że to nasi przodkowie, zagniewani, że nie robimy więcej, by odzyskać magię.

– To dusze umarłych – mruknął z podziwem Trey. – Spadają z nieba, kiedy idą do Czerni. Kosar westchnął.

– To tylko spadające gwiazdy. Płomienie w niebie, które szybko się wypalają. Nic nie trwa wiecznie i nie musisz doszukiwać się wszędzie wróżby.

– Wszystko dzieje się z jakiegoś powodu – oznajmiła Nadzieja. Patrzyła na Rafe'a, nie w niebo.

Wydawało się, że A'Meer nie słucha żadnego z nich.

– Mój lud zawsze będzie patrzył w niebo setki kilometrów stąd i zastanawiał się, co uczynił nie tak. Nasi odlegli przodkowie zdołali odnaleźć drogę prawdziwego oświecenia, ale nie mieli tyle szczęścia, co my teraz. Byli wykorzystywani i gnębieni, ale mimo wszystko osiągnęli duchową doskonałość. Utraciliśmy to. Zupełnie jakby ból i cierpienie pomagały duszy osiągnąć taki poziom pojmowania.

Kosar nic nie rozumiał. To była chwila A'Meer, nie jego. Myśl, że pomaga Shantasi, słuchając jej słów, podnosiła go na duchu i sprawiała, że czuł się wyróżniony.

– Przewodnicy zbiorą się w salach Hess, będą badali stare teksty i usiłovali odgadnąć znaczenie gwiazd spadających tej nocy z ich kierunku i liczby. Będą się zadreczali, studiując tajemne prace Nowego Shanti, zastanawiając się, czy droga oświecenia, której poszukują wszyscy Shantasi, nie odbiegła od prawdy. Będą się sprzeczały jak stado ptaków walczących o ochłapy. – Uśmiechnęła się niemal ze smutkiem. – Tak błahe troski. Tak małostkowe zmartwienia, kiedy prawdziwy przyszły los jedzie za nami na koniu. Ale być może niektórzy przypiszą to magii. Być może jeden czy dwaj przewodnicy spróbują powiązać pojawienie się spadających gwiazd z czymś innym, z jakimś innym znakiem i odczytają z nich prawdę. Zastanawiam się, co zobaczyłyby przewodnik po użyciu fledżu.

A'Meer zamilkła, ale ta cisza nie uspokajała. Czekwała, aby ją przerwać.

– Jak dawno temu byłaś w Hess? – zapytał Kosar.

– Siedemdziesiąt lat. A teraz wracam z nowiną, na którą mój lud czekał od tak dawna.

– Czy nam pomogą? Czy ukryją nas, będą nas chronić? Czy zdołają powstrzymać Czerwonych Mnichów, Magów?

A'Meer zerknęła na niego. W świetle księżycy była jeszcze bledsza. Nie podobał mu się jej uśmiech.

– Widziałeś, jak walczy Czerwony Mnich. Jeżeli Magowie zdobędą magię, będą jak

toczniki, a Mnisi jak mrówki. W Nowym Shanti są tysiące takich jak ja, wyszkolonych specjalnie po to, aby bronić magii, jeżeli się pojawi. Jesteśmy bardzo uduchowionym ludem i nie zostaliśmy stworzeni do walki. Spójrz na mnie, na budowę mojego ciała, jaka drobna i słaba się wydaje. Być może dlatego jesteśmy tak dobrymi wojownikami. Nie zostaliśmy stworzeni, stworzyliśmy się sami. I odpowiadając na twoje pytanie: tak, możemy zwyciężyć Czerwonych Mnichów. Ale Magowie... jeżeli schwytają Rafe'a, zanim Nowe Shanti zdoła go ochronić i ukryć... zepchną nas do morza, tak jak ich zepchnięto pod koniec Wojny-Katastrofy.

– Jestem tylko złodziejem – mruknął Kosar.

– A Rafe tylko wiejskim chłopcem – warknęła A'Meer. – Co nie oznacza, że nie może być kimś szczególnym.

– A ja mogę? – szepnął Kosar. – Powiedz mi, w jaki sposób ja jestem szczególny? Przez swoje palce ledwo mogę trzymać miecz i nie mam pojęcia o tym wszystkim. Wiedźma wie więcej niż ja, a ufam jej mniej więcej tak samo, jak zaufałbym Fioletowemu Psu.

– Jesteś szczególny dla mnie.

Kosar umilkł wstrząśnięty. Od ich ostatniej nocy w Pavisse po raz pierwszy wyznała, że może nadal ma dla niego jakieś uczucia. Przez kilka ostatnich dni stała się obca i chociaż nadal łączyła ich przyjaźń, sądził, że jej uczucia minęły, zniszczone wyznaniem, kim jest, zabite przez wydarzenia, które ich otaczały i nimi kierowały.

Szli w noc, nie wiedząc, co czeka przed nimi ani co podąża za nimi.

* * *

Kiedy nastał ranek i rzucił oczyszczające światło na porośniętą trawami równinę, Rafe obudził się i oznajmił, że chce jechać do Kang Kang.

24

Dowodzone przez Lenorę szturmowe wojska Magów przeleciały nad Zatoką Cantrassa i zbliżyły się do wybrzeży Noreeli. Leciały nisko. Miały zadanie namierzyć w Conbarmie przyczółek dla armii Krotów płynącej na statkach, a jednym z głównych warunków było działanie z zaskoczenia. Wiedziała, że kiedy wylądują na noreelańskiej ziemi, dojdzie do bitwy, ale miała to być raczej potyczka. Ich lądowanie miało być jak najdłużej zachowane w tajemnicy.

Lenora nasłuchiwała cienia swojej córki. Były oznaki i przebłyski jej obecności, ale nie mogła być pewna, czy nie są to twory jej wyobraźni. *Jesteś!* – mówił cień. A także: *Daleko, tak daleko! Ujrzyj mnie, usłysz, znajdź.* Ale te słowa nie miały większego sensu i Lenora wcale nie znajdowała w nich pociechy. Na dobrą sprawę niepokoiły ją bardziej, niż mogła sobie wyobrazić. Jeżeli były to słowa cienia jej nienarodzonej córki, nie było w nich ciepła ani poczucia więzi. A jeżeli nie był to głos jej martwego dziecka, w takim razie Lenora była szalona. Słuchała więc, starając się przede wszystkim zachować czujność. Miała dopilnować, by spełniono życzenia Magów. Jej własne cele, jej żądza zemsty musiały pozostać ukryte w głębi umysłu. Na razie. Ale nadejdzie chwila.

Wielkie sokoły były śmiertelnie zmęczone. Utracono niektóre nad zatoką, ratując ich jeźdźców, i teraz jej oddział liczył około osiemdziesięciu sokołów i dziewięćdziesięciu wojowników. Sokoły były prawie martwe, ale Krotowie, choć zmęczeni i głodni, ożywili się, widząc ląd. Wiedzieli, że czeka ich walka, a walka była ich życiem.

Na falach pod nimi kołysały się wodorosty i parę kawałków drewna z jakiegoś wraku. Nagle cienie sokołów prześliznęły się po stadzie ptaków, które mogły przylecieć tu tylko z lądu. Krotowie wołali do siebie, śmiali się, śpiewali, akompaniując sobie metalicznymi dźwiękami mieczów uderzających o noże, kłuli słabnące sokoły, aby dołączyły do chóru. Ziemia kryła się jeszcze za horyzontem, ale wiedzieli, że jest niedaleko. Po tak długim czasie spędzonym w powietrzu wojownicy byli gotowi poczuć twardy grunt pod nogami, a ciała wrogów na swoich głowniach.

Napotkali niewielką flotyllę łodzi rybackich i ich wrzaski sparaliżowały wszystkich na pokładach. Lenora wysłała pięć sokołów do ataku. Krotowie wypuścili strzały, cisnęli zatrute gwiazdki i do wody wpadły z pluskiem pierwsze ciała. Przy drugim podejściu wyleciało im

naprzeciw kilka niecelnych strzał, ale wystarczyły tylko dwa kolejne naloty, aby uzyskać pewność, że wszyscy na łodziach nie żyją. Podnieceni Krotowie znowu zwrócili sokoły w stronę lądu. Za nimi łodzie rybackie spływały z prądem, a zwłoki ludzi i złowione ryby już wkrótce miały zgnić na słońcu.

Conbarma była rybacką miejsciną o dużym naturalnym porcie. Mogła przyjąć wiele statków różnej wielkości. W minionym tysiącleciu zbudowano i wydłużono molo do cumowania i Magowie dawno temu uznali, że będzie to idealne miejsce rozpoczęcia inwazji. Ich szpiedzy sporządzili mapy terenów za miasteczkiem – były względnie płaskie, budynki na nich niskie i położone daleko od siebie, a w samej wiosce żyli rybacy i parę tuzinów ospałych milicjantów.

Lenora rozkazała obniżyć lot. Krotowie nie spodziewali się żadnego poważniejszego oporu, ale mimo to przeprowadzili idealny atak. Gdyby zawiedli, oznaczałoby to, że flota Magów i płynący nią żołnierze będą narażeni na atak zaraz po wylądowaniu na Noreeli.

Wielkie stwory dostrzeżono z odległości ponad półtora kilometra. Kiedy zbliżyły się, Lenora usłyszała dobiegające z miasteczka przerażone okrzyki i zobaczyła ludzi biegających po ulicach. Pokierowała sokołem, oddalając się od pierwszego gradu strzał i bełtów, a następnie rozkazała odpowiedzieć ostrzałem. Najeźdźcy użyli swoich kusz i powietrze przeszyły wrzaski ginących. Kilka sokołów zawróciło i wylądowało w porcie. Zeskoczyli z nich wojownicy, którzy natychmiast rzucili się do walki, wyjąc z rozkoszy, kiedy ich miecze cięły ciała i kości.

Większość sokołów była tak wyczerpana, że ledwo mogła się ruszyć z miejsca, gdzie wylądowały, i stała się celem wściekłości mieszkańców. Jeden został schwytyany w sieć i wrzucony do morza, gdzie utonął, innemu odrąbano kończyny oraz macki i wykrwawił się na śmierć, żalonym popiskiwanym wzywając swego pana, aby przyszedł i go uratował. Ale wojownik, którego przyniósł do walki, znajdował się już wiele ulic dalej i był zajęty zabijaniem.

Lenora z pozostałymi sokołami zatoczyła krąg nad miasteczkiem, ostrzeliwując je idealnie wycelowanymi strzałami i bełtami, i poleciała dalej. Za Conbarmą oddział podążał nad niskimi wzgórzami i płytkimi dolinami, dopóki w dole nie zniknęły ostatnie ślady ludzkich zabudowań. Tam sokoły rozwinęły szyk, zakręcając w lewo i prawo, aż utworzyły szeroką linię pikiet.

Wylądowały. Lenora z przyjemnością poczuła pod nogami twardą ziemię, chociaż zachwiała się lekko, odzyskując równowagę. Ten stan niepewności nie trwał długo.

Czujesz się tak silna – odezwał się głos w jej umyśle, ale być może to ona sama pomyślała: Czuję się tak silna.

– Tak – potwierdziła, bez względu na to, kto był autorem tamtych słów. Silna i gotowa do walki. Przywołała Krotów znajdujących się po jej prawej i lewej stronie. – To tylko początek! Takie będą następne tygodnie. Tygodnie! – Wiwatowali, wznosząc w górę obnażone miecze.

A potem, pomyślała Lenora, będę mogła polecić, by stoczyć własną bitwę.

Twoją własną bitwę – powtórzył cień w jej umyśle. A Lenora uznała, że obojętne czy przemawia do niej cień jej córki, czy jej szaleństwo, będzie wsłuchiwać się w ten głos aż do końca.

Lenora i Kroci czekali ustawieni półkolem przed granicami miasteczka, odliczając sekundy i minuty do momentu, kiedy byli już pewni, że ich towarzysze zamknęli pułapkę. Tak daleko w głębi łądu panował spokój – od strony portu nie dobiegały wrzaski ani odgłosy walki – i Lenora wsłuchiwała się odgłosy natury. W położonej nieopodal kępie krzaków śpiewały ptaki. W górze krzyczały mewy, a sokół bagienny krążył wysoko, bez obaw przyglądając się najeźdźcom. Jej wojownicy ucichli i pomyślała, że być może również wsłuchują się w te nowe, czyste ćwieki. Na Dana’Man fauna była nieliczna, a zwierzęta nieprzyjemne i często niebezpieczne. Zwyczajnymi dźwiękami były trzaski i głucho skrzypienie lodowca sunącego od wieków w kierunku morza oraz samotne krzyki śnieżnych duchów, których nie widziała ani razu przez całe trzysta lat.

A teraz, na Noreeli, można było uwierzyć, że wreszcie znaleźli się w realnym świecie.

Na rozkaz Lenory Krotowie sprawdzili broń i wzięli z juków przytroczonych do wyczerpanych wierzchowców dodatkowe strzały, bełty, gwiazdki do rzucania i inną broń. Rybacka miejscina była zasłonięta przez kilka niskich wzgórz i parę rzadkich lasków, ale pojawiły się pierwsze oznaki walki. W powietrze wzbil się słup dymu i bitwa wyraźnie przybrała na sile. Do czekających zaczęły dobiegać odgłosy metalu uderzającego o metal i krzyki umierających. Łagodny wietrzyk od morza przywiał w głąb łądu, do pragnących włączyć się do walki Krotów, odór dymu i płonących ciał.

– Idą nam na rękę! – zawołała Lenora. – Nie rozczarujmy ich! – Otaczający miasteczko Krotowie rozpoczęli marsz. Pętla zaczęła się zaciskać.

Minutę później Lenora zobaczyła pierwszych uciekinierów. Kilkoro mężczyzn i kobiet na koniach wyjechało zza zakrętu. Większość nawet nie zobaczyła strzał, które ich zabiły, ani wojowników, którzy je wystrzelili. Jeden z jeźdźców stoczył się do rowu i wstał, wyciągając miecz. Szeroko otwartymi oczami patrzył na idącą w jego stronę Krotkę. Lenora uznała, że przynajmniej był odważny.

Odczuwasz to tak realnie! – oznajmił głos w jej głowie i uśmiechnęła się, potwierdzając te słowa. Jeden z koni zabitych mieszkańców Conbarmy niemal na nią wpadł. Zrobiła krok w bok i podcięła zwierzęciu gardło. *Tak realnie!*

Wojownicy ruszyli biegiem. Odór krwi i odgłosy bitwy były zbyt silne, by mogli je zignorować. Krąg się zamykał i ludzie uciekający z rzezi w miasteczku natrafiali na zabójców na otwartej przestrzeni. Lenora widziała, jak kilku walczy dzielnie, rzucając się na Krotów w obronie swoich rodzin, ale walki nie trwały długo. To byli rybacy, nie wojownicy i zajmowali się szermierką dla sportu lub rozrywki, nie zawodowo.

Dla Krotów – którzy rodzili się, żyli i umierali jako wojownicy – byli wrogami.

Nienawiść do noreelan wpajano im od narodzin. Dla nich było to łatwe.

Rodziny szły pod miecz. Kobiety z niemowłętami, dzieci... Nikt nie mógł ujść z życiem, by ostrzec o ataku. Każdy, kto zdołałby uciec w głąb lądu mógł ostrzec o bliskiej inwazji. I chociaż Lenora wiedziała, że atak uda się bez względu na to, jakie siły zdoła przygotować Noreela, Magowie życzyli sobie, aby najazd był szybki i ostateczny. Chcieli zająć Noreelę nie później niż po tygodniu walk.

Wkrótce pętla zacisnęła się wokół przedmieść Conbarmy. Kiedy Lenora zobaczyła, jak kilku jej wojowników wybiega z miasteczka za uciekającymi mieszkańcami, wiedziała, że walka zbliża się do końca. Wylądowali nieco ponad godzinę temu. Większość ocalałych dotąd mieszkańców znalazła się pomiędzy tymi Krotami, którzy wylądowali w porcie, a nacierającymi z zewnątrz. Niektórzy, naiwnie wierząc, że najeźdźcy okażą im łaskę, poddali się. Kroci – zakrwawieni, wściekli, rozpaleni szaleństwem minionej godziny – zapędzili ich do niewielkiego warzywnika i wycięli do nogi. Dobiegały stamtąd wrzaski pełne furii i bólu. Kiedy rzeź dobiegła końca, Lenora weszła do ogrodu, upajając się ciepłą krwią omywającą jej obute w sandały stopy. Wyciągnęła nóż długi jak jej przedramię. Kobieta, która udawała martwą, wrzasnęła, gdy Krotka poderżnęła jej gardło.

Moja córka mogłaby tak krzyzczeć, gdyby się urodziła, pomyślała. Mogłaby łowić ryby albo polować, biegać i kochać się. Mogłaby oddychać. Przyglądała się, jak ostatni oddech ulatuje z przeciętego gardła kobiety, a głos powiedział: *Tak realne!*

Wysłała tuzin wojowników, aby sprowadzili sokoły otaczające wioskę albo zniszczyli je, gdyby okazały się martwe. Kolejny tuzin zajął stanowiska na przedmieściach, wypatrując mieszkańców, którzy mogliby się ukrywać, oczekując na szansę ucieczki. Nikt nie mógł przeżyć.

Krotowie, którzy pozostali w Conbarmie, zaczęli przeszukiwać dom po domu i zabijali każdego, kogo znaleźli. Żadne prośby, błagania czy dary nie przynosiły skutku – wojownicy mieli rozkazy i zadanie było już bliskie wykonania. Lenora czuła się szczęśliwa, ale świętowanie musiało poczekać. Później będą mogli również zebrać łupy z wiosek, miast i wreszcie z samego miasta Noreela. Cieszyć się złotem i kosztownościami, władzą nad tymi, których zmienia w niewolników, narkotykami – rhellimem i fledżem – które mogą kształtować umysły zażywających i kierować ich pragnieniami.

Odgłosy rzezi wciąż rozlegały się w całym miasteczku.

Ostatni etap bitwy trwał dłużej, niż przypuszczała, a zwycięstwo okazało się trudniejsze. Kilku ocalałych milicjantów szybko wycofało się do świątyni księżyca, zabarykadowało się w niej i przygotowało do oblężenia. W budynku znalazło się około tuzina mężczyzn i kobiet. Chociaż Krotowie uspokajali się myślą, że nie zdołają uciec i przekazać ostrzeżenia, chcieli jak najszybciej zlikwidować obrońców. Mieli pracę do wykonania, musieli przygotować wszystko na lądowanie wojska i takie przeszkody jak ta były kłopotliwe. Krotowie zaatakowali, a oblężeni milicjanci walczyli z zaciekłością ludzi, którzy wiedzą, że nic ich nie

uratuje.

Świątynia była niewielkim budynkiem z wąskimi oknami i ten fakt sprzyjał obrońcom. Strzelali z łuków i atakujący Krotowie padali, gdy stal i drewno rozdzierały ich ciała. Ranni usiłowali odpełznąć w ukrycie, ale nie mogli liczyć na litość, której sami nie okazywali. Wojownicy zajęli stanowiska w budynkach otaczających świątynię i posyłali strzały w szczeliny niewiele szersze niż przedramię. Wzajemny ostrzał trwał i Krotowie musieli wysłać część wojowników, by przynieśli dodatkowe strzały. Wpadające do wnętrza świątyni pociski nieustannie uzupełniały zapasy amunicji obrońców i Krotowie wkrótce zaczęli padać trafieni własnymi zatrutymi strzałami. Nie sposób było oszacować straty obrońców, ale stopniowo, nieubłagane ich pociski wylatywały z okien coraz rzadziej.

Po dwóch godzinach łuczniczego pojedynku Lenora rozkazała zmienić taktykę. Krotowie zaatakowali drzwi świątyni. Sześciu wojowników przyniosło z portu długą łódź, by użyć jej jako taranu. Ruszyli biegiem w stronę drzwi pod osłoną ostrzału towarzyszy. Ale budynek był stary i mocny, zbudowany na wiele wieków przed wypędzeniem Krotów z Noreeli i dębowe drzwi wytrzymały uderzenia, pozwalając obrońcom zabić lub śmiertelnie ranić atakujących.

Obleżeni wiwatowali i szydzili z Krotów, a beznadziejność sytuacji, w jakiej się znajdowali, czyniła ich opór jeszcze bardziej frustrującym. Przecież nie mieli szansy na zwycięstwo. Ale pomimo tej frustracji Lenora i jej wojownicy nie mogli stłumić w sobie niechętnego szacunku dla tej garstki obrońców.

Żyją i cieszą się tym, pomyślała. Do ostatka upajają się swoim istnieniem. Nasłuchiwała głosu córki, ale mrok w jej umyśle milczał. Pomyślała, że może istotnie jest szalona. Miała ponad trzysta lat i to, co Angel przekazała jej na pokładzie płonącego statku, gdy uciekli z Noreeli, zachowało ją tak długo przy życiu, do tej właśnie chwili. Realizowała sens swojego istnienia. Miała nadzieję, że jej dziecko jest z niej dumne.

Zwłoki zaczęły układać się w stosy. Pod świątynią poległo dwunastu Krotów i ich krew czerniała w kurzu. Miasteczko cuchnęło śmiercią i pół dnia po tym, jak sokoły nadleciały znad morza, wciąż lała się świeża krew.

Lenora kazała wojownikom się wycofać, pozostawiając kilku, by nękali obrońców. Reszta zajęła się przygotowywaniem wioski na przybycie głównych sił. Łodzie przeprowadzono z portu nieco dalej wzdłuż wybrzeża i zatopiono. Molo i port oczyszczono ze sprzętu rybackiego, a budynki miasteczka przygotowano na kwatery tylu wojowników, ilu mogło zmieścić się w ich wnętrzach. Wozy wyprowadzono na granicę miasta i przewrócono. Przy tych barykadach umieszczono dziesiątki kołczanów ze strzałami na wypadek, gdyby trzeba było odeprzeć atak z głębi ładu. Lenora była pewna, że poza obrońcami świątyni nikt z mieszkańców Conbarmy nie uszedł rzezi, ale zawsze istniała taka możliwość i musiała ją uwzględnić.

Dopiero kiedy w porcie zebrano ocalałe sokoły, jeden z Krotów wpadł na pomysł, jak pokonać obleżonych.

Sokoły, które można było uratować, pozostawiono, aby żywiły się zwłokami. Będąc wracały do sił przez wiele dni, a nawet tygodni, ale Krotowie uznali, że nie ma powodu, żeby zabijać je już teraz. Kilka, których nie można było uratować, wleczono wolno ulicami, w kierunku świątyni.

Pofrunęły strzały. Sokoły mruczały i krzyczały trafiane kilkanaście, kilkadziesiąt razy, ale popychano je, aż w końcu oparły się o ściany świątyni, zasłaniając strzelnice. Były zbyt ciężkie, by obrońcy mogli je odsunąć.

Kiedy wydawały ostatnie tchnienie, ich gazy żołądkowe wydzielały się gwałtownie. Ich skóra rozciągała się, stając się tak cienka, że aż przezroczysta. Lada chwila mogły pęknąć, wydzielając koszmarny smród, który zawsze towarzyszył powolnemu rozkładowi zwłok sokoła. Krotowie cofnęli się, przygotowali płonące strzały i z bezpiecznej odległości ostrzelali nimi swoje martwe wierzchowce.

Większość słabych płomieni zgasła niemal natychmiast. Inne tliły się tylko, ale kilka rozpało się mocno, z trzaskiem pełząc po tłustych skórkach. Wkrótce pierwszy sokół eksplodował i fontanna niebieskiego ognia zatańczyła nad ulicą. Po chwili nastąpiła druga eksplozja, potem trzecia i płomienie rozprzestrzeniły się żarłocznie.

Pożar szybko ogarnął świątynię. Płonące gazy wydzielane przez martwe sokoły wleciały przez niewielkie okna i podpaliły wnętrza. Tłuszcz latających stworów topił się i płynął. W świątyni rozległy się krzyki, ale było ich tylko kilka i szybko ucichły.

Budynek płonął aż do zmierzchu. Krotowie usiłowali zgasić ogień, obawiając się, że dym będzie widoczny z dużej odległości, ale żar zmusił ich do wycofania. Płomienie zapaliły tłuste ciała sokołów i smród palącego się mięsa czuć było w całej Conbarmie.

Sprawił, że wojownicy poczuli głód. Znaleźli piwnice z winem, a w niektórych domach dobre, świeże owoce morza i tej nocy przez kilka godzin świętowali pierwsze zwycięstwo na Noreli.

Lenora siedziała i świętowała razem z nimi, ale na chwilę powędrowała myślami na południe i wyobrażała sobie Robenne, taką jaką ją zapamiętała. I kiedy patrzyła na zabitych w Conbarmie, czuła odór ich wnętrzości, widziała, jak głodne sokoły miażdżą ich na papkę, poczuła, jak cień w niej się przemieszcza. Nic nie mówił, ale był zadowolony. Rozpoznał ją.

Wiedziała, że wkrótce znowu zobaczy Robenne. A tym razem odbędzie się to na jej warunkach.

* * *

Następnego ranka na niebie nad morzem pojawiło się pięć plamek. Lenora poleciała dwunastu Krotom wystartować, sama zaś razem z pozostałymi wojownikami zajęła pozycje obronne. Plamki rosły powoli, lecąc tym samym kursem, i wreszcie zmieniły się w sokoły. Zwiadowcy ruszyli, by je przechwycić, ale w ostatniej chwili wierzchowce Krotów skrzyły

gwałtownie i ciasną spiralą zaczęły opadać w dół, a ich jeźdźcy krzyczeli z przerażenia. Cała dwunastka zdołała poskromić spłoszone sokoły i dotrzeć do brzegu, kiedy pięć nowych sokołów zawisło nad portem. Dwa odłączyły się od grupy i powoli opadły na ziemię, rozpościerając macki, aby uczynić lądowanie możliwie jak najbardziej łagodnym i eleganckim.

Lenora nie mogła zmusić się, by podejść do portowego muru na ich spotkanie. Jej wojownicy uklękli, dotykając czołami ziemi, i mamrotali słowa powitania i szacunku.

Po raz pierwszy od trzech wieków Magowie stanęli na Noreeli.

– Poruczniku! – zawołał wyższy z przybyszów. – Potrzebuję cię!

Lenora przelknęła ślinę, wygładziła skórzaną tunikę i wyszła na mur portowy. Wiele razy znajdowała się w obecności Magów, ale nigdy w takiej sytuacji, nigdy w walce.

– Pani – powiedziała, zbliżając się do wysokiej, starej kobiety. Nazywała się Angel, ale niewiele osób dobrze się czuło, używając tego imienia. Było zbyt osobiste. – Pani, cóż za nieoczekiwana przyjemność.

– W istocie – odezwała się Angel, prostując kościste ramiona. Spojrzała na port i miasto, noszące ślady bitwy. – Rozbudowali miasto od czasu, kiedy tu byłam – oznajmiła cicho. – Kilka nowych budynków. Spokojniej. Musieli wiedzieć, że się zbliżamy. – Spojrzała na Lenorę. Jej stare oczy wypełnione były wiedzą i mocą i Lenora nie mogła w nie patrzeć dłużej niż sekundę lub dwie. – Jakie wiadomości, poruczniku?

– Zajęliśmy Conbarmę i jesteśmy gotowi na przyjęcie statków. – Przerwała i zerknęła na S’Hiveza. Stary Mag wciąż siedział przygarbiony na grzbiecie swojego wierzchowca. Wyglądał jak zmumifikowany trup, wykopaliska z lodowca na Dana’Man.

– Rozmawiasz ze mną, nie z nim! – upomniała ją Angel.

– Wybacz, pani.

Angel patrzyła na nią chwilę, a potem się uśmiechnęła.

– Spośród wszystkich ludzi ty, Lenoro, nie potrzebujesz mnie przeproszać. Przeżyliśmy razem tak wiele lat, kilka dobrych, kilkaset złych i teraz znowu nadszedł nasz czas. Czujesz to? – Podeszła bliżej. Jej oddech pachniał stęchlizną i przesycony był tajemnicami wściekłości i czasu. – Możesz naprawdę to poczuć, Lenoro?

– Tak – szepnęła Lenora. I rzeczywiście czuła. Pojawiające się w ostatnich kilku dniach wspomnienia Wojny-Katastrofy i przerażającej ucieczki na północ zostały natychmiast starte przez pierwsze zdecydowane zwycięstwo. Byli z powrotem na Noreeli... i kiedyś, wkrótce, znowu powróci do domu. To będzie jej osobista nagroda i nawet Magowie nie musieli o tym wiedzieć.

– Chcę, żebyś poleciała ze mną, poruczniku.

Lenora zmarszczyła brwi. Czuła się zdezorientowana. Angel minęła ją i poszła wzdłuż muru na ląd, prawdziwą ziemię. Wyciągnęła rękę, aby dotknąć odsłoniętej przez wieki kości Noreeli. Lorena poszła za Angel, zerkając na S’Hiveza siedzącego na sokole. Nie zdradzał

chęci zejścia na ziemię.

– Nie przejmuj się nim – rzuciła Angel. – Wie, że wkrótce stąd odlecimy, a nie przywiązuje wagi do symboli. To ja chciałam ponownie dotknąć tej ziemi.

Lenora szła za swoją panią, zachowując pełen szacunku dystans. Minęli wojownika, który tak mocno lgnął do ziemi, jakby usiłował się w nią wtopić.

– Jesteśmy tu – powiedziała Angel, łagodnym głosem przesyconym ponadczasowym żalem. – Jesteśmy tu.

Magini weszła na pierwszą zapyloną ulicę Conbarmy. Stała przez jakiś czas, spoglądając na swoje stopy, potem na budynki przed sobą, potem popatrzyła w lewo i w prawo na sklepy oraz tawerny przed portem i znów przeniosła wzrok na swoje stopy. Następnie osunęła się powoli na kolana i z miejsca, z którego obserwowała ją Lenora, wyglądała jak klęcząca w pyle stara kobieta, której przyjaciele i rodzina nie żyją, pragnąca tylko się z nimi połączyć. Zaczerpnęła garść piasku i podniosła go do twarzy. Przez chwilę wdychała jego zapach, pozwalając ziarenkom przesączać się między palcami i ulatywać z wiatrem.

Angel nagle wstała, odwróciła się gwałtownie i ruszyła z powrotem w kierunku Lenory. Wszelkie podobieństwo do starej kobiety zniknęło. Była to znowu Magini, Angel, kobieta, która w oczach Lenory zawsze panowała, posiadała moc i pasję pozwalające jej przetrwać wszystkie niepowodzenia. Zbudowała społeczność na dalekiej północy, gdzie w zimie oddech zamarał na ustach, a mocz zamieniał się w lód natychmiast po opuszczeniu ciała. Stworzyła armię i zawsze była pewna, że jej czas znowu nadejdzie. A wynędzniały i jakby wyblakły S'Hivez z przyjemnością patrzył, jak Angel przejmuje władzę. Kiedyś byli kochankami, a teraz bardziej przypominali potworną matkę i syna.

– Ile razy o tym marzyłaś, Lenoro? – spytała.

– Setki, o pani.

– Czy czujesz się tak dobrze, jak sobie wyobrażałaś?

Lenora się uśmiechnęła.

– Lepiej.

– To dobrze. Dlatego, że jest to miejsce do życia, tymczasem Dana'Man było miejscem do umierania. Czujesz się żywa? Czy krew na twoich rękach sprawia, że czujesz się żywa?

– Tak – szepnęła Lenora.

– Chodź ze mną. Źródło magii jest daleko na południu. Moje cienie widziały je. Jest słabe, źle chronione i teraz ma imię. Polecimy tam i weźmiemy je same. Może nawet trzeba będzie walczyć z Czerwonymi Mnichami! Wierzę, że moje wojska wylądują tutaj i uczynią to, do czego zostały powołane.

– Można im w pełni zaufać.

– Mam taką nadzieję. – Angel podeszła do Lenory, wyciągnęła rękę i krótko ucisnęła jej ramię. Krotka uznała to za znak wdzięczności. – S'Hivez! – zawołała Magini.

Lenora odwróciła się i zobaczyła, że stary Mag unosi się w siodle.

– S’Hivez, pora lecieć dalej. To miejsce smakuje tak dobrze jak zawsze i będzie nasze. Ale czy chcesz znowu poczuć się młody? Czy chcesz poczuć się lepiej?

S’Hivez coś wymamrotał i Angel się zaśmiała. Jej głos brzmiał jak u małej dziewczynki, która za chwilę poderżnie matce gardło. Był słodki, trujący.

– Lenoro, tylko ty polecisz z nami! – zawołała. – Powiedz swoimi Krotom, by utrzymali to miejsce przez tydzień, dopóki nie wylądaje nasza armia.

Lenora odwróciła się i pobiegła do portu, do miejsca, w którym jeden z wojowników wylądował z jej sokołem. Wydawała rozkazy, wskakując na siodło i podrywając latającego stwora w powietrze.

Nie mieli znaleźć się tu tak szybko, pomyślała, ale bez rozgoryczenia. Fakt, że przybyli, oznaczał, że wydarzenia nabierały tempa i była zadowolona, że pani zażądała jej towarzystwa. Teraz, gdy znaleźli się z powrotem na Noreeli, dokądkolwiek udadzą się Magowie, tam będzie się działo coś ważnego. Będzie tworzona nowa historia.

Lenora była szczęśliwa, że leci z nimi.

25

– Byłem tutaj – powiedział Kosar. Nie potrafił spojrzeć na żadnego ze swoich towarzyszy, ponieważ wspomnienie Kang Kang nie było czymś, czym można się dzielić. – Przynajmniej byłem blisko tego miejsca i to wystarczyło. To nie jest... właściwe.

– A rzeka płynąca pod górę? – spytał Trey.

– Kang Kang nigdy nie był właściwy – odparł Kosar. – To, co widzieliśmy nad Sanem, było wynaturzeniem, ale miało bardzo ludzką przyczynę w tym, co uczynili Magowie. A'Meer, Nadziejo, musiałyście słyszeć opowieści? Te góry nie są przeznaczone dla ludzi i nigdy nie powinny być częścią Noreeli. Ukrywają rzeczy, które nie powinny istnieć i których nigdy nie zdołamy poznać. A'Meer? Nie słyszałaś?

– Oczywiście, że słyszałam – przytaknęła spokojnie.

– Nadziejo? – zwrócił się do wiedźmy.

Wzruszyła ramionami i pokręciła głową.

– Słyszałam tysiące historii, ale nigdy od kogoś, komu wierzyłabym, że był tam naprawdę. Mężczyźni zawsze usiłowali mi zaimponować, kobiety starały się wzbudzić we mnie zazdrość lub sztydzić ze mnie. Słyszałam więcej opowieści, niż byłabym w stanie sobie przypomnieć, ale nie wierzę w żadną z nich. Wiem jednak, że przynajmniej część tego, co mówisz, jest prawdą: Kang Kang jest nie z tej krainy.

Rafe siedział w milczeniu na koniu. Pozostali zerkali na niego i odwracali wzrok, starając się coś z tego zrozumieć. Nie reagował na argumenty Kosara. Przedstawił swój cel i najwyraźniej nie miał ochoty dyskutować.

– Rafe, w Nowym Shanti zapewniam ci największe bezpieczeństwo, nie wątpię w to – odezwał się do niego Kosar. – A'Meer powiedziała mi wiele o swoim ludzie, o jego sposobie życia i celach. Są przeciwieństwem Czerwonych Mnichów. Zrobią wszystko, dosłownie wszystko, aby ochronić twoje życie i zapewnić bezpieczeństwo. Sama A'Meer niemal zginęła w twojej obronie, sam dobrze to wiesz. Wyobraź sobie dziesięć tysięcy A'Meer walczących za ciebie.

– Może walczyć za mnie nawet milion A'Meer – rzekł Rafe – byłbym im za to wdzięczny. Mogą mnie chronić i ukrywać, ale w ostatecznym rozrachunku tylko magia może sama się ocalić. Dlatego muszę jechać do Kang Kang.

– Czy to magia każe ci jechać? – spytał Trey.

– Nie każe mi niczego. Nie może. Nie ma umysłu, niczego, co by nią kierowało. Być może pozostawia jakieś poszlaki, daje sugestie, ale nie rozkazy. Nie chcę tam jechać tak samo jak ty, Kosarze, ale po prostu wiem, że obecnie jest to dla mnie najbezpieczniejsze miejsce. Właściwe miejsce. Jeżeli będzie o mnie wojna, wolałbym znaleźć się daleko od wszystkich innych.

– Powinniśmy ruszać – oznajmiła A'Meer. – Możemy rozmawiać o tym w marszu.

Kosar podszedł, żeby dotknąć jej ramienia, ale już odwróciła się i ruszyła przodem, sprawdzając teren. Jej dłoń stale spoczywała na rękojeści miecza, jakby miała pewność, że zanim noc dobiegnie końca, będą musieli walczyć.

* * *

Rafe dobrze siedział w siodle i jeździł konno. W Trengborne robił to dosłownie każdego dnia. Zawoził na pola jedzenie dla rodziców, podwoził któregoś z leciwych wieśniaków, idących na targ lub wracających do domu, albo po prostu badał zbocza rozległej doliny. Matka często mu powtarzała, że nauczył się jeździć, zanim zaczął chodzić. W Trengborne miał srokatą klacz rhoshana, krzyżówkę z bardziej pospolitym laphanem, ale jednak z cechami wierzchowca pełnej krwi, którego genetyczna pamięć niewątpliwie zawierała wspomnienie szalonych gonitw po Równinach Cantrass. Nazwał ją Suki i uważał za przyjaciółkę. Nie miał jej na wyłączność – biedni rolnicy posiadali niewiele i używali wszystkiego wspólnie – ale Suki była jego ulubienicą i zawsze uważał, że parskała z przyjemnością, kiedy podchodził do niej, siodłał ją i wyprowadzał ze stajni. Rhoshańska krew sprawiała, że trudniej było nią kierować, ale Rafe'owi się to podobało. Przejechali razem wiele kilometrów. Miał nadzieję, że żyje, ale była to płonna nadzieja. Stajnie były zamknięte, a po tym jak Czerwony Mnich odwiedził wioskę, nie pozostał nikt, kto by je otworzył.

Wspominanie życia w wiosce podnosiło Rafe'a na duchu, ponieważ dzięki temu czuł się bardziej sobą. Przekonał się, że kiedy myśli o ciężkiej pracy w polu, jego osobowość znowu wysuwa się na pierwszy plan. We wspomnieniach odkrywał ją na nowo, zadowolony ze świadomości, że wciąż w nim pozostaje. Być może zapędzona w ukrycie przez to, co rozwijało się w jego umyśle. Oszołomiona jego mocą. To coś było ogromne, onieśmiałające, uczyło pokory i przerażało, ale Rafe pozostawał Rafe'em. To coś w nim używało go niczym wierzchowca, tak jak on używał Suki. Miał jedynie nadzieję, że wzajemny podziw jest taki sam.

Skłamał Treyowi i nie wiedział dlaczego. Magia nie powiedziała mu, żeby jechał do Kang Kang, ponieważ wciąż jeszcze nie miała głosu, ale w istocie zdecydowanie zasugerowała mu ten kierunek. W czasie snu, gdy był nieprzytomny – i obecnie za pośrednictwem wewnętrznego spojrzenia, gdy zdecydował się spojrzeć w głąb tej mrocznej

otchłani – nakaz udania się w stronę tych odległych gór był oczywisty. Za nim były żar i trucizna, przed nim niebezpieczeństwo i walka, i jedynie podróż do Kang Kang zapewniała możliwość pomyślnego zakończenia. Rafe okłamał Treya, ale sam również nie mógł wiedzieć, jak bardzo prawdziwe są te wizje i wrażenia. Nie znał tej magii. Obecnie była w nim silniejsza niż wtedy, w Trengborne, kiedy ukrywał się pod gankiem i patrzył, jak Mnich morduje jego rodziców. Słyszał, jak szepcze przez trawę, kamienie, ziemię. Była większa niż poprzednio, bardziej złożona i wydawała się powiększać z każdą sekundą. Mogła rozsadzić jego umysł, gdyby się za bardzo nad nią zastanawiał. Ale wciąż była tajemnicą. Miał nadzieję, że zrozumie ją już wkrótce.

Okłamał Treya i bardzo chciał okłamać również samego siebie. Pragnął móc uwierzyć, że on i jego mała grupa opiekunów kierują swoim przeznaczeniem, podejmują decyzje i wytyczają własne szlaki. Nie zaś pozwalają tej bezmyślnej, niezgłębionej mocy narzucać im kierunki, udzielać im pomocy w momentach, które nie oni wybrali, zmieniać ich w coś niewiele lepszego niż konie, którymi się kieruje i prowadzi tam, gdzie chce ich pan. Myślał, by obudzić i uleczyć Alishię, ale magia mu nie pozwoliła. Chciał obdarzyć się mocą, aby być gotowy do walki z Mnichami, ale magia nie dała mu niczego. Był sterowany, całkowicie i nieodwołalnie, a myśli o czekającym go przeznaczeniu napawały przerażeniem.

Dlatego okłamał Treya i innych. Przynajmniej mógł im oszczędzić tej prawdy.

* * *

– Mnich! – syknęła A'Meer.

Kosar ukląkł koło Shantasi, odwrócił się i uniósł rękę. Reszta grupy zatrzymała się. Oba konie parskaly i grzebały kopytami, jakby wyczuwały nagły niepokój ludzi.

– Gdzie?

– Tam. – A'Meer wskazała prosto przed siebie, na ciemniejszy kształt w cieniu wysokiego drzewa.

Kosar musiał przymrużyć oczy i nagle dostrzegł ruch, szybko zbliżającą się postać.

– Cholera! – westchnął.

– Trzymaj się mnie – poleciała A'Meer. – Zaatakujemy razem i zadamy tyle ciosów, ile się da. Do licha, nic nie widzę!

– Jest ich więcej – zauważył Kosar. Ogarniał go lęk, całe ciało kurczyło się w przeczuciu klęski. Nie chciał wyobrazić sobie bólu, który zada miecz wbijający mu się między żebra, ale jego myśli wybiegały w przyszłość, wyobrażał sobie następnych dziesięć minut. – Spójrz w lewo, tam. W odległości dwustu kroków.

– Widzę ich.

– Nie możemy walczyć z nimi po ciemku. Mielibyśmy większe szanse, gdybyśmy ich widzieli. Te przekłete chmury zupełnie zasłaniają księżyc!

– To nie może się tak skończyć – zaprotestowała A’Meer. – To takie bezsensowne.

– Potrzebne wam światło? – zapytała Nadzieja. Wiedźma wczołgała się między nich i uklękła, zrzuciła z ramienia torbę i zaczęła grzebać w jej wnętrzu. – Zamknijcie na sekundę oczy, żeby wzrok się przyzwyczaił. Być może to ich osłepi na kilka chwil, pozwoli nam zaatakować pierwszym.

Kosar widział cienie sunące po ziemi, poruszające się od jednej kryjówki do drugiej. Kaptury i płaszcze sprawiały, że wyglądały prawie bezkształtnie, ale ich zamiary nie pozostawiały wątpliwości. Posłuchał wiedźmy i zamknął oczy.

Zapłonęło światło tak mocne, że przez powieki przeniknęła jego czerwień. Słyszał syk, jakby ogromnego węża, i nie mógł się powstrzymać. Spojrzał. Blask osłepił go na chwilę i lewą dłonią osłonił oczy, w prawej trzymając nagi miecz. Ogień tańczył po niebie, ogniste kule strzelały z prawej i lewej, wydawało się, że odbijają się od siebie, rykoszetują, wylatują w górę, oświetlając okolicę. Kosar westchnął, oszołomiony przez chwilę tym widokiem, a Nadzieja klepnęła go w ramię i szepnęła mu do ucha:

– To tylko chemia.

A’Meer stała, zwrócona twarzą do postaci sparaliżowanych tą nagłą iluminacją. Było ich sześć, kaptury zakrywały twarze, ale nie było wątpliwości, co zamierzają. Trzymając w dłoniach miecze, Mnisi szykowali się do ataku. W mieniącym się świetle ich szaty wydawały się czerwieniejsze, wrzosa pod stopami bardziej fioletowe. Nawet zapach zarośli wydawał się mocniejszy. A może tak blisko śmierci Kosar widział i czuł zadziwiająco wyraźnie.

A’Meer wypuściła strzałę w kierunku pierwszego Mnicha, sięgnęła za plecy, wyjęła z kołczana następną, wystrzeliła, wyciągnęła kolejną, wystrzeliła. W czasie pięciu uderzeń serca przeszła strzałą każdą z postaci, które prawie się nie poruszyły.

– Przeleciały przez nich – powiedział Kosar. Nie było krwi ani żadnej rany. – Strzały przeleciały przez nich.

A’Meer znieruchomiła na chwilę, a potem założyła na cięciwę kolejną strzałę i wycelowała w pierwszego mnicha. Pocisk trafił go w twarz, kaptur zatrzepotał szarpnięty lotką strzały. Uderzyła w kamień i złamała się na pół.

– Czyżby zła magia tak szybko wróciła? – zapytała z przerażeniem Nadzieja.

Trey stał obok nich, z dobytym dyskomieczem połyskującym w świetle chemikaliów Nadziei.

– Nie poruszają się – szepnął. Słyszał tylko syk i trzaski kul ognistych.

– Czemu nie atakują? – zdziwił się Kosar. Pamiętał Mnicha w Trengborne, niezważającego na strzały sterczące z ciała i głowy, nacierającego po każdym trafieniu z nową zaciekłością.

A’Meer wystrzeliła jeszcze trzy razy do pierwszego Mnicha i każdy pocisk przebił go, nie pozostawiając żadnej rany.

– Czekają, aż zabraknie nam strzał? – odezwała się Nadzieja.

– Rzeczywiście tam są?

– Jeżeli nie śni nam się ten sam koszmar.

W tym momencie Mnisi się poruszyli.

Jednocześnie osunęli się w ziemię. Ich nogi rozdzielały się i rozszerzały, jakby topiły się w zimnym podłożu. Utrzymywali swoje kształty i Kosar dostrzegł nawet błysk ich oczu, gdy płaszcze i kaptury rozsypały się. Coś, co stworzyło tych mnichów, migotało i kołysało się, dopływało z miejsca, w którym stały kurczące się postacie i, lśniąc w nocy jak miliony oczu, pokrywało wokół nich ziemię.

Światła Nadziei przygasały.

– To niemożliwe – powiedziała wiedźma i niedowierzenie sprawiło, że jej głos zabrzmiał bardzo młodo.

– Co takiego? – zapytał Kosar.

Kształty niemal całkowicie zniknęły. Kaptury zachowały czerwień, oczy i czerwone twarze wciąż były widoczne, gdy postacie zapadały się w ziemię. Wyglądały jak sześć kałuż, a każda poruszała się jednocześnie w stu kierunkach, pokrywając trawę i kamienie, ale nie przyjmując ich kształtu. Kiedy Mnisi zniknęli, materia ściemniała i w gasnącym świetle kul ognistych przypominała plamy cienia poszukujące domu.

– Imity – oznajmiła Nadzieja.

Zupełnie jakby jej słowo pobudziło je do życia, kształty zbliżyły się do siebie, zlały w jedną masę, która następnie przesunęła się szybko w prawo, na zachód i zniknęła w ciemności.

Chemikalia Nadziei w końcu się wypaliły, pogrążając ich w jeszcze głębszej ciemności. Cała czwórka cofnęła się do koni i stanęła wokół nich zwrócona twarzami na zewnątrz, czekając, aż ich oczy przywykną do ciemności.

– Co właściwie widzieliśmy? – zapytał Kosar. Zadowoliliby go odpowiedź każdego z towarzyszy, ale pytanie było skierowane do Rafe’a. – Rafe, co to było?

– Nie wiem – odparł chłopak z grzbietu konia.

– Imity – powtórzyła Nadzieja.

– To legendy – powiedziała A’Meer, ale z wyraźną niepewnością w głosie.

– Oczywiście, że istnieją!

– Nigdy o nich nie słyszałem – stwierdził Kosar. – Wiele podróżowałem, ale nigdy nie widziałem czegoś takiego ani nawet o tym nie słyszałem.

– Imity – W głosie Nadziei walczyły niedowierzenie i zachwyt. – Słyszałam o nich parę razy, nawet spotkałam starą kobietę, która twierdziła, że raz je widziała, ale nigdy nie sądziłam, że ujrzę je na własne oczy.

– Ale wierzyłaś, że istnieją? – zapytała A’Meer.

– Jestem wiedźmą. Mam bardzo otwarty umysł.

– Czemu Mnisi? – zdziwił się Kosar.

– Ostrzeżenie. – Wiedźma umilkła, być może zdając sobie sprawę, że pojawienie się imitów właściwie nie jest powodem do radości.

– Pokazały nam sześciu Mnichów i odeszły na zachód – powiedziała A’Meer. – Jeżeli to ostrzeżenie, ciekawa jestem, jak blisko są.

– Dlaczego imity miałyby nas ostrzegać? – zainteresował się Rafe.

– Chyba sam powinienes to wiedzieć, chłopcze – mruknęła Nadzieja. – Wygląda na to, że wieści o naszej podróży i o tym, co mamy ze sobą, zawędrowała daleko poza świat ludzi.

– Bez względu na to, co, jak i dlaczego powinniśmy ruszać dalej, a nie stać i gadać – zauważył Kosar. – Jeżeli te wtedy przyszły, by nas ostrzec, musiały mieć powód. Chyba że są częścią zagrożenia. A jeżeli są po stronie Mnichów?

– Jestem pewna, że nie obchodzą ich nieistotne sojusze – odparła Nadzieja. – Różnią się od nas bardziej, niż możemy sobie wyobrazić. To społeczność roju. Zapewne widzieliśmy tu więcej imitów niż ludzi żyjących w Noreeli. Mają swój powód, by nas tak brutalnie ostrzegać i jest nim magia, którą nosi Rafe.

– Ale równie łatwo mogłyby nas doprowadzić do Mnichów zamiast pokazywać, jak ich ominąć.

– Jestem pewna, że same mogłyby nas zniszczyć. Słyszałam opowieści. – Nadzieja nie dodała nic więcej, ale jej milczenie sugerowało, że historie są zbyt makabryczne, by je relacjonować.

– Cóż, ruszajmy – zdecydowała A’Meer. Wzięła do ręki cugle obu koni i poprowadziła je prosto przed siebie, w stronę miejsca, gdzie przed paroma chwilami pojawiły się imity.

Podążyli za nią. Kosar spoglądał pod nogi, usiłując dostrzec, czy w miejscu, gdzie te istoty rozpląnęły się, tworząc ruchomy, żywy dywan, ziemia wygląda inaczej. Czy wrzosa zmieniły się w uschnięte pędy, czy stały się bujniejsze? Czy gleba została pozbawiona minerałów, czy wzbogacona? Szczegóły kryły się jednak w ciemności i jego stopy były tylko niewyraźnymi kształtami niosącymi go coraz dalej.

* * *

W czasie marszu Trey włożył do ust kawałek fiedzu. Był już bardzo czerstwy, gorzki oraz mdlący i chłopak poczuł, jak jego umysł chwieje się, odrywając od ciała. Szedł dalej, oczy miał otwarte i musiał jedynie odrobinę sięgnąć umysłem, aby dotrzeć do Alishii.

Jesteś tam? – pomyślał. Jeszcze żyjesz?

Jeszcze jestem, jeszcze żyję, ale jestem napelniana! – Jej głos był bardzo odległy i brzmiał bardzo młodo.

Alishio! – zawołał w myślach.

Odkrzyknęła, ale nie zabrzmiało to głośnie.

Co się dzieje? – spytał Trey. Jestem zupełnie sam. Brakuje mi twojego towarzystwa i twój

głos brzmi dziwnie, jakbyś była zagubiona...

Zagubiona i odnaleziona na nowo – szepnęła Alishia. Nigdy tak naprawdę nie żyłam, ale teraz jestem napelniona wszystkim.

Coś zbliżyło się do niego, coś ogromnego, mrocznego, co wcale nie było Alishią. Rozwinęło się z maleńkiego migoczącego światełka jej bezgranicznego umysłu i cofnął się przed tym. W tym bycie właściwie nie czuło się wrogości, ale wywierał niezwykłą presję. Zrezygnował. Wycofał się. Wrócił do swojego ciała i otworzył oczy, a następnie spojrzał na Rafe'a, który jechał na koniu trzydzieści kroków przed nim.

Popatrzył, zastanawiając się, co dzieje się wewnątrz głowy chłopca.

* * *

Szli przez noc, co chwila spoglądając nerwowo na zachód, spodziewając się wciąż, że ujrzą wyłaniające się z cieni postaci prawdziwych Mnichów, pędzących na nich z dobytymi mieczami i śmiercią w oczach. Powinni się zatrzymać i coś zjeść, odpocząć, wyspać się, ale ostrzeżenie należało traktować poważnie. Im szybciej będą teraz maszerować, tym większe będą ich szanse ucieczki.

– Co zrobimy, jeżeli natkniemy się na Mnichów? – szepnął Kosar do A'Meer.

Długo nie odpowiadała. Miał już zamiar odejść, kiedy westchnęła

– Niewiele możemy zrobić. Mogę walczyć z nimi, tak jak mnie szkolono, możesz przyłączyć się do walki, jeżeli czujesz się związany z naszą sprawą, może Nadzieja zdoła znowu ich zatruć albo posłużyć się chemią. Trey jest górnikiem, nie wojownikiem. Może uda nam się ich osłabić, może na jakiś czas odsuniemy w czasie to, co nieuniknione. Ale wszyscy umrzemy, Kosarze. Bardzo trudno ich pokonać nawet w pojedynkę. Jeżeli natkniemy się na większą grupę, wszyscy zginemy.

– A Rafe? – zapytał Kosar. – Co będzie, jeżeli Rafe włączy się do walki?

Tym razem milczenie A'Meer trwało dłużej i Kosar nie powtórzył pytania.

* * *

– Kang Kang – powiedział Rafe. – To dla mnie jedyne bezpieczne miejsce i jedyne sposób, by ktokolwiek z nas przeżył. Beze mnie Kosar i A'Meer mogą dotrzeć do Hess o wiele szybciej.

– Nie zostawię cię – oświadczyła A'Meer.

– Zaopiekuję się nim – obiecała Nadzieja. I zrobię to, pomyślała, lepiej od ciebie z twoimi mieczami i strzałami. Mam coś o wiele potężniejszego. Mam żarliwe uczucie. Mam powód.

A'Meer pokręciła głową.

– Nie mam zamiaru go opuścić. Ani z tobą, ani z nikim innym. – Uniosła brwi, jakby

prowokując do zakwestionowania jej słów.

O świcie wspięli się na niewielkie wzgórze i teraz odpoczywali na jego szczycie. Z tego miejsca mogli obserwować całą okolice. Na północy, skąd przybyli, wznosiła się sięgająca chmur ściana mgły, łącząca ziemię z niebem. Na wschodzie widniały wzgórza, rosnące coraz wyżej aż po horyzont, by potem opaść, przechodząc w pustynię Mol'Steria. Na południu ciągnął się busz z kępami drzew. Roślinność sprawiała wrażenie chorowitej i potrzebującej czegoś więcej niż wody. W oddali, w mgielce upału migotały tuż nad ziemią światła miasta Mareton. A na zachodzie, skąd spodziewali się nadejścia straszliwych Mnichów, jak okiem sięgnąć, widniała porośnięta trawą równina z mnóstwem kryjówek.

Nadzieja lustrowała zachód przez lunetę, prezent od jednego z wielu mężczyzn, których zabawiała. W okazywaniu wdzięczności za ten dar posunęła się o wiele dalej, niż miała ochotę, ale rzecz okazała się tego warta. Za kilka ulotnych chwil upodlenia miała dobre narzędzie, które zmniejszało odległości i pozwalało ostrzec o niebezpieczeństwie równie szybko jak narkotyczne wizje górnika. Nadzieja już nie ufała przyćmionemu umysłowi Treya. Wrócił z kolejnej podróży zaledwie kilka minut temu, ale nie był w stanie powiedzieć im niczego, o czym by już nie wiedzieli. Widział czerwoną plamę krwi rozlaną po kraju – „Mnisi, powiedział, na wzgórzach i w dolinach roi się od setek Mnichów” – ale nie znał odległości, kierunku i miejsca. Nie był nawet pewien, że widzi teraźniejszość, a nie przeszłość albo jakąś mglistą przyszłość. Z niechęcią zaczęła wierzyć w jego dobre intencje, ale umiejętności górnika zdawały się zanikać. Kiedy wrócił, dostrzegła jego wzrok, ale nie chciał spojrzeć jej w oczy.

Inni nie postrzegali tego w podobny sposób. Pozostawiła ich własnym myślom. Była tylko wiedzmą i dziwką, dlaczego więc mieliby jej słuchać?

Obserwowała, czując na plecach spojrzenie Rafe'a. Potrzebował jej pomocy, by dotrzeć do Kang Kang, i udzieli mu jej – razem z innymi lub bez nich. Bez nich, pomyślała. Właściwie wołałabym bez nich.

O tajemniczym górzystym rejonie na południu i Zamazaniu, które za nim być może istniało lub nie, słyszała więcej opowieści, niż chciałyby przyznać. Kosar miał rację w swojej ocenie Kang Kang, ale tylko częściowo. Opierał się na bardzo subiektywnym strachu przed Kang Kang i tym, co mogło się tam znajdować. Z kolei wiedza Nadziei głębiej wiązała się z samym miejscem, była bardziej obiektywna. Nie bała się żadnej części krainy, ale zdawała sobie sprawę, że Kang Kang boi się samego siebie. W tych górach szaleństwa lęk był czymś namacalnym, tak wszechobecnym jak powietrze, trawa czy skały. Można go było chłonać lub odrzucić, ale każdy, kto tam podróżował, w jakimś momencie go odkrywał. Dlatego z tych, którzy zapuścili się w Kang Kang, powracało tak niewielu. Góry były niczym dzikie zwierzę doprowadzone do szaleństwa własną brutalnością i pożerające wszystko.

– Jeżeli jesteśmy tutaj, żeby opiekować się Rafe'em, z całą pewnością powinniśmy słuchać jego argumentów – odezwała się w końcu. Jej słowa przerwały niepewną ciszę, jakby

oczekującą, aby zakłócił ją spór. – Nosi nową magię, jest tym, za którego gotowi jesteśmy oddać życie, by go chronić. Jeżeli chce udać się do Kang Kang, nie widzę możliwości, by mu odmówić.

A'Meer siedziała z przymkniętymi oczami oparta o pień drzewa i machnęła ręką, jakby odpędzając natrętą muchę. Był to lekceważący gest i Shantasi nie zaszczyciła Nadziei ani jednym słowem odpowiedzi.

– Co? – zapytała Nadzieja. – Co takiego, Shantasi?

– Nadziejo. – Kosar stał przy koniach, sprawdzając ich stan, oglądając ich kopyta. – Rafe jest nosicielem, ale czy musi to oznaczać?... – Urwał, spojrzał pod nogi i znowu zajął się końmi.

– Co oznaczać?

Złodziej znowu odwrócił się w jej stronę i Nadzieję zaskoczyła determinacja w jego spojrzeniu. Cokolwiek miał zamiar powiedzieć, wierzył w to całkowicie.

– Cóż... czy bycie nosicielem oznacza, że sam w sobie jest kimś bardziej szczególnym?

Zerknął na Rafe'a i odwrócił wzrok. Chłopak odpowiedział zaciekawionym spojrzeniem.

– Sam nam powiedziałaś, Rafe, że jest w tobie jakaś rzecz, że nie masz nad nią władzy. To jakieś inne życie istniejące obok twojego, niezależne, coś jakby dziecko dzielące z tobą siły życiowe i rosnące niezależnie od ciebie. Ale podobnie jak matka nie jest dzieckiem, ty nie jesteś magią. Czy naprawdę możesz twierdzić, że wiesz dokładnie, czego chce?

Wszyscy spojrzeli na Rafe'a. Oto szansa, aby ujawnił się i odrzucił wszelkie wątpliwości, pomyślała Nadzieja. Czowała mrowienie kończyn, skóry na głowie, jakby nad wzgórzami zbierała się burza z piorunami. Tu rzeczy ulegają zmianie.

– Jestem równie ważny jak każdy, kto ma wiedzę – odparł Rafe. – Twój umysł jest oddzielny od reszty ciebie, Kosarze. Twój cień jest wciąż z tobą, gdzieś, pozostałość twojego potencjału ukrywająca się wśród twoich kości i we krwi. Beze mnie magia będzie wolna, ale bezbronna jak nowo narodzone dziecko. Są tam istoty, które by ją pożarły.

– Nie miałem na myśli... – rzekł Kosar, spoglądając na dłonie i zdejmując końskie włosie z czubków palców. Potem znowu podniósł głowę. – Nigdy nie mówiłeś w ten sposób. Jesteś wiejskim chłopcem, Rafe.

– Moje oczy się otwierają. – Przez kilka sekund spoglądał na każdego z nich, nawet na nieprzytomną Alishię opartą o Treya. – Wiem, że wszyscy macie wątpliwości. Ja też. Rzecz wewnątrz mnie zrobiła kilka sztuczek, żeby nam pomóc w podróży, ale minęło tak wiele czasu. Nie widzimy cudów. Chronimy się przed prawdą. Ale musicie mi wierzyć, kiedy mówię, co jest słuszne. – Popatrzył na A'Meer. – Uwierz mi.

– Nie wiem... – zaczęła Shantasi.

– Zostaliśmy oślepieni – wtrąciła się Nadzieja. – Oślepieni przez naszą niewiarę, dokładnie tak, jak powiedział Rafe. Wszyscy słyszeliśmy o starej magii i o tym, co mogła czynić, ale czy naprawdę wierzymy? Powiedz A'Meer. Rzeczywiście możesz uwierzyć?

– Oczywiście – odparła Shantasi, ale wszyscy słyszeli wątpliwość w jej głosie. Spojrzała w dal, pomiędzy drzewa.

– Niedaleko stąd – odezwał się Rafe – jest miejsce, które pozwoli wam uwierzyć. – Zamknął oczy i nagle jakby życie odpłynęło z jego twarzy. Skóra stała się ziemista i pobrużdżona, ciało obwisło, jakby w dziesięć sekund postarzał się o dziesięć lat.

– Rafe! – krzyknęła Nadzieja. Nie! – pomyślała, podbiegając do chłopca. Złapała go za rękę i przyłożyła ucho do jego ust. Pozostali zerwali się i zgromadzili wokół nich. Wiedźma czuła oddech Rafe’a, ciepły powiew muskający policzek i szyję. Zamknęła oczy, zastanawiając się, co może zająć między nimi, jeżeli pozostanie tak blisko niego. Tutaj, teraz, wewnątrz niego, na odległość ręki... ale uświadomiła sobie, że w istocie nie było to tak blisko. Magia wciąż była nieskończenie odległa. I chociaż wierzyła najsilniej spośród nich, magia była wciąż tak daleka, jak zawsze.

– Śpi – powiedziała cicho, próbując ukryć rozczarowanie. Zmieszanie. Pragnienie.

Pozostanę z tobą, Rafe, pomyślała. Wierzę ci i pozostanę z tobą bez względu na to, czy ostatecznie otrzymam to, czego pragnę, czy też nie.

* * *

Pozostali na wzgórzu, by coś zjeść i trochę odpocząć. Trey przeżuł trochę czerstwego fiedzu i powiedział, że kraina wciąż jest poplamiona czerwienią sunącą na wschód, ale nie wie, jak daleko znajduje się to zagrożenie. Umilkł, gdy Kosar zadał pytanie, pokręcił głową i spojrzał na Alishię, która siedziała, stopniowo niknąc w oczach. Trey próbował karmić nieprzytomną dziewczynę, wlewał wodę do jej ust, ale ponieważ umysł został rozszarpany na strzępy, ciało utraciło instynkt przeżycia. Jedzenie wypadło z jej ust nieprzeżute, woda spływała po brodzie. Było jeszcze coś. Nie mogli być pewni, ale wyglądała na młodszą niż poprzednio, drobniejszą. Może sprawiły to jej przeżycia, a może coś innego.

Kiedy wyruszyli dalej, Kosara zaczęły dręczyć złe przeczucia. Przyjrzał się wszystkim – Nadziei, Treyowi, Alishii, przerażająco normalnemu Rafe’owi, A’Meer, kobiecie, którą kochał – ludziom, którzy byli zarówno przyjaciółmi, jak i obcymi. Przez chwilę byli postaciami w jego własnej opowieści, tak bliskimi, że nie mógł żadnego z nich znać lepiej, a jednak tak nierzeczywistymi, że odczuwał ich nieuchronnie zbliżającą się utratę, jak jakąś pustkę w swoim wnętrzu. Podszedł do A’Meer i dotknął ramieniem jej barku, próbując dostrzec w jej oczach podobne przeczucie ich losu, ale go nie zobaczył.

Żądanie Rafe’a i rozmowa na wzgórzu wciąż nie przyniosły żadnej decyzji. Kierowali się wciąż na południowy wschód i obrany kierunek coraz bardziej zbliżał ich do Nowego Shanti i miejsca, do którego chciała dotrzeć A’Meer. Rafe siedział na koniu i spokojnie pozwalał się prowadzić, chociaż w grupie dało się zauważyć wyraźne napięcie. Wydawało się, że słowa Rafe’a powtarza im cała kraina: „Jest miejsce, które pozwoli wam uwierzyć”. Kosar nie miał

pojęcia, gdzie znajduje się to miejsce i czym jest – żadne z nich nie miało – ale wszyscy spoglądali jakby nowym wzrokiem, próbując odnaleźć prawdy między źdźbłami trawy, objawienia unoszące się w przesyconym słońcem powietrzu razem z kurzem i pyłkami. Kosar miał nadzieję, że ich wzrok stał się lepszy, ale mimo wszystko obawiał się, że niektórymi z nich kieruje zachłanność, a innymi poczucie winy. Czystości swoich intencji musieli jeszcze dowieść.

Około południa zatrzymali się przy niewielkim strumieniu, by napić konie. Kosar napełnił manierki wodą nieco dalej w górę rzeki, ochlapał twarz i kark i stęknął, gdy zimna woda przeniknęła przez warstwę brudu. Już od dawna tak się nie czuł. W Trengborne ciężko pracował, ale prowadził o wiele wygodniejsze życie, niż to sobie wówczas uświadamiał. Mięśnie naprawdę go bolały, były zmęczone i spięte w sposób, o jakim dawno już zapomniały.

– Zboczyliśmy – oznajmiła A’Meer. Stała w cieniu wielkiego głazu, obserwując cień, spoglądając na słońce. – Skręciliśmy prosto na południe.

– Nie zauważyłem, żebyśmy zmienili kierunek marszu – odparł Kosar.

– Żadne z nas nie zauważyło. – A’Meer zerknęła na Rafe’a, a potem odeszła, usiadła nad strumieniem i wyciągnęła miecz. Drasnęła się nim w palec i głównię zaplamiła krew. W świetle słonecznym tworzyła cienką, delikatną powłokę.

Nikt nie powiedział już ani słowa o zmianie kierunku, ale kiedy ruszyli dalej, A’Meer prowadziła, zbaczając pod wyraźnym kątem z dotychczasowej trasy marszu. Kosar szedł razem z nią, ale o nic nie pytał. Wypowiadając na głos swoje obawy, potwierdziłby, że kontrola nad biegiem wydarzeń jest im powoli odbierana, że ich droga została zaplanowana i są na nią kierowani przez inne siły. Nie było to coś, co chciałby usłyszeć.

Zeszli do płytkiej doliny i ruszyli wzdłuż płynącego po jej dnie strumienia, zbierając po drodze jagody i owoce z kilku ocalałych drzew. Kosar powąchał je. Pachniały ładnie, ale zobaczył martwego królika i jakieś większe dawno zdechłe zwierzę i wyrzucił zebrane jedzenie. Strumień płynął obok niewielkich wzgórz i dalej na równiny. Na wschodzie wciąż mogli dostrzec podnóża gór graniczących z Nowym Shanti. Przed nimi leżało Mareton, niewielkie miasteczko na skraju pustyni Mol’Steria. Chcieli w nim zdobyć zapasy na ostatni etap podróży przez piaski. Od Hess dzieliło ich trzysta kilkadziesiąt kilometrów.

– To niedaleko stąd – oznajmił nagle Rafe, spoglądając na południowy zachód.

– Musimy iść do Mareton – odparła A’Meer. – Zaopatrzyć się w wodę i jedzenie na drogę przez pustynię. Może uda nam się zdobyć kilka wypoczętych koni.

– Jeszcze kawałek, zaledwie kilka kilometrów w tym kierunku i coś otworzy wam oczy – upierał się Rafe. – Nie wiem co i nie wiem jak. Wiem tylko, że to prawda. A’Meer... tylko kilka kilometrów.

A’Meer popatrzyła na każdego z nich i kiedy spojrzała na Kosara, jej oczy nie zmieniły wyrazu. Miał wrażenie, jakby ktoś uderzył go w brzuch, poczuł się zdezorientowany i

smutny.

– Nie możemy tracić czasu! – oświadczyła stanowczo. – Mnisi mogą już deptać nam po piętach. Trafiają na nasz ślad i nic ich nie zatrzyma, nawet pustynia. Naszą jedyną szansą jest przebyć ją przed nimi, zdobyć przewagę w marszu przez piaski.

Wszyscy milczeli, aby Rafe lub A'Meer powiedzieli coś jeszcze.

Ale w końcu pierwszy odezwał się Trey.

– Chcę zobaczyć, o czym mówi Rafe. Jeżeli jest to coś tak cudownego, może pomóc nam wszystkim.

– A może nas zabije – odparowała A'Meer. – Żadne z nas nie wie, co tu się dzieje! Muszę zaprowadzić tego chłopca do Hess i pozwolić Mistykom to ustalić. Jeżeli zejdziemy kilka kilometrów ze szlaku, zwiększy się prawdopodobieństwo, że Mnisi nas dopadną i zabiją. Być może w tej chwili mamy pewną przewagę – najwyżej kilka kilometrów – ale co się stanie, jeżeli wybierzemy się na idiotyczną wyprawę, żeby obejrzyć jakieś tajemnicze zjawisko? Pamiętacie, co pokazały nam imity? Mnichów. Zbliżających się z zachodu. Trey widział to samo! A ty, Rafe... mimo wszystko nadal chcesz, żebyśmy ruszyli w tym kierunku? – Wskazała na południowy zachód wydobytym mieczem, który syknął, przecinając powietrze.

– To z jego powodu tu jesteśmy – przypomniała Nadzieja. – I pójdę za nim.

– Kieruje nim coś bez umysłu! – zawołała A'Meer. – Bez duszy!

– Ale troszczy się o nas wszystkich – oznajmił Rafe. – Nie mogłoby zaprowadzić nas w zasadzkę. Przede wszystkim dba o siebie.

A'Meer spojrzała na Kosara i po raz pierwszy od wyjazdu z Pavisse w jej oczach był cień przyjaźni, stara wiedza, język bez słów. Ale dlaczego teraz, dlaczego tutaj? Ponieważ teraz potrzebowała go najbardziej.

Kosarowi zrobiło się niedobrze.

– Pójdę z Rafe'em – rzekł. – Uważam, że tak trzeba, A'Meer. Zaledwie kilka kilometrów, żeby zobaczyć, co jest tak ważnego. A potem będziemy mogli ostatecznie zdecydować, co robić. A jeżeli Hess nadal okaże się najlepszym pomysłem, będę z tobą do końca.

A'Meer zakłęła, pokręciła głową i gwałtownie ruszyła na południe. Przeszła kilkadziesiąt kroków, a potem kucnęła, kreśląc bronią umocowaną na pasie bruzdy ziemi. Kosar wiedział, że nie było w niej urażonej dumy, gniewu, że odebrano jej przywództwo. A'Meer po prostu chciała zrobić to, co jej zdaniem było najlepsze.

W końcu odwróciła się, spojrzała na nich, a potem za nich. Jej oczy rozszerzyły się, usta rozchyliły się lekko.

– Dokładnie jak daleko jest to miejsce? – syknęła.

– Nie wiem – odparł Rafe. – Ale możemy tam dotrzeć, a wtedy, sądząc, że zdoła pomóc nam uciec.

Kosar odwrócił się plecami do Shantasi i spojrzał w kierunku, z którego przybyli. Za płytką doliną, z której właśnie wyszli, w odległości może trzech i pół kilometra na

porośniętych wrzosami zboczach wzgórz poruszało się kilka czerwonych kropek.

– W takim razie prowadź – poleciła A’Meer, wstając. – Nadziejo, na koń razem z Rafe’em! Trey, jedziesz z Alishią.

– Nie potrafię szybko jeździć – zaprotestował.

– Naucz się!

A’Meer wróciła do Kosara, dysząc ciężko, i poczuł w powietrzu ostry zapach jej potu. Był znajomy i budził wspomnienia przyjemne nawet w tych okolicznościach.

– Sztynnieję, kiedy jesteś tak ubrana – mruknął i ucieszył się, gdy A’Meer roześmiała się głośno.

– Nigdy nie doszliśmy do przebieranek, prawda? – powiedziała. Stali obok siebie, patrząc na ścigającą ich zagładę.

– Właściwie wcale tego nie potrzebowaliśmy.

– Nie. – Pokręciła głową i oparta się o Kosara, całując go w szyję. – Kocham cię, stary złodzieju.

Odpowiedział uśmiechem.

– A teraz – oznajmiła – przypuszczam, że przekonamy się, jak wiele Rafe wie o tym, co nosi w sobie.

Kosar usłyszał za sobą tętent kopyt i razem z A’Meer odwrócili się i ruszyli za nimi.

– Jak daleko są według ciebie? – zapytał cicho.

– Może trzy i pół kilometra. Widziałam przynajmniej tuzin w samej tylko dolinie. Być może inni zbliżają się od zachodu, usiłując nas odciąć.

– Nie mamy szans z tak wieloma, prawda?

A’Meer nie odpowiadała przez chwilę i jedynie stukot kopyt i odgłos ich kroków akompaniował ich rozpaczliwej ucieczce.

– Cóż – odezwała się wreszcie. – Nie ma nadziei, chyba że Rafe ma rację. A w takim przypadku, kto, na Czern, może wiedzieć, co zobaczymy?

Kto, rzeczywiście? – pomyślał Kosar. Być może nikt.

A może tylko Magowie.

* * *

Biegli. Konie, choć wyczerpane, wydawały się wyczuwać ich strach, ponieważ galopowały daleko przed Kosarem i A’Meer. Shantasi kleła, usiłując dotrzymać im kroku, ale Kosar przekonał ją, by zwolniła i oszczędzała siły. Może ich czekać długi wysiłek.

Przez jakiś czas biegli w milczeniu. A’Meer oddychała szybko, ale miarowo, Kosar starał się uregulować oddech, kontrolować tempo, rzadko kiedy patrzył dalej niż kilka następnych kroków. Nie wiedział, jak długo to wytrzyma, i nie miał ochoty się nad tym zastanawiać. Zerknął na dwa konie. Wciąż były daleko, chociaż niosły po dwóch jeźdźców. Nadzieja i

Rafe jechali pierwsi, ich srokaty koń biegł pewnie i spokojnie, natomiast trzymający się za nimi Trey najwyraźniej pozwolił swojemu wierzchowcowi podążać za pierwszym. Trzymał kurczowo wodze, podskakiwał niezgrabnie, starając się trzymać Alishię wyprostowaną w swoich ramionach i robił co mógł, by nie wylecieć z siodła. Może zlecieć, pomyślał Kosar. Może spaść razem z Alishią, a wtedy koń się spłoszy i ucieknie. Co wtedy? Zostawić ich? Nie chciał rozważać takiej ewentualności, ale myśl pozostała gdzieś w tle.

Bardzo szybko zdał sobie sprawę, że A'Meer mogłaby użyć tempa, aby w mgnieniu oka zostawić go daleko z tyłu. Ale mimo wszystko wciąż była razem z nim. Zawstydzalo go to i cieszyło w równym stopniu.

Dopóki się dało, biegli nierówną ścieżką wśród wrzosowisk. Pod świeżymi roślinami widać było koleiny i chociaż były niebezpieczne, łatwiej było trzymać się nich niż przedzierać przez sięgające kolan chaszczce. Konie najwyraźniej wybierały drogę bez trudu, ale Kosar nieraz potknął się i upadł, starając się ze wszystkich sił kontrolować zderzenie z ziemią. Za każdym razem A'Meer zatrzymywała się, pomagała mu wstać i biegła dalej bez słowa. Po każdym upadku kilka pierwszych kroków Kosara było ostrożnych i wolnych, pełnych obawy przed palącym bólem złamanej kostki.

A co wtedy? – pomyślał. Zostawią mnie?

Uświadomił sobie, w jak rozpaczliwej sytuacji się znaleźli. Obejrzał się, ale wzgórza, które niedawno opuścili, ukryte było za fałdą terenu i Czerwonych Mnichów nie było widać. Mogli zbliżyć się szybko albo zostawać w tyle. A może nawet ich nie spostrzegli. Ale była to próżna nadzieja, na którą nie mogli sobie pozwolić.

Jadący przed nimi Trey krzyknął. Siodło mu się przekrzywiło i górnik trzymał się końskiej grzywy, obejmując nieprzytomną dziewczynę. Koń zatrzymał się, stanął dęba, uderzał kopytami w ziemię i szarpał łbem, próbując zrzucić oboje jeźdźców.

Kosar przyspieszył, ale A'Meer dotarta do nich szybciej. Zanim ją dogonił, zdążyła uspokoić konia i dociągnąć popręg. Mruknęła coś do Treya i kazała mu jechać.

Nadzieja i Rafe nie zwolnili.

– Co mu powiedziałaś? – zapytał Kosar, kiedy znowu biegli razem.

– Że jeśli spadnie, zostawimy go.

Nierówna ścieżka zniknęła bez śladu, nie wskazując dalszego kierunku. Paprocie sięgały im do kolan, czasami nawet do ud, utrudniając bieg, pędy uderzały o nogi i owijały się wokół kostek.

Konie kłusowały bez trudu.

– Nadzieja odjeżdża – zauważył Kosar.

– Tak. – Nagie łydki A'Meer były wysmagane roślinami, długie pręgi sączącej się krwi zaznaczały miejsca, w których skóra została przecięta. Wydawała się nie zwracać na to uwagi.

– Może powinniśmy krzyknąć, żeby zwolniła.

– Nie przypuszczam, by posłuchała. – Zakłęła, gdy coś poruszyło się pod jej stopą, kamień, roślina, przestraszone stworzenie, i upadła, amortyzując zderzenie z ziemią wyciągniętymi rękami.

Kosar zatrzymał się, wrócił do niej i chwycił pod pachami, pomagając wstać. Łokcie miała zakrwawione, a z ranki nad brwią po bladej skórze Shantasi ciekła krew.

Z tyłu rozległ się okrzyk. Zbyt głośny na człowieka, zbyt szalony na zwierzę, zbyt wypełniony wściekłością, by mógł należeć do kogokolwiek innego niż Mnich. Kosar spojrzął za siebie, na łagodne zbocze, z którego właśnie zbiegli. Nie dostrzegł żadnego ruchu poza kołysanymi łagodnym wiatrem paprociami. Słońce znajdowało się za plecami, rzucając jego cień na drogę, którą właśnie przebyli, i przez chwilę wyobrażał sobie, że Mnisi chwytają ten cień, zwijają, przyciągają go do siebie i rzucają się z dobytymi mieczami...

– Nic nie widzę – powiedział.

– Nie nawoływaliby się bez powodu – stwierdziła A'Meer. – Ruszajmy. Nadzieja i Rafe zniknęli.

Kosar popatrzył z przerażeniem. W odległości kilkuset kroków zaczynał się las. Zobaczył, jak koń Treya znika w cieniu pod drzewami, i nagle z A'Meer zostali sami. Ale nie do końca. Za nimi nadciągali Mnisi. Jeszcze niewidoczni, ale tak rzeczywiście jak cień rzucony przez słońce.

Pobiegli, podnosząc wysoko nogi, usiłując odsunąć z drogi rośliny i nie dać się przewrócić.

Za nimi znowu rozległ się okrzyk, tym razem bliżej, już nietłumiony żadną wyniosłością terenu, ale Kosar nie obejrzał się za siebie.

Kiedy dotarli do lasu, uświadomił sobie otaczającą ich ciszę. Śpiew ptaków, szelesty zwierząt w zaroślach, szum wiatru w gałęziach... nie było niczego i tylko ta nagła cisza zwracała uwagę na brak dźwięków. Kraina wstrzymała oddech, kiedy razem z A'Meer przeszedł ze światła słonecznego w cień.

Ciemność nie dawała poczucia bezpieczeństwa.

„Być może inni zbliżają się od zachodu, usiłując nas odciąć”, powiedziała jakiś czas temu A'Meer. Może Mnisi już tu są, ukryci między drzewami czekają, by zamknąć pułapkę, gdy tylko oni znajdą się w ich zasięgu.

Przed nimi nie słychać było krzyków, odgłosów walki.

Nie będzie krzyków, pomyślał Kosar. Zamordują Rafe'a, Nadzieję, Treya i Alishię bez jednego dźwięku. Tamci nie są wojownikami. Jedynym prawdziwym wojownikiem jest A'Meer. Nawet ja noszę miecz tylko, bo muszę i nie mam zbyt wielkiego pojęcia, jak go używać.

– To beznadziejne – mruknął i jakby w odpowiedzi za ich plecami rozległy się nowe okrzyki. Trzech lub czterech Mnichów wbiegało do lasu, przerywając ciszę swoimi niesamowitymi wrzaskami.

– Teraz wszystko zależy od Rafe’a – stwierdziła A’Meer. – Może powinniśmy się cofnąć, próbować ich zatrzymać?

– Co takiego? – Pomysł przeraził Kosara. Myśl o walce z Mnichami tutaj, pomiędzy drzewami, gdy pozostała czwórka jechałaby dalej, była koszmarna. Stając nagle w obliczu możliwej konieczności poświęcenia siebie, zorientował się, jak bardzo pragnie żyć. Być może A’Meer miała wytyczony cel i zadanie, ale on nigdy nie obiecywał, że odda życie, by kogoś uratować.

Biegli pomiędzy drzewami, przeskakując powalone pnie, omijając sterczące skały, pędząc niemal na oślep. Obawa przed czymś, co mogło czekać przed nimi, dałaby Mnichom czas, by ich dopędzić.

– Może jednak nie – oznajmiła A’Meer. – Najpierw zobaczmy, dokąd prowadzi nas Rafe.

Z pluskiem przebiegli przez mały strumień, widząc w miejscu, w którym przejechały konie, poruszony muł. Kosar zatrzymał się na chwilę i usłyszał w oddali tętent koni. Chciał zawołać do czwórki jeźdźców, żeby zwolnili, ale lęk zmusił go do milczenia.

W lesie były stare drogi, zniszczone przez czas, z przebijającymi się przez nie korzeniami i pozbawione jakiegokolwiek roślinności. Kosar zastanawiał się, kto używał tej drogi wcześniej – niedawno lub w zapomnianej historii – czy któryś z tych podróżnych był tak przerażony jak on. Ruszyli szlakiem, który prowadził głębiej w las i cień. Prowadziły od niego odnogi wijące się pomiędzy drzewami i za kępami gigantycznych paproci oraz innych, jeszcze gęstszych zarośli. Ich cel był ukryty i nigdy nie miał zostać poznany. Kiedyś Kosar lubił wędrować takimi szlakami, z radością dokonywał odkryć za każdym zakrętem, cieszył się nowymi doświadczeniami. Wytyczał też własne drogi przez krainę, tropił wiele tajemnic i opowieści, a każda z takich dróg była kiedyś jego sensem życia. Teraz pragnął jedynie bezpieczeństwa i znajomego otoczenia.

Z lewej strony wąska ścieżka znikła wśród krzewów. Ich gałęzie stykały się nad nią, ale ziemia była udeptana i twarda. Leżały na niej kamienie, a niektóre sprawiały wrażenie zaostrzonych jakimś potężnymi uderzeniami. Kosar zastanawiał się, czyje stopy mogły to zrobić. Nieco dalej resztki starego ogrodzenia zbutwiały i runęły na ziemię, ale brama wciąż stała – misterna, żelazna konstrukcja zdobnej furtki donikąd, ponieważ za nią widniał tylko las. Brama wyglądała jednakowo z obu stron. Czy miała uniemożliwić wejście, czy wyjście?

Dotarli do miejsca, gdzie rosły głównie sosny i las nagle stał się gęstszy. Ślady na pniach, połamane gałązki i rozrzucone na ziemi gałęzie wyznaczały trop Nadziei i Treya. Ziemia była poruszona, niedawno przewrócone sosnowe igły były ciemniejszymi plamami wilgoci. Biegały po nich drzewne mrówki wystawione przed chwilą na światło dzienne. Przypominały Kosarowi imity, podobnie jak one stanowiły element tak bardzo złożonej istoty.

– Chodź tu – powiedziała A’Meer. – Trzymaj. – Podała mu wyciągniętą z za pasa małą drewnianą kulę. – Nie dotykaj drutu, bo stracisz palce. Owiń raz wokół tego drzewa, na wysokości kolan i mocno pociągnij. Będzie się trzymać.

Odbiegła prostopadłe do drogi, przemykała między drzewami, okrążała je, wypuszczając z trzymanej za sobą ręką niemal niewidzialny drut. Kosar zrobił, co mu kazała. Przesunął drewnianą kulę wokół drzewa i pociągnął. Drut – cienki, ostry, zabójczy – z cichym sykiem zagłębił się w korze. Kula wyglądał teraz jak sterczący sęk. Kiedy A’Meer rozciągnęła cały drut, umocowała swój koniec i dała znak, by ruszali dalej.

– Wywęszą nasz ślad – wyjaśniła, gdy znowu biegli razem. – Oddech koni, krew z naszych zadrapań. Będą szybko biegli. Drut ich nie zatrzyma, ale może paru spowolni.

– Ile masz takich zabawek?

– Niezbyt wiele.

Za ich plecami rozległ się kolejny okrzyk i las ożył, gdy z koron drzew zerwały się ptaki. Uciekały przerażone, ale w milczeniu, jakby chciały zachować swoją obecność w tajemnicy.

– Gdybyśmy potrafili latać – westchnęła A’Meer.

Kosar biegł na przodzie. Pajęczyny lepiły mu się do twarzy, plątały we włosach i od czasu do czasu czuł uderzenie czegoś twardszego, kiedy jakiś pająk zabierał się na przejażdżkę. Zrzucał je gwałtownie, pamiętając pająka-zabójcę, którego Nadzieja pozostawiła w swoim mieszkaniu dla Mnicha. Trudno było zgadnąć, jakie nieznanne gatunki kryły się w tych lasach. Drzewa też przypominały o sobie, gdy małe gałązki kreśliły krwawe linie na jego policzkach albo starały się wydrapać mu oczy.

Z lewej i prawej strony przesuwały się cienie. Być może jakieś stwory obserwowały ich bieg. A może była to gra światła.

– Nie wiem, gdzie jesteśmy – stwierdził Kosar. – Nigdy nie wędrowałem po tych lasach. Byłem dalej na południe, u granic Kang Kang, ale nigdy nie dotarłem tutaj. Nie wiadomo, jak daleko ciągną się te lasy.

– Dość daleko – odparła A’Meer. – Wystarczająco daleko, abyśmy musieli stawić w nich czoło Czerwonym Mnichom. Las może się ciągnąć wiele kilometrów. Byłam tu wiele lat temu, zaraz po zakończeniu szkolenia, kiedy opuściłam Nowe Shanti. Nawet wtedy były tu różne istoty. Teraz... minęło więcej czasu. Kraina zmieniła się jeszcze bardziej i stare mapy nie są już wiarygodne. Może wszystkie zniknęły.

– Jakie istoty? – zapytał Kosar. – Czemu nie powiedziałaś?

– Nie widziałam ich dokładnie, nawet wtedy. I nie mogę stwierdzić, że są zagrożeniem. Ale miałam potem koszmarne sny.

Jak na dany znak przestali biec i kucnęli, wsłuchując się w dźwięki rozlegające się wokół nich. Z przodu, z niewielkiej odległości dobiegały hałasy galopujących koni. Za nimi las umilkł, uciszony albo ich obecnością, albo tych, którzy podążali ich śladem.

Coś zaszepotało.

– Co to było? – odezwał się Kosar, ale A’Meer nie odpowiedziała. Spojrzała na niego i odwróciła wzrok. Opuściła oczy, jakby zawstydzona czymś straszliwym i tajnym. Chciał jej dotknąć, wyprostował palce z zakrawanymi opuszkami... i zatrzymał się.

„Miałam potem koszmarne sny”, powiedziała A’Meer.

I Kosar zaczął rozumieć szept.

Nigdy nie przeprosiłem, nie powiedziałem ojcu, dlaczego to zrobiłem, dlaczego zabiłem owcolopę, wyciąłem jej serce, aby razem z przyjaciółmi zanieść je do lasu. Nigdy nie wyznałem winy, chociaż miałem krew pod paznokciami i otaczał mnie odór śmierci, zgnilizna w brzdach skóry, ból i cierpienie w moim wzroku, kiedy się obudziłem... Bałem się go, bałem się jego wielkich dłoni i wściekłych krzyków, ale były rzeczy gorsze niż wściekłość ojca. Bałem się swoich przyjaciół, rzeczy, które robili w lasach, rzeczy, które robili z tą dziewczyną, sercem owcolopy i nożami, tymi nożami... Prerażony, ale uległy, przyglądałem się, jak opróżniają serce nad jej piersiami, kaleczą ją, jak miesza się krew.

Obserwowałem spomiędzy drzew, stwardniał mi, byłem młody i twardy. A kiedy weszli w nią i krzyczała, nie słyszeli moich krzyków rozkoszy i wstydu, ale wiedzieli, że się przyglądałem... zawsze wiedzieli, że się przyglądałem...

– Cholera! – wrzasnął Kosar. – Cholera jasna!

A’Meer objęła złodzieja i szepnęła mu do ucha, usiłując go uspokoić:

– Wszystko w porządku, nie krzycz, pozwól mu przyjść, pogódź się z tym i pozwól mu przyjść, a wtedy uleci, ukryje się znowu. Prawda jest tylko tym, co chcesz z niej uczynić. Wkrótce pozostawią cię w spokoju, Kosarze...

Zawsze żałowałem, że go porzuciłem, tego okaleczonego chłopaka, ukrytego w jamie w Trujących Lasach, pragnącego umrzeć, ale miał złamaną nogę, a poza tym tak naprawdę, nie chciałem mieć go ze sobą, ale za bardzo obawiałem się powiedzieć nie, nie chciałem zranić jego uczuć... Bądź co bądź uratowałem mu życie i uważał, że jest mi coś winien, chciał mi się odwdziżyć za to, że uratowałem go przed tocznikami na Wdowich Szczytach... Wyruszył ze mną, a ja pośliznąłem się, on także upadł i nie powinienem był go pozostawić... Powiedziałem, że idę po pomoc, chcę znaleźć kogoś, kto pomoże mi go stamtąd wyciągnąć, ale wiedział, że zanim zapadnie noc, będzie martwy. Nie było możliwości, aby chłopak w tym stanie mógł się obronić przed żyjącymi tam jadowitymi stworami, tymi ptakami, nietoperzami, pająkami... pozostawiłem go na śmierć i nie dlatego, że się bałem, nie dlatego, że nie mogłem wrócić, ale po prostu dlatego, że nie chciałem, żeby dalej mi towarzyszył.

Głos nieczystego sumienia wciąż powracał, szalone mamrotania, wyznania winy, tajemne cienie odrzuconych przeżyć, wyznające grzechy dawno popełnione, odegnane, zakopane głęboko pod zaprzeczeniami, obleczone w szaty wieloznacznych wspomnień i przemienione w opowieści niegdyś zasłyszane, ale które nigdy nie były jego dziełem.

Powinienem to odłożyć, nie powinienem tego zabierać...

– Kosarze, oddychaj głęboko, pozwól im przychodzić, wkrótce przestaną się tobą interesować.

...znaczyła tak wiele, ale nigdy jej o tym nie powiedziałem i popatrz co się stało, popatrz, co się jej przydarzyło!

– O kurwaMag – szepnęła A’Meer dręczona przez jakieś tajemne poczucie winy, kryjące się w jej umyśle. Wciąż ścisnęła mocno Kosara.

Znowu zapomniałem, zawsze zapomniałem, nigdy nie mogłem się zdobyć na to, aby zapamiętać ten jeden szczególny dzień dla mojej matki. Zawsze mi to umykało, a potem oszukiwałem sam siebie, że kiedy przepraszałem, w jej spojrzeniu widać było spokojne pogodzenie się z tym faktem, a nie rozczarowanie, nie smutek...

Kosar wymiotował, obrzydliwość ukrytych wspomnień i pomyłek zalewała jego umysł i oczyszczała ciało. A’Meer wciąż go trzymała. Jęczała i klęła, walczyła, kiedy z jej umysłu wydobywane były ohydne myśli. Szarpnęło nim znowu, zgiął się wpół i patrzył, jak wymiociny plamą dywan sosnowych igieł, a wielki żuk ucieka z grzbietem pokrytym jego sokami żołądkowymi. Wszystkie paskudne myśli zlatywały się do niego niczym ćmy do płomienia, niektóre uderzały o jego czaszkę i odbijały się, inne pozostawały w jego głowie i nadlatywały raz za razem, przypominając o wszystkich złych rzeczach.

W końcu szepty zaczęły cichnąć. Nie zniknęły całkowicie – nigdy nie mogłyby zniknąć – ale ich natężenie zmniejszało się, wreszcie stały się tylko szmerem w jego uszach, a potem zapadły się głębiej i nie było już nic. Nie zniknęły, ale po prostu stały się zbyt ciche i znalazły się zbyt głęboko, by chciał je słyszeć.

– Czemu mnie nie ostrzegłaś? – zapytał, wypluwając obrzydliwą ślinę z ust.

– Jak miałabym to zrobić?

Kosar spojrział na A’Meer i zobaczył, że także cierpiała. Twarz miała bladą, oczy wilgotne. Zastanawiał się, jaką skrywaną hańbę widziała przed chwilą, ale nie miał ochoty zapytać.

– Co z innymi?

Jeżeli te stwory w lesie również ich dopadły, miał nadzieję, że kiedy wspominali, konie szły dalej.

– Paskudztwa. Już minęło?

A’Meer skinęła głową, spojrziała w bok i odwróciła się, by zlustrować las za nimi.

– Dlaczego? Dlaczego?

– Być może tak się żywią – odparła. – Istnieje mnóstwo dziwnych znanych nam stworów: czaszokruki, toczniki, a także imity, które są niewiele więcej niż mitem. Musi też być wiele innych, które wciąż się przed nami kryją. Zwłaszcza po Wojnie-Katastrofie. Wtedy ucierpiała i zmieniła się nie tylko ziemia.

Kosar pokręcił głową, aby uwolnić się od paskudnych obrazów i poczucia winy. Ale to tylko je wzmocniło.

– Nie mogę tego wytrzymać – jęknął, ściskając skronie.

– Kosarze, są tutaj!

A’Meer napięła łuk i wypuściła strzałę. Coś zawyło między drzewami i Kosar zobaczył czerwony błysk za krzewami. Zwiął się i chwiał w plamiastym świetle lasu.

– Ruszajmy – powiedziała A’Meer. – Musimy dogonić pozostałych! – Przebiegła koło niego, łapiąc go za łokieć i odwracając we właściwym kierunku. – Już!

Podążył za nią, marząc o tym, żeby mógł pozostawić za sobą te paskudne myśli, aby spoczęły na ziemi tego niesamowitego lasu obok kałuży jego wymiocin.

Co za stworzy?... – pomyślał. I nagle przyszła mu do głowy myśl, że rzuca się także na Mnichów i być może ich spowolnią.

* * *

Nadzieja krzyczała. Nie głośno, nie ustami, ponieważ lawina wspomnień uniemożliwiła jakąkolwiek fizyczną reakcję. Krzyczała wewnętrznie.

Ale mimo to szepty dawały o sobie znać.

Wbiłam sztylet za późno, czekałam, aż skończy, i być może to mi się podobało? Może chciałam poczuć, jak we mnie wytryska, chciałam zobaczyć zachwyt na jego twarzy, zanim oczy rozszerzyły mu się z bólu. Zobaczyć świadomość tego, co mu zrobiłam? Mógłby skończyć szybciej, ale wchodził we mnie mocno, coraz mocniej, a potem kiedy mruknął, uniosłam rękę i wbiłam mu głównię w plecy. Nacisnęłam mocno, tak mocno, że sztych wyszedł mu z piersi i skaleczył mnie w szyję... Otworzył oczy, a ja go zabiłam, już to wiedział, czuł to, krew wylewała mu się do wnętrza i unieruchamiała serce. Kiedy napotkałam jego wzrok, poczułam obrzydzenie tym, co zrobiłam. To nie była jego wina. Nic mi nie zrobił. Zaprosiłam go. I w jego ostatnim, bulgoczącym oddechu wydobywającym się ze zwiotczałych ust nie kryła się żadna prawda, która, jak myślałam, się w nim znajdzie...

– To nie ja! – syknęła Nadzieja. – Nie ja! Nie zrobiłam tego, nie umyślnie... nie ja, to byli... wszyscy tylko nie ja! – Przodkowie, pomyślała. To oni mnie do tego zmusili. Prawdziwe wiedźmy, które zadrwiły ze mnie, przekazując swoją nazwę takiej żalostnej oszustce jak ja.

Koń galopował, Rafe obejmował ją w pasie, a najohydniejsze zakamarki jej umysłu nadal się otwierały.

I tak był złym człowiekiem, zasłużył na to wszystko, co z nim zrobiłam, nie mogłabym nigdy otworzyć drzwi i wybaczyć sobie, gdyby uciekł...

Lubię to, lubię, nic na to nie poradzę, nic na to nie poradzę, że są żywi, kiedy ich zjadam... Mimo to mi zapłacił, mimo to mnie pieprzył, nawet jeżeli wiedział... to nie była moja wina... w tamtym momencie nic by go nie powstrzymało, nawet wiedza o tym, co mam...

Nadzieja płakała z zaciśniętymi mocno powiekami.

Rafe siedział za nią i nic nie mówił.

Czuł, jak istoty w cieniu sondują go, odnajdują jego umysł i uciekają w popłochu. Odbiegały pomiędzy drzewa, zakopywały się pod liście i igły, gdzie spały od lat. Były przerażone. Znalazły go, ale kiedy te nieznane stworzy zapuściły macki głęboko w jego umysł,

trafiły na coś zupełnie innego.

Magię, nową i świeżą, ale o historii starszej niż były w stanie zrozumieć lub zaakceptować.

Szok zmienił się w przerażenie, gdy im się ujawniła. Jej własna historia – niepowodzenia, wstyd, wieczna wina – ujawniła się bez osłonek, tylko na moment, ale był on wystarczająco długi, by odpędzić stwory. Być może doprowadził je do szaleństwa.

Rafe starał się nic nie widzieć.

* * *

Trey jechał najszybciej jak potrafił. Alishia zwisała między jego ramionami. Matko! – pomyślał, czując się samotny i nieszczęśliwy. Matko! Sondo! Wyjął z kieszeni ostatnie okruchy fiedzu i chociaż były białe i czerstwe, połknął je szybko, skomląc, kiedy znowu zostały mu ukazane dawno zapomniane uczynki.

– Nie! – krzyknął, gdy zwierzały fiedz wyrwał go z jego ciała i uniósł ponad galopującym koniem. Spojrzał na siebie, jak siedzi wyprostowany i trzyma mocno Alishię, a potem spróbował przedostać się do otchłani jej umysłu. Jeżeli się tam dostanę, pomyślał, nie zdołają do mnie dotrzeć. Nigdy nie osiągną mojego serca. Jeżeli zdołam się tam dostać...

Ale znajdując się w jej umyśle, dotykając Alishię i słuchając krzyków jej cierpienia – a potem słysząc, co stanie się później – zaczął żałować, że to zrobił.

Nigdy nie kłamałam, skomlała Alishia, nigdy nie widziałam, nigdy nie wyszłam, aby doświadczać. A teraz umieram, ta rzecz mnie zabiła. Mogłabym wiedzieć, co się dzieje, gdybym cieszyła się życiem, a nie zamykała. Te książki, teraz poczerniałe i istniejące tylko w mojej głowie. Były tylko książkami! A teraz...

Jej głos umilkł, przytłoczony ogromnym bytem, który pojawił się nagle w poszarpanych strzępach jej umysłu. Trey cofnął się. Alishia nawet nie wiedziała, że tutaj jest. I nagle wrzasnęła, wyrzucając go, wirującego bezradnie, w głąb lasu, obok ścigających ich Mnichów, w środek toczącej się wokół nich walki.

Fizyczne ciało Treya obwisło na grzbiecie konia, siodło przekreśliło się znowu. Oczy uciekły mu w głąb czaszki. I nagle Alishia wrzasnęła głośno, z jej ust wydobyło się przeraźliwe zawodzenie, które spłoszyło konia i sprawiło, że cały las na chwilę wstrzymał oddech.

Trey otworzył oczy. I kiedy koń galopował między drzewami, zaczął płakać.

* * *

A'Meer odwróciła się znowu, przyklęła, a kiedy Kosar przebiegał obok niej, wypuściła strzałę. Mnich zawył, gdy trafiła w cel. Poruszała się tak szybko, że Kosar ledwo mógł ją

dostrzec, przeskakiwała od drzewa do drzewa, wypuszczała strzały i przemykała się przez las jak cień.

– Biegnij co sił! – powiedziała. – Dogoń tamtych. Spróbuję odciągnąć Mnichów.

– Nie! Ja...

– Ruszaj! – Spojrzała na niego wściekle, a potem pochyliła się i odepchnęła z całej siły. – Po prostu biegnij, Kosarze. Jeżeli te stwory dopadły również Treya i Nadzieję, będziesz musiał ich poprowadzić. Dogonię cię. Niech księżyc życia będzie z tobą. – Pochyliła się i zniknęła między drzewami. Jej ostatnie słowa nie zabrzmiały przekonująco.

Kosar czuł zawrót głowy po przyplywie ukrytych wspomnień, ale zrobił, co kazała mu A'Meer. Przez kilka sekund patrzył, jak przebiega od drzewa do drzewa wypuszczając strzały, umyślnie hałasuje, potykając się o sterczący korzeń, czy przedzierając przez splątane zaschłe gałęzie. W końcu odwrócił się z wysiłkiem i pobiegł za dwoma końmi.

Każdemu ruchowi towarzyszyło poczucie desperacji. Odniósł wrażenie, że odejście A'Meer było ostateczną próbą, żeby zdobyć więcej czasu, chociaż nie wiadomo po co. Być może, aby dotrzeć do miejsca, które wyobraził sobie Rafe? Miejsca, gdzie zdoła ich ocalić? Kosar po raz pierwszy uświadomił sobie, że naprawdę polegają na ochronie zapewnianej przez tę nową magię dojrzewającą wewnątrz wiejskiego chłopca. Już im się ujawniła, ale nieproszona, z własnej woli, a nie na ich prośbę. Teraz podążali tam, dokąd, jak mówił Rafe, go kieruje i z każdym krokiem coraz bardziej zagłębiali się w nieznanie.

Usłyszał za sobą krzyk, wysoki, pełen bólu, a kiedy dźwięk zmienił się w zwierzęcy ryk, wiedział, że to wrzask Mnicha. Kolejna strzała trafiła w cel, pomyślał z uśmiechem, a potem zmarszczył brwi, zastanawiając się, ile jeszcze A'Meer ma ich w swoim kołczanie. Kiedy się skończą, będzie musiała użyć kuszy, a potem miecza. Ale wtedy zostanie otoczona. A wkrótce potem martwa.

Biegł śladem pozostawionym przez dwa konie. Żałował, że jest aż tak widoczny. Byłby w stanie podążać o wiele mniej widocznym tropem, ale w tej sytuacji Mnisi musieli wyraźnie widzieć drogę ich ucieczki. Sosnowe igły były zryte, gałązki połamane, a tu i ówdzie Kosar dostrzegł ślady krwi na czubkach cienkich witek, krople na ziemi. Niektóre z nich zwabiły już mrówki.

Biegł co sił w nogach. Nigdy dotąd nie czuł się tak wyczerpany. Serce łomotało mu w piersi, starając się zwrócić jego uwagę. W biodrze świdrował ból, przechylając go w lewo, ale się nie poddawał. Jeżeli teraz się zatrzyma, straci przewagę, którą zapewniła mu A'Meer, zostając z tyłu.

Z lasu za jego plecami dobiegły nowe odgłosy, krzyki, wrzaski, coś upadło ciężko jakby z czubka najwyższego drzewa. Ponaglące, tajemnicze szepty i nagle odgłosy walki. Miecz uderzający o miecz. Okrzyki, stęknienia, wrzask, gdy ostrze trafiło w cel.

Kosar zatrzymał się, wyciągnął swój miecz, a potem pobiegł dalej. A'Meer nie podziękowałaby mu, gdyby wrócił jej pomóc. I na dobrą sprawę, jak mógłby pomóc?

Usłyszał przed sobą, jak koń staje dęba. Ktoś krzyknął, ale nie mógł się zorientować, czy był to głos mężczyzny, czy kobiety. A potem konie pogalopowały znowu, uderzając kopytami w ubitą ziemię.

Kosar pospieszył dalej, przemykając między gałęziami, omijając ogromne kłębiące się mrowisko rozdeptane przez galopujące konie. I nagle z sosnowego lasu wbiegł do liściastego – drzewa były tu rzadsze, ziemia twardsza, tu i ówdzie rosły krzaki i kępy paproci. Zobaczył, co spłoszyło konie.

Wszystkie barwy zniknęły. Drzewa, ich liście i pnie, ziemia, paprocie i krzaki, pnącza zwisające z gałęzi... utraciły kolory i cały krajobraz poszarzał. Fakturę i kształty wydobywało jedynie światło słoneczne, różnorodność cieni. Ptak przeleciał z gałęzi na gałąź, krzycząc słabym ochrypłym głosem. Również był szary.

Kosar jęknął, zatrzymał się i upadł na kolana. Liście pozostałe po zimie także miały tę chorobliwą barwę. Mrówki wędrujące po liściach i pod nimi przypominały przesuwane się po ziemi grudki popiołu. Żuk, coś większego – może skorpion albo jakiś duży owad – także był w różnych odcieniach szarości. Kosar zamknął oczy, wyciągnął rękę i otworzył je znowu. Jego skóra była brązowa, ogorzała na słońcu, paznokcie czarne od brudu, a krew wciąż kapłała z opuszków palców jaskrawoczerwonymi kroplami.

Westchnął z ulgą, wstał i pobiegł dalej. Czuł się tu jak intruz, obcy i nie na swoim miejscu, chociaż to las byt nienaturalny. To nie byt skutek pożaru. Liście wciąż sprawiały wrażenie żywych i pod pewnym kątem można byto dostrzec, że zachowały zdrowy połysk, ale coś odebrało im barwę. Roztrącił liście stopą, ciekaw, czy kolor został zmyty do ziemi, ale zobaczył pod nimi jedynie ubitą ciemną szarość zaschniętego błota.

Trudniej było dostrzec ślady – drzewa rosły dalej od siebie i złamane gałęzie nie wskazywały drogi, nie było poruszonej ziemi, ale słyszał już konie i kierował się słuchem, a nie wzrokiem.

Za jego plecami nie rozlegały się już żadne dźwięki. Albo był zbyt daleko, albo walka dobiegła końca. Nie dopuszczał do siebie myśli, co może to oznaczać.

Wreszcie zobaczył konie, jak okrążają wielkie drzewo i ponownie znikają za listowiem. Pobiegł szybciej. Ich widok dodał mu sił. Sto kroków dalej zbliżył się jeszcze bardziej, ale w otoczeniu nic się nie zmieniło – nie było barw, dźwięków, żadnych śladów pościgu. Kiedy był już w zasięgu głosu, zatrzymał się i zawołał niezbyt głośno:

– Trey!

Wierzchowiec górnika zatrzymał się gwałtownie, odrywając przednie kopyta od ziemi, tocząc pianę z pyska i chrap. Trey odwrócił się w siodle.

– Kosar! Gdzie jest A'Meer?

– Walczy z Mnichami – wysapał złodziej. – Zatrzymaj Nadzieję, tylko na chwilę. – Trey skinął głową i pogalopował, próbując dogonić wciąż oddalających się Nadzieję i Rafe'a. Kosar najpierw obejrzał się za siebie, a potem ruszył truchtem. Zastał ich czekających przy

powalonym drzewie. Ich konie miały wytrzeszczone oczy, parskały przerażone i wyczerpane. Nadzieja była blada i przestraszona, tatuaże zwinęły się wokół jej oczu i ust. Z twarzy Rafe'a nic nie można było odczytać.

– Mnisi są w lesie – powiedział Kosar. – A'Meer usiłuje ich odciągnąć. Rafe, dokąd idziemy? To tutaj?

– Nie. – Chłopak pokręcił głową. – Ale nie sądzę, by było daleko.

– Co się dzieje z tym miejscem? – zapytała Nadzieja. – Co to takiego?

– Kolejny obszar krainy, który stał się zły – odparł Kosar, kopiąc szare liście pod nogami. Zaszleściły i wzbily się w powietrze, rozsypując w pył szary jak popiół.

– Nie tutaj – rzuciła wiedźma. – Tam za nami, wśród sosen... te szept. Czy ty...?

– Tak – przyznał Kosar. Spojrzał jej w oczy i odwrócił wzrok. – A'Meer wiedziała o nich.

Trey ni to roześmiał się, ni to załkał, ale nikt nie powiedział ani słowa o tym, co widział, czuł czy wspominał.

– Musimy dostać się tam, dokąd nas prowadzisz, Rafe – oznajmił Kosar. – Nie wiem, jak długo A'Meer będzie w stanie ich zwodzić albo powstrzymać. – Wszyscy sprawiali wrażenie zakłopotanych, jakby mieli już pewność, że A'Meer poświęciła się dla nich.

– Niedaleko – powtórzył chłopak.

– Zamień się ze mną – zaproponował Trey. Ostrożnie zsiadł z konia, pozwalając Alishii pochylić się tak, że jej głowa oparła się o końską grzywę. – W tamtym miejscu krzyknęła – powiedział. – Dotarły do niej aż tak głęboko, tam, gdzie się ukrywa. To dobrze, prawda?

– Być może – odparł Kosar. Wsiadł na konia, objął Alishię i chwycił wodze. Spojrzał na górnika i się uśmiechnął. – Zadbam o nią – rzekł. Trey zmarszczył brwi, odpowiedział uśmiechem i zdjął z pleców dyskomiecz.

– W tę stronę – wskazał Rafe. – Las zaraz się skończy i zobaczycie, dokąd jedziemy.

– I co takiego zobaczymy? – warknął Kosar. Zaskoczył go gniew w jego głosie. Zaczynał być wściekły na to, że jest prowadzony, kierowany, popychany w lewo i w prawo. Zupełnie jakby dziecko bawiło się nimi jak drewnianymi maszynami, rozgrywając własną wersję Wojny-Katastrofy. I chociaż bał się tego, co tkwiło w Rafe, gniewało go, że jest utrzymywany w nieświadomości. – Dokąd nasz prowadzisz, Rafe? Zapytaj tego czegoś wewnątrz siebie i...

Rafe zmarszczył brwi.

– Na cmentarz – odparł.

Żadne się nie odezwało, choć pytań było wiele.

Nadzieja jechała przodem, ale nieco wolniej niż poprzednio. Wszyscy nadal czuli przerażenie, ale teraz było bardziej kontrolowane, uporządkowane.

Kosar szturchnął konia piętami, trzymając pogrążoną w śpiączce dziewczynę pomiędzy wyciągniętymi ramionami. Prawie nic nie ważyła. Był zaskoczony, że jeszcze żyje. Zastanawiał się, co dzieje się w jej głowie, czy te szepczące istoty wtargnęły w głąb jej snów,

i miał nadzieję, że dobrze się czuje.

Trey biegł obok, dotrzymując wierzchowcowi kroku.

Przed nimi Rafe oparł głowę na plecach Nadziei i zdawało się, że śpi.

* * *

Coś się zbliżało.

Rafe czuł się mniejszy, drobniejszy, a mimo to ważniejszy niż dotąd. Całe ciało mrowiło na zewnątrz i wewnątrz. Czuł, że to, co znajdowało się głębiej niż jego umysł, rozrasta się, by wypełnić jego duszę, krawędzie strzępią się i falują, zapowiadając rychłe uwolnienie. Czuł się na granicy mentalnego orgazmu, wytrysku wiedzy, magii i czegoś nowego. Czuł nudności i uniesienie, przerażenie i oczarowanie, i świadomość, że coś gotowe jest się objawić, gwałtownie przyspieszała bicie jego serca.

Magia w jego wnętrzu – wciąż bezrozumna, wciąż potrzebująca ochrony i pomocy – wkrótce miała się wyłonić.

– Nadchodzi – szepnął Rafe, ale nikt go nie usłyszał. Nie miało to znaczenia. Wkrótce się dowiedzą. – Nadchodzi.

26

Niewyraźny cień wyłonił się przed nim zza drzewa, w powietrzu syknęła strzała i wbiła się w szyję Luciena Maliniego.

Próbował krzyknąć pomimo tkwiącego w gardle drewna, ale krew bulgotała w krtani i tryskała z ust. Ból był ogromny, jego smak surowy i zadowalający. Kiedy Lucien padał na ziemię, jego wściekłość zamknęła się wokół bólu i czerpała z niego siłę. Furia narastała, przemieniając ból w coś dobrego, coś, co mógł wytrzymać, nawet brocząc krwią. Zagęszczana przez gniew krzepła, unieruchamiając strzałę. Wstał, zatoczył się, wpadając na drzewo, i zaskowyczał, gdy drzewce uderzyło w pień i przekreśliło się w ranie.

Skóra na tułowiu i na głowie była napięta i paliła, mięśnie dygotały i naprężyły się pod wpływem uwięzionej energii. Kiedy zaczął biec, jego szybkość była zrodzona z gniewu.

Tamte sny wróciły znowu – obrazy ludzi, których zabił, kobiet, które zgwałcił, żalonych dygoczących ciał, których tuziny przeszył jego miecz. Szepty głęboko w jego umyśle były zdezorientowane, wstrząśnięte, ale mimo wszystko nie mogły odstąpić. Lucien je zatrzymał. Obrazy pojawiały się szybciej, ale zamiast winy i wstydu, czuł jedynie tryumf.

Zobaczył Shantasi wybiegającą zza drzewa i ryknął, ostrzegając innych Czerwonych Mnichów. Wrzask skruszył strzałę w jego gardle i rozrzucił zakrwawione odłamki między sosnami. Błysk czerwieni z prawej, ruch z lewej – Mnisi zbliżali się.

Jego miecz śpiewał i wibrował żądzą krwi. Wiewiórka zeskokczyła z drzewa na ścieżkę i Lucien rozciął ją na pół. Świsnęła kolejna strzała, ocierając się o policzek i zrywając kawałek skóry. Roześmiał się.

Więcej wspomnień, więcej śmierci wykopanych z głębi jego umysłu i zapomnianych tylko dlatego, że było ich zbyt wiele do zapamiętania.

Z przodu dobiegł krzyk, brzęk zderzających się mieczy, w cieniu pod drzewami trysnęły iskry. Lucien odkasznął krew i drzazgi i pobiegł włączyć się do walki.

* * *

– Cmentarz – westchnęła Nadziejka. – O kurwaMag, nigdy w życiu nie spodziewałam się, że go zobaczę. Nigdy w niego nie wierzyłam.

Ale śpiący lub nieprzytomny Rafe opierał się o jej plecy i sama musiała zrozumieć to, co widzi. Drugi koń zbliżył się i usłyszała westchnienie Kosara. Trey wbiegł pomiędzy nich, dysząc ciężko, ale wstrzymał oddech, widząc, co znajduje się przed nimi.

Przed kilkoma minutami wyszli z wielkiego lasu i z boczem wjechali na szczyt małego wzgórza. Przed nimi, w naturalnej kotlinie, znajdował się cmentarz, do którego przyprowadził ich Rafe.

Nie było tu znaków, kamieni nagrobnych, pomników czy mauzoleów setek maszyn – martwych, leżących wśród wrzosów i traw. Ich puste korpusy pokrywały niemal cały teren, spoczywały już sto kroków od szczytu wzgórza, na którym stali Kosar i reszta, w lejowatej dolinie i na wszystkich jej zboczach. Tu i ówdzie leżały również na wzgórzach wokół kotliny. Niektóre wyglądały, jakby w ostatniej chwili strawił je ogień, ich kamieniste zgrubienia i wypukłości były osmalone i stopione przez żar. Inne umarły i murszały, wolno rozsypując się na miejscu ostatniego spoczynku, gdy spajające je żywe tkanki zmieniały się w proch. Najmniejsza maszyna była wielkości człowieka, jej pającze żelazne nogi zamarły w ostatnim ruchu i przerdzewiały wieki temu, a korpus rozpadł się pod wpływem czasu i zmian pogody. Jej skorupę, tam gdzie znajdowały się mechanizmy łączące metalowe i biologiczne elementy, wypełniało tylko powietrze. Były konstrukcje wielkości konia, inne jeszcze większe, a maszyna znajdująca się na samym dnie doliny, tocząc się, musiała wprawiać w drżenie ziemię. Była wielkości kilku wozów rolniczych, a jej kamienna skorupa była sklepiona i żeberkowana jak pancerz gigantycznego żuka. Na jej grzbiecie widniały rozmieszczone w regularnych odstępach otwory i przy kilku z nich wystawały kościste wyrostki, które kiedyś były może nogami albo innymi kończynami o mniej zrozumiałym przeznaczeniu.

Ziemia wokół tego miejsca śmierci i rozkładu wciąż żyła. Trawy na dnie kotliny były zadziwiająco wysokie i bujne, być może dzięki wodzie spływającej tam podczas deszczów. Krzewy i małe drzewa rosły pomiędzy martwymi maszynami i w nich, sterczały z kościstych szkieletów i metalowych klatek, przeciskały się przez szczeliny. Starzały się, jak mogły, włączyć echa odległej przeszłości w tę dziwniejszą, mniej szczęśliwą teraźniejszość. Od Wojny-Katastrofy wyrosło tu kilka większych drzew. Ich korzenie wniknęły głęboko, a pnie i konary rosły wokół lub przez martwe konstrukcje. Jeden pień rozszczepił się na dwoje i zrósł ponownie, wiążąc w sobie rdzewiejącą, metalową kończynę wielkiego urządzenia przeładunkowego. Ścisnął żelazo jak rana strzałę i chociaż rdzewiejący metal go osłabił, rósł nadal.

Cienie dawnych tworów – szare kamienie, poczerniałe od ognia kończyny, ciemnopomarańczowa rdza – uzupełniały zieloność roślin, usiłujących je ukryć. Ogromne czerwone maki pokrywały plamkami spetryfikowaną skórę jednej z maszyn niczym niedawno odniesione rany. Ale śmierci nie można było całkowicie ukryć. Maszyn było zbyt wiele, były zbyt wielkie i teraz stanowiły nieodłączną część krajobrazu.

– Przyszły tu, żeby umrzeć – powiedziała Nadzieja.

– To przecież maszyny – zaprotestował Kosar. – Zostały tu sprowadzone. To śmietnisko, nie cmentarz. To maszyny, sprowadzono je... nie mogły przyjść same.

– Dlaczego? – spytał Trey. – Stworzyła je starożytna magia, nie ludzie. Czy możemy powiedzieć, co potrafiły, a czego nie?

– Przyszły tutaj, żeby umrzeć – powtórzyła Nadzieja. – Były zagubione, wiedziały, że Wojna-Katastrofa się skończyła i magia sprowadziła je w to miejsce, by umarły.

– Mniejsza o to, jak się tu znalazły – stwierdził Kosar – ale po co Rafe nas tu przyprowadził?

– Może, żebyśmy się ukryli – zasugerował Trey. – W tej dolinie musi być cały labirynt, mnóstwo miejsc, do których można się wczołgać i schować.

– Powiedział, że magia sprawi, iż uwierzmy – przypomniała Nadzieja. To coś innego, nie tylko kryjówka. A Mnisi nigdy by nie zrezygnowali. Może zajęłoby to im wiele dni, ale by nas znaleźli.

– Powiedział też, że może pomóc nam uciec – dodał Kosar.

Nadzieja odwróciła się w siodle i trąciła Rafe'a, niemal uśmiechając się na myśl o tym, jak traktuje nosiciela nowej magii.

– Obudź się! – poleciła. – Rafe... wiejski chłopcze... obudź się! – Ale Rafe nie spał. Oddychał zbyt szybko, powieki miał rozchylone, zacisnął dłonie tak mocno, że z jego pięści płynęła strużka krwi.

– Powinniśmy zjechać ze wzgórza – stwierdził Kosar.

– Tam na dół? – zapytał Trey.

– Tutaj właśnie przyprowadził nas Rafe – oznajmiła Nadzieja. – Jak powiedziałeś, możemy się tam ukrywać, czekając na... cokolwiek.

– Ale... – zaczął górnik.

– Albo na dół, albo z powrotem do lasu – postanowił Kosar.

Nadzieja spojrzała za plecy złodzieja, na szarą kopułę. Dalej, w głębi lasu, szarość przechodziła w zieleń, ale z tego miejsca bezbarwna przestrzeń wydawała się ogromna. Ciągnęła się po obu stronach jak okiem sięgnąć, szeregi szarych drzew tworzyły las.

– Tam musi być A'Meer – mruknęła, zastanawiając się, co obecnie dzieje się między tymi drzewami.

– Znajdzie nas – stwierdził Kosar.

Spojrzała na niego i dostrzegła, że sam wie, iż kłamie.

Zjechali w dół, na cmentarzysko martwych maszyn. Rafe za jej plecami coś mamrotał, ale Nadzieja nie słyszała słów. Mocno trąciła go łokciem, ale tylko chwycił się mocniej. Rozluźnił się, jego głowa przetoczyła się po jej plecach, ręce obejmowały w pasie.

Już wkrótce, pomyślała. Wkrótce nam pokaże. Wkrótce będziemy wiedzieli, co posiada, i zdołamy wybrać, czy wierzymy, czy też nie. Spojrzała na zbiorowisko martwych maszyn, reliktyw z ostatniej epoki magii.

Tak bardzo tego pragnę, zawsze wierzyłam.

* * *

Gdy Kosar przejeżdżał obok pierwszego szkieletu maszyny, miał wrażenie, że usłyszał jakiś ruch. Zatrzymał się, odwrócił w siodle i dostrzegł pytające spojrzenie Nadziei. Być może był to Trey, który szedł przed nimi. Zatrzymywał się tu i ówdzie, aby zajrzeć do pustych metalowych wnętrzości, unieść zardzewiałe ostrze, przejść nad czymś, co dawno już zapadło się w ziemię. Górnik trzymał dyskomicz oparty na ramieniu, gotowy do zadania ciosu, chociaż Kosar nie mógł się domyśleć komu lub czemu. Mnisi byli za nimi i walczyli w lesie z A'Meer. Na razie tutaj dotrzymywały im towarzystwa tylko martwe przedmioty.

Bardzo chciał wrócić i pomóc A'Meer. Jej zimne spojrzenie, kiedy powiedziała mu, żeby odszedł, było udawane. Wiedziała, że popełnia samobójstwo i jakiegokolwiek potwierdzenie, że jest to ich ostatnia wspólna chwila, mogłoby zmienić jej postanowienie. Mogłaby powiedzieć „do widzenia”, ale trwałoby to o sekundę za długo. Mogłaby się uśmiechnąć i podziękować za wspólnie spędzone miłe chwile, ale to także byłoby zbyt wiele. Wiedziała, że kilka godzin lub minut po tym, jak odwróci się plecami do Kosara, już jej nie będzie. Owa pewność nie pozostawiała miejsca na sentymentalizm.

Mógł pomóc. Mógłby odciągnąć od niej jednego lub dwóch Mnichów, być może zgubić ich w lesie, ukryć się, kiedy by go mijali, wrócić i powtórzyć manewr. Były tam wielkie drzewa o wypróchniałych pniach, szerokie ciemne kępy krzewów, wysokie paprocie. Tysiące kryjówek, miejsc, w których mógłby zostawiać fałszywe tropy, łamać gałęzie i zawracać. Działając wspólnie, mógłby razem z A'Meer zdeorientować Mnichów i wykorzystując zamieszanie, uciec.

Był to szaleńczy pomysł i dobrze o tym wiedział. Gdyby wrócił do lasu, zginąłby razem z A'Meer. Była wyszkolona, od najmłodszych lat przygotowywana do tego właśnie celu. On był tylko złodziejem. Trzy minuty walki z Mniczem i byłby trupem. A nie chciał, aby świadomość jego śmierci towarzyszyła A'Meer w podróży do Czerni.

– Wszystkie są różne – powiedział Trey. – Na zewnątrz i wewnątrz są różne. Ta tutaj... Mogę zajrzeć do środka i są w niej żyły albo kości rozciągnięte jak struny. – Podbiegł do innej maszyny, wyciął dyskomiczem porastające ją paprocie i mech, przesunął dłonią po jej powierzchni. – A ta... nie ma otworu, nie da się zajrzeć do środka. Kto wie, co tam jest? – Poszedł dalej, znowu ciał dyskomiczem, odciągnął kolczaste gałęzie, aby odsłonić coś, co wyglądało jak gigantyczne żebra. – Tu można zajrzeć do środka. Widać te skamieniałości.

– Organy – rzekł Kosar. – Wyglądają jak stwardniałe wnętrzości żywej istoty.

Trey wsunął pomiędzy kamienne żebra dyskomicz i dotknął grubej jak palec zastygłej części, podtrzymywanej przez kilkadziesiąt skamieniałych słupków. Ekspłodowała, rozsypując wokół pył, a długie, grzechoczące dźwięki świadczyły o tym, że o wiele większa

część maszyny znajduje się pod ziemią.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że same tu przyszły – stwierdził Kosar.

– Słyszałeś o cmentarzach toczników, prawda? – zapytała Nadzieja. – Są rozrzucone wśród gór, na całej Noreeli jest ich kilkadziesiąt. Strzegą ich inne toczniki, ale byli tacy, którzy widzieli je na własne oczy. Tysiące toczników... przychodzą tam, żeby umrzeć, mumifikują się w upale, rozkładają w deszczu, kamienieją w chłodzie. – Popatrzył naokoło, na częściowo ukrytą historię, do której wtargnęli – Kiedyś myśleliśmy, że toczniki to tylko zwierzęta.

– A nie są nimi? – zdziwił się Trey.

– Nie – odparł Kosar, ale nie miał ochoty dalej mówić na ten temat. Trey odwrócił się znowu i zaczął badać, zafascynowany tym miejscem.

– Czy on coś robi? – spytał Kosar, zatrzymując konia, aby Nadzieja i Rafe mogli się z nim zrównać.

Wiedźma odwróciła się w siodle, sięgnęła za siebie i podtrzymała Rafe'a jedną ręką.

– Nadal śpi – powiedziała. – A może jest nieprzytomny. I... jest gorący. KurwaMag, on parzy!

– Zdejmij go z konia – polecił Kosar.

– Ale...

– Nadziejo, nie możemy się tu ukryć. Znajdą nas. A nie mamy czym walczyć, jeżeli... nas dogonią. – Nie mógł myśleć o tym, co słowa „dogonią nas” oznaczają dla A'Meer.

– Teraz już wierzysz? Odnalazłeś w sobie wystarczająco dużo wiary, aby złożyć swój los w jego ręce?

Kosar wzruszył ramionami. Zaczerwienione od gorączki oczy Rafe'a zerkwały na boki. Na pierwszy rzut oka nie było w nim nic szczególnego, ale w istocie wszystko było szczególne.

– Pozostaje nam tylko wiara – oznajmił.

Wrzask bólu dobiegł ze wzgórza od strony lasu, głośny, pełen cierpienia, coraz wyższy.

Kosar wzdrygnął się. Poczul gęsią skórę na całym ciele i był już gotów zawrócić konia, rzucić Alishię i pogalopować na grzbiet wzgórza. A co potem? Zagłębić się w lesie z dobytym mieczem i złożyć się w ofierze Mnichom?

– Kosarze – usłyszał Nadzieję. Spojrzał na nią, przez chwilę wściekły, że odwraca jego uwagę. – Kosarze, pomóż mi z Rafe'em. On płonie.

Kosar uspokoił konia, zsunął się z siodła z Alishią w ramionach i położył ją w niskich paprociach. Jęknęła cicho, powieki jej zadrżały, kończyny poruszyły się przy zmianie pozycji. Później, pomyślał. Zaopiekuję się tobą później.

Rafe parzył. Kosar chwycił podanego przez Nadzieję chłopaka pod pachy, opuścił go i położył obok Alishii. Odzież Rafe'a była przepocona, krople potu ściekały mu po twarzy, a od skóry buchał taki żar, że Kosar zaczął wypatrywać ognia, jakby oczekując, że chłopak lada chwila stanie w płomieniach. Czemu nie? – pomyślał. Kiedy spełni swoje zadanie, magia

będzie musiała w jakiś sposób się z niego wydostać. Czemu nie miałyby się oczyścić ogniem?

– Musimy go oziębic – oświadczyła Nadzieja. – KurwaMag, w domu mam lekarstwa, rzeczy, które by pomogły. – Zajęła się ubraniem Rafe'a, rozpięła guziki i rozluźniała troczki, odsłaniając jego tors i brzuch, dmuchała na skórę, usiłując ją ochłodzić. Natychmiast zaczęła dygotać tak gwałtownie, że szczekał zębami.

– Co się dzieje? – zastanawiał się na głos Kosar.

– Obojętne co, ale lepiej, żeby stało się szybko. Jeżeli sprowadził nas tutaj, żeby pokazać nam jakiś cud, to bardzo nam go potrzeba. Patrz. – Ruchem głowy wskazała zbroje. Kosar spojrzał i zobaczył stojącego tam pierwszego Czerwonego Mnicha.

Był krwistoczerwoną plamą w krajobrazie, raną na horyzoncie, wyrwą w idealnym świecie, z której dął przerażający wiatr. Stał z szeroko otwartymi ustami i zakapturzoną głową odrzuconą do tyłu, patrząc na tych, których ściagał. Z jego ciała sterczało kilka strzał i bełtów – po jednej w każdym udzie, złamany pocisk sterczał z twarzy, inny przybił mocno obszerny płaszcz do jego torsu. A jednak stał tam, silny i wyzywający, niczym głaz, który widział przemijanie wieków. Był wystarczająco blisko, by można było dostrzec kobiecą twarz o czerwonej skórze. Być może od krwi. Ale również wściekłości. Stwór był w najbardziej niebezpiecznym stanie. Podniecony szaleństwem łowów, rozwścieczony odniesionymi ranami.

– A' Meer – mruknął Kosar, ponieważ nie mógł powstrzymać myśli o jej pociętym ciele, z którego wylewają się na ziemię wnętrzości. Być może krew Shantasi szarzała, żeby stać się częścią tego chorego miejsca.

Mnich ruszył chwiejnym krokiem w dół zbocza. Był w odległości zaledwie kilkuset kroków. Trzymał wyciągnięty przed sobą zakrwawiony i lśniący miecz. Wkrótce znajdzie się przy nich.

– Zrób coś! – wykrzyknęła Nadzieja. Brutalnie potrząsała Rafe'em. – Zrób coś! Zrób to, po co nas tu ściągnął!

Trey wrócił ze swoich poszukiwań. Zamiast się ukryć stanął przy Kosarze, trzymając oburącz dyskomiecz.

– Zaatakujemy go z dwóch stron – powiedział Kosar. Zrobił kilka kroków do przodu, aby oddalić walkę od Rafe'a i Alishii. – Jest odporny, rany nie robią na nim wrażenia, ale brakuje mu szybkości. No i szermierka nie jest jego mocną stroną.

– Moją też – mruknął Trey.

– Będziesz walczył dyskomieczem – stwierdził Kosar. – Ma duży zasięg. Dopóki nie pozwolisz Mnichowi wytrącić go sobie z ręki, możesz trzymać go na dystans.

– A ty tym różnym? – zapytał Trey, wskazując miecz w ręce Kosara.

Głównia dzwoniła, rękojeść była gorąca i mocno tkwiła w dłoni.

– Już posmakował krwi Mnicha – wyjaśnił Kosar. – Nada się.

– Dopóki z lasu nie wyjdą inni i nie przyłączą się do swojego przyjaciela – zauważył

Trey.

Kosar nie odpowiedział.

– No, dalej! – wrzasnęła za nimi Nadzieja, bijąc Rafe'a po twarzy. Palce nieprzytomnego chłopaka wbite były w ziemię, wczepiały się kurczowo w ukryte korzenie, jakby świat miał się przewrócić do góry nogami.

A' Meer, pomyślał Kosar. Musiałaś stoczyć ciężką walkę. Mnich był już blisko i na jego szacie widać było kilka dużych plam lśniących świeżą krwią.

– Nie tak! – powiedziała Nadzieja. Ton jej głosu z wściekłego stał się zrezygowany. – To wszystko nie może skończyć się w taki sposób. To takie bezsensowne!

Mnich znajdował się dwadzieścia uderzeń serca od nich.

Coś zazgrzytało. Kosar pomyślał, że to Mnich, ale nagle spostrzegł, że stwór odwraca nieco głowę, jakby również poszukiwał źródła dźwięku. Potem zgrzyt przeszedł w wysokie zawodzące wycie, jakby dwa wielkie miecze ocierały się o siebie.

– Co to takiego? – zapytał Trey.

Za ich plecami Nadzieja westchnęła i szepnęła:

– Stało się.

W odległości kilku kroków, w miejscu gdzie spoczywała płaska maszyna, prawie całkowicie zakryta fioletowym mchem, przesunęła się nad ziemią długa metalowa kończyzna. Jej ruchowi towarzyszył metaliczny zgrzyt, gdy zeszywniałe przez trzy wieki bezruchu, deszczów, mrozu i słońca zawiasy, łącza i przeguby znowu zaczęły się poruszać. Kończyna uniosła się wolno i rdza o barwie zaschniętej krwi osypała się z niej jak śnieg, plamiąc mech.

Czerwony Mnich zatrzymał się i stał, chwiejąc się niepewnie w odległości kilku kroków od tego nowego cudownego zjawiska.

– Magia! – krzyknęła Nadzieja, śmiejąc się złośliwie. – Magia! Podoba ci się, czerwony bydlaku?

Mnich syknął, zrobił krok do przodu i zamachnął się na długie metalowe ramię. Miecz ześliznął się po nim, wyrzucając w powietrze iskry i płaty rdzy, a stwór cofnął się chwiejnie, przyciskając rękę do boku. Metalowa kończyzna wciąż się unosiła, zginając w połowie, jak ręka człowieka szykującego się do rzutu. I wyglądała, jakby stawała się grubsza.

– Zmienia się – stwierdził z niedowierzaniem Kosar. – Powiększa. To jest...

– Magia – skończyła zdanie Nadzieja. Odwróciła się do Rafe'a, pochyliła nad nim i przyłożyła dłoń do jego twarzy. – Trzyma się ziemi, jakby się bał, że spadnie, ale przynajmniej ochłonał. Nie ma gorączki. Cokolwiek w nim wzbierało, uwolniło się.

Mnich ryknął znowu i Kosar wraz z Treyem unieśli broń. Odmłodzone metalowe ramię zmartwychwstałej maszyny mogło onieśmielić Mnicha, ale nie było w stanie zatrzymać go na zawsze. Do walki miało jednak dojść.

Ramię uderzyło. Wydawało się powolne i majestatyczne, zbyt stare i ciężkie, by poruszać się zwinnie. Ale mimo to cios maszyny był błyskawiczny. Metalowe zakończenie ramienia –

bardziej przypominająca pałkę niż dłoń bryła metalu wielkości ludzkiej głowy – trafiło Mnicha w pierś. Fontanna krwi ochlapała metal, a cios odrzucił wroga daleko. Wymachiwał ramionami, czerwony płaszcz łopotał, a kiedy runął na ziemię, metalowa kończyna opadła na jego pierś. Kosar czuł pod stopami wibrację, gdy bryła metalu wgniotła ziemię. Mnich zabulgotał i usiłował sięgnąć po miecz, który upadł w krzaki. Ale nie był w stanie unieść własnego ciężaru.

Rafe wymamrotał coś za plecami Kosara, krzyknął, a potem wrzasnął głosem przepełnionym furją. Jego pięści wbiły się jeszcze głębiej w ziemię, ręce dygotały. Uniósł ramiona i plecy, aż w końcu opierał się jedynie na pięściach i palcach stóp. Całe ciało drżało z wysiłku. Oczy uciekły mu w głąb czaszki tak, że widać było tylko białka, uniesione wargi odsłaniały zęby, na szczupłej szyi i przedramionach nabrzmiały mięśnie. A jego dłonie wciąż się poruszały, zaciskały i rozluźniały, zagłębiając się w ziemię, by kontakt stał się jeszcze bliższy.

Coś działo się na jego przegubach. Iskry, pomyślał Kosar, ale było to światło, bladoniebieskie, potężne i pełne energii, ale zimne jak śmierć, zimne jak Czerń.

Rafe krzyknął znowu. Metalowe ramię miażdżące Mnicha zaiskrzyło zimnym światłem i uniosło w powietrze usiłującego wstać Mnicha. Było mniej masywne niż poprzednio, jego krawędzie stały się mniej wyraźne. I kiedy zacisnęło się wokół stwora, zafalowało na całej długości.

Mnich miotał się, szarpał i młócił maszynę, która go unosiła. Był demonem walczącym z dobrem, koszmarną wizją zjawisk nienaturalnych i niechcianych. Ale wrzask wściekłości Rafe'a przydał maszynie jeszcze więcej gwałtowności i zgięte metalowe ramię uderzyło z całej siły o ziemię. Rozległ się dźwięk przypominający wzmocniony setki razy trzask łamanych gałązek. Tym razem Mnich nawet nie krzyknął. Ramię uniosło się znowu – ręce Mnicha wciąż jeszcze wymachiwały, ale już słabo, nogi zwisały bezwładnie – zatrzymało się na chwilę, przekreśliło i znowu opadło. Głowa Mnicha uderzyła o coś twardego, ukrytego pod pięknymi fioletowymi wrzosami. Kiedy ramię uniosło się ponownie, czaszka stwora była roztrzaskana.

Maszyna jeszcze trzy razy uderzyła zwłokami o ziemię i cisnęła je w kępę wysokich paproci. Kosar odniósł wrażenie, że ożywiony mechanizm chciał ukryć ten koszmarny widok przed przerażonymi, oszołomionymi ludźmi.

Przez kilka sekund niewielką dolinę wypełniała cisza. Rafe był już spokojny, wyglądał jakby spał, a maszyna znieruchomiała, ukryta jak przed paroma momentami. Jej walka trwała niecałą minutę.

A potem rozległy się dźwięki. Ukradkowe, tajemnicze szelesty i szepty w zaroślach. Zgrzyt i pisk metalowych i kamiennych elementów poruszających się po wiekach bezruchu. W jednym miejscu zakołysał się krzak, w innym poruszyła trawa, zakołysały się i zamarły znowu paprocie, drzewo na przeciwległym stoku wygięło się pod niemożliwym kątem i

rozprostowało nagle, zrzucając chmurę liści.

Kosar oderwał spojrzenie od tego widoku i podbiegł do Rafe'a i Nadziei.

– Jest przytomny?

Wiedźma pokręciła głową.

– Nadal nie. Ale spokojniejszy. – Patrzyła za Kosara, za Treya. – Widziałeś? Wiesz co to było?

– Maszyna – odparł Kosar.

– Żywa maszyna, która porusza się i działa!

– One wszystkie się budzą.

Nadzieja spojrzała na Rafe'a, pogłaskała go po twarzy i rękawem sukni wytarła mu pot z czoła.

– Ratuje nas.

– Jeszcze nie jesteśmy uratowani. I to nie on. Rafe jest teraz dalej od nas niż kiedykolwiek. – Kosar spojrzał na leżącą w pobliżu Alishię i zaskoczyło go, jak bardzo tych dwoje ludzi jest do siebie podobnych.

Oczy Nadziei skrzyły się życiem, tatuaże ułożyły na jej twarzy w kształt przypominający uśmiech, jakiego Kosar nigdy dotąd nie dostrzegł. Nie był to przyjemny widok. Sprawiała wrażenie, że jest na skraju szaleństwa.

– Może zdołamy się stąd wydostać – powiedziała.

– Widzieliście, jak maszyna go zmiażdżyła? – spytał Trey. – W kilka sekund. Nawet jeżeli znajdzie nas tu więcej Mnichów, nie wytrzymają długo. Będziemy bezpieczni, będziemy ocaleni.

– A co z A'Meer? – rzucił Kosar. Nie podobało mu się rozdrażnienie w jego głosie, ale niesprawiedliwość bolała. Czy poświęciła się na próżno? – Czy magia jest tak okrutna? Czy tak łatwo zabija swoich obrońców?

– Zrobiła, co uważała za najlepsze – odpowiedziała Nadzieja.

– Patrzcie! – Trey wskazywał na grzbiet pomiędzy doliną a lasem, na którym widać było kilka postaci. Czerwoni Mnisi stali, patrząc na dolinę, wiatr szarpał ich płaszczami i z każdą chwilą przyłączali się do nich następni. Niektórzy odnieśli rany, ale większość była cała i zdrowa.

– W każdym razie zatrzymała ich na trochę – stwierdził Trey.

– Do Czerni z tym!

– Kosarze, powstrzymała ich. Gdyby ten pierwszy mógł zjawić się nieco wcześniej, być może dopadłby nas, zanim tu dotarlibyśmy. Bylibyśmy martwi, a Mnisi dotarliby do Rafe'a, zanim Magia zaczęłaby działać. A teraz... sam popatrz! Dała Rafe'owi czas. A czas działa na naszą korzyść.

– Nie mamy pojęcia, co tu się dzieje – oznajmił Kosar. Nie spuszczał oczu z Mnichów wciąż pojawiających się na grzbiecie wzgórze. Miecz drżał w jego rękach, serce biło szybko,

w żyłach pulsowała żądza działania i zemsty. Było ich tam tak wielu, może trzydziestu albo więcej, że myśl, iż A'Meer nadal żyje, była wyjątkowo niedorzeczna.

– Co teraz zrobimy? – zapytał Trey. – Zostaniemy tu, żeby do nas przyszli?

– A co innego możemy zrobić? – odparł Kosar. Nadzieja wciąż się uśmiechała tym swoim szalonym uśmiechem. – Niech przyjdą i spróbują zabrać chłopca. Przekonają się, z czym walczą. Poznają prawdziwą moc, której tak nienawidzą. – Dotknęła ręki Rafe'a, wymamrotała kilka słów i drugą dłonią machnęła nad ziemią obok siebie. Uśmiech zniknął na kilka sekund, jakby nie udało jej się zrobić tego, co zamierzała. Mimo to podniosła głowę i spojrzała Kosarowi w oczy. – Mamy mnóstwo czasu.

Coś podniosło się z kępy paproci po drugiej stronie doliny, uniosło głowę spośród zieleni jak ogromny wąż wypatrujący niebezpieczeństwa i zdobyczy. Ale ta rzecz nie miała oczu, uszu czy ust. Była matowo czarna jak polerowany kamień. Podniosła się na wysokość człowieka i pozostała nieruchoma, niepoddająca się podmuchom wiatru. Mnisi przyglądali się również. Niektórzy z nich wskazywali na nią, inni wymachiwali mieczami w kierunku widocznego znaku tego wszystkiego, czego nienawidzili. A'Meer została uzdrowiona, wezbrana rzeka San przekroczyła, ale tutaj magia dotykała i zmieniała kraję, wnikała do tajemniczych zwłok tych starych martwych maszyn, wyłaniała się z ukrycia.

A przed kształtującą się dopiero magią stała największa z sił istniejących po to, aby nie powróciła. Czerwoni Mnisi zaczęli wyć i wrzeszczeć, ich głosy zlewały się w potworny chór. Wymachiwali mieczami i wykrzykiwali swój sprzeciw, wściekłość i nienawiść.

Maszyna po drugiej stronie doliny nie poruszyła się, ale przyłączyły się do niej inne przesuujące się kształty, kilka następnych kolumn uniosło się wokół niej i migotało w gasnącym świetle dnia. Ich powierzchnia wydawała się mienić, poruszać jak oliwa na wodzie, bezbarwna, ale nieustannie zmieniająca się i myląca wzrok.

– Co to takiego? – spytał Trey.

– Następne maszyny – powiedziała Nadzieja. – Rafe tworzy dla nas armię.

– To nie on – zaprzeczył Kosar. – Jest tylko przekaźnikiem. I czy to się dzieje tylko tutaj? A jeżeli tak, co się stanie, kiedy magia wróci do krainy? – Spojrzał na wciąż wbite w ziemię dłonie Rafe'a. Nie było już iskier, ale wyraźnie było widać wzbierającą pod jego skórą moc, przepływ magii przez ciało i kości. – Co wtedy się z nami stanie? Z Rafe'em?

– Dlaczego jej nienawidzisz, po tym wszystkim, co się stało? – zapytała Nadzieja z niekłamanym zdumieniem.

Rafe otworzył oczy.

Nadzieja cofnęła się ze stłumionym okrzykiem, Kosar wstrzymał oddech. Rafe spojrzał na niego i uśmiechnął się ze zmęczeniem.

– To ja – powiedział. – Dzieje się tak po to, żebym mógł was chronić, ale nic poza tym. Nic więcej. Tylko... ochrona. – Popatrzył na Nadzieję. – A więc nie ma sensu próbować tego znowu, więdźmo. – Zamknął oczy, uśmiech zniknął, a jego skóra pobladła i znowu zaczęła

lśnić od potu.

– Już nie jest tym chłopcem – syknęła Nadzieja. W jej szeroko otwartych oczach widać było przerażenie.

– Nie był tym chłopcem już od wielu dni – odparł Kosar. Jak mógłby nim być. – Ukłękł obok Rafe'a i dotknął jego czoła. – Znowu jest rozpalony. Coś się zdarzy.

– Mnisi nadchodzą! – zawołał Trey.

Kosar wstał i ruszył do przodu, by znaleźć się pomiędzy Mnichami a Rafe'em.

– Nie zatrzymają się – rzekł. – Dopóki pozostanie choć jeden, który zdoła przeczłgać się po polu noży, aby dotrzeć do Rafe'a, nie przestaną. Spojrzał na Nadzieję oraz Treya, na jego dyskomicz i uniosł swoją broń. – Nie wiercie, że będzie łatwo.

Nagle spłoszone konie zawróciły i pogalopowały między maszynami, kierując się w stronę drugiego końca doliny. Uniosły ze sobą siodła, torby i koce. Kosar zrobił ruch, jakby chciał je gonić, ale zatrzymał się, natychmiast zdając sobie sprawę, że pościg nie ma sensu.

Gdy słońce dotknęło wzgórz na zachodzie i pojawiły się chłodne cienie, czterdziestu Czerwonych Mnichów wbiegło z krzykiem do doliny. I po raz pierwszy od trzech stuleci magia włączyła się do walki.

* * *

Pierwszy Mnich zginął wciągnięty między listowie. Zniknął szybko, wymachując rękami, a jego miecz pofrunął, wirując w powietrzu. Krzyczał głośno i długo, ale żaden z jego biegnących towarzyszy nawet nie spojrzał w tę stronę.

Spłynęli z grzbietu wzgórza jak krew ciekąca po pociemniałej twarzy. Słońce wciąż oświetlało zbocze, wydobywając ich wspaniałą barwę i oświetlając maszyny, które powstały, by zagrozić im drogę. Porośnięte chwastami, spowite wrzosem metalowe konstrukcje niemal kompletnie przerdzewiały, kamienne twory popękane pod wpływem czasu wydawały się poruszać leniwie. Jedna z maszyn przewróciła się na Mnicha i wgniała go w ziemię do momentu, gdy z gliny sterczała jedynie dłoń zaciśnięta na rękojeści miecza. Niektórzy Mnisi walczyli z tym, co napotkali, i brzęk metalu uderzającego o metal rozbrzmiewał w całej dolinie.

Większość maszyn wstawała bardzo wolno, a zgrzyty i trzaski towarzyszące ich pierwszym ruchom stanowiły kontrpunkt dla wściekłego wycia Mnichów. Maszyny podnoszące się z ziemi, która od tak dawna była ich legowiskiem, sprawiały wrażenie zmęczonych. Jedna jakby ziewała. Wielka metalowa skorupa otworzyła się na pokrytym rdzą grzbiecie, odsłaniając tysiące ostrzy. Słońce zabłysło na metalowych zębach i jego dotknięcie zdawało się leczyc wracające do życia maszyny. Niektóre zęby zaczęły lśnić, jakby ponownie je wypolerowano, szczęki otworzyły się szerzej, już prawie nie zgrzytały, naoliwione gasnącym światłem. A potem opadły. Wielki pancierz zamknął się na szalejącym Mniku,

zaczynał się i w końcu otworzył, wyrzucając dwie drgające połówki. Machina uniosła się znowu, tym razem szybciej i błysnęło więcej odnowionych magicznie zębów.

Wkrótce czterdziestu Mnichów toczyło walkę na linii rozgraniczającej światło i ciemność. Nacierali – walczyli, umierali i bardzo szybko uczyli się, że unik jest o wiele bezpieczniejszy niż bezpośrednie starcie – wkraczając w noc i zostawiając za sobą słoneczne światło. Ich płaszcze natychmiast pociemniały, nabierając koloru zaschniętej krwi. Kaptury wciąż zakrywały ich głowy. Każdy Mnich, przystępując do walki, wydawał z siebie wściekły radosny wrzask, wykrzykiwał w niebo bunt, tnąc mieczem atakującą go maszynę, i okrzyki te świadczyły, że każdy wynik jest możliwy. Nie było w nich rezygnacji ani poczucia klęski. Tylko bunt i zaciekle determinacja.

Kosar, Trey i Nadzieja stanęli bliżej siebie, osłaniając Alishię i Rafe'a na wypadek, gdyby któremuś z Mnichów udało się przedrzeć. Przyglądali się rozgrywającym się przed nimi niewiarygodnym scenom, choć słabnące światło ukrywało wiele szczegółów. Ale w miarę jak się ściemniało i nadciągała noc, dwie rzeczy stawały się widoczne – maszyny nabierały sił i zmieniały się.

Jedna metalowa kończyzna uniosła się i z głośnym trzaskiem, od którego zawibrowały bębny uszu, machnęła w powietrzu jak gigantyczny bat. Kiedy powtarzała ruch, wydawała się grubsza i poruszała się szybciej. Trzask był równie głośny, ale jego tonacja głębsza, bardziej basowa. Drugi cios trafił Czerwonego Mnicha w czubek głowy i cisnął go na ziemię. Tym razem kończynę pokrywały już nowe potężne mięśnie.

Wokół niej unosiła się w powietrzu rozpylona krew. Krew, która wznosiła się do góry, wpływała do środka, nie zaś opadała i rozbryzgiwała na boki. Świeża krew, nie pochodząca z żadnego naturalnego źródła. Dawała maszynie nowe życie.

Ścigała swoją ofiarę po zboczu, jej kończyzna przecinała powietrze raz za razem, jej trzaśnięcia zlewały się w rozdzierające niebo grzmiące dudnienie. Podstawa maszyny ukryta była w ciemnych wrzosach i paprociach, ale jej na nowo obleczona w ciało część uniosła się wysoko i dumnie, schwytała uciekającego Mnicha, cofnęła się i cisnęła tak mocno, że ciało pękło. Maszyna uniosła Mnicha tak wysoko, że jego wylewające się wnętrzności zostały na chwilę jaskrawo oświetlone słońcem, by po chwili zniknąć w cieniu.

– One rosną – powiedział Kosar.

– Wracają do życia – dodała Nadzieja. – I jest coś jeszcze. Widzisz, co się dzieje? Spójrz tam. – Wskazała na grzbiet wzgórza, na którym jakiś czas temu pojawili się Mnisi. W tym miejscu wpadał w pułapkę jeden z nich. Nie mógł nawet wejść do doliny, nie był w stanie przedostać się obok małej miotającej się maszyny, która syczała i pluła na niego. Wirowały za nią cienkie srebrzyste macki, wyrzucając grudy ziemi i kępy trawy. Mnich ruszył w jedną stronę i maszyna podążyła jego śladem, uderzając w jego nogi i stopy, raniąc do krwi, aż obaliła go na ziemię. Miecz Mnicha błysnął, trysnęły iskry i maszyna cofnęła się, ale pozostawiła na twarzy Mnicha kilka swoich wijących się kończyn. Mnich wstał chwiejnie,

zrobił krok do przodu, a wróg znowu znalazł się przed nim.

– Nie widzę – powiedział Kosar. Był już dość zdezorientowany, nawet bez wiedzy usiłującej wszystko jeszcze bardziej skomplikować. Poza tym jego myśli wciąż błądziły poza doliną, w ponurym szarym lesie.

– To nie są bojowe maszyny – wyjaśniła Nadzieja. – Może te tutaj tak. Mają ostrza, pałki i inną broń, którą dopiero zobaczymy, jestem tego pewna. Ale tamta na wzgórzu to chyba pomoc domowa. Czymkolwiek jest, walczy z Mnichami. Obudziła się z głębokiego snu i wróciła z określonego powodu.

– Nie obchodzi mnie to – burknął Kosar. Musiał podnieść głos, by przekrzyczeć kakofonię bitwy. Rozejrzał się, lepiej chwycił miecz, gotów użyć go, gdyby jacyś Mnisi zbliżyli się do niego.

– A powinno. Wróciły, żeby cię chronić.

– Wcale nie. Chodzi o chłopca, zawsze o chłopca. Nie o mnie ani o ciebie, ani o tę śpiącą bibliotekarkę, którą ciągniemy ze sobą przez pół Noreeli. – Kosar spojrzał gniewnie na wiedźmę i chociaż tatuaże wydawały się wić wokół jej ust, a oczy błyszczały groźbą, nie odwrócił wzroku. – Ani o A'Meer gdzieś w tamtym lesie. Magia nic nie zrobiła, by ją tam ochronić. Nic ją to nie obchodzi.

Nadzieja odwróciła się tyłem do Kosara i znów zaczęła czuwać przy Raffie.

– Kosarze! – zawołał Trey. – Zmienili taktykę! Spójrz tam, obok tego występu skalnego. – Wskazał dyskiem na ciemnozieloną skałę sterczącą na łagodnym zboczu. Za nią toczyła się bitwa. Plama czerwieni, snop iskier, krzyki i wycia, które mogły wydawać zwierzęta lub maszyny.

– O co chodzi?

– Tam jest pięciu czy sześciu Mnichów – wyjaśnił Trey. – Zeskoczyli ze skały i zaatakowali podstawę maszyny. Ale obok czołgają się inni. Widzisz ich?

Kosar zmrużył oczy i kiedy wpatrzył się uważnie, dostrzegł ruch. Powolny, ostrożny, metodyczny.

– Poświęcają się – oznajmił.

– Dziesięciu umrze, żeby jeden się przedostał – dodał Trey. – Nawet we dwóch na jednego będziemy skończeni.

Kosar czuł, jak delikatna wibracja jego miecza narasta z każdą sekundą. Być może współgrał z budzącą się ziemią, z szalejącą wokół nich bitwą. A może wzbierał w nim gniew. Spojrzał na Treya i uśmiechnął się ponuro.

Trey, którego żółtawa skóra wydawała się cieszyć półmrokiem, odpowiedział uśmiechem.

– Może jeszcze będziemy musieli walczyć.

– Nadziejo! – zawołał Kosar. – Niektórzy z nich mogą się przedostać. Masz coś, co nam pomoże?

Kłęcząca koło Rafe'a wiedźma podniosła głowę i przez chwilę na jej twarzy malowała się

niczym nieskazona wrogość. Złodziej wstrzymał oddech, zastanawiając się, w czym przeszkodził. Spojrzał na Rafe'a, ale chłopak był nieprzytomny. Pięści miał nadal zagłębione w ziemi, a poświata wciąż migotała tam, gdzie człowiek łączył się z krainą.

– Pomoże? – odparła wiedźma. – Magia ci pomaga, czego jeszcze chcesz?

– Pomaga, ale oni jednak się przedostają – wyjaśnił Kosar. – Maszyny nie mogą zatrzymać ich wszystkich. Jeżeli zabiją setkę i tylko jeden tutaj dotrze, prawdopodobnie nie przeżyjemy. Nie jestem wojownikiem, Nadziejo. Trey także. Masz cokolwiek, co mogłoby pomóc?

Wiedźma spojrzała na chłopca, przesunęła dłonią nad jego ciałem od czoła do palców u stóp i zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, wrogość zmieniła się w głęboki smutek.

– Nie mam nic – odparła.

– Może magia będzie nam pomagać aż do końca – odezwał się Trey. – To miałyby sens. Wszystko, co robi Rafe, aby ją przywrócić, byłoby bezsensowne; gdyby jeden Mnich przedostał się i zabił nas wszystkich.

Kosar bardzo chciałby podzielić nagły optymizm górnika.

Dzień już gasł, ale widać było, że magia z coraz większym entuzjazmem odzyskuje siły. Przerdzewiałe i spróchniałe kości coraz to nowych martwych maszyn wciąż wydobywały się z ziemi i po kilku sekundach oblekała je cienka warstwa ciała albo płynu pokrywającego stopiony kamień. Płyn ściekał zewsząd, pojawiał się znikąd, by przywrócić maszynie jej krew, przyoblec stary szkielet w ciało, w czasie, kiedy szkielet dopiero co tężał. Szczątki pokrywała warstwa po warstwie i nie zawsze były to ciało i kości. W jednym miejscu były to drewno i kamień, w innym woda i giętkie szkło – ze smutnych, starych szczątków powstawały nowe magiczne formy.

Kosar uniósł miecz i wypatrywał cieni, które poruszałyby się, choć nie powinny. Myślał o A'Meer w lesie i próbował wyobrazić sobie, jak mogą wyglądać jej szczątki. Szare zwierzęta leśne biegające po szarych liściach i oddalające się z wilgotnymi kaskami, by nakarmić nimi swoje szare potomstwo. A'Meer była tak dumna ze swojego życia i w jej śmierci powinno być więcej znaczenia.

Nienawidził faktu, że jest martwa, a jeszcze bardziej powodu jej śmierci. Patrząc na chłopca leżącego na ziemi, dostrzegł spojrzenie wiedźmy, wytrzymał je przez kilka sekund i dopiero potem odwrócił wzrok. W jej oczach było coś, co mu się nie podobało.

– Lepiej, żeby to było tego warte – rzekł. Nadzieja nie odpowiedziała.

– Och, na Czerń, co to?... – szepnął Trey. – Spójrz, tam, na grzbiecie wzgórza, słońce wciąż go oświetla. Popatrz! – Wskazał dyskomieczem, ale Kosar już widział.

Mnisi. Dziesiątki, może setki. Być może pozostali w tyle za pierwszą grupą, przybiegli na wezwanie z jakichś bardziej odległych miejsc. Teraz tworzyli na wzgórzu pomiędzy doliną a lasem niemal ciągłą czerwoną linię, gotowi runąć w dół i zalać cmentarzysko maszyn.

– Jeżeli twoja magia ma coś jeszcze w rękawie, to nadeszła pora – Kosar powiedział do

Rafe'a, nie odwracając się w jego stronę. W całej dolinie wciąż rozlegały się odgłosy walki, ale uderzenia metalu o kamień i krzyki Mnichów zabijanych przez magię, którą tak pogardzali, były coraz rzadsze. Kosar odetchnął głęboko i poczuł czerwień.

Gdy fala wrogów zaczęła spływać w dół wzgórza, pierwszy Mnich przebił się przez zapórę ożywionych maszyn i rzucił na Kosara i Treya. Zadźwięczała stal. A zachodzące słońce oświetliło unoszące się wysoko trzy ciemne kształty.

* * *

Lucien Malini był zakrwawiony i zmasakrowany, ale nie cała krew była jego. Kiedy wszedł do doliny z krwią tej suki Shantasi zasychającą na jego mieczu, poczuł odór Magii. Nie zetknął się z nim nigdy dotąd, ale sposób, w jaki podrażnił jego nozdrza, spłynął strawkami krwi w jego gardle, przyprawił go o mdłości.

Kiedy pojawiła się pierwsza maszyna i zaczęła z nim walczyć, nie zdziwił się. Jej kilka długich, cienkich ramion uniosło się, ze zgrzytem i wyciem obróciło się wolno w powietrzu, pokrywając się ciałem, krwią i mniej naturalnymi płynami. Lucien ciął śpiewającym mieczem jedną z kończyn i ją odrąbał. Amputowany wyrostek zawirował w powietrzu, ale nie upadł. Czekał. A potem zrobił unik przed drugim ciosem Luciena, umocował się ponownie na rosnącej maszynie i oddał uderzenie.

Na twarzy, piersi, brzuchu i rękach Luciena pojawiały się rany. Maszyna unikała każdego pchnięcia jego mieczem, a w tych rzadkich przypadkach, kiedy cios trafiał w cel, czynił niewielkie szkody. Gdy ciął świeże ciało maszyny, zasklepiało się, zanim uderzył powtórnie. Próbował trafić w kamienne wypukłości, ale miecz krzeszał tylko iskry i wydawało się, że powiększa energię tej magicznej potworności.

Lucien szalał z wściekłości. Żył, oddychał, trzymał się całe życie po to, by do tego nie dopuścić, a teraz czuł jak znienawidzona magia wibruje w ziemi pod jego stopami. Cuchnęło nią powietrze, zmierzch jaśniał jej odrodzeniem, a wszystko, co słyszał w dolinie, świadczyło o sukcesie magii – krzyki, odgłos ciosów rozcinających Mnichów na dwoje, metalu i kamienia miażdżącego ciała jego braci. Szalał i walczył, ale z każdą sekundą czuł, że zwycięstwo oddala się coraz bardziej. Był pożerany przez te nienaturalne istoty, wsysany w ich nowe żyły i tajemne kanały mocy, przytłaczany paskudną magią, która poczyniła tak wiele szkód przed tyloma dziesięcioleciami. Nie zdążyli. Godzina lub dwie wcześniej i może...

Lucien walczył długo i zaciekle, odniósł wiele ran. Sam też zadawał ciosy, odłupując kawałki maszyny, ale cierpienie zdawało się jedynie zwiększać jej siły. Był pewien, że nie myśli. Nie miała duszy, współczucia, nie było dla niej miejsca na tym świecie. Ale z każdą odniesioną raną stawała się bardziej realna.

Nieustannie walcząc, poczuł cień padający na dolinę. I kiedy spojrział w górę, dostrzegł

kszałty krążące nad toczącą się bitwą. Po raz pierwszy uwierzył że Mnisi mogą przegrać.

* * *

Lenora poganiała sokoła lecącego w stronę bitwy. Czuła krew i uświadomiła sobie, że jest to najważniejszy moment w jej życiu. Dosiadany przez nią stwór pluł i bulgotał, gwałtowne nurkowanie rozerwało mu bok, z którego tryskały teraz krew i płyny. Na jej rozkaz złożył macki i pochylił łeb. Zmienił się w grot strzały, przesywał powietrze tak szybko, że bryzgi z jego rozerwanych wnętrzości tworzyły za nim krwawą czerwoną smugę. Skrzeczał i zawodził, ale zasadniczo był głupią istotą i słuchał rozkazu, który prowadził go do śmierci.

Lenora trzymała się mocno grzbietu sokoła. Podkuliła kolana i oplotła dłonie uprzężą. Mrużyła oczy smagane wiatrem. Mimo jego ryku słyszała, że Magowie wreszcie wyczuli zdobycz, Magię, którą chcieli odzyskać po trzech wiekach i która doprowadziła ich oboje do szaleństwa. Lenora, doświadczona wojowniczką w armii Magów, miała nadzieję, że nie usłyszy tego dźwięku nigdy więcej.

Angel siedziała wyprostowana na swoim sokole. Powietrze opływało ją, trzepotało za jej plecami, tworząc strzępiaste, cienkie smugi. Oczy miała szeroko otwarte. Zobaczyła obiekt swoich pragnień i nie było możliwości, by straciła go z pola widzenia.

Z lewej strony Lenory, w odległości paru rozpiętości skrzydeł, S'Hivez dosiadał swojego wierzchowca, wbijał obcasy w jego boki tak mocno, że przebiły skórę stworzenia, rozpoczynając jego powolną śmierć. Z ran tryskała mgiełka krwi, ale Lenora nie mogła się zorientować, czy to tylko krew sokoła.

Żadne z Magów nie miało broni, Ale nie martwiło to Lenory. Już widziała ich w akcji.

Niecałe półtora kilometra w dole, w promieniach zachodzącego słońca szalała bitwa. Nawet z tej wysokości widać było iskry tryskające spod stali uderzającej o stal, a chociaż powietrze opływało ją z niewiarygodną prędkością, odór krwi docierał aż tutaj. Niezwykłej krwi – krwi Czerwonych Mnichów! Choć jej zmysły zasypywała lawina wrażeń, do jej umysłu trafił okruczeństwo strachu, a strach zmienił się w podniecenie. Prawdziwa walka, pomyślała. Prawdziwy wróg. Jak zawsze pamiętała o broni umocowanej na całym jej ciele i była gotowa użyć jej natychmiast po wylądowaniu. Oręż był jej życiem i duszą, częścią ciała jak każda z kończyn. Przedłużeniem jej samej, a nie zwykłym narzędziem. Wkrótce znowu zakosztuje krwi.

Już słyszała bitwę, słabe krzyki i chaotyczne dźwięki wznoszące się ponad ryk powietrza. Tak często marzyła przez te wieki, jej dawne wspomnienia przekształcały się w mit, ale właściwie nigdy nie wierzyła, że ponownie zobaczy działanie magii. A teraz, tuż pod jej umierającym sokolem, maszyny przystępowały do walki. Niektóre z tych niesamowitych konstrukcji spowijało migoczące niebieskie światło magii, inne walczyły w ciemności, a magia kryła się w ich wnętrzach. Przestrzeń w przypominającej misę dolinie miała nieco inną

barwę niż otoczenie – jaśniejszą, bardziej żywą.

Lenora spojrzała na Angel, w chwili, gdy Magini wykrzyczała swoją rozkosz.

Tu był ich cel. Tu była magia. Za kilka sekund stanie się ich własnością.

* * *

Trey walczył z fledżowymi strzygami, nietoperzami-wampirami i jaskiniowymi węzami. Przed kilkoma laty jego jaskinia walczyła z plagą wściekłych węży, których przyjemne pieśni stały się piskliwe i wywoływały dziwną chorobę. Porwały troje niemowląt, zanim mężczyźni zdołali się zebrać i rozprawić z nimi w tunelach. Zazwyczaj takie stworzenia potrafiły łatwo uciec, wciskając się w dziury i szczeliny, do których w żaden sposób nie zdołałby się dostać górnik fledżu bez względu na to, jak szczupłym uczyniła go ewolucja. Jednakże choroba nie tylko doprowadziła węże do szaleństwa, ale również spowodowała ich wzrost. Wywołała w nich głód, który nie dawał się zaspokoić, a ponieważ nieustannie jadły – siebie nawzajem, inne stworzenia żyjące w jaskiniach i schwytane dzieci – stały się wielkie i niezgrabne. Polowanie było krótkie i brutalne. Grube węże padały, cięte na kawałki dyskomiczami górników, zaścielając dno jaskini wnętrznościami, których nie chciało się oglądać z bliska.

Ale to było zabijanie, a nie walka. Węże się nie broniły. I nie wyrzaskiwały ogłuszająco swojej wściekłości, kiedy je atakowano.

Czerwony Mnich został poważnie ranny w czasie starć z ożywionymi maszynami. Niemal ucięta prawa ręka wisiała na ścięgnach i kawałkach szaty. Krew ciekła z ran na piersi i brzuchu. Trey wiedział, że stwór powinien być martwy. Rany były z całą pewnością śmiertelne, a mimo to szarżował jak oszalała fledżowa strzyga. Krzyczał jeszcze głośniej, jego wściekłość była bardziej widoczna, w lewej dłoni trzymał wysoko uniesiony zakrwawiony miecz. Oszołomiony Trey znieruchomiał.

Życie ocalił mu miecz Kosara. Złodziej wszedł pomiędzy nich i zadał cios, potknął się, gdy Mnich padł u jego stóp, zrobił krok, pchnął sztychem w dół i odskoczył. Stwór wrzeszczał i wił się, a zawstydzony swoją bezczynnością Trey machnął dyskomiczem. Głownia trafiła Mnicha pod podbródkiem, odrzuciła jego głowę do tyłu i uwięzła w zuchwie.

Mnich otworzył usta, ale jego krzyk utonął we krwi. Odwrócił się, by spojrzeć na Treya. Ruch pociągnął rękojeść dyskomicza w dół i chociaż ból musiał być straszny, Mnich spojrzał z wściekłością na górnika, jakby starał się go zapamiętać.

– Cofnij się! – syknął Kosar. Pchnął z doskoku leżącego stwora, wbijając miecz w jego ciało.

Trey kucnął, przekreślił i szarpnął rękojeść, aż udało mu się uwolnić klingę. Mnich wył i miotał się na ziemi, wymachując mieczem. Kosar zaklął i odskoczył, trzymając przed sobą krwawiącą rękę z rozczapierzonymi palcami.

– Kosarze? – odezwał się Trey.

– Nic mi nie jest. Uważaj na niego!

Trey raz za razem ciął dyskomieczem, ale miotający się na ziemi Mnich udaremniał skuteczny cios. W końcu wstał i ruszył prosto na Treya. Dolna szczęka zwisała na paru czerwonych włóknach, zęby lśniły od krwi, a charkot musiał być próbą krzyku. Górnik nie cofał się i machał dyskomieczem, a zakrwawione ostrze wprawionej w ruch obrotowy klingi odbijało resztki dziennego światła. Mnich zadał niezgrabny cios, który Trey odbił i sparował. Pod poszarpanymi szatami pojawiła się kolejna rana. Ciął znowu, mierząc w gardło i twarz Mnicha, ale klinga odskoczyła od kościstego czoła, jedynie zdzierając skórę.

Trey obejrzał się, sprawdzając, czy Nadzieja, Alishia i Rafe są bezpieczni, a kiedy odwrócił się znowu, zobaczył miecz Mnicha zmierzający ku jego twarzy.

Kosar krzyknął, odbił cios, ponownie zasłaniając Treya przed demonem, i kopniakiem przewrócił Mnicha.

Trey ruszył do przodu, by posiekać leżącego wroga, ale Kosar zatrzymał go.

– Nie – wysapał. – Nie ma potrzeby.

Mnich zaczął wstawać, ale ziemia pod nim się uniosła. Fragment podłoża o obwodzie trzech kroków uniósł się do góry i złożył do środka jak zamykający się kwiat, gdy przebudzona maszyna znalazła swój cel. Mnich został zamknięty w pokrytej zielonymi żyłkami skale i zmiądzony. Jego śmierć była szybka i koszmarna. Kilka minut później maszyna schowała się znowu pod ziemią, pozostawiając na powierzchni jedynie skrawek poruszonego gruntu.

– Nie spieszyła się – jęknął Trey.

– Chyba uważają, że też powinniśmy popracować – odparł Kosar. Uśmiechnął się do Treya, a potem skrzywił i spojrzał na zranioną rękę. Krew lśniła czernią w przyćmionym świetle i Trey nie mógł dostrzec, jak poważna jest rana. Nie miał ochoty pytać.

– Co to takiego?! – krzyknęła nagle Nadzieja. – Co to takiego? – Strach w głosie starej wiedźmy był szokujący. Jej okrzyk przebił się nawet przez nieustanne odgłosy bitwy i krzyki nowych fal Mnichów wdzierających się do doliny. Trey nigdy dotąd nie słyszał takiego przerażenia. W pierwszym odruchu spojrzał na Nadzieję, która wskazywała w niebo, na którym księżyc śmierci wciąż jeszcze świecił w mroku.

Trey zobaczył wysoko nad sobą jakieś kształty. Wciąż oświetlały je promienie słoneczne. Były cieniami na granatowym tle. I powiększały się. Trey spojrzał na otaczające ich dziesiątki walczących maszyn – obleczone na nowo w ciało ramiona wyrzucały Mnichów w powietrze, wielkie, metalowe pięści wgniatały ich w ziemię, wirujące ostrza przecinały na pół. Kolejna setka krwawych demonów przemykała pomiędzy magicznymi konstrukcjami i zbliżała coraz bardziej, on zaś zastanawiał się, dlaczego wydaje mu się, że prawdziwe zagrożenie nadciąga skądinąd.

– Sokoły? – zapytał Kosar.

– Nie tak nisko – odparła Nadzieja. – Nie tak nisko. One żyją i umierają wysoko, gdzie

nie sięga wzrok. Tu na dole, ciśnienie jest dla nich zbyt wysokie. Nie przynależą do krainy. Chyba że...

– Chyba że co? – wtrącił się Trey.

Wiedźma nie spuszczała wzroku z powiększających się nad nimi kształtów.

– Chyba że ktoś nimi kieruje.

– Magowie – rozległ się głos. Trey spojrzął na Rafe'a leżącego u stóp Nadziei. – Magowie są tutaj. – Powoli wyciągnął dłonie z ziemi, otrzepując z palców wilgotne grudki i usiadł, spoglądając na towarzyszy. Twarz miał bladą i mizerną, jakby nastanie zmierzchu przyniosło mu klęskę.

Treyowi bardzo nie spodobał się wyraz twarzy chłopca. Pasował do strachu rozbrzmiewającego w głosie Nadziei.

– Co zrobimy? – zapytał.

Rafe nie odpowiedział. Czy on wie? – zastanawiał się Trey. Czy ten wiejski chłopak rzeczywiście zdoła nas z tego wyciągnąć? Zaczynał mieć wątpliwości.

* * *

Najpierw był tylko ból, uczucie rozdierania na strzępy. Nic nie docierało do zmysłów oprócz cierpienia, palącego jej zranioną duszę i odsłonięte zakończenia psychicznych nerwów. Nie było świadomości zewnętrznego świata, jedynie mroczne tu i teraz.

Cierpię. Jestem oblegana. I nie jestem cała.

Myśli wydawały się obce i próbowała odsunąć się od nich, jak zwierzę od ognia. Ale nie wychodziły z jednego punktu, same były tym punktem i nie można było przed nimi uciec. Jej umysł uspokoił się i potrafiła się z tym pogodzić, ponieważ myślenie oznaczało ból. Nie miała ochoty myśleć o tych rzeczach. Sprawiały, że czuła się gorsza, i chociaż nie pamiętała, czym dokładnie to było, wiedziała, że została bardzo pomniejszona.

Głos, który do niej przemawiał, ucichł, pozostawiając po sobie przerwę pomiędzy oddechami. Czuła ciężar możliwości.

Płynęła, unosila się we własnym umyśle, szczątki wspomnień kołysały się obok, aby przekazać niejasne fragmenty historii, której nigdy nie mogła zrozumieć. Za każdym razem, kiedy coś wylaniało się z ciemności, cierpienie potęgowało się, jakby objawienie przynosiło tylko ból. Objawienie i uświadomienie. Ponieważ za tą Czernią wyczuwała oczekującą na ponowne odkrycie głęboką wiedzę.

Mądrość i ból, nauka i cierpienie. Wiem, że muszę nie wiedzieć. Ale bolała nawet umiejętność sformułowania tej myśli.

I nagle coś zaczęło się zbliżać.

Był wrócił do jej umysłu – niewidzialny, cichy, a jednak ostry jak ból, który przenikał do jej świadomości. Był ogromny. Potężny w swoim znaczeniu i skutku, przerażający w

wymiarze i przyszedł po nią. Musiał przyjść po nią, ponieważ nie było tu nic innego. Ale wcale nie pomniejszało tego, co nadal czuła, raczej sprawiało, że czuła się bardziej obecna, bardziej cielesna i po raz pierwszy od momentu, który mogła wspomnieć, Alishia wiedziała, jak ma na imię.

Jest nadzieja w Kang Kang – oznajmił byt, a Alishia słyszała o tym miejscu.

Życie rodzi się ze śmierci. Zrozumiała i zastanawiała się, gdzie pośredniczy między jednym a drugim.

To dla ciebie. Nie wiedziała, co to znaczy. Nie miała pojęcia. A mimo to chwilę później Alishia znowu poczuła, że jest cała. Jest cała i posiada coś dodatkowego. Coś o wielkiej wadze.

Otworzyła oczy i pożegnała się z Czernią.

* * *

– Alishia się obudziła! – powiedziała wiedźma.

Rafe skinął głową.

– Magia przywiodła ją z powrotem. – Chłopak wciąż siedział na ziemi, patrząc na ciemne kształty zmierzające w ich stronę. Dźwięki nowych starc wypełniły powietrze, gdy maszyny uderzyły w kolejną falę Czerwonych Mnichów.

Nadzieja dotknęła czoła dziewczyny, zastanawiając się, co dzieje się we wnętrzu jej głowy. Sprawiała wrażenie mniejszej, jakby zaczęła się kurczyć.

– Hej! – odezwała się wiedźma, ale dziewczyna nie odpowiedziała. – Po co ją sprowadziła? – Nadzieja zwróciła się do Rafe’ego, ten jednak milczał.

Nadzieja puściła dziewczynę i wcisnęła pomarszczone dłonie w ziemię, poruszając palcami pod jej powierzchnią. Kosar i Trey krzyczeli do siebie, patrząc na kształty powiększające się na ciemniejącym niebie, ale nie dostrzegali żadnych zmian. Rafe siedział, wyjąwszy ręce z ziemi, z którą, iskrząc, kontaktował się w czasie bitwy. Ale magia działała nadal. Więż, którą stworzył, była już zbędna, ponieważ magia znowu przeniknęła do tych maszyn, budząc w nich wspomnienia lepszych czasów i przyoblekając je w ciało i krew, kamień i drewno, przywracając wygląd sprzed wielu, wielu lat.

Nadzieja wcisnęła ręce jeszcze głębiej, poszukując zmiany w sobie samej, żądając jej. Ale żadna zmiana nie nastąpiła. Wszeptała stare zaklęcie używane przez matkę jej matki, ale rozwiało się w powietrzu razem z jej beużytecznym oddechem.

Alishia mrugnęła znowu, powoli, ospale i spojrzała na Nadzieję. Jej oczy były tak pełne wiedzy, że wiedźma cofnęła się. Ona wie! – pomyślała Nadzieja. Ona wie, co robię! Skąd może wiedzieć, jeżeli nie jest...

Rafe patrzył w niebo, jakby witał nadciągający atak.

– Rafe – odezwała się Nadzieja. Błagała, żądała, ale choć odwrócił się do niej, jego oczy

nic nie wyrażały.

– Nadchodzą – rzekł. – Kataklyzm zaczął się zbyt szybko. Nie mam już nad tym władzy.

Nastąpiła chwila przerwy w bitwie, tak krótka, że Nadzieja pomyślała, iż może wyobraziła ją sobie pomiędzy mrugnięciami oczu. Miecze uniosły się, czekając, by opaść. Czerwoni Mnisi nabrali powietrza przed następnym, pełnym cierpienia wydechem. Kończyny maszyn zatrzymały się, zardzewiałe przeguby odnawiały się, obnażone metalowe kości cieszyły się miękkością odzyskanego ciała. Zapadła cisza, nastąpiła chwila spokoju, a kiedy kakofonia bitwy rozległa się znowu, wszystko się zmieniło. Ziemia wokół Nadziei, Alishii, Rafe'a, Kosara i Treya zadudniła, poruszyła się, przebiły ją dwa tuziny żeber o grubości męskiego uda i zaczęły rosnać, zaginając się ku górze. Zanim jeszcze spotkały się, tworząc ochronną klatkę, zmieniły kolor z rdzawoczerwonych na srebrzystoszare, odbijając pierwsze promienie księżycy śmierci.

– Jesteśmy w klatce! – syknęła Nadzieja.

– Tamci są poza klatką.

A z góry opadała zapowiedź śmierci.

* * *

Lucien Malini uciekał z tej doliny zagłady. Niemal martwy, przeczołgał się przez grzbiet wzgórze i potoczył się po drugim zboczach, zostawiając ślady krwi na ziemi. Przegrali. Wszystko stracone, cała nadzieja. Wygrali Magowie i maszyny przebudzone w dolinie. Kraina znowu pozna magię, on zaś zobaczy jej wpływ. Ta myśl doprowadzała go do furii. Ból targał nim, wznosząc jego wściekłość na nowe poziomy kłęski. Przewrócił się, wstał, potknął i potoczył znowu, wiedząc, że może tylko wyrzucić jakąś nieistotną zemstę. Pójdzie tam, gdzie leży ciało tej suki Shantasi, i porąbie je na kawałki, skąpie się w jej krwi i zastąpi nią swoją. Obraz ten utrzyma go przy życiu przynajmniej przez kilka następnych minut.

Ale kiedy dotarł na miejsce, gdzie zginęła, jej ciało już zniknęło. Widział, jak jego resztki rozpraszają się, czerwien przechodzi w szarość. A kiedy upadł na kolana i krzyknął, zobaczył, że drzewa, kamienie i ziemia wokół niego poruszają się i rozpadają na miliard maleńkich części. Połączyły się z rozproszonymi szczątkami Shantasi i odleciały na wschód.

Być może w chwili śmierci zawodził go wzrok. A może było w tym coś o wiele ważniejszego, coś, za czym może podążyć. Ta myśl na nowo tchnęła w niego iskrę życia.

* * *

Sokoły spadły z nieba. Nurkowały tak gwałtownie, że Kosar dziwił się, iż nie pozostawiają za sobą smug płonącego powietrza. Słyszał ryk rozdieranej atmosfery, a być może również samych stworów. Widział postaci siedzące na sękatych karkach i chociaż Rafe

powiedział, kto to taki, Kosar wciąż nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Magowie? Tu, teraz, już?

Od tak dawna byli tylko tematem legend i opowieści przy ognisku, trzystuletnim złem, które choć straszliwe, powoli zniknęło w przeszłości. Czas nie mógł zatrzyć ich zbrodni, ale wygładził ostre krawędzie, usunął zawile szczegóły przestępstw i pozostawił jedynie historie o magii, która stała się zła, i o wojnie, walce i śmierci na całej Noreeli, jak długa i szeroka. Ich skutki nadal można było zobaczyć i odczuć, ale Kosar nie znał czasów, w których kraina byłaby nieskażona. W czasie wędrówek widział wiele dziwnych i koszmarnych rzeczy, ale nie przypisywał ich Magom. Te rzeczy po prostu były.

A teraz, za kilka sekund Magowie zaatakują.

– Co zrobimy? – spytał. – Co możemy zrobić?

– Nie dadzą się powstrzymać – szepnął Trey. – Rozniosą nas.

– Chcą Rafe’a żywego, nie przylecieli, aby go zabić.

– Nie wygląda mi na to – stwierdził Kosar. Widział już ich twarze i zaskoczyło go, jak bardzo przypominają ludzkie. Przeróżające, pełne furii, ale ludzkie.

Noc wypełniła dolinę.

Maszyna, w której klatce znalazło się pięcioro ludzi, zaczęła wibrować. Drzenie powstawało gdzieś pod ziemią i przenosiło się w górę otaczających ich wysokich żeber.

Gdy sokołom pozostało już kilka sekund lotu, zaczęły zwalniać, wysuwając szponiaste łapy, aby wczepić się w wielką maszynę. Z punktu, w którym spotykały się żebra, wybuchła tuż przed nimi eksplozja światła.

Kosar przymrużył oczy, oślepiony gwałtowną jasnością, zasłonił je dłonią i upadł. W górze rozległy się wrzaski – ludzi albo sokołów. Kiedy parę sekund później spojrział w górę, niebo było czyste, a z lecących tuż nad ziemią sokołów spadały krople światła, niczym żar z odległego ogniska. Trysnęły nowe snopy iskier, gdy jeźdźcy atakowali maszyny i Mnichów.

– Co to takiego? – syknął Trey.

– Maszyna nas chroni – wyjaśnił Rafe. – Może z nimi walczyć, ale wątpię, czy zdoła powstrzymać ich bez końca. To odwrócenie uwagi. Jeżeli zdołają zadowolić się walką z Mnichami i innymi maszynami w dolinie – a po tak długim czasie muszą być spragnieni krwi – wtedy być może uda nam się uciec.

– Być może? Ale jak uciec? – Nadzieja stała, patrząc na potężne żebra błyszczące w świetle księżyca.

Rafe się uśmiechnął.

– Jak powiedziałem, nie mam nad tym władzy.

Kosar i Trey stali przy Alishii i Rafe, wciąż trzymając broń w ręku, ale ich uwagę rozpraszało wibrowanie gruntu pod ich stopami, migotanie powietrza pomiędzy żebrami. Coś się działo – coś niewidzialnego i bardzo ważnego – i potencjał wypełniający powietrze był niemal namacalny. Kosar starał się wolniej oddychać, ale lęk mu to uniemożliwiał. Właśnie

widziałem Magów, byłem o rzut oszczepem od demonów krainy. I wciąż jeszcze żyję. Na razie.

– Co to za światło? – spytał.

– Magia odpiera Magów, to wszystko, co powinno nas obchodzić – wyjaśnił Rafe.

– Magia – szepnęła Alishia.

– Nadal jest w tobie? – Kosar zwrócił się do Rafe'a. – Wciąż masz ją w sobie? Czy nie jest już wolna? Czy w tym momencie magia nie wraca do kraju?

Rafe zmarszczył brwi, spoglądając z klatki na walczące w dole cienie.

– Sądzę, że to dzieje się tylko tutaj – powiedział. – Pochłania mnóstwo wysiłku.

– A więc jak długo się utrzyma?

– Nie wiem.

– Wystarczająco długo, żebyśmy się stąd wydostali? – zapytał Trey. Klęczał obok Alishii, dotykając jej twarzy i rąk. – W przeciwnym razie, jaki miałoby to sens? Jeżeli magia chroni nas, ożywia maszyny, broni nas przed Mnichami... Magami...! To dlaczego nie mogłaby ocalić nas na zawsze?

– Nie wiem – powtórzył Rafe. Ziemia zatrzęsała się jeszcze raz i wibracja rozległa się w powietrzu ciężkim dudnieniem, które zmieszało się z odgłosami bitwy.

W ciemności klatka uległa zmianie i kiedy Kosar przyjrzał się jej bliżej, metaliczne żebra znowu stały się kościane.

– Polecimy – oznajmiła Alishia.

– Co cię obudziło? – zwrócił się do niej Kosar. Nagle przestał jej ufać. Teraz, kiedy A'Meer najprawdopodobniej nie żyła i znowu był między obcymi, nie ufał już nikomu. Alishia spojrzała na niego, a jej oczy były zarówno piękne, jak i przerażające. Jak na bibliotekarkę widziała zbyt wiele, pomyślał Kosar.

Spoglądał pomiędzy żebrami, ledwo dostrzegając szczegóły walki. Trzy ciemne kształty najwyraźniej wyzwoliły się spod wpływu światła i teraz unosiły się nad doliną, a pochyleni na bok w siodłach jeźdźcy włączali się do bitwy. Kosar nie mógł się zorientować z kim walczą – Mnichami czy maszynami – ale wiedział, że dla Magów wrogami są jedni i drudzy. Proste początkowo starcie przekształciło się w walkę pomiędzy trzema przeciwnikami. Odpowiadało mu to w zupełności. Niech Magowie, Mnisi i maszyny walczą ze sobą i jak najdłużej pozostawiają ich w spokoju...

Coś się dzieje, pomyślał. Coś się dzieje właśnie teraz, pod naszymi stopami. Czuję to. Jakby pod ziemią wędrowały toczniki i zmieniało to kształt samej krainy.

– Leć... – odezwała się znowu Alishia rozmarzonym, czystym głosem.

Z oddali dobiegł ryk i nad horyzontem wzbił się wielki kształt sokoła stojącego na mackach i mocującego się z czymś trudnym do rozpoznania. Z maszyny strzeliła ognista smuga, osmalając ziemię, a jeździec na sokole odpowiedział ciosem nieznannej broni. Ona też miotała ogień, który owinał się wokół podstawy maszyny i obalił ją ze wstrząsającym ziemią

łoskotem. Sokół wrzasnął znowu, tym razem z tryumfem.

Mnisi krzyczeli deptani łapami sokoła, cięci klingami jeźdźców, miażdżeni przez maszyny.

Ziemia spływała krwią.

I nagle wolno, niesamowicie, dolina zaczęła się oddalać.

– Co, na Czern...? – syknął Kosar.

– Odchodzi – powiedział Trey, spoglądając w dół – Odchodzi, opada, pozostawia nas.

– Nie – odparła Nadzieja. – Lecimy.

– Lecimy...

Pod nimi i po bokach błysnęły światła. Towarzyszył im ryk, gdy ziemia pękła, uwalniając maszynę. Zapłonęło światło, unosząc ich w górę na kolumnie blasku. Z maszyny trysnęły przypominające ogień smugi, przeleciały nad doliną i otoczyły sokoły oraz Magów kłębami płomieni, odrzuciły je niczym płonące gwiazdy. Sokoły latały nad doliną, odbijając się od występów skalnych i maszyn, ogień ściekał z nich na ziemię i podpalał przesiąkniętą krwią płaszcz Mníchów. Wkrótce dolinę oświetlały płomienie, chociaż sokoły oraz ich jeźdźcy zdołali się ich pozbyć i ponownie wzbili się w górę.

Bitwa trwała. Ale teraz Kosar i pozostali, niemal oślepieni przez nowy ogień, który wznosił ich w powietrze, nie bardzo widzieli, jak się dalej toczy. Dostrzegali rozproszone pożary, ale krawędzie unoszącej ich maszyny zasłaniały widok.

Kosar usiadł na drżącej ziemi. Trzymał się kurczowo gęstej trawy, jakby mogło to go zabezpieczyć. Był przerażony. Trey zerknął na niego. Kosar skrzywił się i wzruszył ramionami. Najwyraźniej to, co było już dziwne, stało się jeszcze dziwniejsze.

– Dokąd lecimy? – Nadzieja zwróciła się do Rafe'a. Zabrzmiało to tak rzeczowo, jakby latała codziennie.

– Daleko – odparł Rafe. Wpatrywał się w Alishię i oboje się uśmiechnęli. – Daleko. W bezpieczne miejsce. Jestem taki zmęczony. – Zamknął oczy i zasnął.

– Szkoda, że tak nie potrafię – mruknął Kosar. Nadzieja uśmiechnęła się do niego. Oświetlone blaskiem księżyca tatuaże nadały jej twarzy upiorny wygląd.

– Boisz się, złodzieju?

– A ty nie?

Uśmiechała się nadal.

– Jestem skamieniała ze strachu. Przecież lecimy, na litość Czerni!

Maszyna zdawała się nabierać prędkości. Czuli eksplozje i impulsy energii tryskające z dolnych krawędzi i każdy z wybuchów unosił ich coraz wyżej. Spód maszyny kipiał światłem. Każdy napędzający impuls zmieniał maszynę. Żebra pogrubiały, rozciągając wokół nich wydobytą znikąd matowo szarą powłokę. Przestrzenie pomiędzy żebrami zaczęły żarzyć się niezliczonymi punktami światła. Kosar znalazł się kiedyś w chmurze świetlików, ale tutaj blask był jeszcze silniejszy. Wkrótce pod kopułą szarych żeber było jasno jak w dzień, a

potem jeszcze jaśniej i Kosar musiał zamknąć oczy. Trwało to zaledwie kilka uderzeń serca. Kiedy światło przygasło i znowu mógł widzieć, dostrzegł w tle słabą poświatę pulsującego blasku. I zobaczył, co było dziełem tego światła. Pomiedzy żebrami znajdowała się rozciągnięta na wysokość człowieka mięsista skóra. Na jej powierzchni i pod nią wciąż tworzyły się żyły, wypełniały się płynącą nie wiadomo skąd krwią; magia działała tak blisko, że gdyby chciał, mógłby wyciągnąć rękę i dotknąć jej.

Miał wrażenie, że prędkość narasta. Spojrzał na pozostałych: Nadzieja siedziała z szeroko otwartymi oczami, Trey ze wszystkich sił trzymał się ziemi, Alishia i Rafe leżeli na wznak, a ich kończyny zmieniały położenie być może pod wpływem ruchu maszyny, i wiedział, że musi wyrzucić za krawędź. Nigdy nie bał się wysokości i nieznanego, teraz najbardziej przerażało go to, co wiedział. Podczołgał się do przypominającej skórę błony pomiędzy żebrami i wyrzucił na zewnątrz.

Na ziemi eksplodowały ognie. Niektóre były małe, inne wydawały się rozszerzać, a kilka nadal się poruszało. Oświetlały prawie całą dolinę i znajdujące się w niej umierające istoty. Usiana była ciałami Mnichów. W świetle płomieni mógł dostrzec większe maszyny. Stały nieruchomo z opuszczonymi kończynami, a jedna, atakowana przez grupę Mnichów, nie broniła się. Ich zadanie zostało wykonane i maszyny znowu były martwe.

Nigdzie nie było widać sokołów.

Maszyna wyrzuciła z siebie kolejną eksplozję światła, oślepiając Kosara i odrzucając go do tyłu. Huk był ogromny i towarzyszyło mu przyspieszenie. Wzbili się wyżej, coraz wyżej i nagle znowu odnalazło ich słońce. Jego ciepło przyjemnie pieściło skórę. Na zachodzie horyzont był żółtym pasmem. Jeżeli będą wznosili się wyżej, być może słońce nigdy nie zajdzie.

Nie ma sokołów, pomyślał. Oczywiście. Nie mają powodów dalej toczyć walki, skoro odlecieliśmy z Rafe'em.

– Co widzisz? – zapytała Nadzieja.

Kosar znowu wyrzucił za krawędź. To było dziwne wrażenie – spoglądać z dnia w noc. Zastanawiał się, jak wysoko się wzniesli.

– Kosarze? – ponaglił go Trey.

– Chyba walka się skończyła – powiedział. – Maszyny już się nie poruszają. Nie widzę sokołów.

– Gonią nas – stwierdziła Nadzieja. – Muszą nas gonić. Chcą przecież chłopca. Zajmą się Mnichami później.

– Chcą Rafe'a – potwierdziła Alishia. – I dostaną go.

– Wracaj spać! – warknęła wiedźma.

– W takim razie gdzie są? – spytał Trey. – Jeżeli go chcą, czemu nie atakują?

– Nie wiem – odparła Nadzieja.

– Udajesz.

– Naprawdę nie wiem. Nic nie wiem. Wszystko to tylko domysły. Tylko on wie i... i być może ona! – Oskarżycielskim gestem wskazała Rafe'a i Alishę. – A oni nie mówią takim jak my.

– I co się teraz stanie? – spytał Kosar. – Czy mamy tylko siedzieć i pozwolić, żeby maszyna niosła nas, gdzie chce?

– A jaki mamy wybór? – burknęła wiedźma. – Nigdy nie mieliśmy wyboru. Popychano nas całymi dniami, nigdy nie było żadnej alternatywy, wolnej woli. Wszystko, co się z nami dzieje, jest z góry określone. Może za godzinę wszyscy będziemy martwi albo wolni, albo znajdziemy się w jakimś miejscu, którego nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić.

– Niezwykle pomocne – parsknął Kosar, ale jej słowa zmroziły mu krew w żyłach, wyrażały głośno to, o czym przez cały czas myślał. Żadnej wolnej woli.

Wiedźma spojrzała na niego. Tatuaze wiły się na jej twarzy, gdy skrzywiła się z irytacją.

– To jedyna pomoc, jakiej mogę udzielić.

– A więc siadajmy – rzucił Kosar. – Cieszymy się widokami. – Ponownie wyjrzał za krawędź, popatrzył na rozległy las otaczający płonąca dolinę. Gdzieś tam była A'Meer, martwa, szarzejąca i stapiająca się z krainą. Spoglądał na ciemne wierzchołki drzew, zastanawiając się, czy patrzy właśnie na nią.

Maszyna wznosiła się coraz wyżej i od czasu do czasu z jej dolnej części strzelało światło. Powietrze stawało się zimne, niebo nad nimi coraz ciemniejsze i wkrótce znowu ogarnęła ich noc. Nie mogli dogonić słońca bez względu na to, jak potężna magia ich unosiła.

Wypatrywali i nasłuchiwali sokołów. Wciąż muszą tu być, pomyślał Kosar. To niemożliwe, aby jeden atak maszyny wykończył Magów, niemożliwe. Na pewno nie po trzech wiekach oczekiwania na szansę powrotu. To musi być dla nich najważniejsze.

– Powinniśmy coś zaplanować – odezwał się cicho. – Przylecą tu. Musimy się zastanowić, jak ich odeprzeć.

– Nie bądź aż tak naiwny – powiedziała Nadzieja.

– A ty nie bądź taką pieprzoną pesymistką. – Kosar stał na nierównym skrawku ziemi uniesionym razem z nimi przez maszynę i patrzył wściekłym wzrokiem na wiedźmę przykucniętą przy nieprzytomnym chłopcu. – Czemu z nim poszłaś, czemu podjęłaś się opieki nad nim? Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, był twój i tylko twój! A teraz jesteś gotowa siedzieć z założonymi rękami i oddać go Magom bez walki? Nie wierzę.

– Nie, nie jestem na to gotowa – odparła Nadzieja. – Po prostu przyznaję, że nie mamy szans. To beznadziejne. Jak możemy z nimi walczyć? Masz miecz, Trey dyskomiecz, ja trzymam w kieszeni kilka fałszywych amuletów, które nie zrobiłyby krzywdy ulicznikowi, a co dopiero któremuś z nich!

– A co o nich wiesz?

– Wystarczająco dużo, żeby zdawać sobie sprawę, że nie mamy szans.

– Nie wiesz nic – rzekł łagodnie Kosar. – Nie wiesz nic, bo nikt niczego nie wie. Odeszli

tak dawno, że wszystko, co się o nich mówi, jest przeinaczone. Równie dobrze mogą być smutnymi, żalnymi słabymi staruszkami, którzy padną trupem przy pierwszym błysku noża.

– Dotarli tu dość szybko – zauważył Trey. – Mają szpiegów, którzy mówią im, co się dzieje, i przylecieli stamtąd, dokąd uciekli, aby odzyskać, co uważają za swoje.

Kosar patrzył na ich oboje, potem pokręcił głową, uświadamiając sobie, że spór nie ma sensu. Skoro żadne z nich nie zna prawdy, o czym mieliby dyskutować? Tylko o przypuszczeniach.

– Ale musimy walczyć – stwierdził i jego słowa zabrzmiały tak słabo, że usiadł i zamilknął.

– Walczyć – powiedziała Alishia. – Tak, walczyć.

– Co właściwie wiesz? – zwrócił się do niej Kosar.

Alishia uśmiechnęła się i zamknęła oczy.

* * *

Trey żuł ostatni kawałek fiedzu, ostatnią porcję narkotyku, już szczerstwiającego, gorzkiego i paskudnego, i spróbował odlecieć daleko umysłem.

W Alishii i Rafie odnalazł dwie strefy całkowitej ciemności i został odtrącony. Było tam tak wiele albo zupełnie nic, a poczucie zagrożenia powiedziało mu, że obydwie ewentualności wchodzi w grę. „Wiele” mogło zawierać rzeczy, których nie powinien widzieć, myśli, których nigdy nie powinien śnić, a „nic” mogło być tylko Czernią.

Wydostał się w przestrzeń i szybował. Lot utrudniał zły fiedź, równowaga umysłu była niebezpiecznie zachwiana. Ale na jakiś czas był wolny, mógł widzieć i jeżeli będzie poruszać się po kręgach, może jednak przydać się innym. Jego dyskomicz pomógł Kosarowi w walce z Mniczem, ale nie czuł satysfakcji z zadawania śmierci, jakkolwiek odrażająca byłaby istota, którą zabił. Rafe był dziwny, a to, co nosił, jeszcze dziwniejsze i choć Trey bardzo się starał, nie potrafił znaleźć w ich sprawie prawdziwej szlachetności. Podobno walczył o dobro, ale było to coś, o czym żadne z nich nie miało pełnej wiedzy. Biegli i walczyli na oślep. Rafe sprawiał wrażenie uczciwego, ale czy to, co nosił w sobie, też było takie? A może tylko podstępne?

Trey nie mógł wiedzieć tego na pewno i musiał polegać na instynktach. A poza tym wciąż była tu Alishia, piękna Alishia, już rozbudzona, ale bardziej tajemnicza i zamknięta przed nim niż kiedykolwiek. I ocaliła mu życie.

Szukał sokołów i dosiadających ich jeźdźców.

Przestrzeń wokół niego wypełniona była oznakami życia, ale wszystkie były małe i kierowane instynktem. Owady, ptaki, jedna lub dwie istoty większe i mniej wyraźne, ale żadne z nich nie poruszało się w celowy sposób. Prymitywne umysły unosiły się i szybowwały na prądach powietrznych, niektóre spały, inne ledwo uświadamiały sobie otaczający je świat.

Nie było wśród nich prawdziwej inteligencji i ulatywały przed badającym je umysłem Treya, jak dym unoszony wiatrem.

Popłynął dalej, bliżej ziemi, wyczuwając daleko w dole wiele cierpiących umysłów. Wysłał ostrożnie myśl, dotknął ich i wycofał się szybko, gdy zorientował się, do kogo należą – do Czerwonych Mnichów, martwych i umierających, których wściekłość rozpraszała się w eterze. Nawet konając, oplakiwali niepowodzenie swojej misji. Wielu z nich wydało ostatnie tchnienie, leżąc na wznak, spoglądając w górę, w mroczne niebo nad nimi, śladem maszyny, która zniknęła, unosząc Rafe'a. I w kierunku, w którym wyruszyły w pościg sokoły.

Trey zaczął szybko wracać do maszyny, poszukując, zaglądając za mroczne cienie i usiłując wypełnić luki słabo widoczne dla jego umysłu. Być może fledż był bardziej czerstwy, niż przypuszczał, a może nie umiał używać go właściwie, ponieważ umysł miał zatruty strachem lub czymś subtelniejszym. Unosił się przez chwilę na granicy swojego fizycznego ja, wciąż świadom znajdujących się w pobliżu dwóch wielkich stref ciemności. Wiedział, kim są, nienawidził ich mroku. Mógł zrozumieć Rafe'a, ale Alishia...?

I nagle zobaczył. Sokoły i ich jeźdźców spadających z wysoka, szybujących w oczekiwaniu na maszynę. Poznał ich wściekłość i obrzydzenie, moc i zgniliznę. Kiedy wracał do swojego ciała w samą porę, by krzyknąć, uświadomił sobie, że nigdy nie było żadnej nadziei.

Wszyscy zginą.

* * *

Trey wrzasnął, Rafe krzyknął przez sen i coś uderzyło w żebra maszyny.

Kosar został rzucony na ziemię i upadł boleśnie na zranioną rękę. Sokół, który ich uderzył, wrzasnął, przerywając ciszę. Cios złamał dwa żebra i rozerwał łączącą je błonę. Krew, która z niej trysnęła, była czarna w świetle księżyca. Sokół krzyknął znowu, wciąż prac do przodu, i Kosar dostrzegł postać stojącą na grzbiecie stwora. Szykowała się do skoku nad jego głową do wnętrza maszyny.

Nadzieja wstała i cisnęła jakiś przedmiot, nieomylnie trafiając w cel. Pocisk trafił sokoła tuż pod jego wielkim jak pięść okiem i coś szybkiego i ciemnego rozbiegło się po jego białku, natychmiast pokrywając je czernią. Stwór wrzasnął bardziej z bólu niż z wściekłości i gwałtownie spróbował wydostać się pomiędzy złamanymi żeber.

Maszyna ścisnęła go. Najwyraźniej starała się wykorzystać swoją ranę, by unieruchomić sokoła, zmiażdżyć go w swoim uścisku. Nagie końce złamanych żeber przebijały skórę zwierzęcia i wdzierały się do jego wnętrza.

Na szyi sokoła stała kobieta – uzbrojona, w pancerzu, wysoka i silna, pokryta bliznami. Była niewątpliwie Krotką, wojowniczką z armii Magów. Usiadła, by nie dać się zrzucić w przestrzeń, i spoglądała pomiędzy żebrami na ludzi, których przybyła zabić.

Kosar wstał, wyciągnął miecz i uśmiechnął się. Krotka syknęła. Złodziej poczuł się tak podniesiony na duchu, że zrobił kilka kroków i stanął tuż przed unieruchomioną głową sokoła.

– Kim jesteś, do diabła? – spytała Krotka. Jej bladoniebieskie oczy lśniły nawet w słabym świetle księżyca.

– Przyjacielem każdego twojego wroga – odrzekł i uderzył mieczem. Jego ostrze rozcięło głowę sokoła i Kosar zrobił krok do tyłu, gdy stwór uwolnił się i wirując, runął w dół. Krotka przyglądała się złodziejowi, spadając, i chociaż wiedział, że walka dopiero się zaczęła, krótka radość ze zwycięstwa dodawała sił.

– Trey! – zawołał. – Musimy bronić tej wyrwy!

– Oślepiłam skurwiela! – oznajmiła tryumfalnie Nadzieja.

– Co to było? – zapytał Trey.

Uśmiechnęła się.

– Trujące mrówki.

– Roją się na tobie czy co? – zainteresował się Kosar, trochę z obrzydzeniem, ale głównie z podziwem.

Uśmiech Nadziei zniknął.

– Te były ostatnie.

Na konstrukcję maszyny spadły dwa następne ciosy, jedno na samej górze, w miejscu gdzie stykały się żebra, drugie w dole, poza zasięgiem wzroku. Kosar i pozostali przewrócili się znowu i wycie sokołów domagających się krwi wydawało się gasić światło księżyca.

Kosar spojrział w górę, na tle księżyca śmierci widniała sylwetka sokoła stojącego na szczycie wygiętych żeber, uderzającego w nie potężnym dziobem i miażdżącego hakowatymi szponami. Z góry spadał deszcz krwi i strzępów ciała, a także twarde kawałki rozrywanych żeber. Gdyby tylko miał łuk i strzały A'Meer, pomyślał. Napastnik był zbyt wysoko, by sięgnąć go mieczem, i mogli tylko przyglądać się, jak wdziera się do wnętrza maszyny.

Ale maszyna była gotowa się bronić. Na kilku żebrach zamigotało bladoniebieskie światło. Strumyki światła jak działające razem elektryczne wije piaskowe biegły po powierzchni żeber, aż wreszcie spotkały się, tworząc kilka jaskrawych plam tuż ponad powierzchnią ziemi. Stawały się coraz większe, jaśniejsze i w ich poświacie Kosar dostrzegł twarz spoglądającej na niego istoty.

Mag. To musiał być Mag. Nigdy jeszcze nie widział takiego szaleństwa, nienawiści i żądzy krwi.

Otworzył usta i syknął. Jakby ten dźwięk był sygnałem, maszyna rozpoczęła kontratak.

Z jarzących się żeber strzeliły kule fioletowego ognia, skupiając się na Magu i sokole. Lecąc, zmieniały wygląd – z nieuformowanych płomieni wyłaniały się kształty o wyraźnych zarysach i celach. Uderzyły w łapy i pierś, eksplodując gromadą rozbieganych skorpionów. Światło wciąż migotało u dołu żeber i w jego blasku Kosar zobaczył unoszące się i opadające

żądła skorpionów. Przebijały grubą skórę sokoła i wstrzykiwały jad. Kolejne pajęczaki wspięły się szybko na głowę stwora, by użądlić Maga siedzącego na jego grzbiecie. Skrzywił się i zaklął, kiedy skorpiony zaatakowały, ale nagle uśmiechnął się, potem roześmiał głośno i zdejmując je ze swojego ciała i ubrania, zaczął z upodobaniem odgryzać ich kolce jadowe.

Z maszyny znowu trysnęło światło, wprawiając w drżenie ziemię, i kiedy trafiło w skórę sokoła, rozplywało się, przekształcając w kolejne żądłące i gryzące stworzenia. Sokół zadrżał, a Mag machał mieczem, zrzucając w dół grad posiekanych ciał.

Kosar strząsnął z włosów ogony skorpionów i nogi pajaków z twarzy. Czuł się bezradny. Miecz wibrował w jego dłoni. Mag spadł z korpusu sokoła i utknął pomiędzy dwoma żebami. Początkowo Kosar uznał, że nie żyje, zatruty przez magiczne stworzenia albo pozbawiony krwi przez powstałe właśnie stado nietoperzy atakujące jego głowę. Ale Mag wyciągnął ręce i zaczął rąbać żebra ciężkimi mieczami o ząbkowanych głowniach. Kosar zrozumiał, że nie da się go powstrzymać.

Mag nie zwracał uwagi na światło eksplodujące na jego ciele, ignorował stworzenia, które gryzły go, szarpały i zatrwały. Nie obchodziło go nic, poza osobą leżącą bezpośrednio pod nim – Rafe'em.

– Trey! – krzyknął Kosar. – On się przedostaje! Możesz go osiągnąć dyskomieczem, atakuj go, zanim się uwolni!

Trey skinął głową, spojrzał na Maga, potem na Kosara. W jego oczach widać było lęk i powątpiewanie.

– Trey!

W tym momencie Mag się przedostał. Ze zgrzytem metalu ocierającego się o kości rozerwał żebra i upadł na ziemię we wnętrzu maszyny. Małe stworzenia zbiegły z jego ciała i zniknęły w plamach światła i ciemności. Trafił go kolejny fioletowy impuls, ale Mag uśmiechnął się i światło po prostu zgasło.

Kosar skoczył w stronę wroga z wysuniętą do przodu klingą, a Trey uderzył dyskomieczem w łopatki Maga, rozcinając odzież i skórę. Napastnik upadł na kolana. Kosar pchnął mieczem i poczuł, jak grzęźnie w piersi wroga. Pochylił się, naparł całym ciałem, by wbić miecz głębiej, i Mag krzyknął przeraźliwie.

– Tak! – wrzasnął Trey. Jeszcze raz machnął dyskomieczem, odrąbując Magowi trzy palce. – Tak!

– Nie! – zawołała Nadzieja.

Kosar odwrócił się. Wiedźma rzuciła się na ciało Rafe'a i złodziej początkowo nie mógł zrozumieć dlaczego. Ale potem zobaczył czarny kształt szamoczący się w poruszonej ziemi, wielkie łapy rozgarniające, odrzucające na bok błoto i skały, a w świetle maszyny natychmiast pojawił się drugi Mag.

Roześmiał się. Miał głos pięknej, beztroskiej kobiety, kogoś, kto znalazł miłość swego życia.

– Kosarze! – krzyknął Trey. Kosar odwrócił się i spotkał z pięścią Maga. Ten zdążył już wstać, odepchnął Treya i jednocześnie uderzył Kosara. Pięść złamała mu kość policzkową i przewróciła na ziemię. Upuścił miecz.

– Nie dostaniecie go! – zawyła Nadzieja.

Magini złapała wiedźmę i odrzuciła ją na bok, a potem pochyliła się, by podnieść Rafe'a. Podbiegła do wyrwanej uderzeniem pierwszego sokoła rany w boku maszyny. Jakby uświadamiając sobie, co się dzieje, urządzenie wysłało wijącą się wiązkę fioletowego światła. Uderzyła w kobietę i Rafe'a, przylepiając się do odzieży jak błoto, przekształcając się w rozmyte owady i ptaki, jaszczurki i ssaki – wszystkie gryzły i zabijały. Magini wrzasnęła, ale biegła dalej.

Rafe się nie odzywał.

– Nie – jęknął Kosar, wiedząc, że nie powinno się to zdarzyć. Po wszystkim, co przeszli, po tym jak A'Meer oddała życie, aby dać im czas, po tym jak nowa magia uwolniła swoją moc, żeby chronić ich przed Mnichami, to było niesprawiedliwe. – Nie!

Magini dotarła do złamanych zeber i trzymając Rafe'a przytulonego do piersi, rzuciła się w mroczną pustkę. Z maszyny wystrzeliły w ślad za nimi kolejne wiązki światła i tysiące stworzeń spadły w nicość, jak iskry z ogniska.

– Rafe! – krzyknęła Nadzieja.

Kosar usiadł w chwili, gdy Mag przebiegał koło niego. Wierzgnął nogą, ale nie trafił uciekającego, który biegł, odganiając się od chmury trzepoczących wokół jego głowy stworzeń zrodzonych ze światła syczącego i miotającego iskry na jego skórze. On również krzyczał, wyskakując z maszyny w ciemność.

Nie zważając na zawodzenia Nadziei i potępięcze wrzaski Treya, Kosar nasłuchiwał cichnących krzyków spadających Magów. Ale nic nie usłyszał. Jedynymi dźwiękami były skomlenie ich bezradności i łagodne, zrezygnowane trzaski stygnącej wokół nich maszyny.

* * *

Lenora szybowała na prądach powietrznych daleko pod latającą maszyną. Jej sokół był śmiertelnie ranny, ale utrzymywała go przy życiu obietnicami szeptanymi do ucha i bólem, który zadawała mu wbitym w ciało mieczem. Ale obiecywała mu więcej bólu, nie ocalenie. Sokół był stworzeniem kierującym się instynktami, a ból był zawsze głównym popędem.

Sokół Angel już spadł obok niej. Zginął, gdy zmusiła go, żeby wbił się w podbrzusze maszyny. Drugi sokół wciąż był gdzieś w górze, ale już nie widziała jego sylwetki w pobliżu maszyny. W dole było ciemno i chłodno, nocne powietrze muskało otwarte rany na ciele Lenory.

Upłynęło niewiele czasu i dołączyła do niej Angel.

Lenora dostrzegła jej spadający kształt i skierowała sokoła pod niego. Schwycił Angel i

trzymanego przez nią chłopca w wielkie, połączone błoną macki. Kilka sekund później tuż za Lenorą wylądował na grzbiecie stwora S'Hivez, posyłając go w ostatni, śmiertelny lot.

Ale w żadnym z nich nie było rozpacz, strachu, przecucia zagłady. Ponieważ Angel trzymała chłopca na kolanach jak nowo narodzone dziecko, głaskała jego czoło, czekając, by otworzył oczy, i długim paznokciem unosiła mu włosy, jakby zastanawiając się, gdzie ma zrobić cięcie. Kiedy Rafe rozchylił powieki, Angel wyciągnęła nóż i odpiłowała górną część jego czaszki. Zatopila język w odsłoniętym mózgu chłopaka.

Matko! – W umyśle Lenory rozległ się głos i cień wreszcie ją rozpoznał.

A w starych oczach Magini Lenora widziała zdobytą przez nich wiedzę.

Szybowali przez noc. Skrawek księżycy życia i wspinały księżyc śmierci oświetlał uszkodzoną maszynę. Oba z nich kpiły. Gwiazdy pokrywały niebo i dodawały swój blask. Maszyna brzęczała cicho pod nimi i od czasu do czasu dygotała, jakby bolały ją rany lub było jej zimno. Lecieli na południe. Być może podążali do określonego miejsca, ale najprawdopodobniej po prostu dryfowali i ten brak celu wynikał z nagłej, nieoczekiwanej, niemożliwej klęski.

Magowie mieli Rafe'a. Magowie mieli magię.

Kosar leżał na wznak z zamkniętymi oczami i rozmyślał o pierwszym dniu, w którym Mnich wjechał do wioski. Wtedy nie miał pojęcia o wyższym porządku rzeczy i nawet teraz rozumiał tak niewiele. Wszystko, co wiedzieli, było przypuszczeniem, każdą decyzję podejmowali na podstawie nieprecyzyjnych myśli i przekazywanych od czasu do czasu przez Rafe'a, najczęściej bezużytecznych idei. Zastanawiał się, jak którekolwiek z nich mogło wierzyć, że mają jakąś szansę.

A'Meer traktowała swoją sprawę z pewnością siebie i namiętnością. Biedna, martwa A'Meer. Kosar kochał ją – właściwie zawsze o tym wiedział – ale dziwne, jak jej śmierć ujawniła jemu samemu siłę tej miłości. Czuł w sobie pustkę, czerń ciemniejszą niż noc i miało to niewiele wspólnego z porwaniem Rafe'a.

– Co teraz? – zapytał cicho. Nie odpowiedzieli mu ani Trey, ani Nadzieja. Alishia znowu zasnęła, ale na jej policzki powróciły kolory i w ciemności można było odnieść wrażenie, że się uśmiecha. Po ataku zbadali ją. Stawała się niższa, młodsza, jakby cofała się do jakiegoś nienaturalnego dzieciństwa, chociaż żadne z nich nie zastanawiało się, jak daleko cofnie ją ten proces. Po prostu była to kolejna niezwykła sprawa, z którą trzeba było żyć. I prawdę mówiąc, tylko Treya to obchodziło.

Czas mijał, a maszyna niosła ich coraz dalej na południe. Kosar wiedział, że wkrótce dotrą do Kang Kang, ale nie przejmował się tym. Był już tam i teraz po powrocie Magów to miejsce nie będzie bardziej niebezpieczne niż jakiegokolwiek inne w Noreeli.

Mity, legendy, historie opowiadane dzieciom przy ognisku, stare opowieści wykute w stelach w dużych miastach... Choć przerażające, to zawsze były bezpiecznie osadzone w historii, zapieczętowane, pogrzebane tak samo jak milion poległych w zakończonej tak dawno

Wojnie-Katastrofie.

Mity podobno nie powinny wracać. Legendy nie powinny ożywać.

Nadzieja cicho płakała w ciemności i łzy tworzyły dziwne kształty na jej tatuażach, ale Kosar nie był w nastroju, aby ją pocieszać.

Trey siedział obok Alishii, patrzył na nią, ale widział coś zupełnie innego. Kosar dostrzegł w pośliskłych oczach górnika ból i poczucie utraty.

Wstał wolno i podszedł do krawędzi maszyny. Stał na palcach, aby popatrzeć nad błoną pomiędzy żebrami i zastanawiał się, czy tam, na dole coś się już zaczęło.

Kraina została utracona. Magowie posiadli kształtującą się magię i cokolwiek będą robili z Rafe'em, aby zdobyć nad nią władzę – a wołał nie myśleć co – z całą pewnością nie potrwa to długo. Być może góra była już dołem, czarne – białym, a życie bez trudu mogło się zamieniać miejscami ze śmiercią. Po trzech wiekach, w czasie których mogli planować swój powrót, Magowie z całą pewnością wiedzieli, jak najskuteczniej dokonać zemsty.

– Co teraz? – powtórzył Kosar.

– Teraz następuje koniec Noreeli – odparł Trey. – Wszystko, co się stało, już nie ma znaczenia. Niemal zazdroszczę rodzinie i przyjaciółom zabitym w podziemiach przez Naksy. Przynajmniej zginęli w domu. A ja, górnik, lecę teraz ku śmierci wysoko nad powierzchnią, której nigdy nie powinienem był zobaczyć.

– Tak nie może się stać – powiedział Kosar i sam usłyszał dziecinną naiwność w swoich słowach. – Beznadziejne – westchnął.

– W niej coś jest – oznajmiła Nadzieja.

Kosar odwrócił się i zobaczył wiedźmę stojącą nad Alishią. Twarz miała surową, pobrużdżoną przez żal i gniew.

– Co masz na myśli?

– Choćby to, że jest obecnie dziewczyną, zamiast kobietą. Jest coś jeszcze, choć wydaje się niemożliwe. Już nie jest tak chora jak poprzednio. Wygląda lepiej. Mniej śpi. I tam na dole przez jakiś czas, przez krótką chwilę, była przytomna.

– Co to znaczy? – spytał Trey. Pochylił się nad Alishią, jakby chciał chronić ją przed wiedźmą.

Nadzieja cofnęła się.

– Lecimy gdzieś – rzekła. – Czy żaden z was nie dostrzegł, co tu się dzieje? Maszyna nadal leci. Magia nadal nas prowadzi. Złodzieju, sam widziałeś, że gdy tylko odlecieliśmy, maszyny w dolinie znieruchomiały, ponieważ spełniły swoje zadanie. A ta latająca machina... magia musi wiedzieć, że wciąż działa.

– Nie obchodzi mnie to – stwierdził Trey. – Nie zdołaliśmy ochronić chłopca przed Magami i we czwórkę nigdy go nie odzyskamy. To pewne.

Nadzieja spojrzała na Kosara i uśmiechnęła się, wzruszając ramionami. Ta mina niezbyt do niej pasowała i złodziej odwrócił się zdenerwowany. Czy dojrzał w niej nadzieję?

Chciwość? Wściekłość? Nie mógł odgadnąć. Tatuaze jak zwykle maskowały jej prawdziwe uczucia i była dla niego tajemnicą zarówno teraz, jak i zawsze.

– Mniejsza o to – oznajmiła wiedźma. – Czas pokaże. Wkrótce będziemy w Kang Kang.

Skończyli rozmowę i każde oddało się swoim myślom. Kosar usiadł, opierając się o żebro, i zajął się ranną dłonią i krwawiącymi palcami. Zlizał krew z opuszków i po chwili bólu na jakiś czas przyszło ukojenie. A'Meer potrafiła uśmierzać ten ból. Słodka, tajemnicza A'Meer.

Zapadł w sen, przeżywając w nim wydarzenia z przeszłości, ale czas je odmienił. W wiosce walczył z Mniczem, zamiast się ukrywać. Nie pomógł A'Meer i uciekł na północ, na Równiny Cantrass. Utonął w czasie przeprawy przez San. Koniec ich podróży spowodowała przyroda, a nie ci, którzy ją zniszczyli. Każdy sen przechodził w następny, pozostawiając wrażenie, że jest niedokończony.

* * *

Kiedy Kosar się obudził, wciąż było ciemno. Zobaczył Treya i Nadzieję stojących w drugim końcu maszyny i wyglądających przez dziurę wyrwaną w żebrach.

– Jak długo spałem? – zapytał. – Mam wrażenie, że wiele godzin.

– Bo tak było – odparł Trey. – Dziesięć, jedenaście godzin.

– Powinno świtać. – Kosar spojrział pomiędzy żebrami i zobaczył na południu ciemne granie Kang Kang, szczyty sterczące w oświetlone księżycami niebo. Potem popatrzył na wschód, ku Nowemu Shanti, gdzie nie było słońca.

– Powinno – powiedziała Nadzieja. – Ale nie świta. Nie będzie słońca, Kosarze. Dziś nie będzie słońca.

Pokręcił głową, nic nie rozumiejąc. Na wschodzie nad horyzontem widniała tylko smętna, rozmazana plama, niczym wspomnienie życia odbijającego się w białych oczach trupa. Reszta nieba miała to samo chorobliwe zabarwienie, przypominające światło księżyca śmierci w jego najjaśniejszej fazie. Kosar podniósł rękę – widział jej kształt, ale nie prawdziwą barwę. Czuł na skórze światło księżyca, które nie dawało ciepła.

– Nie rozumiem.

– Magowie wykonali pierwszy ruch – oznajmiła Nadzieja. – Czym jesteśmy bez słonecznego światła?

* * *

Unoszona magią maszyna szybowiała na południe, zbliżając się do szczytów najmroczniejszego Kang Kang. Kosar, Nadzieja i Trey wypatrywali świtu, który nie miał nadejść, a Alishia spała za ich plecami.

I śniła.

Mroczne, przerażające sny.

Podziękowania

Dziękuję Jasonowi i Jeremy'emu z Night Shade Books za danie mi szansy, Katherine Roberts za wsparcie, którego udzielała mi, kiedy pisałem tę powieść, Chrisowi Goldenowi za życzliwość, Richowi SanFilippo za pierwszy kontakt, mojemu agentowi Steve'owi Calcuttowi, który wiele wycierpiał

i

ogromne podziękowania dla mojej wspaniałej redaktorki Anne Groell za jej bystre oko i niewyczerpane poczucie humoru, a także za krzepiące zainteresowanie walijskimi nazwami miejscowości. Nic nie poradzę, że mieszkam w Goytre.

Tim Lebbon

ŚWIT

Już wkrótce

Fragment:

1

Lecąc wysoko nad Noreelą, łatwo było uwierzyć, że nastąpił ponowny koniec świata. Zdawały się o tym świadczyć przerażone, rozproszone społeczności tam w dole, wszystkie miejsca jarzące się światłami, mającymi chronić przed ciemnością, której być nie powinno. Dziesiątki tysięcy par oczu szukały słońca, ale widziały tylko nienaturalny zmrok; Lenora zastanawiała się, co ci ludzie mogliby pomyśleć, gdyby dostrzegli sokoła. Czy wiedzieliby? Czy mogli mieć jakieś pojęcie o tym, na co patrzyli?

Chyba nie. Ale mogło się to wkrótce zmienić.

Przez większość nocy Lenora starała się nie zwracać na siebie uwagi Magów. Siedziała nieruchomo, w milczeniu, tak daleko od ogona sokoła, jak tylko mogła. Dwa krótkie miecze, które zatopiła w skórze ptaka, stanowiły cenne uchwyty dla dłoni. Patrzyła na swoich panów ze strachem, jakiego nigdy dotąd nie doznała. Magowie tak bardzo się zmienili. Byli teraz dla niej obcy.

Przez ostatnich trzysta lat Angel i S'Hivez żyli przepelnieni goryczą i gniewem, oddając się ciągle marzeniom o zemście. Lenora – ich zaufana pomocnica – służyła im i była im posłuszna. Z czasem stali się cieniami samych siebie: szalonymi starymi istotami, u których tylko czasami mogła dostrzec ślady dawnej świetności i okrucieństwa. Zaszyci w swojej kryjówce w wulkanie na Dana'Man stopniowo gaśli, choć wciąż jeszcze zachowywali pewną moc. Istoty, które niegdyś rządziły krainą, nigdy nie mogły tej mocy całkowicie utracić. Ale ich świetność stała się już historią i w miarę jak czas upływał, wrażenia, jakie budzili w Lenorze, coraz częściej określała jedynie jej pamięć. Potęga Magów stała się mitem utrwalałym się w jej duszy.

Teraz kiedy odzyskali swoją pozycję, Lenora nie musiała już dłużej odwoływać się do pamięci.

Angel wciąż przyciskała do piersi ciało wiejskiego chłopca jak matka oplakująca martwe dziecko. Jakiś czas temu sama otworzyła jego czaszkę, a potem oboje z S'Hivezem rzucili się na niego, szukając tego najważniejszego w jego mózgu i ciele. Od tego momentu Lenora czuła emanującą z nich żywiołową siłę; oboje stali się prawdziwymi Magami, po raz pierwszy od trzystu lat. Odrzucili na bok kości i narządy wewnętrzne, znaleźli to, czego szukali, i pożarli swoją zdobycz.

Wydawało się teraz, że zaczynają rosnać, choć ich rozmiary wcale się nie zmieniły. Zachowywali milczenie i nagle wszystko zaczęło jakby płynąć raczej przez nich niż dookoła nich. A później, kiedy już brzask powinien zastąpić noc, Angel i S'Hivez przeklęli niebiosa.

Od tamtej pory Angel wciąż trzymała porozdzierane zwłoki chłopca.

Sokół umarł parę chwil po tym, jak oboje skończyli grzebać we wnętrznościach chłopca, i Lenora myślała, że zaraz spadną. Ale wtedy S'Hivez zatopił ręce w szyi stworzenia, zaczął grzebać w niej tak samo, jak badał zwłoki chłopca, sokół uniósł się znowu wyżej i poniósł ich na północ.

Odjeżdżamy, powiedział jakiś głos. Lenora rozejrzała się wokoło, mrużąc oczy przed wiatrem. Słyszała ten głos od czasu, gdy stoczyli walkę z Mnichami i maszynami, wiedziała, co to było: duch jej nienazwanej martwej córki wciąż łaknącej ukojenia w ramionach matki. Lenora ukryła twarz w sztywniejącej skórze sokoła i zapłakała łzami splamionymi gniewem. Uniosła nieco głowę i jej łzy uniósł wiatr wiejący po niebie Noreeli. Miała nadzieję, że się porozsypują i spadną z następnymi deszczami, rozrzucając jej smutek po równinach i dolinach, szczytach gór i jeziorach, gdzie będzie mogła dokonać zemsty. Robenna była daleko i pozostawała coraz bardziej w tyle z każdym uderzeniem serca. Ale teraz, kiedy wiedziała, że może wrócić w to miejsce, płomień zemsty palił się w jej sercu mocniej.

Mieszkańcy Robenny wypędzili ją, otruli i zamordowali jej nienarodzone dziecko. Gdy nadejdzie czas, ich potomkowie zapłacą za to.

– Marzysz o śmierci i zemście, Lenoro?

Lenora spojrzała w oczy Angel. Magini przemieściła się do tyłu wzdłuż grzbietu sokoła i teraz siedziała okrakiem na jego ogromnym ogonie, jej twarz znajdowała się w odległości nie większej niż szerokość dłoni od twarzy Lenory. Angel była piękna. Wszystko, co czas na niej wyrzył, zdołała usunąć. Moc nowej magii biła z jej oczu, a możliwości, jakie dawała, zdawały się rozjaśniać ją od wewnątrz.

Lenora próbowała coś powiedzieć, ale brakowało jej słów.

– Nie martw się – powiedziała Angel. Przysuwała się coraz bliżej, aż jej płonące oczy przesłoniły cały świat. – Ja też o tym marzę.

– Pani...

– Przerażam cię? – Angel uniosła brwi.

Lenora odwróciła wzrok.

– To bardzo dobrze. Strach jest dobry, Lenoro. Pamiętasz, jak dotknęłam cię po raz pierwszy, wypędziłam twój ból i odegnałam śmierć na tym płonącym statku? Wtedy także przepełniał cię strach, ale to był strach przed Czernią. Uratowałam cię od śmierci, żebyś mi służyła i od tej pory zawsze to robiłaś. Ale przestałaś się przejmować swoim strachem, tak jak S'Hivez i ja nauczyliśmy się traktować obojętnie nasze pragnienia. Zawsze chcieliśmy odzyskać magię, ale być może ból zaczął nam bardziej odpowiadać. Być może zbyt szybko przyzwyczailiśmy się żyć jak wygnañcy. – Angel spojrzała do tyłu na drogę, którą przebyli. –

Czy myślisz, że jest to prawdą, Lenoro?

– Nie, pani. Będziecie zawsze Magami, z magią czy bez niej.

Angel się uśmiechnęła i Lenora przez chwilę poczuła ukłucie zazdrości – zdawała sobie sprawę, jak ona sama wygląda ze swoją łysą głową, oszpeconym ciałem i czarnymi zębami – ale zwalczyła w sobie szybko to uczucie.

– Lenoro, nigdy nie musisz mnie okłamywać. Jesteś niemal jedną z nas. Wyjechałaś razem z nami z Noreeli trzysta lat temu; myślisz to samo o tym przeklętym miejscu i pragniesz tego samego. Więc jesteśmy niemal tacy sami... tyle tylko, że nie masz tego. – Angel wyciągnęła rękę i dotknęła czoła Lenory.

W pierwszej chwili w tym miejscu Lenora poczuła pieczenie. Potem doznanie się zmieniło, żar przeszedł w dotkliwie zimno – chłód, który mógłby zamrozić powietrze i rozsadzić skałę – i Lenora przymknęła oczy, by akceptować wszystko, co Angel jej przekazywała.

ciąg dalszy nastąpi...